

LUCIA BERLIN

INSTRUKCJA
DLA PAŃ
SPRZĄTAJĄCYCH

OPOWIADANIA



w
ab

Lucia Berlin

**INSTRUKCJA DLA PAŃ SPRZĄTAJĄCYCH.
OPOWIADANIA**

przełożyła Dobromiła Jankowska
pod redakcją i ze wstępem Stephena Emersona
z przedmową Lydii Davis

Tytuł oryginału: *A Manual for Cleaning Women. Selected Stories by Lucia Berlin. Edited and with an Introduction by Stephen Emerson. Foreword by Lydia Davis*

Copyright © 1977, 1983, 1984, 1988, 1990, 1993, 1999 by Lucia Berlin

Copyright © 2015 by the Estate of Lucia Berlin

Foreword copyright © 2015 by Lydia Davis

Introduction copyright © 2015 by Stephen Emerson

Published by arrangement with Farrar, Straus and Giroux, LLC, New York

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Dobromiła Jankowska, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

Lydia Davis
Chodzi o historię

Opowiadania Lucii Berlin są niczym impuls elektryczny, iskrzące i trzaskające przewody pod napięciem, kiedy się stykają. W odpowiedzi również umysł czytelnika, złapany w sieć i oczarowany, budzi się do życia, aż strzelają synapsy. Tak lubimy się czuć, kiedy czytamy – pracuje nasz mózg, bije nam serce.

Energia prozy Berlin rodzi się między innymi z rytmu – czasami płynnego i spokojnego, zrównoważonego, swobodnego i relaksującego, kiedy indziej urywanego, pospiesznego, skrótowego. Rodzi się również ze specyficznego sposobu nazywania rzeczy: Piggly Wiggly (supermarket), Beenie-Weenie Wonder (dziwny twór kulinarny), olbrzymkowe rajstopy (by pokazać, jak postawna jest narratorka). Tkwi w dialogu. Jak brzmiało to wykrzyknienie? „I Jezus zapłakał”. „A do licha!”. W sposobie charakteryzowania: szefowa telefonistek twierdzi, że z zachowania Thelmy potrafi wyczytać, kiedy zbliża się fajrant: „Peruka ci się przekrzywia i zaczynasz gadać świństwa”.

No i sam język, słowo po słowie. Lucia Berlin nieustannie nastawia ucha, nasłuchuje. Jej wrażliwość na dźwięki języka jest zawsze obecna, dzięki czemu my również smakujemy rytm sylab i idealną zgodność dźwięku i sensu. Wściekła telefonistka chodzi, „okropnie się tłukąc i trzaskając”. W innym opowiadaniu Berlin przywołuje wrzaski „niezdarnych skrzekliwych kruków”. W liście, który w 2000 roku napisała do mnie z Kolorado: „Gałęzie ociążałe od śniegu pękają i tłuką w mój dach, wiatr trzęsie ścianami. Ale jest przytulnie, jak na dobrze znanej łodzi, krypie czy barce”.

Jej opowiadania pełne są niespodzianek: nieoczekiwanych zestawień słów, trafnych spostrzeżeń, zwrotów fabuły, humoru, jak w *Na razie*, którego narratorka mieszka w Meksyku, mówi głównie po hiszpańsku i z pewnym smutkiem stwierdza: „Oczywiście, że mam tu jakąś siebie, nową rodzinę, nowe koty, nowe żarty. Ale próbuję pamiętać, kim byłam po angielsku”.

W *Panteón de Dolores* narratorka, dziecko, zмага się z trudną matką – jak dzieje się zresztą w kilku innych opowiadaniach:

Pewnego wieczoru, kiedy już poszedł do domu, mama przyszła do sypialni, w której razem

spałyśmy. Wciąż piła i płakała i bazgrała, dosłownie bazgrała w swoim pamiętniku.

– Wszystko okej? – zapytałam w końcu, a ona uderzyła mnie w twarz.

W *Droga Conchi* narratorką jest ironiczna, inteligentna studentka:

Moja współlokatorka Ella [...]. Szkoda, że nie dogadujemy się lepiej. Matka co miesiąc przysyła jej z Oklahomy podpaski. Ella studiuje aktorstwo. Rany, jak ma kiedyś zagrać lady Makbet, skoro tak jej przeszkadza odrobina krwi?

Niespodzianka może się też zrodzić z porównania – a tych w opowiadaniach Berlin nie brakuje. W *Instrukcji dla pań sprzątających* pisze: „Kiedyś powiedział, że mnie kocha, bo przypominam mu San Pablo Avenue”. I od razu przechodzi do następnego, jeszcze bardziej zaskakującego zestawienia: „On za to przypominał wysypisko w Berkeley”.

Wysypisko (czy to w Berkeley, czy w Chile) opisuje w sposób równie liryczny co pole dzikich kwiatów:

Szkoda, że nie ma autobusu na wysypisko. Pojechaliśmy tam, kiedy zatęskniliśmy za Nowym Meksykiem. Jest tam surowo, wietrznie, mewy krążą niczym lelczyki na pustyni. Widzisz niebo wszędzie dokoła i nad sobą. Śmieciarki grzmą po drogach skłębionych od kurzu. Szare dinozaury.

Osadzanie opowiadań w fizycznie istniejącym świecie pozwala na właśnie takie konkretne, fizyczne obrazowanie: ciężarówka „grzmą”, drogi są „skłębione od kurzu”. Czasami to obrazowanie jest piękne, kiedy indziej jest nie piękne, ale prawdziwie namacalne: doświadczamy każdego opowiadania nie tylko umysłem i sercem, ale również zmysłami. Zapach nauczycielki historii, jej potu i stęchłej odzieży, w *Dobrej i złej*. A w innym opowiadaniu „miękki zapadający się asfalt... zapach kurzu i szałwii”. Żurawie wlatujące „z dźwiękiem tasowanych kart”. Caliche i oleander. „Dziki słoneczniki i fioletowe chwasty” w kolejnym opowiadaniu i skupiska amerykańskich topoli zasadzonych dawno temu, w lepszych czasach, które pięknie przyjęły się w slumsach.

Berlin zawsze obserwowała, choćby tylko przez okno (kiedy miała już trudności z poruszaniem się) – w tym samym liście do mnie z 2000 roku sroki „nurkowały” po jabłkową

pulpę jak „turkusowoczarne błyskawice na śniegu”.

Opis może zacząć się romantycznie – „*parroquia* w Veracruz, palmy, latarnie w świetle księżycy” – ale ten romantyzm, podobnie jak w prawdziwym życiu, zostaje unicestwiony przez realistyczny, flaubertowski szczegół, tak celnie przez Berlin uchwycony: „psy i koty między wypolerowanymi butami tancerzy”. Ogarnianie świata jest najbardziej widoczne, kiedy pisarka łączy zwyczajne z niezwykłym, banalne lub brzydkie z pięknym.

To matka, czy też matka narratorki jednego z opowiadań, wykształciła w niej ponoć ten dar obserwacji:

Przypominałyśmy sobie twoje żarty i to, jak patrzyłaś, wszystko widząc. To nam dałaś. Patrzenie.

Ale nie słuchanie. Miałyśmy zwykle może z pięć minut, by ci o czymś opowiedzieć, a potem mówiłaś „Dosyc”.

Matka piła w swojej sypialni. Dziadek pił w swojej. Z ganku, na którym spała, dziewczynka słyszała, jak z gulgotem opróżniają butelki. W opowiadaniu, a może również w rzeczywistości – niewykluczone też, że opowiadanie jest wyolbrzymieniem rzeczywistości, tak dokładnie obserwowanej, tak zabawnej, że choć czujemy, jak jest bolesna, czerpiemy paradoksalną przyjemność ze sposobu, w jaki zostaje opowiedziana, i ta przyjemność jest większa niż ból.

Wiele opowiadań Lucia Berlin oparła na wydarzeniach z własnego życia. Jeden z jej synów powiedział po jej śmierci: „Ma pisała prawdziwe historie, niekoniecznie autobiograficzne, ale niewiele brakowało”.

Choć o gatunku znanym we Francji jako *auto-fiction* mówi się, jakby był czymś nowym, narrację o własnym życiu – czy też jej odmianę – wziętą w niemal niezmienionej formie z rzeczywistości, wyselekcjonowanej i opowiedzianej w sposób wyważony i artystyczny, Lucia Berlin uprawiała od zawsze, od początku, jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku. Jej syn mówił: „Opowieści i wspomnienia naszej rodziny stopniowo zmieniały kształty, były upiększane i redagowane do takiego stopnia, że nie jestem pewien, co się tak naprawdę wydarzyło. Lucia mówiła, że to nie ma znaczenia: chodzi o historię”.

Oczywiście dla zachowania równowagi czy charakteru zmieniała w historii to, co musiała

– szczegóły wydarzeń i opisy, chronologię. Przyznawała, że wyolbrzymia. Jedna z jej narratorek mówi: „Często przesadzam i mieszam fikcję z rzeczywistością, ale tak naprawdę nigdy nie kłamię”.

Z pewnością wymyślała. Na przykład Alastair Johnston, jeden z pierwszych wydawców Berlin, przypominał sobie pewną rozmowę: „Bardzo podoba mi się opis twojej ciotki na lotnisku, tego, jak zatonełaś w jej wielkim ciele jak w kanapie” – powiedział. Odparła: „Tyle że właściwie... nikt po mnie wtedy nie przyjechał. Pewnego dnia pisałam to opowiadanie i przyszedł mi do głowy obraz, który do niego pasował”. Tak naprawdę niektóre opowiadania Berlin są całkowicie zmyślane, o czym mówiła w jednym z wywiadów. Nie można myśleć, że się ją poznało, tylko dlatego, że przeczytało się jej opowiadania.

Berlin miała życie bogate i obfitujące w wydarzenia, a materiał, który czerpała z niego do swoich opowiadań, był barwny, dramatyczny i bardzo różnorodny. Miejsca, w których mieszkała z rodziną w dzieciństwie i młodości, wiązały się z ojcem – z tym, gdzie pracował, gdy Lucia była mała, potem z faktem, że wyjechał walczyć w drugiej wojnie światowej, i z tym, co robił po powrocie z wojny. Berlin urodziła się na Alasce i dorastała w osadach górniczych na zachodzie Stanów Zjednoczonych; potem, w trakcie nieobecności ojca, mieszkała z rodziną matki w El Paso. Następnie przeprowadzka na południe, do zupełnie innego życia w Chile, życia dostatniego i uprzywilejowanego, które w opowiadaniach pojawia się w historii o nastolatce z Santiago, o katolickiej szkole, politycznych zamieszkach, jachtklubach, krawcowych, slumsach, rewolucji. Dorosła Berlin wciąż prowadziła geograficznie niestałe życie – mieszkała w Meksyku, Arizonie, Nowym Meksyku, Nowym Jorku; jeden z jej synów wspominał, że gdy był dzieckiem, przeprowadzali się mniej więcej co dziewięć miesięcy. W późniejszym okresie swojego życia Lucia uczyła w Boulder w Kolorado, a pod koniec przeniosła się bliżej synów, do Los Angeles.

Pisze o swoich synach (miała czterech) i pracach, których się imiała, by ich utrzymać, często samodzielnie. Czy raczej – powinniśmy powiedzieć – pisze o kobiecie, która ma czterech synów, obejmuje posady podobne do tych Berlin: sprzątaczkę, pielęgniarkę na ostrym dyżurze, rejestratorkę medycznej, telefonistkę w szpitalu, nauczycielkę.

Mieszkała w tak wielu miejscach, doświadczyła tak wiele, że mogłoby to wypełnić niejedno życie. Większość z nas zna przynajmniej niektóre z tych doświadczeń: dzieci z kłopotami, molestowanie w dzieciństwie, namiętny romans, walka z nałogiem, ciężka choroba lub niepełnosprawność, nieoczekiwana więź z rodzeństwem, nużąca praca, trudni

współpracownicy, wymagający szef, nielojalny przyjaciel, nie mówiąc już o zachwycie nad światem: krowach stojących po kolana w czerwonej castillei, polu łąbinu, różowym wieczorniku rosnącym w zaułku za szpitalem. A ponieważ doświadczyliśmy tego samego, przynajmniej w części, możemy świadomie podążać za Berlin tam, gdzie nas zabiera.

W jej opowiadaniach rzeczy naprawdę się dzieją – komuś zostają wyrwane wszystkie zęby naraz, małą dziewczynkę wyrzuca się ze szkoły za uderzenie zakonniczy, stary człowiek umiera w domku na szczycie góry, a w łóżku są z nim pies i kozy, nauczycielka historii w zatęchłym swetrze zostaje zwolniona za to, że jest komunistką: „Ale to wystarczyło. Dwa słowa wypowiedziane do mojego ojca. Zwolnili ją jakoś w weekend i nigdy więcej jej nie zobaczyliśmy”.

Czy właśnie dlatego nie potrafisz oderwać się od opowiadania Lucii Berlin, kiedy już zaczniesz czytać? Dlatego że rzeczy wciąż się dzieją? Czy chodzi również o głos opowiadającego, tak wciągający, niekrępujący? Do tego oszczędność słów, rytm, obrazowanie, czystość? Te opowiadania sprawiają, że zapominasz o tym, co robisz, gdzie jesteś, a nawet kim jesteś.

„Moment – rozpoczyna się jedno z nich. – Pozwólcie, że wyjaśnię...”. To głos bliski głosowi Lucii, choć nigdy z nim nietożsamy. Jej inteligencja i ironia płyną przez opowiadania i wypełniają listy: „Ona bierze leki – napisała do mnie w 2002 roku o pewnej znajomej – i to naprawdę jest ogromna różnica! Co robili ludzie przed prozakiem? Pewnie zaganiali konie”.

Zaganiali konie. Skąd się to wzięło? Być może przeszłość w umyśle Berlin była równie żywa jak inne kultury, inne języki, polityka, ludzkie słabostki; zasób słów Lucia ma tak szeroki, a nawet egzotyczny, że telefonistki opierają się nad centralkami jak mleczarki wtulające się w krowy, a przyjaciółka wychodzi na ganek z czarnymi włosami podpiętymi wysoko na wałkach, jak peruka z teatru kabuki.

Przeszłość – ten fragment *Na razie* czytałam kilkakrotnie, z przyjemnością, z podziwem, zanim zrozumiałam, co robi Berlin:

Pewnej nocy było bardzo zimno, Ben i Keith spali ze mną, ubrani w kombinezony. Okiennice łopotały na wietrze, okiennice tak stare jak Herman Melville. Była niedziela, więc auta nie jeździły. Na dole żaglomistrz jechał ulicą wozem zaprzężonym w konia. Stuk stuk. Zadymka z sykiem uderzała o okna i zadzwonił Max. Cześć, powiedział. Jestem na rogu, w budce telefonicznej.

Przyniósł róże, butelkę brandy i cztery bilety do Acapulco. Obudziłam chłopców i pojechaliśmy.

Mieszkali na dolnym Manhattanie w czasach, kiedy w loftach pod koniec dnia roboczego wyłączano ogrzewanie. Być może okiennice naprawdę były tak stare jak Herman Melville, bo w niektórych częściach Manhattanu stały budynki jeszcze z lat sześćdziesiątych XIX wieku, nieliczne wciąż zresztą stoją. Choć być może Berlin znowu przesadza – jeśli tak, to piękna przesada, piękny ozdobnik. Pisze: „Była niedziela, więc auta nie jeździły”. To również brzmi realistycznie, więc dałam się zwieść zaglomistrzowi i wózkowi ciągnionemu przez konia, które pojawiły się potem – uwierzyłam i przyjąłam za pewnik, a dopiero po kolejnej lekturze zdałam sobie sprawę, że Berlin niezauważalnie znów cofnęła się do czasów Melville’a. „Stuk stuk” – to również lubi robić: nie marnować słów, dodać szczegół w formie dźwięku. Sycząca zadymka przeniosła mnie właśnie tam, między te ściany, a potem akcja przyspieszyła i nagle znaleźliśmy się w drodze do Acapulco.

To porywający sposób pisania.

Inne opowiadanie rozpoczyna się typowym dla Berlin bezpośrednim oznajmującym zdaniem, które – łatwo mi w to uwierzyć – odnosi się wprost do życia autorki: „Od wielu lat pracuję w szpitalach i jeśli czegoś się w tym czasie nauczyłam, to tego, że im bardziej chory pacjent, tym mniej hałasuje. Dlatego ignoruję wezwania przez interkom”. Czytając te słowa, przypominam sobie opowiadania Williama Carlosa Williamsa, kiedy pisał jako lekarz rodzinny, którym w istocie był – bezpośredniość, szczerze i fachowe szczegóły chorób i leczenia, obiektywne raportowanie. Berlin bardziej niż Williamsa za wzór do naśladowania i za nauczyciela uważała Czechowa (również lekarza). W liście do Stephena Emersona napisała nawet, że to właśnie dystans lekarza połączony ze współczuciem daje życie twórczości tych dwóch pisarzy. Dalej wspomina sposób, w jaki wykorzystywali oni wybrany szczegół, oraz oszczędność środków – „Nie ma słów, które nie są niezbędne”. Dystans, współczucie, szczegół i oszczędność – to elementy pozwalające określić to, co najważniejsze w dobrej literaturze. Ale zawsze pozostaje coś jeszcze.

Jak ona to robi? Czytelnik nie wie do końca, co się zaraz wydarzy. Niczego nie można przewidzieć. A jednak wszystko dzieje się naturalnie, jest prawdziwe, zgodne z tym, czego

oczekujemy, jeśli chodzi o psychologię i emocje.

Pod koniec opowiadania *Dr H.A. Moynihan* matka narratorki wydaje się nieco łagodnieć wobec swojego pijanego, wrednego starego ojca bigota: „Dobrze się spisał – powiedziała matka”. To już koniec opowiadania, myślimy więc – bo tego nauczyły nas lata czytania opowiadań – że matka ustąpi, członkowie trudnej rodziny się pogodzą, przynajmniej na jakiś czas. Jednak kiedy córka pyta: „Już go nie nienawidzisz, mamo, prawda?”, odpowiedź jest brutalnie szczerą i w pewnym sensie satysfakcjonującą: „Ależ tak. Nienawidzę”.

Berlin jest bezkompromisowa, niczego nie ukrywa, a jednak brutalność życia jest zawsze złagodzona współczuciem, jakie okazuje ludzkiej słabości, inteligencją i mądrością narratorki i jej łagodnym humorem.

W opowiadaniu *Cisza* narratorka mówi: „Nie waham się opowiadać okropności, jeśli uda mi się sprawić, że są zabawne”. (Choć niektóre, jak dodaje, po prostu zabawne nie są).

Czasami ten żart jest gruby, jak w *Seksapilu*, w którym piękna kuzynka Bella Lynn leci samolotem ku – jak ma nadzieję – hollywoodzkiej karierze, z biustem powiększonym nadmuchiwanym stanikiem, a kiedy samolot osiąga wysokość przelotową, biustonosz eksploduje.

Zwykle jednak humor jest mniej oczywisty, stanowi naturalną część narracyjnej rozmowy – na przykład o trudnościach z kupieniem alkoholu w Boulder: „Sklepy monopolowe to gigantyczne koszmary wielkości hipermarketów. Próbując znaleźć alejkę z whisky, można zejść na delirium”. Dalej Berlin informuje, że „najlepsze jest Albuquerque, w którym sklepy monopolowe mają okienka *drive-thru*, więc nie musisz nawet wyskakiwać z piżamy”.

Tak jak w życiu, komizm pojawia się czasem w środku tragedii: młodsza siostra umierająca na raka szlocha: „Już nigdy nie zobaczę osiołków!”, i obie siostry w końcu śmieją się i śmieją, ale ten przejmujący wykrzyknik brzmi nam w uszach. Śmierć staje się ostateczna – nie ma już osiołków, nie ma tylu rzeczy.

Czy Berlin nauczyła się tak fantastycznie opowiadać historie od opowiadaczy, z którymi dorastała? Czy też ich szukała, bo zawsze ją pociągali i chciała się od nich uczyć? Bez wątplenia jedno i drugie. Miała też naturalne wycucie formy, struktury opowiadania. Naturalne? Mam na myśli to, że jej opowiadanie zawsze ma zrównoważoną, mocną strukturę, a jednocześnie przechodzi ze złudną naturalnością od jednego tematu do drugiego, a w niektórych tekstach od teraźniejszości do przeszłości, nawet wewnątrz jednego zdania, na przykład tutaj:

Mechanicznie wykonywałam kolejne czynności, odbierałam telefony, dzwoniłam po tlen i

laborantów, odpływając na ciepłych falach bazi, pachnącego groszku i pstrągowych stawów. Kopalniane wyciągi i świdry nocą, po pierwszym śniegu. Kwitnąca dzika marchew na tle gwiaździstego nieba.

Jeśli chodzi o to, jak rozwija się opowiadanie Berlin, Alastair Johnston zauważył: „Jej sposób pisania jest katartyczny, ale zamiast dążyć do epifanii, Berlin osiąga punkt kulminacyjny bardziej powściągliwie, pozwala czytelnikowi go wyczuć”. Jak pisała Gloria Frym w „American Book Review”, Berlin „nie zdradza wszystkiego, dochodzi do tej chwili i pozwala, by sama się odkryła”.

No i jej zakończenia. W tak wielu opowiadaniach wydarza się „wtem!” i koniec – jednocześnie zaskakujący i nieuchronny, naturalnie wynikający z materii opowieści. W *Mamie* młodsza siostra w końcu znajduje sposób, by porozumieć się z trudną matką, ale ostatnich kilka słów starszej siostry, narratorki, która mówi albo do siebie, albo do nas, zaskakuje czytelnika: „Ja... Ja nie mam litości”.

Jak rodzi się opowiadanie Lucii Berlin? Johnston być może zna odpowiedź: „Zaczynała od czegoś tak prostego jak linia szczęki lub żółta mimoza”. Sama Berlin mówiła: „Jednak obraz musi łączyć się z jakimś konkretnym, intensywnym doświadczeniem”. W liście do Augusta Kleinzahlera zdradziła, jak pisze: „Zaczynam, a potem jest tak, jakbym pisała do ciebie, tylko bardziej czytelnie...”. Jednocześnie jakaś część jej umysłu zawsze kontrolowała kształt i sekwencje wydarzeń w opowiadaniu oraz jego zakończenie.

Mówiła, że historia musi być prawdziwa – cokolwiek to dla niej znaczyło. Wydaje mi się, że to oznaczało: niewymuszona, nieprzypadkowa, niebezcelowa; trzeba ją głęboko odczuwać, musi być emocjonalnie ważna. Jednemu ze swoich uczniów powiedziała, że opowiadanie, które napisał, jest zbyt mądre – nie próbuj być mądry, dodała. Własne opowiadanie wypisała w gorącym metalu na maszynie linotypowej, a po trzech dniach wrzuciła wszystkie wiersze z powrotem do tygla, bo jak twierdziła, historia była „fałszywa”.

A co z trudnością (prawdziwego) materiału?

Milczenie to narracja o prawdziwych wydarzeniach, o których wspomina również Kleinzahlerowi w smutnym skrócie: „Walka z Nadzieją druzgocąca”. W opowiadaniu wuj narratorki, John, alkoholik, po pijaku wiezie samochodem małą siostrzenicę. Potrąca chłopca i psa, których rani, psa mocno, ale się nie zatrzymuje. O tym wypadku Lucia Berlin pisze do

Kleinzahlera: „Rozczarowanie, kiedy uderzył w tego dzieciaka i psa, było dla mnie okropne”. W fikcyjnej wersji tej historii pojawia się to samo wydarzenie i ten sam ból, ale również rodzaj rozwiązania. Narratorka zna wuja Johna w późniejszym okresie jego życia, kiedy szczęśliwie żonaty jest łagodnym, dobrym i niepijącym człowiekiem. Jej ostatnie słowa w opowiadaniu brzmią: „Wtedy rozumiałam już, dlaczego się nie zatrzymał, bo byłam już alkoholiczką”.

O radzeniu sobie z trudnym materiałem Berlin mówiła: „W jakiś sposób musi pojawić się niemal niezauważalna zmiana rzeczywistości. Przeobrażenie, nie przeinaczenie prawdy. Sama historia staje się prawdą, nie tylko dla autora, ale również dla czytelnika. W każdej dobrej prozie ekscytujące jest nie identyfikowanie się z sytuacją, ale świadomość prawdy”.

Przeobrażenie, nie przeinaczenie prawdy.

Znam prozę Lucii Berlin od ponad trzydziestu lat – od chwili, kiedy kupiłam cienki beżowy tom w miękkiej okładce wydany w roku 1981 przez fundację Turtle Island, zatytułowany *Angels Laundromat*. Kiedy ukazał się trzeci zbiór, znałam już autorkę osobiście, na odległość, choć nie pamiętam, jak do tego doszło. Na skrzydełku pięknego *Safe & Sound* (Poltroon Press, 1988) mam jej wpis. Nigdy jednak nie spotkałyśmy się twarzą w twarz.

Publikacje Berlin w końcu wyszły poza świat mniejszych wydawnictw do tych średnich, jak Black Sparrow, a później Godine. Jeden ze zbiorów zdobył American Book Award. Jednak mimo tej nagrody Berlin nie znalazła nawet wówczas tak szerokiego grona czytelników, jakie mieć powinna.

Zawsze myślałam, że w jednym z jej opowiadań pojawiają się matka i jej dzieci, które wczesną wiosną zbierają pierwsze dzikie szparagi, ale jak dotąd znalazłam ten motyw jedynie w kolejnym liście, który napisała do mnie w 2000 roku. Wcześniej wysłałam jej opis szparagów autorstwa Prousta. Odpowiedziała:

Jedyne, jakie kiedykolwiek widziałam, to te cienkie, dzikie, zielone jak kredka. W Nowym Meksyku, gdzie mieszkaliśmy, pod Albuquerque, nad rzeką. Któregoś dnia wiosną wyrastają pod topolami. Długie na jakieś piętnaście centymetrów, w sam raz, by je ułamać. Z moimi czterema synami zbieraliśmy całe tuziny, w dole rzeki była Babcia Price i jej chłopcy, a w górze rzeki wszyscy Waggonerowie. Kiedy miały dwa czy pięć centymetrów, nikt ich nie zauważał, musiały mieć idealną wysokość. Jeden z chłopców biegł i krzyczał „Szparagi!”, a u Price’ów i Waggonerów ktoś robił dokładnie to samo.

Zawsze wierzyłam, że najlepsi pisarze, jak śmietanka, prędzej czy później wyjdą na wierzch i staną się tak znani, jak być powinni – ich dzieła będą dyskutowane, cytowane, nauczane, wykonywane, filmowane, adaptowane na utwory muzyczne, umieszczane w antologiach. Może dzięki temu zbiorowi Lucia Berlin zacznie zdobywać uwagę, na jaką zasługuje.

Dla przyjemności i do zastanowienia się mogłabym zacytować niemal dowolne zdanie z opowiadań Lucii Berlin, ale na koniec jedno z moich ulubionych:

Czym w ogóle jest małżeństwo? Nigdy tego nie pojęłam. A teraz to śmierci nie rozumiem.

Stephen Emerson

Wstęp

Ptaki zjadły wszystkie nasiona malwy i ostróżki, które posiałam... siedzą teraz razem rzędkiem niczym w stołówce.

list do mnie z 21 maja 1995 roku

Lucia Berlin była najbliższą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałem. Była również jedną z najbardziej charakterystycznych pisarek, z jakimi się zetknąłem.

To o tym drugim fakcie chciałbym tutaj napisać. Niezwykłe życie – jego charakter, nieszczęścia i heroizm, jaki okazała, szczególnie w walce z bezwzględnym nałogiem alkoholowym – przywołane jest w nocie biograficznej na końcu książki.

Twórczość Lucii ma energię. Kiedy o niej myślę, czasami wyobrażam sobie mistrza perkusji poruszającego się za dużym instrumentem, uderzającego z wycuciem w zestaw werbli, bębnów i talerzy, jednocześnie naciskającego obiema stopami na pedały.

Nie chodzi o to, że to muzyka perkusyjna, ale że tak wiele się w niej dzieje.

To proza, która pazurami wydziera się ze stron. Żyje. Odśłania.

Dziwny mały samochód elektryczny, około 1950 roku: „Wyglądał jak każdy inny samochód, tyle że był bardzo duży i mały, jak ten z kreskówki, który wjechał w ścianę. Samochód, któremu włosy stanęły dęba”.

Samochód był duży i mały. W innym miejscu, przed pralnią samoobsługową Angela, do której przychodzą travellersi:

Brudne materace, zardzewiałe wysokie krzesła przywiązane do dachów poobijanych starych buicków. Ciekące miski olejowe, ciekące płócienne worki na wodę. Ciekące pralki. Półnaczy faceci siedzą w samochodach.

No i matka (ach, ta matka).

Ty zawsze ubierałaś się starannie. [...] Pończochy ze szwem. Brzoskwiniowa satynowa halka, którą celowo odrobinię odśłaniałaś, żeby te wieśniaczki wiedziały, że ją włożyłaś.

Szyfonowa sukienka z poduszkami, brosza z diamentkami. I twój płaszcz. Miałam pięć lat, ale już wtedy wiedziałam, że to zniszczony stary płaszcz. Kasztanowy, z brudnymi i wystrzępionymi kieszeniami, obdartymi rękawami.

W jej pisaniu jest radość. Cenna przyjemność, wcale niespotykana zbyt często. Na myśl przychodzą Balzac, Isaak Babel, García Márquez.

Kiedy proza jest tak ekspansywna jak u Berlin, jej wynikiem staje się celebrowanie świata. Z tej literatury emanuje radość ze świata. W tym pisaniu nieustannie pojawia się niepojęte – człowieka, miejsca, jedzenia, koloru, języka. Świat postrzegany jest w nieustannym ruchu, w całej swojej skłonności do zaskakiwania, a nawet przyjemności.

Nie ma to nic wspólnego z tym, czy autorka jest pesymistką, czy nie, ani z tym, czy przywoływane wydarzenia lub uczucia są radosne. Namacalność tego, co się nam pokazuje, to afirmacja.

Ludzie w samochodach wokół nas jedli rozmiełane rzeczy. Arbuzy, granaty, poobijane banany. Piwo z butelek strzelało na podsufitki, piana sphywała po bokach aut. Miałam ochotę posać pomarańczę. Jestem głodna, jęczałam. Pani Snowden to przewidziała. Ręką w rękawiczce podała mi figowe herbatniki opakowane w zapachową chusteczkę. Ciastko powiększyło się w moich ustach jak japońskie kwiaty.

Jeśli chodzi o tę „radość” – nie, nie jest wszechobecna. Tak, są tu opowiadania całkowicie posępne. Chodzi mi raczej o przeważający efekt.

Weźmy choćby *Przybłądy*. Zakończenie opowiadania jest wzruszające jak ballada Janis Joplin. Uzależniona dziewczyna, porzucona przez kochanka nieudacznika, kucharza i kuratora, idzie na terapię, uczęszcza na zajęcia grupowe i jest grzeczna. A potem ucieka. Furgonetką, razem ze starym oświetlaczem z ekipy telewizyjnej, jedzie w stronę miasta.

Dotarliśmy na wzniesienie, pod nami była szeroka dolina i Rio Grande, nad nami piękne góry Sandia.

– *Proszę pana, potrzebuję pieniędzy na bilet do domu, do Baton Rouge. Ma pan może sześćdziesiąt dolarów?*

– *Nie ma sprawy. Potrzebujesz biletu, ja muszę się napić. Wszystko da się załatwić.*

I tak jak ballada Janis Joplin, to zakończenie ma *melodię*.

Oczywiście prozę Lucii jednocześnie ożywia hałaśliwy humor. Dla tematu radości jest nieodzowny.

Przykład: humor w opowiadaniu 502, raporcie z jazdy po pijanemu – jazdy bez kierowcy. (Właścicielka auta śpi pijana w mieszkaniu, a zaparkowany samochód stacza się ze wzgórza). Znajomy pijak Mo mówi potem: „Dzięki Bogu, że nie było cię w środku, siostró. Pierwsze, co zrobiłem, to otwarłem drzwi i powiedziałem: Gdzież ona?”.

W innym opowiadaniu, o matce: „Nienawidziła dzieci. Raz odbierałam ją z lotniska, kiedy cała moja czwórka była mała. Wrzeszczała «Odwołaj je!», jakby były sforą dobermanów”.

Nic dziwnego, że czytelnicy prozy Berlin używają czasami określenia „czarny humor”. Ale ja widzę to inaczej. Jej humor był bardzo zabawny i Lucia nie miała ukrytych zamiarów. Céline i Nathanael West, Kafka – to inne terytorium. Zresztą humor Lucii jest pełen życia.

Za to jeśli jej proza ma jakiś sekretny składnik, to nagłość. Zmiana i zaskoczenie dają tym tekstom żywotność, znak firmowy sztuki Lucii.

Jej proza synkopuje i podskakuje, zmienia rytmy, zmienia temat. Tu kryje się iskra.

O prędkości w prozie nie słyszy się często. Z pewnością nie dość często.

Pantéon de Dolores Lucii to szeroko zakrojone opowiadanie o wielkiej emocjonalnej głębi. A jednak niesie w sobie również żywość. Wystarczy przeczytać fragment od słów „Ale nie słuchanie” i dalej, przez „z powodu zanieczyszczenia powietrza”.

Albo tu: „Mamo, widziałaś brzydotę i zło wszędzie, w każdym, wokoło. Byłaś szalona czy miałaś prorocze wizje?”.

Ostatnie opowiadanie, które napisała Lucia – *B.F. i ja* – jest niedługie. Nie ma impetu ani wielkiego tematu, nie ma dzieciobójstwa, szmuglerów, relacji matka – córka i godzenia się. W pewnym sensie to dlatego okazuje się tak wyjątkowe. Jest łagodne, ale szybkie.

Lucia przedstawia starego i schorowanego fachowca, który przychodzi położyć kafelki w jej przyczepie:

B.F. trzymał się ściany i poręczy, sapiąc i dysząc, choć wszedł tylko po trzech stopniach. Był ogromnym mężczyzną, wysokim, bardzo grubym i bardzo starym. Nawet kiedy jeszcze stał na zewnątrz, łąpiąc oddech, czułam jego zapach. Tytoń i brudna wełna, kwaśny pot alkoholika. Miał

przekrwione jasnoniebieskie oczy, które się uśmiechały. Od razu go polubiłam.

I to „od razu go polubiłam”. Niemal błąd logiczny. A w tym „niemal błędzie” kryje się prędkość. I inteligencja. (Jak wiele mówi nam to o „ja”).

Pisarzy takiego kalibru często rozpoznaje się po jednym zdaniu. Na przykład takim, z tego samego ostatniego opowiadania, wciąż w związku z B.F. i jego zapachem:

Smród bywa miły.

Kwintesencja Lucii Berlin. To takie banalne („miłe”), tak bliskie głupiego. Ale jest prawdziwe i głębokie. Poza tym zestawione ze zwykle wytwornym głosem wydaje się niemal prostoduszne, naiwne. I po części dlatego jest szybkie. Zmiana w tonie, a nawet w głosie, niespodziewanie przenosi nas na nowy teren.

To zdanie jest również sarkastyczne. (Jak smród może być miły?). Okazuje się, że sarkazm – gdy rzeczy znaczą więcej i co innego niż z pozoru – jest szybki.

Trzy słowa, pięć sylab.

O smrodzie B.F. – nie, nie może nazwać go smrodem. Odorem? Nie. Musi sięgnąć do slangu, by znaleźć określenie wystarczająco silne, ale wciąż neutralne, niekategoryzujące.

Sztynk. Co prowadzi nas do Prousta.

„Jego sztynk był dla mnie jak magdalenka”.

Któż inny oprócz Lucii Berlin mógłby to napisać? Sztynk jak magdalenka.

Wybieranie opowiadań do tego zbioru było przyjemnością pod wieloma względami. Odkryłem na przykład, że w ciągu tych lat od wydania ostatniej książki i od śmierci Lucii jej twórczość zyskała na znaczeniu.

Black Sparrow oraz jej pierwsi wydawcy dali dobry początek i z pewnością Lucia miała tysiąc czy dwa tysiące oddanych czytelników. Ale to zdecydowanie za mało. Jej twórczość docenią najbardziej wnikliwi odbiorcy, a przecież nie ma w niej nic ekskluzywnego. Wręcz przeciwnie, ona zachęca do czytania.

Jednak w owym czasie ograniczeń związanych z małymi wydawnictwami prawdopodobnie nie dało się uniknąć. Bo w końcu całe życie Lucii wydawało się raczej *inne*.

Cyganeria Zachodniego Wybrzeża, urzędnicy i pracownicy biurowi, samoobsługowe pralnie, „grupy”, sklepy z używanymi rzeczami i mieszkania jak tamta przyczepa stanowiły tło

dla większej części jej dorosłego życia (choć przez całe to życie zachowywała klasę i elegancję wyższych sfer).

I to właśnie „inność” nadawała jej twórczości tę wyjątkową siłę.

Z Boulder pisała do mnie (nawiązując do ostatniego, nieodłącznego już przyjaciela, butli z tlenem):

Bay Area, Nowy Jork i Mexico City – to jedyne miejsca, w których nie czułam się inna. Właśnie wróciłam z zakupów, wszyscy powtarzali, że życzą mi miłego dnia, i uśmiechali się na widok butli z tlenem, jakby to był pudel albo dziecko.

Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby nie chcieć jej przeczytać.

Instrukcja dla pań sprzątających

Pralnia u Angela

Wysoki stary Indianin w spranych lewisach, ozdobny pasek plemienia Zuni. Długie siwe włosy związane na karku malinową włóczką. Dziwne, że od jakiegoś roku zawsze byliśmy u Angela o tej samej porze. Ale nie zawsze zjawialiśmy się o tej samej godzinie. Przychodziłam na przykład w poniedziałek o siódmej albo w piątkowy wieczór o szóstej trzydzieści, a on już tam był.

Z panią Armitage było inaczej, choć ona również była stara. W pralni San Juan na Piętnastej, w Nowym Jorku. Portorykańczycy. Mydliny przelewające się na podłogę. Byłam wtedy młodą matką, w czwartkowe poranki prałam pieluchy. Ona mieszkała nad nami, w 4C. Któregoś ranka w pralni dała mi do siebie klucz, a ja go wzięłam. Powiedziała, że jeśli przestanę ją widywać w czwartki, to znaczy, że umarła, i czy mogłabym pójść znaleźć jej ciało. To okropne prosić o coś takiego, no i wtedy musiałam już robić pranie właśnie w czwartki.

Zmarła w jakiś poniedziałek, a ja nigdy nie wróciłam do San Juan. Znalazł ją dozorca. Nie wiem jak.

Przez wiele miesięcy u Angela Indianin i ja nie rozmawialiśmy, tylko siedzieliśmy obok siebie na złączonych żółtych plastikowych krzesłach, jak na lotnisku. Zgrzytały po podartym linoleum, aż bolały zęby.

Siadywał tam i popijał bourbona, patrząc na moje ręce. Nie wprost, ale w lustrze naprzeciwko, nad pralkami Speed Queen. Na początku mi to nie przeszkadzało. Stary Indianin gapiący się na moje ręce w brudnym lustrze, między pożółkłym PRASOWANIE \$1,50 / TUZIN a pomarańczowymi fluomodlitwami o pogodę ducha. BOŻE, DAJ MI POGODĘ DUCHA, BYM ZAAKCEPTOWAŁ TO, CZEGO NIE MOGĘ ZMIENIĆ. Potem jednak zaczęłam się zastanawiać, czy on ma coś z tymi rękami. Denerwowało mnie, kiedy patrzył, jak palę, smarkam, przeglądam stare gazety. Prezydentowa „Lady Bird” Johnson na rzeczonym splywie.

W końcu przyłapał mnie, jak patrzę na swoje dłonie. Widziałam, że ma ochotę uśmiechnąć się z zadowoleniem, bo przyłapał mnie na gapieniu się na własne ręce. Pierwszy raz nasze spojrzenia spotkały się w lustrze pod NIE PRZEPEŁNIAĆ PRALEK.

W moich oczach była panika. Spojrzałam w swoje oczy, a potem w dół na swoje ręce. Okropne plamy wątrobowe, dwie blizny. Nieindiańskie, nerwowe, samotne ręce. Widziałam w nich dzieci i mężczyzn i ogrody.

Jego ręce tamtego dnia (kiedy ja zauważyłam swoje) leżały na napiętych niebieskich udach. Zazwyczaj te ręce bardzo się trzęsły, a on pozwalał, by trzęsły się na jego kolanach, ale tamtego dnia trzymał je nieruchomo. Ceglaste zwykle knykcie zrobiły się białe od wysiłku.

Poza pralnią rozmawiałam z panią Armitage tylko raz, kiedy zapchała się jej toaleta i lało się przez żyrandol do mojego mieszkania. Żarówki jeszcze się paliły i woda chlapała przez nie, tworząc małe tęcze. Sąsiadka złapała mnie za ramię zimną umierającą dłonią i powiedziała:

– To cud, prawda?

Miał na imię Tony. Był Apaczem Jicarilla z Północy. Któregoś dnia go nie dostrzegłam, ale wiedziałam, że to jego piękna dłoń leży na moim ramieniu. Dał mi trzy dziesięciocentówki. Nie rozumiałam, chciałam podziękować, ale potem zobaczyłam, że cały dygocze i nie jest w stanie włączyć suszarki. Na trzeźwo trudno. Trzeba jedną ręką obrócić strzałkę, drugą wrzucić monetę, wcisnąć guzik, a potem obrócić strzałkę z powrotem na drugą dziesięciocentówkę.

Wrócił później, pijany, kiedy jego ubrania zaczynały już wiotczeć i wysychać. Nie dał rady otworzyć drzwiczek, zemdłał na żółtym krześle. Moje ubrania wyschły, składałam.

Angel i ja położyliśmy Tony'ego na podłodze w prasowni. Gorąco. Angel jest odpowiedzialny za te wszystkie modlitwy AA i motta. NIE MYŚL I NIE PIJ. Angel położył zimną mokrą skarpetkę na głowie Tony'ego i ukląkł obok niego.

– Bracie, uwierz... Też to przeszedłem... w tym samym rynsztoku, w którym siedzisz. Wiem, co czujesz.

Tony nie otwierał oczu. Jeśli ktoś mówi, że wie, jak się czujesz, to jest głupcem.

Pralnia Angela znajduje się w Albuquerque, w Nowym Meksyku. Na Czwartej. Podłe sklepiki i składy złomu, sklepy z używanymi rzeczami, w nich połowe łóżka, kartony pojedynczych skarpetek, egzemplarze *Porządnej higieny* z 1940 roku. Silosy i motele dla kochanków i pijaków, stare kobiety z włosami zafarbowanymi henną, robiące pranie u Angela. Do Angela chodzą też nastoletnie żony Chicana¹. Ręczniki, różowe krótkie koszulki nocne, majtki z napisem „czwartek”. Ich mężowie noszą niebieskie kombinezony z imionami wypisanymi na kieszeniach z przodu. Lubię czekać, aż te imiona pokażą się w szkle suszarek. „Tina”, „Corky”, „Junior”.

Do Angela chodzą travellersi. Brudne materace, zardzewiałe wysokie krzesła przywiązane do dachów poobijanych starych buicków. Ciekące miski olejowe, ciekące płócienne worki na wodę. Ciekące pralki. Półnaczy faceci siedzą w samochodach, zginiatają

puste puszki po piwie.

Ale do Angela chodzą przede wszystkim Indianie. Indianie z puebli w San Felipe i Lagunie i Sandii. Tony był jedynym Apaczem, jakiego kiedykolwiek poznałam, w pralni i w ogóle. Lubię mrużyć oczy i patrzeć na suszarki pełne indiańskich ubrań rozmazujących się w piękne wirujące fiolety i pomarańcze i czerwienie i róże.

Ja też piorę u Angela. Nie jestem pewna dlaczego, nie chodzi tylko o Indian. Jego pralnia jest po drugiej stronie miasta. Pod domem mam przecież Campus, z klimatyzacją, spokojną rockową muzyką z głośników. „New Yorker”, „Ms.” i „Cosmopolitan”. Tam chodzą żony wykładowców i kupują swoim dzieciom batony czy colę. Pralnia Campus jak większość ma napis: ZAKAZ FARBOWANIA. Zjechałam całe miasto z moją zieloną narzutą, aż trafiłam do Angela z jego żółtym napisem TU MŻESZ FARBOWAĆ.

Widziałam, że kapa nie robi się ciemnofioletowa, tylko ciemnobłotnistozielona, ale i tak chciałam wrócić. Lubiłam Indian i ich pranie. Zepsuty automat z colą i zalana podłoga przypominały mi Nowy Jork. Portorykańczycy z mopem, z mopem. Telefon w budce zawsze zepsuty, jak u Angela. Czy poszłabym znaleźć ciało pani Armitage w któryś czwartek?

– Jestem wodzem mojego plemienia – oznajmił Indianin. Siedział, popijając porto i patrząc na moje ręce.

Powiedział mi, że jego żona jest sprzątaczką. Mieli czterech synów. Najmłodszy popełnił samobójstwo, najstarszy zginął w Wietnamie. Dwoch pozostałych kierowało szkolnymi autobusami.

– Wiesz, dlaczego cię lubię? – zapytał.

– Nie, dlaczego?

– Bo jesteś czerwonoskóra. – Pokazał na moją twarz w lustrze.

Rzeczywiście mam czerwoną skórę i nie, nigdy nie widziałam czerwonoskórego Indianina.

Podobało mu się moje imię, wymawiał je z włoska. *Lu-czi-ja*. W czasie drugiej wojny stacjonował we Włoszech. Rzeczywiście, obok pięknych srebrnych i turkusowych naszyjników miał nieśmiertelnik. Z dużym wgłębieniem. – Kula? – Nie, kiedy się bał albo podniecał, miał zwyczaj go żuć.

Kiedyś zaproponował, żebyśmy położyli się w jego kamperze i razem zlegli.

– Eskimosi mówią na to śmiać się razem. – Wskazałam na fluolimankowy napis: NIE

ZOSTAWIAĆ PRALEK BEZ NADZORU.

Oboje zachichotaliśmy, śmialiśmy się na tych połączonych plastikowych krzesłach. Potem siedzieliśmy w milczeniu. Tylko dźwięk przepływającej wody, rytmiczny jak fale oceanu. Jego ręka Buddy trzymała moją.

Przejechał jakiś pociąg. Tony mnie trącił.

– Wspaniały wielki żelazny koń! – I znowu zaczęliśmy chichotać.

Mam w sobie wiele bezpodstawnych uogólnień na temat ludzi, na przykład że wszyscy czarni muszą lubić Charliego Parkera. Niemcy są okropni, Indianie mają dziwaczne poczucie humoru, jak moja matka. Jej ulubionym dowcipem jest ten o facecie, który zgina się, żeby zawiązać but, podchodzi drugi, okłada go i mówi: „Ciągłe pan wiąże ten but!”. Albo o kelnerze, który rozlewa fasolę na czyjeś kolana i mówi: „Och, wymsknęło mi się”. Tony powtarzał mi je w spokojne dni w pralni.

Kiedys był bardzo pijany, na wredno, i wdał się na parkingu w bójkę z kolesiami z Oklahomy. Buchnęli mu butelkę. Angel obiecał, że kupi Tony’emu małpkę, jeśli posłucha go w prasowalni. Przenosiłam swoje rzeczy z pralki do suszarki, a Angel rozmawiał z Tonym o Jednym Kroku Naraz.

Kiedy Tony wrócił, wcisnął mi w dłoń swoje dziesięciocentówki. Włożyłam jego ubrania do suszarki, on męczył się z nakrętką. Zanim zdążyłam usiąść, wrzasnął na mnie:

– Jestem wodzem! Jestem wodzem Apaczów! Pierdołę!

– Pierdol się, wodzu.

Siedział tam, pił i patrzył na moje dłonie w lustrze.

– To dlaczego robisz Apaczom pranie?

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. To było okropne. Może myślałam, że się roześmieje. Roześmiał się.

– Z jakiego plemienia jesteś, czerwonoskóra? – zapytał, patrząc na moje ręce wyjmujące papierosa.

– Wiesz, że pierwszą fajkę odpalił mi książę? Uwierzysz?

– Pewnie, że wierzę. Chcesz ognia? – Zapalił mi papierosa i uśmiechnęliśmy się do siebie. Byliśmy bardzo blisko i wtedy on zemdlał, a ja zostałam w lustrze sama.

Była tam jeszcze jakaś młoda dziewczyna, nie w lustrze, siedziała przy oknie. Skręcone od wilgoci włosy, wiotka jak z Botticellego. Przeczytałam wszystkie napisy. BÓG DAŁ MI

ODWAGĘ. NOWA KOŁYSKA NIEUŻYWANA DZIECKO ZMARŁO.

Dziewczyna włożyła swoje rzeczy do turkusowego koszyka i wyszła. Przełożyłam swoje na stół, sprawdziłam ubrania Tony'ego i włożyłam kolejną dziesięciocentówkę. Byłam u Angela sama z Tonym. Spojrzałam na swoje ręce i oczy w lustrze. Ładne niebieskie oczy.

Byłam kiedyś na jachcie niedaleko Viña del Mar. Mojego pierwszego papierosa wysepiłam i poprosiłam księcia Aly Khana o ogień. *Enchanté* – powiedział. Niestety nie miał zapałki.

Złożyłam swoje pranie i gdy Angel wrócił, poszłam do domu.

Nie pamiętam, kiedy zdałam sobie sprawę, że już nigdy potem nie widziałam tego starego Indianina.

Dr H.A. Moynihan

Nienawidziłam Świętego Józefa. Przeraziły mnie zakonnice, więc pewnego gorącego teksańskiego dnia uderzyłam siostrę Cecylię i zostałam wydalona. Za karę musiałam przez całe wakacje codziennie pracować w gabinecie dentystycznym dziadka. Ale wiedziałam, że tak naprawdę to po prostu nie chcieli, żebym bawiła się z dziećmi sąsiadów, Meksykanami i Syryjczykami. Czarnych nie było, ale to tylko kwestia czasu, mówiła matka.

Jestem pewna, że chcieli mi też oszczędzić umierania Mamie, jej jęków, modlących się przyjaciółek, smrodu i much. W nocy dzięki morfinie odpływała, a moja matka i dziadek pili każde w swoim pokoju. Z ganku, na którym spałam, słyszałam gulgotanie dwóch butelek bourbona.

Przez całe lato dziadek rzadko się do mnie odzywał. Sterylizowałam i rozkładałam jego narzędzia, wiązałam serwety na szyjach pacjentów, podawałam płyn do płukania ust i kazałam spluwać. Kiedy nie było pacjentów, dziadek szedł do pracowni robić protezy albo do gabinetu wyklejać. Do obu tych miejsc nie mogłam wchodzić. Wyklejał Erniego Pyle'a i Roosevelta; miał osobne albumy do wojny japońskiej i niemieckiej. Miał albumy o zbrodniach i o Teksasie i o dziwacznych wypadkach: facet wpada w szal i wyrzuca arbusz z drugiego piętra. Owoc trafia w głowę żonę faceta, zabija ją, odbija się, zabija dziecko w wózku, ale nawet nie pęka.

Dziadka nienawidzili chyba wszyscy oprócz Mamie i mnie. Co wieczór upijał się i robił się wredny. Był okrutny, zajadły i dumny. W trakcie jakiejś kłótni strzelił w oko wujowi Johnowi, moją matkę zawstydział i upokarzał przez całe jej życie. Nie rozmawiała z nim, nawet się nie zbliżała, bo był obrzydliwy, jadł jak świnia i pluł, wszędzie zostawiał mokre papierosy. Gips z odcisków pokrywał go białymi plamkami, jak malarza albo pomnik.

Był najlepszym dentystą w zachodnim Teksasie, może w całym Teksasie. Wielu tak mówiło, więc wierzyłam. Nieprawda, że jego pacjentami były tylko stare pijaczyny i przyjaciółki Mamie, jak twierdziła mama. Eleganccy panowie przyjeżdżali nawet z Dallas i Houston, bo dziadek robił takie piękne sztuczne szczęki. Jego sztuczne szczęki nie ślizgały się i nie świszcząły i wyglądały jak absolutnie prawdziwe zęby. Wynalazł tajemny sposób, by je odpowiednio barwić, czasami nawet wyszczerbiał albo żółcił, dodawał plomby i koronki.

Nikogo nie wpuszczał do swojej pracowni – tylko strażaków, tamten jeden raz. Nie sprzątał w niej od czterdziestu lat. Weszłam tam, kiedy poszedł do toalety. Okna były czarne od

brudu, gipsu i wosku. Jedyne światło pochodziło z dwóch migoczących palników Bunsena. Gips wysypywał się z wielkich worków opartych o ściany na podłogę pełną kawałków popękanych odcisków i słoików z pojedynczymi zębami. Grube różowe i białe kawały wosku wisały na ścianach i zbierały pajęczyny. Półki pełne były zardzewiałych narzędzi i rzędów szczęk, w uśmiechu albo do góry nogami, skrzywionych jak teatralne maski. Dziadek podśpiewywał, kiedy pracował, a na wpół wypalone papierosy często podpalały kawały wosku albo papierki po batonach. Zalewał wtedy ogień kawał, plamiąc miękką od gipsu podłogę na czekoladowy brąz.

Pracownia otwierała się na niewielkie biuro z sekretarzykiem, przy którym dziadek wyklejał albumy i wypisywał czeki. Pisał swoje nazwisko, a potem zawsze naciskał pióro, pryskając czernią na litery i czasami zamazując kwotę, więc bank dzwonił, by ją potwierdzić.

Między pomieszczeniem, w którym przyjmował pacjentów, a poczekalnią nie było drzwi. Kiedy pracował, odwracał się, by porozmawiać z ludźmi w poczekalni, i wymachiwał wiertłem. Po ekstrakcji pacjenci odpoczywali na szezlongu, reszta siedziała na parapetach albo kaloryferach. Czasami ktoś siadał w budce telefonicznej, dużej drewnianej kabinie z aparatem, wiatrakiem i napisem: „Nigdy nie spotkałem człowieka, którego bym nie lubił”.

Gazet nie było. Jeśli ktoś jakąś przyniósł i zostawił, dziadek ją wyrzucał. Zdaniem matki tylko po to, żeby się wyróżnić. On mówił, że ludzie przewracający strony doprowadzają go do szału.

Jeśli pacjenci nie siedzieli, snuli się po pokoju i bawili przedmiotami stojącymi na dwóch kasach pancernych. Posążki Buddy, czaszki ze sztucznymi zębami do otwierania i zamykania, węże kłuszące, gdy pociągnąć je za ogon, śnieżne kule. Na suficie wisiał napis CZEGO SIĘ GAPISZ DO CHOLERY? W sejfach znajdowało się złoto i srebro na plomby, stopy pieniędzy i butelki Jacka Danielsa.

Na wszystkich oknach wychodzących na główną ulicę El Paso dużymi złotymi literami napisano: „Dr H.A. Moynihan. Nie pracuję dla czarnych”. Napisy odbijały się w lustrach wiszących na pozostałych trzech ścianach. To samo widniało na drzwiach na korytarz. Na wszelki wypadek nie siadałam naprzeciwko tych drzwi, bo bałam się, że czarni przyjdą i zajrzą mimo napisu. Nigdy jednak nie widziałam w Caples Building czarnego, oprócz windziarza Jima.

Kiedy ktoś dzwonił, by umówić się na wizytę, dziadek kazał mi informować, że nie przyjmuje nowych pacjentów, więc lato mijało, a on miał coraz mniej roboty. W końcu tuż przed śmiercią Mamie nie było już żadnych pacjentów. Dziadek siedział zamknięty w pracowni albo w

gabinecie. Ja czasami chodziłam na dach. Widziałam stamtąd Juárez i całe centrum El Paso. Wybierałam sobie z tłumu jedną osobę i wodziłam za nią oczami, dopóki nie zniknęła. Ale najczęściej siedziałam w środku na kaloryferze i wyglądałam na Yandell Drive. Całe godziny spędzałam na odkodowywaniu listów od korespondencyjnych znajomych z grupy Kapitana Marvela, ale to było naprawdę nudne; A zawsze zamienione na Z, B na Y itd.

Noce były długie i gorące. Przyjaciółki Mamie zostawały, nawet kiedy ona spała, czytały Biblię, czasami śpiewały. Dziadek wychodził, do klubu Elks albo do Juárez. Taksówkarz pomagał mu potem wejść po schodkach. Moja matka szła na brydża, tak mówiła, ale też wracała do domu pijana. Meksykańskie dzieci do późna bawiły się na dworze. Z ganku patrzyłam na te dziewczynki. Grały w kamyki, kucając na betonie pod latarnią. Bardzo chciałam z nimi grać. Dźwięk kamyków był dla mnie jak magia, ich szelest jak miotełka na bębnie albo jak deszcz, kiedy podmucha wiatru rzuca kroplami o szybę.

Któregoś ranka było jeszcze ciemno, kiedy dziadek mnie zbudził. W niedzielę. Ubierałam się, a on wzywał taksówkę. Żeby to zrobić, poprosił centralę o połączenie, a gdy ktoś odebrał, zapytał: „Mogę transporcik?”. Nie odpowiedział, kiedy kierowca pytał, dlaczego jedziemy do gabinetu w niedzielę. W korytarzu było ciemno i strasznie. Karaluchy tłoczyły się na kafelkach, gazety szczyrzyły się pomiędzy kratownicowych półek. Dziadek obsługiwał windę, nerwowo podjeżdżając, zjeżdżając, potem znowu w górę, aż w końcu zatrzymaliśmy się ponad piątym piętrem i zeskoczyliśmy. Gdy stanęliśmy, zrobiło się bardzo cicho. Słychać było tylko kościelne dzwony i trolejbus do Juárez.

Na początku za bardzo się bałam, żeby wejść za nim do pracowni, ale wciągnął mnie do środka. Było ciemno jak w kinie. Zapalił sapiące palniki Bunsena. Wciąż nie widziałam, nie wiedziałam, czego ode mnie chce. Zdjął z półki sztuczną szczękę i przysunął ją do płomienia na marmurowym bloku. Potrząsnęłam głową.

– Patrz na nie. – Szeroko otworzył usta, a ja patrzyłam to na jego zęby, to na sztuczną szczękę.

– Są twoje! – powiedziałam.

Sztuczne zęby były idealną repliką tych prawdziwych, nawet dziąsła we wstrętnym kolorze chorego bladego różu. Zęby miały wypełnienia, pęknięcia, niektóre były wyszczerbione i zdarte. Dziadek zmienił tylko jeden ząb, ten z przodu, na który wcześniej nałożył złotą koronę. Dzięki temu to jest dzieło sztuki, powiedział.

– Jak zrobiłeś te wszystkie kolory?

– Diabelnie dobre, co? Cóż... czy to moje arcydzieło?

– Tak. – Uścisnęłam mu dłoń. Cieszyłam się, że tam jestem. – Jak je dopasujesz? – zapytałam. – Będą dobre?

Zwykle wyrывał wszystkie zęby, czekał, aż się wygoi, a potem robił odcisk nagiego dziąsła.

– Niektórzy z tych nowych tak robią. Bierzesz odcisk, zanim wyrwiesz zęby, potem robisz protezę i zakładasz ją, zanim dziąsła zdążą się skurczyć.

– A kiedy wyrwiesz sobie zęby?

– Zaraz. Zrobimy to razem. Przygotuj wszystko.

Włączyłam zardzewiały sterylizator. Sznur był postrzępiony i iskrzył. Dziadek ruszył w jego stronę.

– Daj spokój z tym...

Zatrzymałam go.

– Nie. Muszą być sterylne.

Zaśmiał się.

Postawił na tacy butelkę whisky i położył papierosy, zapalił jednego i napełnił papierowy kubek jackiem danielsem. Usiadł w fotelu. Poprawiłam lampę, zawiązałam dziadkowi serwetę pod brodą i podsunęłam krzesło w górę i do tyłu.

– Rany, pewnie wielu twoich pacjentów chciałoby być na moim miejscu.

– Gotuje się już?

– Nie. – Nalałam do kilku papierowych kubków płyn antyseptyczny i wyjęłam słoik soli trzeźwiących. – A jeśli zemdlejesz?

– To dobrze. Wtedy je wyrwiesz. Złap tak głęboko, jak się da, przekręcaj i ciągnij jednocześnie. Daj się napić.

Podaliśmy mu kubek z płynem odkażającym.

– Mądrała.

Nalałam mu whisky.

– Twoi pacjenci nie dostają.

– To moi pacjenci, nie twoi.

– Dobra, gotuje się.

Odcedziłam płyn odkażający do spluwaczki, rozłożyłam ręcznik. Używając drugiego, rozłożyłam instrumenty łukiem na tacy nad piersią dziadka.

– Przytrzymaj mi to małe lustro – powiedział i ujął obcęgi.

Stałam na podnóżku między jego kolanami, żeby trzymać lustro jak najbliżej. Pierwsze trzy zęby wyszły łatwo. Dziadek podał mi je, żebym wrzuciła do beczki pod ścianą. Z siekaczami było trudniej, szczególnie z jednym. Dziadek dławił się przez chwilę, korzeń wciąż tkwił w dziąśle. Dziadek wydał zabawny dźwięk i wcisnął mi obcęgi w dłoń.

– Bierz!

Pociągnęłam.

– Nożyczki, głupia!

Usiadłam na metalowej płycie między jego stopami.

– Chwileczkę, dziadku.

Sięgnął nade mną po butelkę, napił się, potem wziął z tacy jakieś inne narzędzie. Bez lustra zaczął się zmagać z resztką dolnego zęba. Słyszałam dźwięk wyciąganych korzeni, jakby ktoś wyrwał drzewa z zamrożonej ziemi. Krew kapła na tacę, kap, kap, i na metal, na którym siedziałam.

Dziadek zaczął się śmiać jak szalony. Przewrócił się na mnie. Przestraszona podskoczyłam tak gwałtownie, że odepchnęłam go z powrotem na przechylony fotel.

– Wyrrywaj! – sapnął.

Bałam się i próbowałam szybko zdecydować, czy jeśli je wyrwę i on umrze, to będzie morderstwo.

– Wyrrywaj! – Splunął na brodę rzadkim czerwonym wodospadem.

Nacisnęłam pedał, odsuwając fotel na jego wcześniejsze miejsce. Dziadek zwiotczał, chyba nie czuł, że przekręcam tylne górne zęby na bok i je wyciągam. Zemdlał, usta zamykały mu się jak szare skorupy małży. Otworzyłam je i wsunęłam z jednej strony papierowy ręcznik, żeby wyrwać trzy pozostałe tylne zęby.

Wyszły wszystkie. Próbowałam pedałem opuścić oparcie, ale nadepnięciem niewłaściwy i fotel zaczął się obracać, z ust dziadka na podłogę spadały krwawe kółka. Odczekałam, aż skrzypiący fotel powoli się zatrzyma. Potrzebowałam torebek z herbatą, dziadek kazał pacjentom je zagryzać, żeby powstrzymać krwawienie. Wyciągałam kolejne szuflady Mamie: talk, obrazki z modlitwami, dziękuję za kwiaty. Herbata leżała w pudełku za kuchenką.

Ręcznik w ustach dziadka był już szkarłatny. Rzuciłam go na podłogę, wsadziłam między szczęki garść torebek i zacisnęłam. Wrzasnęłam. Bez zębów twarz wyglądała jak czaszka, białe kości nad jasnoczerwoną szyją. Straszny potwór, żywy imbryk, żółto-czarne etykiety Liptona wiszące jak świąteczne ozdoby. Pobiegłam zadzwonić do matki. Nie miałam pięciocentówki. Nie mogłam ruszyć dziadka i dostać się do jego kieszeni. Zesikał się w spodnie; mocz kapał na podłogę. Krwawa bańka pojawiała się i pękała w jednym nozdrzu.

Zadzwonił telefon. Moja matka. Płakała. Pieczeń, miły niedzielny obiad. Nawet ogórki z cebulą, jak u Mamie.

– Pomocy! Dziadek! – zawołałam i odłożyłam słuchawkę.

Zwymiotował. No dobra, pomyślałam, a potem zachichotałam, bo co za głupota myśleć no dobra. Rzuciłam torebki z herbatą na zaśmieconą podłogę, zmoczyłam kilka ręczników i obmyłam dziadkowi twarz. Otworzyłam sole trzeźwiące pod jego nosem, sama je powąchałam i się wzdrygnęłam.

– Moje zęby! – wrzasnął.

– Nie ma! – zawołałam jak do dziecka. – Wszystkie wyrwane!

– Te nowe, głupia!

Poszłam po nie. Znałam je, wyglądały dokładnie tak jak przedtem usta dziadka w środku. Sięgnął po nie niczym żebrak z Juárez, ale za bardzo trzęsły mu się ręce.

– Włożę je. Najpierw przepłuczę.

Podaliśmy mu płyn do ust. Przepłukał i splunął, nie podnosząc głowy. Polałam szczękę wodą utlenioną i włożyłam na miejsce.

– Hej, spójrz! – Podniosłam lustro Mamie w kościanej oprawie.

– Ech, do diaska! – Zaśmiał się.

– Arcydzielo, dziadku! – Zaśmiałam się również i ucałowałam go w spoconą głowę.

– O mój Boże. – Moja matka wrzasnęła i ruszyła ku nam z wyciągniętymi rękami.

Poślizgnęła się na krwi i wpadła w becзки z zębami. Przytrzymała się, łapiąc równowagę.

– Popatrz na jego zęby, mamó.

Nawet nie zauważyła. Nie dostrzegała różnicy. Dziadek nalał jej jacka danielsa. Wzięła kubek, nieprzytomnie uniosła jak w toaście i wypila.

– Jesteś szalony, tato. On jest szalony. Skąd się wzięły te wszystkie torebki z herbatą?

Kiedy koszula dziadka odklejała się od ciała, słychać było dźwięk zaschniętego materiału.

Pomogłam mu umyć pierś i pomarszczony brzuch. Sama także się umyłam i włożyłam koronkowy sweter Mamie. Oboje pili w milczeniu, kiedy czekaliśmy na taksówkę. Sprowadziłam windę na dół, zatrzymując ją całkiem blisko dna szybu. Kiedy wróciliśmy do domu, kierowca pomógł dziadkowi wejść po schodach. Dziadek zatrzymał się potem pod drzwiami Mamie, ale spała.

W łóżku również zasnął, szczerząc zęby jak Bela Lugosi. Na pewno go bolało.

- Dobrze się spisał – powiedziała matka.
- Już go nie nienawidzisz, mamo, prawda?
- Ależ tak – odparła. – Nienawidzę.

Gwiazdki i święci

Moment. Pozwólcie, że wyjaśnię...

Przez całe życie wpadam w takie sytuacje jak owego ranka z psychiatrą. Mieszkał w domku za moim, kiedy jego nowy dom remontowano. Naprawdę miły człowiek, w dodatku przystojny, a ja oczywiście chciałam zrobić dobre wrażenie, zaniósłabym mu brownie, ale nie chciałam, żeby uznał mnie za namolną. Któregoś ranka o świcie jak zawsze piłam kawę i wyglądałam przez okno na ogród, wtedy naprawdę piękny, pachnący groszek i ostróżki i kosmosy. Czulałam się... cóż, bardzo radosna... Dlaczego waham się wam o tym powiedzieć? Nie chcę, byście pomyśleli, że jestem cikliwa, chcę zrobić dobre wrażenie. W każdym razie byłam szczęśliwa, rzuciłam ptakom garść nasion i usiadłam na tarasie, uśmiechając się do siebie, kiedy tuziny gołębi i zięb zleciały się na posiłek. A potem nagle na taras wskoczyły dwa wielkie koty, zaczęły atakować ptaki, latały pióra i dokładnie w tej chwili psychiatra wyszedł z domku. Spojrzał na mnie przerażony, powiedział: „Okropność!”, i uciekł. Po tamtym poranku mnie unikał i wcale mi się nie wydawało. Nie miałam jak wyjaśnić, że wszystko wydarzyło się bardzo szybko i że wcale nie uśmiechałam się na widok kotów pożerających ptaki. Po prostu moja radość z pachnącego groszku i zięb nie miała czasu zniknąć.

Odkąd pamiętam, zawsze robiłam bardzo złe pierwsze wrażenie. Jak wtedy w Montanie, kiedy próbowałam tylko zmusić Kenta Shreve'a do zdjęcia skarpet, żebyśmy mogli pójść bosy, ale on miał je przyczepione do kalesonów. Tak naprawdę jednak chcę opowiedzieć o szkole Świętego Józefa. Psychiatrzy bowiem (proszę, nie zrozumcie mnie źle, nie mam obsesji na punkcie psychiatrów ani nic podobnego) – wydaje mi się, że psychiatrzy zdecydowanie za bardzo skupiają się na scenie pierwotnej czy preedypalnym odstawieniu, ignorując traumę podstawówki i innych dzieci, okrutnych i bezwzględnych.

Nie będę nawet wspominać o tym, co wydarzyło się w Vilas, pierwszej szkole, do której poszłam w El Paso. To była jedna wielka pomyłka. I tak dwa miesiące po rozpoczęciu trzeciej klasy znalazłam się na podwórku przed Świętym Józefem. Moją nową szkołą. Potwornie przerażona. Zdawało mi się, że pomoże noszenie mundurka. Tyle że ja nosiłam jeszcze na plecach ciężki metalowy gorset na skrzywienie kręgosłupa, który – spójrzmy prawdzie w oczy – wyglądał jak garb, musiałam więc mieć dużo za duże białą bluzkę i plisowaną spódnicę, by pasowały, a moja matka oczywiście nie pomyślała, żeby chociaż tę spódnicę podwinąć.

Kolejna wielka pomyłka. Kilka miesięcy później dyżur na korytarzu miała siostra Mercedes. Młoda urocza zakonnica, która chyba przeżyła jakiś tragiczny romans. Pewnie on zginął na wojnie, był bombardierem. Kiedy mijaliśmy siostrę, idąc w parach, dotknęła mojego garbu i wyszeptała: „Drogie dziecko, ależ krzyż musisz nosić”. Skąd mogła wtedy wiedzieć, że byłam już religijną fanatyczką, a te jej niewinne słowa tylko przekonają mnie, że w istocie mam połączenie z naszym Zbawcą?

(Och, no i matki. Któregoś dnia do autobusu wsiadła kobieta z małym synkiem. Zmęczona pracująca matka, która odebrała dziecko z przedszkola, ale cieszyła się na jego widok, pytała, jak minął mu dzień. Opowiadał o wszystkim, co robił. „Jesteś taki wyjątkowy!” – powiedziała, przytulając go. „Wyjątkowy to znaczy ułom!” – odparł chłopiec. Miał łzy w oczach i siedział tam na śmierć przerażony, podczas gdy matka dalej się uśmiechała, jak ja wtedy z ptakami).

Tamtego dnia na placu zabaw wiedziałam, że nigdy się nie wpasuję. Nawet nie dopasuję – nie wpasuję. W jednym kącie dwie dziewczynki obracały ciężką skakanką, a inne, urocze i rumiane, jedna po drugiej wskakiwały z kolejki pod skakankę, hop, hop, wyskok i z powrotem do rzędu w odpowiednim momencie. Klep, klep, żadna nie wypadła z rytmu. Na środku placu stała huśtawka z okrągłym siedziskiem, które obracało się szaleńczo jak karuzela i nigdy nie zatrzymywało, ale dzieci wskakiwały na nie ze śmiechem i zeskakiwały, nie... nie tylko nie spadając, ale nawet bez zmiany tempa. Wszędzie dokoła mnie na placu zabaw panowały symetria, synchroniczność. Dwie zakonnice, jednakowo stukające różańcami, ich czyste twarze jednocześnie kiwające na dzieci. Kamyki. Piłka odbijająca się miarowo na betonie, tuzin kamyków wyrzucanych w powietrze i łapanych jednocześnie wygięciem drobnego nadgarstka. Klap klap klap, inne dziewczynki grające w skomplikowane klaskane gry. Raz rybki w morzu brały ślub. Klap klap. Snułam się tam nie tylko niedopasowana, ale wręcz niewidzialna, jednocześnie przekleństwo i błogosławieństwo. Uciekłam za róg, skąd słyszałam hałasy i śmiech dochodzące ze szkolnej kuchni. Tam mogłam się schować przed placem zabaw, znajome dźwięki mnie uspokajały. Ale tam również nie wolno mi było wchodzić. Nagle rozległy się krzyki i piski, któraś zakonnica mówiła: „Nie mogę, po prostu nie mogę”, i wtedy wiedziałam, że już wolno mi tam wejść, bo to, czego ona nie mogła, to wyjąć martwych myszy z pułapek. „Ja to zrobię”, powiedziałam. A zakonnice były tak zadowolone, że nie czepiały się, że jestem w kuchni, tylko jedna z nich wyszeptała do drugiej: „Protestantka”.

I tak się zaczęło. Dały mi jeszcze wtedy herbatnik z masłem, gorący i pyszny. Oczywiście jadłam wcześniej śniadanie, ale był taki pyszny, że pochłonęłam go i dały mi drugi. Potem codziennie w zamian za opróżnianie i ustawianie dwóch czy trzech pułapek dostawałam nie tylko ciastka, ale również medalik ze świętym Krzysztofem, który później wymieniałam na żeton lunchowy. Oszczędziło mi to wstydu przed rozpoczęciem lekcji, kiedy trzeba się było ustawić do wymiany dziesięciocentówki na medaliki wykorzystywane na lunch.

Z powodu gorsetu mogłam zostawać w klasie w trakcie przerwy i wuefu. Trudne były tylko poranki, bo autobus przyjeżdżał jeszcze przed otwarciem szkoły. Próbowałam się zmusić i zaprzyjaźnić z dziewczynkami z klasy, rozmawiać z nimi, ale to było zupełnie bez sensu. One, wszystkie katoliczki, znały się od przedszkola. Muszę przyznać, że były miłymi, normalnymi dziećmi. Ja często opuszczałam szkołę, więc byłam dużo starsza i przed wojną mieszkalam tylko w odległych osadach górniczych. Nie potrafiłam pytać: „Jak znajdujesz lekcje o belgijskim Kongu?” ani „Jakie masz hobby?”. Zamiast tego doskakiwałam do nich i wyrzucałam z siebie: „Mój wujek ma szklane oko”. Albo: „Znalazłam martwego niedźwiedzia z pyskiem pełnym larw”. One mnie ignorowały albo chichotały albo mówiły: „Kłamczucha ropucha, kłamczucha!”.

Przez jakiś czas miałam więc miejsce, do którego chodziłam przed lekcjami. Czułam się przydatna i doceniana. A potem usłyszałam, że dziewczynki oprócz „protestantka” szepczą jeszcze „biedna sierota”, a do tego zaczęły mnie nazywać „szczurołapem” i „myszką Minnie”. Udawałam, że mam to w nosie, zresztą uwielbiałam kuchnię, ciche śmiechy i mruczenie zakonnicek, które przy pracy nosiły proste, domowej roboty habitę przypominające koszule nocne.

Oczywiście wtedy zdążyłam już postanowić, że zostanę zakonnica, bo one zdawały się nigdy nie denerwować, ale przede wszystkim z powodu czarnych habitów i białych kornetów, welonów przypominających wielkie nakrochmalone białe *fleur-de-lis*. Założę się, że Kościół katolicki stracił wiele przyszłych zakonnicek, gdy zaczęły się ubierać jak zwykle parkingowe. Potem szkołę odwiedziła moja matka, żeby sprawdzić, jak sobie radzę. Powiedzieli, że świetnie pracuję na lekcjach i zachowuję się nienagannie. Siostra Cecylia mówiła, jak doceniają moją pomoc w kuchni i dbają, bym zjadała porządne śniadanie. Moja matka snobka, w zniszczonym starym płaszczu z wyliniałym kołnierzem z lisa, któremu wypadły sztuczne oczka. Była zażenowana, zniesmaczona z powodu myszy i wściekła z powodu medalika ze świętym Krzysztofem, bo przecież co rano brałam od niej dziesięciocentówkę i po szkole wydawałam ją na słodycze. Przebiegła mała złodziejka. Plask. Plask. Wstyd!

I to był koniec, no i jedna wielka pomyłka. Zakonnice najwyraźniej myślały, że przyłożę do kuchni, bo jestem biedną wygłodniałą sierotką, a pracę przy myszach dały mi z litości, a nie dlatego, że w ogóle mnie potrzebowały. Problem w tym, że ja wciąż nie wiem, jak mogłabym wtedy uniknąć tego nieporozumienia. Może powinnam była odmówić przyjęcia herbatnika?

Od tej chwili przed szkołą zaczęłam przesiadywać w kościele i naprawdę postanowiłam zostać zakonnice albo świętą. Pierwszą tajemnicą było dla mnie to, że rzędy świec pod każdą z figur Jezusa, Marii i Józefa drżały, jakby wiał wiatr, choć ogromny kościół był zamknięty i nie otwierano żadnych z wielu ciężkich wrót. Wierzyłam, że to Duch Boży w tych figurach sprawia, że płomienie drżą i syczą, z bojaźni i cierpienia. Każda mała iskra światła oblewała zaschniętą krew na kościstych białych stopach Jezusa, która wyglądała na moką.

Na początku siedziałam daleko z tyłu, oszołomiona, pijana zapachem kadzidła. Klękałam, modliłam się. Klękanie było bardzo bolesne z powodu moich pleców, a gorset wbijał mi się w kręgosłup. Byłam pewna, że stoję się od tego świętą i odpokutowuję za grzechy, ale bolało tak bardzo, że w końcu przestałam i tylko siedziałam w ciemnym kościele, aż rozległ się dzwonek na lekcje. Zwykle byłam tam sama, oprócz czwartków, kiedy ojciec Anselmo zamykał się w konfesjonale. Kilka starszych kobiet, dziewczynki z gimnazjum, czasami któraś z uczennic z podstawówki pojawiały się, zatrzymywały, by uklęknąć przed ołtarzem i przeżegnać się, uklęknąć i przeżegnać się ponownie, a potem wchodziły do konfesjonału z drugiej strony. Zagadkowe były różne długości modlitwy, którą odmawiały po wyjściu. Oddałabym wszystko, żeby wiedzieć, co się tam działo. Nie jestem pewna, kiedy i ja znalazłam się w konfesjonale z walącym sercem. Było tam bardziej elegancko, niż sobie wyobrażałam. Wnętrze lekko zadymione od mirry, aksamitna poduszka do klęczenia, błogosławiona Dziewica spoglądająca na mnie z niezmiernym współczuciem i łaską. Za ażurową ścianką siedział ojciec Anselmo, mały człowieczek, zazwyczaj zamyślony. Ale widać było tylko zarys sylwetki, jak tego człowieka w cylindrze na ścianie u Mamie. Mógł być kimkolwiek... Tyrone'em Powerem, moim ojcem, Bogiem. Jego głos nie przypominał wcale ojca Anselma, był głęboki i odbijał się cichym echem. Kazał mi odmówić modlitwę, której nie znałam, więc wypowiedział ją, a ja powtarzałam wersy, głęboko żałując, że obraziłam Pana. Potem zapytał o grzechy. Nie kłamałam. Naprawdę nie miałam żadnych do wyznania. Ani jednego. Było mi wstyd, przecież coś mogłam wymyślić. Poszukaj głęboko w sercu, moje dziecko... Nic. Zdesperowana, tak bardzo pragnąc go zadowolić, jeden zmyśliłam. Uderzyłam moją siostrę w głowę szczotką do włosów. Jesteś

zazdrosna o swoją siostrę? Och tak, ojciec. Zazdrość to grzech, moje dziecko, módl się, by się jej wyzbyc. Trzy zdrowaśki. Kiedy modliłam się, klęcząc, zdałam sobie sprawę, że to niewielka pokuta, następnym razem wypadnę lepiej. Ale następnego razu nie było. Tamtego dnia siostra Cecylia zatrzymała mnie po lekcjach. Najgorsze, że była taka miła. Rozumiała, że pragnę doświadczyć kościelnych sakramentów i tajemnic. Tajemnic, tak! Ale byłam protestantką, nieochrzczonej i niebierzmowanej. Wolno mi chodzić do tej szkoły, cieszyła się z tego, bo jestem grzeczną i posłuszną uczennicą, ale nie mogę brać udziału w kościelnych obrzędach. Mam siedzieć na placu zabaw z pozostałymi dziećmi.

Przyszła mi do głowy okropna myśl, wyjęłam z kieszeni moje cztery obrazki ze świętymi. Za każdym razem, kiedy osiągnęłyśmy idealny wynik w czytaniu lub matematyce, dostawałyśmy gwiazdkę. W piątki uczennica z największą liczbą gwiazdek dostawała obrazek ze świętym, podobny do kart z baseballistami, tyle że z aureolą i brokatem.

– Czy mogę zatrzymać moich świętych? – zapytałam z drżącym sercem.

– Oczywiście, że możesz, i mam nadzieję, że otrzymasz ich wielu. – Uśmiechnęła się i powiedziała jeszcze coś miłego: – Wciąż możesz się też modlić, moja droga, o wsparcie. Odmówmy razem *Zdrowaś Mario*.

Zamknęłam oczy i gorliwie modliłam się do naszej Matki, która zawsze będzie miała twarz siostry Cecylii.

Za każdym razem, kiedy na ulicy – daleko czy blisko – rozlegała się syrena, siostra Cecylia kazała nam przerwać to, co właśnie robiłyśmy, położyć głowy na ławkach i odmawiać zdrowaśki. Wciąż to robię. To znaczy odmawiam zdrowaśki. Cóż, kładę też głowę na drewnianych biurkach, żeby ich posłuchać, bo naprawdę wydają dźwięki, jak gałęzie na wietrze, jakby wciąż były drzewami. W tamtych dniach wiele rzeczy mnie dręczyło, na przykład co ożywia świece i skąd bierze się dźwięk w ławce. Jeśli wszystko w Bożym świecie ma duszę, nawet ławki, bo przecież mają głos, to niebo musi istnieć. Nie mogłam tam pójść, ponieważ byłam protestantką. Musiałam iść do czyścica. A wolałabym iść do piekła zamiast do czyścica, co za okropne słowo, jak czyścik, miejsce zupełnie bez żadnej godności.

Powiedziałam matce, że chcę zostać katoliczką. Ona i dziadek wpadli w szal. On chciał mnie wysłać z powrotem do Vilas, ale ona powiedziała nie, bo tam było pełno Meksykanów i młodocianych przestępców. Ja powiedziałam, że w Świętym Józefie też jest pełno Meksykanek, ale odparła, że one pochodzą z dobrych rodzin. Czy my byliśmy dobrą rodziną? Nie wiedziałam.

Za to wciąż zaglądam w duże odsłonięte okna, za którymi rodziny siedzą przy stole, i zastanawiam się, co robią, jak ze sobą rozmawiają.

Któregoś popołudnia przyszły do naszego domu siostra Cecylia i druga zakonnica. Nie wiem, dlaczego przyszły, ale nie miały okazji tego wyjaśnić. Panował straszny bałagan. Moja matka płakała i Mamie, moja babcia, też płakała. Dziadek się upił i rzucał się na nie, wyzywając od indiańców. Następnego dnia bałam się, że siostra Cecylia będzie na mnie zła i nie powie: „Do widzenia, moja droga”, zostawiając mnie samą w klasie na przerwę. Ale zanim wyszła, podała mi książkę pod tytułem *Zrozumieć Betsy* i powiedziała, że jej zdaniem mi się spodoba. To była pierwsza prawdziwa książka, jaką kiedykolwiek przeczytałam, pierwsza książka, w której się zakochałam.

W klasie chwaliła moją pracę również przy innych uczennicach za każdym razem, gdy dostałam gwiazdkę, albo w piątki, kiedy otrzymywałam święty obrazek. Robiłam wszystko, by ją zadowolić, starannie kaligrafując AMDG² na górze każdego sprawdzianu, i chętnie biegłam wycierać tablicę. Modliłam się najgłośniej, pierwsza zgłaszałam się do odpowiedzi. Ona wciąż przynosiła mi książki, a raz dała mi również papierową zakładkę z napisem „Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej”. Pokazałam ją w stołówce Melissie Barnes. Naiwnie wierzyłam, że skoro siostra Cecylia mnie lubi, to dziewczynki także mnie polubią. Ale teraz, zamiast się ze mnie śmiać, zaczęły mnie nienawidzić. Kiedy w klasie wstawałam do odpowiedzi, szeptały „pupilka”. Siostra Cecylia wybrała mnie do zbierania dziesięciocentówek i rozdawania medalików na lunch, a każda kolejna dziewczynka, która brała swój medalik, szeptała „pupilka”.

A potem któregoś dnia, ni z tego, ni z owego, matka się wściekła, bo ojciec pisał do mnie częściej niż do niej. Ale to dlatego, że ja pisałam do niego częściej. Nie, jesteś jego pupilką. Raz wróciłam do domu później niż zwykle. Nie zdążyłam na autobus z placu. Matka stała u szczytu schodów, trzymając w ręku list lotniczy w niebieskiej kopercie od mojego ojca. Pstryknięciem palców drugiej ręki odpaliła zapalniczkę i spaliła list, kiedy wbiegałam po schodach. To mnie zawsze przerażało. Kiedy byłam mała, nie widziałam zapalniczek i myślałam, że matka zapala papierosy płonącym kciukiem.

Przestałam mówić. Nie powiedziałam: „Od teraz nie będę już mówić”, tylko stopniowo przestawałam, a kiedy syreny wyły, kładłam głowę na ławce i szeptałam modlitwę sama do siebie. Kiedy siostra Cecylia mnie wołała, potrząsałam głową i siadałam. Przestałam dostawać

świętych i gwiazdki. Było za późno. Teraz nazywali mnie tępakiem. Siostra została w klasie, kiedy reszta poszła do sali gimnastycznej.

– Co się dzieje, moja droga? Jak mogę ci pomóc? Proszę, porozmawiaj ze mną.

Zacisnęłam zęby i nie chciałam na nią spojrzeć. Wyszła, a ja siedziałam w dusznym półmroku klasy. Wróciła później z egzemplarzem *Czarnego Księcia*, który przede mną położyła.

– To bardzo ładna książka, ale bardzo smutna. Powiedz mi, czy martwisz się z jakiegoś powodu?

Uciekłam od niej i książki do szatni. Oczywiście nie było tam żadnych okryć, bo w Teksasie jest bardzo gorąco, tylko pudła z zakurzonymi podręcznikami. Dekoracje wielkanocne. Dekoracje bożonarodzeniowe. Siostra Cecylia weszła za mną do maleńkiego pomieszczenia. Odwróciła mnie i zmusiła, bym uklęknęła.

– Módlmy się – powiedziała.

Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą. Błogosławiony owoc żywota twojego Jezus... Miała oczy pełne łez. Nie mogłam znieść ich czułości. Wykręciłam się z uścisku, niechcący ją przewracając. Welon zaplątał się o haczyk na ubrania i spadł. Nie miała wcale ogolonej głowy, jak mówiły dziewczynki. Krzyknęła i wybiegła z szatni.

Tego samego dnia odesłano mnie do domu i wydalono ze Świętego Józefa za uderzenie zakonnic. Nie wiem, jak mogła pomyśleć, że chciałam ją uderzyć. To wcale nie było tak.

Instrukcja dla pań sprzątających

42 – Piedmont. Zwykły autobus na Jack London Square. Sprzątaczkki i starsze panie. Usiadłam koło starej niewidomej kobiety czytającej w brajlu; wodziła palcem po stronie, powoli i w milczeniu, wers po wersie. Uspokajałam się, patrząc, czytając jej przez ramię. Wysiadła na Dwudziestej Dziewiątej, gdzie z szyldu KRAJOWE PRODUKTY NIEWIDOMYCH odpadły wszystkie litery oprócz NIEWIDOMYCH.

Dwudziesta Dziewiąta to również mój przystanek, ale ja muszę jechać aż do centrum, żeby zrealizować czek od pani Jessel. Jeśli jeszcze raz zapłaci mi czekiem, to odejdę. W dodatku nigdy nie ma drobnych na bilet. W zeszłym tygodniu przejechałam całą drogę do banku za własną ćwierćdolarówkę i okazało się, że zapomniała podpisać czek.

O wszystkim zapomina, nawet o swoich dolegliwościach. Ścierając kurz, zbieram je i kładę na jej biurku. 10.00. MDUŐCI (pis.) na kawałku papieru na półce nad kominkiem. BIEGÓNKA na ociekaczu. ZAWROTY ZAPOMINANIE na kuchence. Zwykle zapomina, czy zażyła luminal i że dzwoniła do mnie do domu już dwa razy, pytając, czy zażyła, gdzie jest jej pierścionek z rubinem itd.

Chodzi za mną z pokoju do pokoju, powtarzając w kółko to samo. Mam kuku na muniu jak ona. Wciąż mówię, że odejdę, ale mi jej żal. Tylko ze mną może porozmawiać. Jej mąż jest prawnikiem, gra w golfa i ma kochankę. Pani Jessel chyba o tym nie wie, albo nie pamięta. Sprzątaczkki wiedzą wszystko.

Sprzątaczkki rzeczywiście kradną. Nie rzeczy, o które pracodawcy tak się niepokoją. W końcu zauważasz, czego jest za dużo. Nie chcemy drobnych w małych popielniczkach.

Jakaś kobieta w trakcie partyjki brydza rozpuściła plotkę, że aby sprawdzić uczciwość sprzątaczkki, należy w różnych miejscach, tu i tam, zostawiać małe popielniczki, a w nich drobne. Ja reaguję na to w ten sposób, że zawsze dodaję kilka groszy, choćby dziesięciocentówkę.

Jak tylko przychodzę do pracy, najpierw sprawdzam, gdzie są zegarki, pierścionki, wieczorowe kopertówki ze złotą lamówką. Później, kiedy wpadają czerwone z wściekłości, oznajmiam spokojnie: „Pod pani poduszką”, „Za zieloną toaletą”. Tak naprawdę kradnę tylko pigułki nasenne, zbieram na czarną godzinę.

Dzisiaj ukradłam słoiczek z ziarnami sezamu. Pani Jessel rzadko gotuje. A kiedy to robi, przyrządza kurczaka w sezamie. Przepis jest wklejony w szafce na przyprawy. Druga kopia w

szufladzie ze znaczkami i sznurkiem, a kolejna w notesie z adresami. Za każdym razem, kiedy zamawia kurczaka, sos sojowy i sherry, to zamawia też kolejny słoiczek sezamu. Ma piętnaście słoiczków z sezamem. Teraz już czternaście.

Na przystanku usiadłam na krawężniku. Nade mną stały trzy inne sprzątaczkę, czarne w białych uniformach. Dobre przyjaciółki, od lat pracują przy Country Club Road. Najpierw wszystkie byłyśmy wściekłe... autobus przyjechał dwie minuty wcześniej i nie zdążyłyśmy. Cholera. Przecież wie, że sprzątaczkę zawsze tu czekają, że 42 – Piedmont kursuje tylko raz na godzinę.

Pałiłam, a one porównywały łupy. Rzeczy, które zabrały... lakier do paznokci, perfumy, papier toaletowy. Rzeczy, które im dano... pojedyncze kołczyki, dwadzieścia wieszaków, podarte biustonosze.

(Rada dla sprzątarek: bierzcie wszystko, co da wam pani, i dziękujcie. Potem możecie to zostawić w autobusie, między siedzeniami).

By włączyć się do rozmowy, pokazałam im swój słoiczek z ziarnami sezamu. Zaryczały ze śmiechu. „Rany, dziecko! Sezam?”. Zapytały, jak to się stało, że od tak dawna pracuję dla pani Jessel. Większość kobiet nie może znieść jej więcej niż trzy razy. Zapytały, czy to prawda, że ma sto czterdzieści par butów. Prawda, ale niestety większość z nich jest identyczna.

Godzina minęła przyjemnie. Rozmawiałyśmy o wszystkich paniach, dla których pracujemy. Śmiałyśmy się, nie bez goryczy.

Większość doświadczonych sprzątarek niechętnie mnie akceptuje. Trudno mi dostać zlecenia, bo jestem „wykształcona”. A teraz to w ogóle nie mogę znaleźć żadnej pracy. Nauczyłam się od razu mówić paniom, że mój mąż alkoholik niedawno zmarł i zostawił mnie z czwórka dzieci. Nigdy dotąd nie pracowałam, wychowywałam dzieci i tak dalej.

42 – Shattuck – Berkeley. Ławki z napisem REKLAMUJ SIĘ U NAS każdego ranka są całkiem mokre. Poprosiłam jakiegoś mężczyznę o zapałkę i dał mi całe pudełko. ZAPOBIEGAJ SAMOBÓJSTWOM. Ten dumny rodzaj, z draską z tyłu. Lepiej dmuchać na zimne.

Po drugiej stronie ulicy kobieta z PERFEKCYJNEGO SPRZĄTANIA zamiatała swój kawałek chodnika. Chodnik po obu jej stronach kwitł od śmieci i liści. Jest teraz jesień, tu, w Oakland.

Później tamtego popołudnia, gdy wracałam ze sprzątania u Horwitzów, chodnik PERFEKCYJNEGO znów przykrywały liście i odpadki. Rzuciłam tam swój bilet przesiadkowy.

Czasami je oddaję, ale zazwyczaj zatrzymuję sobie.

Ter żartował sobie z tego, że zawsze wszystko trzymam.

– Oj, Maggie May, na tym świecie nie masz się czego trzymać. Może tylko mnie.

Którejś nocy na Telegraph obudziłam się, czując, jak wkłada mi w rękę zapalniczkę Coorsa. Uśmiechał się do mnie z góry. Terry był młodym kowbojem z Nebraski. Nie chodził na zagraniczne filmy. Uświadomiłam sobie, że niewystarczająco szybko czyta napisy.

Jeśli Terry czytał książkę, rzadko, wrywał każdą przeczytaną kartkę i ją wyrzucał. Wracalam do domu, w którym okna zawsze były otwarte albo wybite, a w całym pokoju wirowały kartki, jak gołębie na parkingu.

33 – Berkeley Express. Trzydziestkatrójka zabłądziła! Kierowca przegapił zjazd na ekspresową przy Searsie. Wszyscy szarpali za dzwonki, a on, czerwony ze wstydu, skręcił w lewo na Dwudziestej Siódmej. Wjechaliśmy w ślepą ulicę. Ludzie podchodzili do okien popatrzeć na autobus. Czterech mężczyzn wyszło, by pomóc kierowcy wycofać się pomiędzy aut zaparkowanych w wąskim zaułku. Po wjeździe na ekspresową pędził chyba ze sto trzydzieści. Było strasznie. Rozmawialiśmy ze sobą, zadowoleni z rozwoju wydarzeń.

Dzisiaj u Lindy.

(Sprzątaczk: nigdy nie pracujcie dla znajomych. Prędzej czy później was zniechęcą, bo tak dużo będziecie o nich wiedziały. Albo z tego samego powodu wy przestaniecie lubić ich).

Ale Linda i Bob to starzy dobrzy przyjaciele. Czuję ich ciepło, choć mieszkanie jest puste. Sperma i dżem jagodowy na pościeli. Formularze z wyścigów i kiepy w łazience. Liściki od Boba do Lindy: „Kup fajki i weź auto... charlie charlie”. Rysunki Andrei z napisem „Kocham Cię, Mamo”. Resztki pizzy. Ich lusterko do koki czyszczone płynem do szyb.

Przed wszystkim to moje jedyne miejsce pracy, które nie jest nieskazitelne. Właściwie to jest syfiaste. W każdą środę wspinam się po schodach niczym Syzyf do ich salonu, który zawsze wygląda, jakby ktoś właśnie się przeprowadzał.

Nie zarabiam u nich dużo, bo nie liczę za godzinę i za dojazd. No i za lunch też oczywiście nie. Naprawdę ciężko pracuję. Ale też dużo siedzę, zostaję do późna. Palę i czytam „New York Timesa”, książki porno, *Jak zbudować dach na patio*. Najczęściej wyglądam tylko przez okno na dom obok, w którym kiedyś mieszkaliśmy. Russell Street 2129½. Patrzę na drzewo rodzące wiórowate gruszki, do których strzelał Ter. Drewniany płot lśni od śrutu. Szyld BEKINS, który oświetlał nocą nasze łóżko. Tęsknię za Terem i palę. W ciągu dnia nie słycać

pociągów.

40 – Telegraph / Dom opieki Millhaven. Cztery stare kobiety na wózkach zamglonym wzrokiem gapią się na ulicę. Za nimi w dyżurce pielęgniarek piękna czarna dziewczyna tańczy do *I Shot the Sheriff*. Muzyka nawet dla mnie gra głośno, ale stare kobiety w ogóle jej nie słyszą. Pod nimi na chodniku widnieje koślawy napis INSTYTUT ONKOLOGICZNY 1:30.

Autobus się spóźnia. Przejeżdżają samochody. Bogaci ludzie w samochodach nigdy nie patrzą na ludzi na ulicy. Nigdy. Biedni zawsze patrzą... czasami wydaje się, że tylko jeżdżą dokoła i patrzą na ludzi na ulicy. Ja to robiłam. Biedni ludzie często czekają. Po zasiłek, w pośredniaku, w pralni, w budce telefonicznej, w szpitalu, w więzieniach itd.

Kiedy tak czekaliśmy na 40, zaglądaliśmy w okna PRALNI MILLA I ADDIE. Mill urodził się w młynie w Georgii. Leżał teraz na pięciu pralkach, montując nad nimi wielki telewizor. Addie odstawiała pantomimę, udając, że monitor nie ma szans się utrzymać. Przechodnie zatrzymywali się, by z nami oglądać Milla. Wszyscy odbijaliśmy się w ekranie jak w telewizyjnym show.

Na końcu ulicy jest wielki czarny dom pogrzebowy FOUCHÉ. Kiedyś myślałam, że neon głosi TOUCHÉ, i zawsze wyobrażałam sobie Śmierć w masce celującą szpadą w moje serce.

Mam już trzydzieści tabletek, od Jesselów, Burnsów, McIntyre'ów, Horwitzów i Blumów. Ludzie, u których pracuję, mają tyle prochów na górki i dołki, że wystarczyłoby na dwudziestoletni wyrok dla gangstera.

18 – Park – Montclair. Centrum Oakland. Pijany Indianin już mnie zna i zawsze mówi: „Takie jest życie, złotko”.

Na Park Boulevard niebieski autobus więzienny z zabitymi oknami. W środku ze dwudziestu więźniów w drodze do sądu. Skuci ze sobą w tych pomarańczowych kombinezonach poruszają się jak osada wioślarska. I tak samo dobrze zdają się znać. W autobusie jest ciemno. W szybie odbijają się światła. Żółte CZEKAJ CZEKAJ. Czerwone STÓJ STÓJ.

Długa śpiąca godzina jazdy na zamożne zamglone wzgórza Montclair. W autobusie same sprzątaczkki. Pod luterańskim kościołem Syjonu jest duży biało-czarny napis UWAGA SPADAJĄCE SKAŁY. Za każdym razem, gdy go widzę, śmieję się w głos. Pozostałe sprzątaczkki i kierowca odwracają się i na mnie gapią. Teraz to już rytuał. Kiedyś zwykłam automatycznie się żegnać, gdy mijałam kościół katolicki. Może przestałam, bo ludzie w autobusach zawsze się odwracali i gapili. Wciąż automatycznie odmawiam też w myślach

zdrowaśkę, zawsze kiedy słyszę syreny. A to męczące, bo mieszkam na Pill Hill w Oakland, niedaleko trzech szpitali.

U podnóża Montclair kobiety w toyotach czekają, aż ich sprzątaczkę wysiądą z autobusu. Ja zawsze mam podwózkę w górę Snake Road od Mamie i jej pani, która mówi: „Ojej, jak ładnie wyglądamy w tej rozjaśnionej peruce, Mamie, a ja w tych paskudnych ciapatych ubraniach”. Mamie i ja palimy.

Głosy tych kobiet zawsze unoszą się o dwie oktawy, kiedy zwracają się do sprzątaczek lub kotów.

(Sprzątaczkę: jeśli chodzi o koty... nigdy nie zaprzyjaźniaj się z kotem, nie pozwalaj mu się bawić mopem ani ścierką. Panie zrobią się zazdrosne. Nigdy, przenigdy nie zrzucaj kota z krzesła. Za to zawsze zaprzyjaźniaj się z psem, kiedy pojawiaasz się pierwszy raz, poświęć pięć czy dziesięć minut na drapanie Fafika czy Coco. Pamiętaj o opuszczaniu klapy sedesu. Kudłate obślinione pyski).

Blumowie. To najdziwniejsze miejsce, w jakim pracuję, i jedyny piękny dom. Oboje są psychiatrami. Doradcami małżeńskimi z dwójką adoptowanych przedszkolaków.

(Nigdy nie pracujecie w domu, gdzie są przedszkolaki. Niemowlęta są świetne. Można godzinami na nie patrzeć i je tulić. Ale te starsze... wrzaski, stare kółeczka zbożowe, stwardniałe i nadepnięte stopą w piżamce ze Snoopym).

(Nigdy nie pracujecie też dla psychiatrów. Oszalejecie. Mogłabym co nieco powiedzieć *im*... Męskie buty na obcasie?).

Doktor Blum, pan, znowu jest chory i został w domu. Ma astmę, na rany boskie. Snuje się w szlafroku, drapie się kapciem w bladą owłosioną nogę.

Oh, ho, ho, ho, Mrs. Robinson. Ma sprzęt grający wart ponad dwa tysiące dolców i pięć płyt. Simon and Garfunkel, Joni Mitchell i trzy Beatlesów.

Stoi w wejściu do kuchni, drapie się teraz w drugą łydkę. Robię zamaszyste zakrętasy mokrym mopem, oddalając się od niego do wnęki jadalnej, a on pyta mnie, dlaczego wybrałam akurat taką pracę.

- Pewnie z poczucia winy albo gniewu – rozważam.
- Czy kiedy podłoga wyschnie, mogę sobie zrobić herbatę?
- Proszę usiąść. Przyniosę panu herbatę. Cukier czy miód?
- Miód. Jeśli to nie kłopot. I cytryna, jeśli to...

– Proszę usiąść.

Przynoszę mu herbatę.

Kiedyś dałam Natashy, czterolatce, czarną bluzkę z cekinami. Żeby mogła się przebierać. Pani doktor Blum wściekła się i zaczęła wrzeszczeć, że to seksistowskie. Przez moment myślałam, że oskarża mnie o próbę uwiedzenia Natashy. Wrzuciła tę bluzkę do śmieci. Potem ją wyjęłam i teraz czasami noszę, na przebieranki.

(Sprzątaczk: poznacie wiele wyzwolonych kobiet. Faza pierwsza – grupa wsparcia; faza druga – sprzątaczk, faza trzecia – rozwód).

Blumowie mają mnóstwo tabletek, istne multum tabletek. Ona na górki, on na dołki. Pan doktor Blum ma też tabletki z belladonną. Nie wiem, jak działają, ale szkoda, że nie są moje.

Któregoś ranka słyszałam, jak on mówi do niej przy stole:

– Zróbmy dzisiaj coś spontanicznego, zabierzmy dzieci na puszczenie latawców!

Współczułam mu. Jakaś część mnie zapragnęła pospieszyć na pomoc, niczym pokojówka z rysunku na ostatniej stronie „Saturday Evening Post”. Robię świetne latawce, znam miejsca w Tilden, gdzie wieje. W Montclair nie ma wiatru. Druga część mnie włączyła odkurzacz, żeby nie słyszeć jej odpowiedzi. Na dworze lał deszcz.

W pokoju dziecięcym potworny bałagan. Zapytałam Natashę, czy ona i Todd naprawdę bawią się tym wszystkim. Odparła, że skoro to poniedziałek, wstali wcześniej i porozwalali zabawki, bo wiedzieli, że przyjdę.

– Idź po brata – powiedziałam.

Kazałam im sprzątać, kiedy przyszła pani doktor Blum. Zrobiła mi wykład na temat wtrącania się i oznajmiła, że nie zgadza się na „wyrzuty ani obowiązki” wobec swoich dzieci. Słuchałam pokornie. Na koniec kazała mi rozmrozić lodówkę i umyć ją amoniakiem oraz wanilią.

Amoniak i wanilia? Przestałam ją nienawidzić. Taka prosta rzecz. Zrozumiałam, że chce mieć po prostu domowy dom, nie chce wyrzutów ani obowiązków nakładanych na swoje dzieci. Później tego samego dnia piłam mleko z nutą amoniaku i wanilii.

40 – Telegraph – Berkeley. Pralnia Milla i Addie. Addie jest sama w pralni, myje ogromną szybę wystawową. Za nią na palce leży wielka rybia głowa w plastikowej torbie. Leniwe niewidzące oczy. Znajomy, pan Walker, przynosi im rybnie głowy na zupę. Addie robi na szybie gigantyczne kręgi pianistej bieli. Dziecku ze złołka Świętego Łukasza po drugiej stronie

ulicy zdaje się, że ona do niego macha. Maluch odmachuje więc takimi samymi zamaszystymi ruchami. Addie przestaje, uśmiecha się, macha normalnie. Przyjeżdża mój autobus. W górę Telegraph, w stronę Berkeley. W oknie SALONU PIĘKNOŚCI MAGICZNA RÓŻDŻKA wisi gwiazda z folii aluminiowej połączona z łapką na muchy. Obok znajduje się sklep ortopedyczny z dwiema złożonymi rękami i nogą.

Ter nie chciał jeździć autobusami. Ludzie go dołowali, kiedy tak siedzieli. Lubił za to dworce autobusowe. Jeździliśmy na dworce w San Francisco i Oakland. Głównie w Oakland, na San Pablo Avenue. Kiedyś powiedział, że mnie kocha, bo przypominam mu San Pablo Avenue.

On za to przypominał wysypisko w Berkeley. Szkoda, że nie ma autobusu na wysypisko. Pojechaliśmy tam, kiedy zatęskniliśmy za Nowym Meksykiem. Jest tam surowo, wietrznie, mewy krążą niczym lelczyki na pustyni. Widzisz niebo wszędzie dokoła i nad sobą. Śmieciarki grzmiały po drogach skłębionych od kurzu. Szare dinozaury.

Nie mogę znieść, że umarłeś, Ter. Ale przecież to wiesz.

Jak wtedy na lotnisku, kiedy już miałeś wejść na schody samolotu do Albuquerque. „Cholera. Nie mogę lecieć. Nigdy nie znajdziesz samochodu”.

– Co ty zrobisz, jak mnie nie będzie, Maggie? – pytałeś wciąż i wciąż, wtedy, kiedy leciałeś do Londynu.

– Będę robić makramy, głupku.

– Co ty zrobisz, jak mnie nie będzie, Maggie?

– Naprawdę myślisz, że aż tak cię potrzebuję?

– Tak – odparłeś. Prosta odpowiedź z Nebraski.

Znajomi mówią, że się nad sobą użalam i pogrążam w wyrzutach sumienia. Dlatego już z nikim się nie widuję. A kiedy się uśmiecham, instynktownie zakrywam ręką usta.

Zbieram tabletki nasenne. Kiedyś zawarliśmy pakt... jeśli do 1976 roku sprawy się nie ułożą, zastrzelimy się na końcu portu. Nie ufałeś mi, mówiłeś, że zastrzelę cię pierwsza i ucieknę albo zastrzelę siebie pierwszą, nieważne. Dosyć mam targów, Ter.

58 – College – Alameda. Wszystkie stare kobiety z Oakland jeżdżą do domu towarowego Hink's w Berkeley. Stare kobiety z Berkeley jeżdżą do domu towarowego Capwell's w Oakland. Wszyscy w tym autobusie są młodzi i czarni albo starzy i biali, łącznie z kierowcami. Starzy biali kierowcy są wredni i nerwowi, szczególnie w pobliżu liceum Oakland Tech. Zawsze gwałtownie zatrzymują autobus, wrzeszczą, żeby nie palić i nie włączać radia. Szarpiają, hamując z hukiem,

przez co stare białe kobiety wpadają na barierki. Na rękach starych kobiet od razu wyskakują siniaki.

Młodzi czarni kierowcy prowadzą szybko, płynąc przez żółte światła na Pleasant Valley Road. Ich autobusy są głośnie i dymią, ale nie hamują gwałtownie.

Dzisiaj dom pani Burke. Od niej też muszę odejść. Nic nigdy się nie zmienia. Nic nigdy nie jest brudne. Nie rozumiem, po co w ogóle tu przychodzę. Dzisiaj czułam się lepiej. Przynajmniej zrozumiałam, o co chodzi z trzydziestoma butelkami różowego wina Lancers. Było trzydzieści jeden. Najwyraźniej wczoraj obchodzili rocznicę. Dwa niedopałki w jego popielniczce (a nie tylko jego jeden), jeden kieliszek po winie (ona nie pije) i moja nieotwarta butelka różowego. Trofea kręglarskie lekko przesunięto. Nasze życie razem.

Wiele mnie nauczyła o prowadzeniu domu. Zakładaj papier toaletowy tak, żeby rozwijał się od góry. Otwieraj proszek czyszczący na trzy dziurki, nie na sześć. Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie. Kiedyś w przypływie buntu oderwałam całe wieczko i niechcący wsypałam cały proszek do piekarnika. Bałagan.

(Sprzątaczk: pokażcie im, że jesteście dokładne. Pierwszego dnia ustawcie po sprzątaniu wszystkie meble jakieś dziesięć, dwadzieścia centymetrów krzywo albo tyłem na przód. Kiedy ścieracie kurz, odwróćcie koty syjamskie, ustawcie mlecznik na lewo od cukierniczki. Ciągłe przekładajcie szczoteczki).

Moim arcydziełem w tej dziedzinie było czyszczenie wierzchu lodówki u pani Burke. Ona niby wszystko widzi, ale gdybym nie zostawiła włączonej lampki, nie dostrzegłaby, że wyszorowałam i naoliwiłam gofrownicę, naprawiłam figurkę gejszy i umyłam również lampkę.

Robiąc wszystko odwrotnie, nie tylko utwierdzasz ich w przekonaniu, że jesteś dokładna, ale też dajesz im szansę na bycie asertywnymi i „władczymi”. Większość Amerykanek źle się czuje z tym, że ma służące. Nie wiedzą, co robić, kiedy przychodzisz. Pani Burke na przykład po raz kolejny sprawdza listę wysyłkową kartek świątecznych i prasuje papier z prezentów z zeszłego roku. W sierpniu.

Spróbujcie pracować dla Żydów albo czarnych. Dostaniecie lunch. Ale większość żydowskich i czarnych kobiet szanuje pracę, twoją pracę, i nie wstydzi się wcale, że cały dzień nie robi zupełnie nic. W końcu po to płacą tobie, prawda?

Za to ci z Zakonu Gwiazdy na Wschodzie to całkiem inna historia. Żeby nie czuli się winni, zawsze próbuj robić coś, czego oni nigdy by nie zrobili. Stań na kuchence, zmywając z

sufitu cołą, która eksplodowała. Zamknij się w szklanej kabinie prysznica. Przysuń do drzwi wszystkie meble, w tym pianino. Oni nigdy by tego nie zrobili, zresztą nie mogą wejść do środka.

Dzięki Bogu zawsze mają przynajmniej jeden serial telewizyjny, od którego są uzależnieni. Włączam odkurzacz na pół godziny (uspokajający dźwięk), kładę się pod pianinem ze ścierką w rękę, na wszelki wypadek. Leżę tak, nucę i myślę. Odmówiłam identyfikacji twoich zwłok, Ter, co spowodowało spore zamieszanie. Bałam się, że uderzę cię za to, co zrobiłeś. Umarłeś.

Pianino Burke'ów to ostatnie, co robię przed wyjściem. Niestety, jedyna muzyka na nim to hymn marines. Zawsze potem idę na przystanek autobusowy, nucąc: *From the Halls of Monte-zu-u-ma...*

58 – College – Berkeley. Wredny stary biały kierowca. Pada, późno, tłok, zimno. Boże Narodzenie to kiepski czas na autobusy.

– Wypuście mnie z tego jebanego autobusu! – wrzasnęła ujarana hipiska.

– Czekać na przystanek! – odkrzyknął kierowca.

Jakaś gruba kobieta, sprzątaczką, zwymiotowała przez siedzenie do przodu na czyjeś kalosze i mój botek. Strasznie śmierdziało i kilka osób wysiadło na następnym przystanku, ona też. Kierowca zatrzymał się na stacji Arco na Alcatraz, chciał posprzątać szlauchem, ale oczywiście tylko splukał wszystko na tył i zrobiło się bardziej mokro. Miał czerwoną z wściekłości twarz, przejechał następne światła, zagrażając nam wszystkim, powiedział facet obok mnie.

Przy Oakland Tech ze dwudziestu uczniów z radiami czekało za kalekim mężczyzną. Obok szkoły jest opieka społeczna. Kiedy ten mężczyzna z trudem wsiadł do autobusu, kierowca powiedział: „NO JEZUS MARIA”, i facet wyglądał na zaskoczonego.

Znów u Burke'ów. Bez zmian. Mają dziesięć cyfrowych zegarów, które pokazują ten sam właściwy czas. W dniu, kiedy odejdę, wyciągnę wszystkie wtyczki z kontaktów.

W końcu naprawdę odeszłam od pani Jessel. Wciąż płaciła mi czekami i kiedyś zadzwoniła cztery razy w ciągu jednej nocy. Zadzwoniłam do jej męża i powiedziałam, że mam mononukleozę. Pani Jessel zapomniała, że odeszłam, wczoraj w nocy zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy nie wydaje mi się, że zbladła. Tęsknię za nią.

Dzisiaj nowa pani. Prawdziwa pani.

(Nigdy nie myślę o sobie jak o pani sprzątajacej, choć tak cię nazywają, ich pani albo ich

dziewczyna).

Pani Johansen. Jest Szwedką i mówi po angielsku, używając slangu, jak Filipińczycy.

Pierwsze, co powiedziała na mój widok, otwierając drzwi, to:

– KRUCAFUKS!

– Och. Jestem za wcześnie?

– Ależ skąd, moja droga.

Zawładnęła sceną. Jak osiemdziesięcioletnia Glenda Jackson. Zwaliała mnie z nóg.

(Widzicie? Już mówię jak ona). Zwaliała mnie z nóg jeszcze w foyer.

W foyer, zanim zdążyłam zdjąć płaszcz, płaszcz Tera, wyjaśniła mi, co się wydarzyło w jej życiu.

Jej mąż John umarł sześć miesięcy temu. Przede wszystkim miała trudności ze snem. Zaczęła układać puzzle. (Pokazała ręką karciany stolik w salonie, na którym leżała niemal skończona posiadłość Monticello Jeffersona, brakowało tylko jednego kawałka na górze po prawej).

Którejś nocy utknęła nad puzzlami i w ogóle nie poszła spać. Zapomniała, po prostu zapomniała spać! Jeść też. Zjadła kolację o ósmej rano. Wtedy się zdrzemnęła, obudziła o drugiej, o drugiej po południu zjadła śniadanie, wyszła i kupiła następne puzzle.

Kiedy żył John, Śniadanie było o 6, Lunch o 12, Kolacja o 18. Czasy się zmieniły, nikt już nie żyje takim cyklem.

– Nie, kochana, nie jesteś za wcześnie – powiedziała. – Ale ja się chyba walnę do łóżka.

Wciąż tam stałam, gorąco, gapiąc się w radosne śpiące oczy mojej nowej pani, czekając, aż kruk zakracze.

Musiałam tylko umyć okna i odkurzyć dywan. Ale zanim go odkurzę – znaleźć brakujący fragment puzzli. Niebo z kawałeczkiem klonu. Wiem, że go brakuje.

Na balkonie myłam okna, było miło. Zimno, ale słońce świeciło mi w plecy. Ona siedziała w środku nad puzzlami. Zamyślona, ale i tak upozowana. Musiała być kiedyś urocza.

Po myciu okien przyszedł czas na szukanie puzzla. Centymetr po centymetrze w kudłatym zielonym dywanie, okruchy krakersów, gumki recepturki z „Chronicle”. Cudownie, to była najlepsza robota, jaka mi się kiedykolwiek trafiła. Ona „miała w głębokim poważaniu”, czy pałę, czy nie, więc czołgałam się po podłodze z papierosem, przesuwając ze sobą popielniczkę.

Znalazłam ten kawałek, w drugim końcu pokoju. To było niebo z kawałkiem klonu.

– Znalazłam! – zawołała. – Wiedziałam, że brakuje!

– To ja znalazłam! – zawołałam.

Wtedy już mogłam odkurzyć, więc to zrobiłam, kiedy ona z westchnieniem dokończyła układankę. Wychodząc, zapytałam, kiedy znowu chce się ze mną umówić.

– Kto wie? – odparła.

– Cóż, ktoś na pewno – powiedziałam i obie się zaśmiałyśmy.

Ter, tak naprawdę ja wcale nie chcę umierać.

40 – Telegraph. Autobus staje przed pralnią. U Milla i Addie pełno ludzi czeka na wolną pralkę, ale jest wesoło, jakby czekali na stolik w knajpie. Stoją, rozmawiają w witrynie, pijąc sprite'a z zielonych puszek. Mill i Addie krążą jak gościnni gospodarze, rozmieniając klientom pieniądze na drobne. W telewizji orkiestra stanowa Ohio gra hymn narodowy. W Michigan prószy śnieg.

Jest zimny, pogodny styczniowy dzień. Czterech rowerzystów z baczkami pojawia się na rogu Dwudziestej Dziewiątej niczym sznur od latawca. Na przystanku stoi harley z włączonym silnikiem, jakieś dzieciaki machają na obleśnego motocyklistę z paki pick-upa, dodge'a z lat pięćdziesiątych. W końcu wybucham płaczem.

Mój dżokej

Lubię pracować na ostrym dyżurze – tam przynajmniej spotyka się mężczyzn. Prawdziwych mężczyzn, bohaterów. Strażaków i dżokejów. Oni zawsze pojawiają się na ostrych dyżurach. Dżokeje mają piękne zdjęcia rentgenowskie. Nieustannie łamią sobie kości, ale bandażują się i startują w kolejnym wyścigu. Ich szkielety przypominają drzewa albo zrekonstruowane brontozaury. Prześwietlenia świętego Sebastiana.

Ja dostaję dżokejów, bo znam hiszpański, a większość z nich to Meksykanie. Pierwszym, którego poznałam, był Muñoz. Bóg. Wciąż rozbieram pacjentów i to nic takiego, trwa kilka sekund, a Muñoz leżał tam nieprzytomny niczym miniaturowy aztecki bożek. Jego ubranie było tak skomplikowane, że miałam wrażenie odprawiania jakiegoś złożonego rytuału. Wytrącało z równowagi, bo tak długo trwało, jak u Mishimy, u którego przez trzy strony zdejmuje się kobiecie kimono. Jego satynowa koszula w kolorze fuksji miała mnóstwo guzików wzdłuż ramienia i przy drobnymi nadgarstkach, spodnie były zawiązane na skomplikowane sznurki niczym prekolumbijskie supełki. Jego buty śmierdziały nawozem i potem, ale były tak miękkie i filigranowe, jakby należały do Kopciuszka. Spał sobie, zaczarowany księżę.

Jeszcze zanim się obudził, zaczął wzywać matkę. Nie tylko trzymał mnie za rękę, jak robią to niektórzy pacjenci, ale przylgnął mi do szyi, szlochając: *Mamacita! Mamacita!* Doktor Johnson mógł go zbadać, tylko kiedy trzymałam go w ramionach jak niemowlę. Był maleńki niczym dziecko, ale silny, umięśniony. Mężczyzna na moich kolanach. Wyśniony facet? Wyśnione dziecko?

Doktor Johnson ocierał mi pot z czoła, kiedy tłumaczyłam. Z pewnością ma złamany obojczyk, przynajmniej trzy żebra, prawdopodobnie wstrząs mózgu. Nie, powiedział Muñoz. Muszę pojechać w jutrzejszej gonitwie. Zawieź go na prześwietlenie, powiedział doktor Johnson. A że nie chciał położyć się na noszach, niosłam go korytarzem niczym King Kong. Szlochał przerażony, jego łzy moczyły moją pierś.

Czekaliśmy w ciemni na radiologa. Pocieszałam go, jak pociesza się konia. *Cálmate, lindo, cálmate. Despacio... despacio.* Powoli... powoli. Uspokajał się w moich ramionach, pociągał cicho nosem. Głaskałam go po silnych plecach. Wzdrygały się i drżały jak u pięknego młodego żrebaka. Wspaniałe.

El Tim

W drzwiach każdej klasy stała zakonnica, czarne habity wydymały się z wiatrem do holu. Głosy modlących się pierwszoklasistów: *Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą. Z drugiej strony korytarza zaczęli czysto drugoklasiści: Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Stanęłam w środku budynku i czekałam na triumfalne głosy trzeciej klasy, do których dołączyła pierwsza: Ojciec nasz, któryś jest w Niebie, a potem głęboki głos czwartej: Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Z wiekiem dzieci modliły się coraz szybciej, dlatego głosy stopniowo zaczynały się łączyć, zlewać w jeden nagły radosny chór... W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.*

Uczyłam hiszpańskiego w nowym gimnazjum leżącym po przeciwnej stronie podwórza niczym dziecięca kolorowa zabawka. Co rano przed zajęciami przechodziłam przez podstawówkę, by posłuchać modlitw, ale też po prostu, by wejść do tego budynku, jak wchodzi się do kościoła. Szkoła kiedyś była misją, zbudowali ją w 1700 roku Hiszpanie, miała przetrwać wiele lat na pustyni. Różniła się od innych starych szkół, których nieruchomość i solidność wciąż są ochronną skorupą dla przechodzących przez nie dzieci. Zachowała spokój misji, sanktuarium.

W podstawówce śmiały się zakonnice i śmiały się dzieci. Wszystkie zakonnice były stare, nie jak zmęczone stare kobiety, które ściskają swoje torebki na przystanku autobusowym, ale jak dumne kobiety kochane przez swojego Boga i swoje dzieci. Odpowiadały na miłość czułością, cichym śmiechem, skrywanym, strzeżonym za ciężkimi drewnianymi drzwiami.

Kilka zakonnice z gimnazjum przemknęło przez podwórze, szukając śladu papierosowego dymu. Te były młode i nerwowe. Uczyły dzieci „drugiej kategorii”, ze „skłonnościami przestępczymi”, a ich szczupłe twarze były zmęczone, chore od pustego spojrzenia. Nie mogły okazywać zachwyty i miłości jak zakonnice z podstawówki. Ich ucieczką stało się nieprzejednanie, obojętność na uczniów będących ich obowiązkiem i życiem.

Rzędy okien w dziewiątej klasie załśniły, kiedy siostra Lourdes otworzyła je jak zwykle siedem minut przed dzwonkiem. Stałam przed pomarańczowymi drzwiami z inicjałami, patrząc, jak moi dziewiątoklasiści chodzą w tę i z powrotem przed ogrodzeniem z siatki, ich ciała pozbawione napięcia, elastyczne, szyje podskakujące w marszu, ręce i nogi kołyszące się do rytmu, do dźwięków trąbki, której nikt inny nie słyszał.

Opierali się o siatkę, mówiąc w angielsko-hiszpańsko-hipsterskim dialekcie, śmiejąc się bezgłośnie. Dziewczynki w granatowych szkolnych mundurkach jak nieme ptaki flirtowały z

chłopcami, ci zaś przechylali swoje opierzone głowy, eleganccy w pomarańczowych lub żółtych lub turkusowych, zwężanych w kostkach spodniach. Nosili rozpięte czarne koszule albo swetry w serek i nic pod spodem, tak że krzyże lśniły na gładkich ciemnych piersiach... krzyże pachuco, wytatuowane również na wierzchach ich dłoni.

– Dzień dobry, kochana.

– Dzień dobry, siostró.

Siostra Lourdes wyszła na dwór sprawdzić, czy siódma klasa już się ustawiła.

Siostra Lourdes była dyrektorką. To ona mnie zatrudniła, niechętnie płacąc komuś za uczenie, ale żadna z siostr nie znała hiszpańskiego.

– A więc jako świeckiej nauczycielce – powiedziała wtedy – pierwszej w San Marco, może być pani trudno opanować uczniów, szczególnie że wielu z nich jest niemal w pani wieku. Nie wolno pani popełniać błędów, który robi wiele z moich młodych zakonnic. Proszę nie próbować się z nimi zaprzyjaźniać. Ci uczniowie funkcjonują na zasadzie władzy i słabości. Musi pani utrzymać władzę... z pomocą powściągliwości, dyscypliny, kary, kontroli. Hiszpański to przedmiot nieobowiązkowy, proszę stawiać tyle dwój, ile pani chce. W ciągu pierwszych trzech tygodni może pani przenieść któregośkolwiek ze swoich uczniów na moje lekcje łaciny. Nie zgłosili się na nie ochotnicy. – Uśmiechnęła się. – To na pewno pomoże.

Pierwszy miesiąc minął spokojnie. Groźba lekcji łaciny w istocie się przydała; przed końcem drugiego tygodnia wyeliminowałam siedmioro. Uczenie względnie niewielkiej klasy, w dodatku klasy pozbawionej najslabszych, było luksusem. Mój ojczysty hiszpański bardzo pomagał. Zdziwili się, że *gringa* potrafi mówić tak dobrze jak ich rodzice, a nawet lepiej od nich samych. Byli pod wrażeniem, że rozumiałam przekleństwa, slangowe określenia na marihuanę i policję. Ciężko pracowali. Hiszpański był dla nich ważny i im bliski. Zachowywali się przyzwoicie, ale ich posępne posłuszeństwo i automatyczne odpowiedzi traktowałam jak obrazę.

Przedrzeźniali słowa i wyrażenia, których używałam, i zaczęli używać ich tak często jak ja. „La Piña³”, szydzili z powodu moich włosów, a dziewczyny zaczęły się strzyc tak jak ja. „Ta idiotka nie umie pisać”, szeptali, kiedy pisałam drukowanymi literami na tablicy, i zaczęli tak pisać wszystkie swoje prace.

To jeszcze nie byli pachuco, gangsterzy, którymi tak bardzo próbowali się stać, wbijając sprężynowiec w ławkę i czerwieniąc się, gdy obsuwał się i spadał. Jeszcze nie mówili: „Niczego mnie pani nie nauczy”. Czekali obojętnie, aż coś im pokażę. Ale co im mogłam pokazać? Świat,

który znałam, nie był lepszy od tego, którego mieli odwagę się wyprzeć.

Obserwowałam siostrę Lourdes, której siła nie była, jak moja, przykrywką mającą pomóc w zdobyciu ich szacunku. Uczniowie widzieli jej wiarę w Boga, w życie, które wybrała; szanowali je, nigdy nie przekraczając granic i tolerując surowość, którą wykorzystywała do sprawowania kontroli.

Ona również się z nimi nie śmiała. Oni śmiali się za to drwiąco, kiedy ktoś odsłonił się pytaniem, uśmiechem, pomyłką, puszczeniem bąka. Uciszając ten ich smutny śmiech, zawsze myślałam o chichotach, okrzykach, kontrapunktach radości z podstawówki.

Raz w tygodniu śmiałam się z dziewiątą klasą. W poniedziałki, kiedy rozlegało się pukanie w cienkie metalowe drzwi, potężne BUM BUM BUM, od którego drżały okna i echo rozchodziło się po budynku. Słyszac ten straszliwy hałas, podskakiwałam, a klasa się ze mnie śmiała.

– Proszę! – wołałam, pukanie ustawało i wszyscy wybuchaliśmy śmiechem, widząc, że to tylko drobny pierwszoklasista. Tuptał bezgłośnie w tenisówkach do mojego biurka.

– Dzień dobry – szeptał. – Czy mogę prosić o listę obiadową?

Potem drobnymi kroczkami odchodził i trzaskał drzwiami, co też było zabawne.

– Pani Lawrence, czy może pani wejść do mnie na chwileczkę?

Podążyłam za siostrą Lourdes do jej gabinetu i czekałam, aż zadzwoni dzwonkiem.

– Timothy Sanchez wraca do szkoły. – Urwała, jakby spodziewając się, że jakoś zareaguję. – Był w poprawczaku, nie pierwszy raz, za kradzież i narkotyki. Uważają, że powinien jak najszybciej skończyć szkołę. Jest dużo starszy niż pozostali w jego klasie, a testy podobno pokazały, że to wyjątkowo inteligentny chłopak. Napisali tu, że należy go „zachęcać i stawiać mu wyzwania”.

– Czy powinnam zrobić w tej sprawie coś konkretnego?

– Nie, właściwie to w ogóle nie mogę pani doradzać... Tu chodzi o coś innego. Uznałam, że muszę o tym wspomnieć. Kurator będzie sprawdzał jego postępy.

Następnego dnia było Halloween i podstawówka przyszła przebrana. Nie spieszyłam się rano, chciałam obejrzeć czarownice i setki diabłów recytujących poranne modlitwy. Dzwonek zabrzmiał, kiedy dotarłam do drzwi dziewiątej klasy. „Najświętsze Serce Maryi, módl się za nami”, powiedzieli. Stałam w drzwiach, podczas gdy siostra Lourdes sprawdzała obecność. Wstali, kiedy weszłam. „Dzień dobry”. Krzesła zaszurały, kiedy siadali.

Klasa zamilkła.

– El Tim! – wyszeptał ktoś.

Stał w drzwiach, sylwetka tak jak siostry Lourdes, wyraźnie zarysowana na tle światła z korytarza. Ubrany na czarno, koszula rozpięta do pasa, obcisłe spodnie nisko opuszczone na szczupłe biodra. Złoty krzyż lśniący na ciężkim łańcuchu. Uśmiechał się półgębkiem, spoglądając z góry na siostrę, a jego rzęsy tworzyły nierówne cienie na zapadłych policzkach. Czarne włosy miał długie i proste. Wyglądał je długimi smukłymi palcami, szybko, jak ptak.

Widziałam zachwyty całej klasy. Patrzyłam na dziewczyny, na te ładne dziewczyny, które w toaletach szeptały nie o randkach i miłości, ale o małżeństwie i aborcji. Były spięte, spoglądały na niego zarumienione i ożywione.

Siostra Lourdes weszła do klasy.

– Usiądź tutaj, Tim. – Wskazała miejsce przed moim biurkiem.

Przeszedł przez klasę, lekko garbiąc szerokie plecy, z szyją do przodu, szszsz, szszsz, rytm pachuco.

– Wariatka, ale spoko. – Wyszczrzył się, patrząc na mnie.

Klasa się zaśmiała.

– Cisz! – zawołała siostra Lourdes. Stała obok niego. – To jest pani Lawrence. Tutaj twój podręcznik do hiszpańskiego. – Udawał, że jej nie słyszy. Nerwowo zagrzechotała różańcem. – Zapnij koszulę – poleciła. – Zapnij koszulę!

Podniósł ręce do piersi, jedną poprawił guzik, drugą dotknął dziurki. Zakonnica odsunęła jego dłonie i szarpała się z koszulą, dopóki jej nie zapięła.

– Nie wiem, jak sobie bez ciebie radziłem, siostro – wycedził.

Wyszła z klasy.

Był wtorek, dyktando.

– Wyjmijcie kartki i ołówki.

Uczniowie automatycznie wykonali polecenie.

– Ty również, Tim.

– Kartka – rozkazał cicho.

Stos kartek zawalczył o jego biurko.

– *Llegó el hijo* – podyktowałam.

Tim wstał i ruszył na tył klasy.

– Ołówek jest złamany – powiedział.

Miał głęboki, gardłowy głos, jak z chrypką, która pojawia się, gdy człowiek jest bliski płaczu. Powoli zaostrzył ołówek, przekręcając temperówkę tak, że zadźwięczała jak miotełki na perkusji.

– *No tenían fé.*

Tim zatrzymał się, żeby położyć dłoń na włosach jednej z dziewczyn.

– Siadaj – powiedziałam.

– Wyluzuj – mruknął.

Klasa się zaśmiała.

Oddał mi pustą kartkę, tylko z imieniem EL TIM napisanym na górze.

Od tamtego dnia wszystko zaczęło się kręcić wokół El Tima. Szybko dogonił resztę klasy. Jego testy i ćwiczenia pisemne zawsze były doskonałe. Ale uczniowie reagowali tylko na jego nachmurzone zuchwalstwo w trakcie lekcji, na jego milczące niekaralne wyparcie. Czytanie na głos, zadania na tablicy, dyskusje, wszystko to, co dotąd było niemal fajne, teraz stało się praktycznie niemożliwe. Chłopcy byli nonszalancy, wstydzili się dobrze odpowiadać, dziewczyny zażenowane, spłoszone w jego obecności.

Zaczęłam robić z nimi głównie zadania pisemne, indywidualne, które sprawdzałam, chodząc od ławki do ławki. Zadawałam wiele wypracowań, esejów, choć nie powinno się tego robić na hiszpańskim w dziewiątej klasie. Ale Tim lubił tylko to, pracował pilnie, wymazując, przepisując, kartkując słownik. Jego prace były twórcze, idealne językowo, zawsze o sprawach bezosobowych... ulica, drzewo. Pisałam komentarze i chwaliłam. Czasami czytałam jego teksty na głos z nadzieją, że zrobią na nich wrażenie, zachęcą do pracy. Zbyt późno zorientowałam się, że mylą te pochwały z pochwałą jego samego, że on i tak kpiąco triumfował... *Pues, la tengo...* No i mam ją.

Emiterio Perez powtarzał wszystko, co mówił Tim. Emitterio był opóźniony, trzymano go w dziewiątej klasie, dopóki nie osiągnął wieku, w którym mógł odejść ze szkoły. Rozdawał kartki, otwierał okna. Ja kazałam mu robić to samo co pozostałym uczniom. Chichocząc, zapisywał niekończące się strony równych bezkształtnych bazgrołów, które ja oceniałam i oddawałam. Czasami dawałam mu czwórkę i bardzo się cieszył. Teraz w ogóle nie chciał pracować. *Para qué, hombre?*, szeptał do niego Tim. Emitterio się denerwował, patrzył to na Tima, to na mnie. Czasami płakał.

Bezradnie patrzyłam na coraz większy chaos w klasie, chaos, którego nawet siostra Lourdes nie potrafiła już poskromić. Kiedy teraz wchodziła do sali, nie panowała w niej cisza, ale niepokój... ktoś pocierał ręką twarz, stukał gumką o ławkę, przewracał strony. Uczniowie czekali. I zawsze rozlegał się powolny i głęboki głos Tima. „Zimno tu, nie uważa siostra?“, „Siostro, coś mi się stało w oko, niech siostra zobaczy“. Trwaliśmy w bezruchu, kiedy za każdym razem, codziennie, zakonnica automatycznie zapinała koszulę Tima. „Wszystko w porządku?“, pytała mnie i wychodziła z klasy.

W któryś poniedziałek podniosłam wzrok i zobaczyłam idące w moją stronę małe dziecko. Spojrzałam na dziecko, a potem z uśmiechem spojrzałam na Tima.

– Za każdym razem robią się mniejsi... zauważyła pani? – zapytał tak, że usłyszałam tylko ja.

Uśmiechnął się. Odpowiedziałam uśmiechem, pijana z radości. A potem ze zgrzytem odsunął krzesło i przeszedł na tył klasy. W połowie drogi zatrzymał się przed Dolores, brzydką, nieśmiałą drobną dziewczyną. Powoli potarł rękami jej piersi. Jęknęła i z płaczem wybiegła z klasy.

– Chodź tu! – zawołałam.

Błysnął zębami.

– Zmusz mnie – powiedział.

Oparłam się o biurko oszołomiona.

– Wynos się stąd, idź do domu. I nie wracaj do mojej klasy.

– Jasne. – Uśmiechnął się szeroko.

Minął mnie, idąc do drzwi, pstrykając palcami... szszsz, szszsz. Uczniowie zamilkli.

Kiedy wychodziłam poszukać Dolores, do klasy wpadł kamień, rozbijając szybę, i wylądował na moim biurku.

– Co tu się dzieje! – W wejściu stała siostra Lourdes.

Nie miałam jak jej ominąć.

– Odesłałam Tima do domu.

Była biała, kornet jej drżał.

– Pani Lawrence, pani obowiązkiem jest zająć się uczniem w trakcie lekcji.

– Przykro mi, siostro, nie zrobię tego.

– Porozmawiam z matką przełożoną – oznajmiła. – Proszę przyjść rano do mojego

gabinetu. Siadaj na miejsce! – wrzasnęła na Dolores, która zdążyła wrócić tylnymi drzwiami. Zakonnica wyszła.

– Otwórzcie na stronie dziewięćdziesiątej trzeciej – poleciłam. – Eddie, przeczytaj i przetłumacz pierwszy akapit.

Następnego ranka nie poszłam do podstawówki. Siostra Lourdes czekała na mnie za biurkiem. Przed przeszklonymi drzwiami jej gabinetu Tim opierał się o ścianę, wetknąwszy palce za pasek od spodni.

Krótko opowiedziałam zakonnicy, co wydarzyło się dzień wcześniej. Kiedy mówiłam, nie podnosiła głowy.

– Mam nadzieję, że uda się pani odzyskać szacunek tego chłopca – oznajmiła.

– Nie zamierzam trzymać go w swojej klasie – odparłam. Stałam przed jej biurkiem, ściskając jego drewnianą krawędź.

– Pani Lawrence, powiedziano nam, że on potrzebuje wyjątkowej uwagi, zachęty i nowych wyzwań.

– Nie w gimnazjum. Jest za stary i zbyt inteligentny.

– Cóż, musi pani poradzić sobie z tym problemem.

– Sostro Lourdes, jeśli zostawi siostra Tima na moim kursie, pójdę do matki przełożonej i do jego kuratora. Opowiem im, co się wydarzyło. Pokażę im prace, które moi uczniowie wykonywali, zanim się pojawił, i to, jak pracowali później. Pokażę im prace Tima, one nie pasują do dziewiątej klasy.

Odparła cicho i beznamiętnie:

– Pani Lawrence, jesteśmy odpowiedzialni za tego chłopca. Rada go nam przekazała.

Pozostanie w pani klasie. – Pochyliła się w moją stronę, blada. – Jako nauczyciele mamy obowiązek kontrolować takie problemy, uczyć mimo wszystko.

– Cóż, ja nie potrafię.

– Jest pani słaba! – syknęła.

– Tak. Jestem. Wygrał. Nie zniosę tego, co robi kolegom i mnie. Jeśli on wróci, ja odejdę.

Opadła na krzesło. Odezwała się z rezygnacją:

– Proszę mu dać jeszcze jedną szansę. Tydzień. Potem zrobi pani, co będzie chciała.

– Dobrze.

Wstała i otworzyła drzwi Timowi. Przysiadł na krawędzi jej biurka.

– Tim – zaczęła cicho – czy udowodnisz mi, pani Lawrence i kolegom, że żałujesz?

Nie odpowiedział.

– Nie chcę cię wysyłać z powrotem do ośrodka.

– Dlaczego nie?

– Bo jesteś mądrym chłopcem. Chcę, żebyś się tutaj czegoś nauczył, ukończył San Marco.

Chcę, żebyś poszedł do liceum i na...

– Niech siostra da spokój – wycedził. – Siostra chce tylko zapinać mi koszule.

– Zamknij się! – Uderzyłam go w twarz. Moja ręka odbiła się bielą na jego ciemnej skórze.

Ani drgnął. Chciało mi się wymiotować. Siostra Lourdes wyszła z pokoju. Tim i ja staliśmy naprzeciwko siebie, nasłuchując, kiedy zakonnica zaczęła modlitwy z dziewiątą klasą.

Błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota twój Jezus...

– Dlaczego mnie pani uderzyła? – zapytał cicho Tim.

Chciałam odpowiedzieć: „Bo byłeś bezczelny i niemiły”, ale widziałam już uśmiech pogardy, gdy czekał na te właśnie słowa.

– Uderzyłam cię, bo byłam wściekła. O Dolores i kamień. Bo czułam się zraniona i wykpięta.

Ciemne oczy poszukały mojej twarzy. Zastłona na moment opadła.

– W takim razie jesteśmy kwita – powiedział.

– Tak – odparłam. – Chodźmy do klasy.

Szłam z Timem korytarzem, unikając rytmu jego kroków.

Punkt widzenia

Wyobraźcie sobie opowiadanie Czechowa *Zgryzota* napisane w pierwszej osobie. Stary człowiek opowiada nam, że jego syn właśnie umarł. Czuliśmy zażenowanie, dyskomfort, nawet znudzenie, zareagowalibyśmy dokładnie tak, jak reagują pasażerowie woźnicy w opowiadaniu. Jednak bezstronny głos Czechowa przydaje temu mężczyźnie godności. Przystajemy empatię, jaką ma dla niego autor, i jesteśmy głęboko poruszeni, jeśli nie śmiercią jego syna, to starym człowiekiem mówiącym do konia.

To chyba dlatego, że wszyscy jesteśmy raczej niepewni siebie.

Bo jeśli na przykład przedstawiłabym wam tę kobietę, o której teraz piszę...

„Jestem samotną kobietą przed sześćdziesiątką. Pracuję w gabinecie lekarskim. Do domu wracam autobusem. Co sobota idę do pralni i wtedy robię zakupy w Lucky's, potem kupuję niedzielne wydanie «Chronicle» i wracam do domu”.

Powiedzielibyście: „Daj spokój”.

Jednak moje opowiadanie rozpoczyna się od: „W każdą sobotę po odwiedzeniu pralni i sklepu spożywczego kupowała niedzielne wydanie «Chronicle»”. Będziecie słuchać wszystkich tych obsesyjno-kompulsywnych szczegółów z życia tej kobiety, Henrietty, tylko dlatego, że spisane są w trzeciej osobie. Uznacie, że, do diabła, jeśli narrator uważa, że w tym nudnym stworzeniu jest coś, o czym warto pisać, to najwidoczniej jest. Poczytam i sprawdzę, co się wydarzy.

Właściwie to nic się nie wydarzy. Tak naprawdę opowiadanie nie zostało jeszcze napisane. Mam jednak nadzieję, że dzięki tym misternym szczegółom uczynię tę kobietę tak wiarygodną, że nie będziecie mogli nie odczuć empatii.

Większość pisarzy wykorzystuje rekwizyty i dekoracje z własnego życia. Na przykład moja Henrietta zjada co wieczór swoją skromną kolację na niebieskiej podkładce, używając eleganckich ciężkich włoskich sztućców z nierdzewnej stali. Dziwny detal, zdawałoby się niepasujący do tej kobiety, która wycina kupony zniżkowe na papierowe ręczniki. Ale to wzbudza ciekawość czytelnika. Przynajmniej mam nadzieję, że ją wzbudzi.

Raczej nie podam w opowiadaniu żadnego wyjaśnienia. Sama jadłam takimi eleganckimi sztućcami. W zeszłym roku zamówiłam komplet dla sześciu osób ze świątecznego katalogu Museum of Modern Art. Bardzo drogich, za sto dolarów, ale chyba warty swojej ceny. Mam

sześć talerzy i sześć krzeseł. Wtedy myślałam, że może wydam proszoną kolację. Okazało się, że to sto dolarów za sześć *sztuk*. Dwa widelce, dwa noże i dwie łyżki. Zestaw dla jednej osoby. Wstydziałam się je odesłać i myślałam, że cóż, może za rok zamówię drugi.

Henrietta jada tymi ładnymi sztućcami i popija lemoniadę z kieliszka. W drewnianej misce ma sałatę, na talerzu gotowe podgrzane danie. Jedząc, czyta stronę „Na świecie”, na której wszystkie artykuły zdają się napisane przez tę samą pierwszą osobę.

Henrietta nie może się doczekać poniedziałku. Jest zakochana w doktorze B., nefrologu. Wiele pielęgniarek / sekretarek kocha się w „swoich” lekarzach. Coś jakby syndrom Delli Street.

Doktor B. jest wzorowany na nefrologu, dla którego kiedyś pracowałam. Zdecydowanie nie byłam w nim zakochana. Czasami żartowałam, że to relacja miłość – nienawiść. On był tak pełen nienawiści, że przypominał mi, jak czasami może się skończyć miłość.

Za to Shirley, moja poprzedniczka, była w nim zakochana. Wyliczała wszystkie prezenty urodzinowe, które mu podarowała. Doniczkę z bluszczem i mały rower z brązu. Lustro z koałą z matowego szkła. Zestaw do pisania. Mówiła, że bardzo mu się podobały wszystkie prezenty oprócz rowerowego siodełka w owczym futrze. Musiała je wymienić na rękawiczki rowerowe.

W moim opowiadaniu doktor B. śmieje się z Henrietty z powodu tego siodełka, jest naprawdę ironiczny i okrutny, taki, jaki pewnie by był. To ma być punkt kulminacyjny tego opowiadania, kiedy Henrietta zdaje sobie sprawę, jak on nią pogardza, jak żalosna jest jej miłość.

W pierwszym dniu pracy zamówiłam papierowe koszule szpitalne. Shirley wołała bawełniane: „W niebieską kratę dla chłopców, w różowe róże dla dziewczynek”. (Większość naszych pacjentów była tak stara, że używała chodzików). W każdy weekend targała pranie autobusem do domu i nie tylko sama je prała, ale również krochmaliła i prasowała. Moja Henrietta również to robi... prasuje w niedzielę, kiedy już posprząta mieszkanie.

Oczywiście duża część mojego opowiadania to przyzwyczajenia Henrietty. Przyzwyczajenia. Same w sobie nie są złe, ale jej trwają od tak dawna. W każdą sobotę, rok po roku.

W każdą niedzielę Henrietta czyta strony z rozrywką. Najpierw horoskop, zawsze na stronie szesnastej, przyzwyczajenie gazety. Gwiazdy zwykle mają do powiedzenia pikantne rzeczy o Henriecie: „Pełnia Księżycyca, seksowny Skorpion, wiesz, co to znaczy! Szykuj się na namiętność!”.

W niedziele, gdy już posprząta i wyprasuje, Henrietta robi coś specjalnego na kolację.

Kurczaka po kornwalijsku. Z gotowym nadzieniem i sosem żurawinowym. Zielony groszek z zasmażką. Na deser batonik Forever Yours.

Kiedy już pozmywa naczynia, ogląda program *60 minut*. Nie żeby jakoś specjalnie ją interesował. Po prostu lubi dziennikarzy. Diane Sawyer jest taka dobrze wychowana i ładna, a wszyscy mężczyźni tacy godni zaufania, silni i zainteresowani. Henrietta lubi, kiedy udają przejętych, kręcą głowami, a jeśli historia jest zabawna, uśmiechają się i kręcą głowami. Najbardziej lubi uderzenia wielkiego zegara. Wskazówka minutowa i klik klik klik czasu.

Potem ogląda *Napisała: Morderstwo*, którego nie lubi, ale nic innego wtedy nie puszczają.

Trudno mi pisać o niedzieli. Relacjonować długie puste uczucie kolejnych niedziel. Nie ma listonosza i odległego dźwięku kosiarek, beznadzieja.

Albo jak opisać miłość Henrietty do poniedziałkowych poranków. Cyk cyk pedałów jego roweru i klik, kiedy zamyka drzwi, by przebrać się w swój niebieski garnitur.

– Miał pan miły weekend? – pyta ona.

On nigdy nie odpowiada. Nigdy nie mówi dzień dobry ani do widzenia.

Wieczorem Henrietta przytrzymuje mu drzwi, kiedy wychodzi z rowerem.

– Do widzenia! Miłego! – Uśmiecha się wtedy.

– Miłego czego? Na miłość boską, przestań to powtarzać.

Jednak bez względu na to, jak bardzo jest niegrzeczny, Henrietta wierzy, że łączy ich więź. On ma zdeformowaną stopę, poważnie utyka, ona zaś ma skoliozę, skrzywienie kręgosłupa. Właściwie to garb. Wie o tym i jest nieśmiała, ale rozumie, dlaczego on bywa taki oschły. Kiedyś powiedział, że Henrietta ma dwie cechy pielęgniarki – jest głupia i służalca.

Po *Napisała: Morderstwo* Henrietta bierze kąpiel, sprawiając sobie przyjemność kwiatowymi pachnącymi kulkami.

Ogląda wiadomości, wcierając krem w twarz i ręce. Nastawia wodę na herbatę. Lubii prognozę pogody. Te małe słoneczka nad Nebraską i Dakotą Północną. Deszczowe chmury nad Florydą i Luizjaną.

Leży w łóżku, pijąc uspokajającą herbatę. Szkoda, że nie ma swojego starego elektrycznego koca z przełącznikiem MIN–MID–MAX. Nowy koc reklamowano jako „inteligentny koc elektryczny”. Wie, że nie jest zimno, więc się nie podgrzewa. Chciałaby, żeby się podgrzał i ją pocieszył. Jest za mądry dla własnej korzyści! Henrietta śmieje się głośno.

Dźwięk rozlega się nagle w niewielkim pokoju.

Wyłącza telewizor i popija herbatę, słuchając samochodów wjeżdżających i wyjeżdżających ze stacji Arco po drugiej stronie ulicy. Czasami pod budką telefoniczną z piskiem opon zatrzymuje się jakieś auto. Trzaskają drzwi i chwilę później auto odjeżdża.

Słyszy, jak ktoś powoli podjeżdża pod budki. Z pojazdu dobiega głośna muzyka jazzowa. Henrietta wyłącza światło, podnosi żaluzję przy łóżku, tylko odrobinę. Okno jest zaparowane. W samochodowym radiu leci Lester Young. Kierowca rozmawia przez telefon, przytrzymując brodą słuchawkę. Ociera czoło chusteczką. Opieram się o chłodny parapet i go obserwuję. Słucham pięknego saksofonu w *Polka Dots and Moonbeams*. Na zaparowanej szybie piszę słowo. Jakie? Moje imię? Imię mężczyzny? Henrietta? Miłość? Cokolwiek to jest, zmazuję je szybko, zanim ktokolwiek zauważy.

Jej pierwszy odwyk

Carlotta obudziła się na oddziale odwykowym w czwartym tygodniu nieustannego październikowego deszczu. Jestem w szpitalu, pomyślała, i niepewnie ruszyła korytarzem. W dużym pokoju, który byłby słoneczny, gdyby nie padało, zauważyła dwóch mężczyzn. Brzydkich, w czarno-białych drelichach. Posiniaczonych, w zakrwawionych bandażach. Przyjechali tu z więzienia, pomyślała, ale potem zobaczyła, że ona również ma na sobie czarno-biały drelich, jest posiniaczona i zakrwawiona. Przypomniała sobie kajdanki i kaftan.

Było Halloween. Wolontariuszka z AA uczyła ich robić dynie. Dmuchasz balon, ona robi supeł. Potem oklejasz go paskami papieru. Następnego wieczoru, kiedy balon wyschnie, malujesz go na pomarańczowo. Ona wycina oczy, nos i usta. Możesz wybrać, czy chcesz mieć uśmiech, czy grymas. Nie dostajesz do ręki nożyczek.

Dużo się śmiali, jak dzieci, bo śliskie balony i drżące ręce. Trudno było zrobić te dynie. Gdyby wolno im było wycinać oczy i nos i usta, przynajmniej dostaliby te durne nudne nożyczki. A kiedy chcieli coś napisać, dostawali grube ołówki, jak pierwszoklasiści.

Carlotta dobrze się bawiła na oddziale odwykowym. Mężczyźni byli wobec niej niezręcznie uprzejmi. Była jedyną kobietą, ładną, „nie wyglądała jak pijaczka”. Szare oczy miała przejrzyste, śmiech swobodny. Czarno-białą pizamę ozdobiła ślicznym fuksjowym szalikiem.

Większość facetów to byli menele. Policja ich przywiozła albo po prostu pojawiali się tu, kiedy kończył się zasilek, nie mieli schronienia, nie mieli gdzie się zatrzymać. Powiatowy to supermiejsce na odwyk, mówili jej. Kiedy masz atak, dają ci valium, torazynę, dilantin. Nocą duże żółte nembutale. Ale to już długo nie potrwa, wkrótce będą tylko „społeczne wzorcowe” odwyki, bez żadnych prochów. „Cholera, dlaczego?”, zapytał Pepe.

Jedzenie jest dobre, ale zimne. Trzeba zdjąć swoją tacę z wózka i zanieść ją do stołu. Na początku większości się to nie udaje, upuszczają tace. Niektórzy mężczyźni trzęsą się tak bardzo, że trzeba ich karmić, albo po prostu schylają się i chlepczą jedzenie jak koty.

Po trzech dniach pacjenci dostają disulfiram. Jeśli wypijesz alkohol w ciągu trzech dób po jego zażyciu, okropnie się rozchorujesz. Konwulsje, bóle w klatce, szok, często śmierć. Pacjenci oglądają film o disulfiramie każdego ranka o dziewiątej trzydzieści, przed terapią grupową. Później na werandzie mężczyźni liczą, kiedy będą mogli znowu się napić. Piszą na serwetkach grubymi ołówkami. Tylko Carlotta powiedziała, że przestaje pić.

- Co pijesz, kobieto? – zapytał Willie.
- Bourbona.
- Bourbona? – Wszyscy faceci się zaśmiali.
- Ojacieee... żadna z ciebie pijaczka. My pijemy słodkie wino.
- Raaany, ale jest słodkie!
- Co ty w ogóle tu robisz, do kurwy?
- Pytasz, co taka miła dziewczyna jak ja...?

Co ona w ogóle tu robi? Jeszcze się nad tym nie zastanawiała.

- Bourbona. Nie potrzebujesz odwyku...

Potrzebowała jak szlag. Kiedy ją przywieźli, szalała, okładała tego gliniarza kitajca.

Wonga. Potem miała taki atak, że przez trzy minuty tłukła się o ściany jak kurczak bez głowy.

Carlotta nic nie pamiętała. Pielęgniarka powiedziała jej, że wjechała samochodem w mur. Policja przywiozła ją tutaj zamiast do więzienia, kiedy dowiedzieli się, że jest nauczycielką, czworo dzieci, nie ma męża. Bez historii, cokolwiek to znaczy.

- Miewasz delirium? – zapytał Pepe.

- Tak – skłamała.

Boże, wysłuchaj mnie... Proszę, zaakceptujcie mnie, proszę, polubcie mnie, pijusy z załzawionymi oczami.

Nie wiem, co to jest delirium. Lekarz też zadał mi to pytanie. Odpowiedziałam twierdząco, on zanotował. Chyba miewam je całe życie, jeśli to wizje demonów.

Wszyscy się zaśmiali, przyklejając paski papieru do swoich balonów. Jak Joego wykopali z Adama i Ewy i uznał, że znajdzie lepszą knajpę. Włazł do taksówki, wołając: „Do Shalimar!”, ale okazało się, że to radiowóz, i przywieźli go tutaj. Różnica między koneserem a pijakiem? Koneser wyjmuję butelkę z papierowej torebki. Mac o walorach wina Thunderbird: „Durni makaroniarze chyba zapomnieli zdjąć skarpety”.

Wieczorem po balonach i ostatnim valium przyszli ludzie z AA. Połowa pacjentów przekiwawała głowami całe spotkanie, słuchając o tym, że ci z AA również byli na dnie. Jedna z kobiet opowiadała, że przez cały dzień żuła czosnek, żeby nikt nie wyczuł wody w jej oddechu. Carlotta żuła goździki. Jej matka wdychała maść Vicks. Wujek John zawsze miał między zębami kawałki żeń-szenia i wyglądał jak jedna z dyń, ta uśmiechnięta.

Carlotcie najbardziej podobało się pod koniec, kiedy wszyscy złapali się za ręce i

odmówili modlitwę. Musieli obudzić kolegów, podeprzeć ich jak martwych żołnierzy w powieści *Beau Geste*. Poczwała bliskość z tymi mężczyznami, kiedy modlili się o trzeźwość, teraz i na zawsze.

Kiedy ludzie z AA wychodzili, pacjenci dostawali mleko, herbatniki i nembutal. Niemal wszyscy poszli spać, pielęgniarki też. Carlotta do trzeciej rano grała w pokera z Makiem i Joem i Pepem. Bez szaleństw.

Codziennie dzwoniła do domu. Jej starsi synowie Ben i Keith zajmowali się Joelem i Nathanem. Wszystko w porządku, mówili. Ona niewiele miała do powiedzenia.

Spędziła w szpitalu siedem dni. Rankiem, kiedy wychodziła, zobaczyła napis w deszczowej ciemnej świetlicy. „Powodzenia Lottie”. Policja zostawiła jej auto na parkingu. Jedno duże wgniecenie, pęknięte lustro.

Carlotta pojechała do Redwood Park. Podgłośniła radio, usiadła w deszczu na wgniezionej masce auta. Pod nią lśniła złota świątynia mormonów. Zatokę przykrywała mgła. Dobrze być na dworze, słuchać muzyki. Paliła i planowała, co zrobi na lekcjach w przyszłym tygodniu, zapisywała plany zajęć, książki z biblioteki, których będzie potrzebowała.

(W szkole znali tylko wymówkę. Torbiel na jajniku... na szczęście niezłośliwa).

Lista zakupów. Dzisiaj wieczorem zrobi lasagne – ulubioną potrawę synów. Przecier pomidorowy, cielęcina, wołowina. Sałatka i chleb czosnkowy. Kupić ciasto marchewkowe na deser. Mydło i pewnie papier toaletowy. Listy ją uspokajały, pozwalały utrzymać wszystko w kupie.

Synowie i Myra, dyrektorka, tylko oni wiedzieli, gdzie była. Wspierali ją. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Jakimś cudem wszystko zawsze było dobrze. Naprawdę jest dobrą nauczycielką i dobrą matką. W niewielkim domu mnóstwo książek, kłótni, śmiechu, planów. Wszyscy wywiązywali się ze swoich obowiązków.

Wieczorami, po zmywaniu i praniu, poprawianiu zadań, była telewizja albo scrabble, problemy, karty albo głupie rozmowy. Dobranoc, chłopcy! Cisza, którą celebrowała, podwajając drinki, w końcu bez durnego lodu.

Jeśli synowie się obudzili, natykali się na jej szaleństwo, które tylko czasami rozlewało się na poranki. Ale odkąd sięgała pamięcią, późno w nocy słyszała, jak Keith sprawdza popielniczki, kominek. Wyłącza światła, zamyka drzwi.

To było jej pierwsze doświadczenie z policją, choć go nie pamiętała. Nigdy dotąd nie jeździła po pijanemu, nigdy nie opuściła więcej niż jednego dnia w pracy, nigdy... Nie miała pojęcia, co się teraz wydarzy.

Mąka. Mleko. Ajax. W domu miała tylko ocet winny, który w połączeniu z disulfiramem mógł wywołać konwulsje. Wpisała na listę ocet jabłkowy.

Ból fantomowy

Miałam wtedy pięć lat, w kopalni Deuces Wild w Montanie. Co kilka miesięcy przed nadejściem śniegów ojciec i ja wspinaliśmy się w górach, idąc wzdłuż nacięć zrobionych przez starego Hancocka jeszcze w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Ojciec niósł worek pełen kawy, kaszy kukurydzianej, suszonej wołowiny i takich tam. Ja niosłam stos wydań „Saturday Evening Post”, przynajmniej przez większość drogi. Domek Hancocka znajdował się na samym szczycie góry, przy krawędzi łąki w kształcie krateru. Nad nim niebieskie niebo, wszędzie dokoła. Jego pies wabił się Blue. Na dachu rosła trawa, zawadiacką grzywką opadając na ganek, gdzie pijali kawę i rozmawiali, podając sobie kawałki rudy, mrużąc oczy w papierosowym dymie. Bawiłam się z Blue i kozami albo wyklejałam stronami „Post” ściany domku, już i tak grubo pokryte starymi wydaniem. W równych prostokątach jeden na drugim wokół całego małego pomieszczenia. Zasypany podczas długiej zimy Hancock czytał swoje ściany strona po stronie. Jeśli natrafiał na koniec artykułu, próbował wymyślić, co stało się wcześniej, albo połączyć go z innymi stronami gdzieś w domku. Kiedy przeczytał cały pokój, przez kolejne dni znów wyklejał i zaczynał od nowa. Nie poszłam z ojcem na pierwszą wyprawę tamtej wiosny, kiedy znalazł staruszkę martwego. Z kozami i psem w jego łóżku. „Kiedy mi zimno, po prostu naciągam na siebie kolejną kozę”, mawiał.

– Proszę, Lu, po prostu zabierz mnie na górę i zostaw.

O to błagał mnie ojciec, kiedy oddałam go do domu opieki. Tylko o tym wtedy mówił, o różnych kopalniach, różnych górach. Idaho, Arizona, Kolorado, Boliwia, Chile. Rozum zaczynał go zawodzić. Nie tylko przypominał sobie te miejsca, ale naprawdę myślał, że się tam znajduje. Myślał, że jestem dzieckiem, zwracał się do mnie tak, jakbym była w tym wieku, w którym byłam w tamtych miejscach. Mówił na przykład pielęgniarce: „Mała Lu potrafi przeczytać całą książeczkę, a ma tylko cztery lata”. Albo: „Pomóż pani wynieść naczynia. Grzeczna dziewczynka”.

Co rano przynosiłam mu *café con leche*. Goliłam go i czesałam, prowadziłam w tę i z powrotem, w tę i z powrotem po śmierdzących korytarzach. Większość pacjentów wciąż była w łóżkach, wołali, walili w barierki, dzwonili dzwonkami. Niedołężne stare kobiety zabawiały się ze sobą. Kiedy kończyliśmy spacer, przywiązywałam go do wózka, żeby nie próbował uciekać i nie upadł. Zrobiłabym to samo. To znaczy nie udawałabym i nie próbowała go rozbawić – po

prostu gdzieś bym z nim pojechała. Do kopalni Trench w górach ponad Patagonią w Arizonie: miałam osiem lat, byłam fioletowa od gencjany z powodu grzybicy. Wieczorami chodziliśmy na klif, żeby zostawić puszki i spalić śmieci. Jelenie i antylopy, puma – czasami podchodziły, nie bojąc się naszych psów. Lelczyki gwałtownie nurkowały przed skalistą fasadą klifów nad nami, czerwone od zachodzącego słońca.

Jedyny raz, kiedy ojciec powiedział, że mnie kocha, zdarzył się tuż przed tym, jak wróciłam do Stanów na studia. Byliśmy na plaży w Tierra del Fuego. Antarktyczne zimno. „Przeszliśmy razem cały ten kontynent... te same góry, ten sam ocean, od góry do dołu”. Urodziłam się na Alasce, ale tego nie pamiętam. On wciąż myślał, że powinnam, kiedy był w domu opieki, więc w końcu zaczęłam udawać, że znam Gabe’a Cartera, pamiętam Nome, niedźwiedzia w obozie.

Na początku wciąż pytał o moją matkę, gdzie jest, kiedy wróci. Albo myślał, że jest obok niego, mówił do niej, kazał mi dawać jej kęs jedzenia przy każdym kąsie, który sam brał. Zwodziłam go. Pakuje się, już jedzie. Kiedy on poczuje się lepiej, wszyscy zamieszkamy razem w dużym domu w Berkeley. Kiwał głową, uspokojony, poza jednym dniem, kiedy powiedział: „Łziesz jak pies”. A potem zaczął mówić o czymś innym.

Któregoś dnia po prostu ją unicestwił. Kiedy przyjechałam, leżał w łóżku, szlochał, zwinięty jak dziecko. Opowiadał mi tę historię, jakby był w szoku, z nieistotnymi szczegółami, jak ktoś będący świadkiem strasznego wypadku. Byli na parowcu na Missisipi; moja matka grała pod pokładem. Kolorowych już wtedy wpuszczali na statki i Florida (jego pielęgniarka) wygrała co do centa wszystkie ich pieniądze. Matka postawiła całość, wszystkie rodzinne oszczędności, w ostatnim pięciokartowym rozdaniu. Walet pik lub kier jako dzika karta.

– Powinienem być wiedzieć – mówił – kiedy zobaczyłem, jak ta lafirynda zaśmiewa się tymi swoimi złotymi zębami i liczy te wszystkie pieniądze. Johnowi tu obok dała przynajmniej ze cztery tysiące.

– Zamknij się, durniu – odezwał się John z łóżka obok ojca.

Zza swojej Biblii wyjął czekoladowy batonik. Nie wolno mu było jeść słodczy, hersheya przyniosłam mojemu ojcu dzień wcześniej. Okulary do czytania ojca wystawały spod poduszki Johna. Wyjęłam je. John zaczął jęczeć i wołać:

– Moje nogi! Nogi mnie bolą!

Nie miał nóg. Był cukrzykiem i amputowali mu obie nad kolanami.

Na parowcu ojciec siedział w barze z Bruce'em Sassem (poszukiwaczem diamentów z Bisbee). Usłyszeli strzał, a długą chwilę później plusk.

– Nie miałem drobnych na napiwek, a nie chciałem zostawiać dolara.

– Skąpy dureń! Typowe! Typowe! – mówił John ze swojego łóżka.

Ojciec i Bruce Sasse pobiegli na sterburtę, kiedy moja matka odpływała, unosząc się na wodzie. Na kilwaterze widzieli krew.

Opłakiwał ją tylko tamten jeden dzień, ale przez wiele tygodni opowiadał o pogrzebie. Pojawiły się tysiące ludzi. Żaden z moich synów nie włożył garnitur, ale ja wyglądałam ślicznie i elegancko. Pojawił się Ed Titman, ambasador w Peru, lokaj Domingo, nawet Charlie Bloom, ten stary Szwed z Mullan w Idaho. Charlie powiedział mi kiedyś, że zawsze posypuje cukrem owsiankę. A jeśli nie masz cukru? – spytałam przemądrzale. I tak posypuję.

Tego dnia, kiedy ojciec unicestwił moją matkę, przestał mnie znać. Potem rozkazywał mi jak jakiejś sekretarce albo służącej. W końcu któregoś dnia zapytałam, gdzie jestem. Uciekłam. Zła krew, Moynihanów, jak mojej matki i wujka Johna. Pewnego popołudnia po prostu odjechałam, tuż sprzed tego domu opieki, wzdłuż Ashby Avenue z nic niewartym meksykańcem w buicku z czterema odpowietrznikami. Właściwie taki facet, którego opisał, ciemny obsłizgły typ, zwykle mi się podoba.

Wtedy już przez większość czasu miał halucynacje. Kosze na śmieci zmieniały się w gadające psy, cienie liści na ścianach w maszerujących żołnierzy, zwaliste pielęgniarki były teraz szpiegami transwestytami. Nieustannie mówił o Eddiem i Małym Joem, ale chyba żadnego z nich nie znał. Co wieczór przeżywali dzikie beztroskie przygody na statku z amunicją niedaleko Nagasaki, w helikopterach ponad Boliwią. Mój ojciec się śmiał, rozluźniony i swobodny, jakim go nie znałam.

Doszło do tego, że modliłam się, by tak pozostało, ale on coraz częściej robił się racjonalny, „z orientacją w czasie i przestrzeni”. Mówił o pieniądzach. Pieniądzach, które zarobił, pieniądzach, które stracił, pieniądzach, które zarobi. Może uważał mnie za brokerkę, bo nieustannie gadał o różnych opcjach i procentach, bazgrząc cyfry na pudełku chusteczek. Marże i opcje, bilety skarbowe i akcje, obligacje i fuzje. Z goryczą denuncjował swoją córkę (mnie) za to, że zamordowała jego żonę i zamknęła go, by zdobyć kasę. Florida była jedyną czarną pielęgniarką w szpitalu, która godziła się nim opiekować. Oskarżał ich wszystkich o kradzieżę, wyzywał od Murzynków i dziwek. Z kaczką chciał dzwonić po policję. Florida i John ukradli mu

wszystkie pieniądze. John go ignorował, czytał Biblię albo tylko leżał w łóżku, wił się i krzyczał:

– Moje nogi! Panie Jezu, niech już mnie nie bolą!

– Cicho, John – mówiła Florida. – To tylko ból fantomowy.

– Jest prawdziwy? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Każdy ból jest prawdziwy.

Rozmawiał o mnie z Floridą. Śmiała się, puszczając do mnie oko i przytakując.

– Jest zepsuta do szpiku kości.

Opowiadał nam, jak wielkim byłem dla niego rozczarowaniem, od konkursów literowania po nieudane małżeństwa.

– To cię dotyka – powiedziała Florida. – Przestałaś mu prasować koszule, niedługo w ogóle przestaniesz przychodzić.

Ale ja czułam z nim nową więź. Nigdy nie znałam ojca zgorzkniałego, uprzedzonego, z obsesją na punkcie pieniędzy. Idolami tego człowieka byli Thoreau i Jefferson i Thomas Paine. Nie byłam rozczarowana. Strach i podziw, które wobec niego czułam, zaczynały znikać.

Lubiłam też to, że mogłam go teraz dotykać. Przytulać, kapać, obcinać paznokcie i trzymać za rękę. Właściwie już nie słuchałam tego, co mówił. Trzymałam go, słuchałam Floridy i pozostałych pielęgniarek, jak śpiewają i się śmieją, a ze świetlicy ryczały *Dni naszego życia*. Karmiłam go galaretką i słuchałam Johna recytującego Księgę Powtórzonego Prawa. Nigdy nie rozumiałam, jak to możliwe, że tylu ledwie umiejących czytać ludzi tak często czyta Biblię. Przecież to trudne. Tak samo dziwi mnie, że niewykształcone szwaczki na całym świecie umieją dopasowywać rękawy i suwaki.

Jadł w swoim pokoju i w ogóle nie chciał się kontaktować z innymi pacjentami. Ja za to chciałam, żeby mieć przerwę albo żeby nie płakać. Na tablicy ogłoszeń wisiała duża kartka z napisem „Dzisiaj jest _____. Pogoda jest _____. Następny posiłek to _____. Następne święto to _____”. Przez dwa miesiące był tam deszczowy wtorek przed lunchem i Wielkanocą, ale potem miejsca zawsze zostawały puste.

Wolontariuszka Ada codziennie rano czytała gazetę. Odwracała stronę za stroną, unikając zbrodni i przemocy. Zwykle zostawały jej tylko wypadki autobusowe w Pakistanie, Dennis Rozrabiaka i horoskop. Huragany w Galveston. (Nie rozumiem też, jak ludzie mogą wciąż mieszkać w Galveston po tym wszystkim). Zaczynałam lubić innych pacjentów. Większość była

jeszcze bardziej zniedołężniała od ojca, ale cieszyli się na mój widok, sięgali do mnie cienkimi palcami. Wszyscy mnie rozpoznawali, wołali różnymi imionami.

Wciąż go odwiedzałam. Może z poczucia winy, jak mówiła Florida, ale również z nadzieją. Czekałam, aż mnie pochwali, wybaczy mi. Proszę, poznaj mnie, tato, powiedz, że mnie kochasz. Nigdy tego nie zrobił, a ja teraz chodzę już tylko po rzeczy do golenia albo pizamę albo słodycze. Już wcale się nie rusza. Robi się agresywny, więc przywiązują go do łóżka w dzień i w nocy.

Ostatni raz, kiedy byłam z nim naprawdę, to piknik nad jeziorem Merritt. Pojechało dziesięcioro pacjentów. Ada, Florida, Sam i ja. Sam to dozorca. (Ojciec nazywa go Szympansem). Godzinę zajęło zapakowanie ich do busa, wózki powoli wjeżdżały jęczącym podnośnikiem. Było bardzo gorąco, dzień po Memorial Day. Większość zsikała się, jeszcze zanim ruszyliśmy; okna zaparowały. Staruszkowie śmiali się i byli podekscytowani, ale też przestraszeni, wzdrygali się, kiedy mijały nas autobusy, syreny, motocykle. Mój ojciec ładnie wyglądał w garniturze z krepy, ale potem przez parkinsona przód zrobił się niebieski od śliny, a jedna nogawka ciemnoniebieska.

Myślałam, że usiądziemy pod drzewami, nad wodą, ale Ada kazała ustawić wózki półkolem, przodem do ulicy przy stawie z kaczkami. Myślałam też, że menele sobie pójdą, ale oni zostali na ławkach naprzeciwko staruszków. Niektórzy pacjenci wyczuli papierosy i prosili o jednego. Któryś z meneli dał fajkę Johnowi, ale Ada ją zabrała i przydeptała. Spaliny, radia z krzykliwych stuningowanych bryk i motocykli. Ziemia drżała od kroków biegaczy, którzy docierając do nas, truchtali w miejscu, próbując ominąć wózki. Podawaliśmy jedzenie, karmiąc tych, którzy sami nie mogli jeść. Sałatka ziemniaczana i smażony kurczak. Buraki konserwowe i napój z proszku. Florida i ja dałyśmy talerze czterem menelom na ławce i Ada się wściekła. Ale jedzenia i tak było za dużo. Lody cassate kapały na śliniaki. Lula i Mae tylko zgniatały batony, bawiąc się nimi na swoich kolanach. Ojciec jadł bardzo porządnie, zawsze był skrupulatny. Umyłam mu po kolei każdy palec. Ma piękne ręce. Nie wiem, dlaczego tak skubią swoje ubrania i koce. To się nazywa akatyżja.

Po lunchu jakaś potężna kobieta w mundurze straży leśnej przyniosła małego szopa i kolejno nam go podawała. Był miękki, słodko pachniał i wszystkim się podobało, bardzo, naprawdę, przytulali go i głaskali, ale Lula ścisnęła go tak mocno, że podrapał jej twarz.

– Wściekły! – zawołał mój ojciec.

– Moje nogi! – krzyknął John.

Menel dał Johnowi kolejnego papierosa. Ada nie zauważyła, chowała tace do samochodu. Strażniczka podała szopa menelom. Zwierzątko najwyraźniej ich znało, spokojne zwijało się wokół ich szyj. Ada powiedziała, że mamy dwadzieścia minut, żeby obwieźć wszystkich wokół stawu i klatek z ptakami i na wzgórze, żeby zobaczyć jezioro.

Mój ojciec zawsze kochał ptaki. Zaparkowałam go przed nerwowymi puchaczami i opowiadałam o różnych ptakach, które kiedyś oglądaliśmy. O kolczatce z zielonymi włosami. O dzięciole z czubkiem na białej osice. O fregacie niedaleko Antofagasty. O łączących się w pary wspaniałych kukawkach. Ojciec tylko siedział, patrząc niewidzącym wzrokiem. Puchacze albo spały, albo były wypchane. Odsunęłam wózek. Wszyscy pozostali byli weseli, wołali i machali do nas. John naprawdę doskonale się bawił. Florida zaprzyjaźniła się z jednym z biegaczy, który pożyczył jej magnetofon. Lula trzymała go i śpiewała, kiedy karmili kaczki.

Trudno było wepchnąć wózek na wzgórze. Gorąco, głośno, samochody, radia i niekończące się tup tup biegaczy. Smog tak gęsty, że ledwo było widać drugi brzeg. Śmieci i pozostałości po Memorial Day. Papierowe kubki pływały na pienistym brązowym jeziorze spokojnie jak łabędzie. Na szczycie wzgórza zaciągnęłam hamulec i zapaliłam papierosa. Śmiał się, śmiał złośliwie.

– To okropne, prawda, tato?

– W rzeczy samej, Lu.

Spuściłam hamulce i wózek zaczął zjeżdżać ceglana ścieżką. Zawahałam się, stałam i patrzyłam, ale potem wyrzuciłam papierosa i złapałam wózek w chwili, kiedy zaczął nabierać prędkości.

Tygrysie kąski

Pociąg zwolnił za El Paso. Nie budziłam mojego synka Bena, ale wyniosłam go na korytarz, żeby wyrzeć na zewnątrz. I powąchać pustynię. Caliche, szałwia, siarka z hut, ogniska z meksykańskich chałup nad Rio Grande. Ziemia Święta. Kiedy tam przyjechałam po raz pierwszy, zamieszkać z Mamie i dziadkiem podczas wojny, pierwszy raz usłyszałam o Jezusie i Maryi i Biblii i grzechu, więc Jerozolima pomieszała mi się całkiem z nierównymi górami i pustyniami El Paso. Sitowie nad rzeką i wszędzie wielkie krzyże. Figi i granaty. Owinięte ciemnymi szalami kobiety z dziećmi i biedni wychudzeni mężczyźni z oczami cierpiących, oczami zbawców. A w nocy gwiazdy były duże i jasne jak w piosence, tak natarczywie oślepiające, aż nie dziwiło, że mędrcy podążyli po prostu za jedną z nich i znaleźli drogę.

Wujek Tyler zorganizował rodzinne bożonarodzeniowe spotkanie. Przede wszystkim miał nadzieję, że rodzice i ja się pogodzimy. Bałam się spotkania z nimi... byli wściekli, bo mój mąż Joe mnie zostawił. Niemal umarli, kiedy w wieku siedemnastu lat wyszłam za mąż, a mój rozwód przelał czarę goryczy. Nie mogłam się jednak doczekać spotkania z kuzynką Bellą Lynn i wujkiem Johnem, który miał przyjechać z Los Angeles.

I oto jest Bella Lynn! Na parkingu przed dworcem kolejowym. Na stojąco macha z kabrioletu Cadillaca w kolorze pudrowego błękitu, ubrana w zamszowy kostium kowbojki zdobiony frędzlami. Była prawdopodobnie najpiękniejszą kobietą w zachodnim Teksasie, na pewno wygrała milion konkursów piękności. Długie jasnoblond włosy, schrypnięty, głęboki kaskadowy śmiech, który zarażał radością, wyłapywał i unicestwiał każdy smutek.

Rzuciła nasze torby i składane łóżeczko Bena na tylne siedzenie. Wszyscy w rodzinie Moynihanów jesteśmy silni, przynajmniej fizycznie. Raz po raz nas całowała i przytulała. Wsiedliśmy i ruszyliśmy do knajpy po drugiej stronie miasta. Mimo zimna powietrze było czyste i suche, a ona miała opuszczony dach i włączone ogrzewanie, mówiła non stop, trzymając kierownicę jedną ręką, ponieważ machała niemal do każdego, kogo mijaliśmy.

– Najpierw muszę ci powiedzieć, że świątecznej radości to u nas raczej brakuje. Wujek John przyjedzie pojutrze, w Wigilię, dzięki Bogu. Mary, twoja mama i moja mama po pięciu sekundach zaczęły pić i się kłócić. Mama poszła na dach garażu i nie chce zejść. Twoja podcięła sobie żyły.

– O Boże.

– No wiesz, nie jakoś strasznie czy coś. Napisała pożegnalny list o tym, że od zawsze rujnowałaś jej życie. I podpisała go Krwawa Mary! Jest na oddziale psychiatrycznym u Świętego Józefa, na trzydniowej obserwacji. Na szczęście twój ojciec nie przyjeżdża, jest wściekły z powodu twojego R.O.Z.W.O.D.U. Za to jest moja szalona babka. Dom wariatów! No i cały zestaw tych koszmarnych krewnych z Lubbock i Sweetwater. Tata kazał im wszystkim zamieszkać w motelu, ale przyjeżdżają i tak, żeby całymi dniami u nas jeść i oglądać telewizję. Wszyscy zrobili się strasznie święci i uważają, że ty i ja jesteśmy zepsute do szpiku kości. No i pojawił się Rex Kipp! On i tata ciągle kupują prezenty i inne rzeczy dla biedaków i siedzą w warsztacie taty. Więc rany, strasznie się cieszę, że przyjechałaś...

W restauracji *drive-thru* jak zawsze zamówiliśmy burgery i frytki i napoje. Powiedziałam, że Ben może zjeść trochę ode mnie. Miał tylko dziesięć miesięcy. Ale ona zamówiła mu osobnego burgera i banana split. Cała nasza rodzina jest ekstrawagancka. Hm, nie, mój ojciec bynajmniej nie jest. On pochodzi z Nowej Anglii, jest skąpy i odpowiedzialny. Ja okazałam się nieodrodną Moynihanówną.

Kiedy Bella zdała relację z tego, jak wygląda rodzinny zjazd, opowiedziała mi o Cletisie, którego żoną była ledwie od dwóch miesięcy. Jej rodzice byli równie wściekli po tym ślubie jak moi kiedyś. Cletis jest budowlańcem, jeźdźcem rodeo, pracuje na platformach wiertniczych. Po ślicznych policzkach Belli płynęły łzy, kiedy relacjonowała, co się wydarzyło.

– Lou, byliśmy szczęśliwi jak skowronki. Przysięgam, że nikt nigdy nie miał takiej cudownej czulej miłości. Dlaczego, na Boga, mówi się, że skowronki są szczęśliwe? Mieliśmy uroczą małą przyczepę w południowej dolinie, nad rzeką. Nasze małe błękitne niebo. Sprzątałam i zmywałam naczynia! Gotowałam, robiłam ciasto ananasowe i makaron z serem, różne rzeczy, on był dumny ze mnie, a ja z niego. Pierwsza katastrofa wydarzyła się, kiedy tata wybaczył mi, że wyszłam za Cletisa, i kupił nam dom. Na Rim Road, no wiesz, dworek, kolumny na ganku i tak dalej, ale my nie chcieliśmy od niego domu, więc Cletis i tata strasznie się pokłócili. Próbowałam wytłumaczyć tacie, że nie chcemy jego cholernego domu, że byłabym szczęśliwa, mieszkając z Cletisem na pace samochodu. I Cletisowi też musiałam to ciągle i ciągle powtarzać, bo choć odmówiłam przeprowadzki, to on się boczył. Potem któregoś dnia poszłam do sklepu i kupiłam jakieś ubrania, ręczniki, kilka rzeczy, zapłaciłam z mojego starego konta, tego, które mam całe życie. Cletis wpadł w szal, mówił, że w dwie godziny wydałam więcej pieniędzy, niż on zarabia przez pół roku. Więc wyniosłam wszystko na dwór i polałam benzyną i podpaliłam i

się całowaliśmy i pogodziliśmy. Och, Mała Lou, tak strasznie go kocham, strasznie! Ale znów zrobiłam głupotę, tylko w życiu nie zrozumieć dlaczego. Mama wpadła z wizytą. Chyba poczułam się wtedy jak prawdziwa mężatka, rozumiesz? Dorosła. Zrobiłam kawę i podałam oreo na małym talerzu. I palnęłam coś o S.E.K.S.I.E. Chyba uznałam, że jestem już dość duża, żeby rozmawiać z nią o S.E.K.S.I.E. O Boże, no i *nie wiedziałam*, więc zapytałam, czy mogę zająć w ciążę, jeśli połknę spermę Cletisa. Ona wyrwała z przyczepy i pobiegła do domu do taty. Rozpętało się piekło. Tamtego wieczoru przyjechali tata i Rex i straszliwie złali Cletisa. Trafił do szpitala ze złamanym obojczykiem i dwoma złamanymi żebrami. Mówili, że jest zbrojcem i że wsadzą go do więzienia za sodomie i anulują nasze małżeństwo. Wyobrażasz sobie, że robienie laski twojemu prawnie poślubionemu mężowi jest wbrew prawu? No więc nie chciałam wracać z tatą i siedziałam przy łóżku Cletisa, aż mogłam go w końcu zabrać do domu. I byliśmy szczęśliwi znowu jak te skowronki, choć Cletis zaczął dużo pić, bo przez jakiś czas nie mógł wrócić do pracy. Aż nagle w zeszłym tygodniu wyjrzałam przez okno i zobaczyłam na naszym podjeździe tego nowiutkiego cadillaca, w środku siedział wielki pluszowy Święty Mikołaj, cały owinięty satynowymi wstążkami. Zaśmiałam się, bo to było śmieszne, ale Cletis powiedział: „Cieszysz się, co? No ja nigdy cię tak nie uszczęśliwię jak twój cudowny tatuś”. I odszedł. Myślałam, że trochę popije i wróci. Och, Lou. Ale on nie wraca. Odszedł! Pojechał do pracy na platformie w Luizjanie. Nawet nie zadzwonił. Jego matka pijaczka mi to powiedziała, kiedy przyszła po jego ubrania i siodło.

Mały Ben naprawdę zjadł swojego burgera i prawie cały deser. Potem zwymiotował na siebie i na kurtkę Belli Lynn. Rzuciła ją na tylne siedzenie, umyła Bena zmoczonymi serwetkami, a ja wyciągnęłam mu czyste ubrania i pieluchę. Ale ani razu nie zapłakał. Podobały mu się rock and roll i hillbilly z radia, i głos Belli Lynn albo jej włosy, nie spuszczał z niej wzroku.

Zazdrościłam Belli i Cletisowi, że byli tacy zakochani. Ja uwielbiałam Joego, ale zawsze się go bałam i próbowałam go zadowolić. On chyba nigdy mnie specjalnie nie lubił. Byłam nieszczęśliwa, nie tylko dlatego, że za nim tęskniłam, ale też dlatego, że wszystko się nie udało, i to chyba z mojej winy.

Opowiedziałam Belli moją krótką i smutną historię. Joe jest doskonałym rzeźbiarzem. Dostał stypendium Guggenheima, sponsora, willę i odlewnię we Włoszech, no i odszedł.

– Sztuka to jego życie.

(Nauczyłam się to mówić każdemu, dramatycznym tonem). Nie, nie płaci alimentów.

Nawet nie znam jego adresu.

Bella Lynn i ja uściskałyśmy się, trochę popłakałyśmy, a potem ona westchnęła.

– Ty przynajmniej masz jego dziecko.

– Dzieci.

– Co?

– Jestem prawie w czwartym miesiącu. To było dla Joego za wiele, kolejne dziecko.

– To będzie za wiele dla ciebie, głupia! Co ty zrobisz? Rodzice na pewno ci nie pomogą.

Kiedy twoja mama się dowie, to znowu się zabije.

– Nie wiem, co robić. I mam jeszcze jeden głupi problem... Tak bardzo chciałam tu przyjechać, ale w tej złodziejskiej firmie nie chcieli mi dać wolnego nawet w Wigilię. Więc odeszłam. Teraz będę musiała szukać pracy, będąc w ciąży.

– Musisz usunąć, Lou. Nie ma innego wyjścia.

– A niby gdzie mam to zrobić? Zresztą... nie ma różnicy, czy mam jedno dziecko, czy dwoje.

– *Będzie* różnica. I to nieprawda. Ben jest taki uroczy, bo zostałam z nim, kiedy był niemowlęciem. Teraz już urósł na tyle, żeby zostawić go pod czyjąś opieką, kiedy pójdziesz do pracy, choć strasznie szkoda go opuszczać. Ale przecież niemowlaka nie możesz zostawić.

– Cóż, jest, jak jest.

– Mówisz jak twój ojciec. Jest tak, że masz dziewiętnaście lat i jesteś ładna. Musisz znaleźć sobie dobrego, silnego, przyzwoitego faceta, który pokocha małego Bena jak własne dziecko. Ale cholernie trudno będzie ci znaleźć kogoś, kto pokocha dwoje. Chyba że jakiś święty, co to chce zbawić świat i czynić dobro, którego poślubisz z wdzięczności, a potem będziesz czuła się winna i go znenawidzisz i zakochasz się szaleńczo w jakimś szemranym saksofoniście... To będzie tragedia, tragedia, Lou. Zastanówmy się. Poważnie. Teraz mnie posłuchaj i pozwól, że się tobą zajmę. Chyba radziłam ci dotąd najlepiej, no nie?

Cóż, właściwie to zupełnie nie, ale byłam tak skołowana, że się nie odezwałam. Żałowałam, że w ogóle jej powiedziałam. Chciałam po prostu przyjechać na zjazd i być szczęśliwa, zapomnieć o wszystkich zmartwieniach. A teraz było jeszcze gorzej, moja matka znów chciała się zabić, a tata nawet nie zamierzał się pojawić.

– Czekał tutaj. Zamów nam kawę, a ja podzwonię.

Uśmiechała się i machała do ludzi, głównie facetów, którzy wołali ją z innych

samochodów przed knajpą, kiedy szła do budki telefonicznej. Stała tam bardzo długo, dwa razy wyszła, raz, żeby wziąć sweter i kawę, potem po drobne. Ben przez chwilę bawił się gałkami radia, włączał i wyłączał wycieraczki. Kelnerka na wrotkach podgrzała mi butelkę; Ben wypił i zasnął na moich kolanach.

Bella wróciła, podniosła dach, rzuciła mi uśmiech i odjechała Mesa w stronę Plazy.

– Na północ od granicy... aż do Meksyku! – śpiewała. – No dobra, Lou. Załatwione.

Sama przez to przeszłam. To okropne, ale miejsce jest bezpieczne i czyste. Pójdiesz tam dzisiaj po południu, o czwartej, i wyjdiesz jutro przed dziesiątą rano. Dadzą ci do domu antybiotyki i leki przeciwbólowe, ale to jakoś specjalnie nie boli, trochę jakbyś miała okres. Zadzwoiłam do domu i powiedziałam, że jedziemy na zakupy do Juárez i spędzimy noc w Camino Real. I tam będę z małym Benem, poznamy się lepiej, a ty dojedziesz, jak będzie po wszystkim.

– Poczekaj, Bella. Jeszcze nie zdecydowałam.

– Wiem o tym. Dlatego zdecyduję za ciebie.

– A jeśli coś pójdzie nie tak?

– Zabierzemy cię do lekarza tutaj. W Teksasie uratują ci życie i w ogóle. Tylko aborcji nie zrobią.

– A jeśli umrę? Kto się zaopiekuje Benem?

– No ja! I też będę cholernie dobrą matką.

Musiałam się roześmiać. Mówiła z sensem. Tak naprawdę zdjęła mi z ramion wielki ciężar. Żeby oprócz Bena nie martwić się jeszcze noworodkiem. Boże, co za ulga. Miała rację. Aborcja jest najlepszym rozwiązaniem. Zamknęłam oczy i oparłam się o skórzane siedzenie.

– Nie mam pieniędzy! Ile to kosztuje?

– Pięćset. Gotówką. Którą przypadkiem mam w mojej gorącej łapce. Dostałam kasę na wydanie. Za każdym razem, kiedy widzę się z mamą albo tatą – czasami tylko żeby się przytulić albo powiedzieć im, że tęsknię za Cletisem, albo zapytać, czy powinnam pójść do szkoły dla sekretarek – wciskają mi pieniądze, idź kup sobie coś ładnego.

– Znam to – powiedziałam. Znałam. Kiedyś, zanim rodzice mnie wydziedziczyli. –

Kiedyś myślałam, że gdyby wielki stary tygrys odgryzł mi rękę, a ja pobiegłabym do matki, ona wcisnęłaby mi pieniądze w kikut. Albo zażartowałyby: A co to, gdzie schowałaś drugą rączkę?

Dojechałyśmy do mostu i zapachu Meksyku. Dymu i chili i piwa. Goździków i świec i nafty. Pomarańczy i fajek Delicados i moczu. Opuściłam szybę i wystawiłam głowę, cieszyłam

się, że jestem w domu. Kościelne dzwony, muzyka ranchera, bebop, mambo. Kolędy dochodzące ze sklepów dla turystów. Klekoczące rury wydechowe, klaksony, pijani amerykańscy żołnierze z Fort Bliss. Gospodynie z El Paso, poważni zakupowicze niosący piñaty i dzbany rumu. Pojawiły się nowe centra handlowe i luksusowy hotel, w którym jeden uroczy młody człowiek odprowadził nasz samochód, drugi zabrał bagaże, a kolejny wziął na ręce Bena, nie budząc go. Dostałyśmy elegancki pokój z pięknymi obiciami i chodnikami, porządnymi sztucznymi antykami i jaskrawą sztuką ludową. Okna z okiennicami wychodziły na patio z wykafelkowaną fontanną, bujnym ogrodem, a za nimi parującym basenem. Bella dawała wszystkim napiwki i zadzwoniła po obsługę. Dzbanek kawy, rum, cola, ciastka, owoce. Miałam mleko w proszku, płatki i mnóstwo czystych butelek dla Bena, błagałam, żeby nie karmiła go słodyczami i lodami.

– Flan? – zapytała.

Skinęłam głowę.

– Flan – powiedziała do słuchawki.

Zadzwoniła też do sklepu z pamiątkami i zamówiła kostium kąpielowy w rozmiarze 38, kredki, wszystkie zabawki, jakie mieli, i magazyny modowe.

– Może powinnyśmy tutaj zostać! Całkiem olać te święta! – rzuciła.

Chodziłyśmy po terenie hotelu z Benem między nami. Byłam taka zrelaksowana i szczęśliwa, że zdziwiłam się, kiedy Bella Lynn powiedziała:

– Dobra, skarbie, musisz już jechać.

Dała mi pięćset dolarów. Kazała mi w drodze powrotnej wziąć taksówkę do hotelu i zawołać ją, żeby zapłaciła.

– Nie możesz brać ze sobą innych pieniędzy ani dokumentów. Możesz im podać moje nazwisko i ten numer.

Wsadziła mnie do taksówki, zapłaciła za kurs i powiedziała, dokąd jechać, a potem pomachali mi z Benem na do widzenia.

Taksówka zawiozła mnie do restauracji Nueva Poblana, na tylny wjazd na parking, gdzie miałam zaczekać na dwóch mężczyzn ubranych na czarno, w ciemnych okularach.

Byłam tam tylko dwie lub trzy minuty, kiedy pojawili się za mną. Szybko i cicho podjechał jakiś stary sedan. Jeden z mężczyzn otworzył drzwi i gestem kazał mi wsiąść, drugi podbiegł od drugiej strony. Kierowca, młody chłopak, rozejrzał się, skinął głową i odjechał. W tylnych oknach były zasłonki, a siedzenie tak niskie, że nie mogłam wyjrzeć; zdawało mi się, że

najpierw jeździliśmy w kółko, a potem cyk cyk cyk wypustki na autostradzie, znów kółka i stop. Skrzypienie ciężkiej drewnianej bramy. Podjechaliśmy kawałek i się zatrzymaliśmy, brama zamknęła się za nami.

Zerknęłam na dziedziniec, kiedy jakaś starsza kobieta w czerni prowadziła mnie do środka. Niby nie patrzyła na mnie z pogardą, ale fakt, że nic nie mówiła ani się nie przywitała, był tak inny od zwyczajowej meksykańskiej serdeczności i uroku, że odebrałam go jak obrazę.

Budynek z żółtej cegły, może dawna fabryka, podłoga całkiem wybetonowana, ale rosły tu nasturcje kanaryjskie, stały doniczki z dziwaczkiem jalapa i portulakami. Muzyka bolero, śmiechy i brzęk naczyń z drugiej strony podwórza. Gotujący się kurczak, zapach cebuli i czosnku, komosy piżmowej.

Jakaś groźnie wyglądająca kobieta skinęła na mnie zza biurka, a kiedy usiadłam, uścisnęła mi dłoń, ale się nie przedstawiła. Zapytała o moje nazwisko i poproszę pięćset dolarów. Nazwisko i numer do osoby, którą zawiadomić w razie czego. O nic więcej nie pytała, a ja nic nie podpisywałam. Słabo mówiła po angielsku, ale nie odzywałam się po hiszpańsku ani do niej, ani do nikogo innego, bo uznałam, że to zbyt poufałe.

– O piątej doktor przyjdzie. Będzie badanie, w macicę włożony zgłębnik. W nocy wywołać skurcze, ale lek na sen, nie czuje się źle. Po kolacji bez jedzenia i wody. Zwykle wcześniej rano samorzutna aborcja. O szóstej pojedzie na salę operacyjną, zaśnie, będzie łyżeczowanie macicy. Obudzi się w swoim łóżku. Damy ampicylinę na infekcję i kodeinę na ból. O dziesiątej samochód zabierze do Juárez albo na lotnisko w El Paso, albo na autobus.

Tamta starsza kobieta zaprowadziła mnie do łóżka, które znajdowało się w ciemnym pokoju razem z sześcioma innymi. Na palcach pokazała godzinę piątą, potem łóżko, a potem gestem wskazała jeszcze świetlicę po drugiej stronie korytarza.

Było tak cicho, że zdziwiłam się, widząc w pokoju ze dwadzieścia kobiet, same Amerykanki. Trzy dziewczynki, właściwie dzieci, ze swoimi matkami. Pozostałe same, czytały gazety, siedziały. Cztery były po czterdziestce, może nawet po pięćdziesiątce... ciąży z klimakterium, założyłam, co okazało się prawdą. Reszta była tuż przed albo niewiele po dwudziestce. Wszystkie wyglądały na przestraszone, zdezorientowane, ale przede wszystkim ogromnie zawstydzone. Jakby zrobiły coś okropnego. Wstyd. Raczej nie było między nimi więzi; moje pojawienie się ledwie zauważono. Jakaś ciężarna Meksykanka myła podłogę brudnym wilgotnym mopem, gapiąc się na nas z nieskrywaną ciekawością i pogardą. Poczulałam wobec niej

nieuzasadniony gniew. Co mówisz swojemu księdzu, suko? Nie masz męża, za to masz siedmioro dzieci... musisz pracować w tym parszywym miejscu, żeby nie umrzeć z głodu? Boże, to pewnie była prawda. Poczulałam zmęczenie, ogromny smutek, z jej powodu, z powodu nas wszystkich w tym pokoju.

Wszystkie byłyśmy same. Najbardziej pewnie te młode dziewczyny, bo choć dwie z nich płakały, to matki wyglądały na zdystansowane, gapiły się przed siebie, odizolowane we własnym wstydzie i gniewie. Samotne. Łzy napłynęły mi do oczu, bo Joe odszedł, bo mojej matki nie było, nigdy.

Nie chciałam aborcji. Nie potrzebowałam aborcji. Scenariusze, które prawdopodobnie spotkały pozostałe kobiety w tym pokoju, były okropne, bolesne, niemożliwe. Gwałt, kazirodztwo, same straszne rzeczy. Ja mogłam się zająć dzieckiem. Będziemy rodziną. Ono i Ben i ja. Prawdziwą rodziną. Może oszalałam. Ale przynajmniej to będzie moja decyzja. Bella Lynn zawsze mi mówi, co mam robić.

Wysłałam na korytarz. Chciałam zadzwonić do Belli Lynn i wyjechać. Wszystkie pomieszczenia były zamknięte, oprócz kuchni, ale kucharki mnie stamtąd wygoniły.

Trzasnęły jakieś drzwi. Przyjechał lekarz. Bez wątpienia lekarz, choć wyglądał jak argentyńska gwiazda filmowa albo piosenkarz z nocnego klubu w Las Vegas. Stara kobieta pomogła mu zdjąć płaszcz z wielbłądziej wełny i szal. Drogi jedwabny garnitur, rolex na rękę. To arogancja i władczość określały go jako lekarza. Smagły, niesamowicie seksowny, chodził miękko jak złodziej.

Chwycił mnie za ramię.

– Wracaj do pozostałych, kochana, czas na badanie.

– Zmieniłam zdanie. Chcę wyjechać.

– Idź do pokoju, skarbie. Niektóre zmieniają zdanie tuzin razy w ciągu godziny.

Porozmawiamy później... No dalej. *Ándale!*

Znalazłam swoje łóżko. Pozostałe kobiety siedziały na brzegach swoich. Dwie z tych młodych. Stara kobieta kazała nam się rozebrać, włożyć koszule. Ta naprawdę młoda dziewczyna cała się trzęsła, niemal w histerii ze strachu. Zaczął od niej i muszę przyznać, był cierpliwy i spokojny, ale ona go uderzyła, kopnęła swoją matkę. Dał jej zastrzyk i przykrył kocem.

– Wróć. Proszę się uspokoić – powiedział do matki.

Druga młoda dziewczyna także dostała coś na uspokojenie, zanim zaczął pobieżne

badanie. Pytał nas o historię chorób, osłuchiwał stetoskopem serca, mierzył temperaturę i ciśnienie. Nie pobrano od nas próbek moczu ani krwi. Każdą z pacjentek szybko zbadał ginekologicznie, skinął głową i wtedy stara kobieta zaczęła nam po kolei wpychać do macic długą kroplówkę, wciskając ją do środka powoli, jakby nadziewała indyka. Nie miała rękawiczek, chodziła od jednej pacjentki do drugiej. Niektóre płakały, jakby je bardzo bolało.

– To wywoła dyskomfort – powiedział do nas lekarz. – Spowoduje skurcze i zdrowe, naturalne odrzucenie płodu.

Badał teraz starszą kobietę obok mnie. Kiedy zapytał o datę ostatniej miesiączki, powiedziała, że nie wie... przestała miesiączkować. Długo ją badał.

– Przykro mi – powiedział. – To już później niż piąty miesiąc. Nie mogę ryzykować.

Jej również podał coś na uspokojenie. Nieszczęśliwa gapiała się w sufit. O Jezu Chryste. Chryste.

– Proszę, kogo tu mamy. Nasza mała uciekiniarka. – Wsunął mi termometr do ust i założył rękaw na ramię, drugie przytrzymując. Kiedy puścił, żeby osłuchać serce, wyjęłam termometr.

– Chcę wyjść. Zmieniłam zdanie.

Nie słyszał mnie, miał w uszach stetoskop. Osłuchując płuca, złapał mnie za pierś, bezczelnie się uśmiechając. Cofnąłam się z wściekłością. Powiedział po hiszpańsku do starej kobiety:

– Ta mała zdzira zachowuje się tak, jakby nikt nigdy nie dotykał jej cycka.

Odezwałam się po hiszpańsku, mówiąc coś w stylu: „Ty go nie będziesz dotykał, dupku”. Zaśmiał się.

– Ależ to bezczelne kazać mi męczyć się z angielskim!

Potem przeprosił i zaczął mówić, jak cyniczny i zgorzkniały staje się człowiek po piętnastu, dwudziestu przypadkach dziennie. Tragiczne, ale konieczne w zawodzie. I tak dalej. Kiedy skończył, było mi szkoda *jego* i, Boże dopomóż, wpatrywałam się w jego duże brązowe szkliste oczy, kiedy gładził moją rękę.

Ale do rzeczy.

– Proszę posłuchać, doktorze, nie chcę tego robić i chciałabym wyjechać.

– Zdajesz sobie sprawę, że opłata jest bezzwrotna?

– W porządku. I tak nie chcę tego zrobić.

– *Muy bien*. Obawiam się, że mimo to będziesz musiała tutaj spędzić noc. Jesteśmy daleko od miasta, a kierowcy wrócą dopiero rano. Dam ci coś na uspokojenie, żebyś zasnęła. O dziesiątej rano pojedziesz. Ale jesteś pewna, *m'ija*, że tego chcesz? Masz ostatnią szansę.

Skinęłam głowę. Trzymał mnie za rękę. Jakby pocieszał. Bardzo chciało mi się płakać, pragnęłam przytulenia. Czego człowiek nie zrobi dla odrobiny pocieszenia.

– Mogłabyś mi pomóc – powiedział. – To dziecko w kącie jest w ciężkim szoku. Z jej matką kiepsko, nie wspiera jej. Podejrzewam ojca albo jakąś wyjątkowo paskudną sytuację. Ona naprawdę powinna usunąć tę ciążę. Pomożesz mi? Uspokoisz ją wieczorem?

Podeszłam z nim do łóżka dziewczyny, przedstawiłam się. Na jego prośbę wyjaśniłam, co zamierza zrobić, czego się spodziewać, obiecałam, że to bezpieczne i proste i że wszystko będzie dobrze. Teraz posłucha twojego serca i płuc... Teraz doktor musi zbadać cię w środku... (Mówił, że nie będzie bolało. Powiedziałam jej, że będzie). Musi to zrobić, by się upewnić, że wszystko jest w porządku.

I tak się opierała. *A fuerzas!*, powiedział. Siłą. Stara kobieta i ja trzymałyśmy ją razem. Potem trzymaliśmy ją lekarz i ja, mówiliśmy do niej, próbowaliśmy uspokoić, podczas gdy stara kobieta wciskała w drobne ciało rurkę, metr za metrem. Gdy było po wszystkim, przytuliłam dziewczynę; przylgnęła do mnie, szlochając. Jej matka z kamienną twarzą siedziała na krześle przy łóżku.

– Jest w szoku? – zapytałam lekarza.

– Nie, jest pijana jak bela.

Na te słowa kobieta osunęła się na podłogę; położyliśmy ją na łóżku obok.

Potem lekarz i stara kobieta wyszli do dwóch pozostałych sal pełnych pacjentek. Pojawiły się dwie młode Indianki, niosły tace z kolacją.

– Chcesz, żebym zjadła tutaj z tobą? – zapytałam dziewczynę.

Skinęła głowę. Miała na imię Sally, przyjechała z Missouri. Nic więcej nie mówiła, ale jadła, żarłocznie. Nigdy przedtem nie próbowała tortilli, szkoda, że nie ma zwykłego chleba. Co to jest? Awokado. Dobre. Nałóż razem z mięsem na tortillę. I zawiń, o tak.

– Twoja mama da radę? – zapytałam.

– Rano będzie chora. – Sally podniosła materac. Pod nim leżała mała butelka Jima Beama. – Jeśli mnie tu nie będzie, a ty będziesz, to dla niej. Potrzebuje tego, żeby nie chorować.

– Wiem. Moja matka też pije – powiedziałam.

Potem zabrali tace i stara kobieta przyniosła nam do połknięcia wielkie seconale. Młode dziewczyny dostały zastrzyki. Stara kobieta zawahała się przy matce Sally i śpiącej kobiecie również dała zastrzyk na uspokojenie.

Leżałam w łóżku. Pościel była szorstka, pachniała jak suszona na słońcu, dobrze, a szorstki meksykański koc pachniał surową wełną. Przypomniały mi się lata w Nacogdoches.

Lekarz nawet się nie pożegnał. Może Joe wróci do domu. Rany, ależ byłam nierozsądna. Może powinnam jednak usunąć. Nie nadaję się do wychowywania jednego, a co dopiero dwójki dzieci. Dobry Boże... co powinnam... Zasnęłam.

Doszedł do mnie skądś okropny szloch. W sali było ciemno, ale w słabym świetle z korytarza dostrzegłam, że łóżko Sally jest puste. Wybiegłam na korytarz. Na początku nie mogłam ruszyć drzwi od łazienki. Leżała oparta o nie plecami, nieprzytomna, blada jak trup. Wszędzie była krew. Bardzo krwawiła, zawinięta w zwoje i zwoje rurek jak oszalały Laokoon. Do rurek przykleiły się grudki krwawej substancji. Rurki wyginały się i odkształcały, wijąc się wokół, jakby były żywe. Czułam puls, ale nie mogłam jej dobudzić.

Pobiegłam korytarzem, waląc w kolejne drzwi, aż obudziłam starą kobietę. Wciąż była w białym uniformie; włożyła buty i poszła do łazienki. Spojrzała tylko i pobiegła do biura, do telefonu. Czekałam na zewnątrz, nasłuchując. Kopnięciem zamknęła drzwi.

Wróciłam do Sally, umyłam jej twarz i ręce.

– Lekarz jedzie. Idź do sali – powiedziała stara kobieta.

Były z nią Indianki. Złapały mnie i wsadziły do łóżka, a kobieta zrobiła mi zastrzyk.

Obudziłam się w sali wypełnionej słonecznym blaskiem. Zobaczyłam sześć starannie pościelonych pustych łóżek, na nich jaskraworóżowe narzuty. Kanarki i zięby śpiewały na dworze, a ciemnoróżowa bugenwilla szeleściła na wietrze o otwarte okiennice. Moje ubrania leżały w nogach łóżka. Zabrałam je do łazienki, nieskazitelnie już czystej. Umyłam się, ubrałam i uczesałam. Po lekach wciąż chodziłam niepewnie. Kiedy wróciłam do sali, pozostałe kobiety zaczęto na noszach przywozić do łóżek. Ta, która nie miała aborcji, siedziała na krześle, wyglądała przez okno. Indianki przyszły z tacami, a na nich *café con leche*, *pan dulce*, plastry pomarańczy i arbuza. Niektóre kobiety zjadły śniadanie, inne wymiotowały do basenów albo z trudem szły do łazienki. Wszyscy poruszali się w zwolnionym tempie.

– *Buenos días*.

Lekarz miał długi zielony fartuch, maskę pod brodą, zmierzwione długie czarne włosy.

Uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że dobrze spałeś – powiedział. – Odjedziesz pierwszym samochodem, za parę minut.

– Gdzie jest Sally? Gdzie jej matka? – Język miałam spuchnięty. Z trudem wymawiałam słowa.

– Sally potrzebowała transfuzji.

– Jest tutaj? – Żyje? To słowo nie chciało wyjść.

Złapał mnie za nadgarstek.

– Sally nic nie jest. Masz wszystko? Samochód zaraz odjeżdża.

Pięć z nas pospieszono korytarzem, na dwór i do samochodu. Odjechaliśmy, słysząc dźwięk zamykanej za nami bramy.

– Kto jedzie na lotnisko w El Paso?

Wszystkie oprócz mnie jechały na lotnisko.

– Proszę mnie wysadzić przy moście, po stronie Juárez – powiedziałam.

Jechaliśmy dalej. Żadna z nas się nie odezwała. Bardzo chciałam rzucić coś głupiego, na przykład „Jaki piękny dzień, prawda?”. Bo rzeczywiście był piękny, świeży i pogodny, niebo miało kolor krzykliwego meksykańskiego błękitu.

Jednak cisza w aucie była nieprzenikniona, ciężka od wstydu, cierpienia. Zniknął tylko strach.

Harmider i zapachy centrum Juárez nie zmieniły się, odkąd byłam dziewczynką. Poczułam się mała, chciałam pochodzić po okolicy, ale machnęłam na taksówkę. Okazało się, że hotel jest ledwie kilka ulic dalej. Portier zapłacił taksówkarzowi. Bella Lynn o to zadbała. Są w pokoju, powiedział.

W pokoju panował totalny chaos. Ben i Bella leżeli na łóżku, śmiejąc się, drąc czasopisma i rzucając kolejne strony w powietrze.

– To jego ulubiona zabawa. Zostanie krytykiem, kiedy dorośnie?

Wstała i uściskała mnie, patrząc mi w oczy.

– Rany Julek! Nie zrobiłaś tego. Ty niemądra! Ty głupia!

– Nie, nie zrobiłam!

Przytuliłam Bena, och, jak kochałam jego zapach, kościstą małą istotkę. Gaworzył coś. Widać było, że dobrze się bawili.

– Nie, nie zrobiłam. I tak musiałam zapłacić, ale oddam ci pieniądze. Tylko nie praw mi kazań. Bello, tam była taka dziewczyna, Sally...

Ludzie mówią, że Bella Lynn jest rozpuszczona i trzpiotowana. O nikogo nie dba. Ale nikt nie rozumie tak jak ona... Od razu wiedziała. Nie musiałam nic mówić, choć oczywiście później wszystko opowiedziałam. Tylko płakałam, ona też, i Ben.

Jednak my, Moynihanowie, płaczemy albo się wściekamy, i już. Najpierw zmęczył się Ben i zaczął skakać po łóżku.

– Słuchaj, Lou, oczywiście, że nie będę prawić ci kazań. Cokolwiek zrobisz, ja to zaakceptuję. Teraz tylko chcę wiedzieć, co robimy. Tequila sunrise? Lunch? Zakupy? Bo ja konam z głodu.

– Ja też. Chodźmy coś zjeść. No i muszę kupić jakiś prezent dla twojej babci i Rexa Kippa.

– Ben, pasuje ci? Potrafisz powiedzieć „zakupy”? Musimy nauczyć dzieciaka priorytetów. Zakupy!

Room service dostarczył kurtkę z frędzlami Belli. Obie się przebrałyśmy, umalowałyśmy, ubrałyśmy Bena. Myślałam przez chwilę, że dostał wysypki, ale to były tylko uszminekowane całusy Belli na całej jego buzi.

Zjadłyśmy lunch w pięknej jadalni. Radosne, nie przejmując się niczym. Młode, ładne i wolne, cała przyszłość przed nami. Plotkowałyśmy, śmiałyśmy się i wymyślałyśmy opowieści o życiu innych gości w restauracji.

– No dobra, w końcu musimy wrócić do domu na ten zjazd – powiedziałam przy trzeciej kawie i kahlui.

Kupiłyśmy prezenty i wiklinowy koszyk, by do niego wszystko włożyć, łącznie z zabawkami z całego pokoju. Kiedy wychodziłyśmy, Bella Lynn westchnęła.

– Hotele są takie przytulne, zawsze nienawidzę wyjeżdżać...

Za gigantycznymi frontowymi drzwiami wiejskiego domu wuja Tylera Roy Rogers i Dale Evans wyśpiewywali kolędy. W środku ustawiono też maszynę do baniek, więc pierwsze spojrzenie na ogromną choinkę przysłaniała mydlana tęcza.

– Rany Julek, to jakby przejeżdżać przez myjnię samochodową! I tylko spójrz na dywan. Bella Lynn wyłączyła maszynę i muzykę.

Zeszłyśmy po kamiennych schodkach do kolosalnego salonu. Polana, drzewa w całości,

ogień w kominku. Krewni ciotki Tiny rozwaleni na skórzanych kanapach i fotelach z podnóżkami oglądali futbol w telewizji. Ben od razu usiadł; do tej pory nie widział telewizora. Uroczy maluch, nigdy nie był poza domem, wszystko przyjmował z taką naturalnością.

Bella Lynn nas przedstawiła, ale większość gości ledwie skinęła nam głowami i rzuciła spojrzenie znad talerza albo meczu. Wszyscy byli wystrojeni jak na pogrzeb albo wesele, choć i tak wyglądali jak małorolni chłopci albo ofiary tornada.

Weszliśmy z powrotem na górę.

– Nie mogę się doczekać, aż zobaczę ich na jutrzejszym przyjęciu taty. Rano odbierzemy wujka Johna, a potem zgarniemy twoją mamę. Później ma być wielkie otwarte przyjęcie w domu. Głównie kawalerowie na wydaniu, więc żaden nam się nie spodoba. Ale przyjdzie też wielu starych znajomych, którzy chcą zobaczyć ciebie i dziecko.

– Jezusie nasz Zbawco!

To była stara pani Veeder, matka Tiny. Porwała Bena na ręce, upuszczając laskę, i podskakiwała z nim wokół całej jadalni. Śmiał się, myślał, że to zabawa, kiedy tak wpadali na szafki i regały z porcelaną, aż trzęsły się kryształki. Jedno z ulubionych powiedzeń mojej matki to „życie jest pełne niebezpieczeństw”. Pani Veeder odkuśtykała z Benem do swojego pokoju, gdzie odkrył drugi telewizor, w którym leciały opery mydlane, i dosyć gratów na łóżku, by zabawiać małego miesiącami. Solniczki w kształcie latrynek zwędzone z restauracji, pudełko na papier toaletowy w kształcie pudli, zamshowe woreczki, bransoletki z brakującymi kamieniami. Wszystko zmęczone, w trakcie przerabiania na prezenty świąteczne. Pani Veeder i Ben razem padli na łóżko. Ben siedział tam z nią godzinami, przeżuując świecące w ciemności figurki Jezusa, podczas gdy ona pakowała prezenty w wygnieciony papier i wiązała je splątanymi wstążkami. Śpiewając *Jezus mnie kocha, kocha, wiem! Biblia tak mówi, nie myli się!*

Stół w jadalni przypominał reklamę szwedzkiego bufetu na statkach wycieczkowych. Stałam, gapiąc się na zimną płytę, sałatki, żeberka barbecue, galaretę, krewetki, sery, ciasta, zapiekanki, zastanawiając się, kto to zje, aż nagle wszystko zaczęło zniknąć na moich oczach, kiedy krewni Tiny wparowywali jeden po drugim, robiąc ukradkowe najazdy i wycofując się z powrotem na mecz.

Esther pracowała w kuchni, w czarnym mundurku, nachylona nad wielką balią nadzienia do tamales. Zapiekanki z mięsem czekały w piekarniku. Bella Lynn uściskała Esther, jakby nie widziały się od miesiący.

– Dzwonił?

– Oczywiście, że nie, skarbie. I nie zadzwoni.

Esther przytuliła ją, lekko kołysząc. Zajmowała się Bellą Lynn od dzieciństwa. Ale nie rozpieszczała jej jak wszyscy pozostali. Kiedyś myślałam, że jest wredna. Cóż, bo właściwie to jest. Powitała mnie słowami: „No no, patrzcie państwo... kolejna bezmyślna!”. Mnie także przytuliła. Była niewielką chudą kobietą, ale obejmowała cię całego.

– Gdzie jest to biedne dziecko? – Poszła zobaczyć Bena, wróciła i uściskała mnie znowu.

– Cudowne maleństwo. Cudowne dziecko. Jesteś wdzięczna, dziewczyno?

Skinęłam głową, uśmiechając się.

– Możemy ci pomóc robić tamales – powiedziałam. – Tylko przywitam się z Tylerem i Rexem. I ciocią Tiny. Jest...?

– Nie schodzi na dół. Ma na górze podgrzewany koc, radio i alkohol. Nie, raczej jakiś czas tam zostanie.

– I dzięki Bogu – powiedziała Bella.

– Idźcie zanieść jedzenie tym zdziecinniałym mężczyznom w warsztacie. Weźcie dużo krewetek dla Rexa.

„Warsztat” Tylera był tak naprawdę starym domem z suszonej cegły, z dużą bawialnią i pokojem gościnnym, gigantycznym pokojem pełnym broni, nowej i zabytkowej. W bawialni stał wielki kominek, na ścianach wisiały myśliwskie trofea, na wykafelkowanej podłodze leżały niedźwiedzie skóry. W łazience był dywan z piersi, gumowych piersi wszystkich kolorów i rozmiarów – prezent dla Tylera od Barry’ego Goldwatera, który kiedyś kandydował na prezydenta USA.

Było już ciemno, zimno i pogodnie. Ruszyłam ścieżką za Bellą Lynn.

– Latawice! Białe dziry!

Sapnęłam zaskoczona. Bella się roześmiała.

– To tylko mama, na dachu.

Rex i wujek Tyler ucieszyli się na mój widok. Powiedzieli, żeby dać im znać, kiedy Joe znów postawi stopę na amerykańskiej ziemi, to rozedrą go na strzępy. Pili bourbona i spisywali listy. W pokoju pełno było toreb z zakupami. Co roku wozili prezenty do domów starców, szpitali dziecięcych i sierocińców. Wydawali tysiące i tysiące. Ale nie tylko wypisywali czeki. Lubili wybierać prezenty, a potem zawozić je razem z jedzeniem i Świętymi Mikołajami.

W tym roku uknuli nowy plan, ponieważ Rex miał samolot. Pipera, którym wylądował na południowym pastwisku Tylera. W Wigilię zamierzali zrzucić torby z zabawkami i jedzeniem nad slumsami Juárez. Obaj zaśmiewali się i planowali dalej.

– Ale tato – odezwała się Bella. – Co zrobimy z mamą? I ciocią Mary? No i co z Lou, i ze mną? Tygrysy zrobiły jej dziecko i uciekły z moim mężem.

– Obyście miały piękne suknie na jutrzejsze przyjęcie. Przyjedzie catering, ale Esther i tak będzie potrzebować pomocy. Rex, ile cukrowych lasek bierzemy dla tych kalekich dzieci?

Zapiski z ostrego dyżuru, 1977

Na ostrym dyżurze nie słyhać syren – kierowcy wyłączają je na Webster Street. Kątem oka widzę czerwone światła cofania karetek ACE albo United Ambulance. Zwykle się ich spodziewamy, zawiadomieni przez radio, tak jak pokazują w telewizji. „Miejski jeden, tutaj ACE, kod drugi. Mężczyzna, czterdzieści dwa lata, rana głowy, ciśnienie 190 na 110. Przytomny. Szacowany czas przybycia trzy minuty”. „Miejski jeden... 76542 przyjęłam”.

Jeśli pojawia się kod trzeci, zagrożenie życia, lekarz i pielęgniarki wychodzą przed wejście i czekają, rozmawiając. Wewnątrz, w sali numer sześć, na urazówce znajduje się zespół kodu niebieskiego. EKG, radiolodzy, terapeuci oddechowi, pielęgniarki kardiologiczne. Zwykle jednak przy kodzie niebieskim kierowcy karetek czy strażacy są zbyt zajęci, by się meldować. Straż pożarna z Piedmont nigdy tego nie robi, a oni mają najgorszych. Rozległe zawały, leciwe kobiety po tabletkach, dzieci w basenach.

Przez całe dni ciężkie, przypominające karawany karetki cadillaki podjeżdżają tyłem na lewo od parkingu. Przez całe dni tuż za moim oknem ich nosze żeglują na kobalt, radioterapię. Karetki są szare, kierowcy ubrani na szaro, koce są szare, pacjenci są żółtoszarzy poza miejscami, w których lekarze naznaczyli iksem ich czaszki lub gardła rażącym czerwonym markerem.

Pytali, czy chcę tam pracować. Nie, dzięki. Nie znoszę przedłużających się pożegnań. Dlaczego wciąż opowiadam niesmaczne kawały o śmierci? Teraz traktuję ją bardzo poważnie. Uczę się jej. Nie bezpośrednio, tylko węższąc dokoła. Postrzegam śmierć jak osobę... a czasami wiele osób mówiących cześć. Niewidoma pani Diane Adderly, pan Gionotti, Madame Y, moja babcia.

Madame Y jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam. Naprawdę wygląda jak martwa, ma przezroczystą błękitnobiałą skórę, a jej pięknie wyrzeźbiona orientalna twarz jest spokojna i bez wieku. Madame Y nosi czarne spodnie i botki, żakiety z mandaryńskim kołnierzem szyte i zdobione w Azji? We Francji? Może w Watykanie – ważą tyle co biskupia szata. Albo fartuch rentgenowski. Ręcznie wyszywane lamówki w kolorach mocnej fuksji, purpury i pomarańczy.

Jej bentley podjeżdża o dziewiątej, prowadzi go nonszalancki Filipińczyk, który potem na parkingu niczym lokomotywa pali szermana za szermanem. Dwóch synów Madame Y,

wysokich, w garniturach *made in Hongkong*, odprowadza ją z samochodu do wejścia na radioterapię. Stamtąd jeszcze długa droga korytarzem. Tylko ona przechodzi ją sama. Na końcu odwraca się do synów, uśmiecha i skłania. Oni odpowiadają ukłonem i czekają, aż matka dojdzie do końca korytarza. Kiedy znika, idą na kawę albo rozmawiają przez telefon.

Półtorej godziny później wszyscy pojawiają się znowu jednocześnie. Ona, z dwiema fioletowymi plamkami na kościach policzkowych, synowie, Bentley z Filipińczykiem. I odpływają. Migotliwy połysk srebrnego samochodu, jej czarne włosy, jedwabny żakiet. Cały rytuał milczący i płynny niczym krew.

Teraz już nie żyje. Nie jestem pewna, kiedy to się stało, miałam wtedy wolne. I tak zawsze wydawała się martwa, ale w miły sposób, jak na ilustracji albo w reklamie.

Lubię pracę na ostrym dyżurze. Krew, kości, ścięgna są dla mnie potwierdzeniem. Zadziwia mnie ludzkie ciało, jego wytrzymałość. Dzięki Bogu – bo miną godziny do prześwietlenia albo demerolu. Może to chore. Fascynują mnie dwa palce przywiezione w woreczku, lśniące ostrze wbite w szczupłe plecy alfonsa. Lubię to, że na ostrym dyżurze wszystko można naprawić, albo nie.

Kod niebieski. Cóż, wszyscy kochają kod niebieski. Wtedy ktoś umiera – zatrzymuje się jego serce, pacjent przestaje oddychać – ale zespół pogotowia może przywrócić mu życie (i często to robi). Nawet jeśli pacjent to zmęczony osiemdziesięciolatek, trudno się oprzeć i wciąga cię dramat resuscytacji, choćby na chwilę. Wiele żyć, młodych i z perspektywami, zostaje ocalonych.

Tempo i podekscytowanie dziesięciu czy piętnastu osób, aktorów... jak premiera w teatrze. Pacjenci, jeśli są przytomni, również biorą udział, choćby sprawiając wrażenie zainteresowanych tym, co się dzieje. Nigdy nie wyglądają na przestraszonych.

Jeśli z pacjentem jest rodzina, moim zadaniem jest wydobyć od niej niezbędne dane i informować ją o przebiegu wydarzeń. Głównie uspokajając.

Podczas gdy członkowie personelu myślą w kategoriach złych lub dobrych kodów – jak dobrze każdy zrobił to, co miał zrobić, czy pacjent zareagował dobrze, czy nie – ja myślę w kategoriach dobrych lub złych śmierci.

Złe śmierci to takie, kiedy najbliższym krewnym jest menedżer hotelu albo kiedy sprzątaczką po dwóch tygodniach znajduje ofiarę zawału umierającą z odwodnienia. Naprawdę złe śmierci to takie, kiedy wzywam dzieci lub krewnych, choć im to nie po drodze, i okazuje się,

że nie znają albo siebie nawzajem, albo umierającego rodzica. Nie ma wtedy nic do powiedzenia. Rozmawiają o sprawach do załatwienia, że trzeba załatwić sprawy, kto załatwi sprawy.

Cyganie to dobre śmierci. Tak sędzę... Pielęgniarki i ochroniarze sądzą inaczej. Cyganów są zawsze całe tuziny, chcą być przy umierającej osobie, całować ją i przytulać, odłączają i psują telewizory i monitory i inną aparaturę. Najlepsze w cygańskich śmierciach jest to, że nigdy nie uciszają swoich dzieci. Dorośli zawodzą i płaczą i szlochają, ale dzieci nieustannie biegają w kółko, bawią się i śmieją i nikt im nie mówi, że mają być smutne i okazywać szacunek.

Dobre śmierci to dobre z pozoru kody – pacjent cudem reaguje na wszystkie te zabiegi ratujące życie, a potem po prostu cicho odchodzi.

Śmierć pana Gionottiego była dobra... Rodzina posłuchała prośby personelu, by zostać na zewnątrz, ale jedno po drugim wchodzili pojedynczo, dając znać panu Gionottiemu o swojej obecności, a potem wychodzili, by zapewnić pozostałych, że lekarze robią wszystko, co trzeba. Było ich wielu, siedzieli, stali, dotykali, palili, czasami się śmiali. Miałam wrażenie, że biorę udział w świętowaniu, w rodzinnym zjeździe.

Jedno o śmierci wiem na pewno. Im „lepszy” człowiek, im bardziej kochający i szczęśliwy i troskliwy, tym mniejszą lukę pozostawia jego śmierć.

Kiedy pan Gionotti umarł, to cóż, był martwy, a pani Gionotti płakała, wszyscy płakali, ale wszyscy płakali wspólnie, właściwie to razem z nim.

Ktoregoś wieczoru w autobusie numer 51 spotkałam niewidomego pana Adderly'ego. Jego żona Diane Adderly zmarła kilka miesięcy wcześniej, przed przyjazdem do szpitala. Znalazł jej ciało na dole schodów, wyczuł je laską. Francowata pielęgniara McCoy wciąż powtarzała, żeby przestał płakać.

– To naprawdę nic nie pomoże, panie Adderly.

– Nic nie pomoże. Tylko tyle mogę. Proszę dać mi spokój.

Kiedy usłyszał, że McCoy wyszła, by załatwić formalności, powiedział mi, że nigdy dotąd nie płakał. Bał się, z powodu oczu.

Założyłam mu obrączkę żony na mały palec. W staniku miała ponad tysiąc dolarów w sfatygowanych banknotach, które wsadziłam do jego portfela. Powiedziałam mu, że nominały to pięćdziesiątki, dwudziestki i setki i że ktoś powinien mu pomóc zrobić z tym porządek.

Kiedy spotkałam go później w tym autobusie, widać pamiętał mój chód albo zapach. Z początku go nie zauważyłam – wsiadłam do autobusu i opadłam na pierwsze wolne siedzenie. On

wstał z przedniego, obok kierowcy, żeby usiąść koło mnie.

– Witaj, Lucio – powiedział.

Był bardzo zabawny, opisywał swojego nowego bałaganiarskiego współlokatora w Domu dla Niewidomych Hilltop. Nie mogłam zrozumieć, skąd wiedział, że współlokator jest bałaganiarzem, ale potem zrozumiałam i opowiedziałam mu o moim wyobrażeniu dwóch ślepych współlokatorów w stylu braci Marx: krem do golenia na spaghetti, ślizganie się na rozlanym sosie itd. Śmialiśmy się i milczeliśmy, trzymaliśmy się za ręce... od Pleasant Valley do Alcatraz Avenue. On cicho płakał. Ja płakałam z powodu swojej samotności, swojej ślepoty.

Pierwszego wieczoru mojej pracy na ostrym dyżurze karetka przywiozła kobietę N.N. Brakowało wtedy personelu, więc kierowcy karetki i ja rozebraliśmy ją, ściągając podarte rajstopy z pokrytych żyłakami nóg, paznokcie u stóp zawijały się jak u papugi. Wyjęliśmy dokumenty, nie ze zszarzałego stanika w cielistym kolorze, ale przyklejone do obwisłych piersi. Zdjęcie młodego mężczyzny w mundurze piechoty morskiej: George 1944. Trzy wilgotne kupony na pokarm dla kotów i niewyraźną czerwono-biało-niebieską kartę ubezpieczeniową. Miała na imię Jane. Jane Daugherty. Poszukaliśmy w książce telefonicznej. Żadnej Jane, żadnego George'a.

Jeśli ktoś jeszcze nie ukradł im portfela, stare kobiety zawsze mają ze sobą tylko sztuczną dolną szczękę, rozkład autobusu numer 51 i notes z adresami bez nazwisk.

Razem z kierowcami zbierałam strzępki informacji, dzwoniłszy do hotelu California do Annie, podkreślonej, do sprzątaczek z Five-Spot. Czasami trzeba po prostu poczekać, aż jakiś krewny zadzwoni, szukając pacjenta. Telefon na ostrym dyżurze dzwoni cały dzień. „Czy jest u was _____?”. Starzy ludzie. Nie wiem, co myśleć o starych ludziach. Czasami wydaje mi się stratą czasu robienie endoprotezy biodra albo by-passów jakiemuś dziewięćdziesięciopięciolatкови, który szepcze: „Proszę, pozwólcie mi odejść”.

Dziwne, że starzy ludzie tak często upadają, tak często biorą kąpiele. Ale może to dla nich ważne, by samodzielnie iść, stać na własnych nogach. Czasami wydaje się, że upadają celowo, jak ta kobieta, która połknęła wszystkie tabletki przeczyszczające, żeby tylko uciec z domu opieki.

Pielęgniarki i zespoły karetek często sobie żartują i flirtują. „Narka i szwów parka”. Kiedyś mnie to szokowało, te wszystkie żarty w trakcie tracheotomii albo golenia pacjenta przed operacją. Osiemdziesięcioletnia kobieta ze złamaną miednicą szlochająca: „Niech mnie ktoś

trzyma za rękę! Proszę mi dać rękę!”. Kierowcy karettek nawijający o Oakland Stompers. „Złap ją za tę cholerną rękę!”. Spojrzał na mnie jak na wariatkę. Teraz już rzadko trzymam kogoś za rękę i często żartuję, choć nie przy pacjentach. Mnóstwo tu napięcia i ciśnienia. To wyczerpujące nieustannie tkwić między życiem a śmiercią.

Jeszcze bardziej wyczerpujący – i to prawdziwa przyczyna napięcia i cynizmu – jest fakt, że wielu pacjentów przyjeżdżających na ostry dyżur to wcale nie ostre przypadki, to właściwie żadne przypadki. Zaczynasz tęsknić za porządną raną od noża albo postrzałową. Przez cały dzień, całą noc przychodzą tu ludzie, bo stracili apetyt, mają nieregularne wypróżnienia, sztywny kark, czerwony albo zielony mocz (co zawsze oznacza, że na lunch zjedli buraki albo szpinak).

Słyszycie czasem te syreny w tle, w środku nocy? Więcej niż jedna z nich zabierze jakiegoś starego faceta, któremu skończyło się tanie wino.

Karta za kartą. Stany lękowe. Migreny. Hiperwentylacja. Zatrucie alkoholowe. Depresja. (To są diagnozy – pacjenci twierdzą, że mają raka, zawał serca, zator płucny, duszą się). Każdy z tych pacjentów to setki dolarów, za karetkę, prześwietlenie, badania laboratoryjne, EKG. Karetki kosztują, my kosztujemy, lekarz kosztuje, a pacjent ucina sobie drzemkę, póki nie przyjedzie po niego taksówka opłacona talonem. Boże, czy stałam się równie nieludzka jak siostra McCoy? Strach, bieda, alkoholizm, samotność to choroby śmiertelne. Ostre przypadki.

Dostajemy też oczywiście pacjentów z ciężkimi urazami albo zatrzymaniem krążenia, których traktuje się z niesamowitą sprawnością i skutecznością i stabilizuje w ciągu kilku minut, a potem szybko posyła na salę operacyjną albo oddział intensywnej terapii, albo kardiologię.

Pijacy i samobójcy marnują nam całe godziny, zajmując tak potrzebne sale i pielęgniarki. Cztery czy pięć osób czeka przy moim kontuarze na przyjęcie. Złamane kostki, angina, uraz kręgosłupa szyjnego itd.

Pijana Piwna Maude leży rozwalona na noszach, ugniatając moją rękę jak kot z neurozą.

– Jest pani taka dobra... taka urocza... to zawroty głowy, kochana.

– Jak się pani nazywa i gdzie mieszka? Gdzie ma pani kartę ubezpieczeniową?

– Przepadła, wszystko przepadło... Jestem taka nieszczęśliwa i taka samotna. Zatrzymają mnie tutaj? Coś musi być nie tak z moim uchem środkowym. Mój syn Willie nigdy nie dzwoni. Oczywiście, mieszka w Daly City, to zamiejscowa. Ma pani dzieci?

– Proszę tu podpisać.

Z bałaganu w jej torebce niewiele się dowiedziałam. Używa bibulek do odciskania

nadmiaru szminki. Wielkie rozsmazane całusy walające się niczym popcorn po całej torebce.

– Jak ma na nazwisko Willie i jaki ma numer telefonu?

Zaczyna płakać, obiema rękami łapiąc mnie za szyję.

– Proszę do niego nie dzwonić. Mówi, że jestem obrzydliwa. Pani też myśli, że jestem obrzydliwa. Proszę mnie przytulić.

– Do zobaczenia później, Maude. Proszę mnie puścić i podpisać tutaj. Puść.

Pijacy zawsze są sami. Samobójcy pojawiają się przynajmniej z jedną osobą, zwykle dużo więcej niż z jedną. I pewnie o to chodzi. Przynajmniej dwóch policjantów z Oakland. W końcu rozumiem, dlaczego samobójstwo jest uznawane za przestępstwo.

Najgorsze są przedawkowania. Znowu chodzi o czas. Pielęgniarki zwykle są zbyt zajęte. Dają im jakieś lekarstwa, ale potem pacjent musi wypić dziesięć kubków wody. (Nie mówię o krytycznych przedawkowaniach z płukaniem żołądka). Mam ochotę wsadzić im palec do gardła. Czkawka i łzy. „Proszę, jeszcze jeden kubek”.

Są też „dobre” samobójstwa. „Dobre powody”, takie jak śmiertelna choroba, ból. Ale większe wrażenie robi na mnie dobra technika. Kula w łeb, porządnie chłaśnięte nadgarstki, mocne barbiturany. Tacy ludzie, nawet jeśli im się nie powiedzie, emanują spokojem, siłą, które być może biorą się z podjęcia przemyślanej decyzji.

Przejmuję się powtórzeniami – czterdzieści kapsułek penicyliny, dwadzieścia razy valium i butelka spreju do nosa. Tak, jestem świadoma faktu, że statystycznie rzecz biorąc, osobom, które grożą samobójstwem lub podejmują próbę, w końcu się udaje. Jestem przekonana, że to zawsze jest wypadek. John, zwykle wracający do domu przed piątą, złapał gumę i nie zdążył uratować swojej żony. Czasami podejrzewam coś w rodzaju zabójstwa, kiedy mąż albo inny regularny wybawca w końcu zmęczy się pojawianiem w ostatniej chwili.

– Gdzie jest Marvin? Na pewno się zamartwia.

– Rozmawia przez telefon.

Nie chcę jej mówić, że Marvin jest w bufecie, polubił ich kanapki z wołowiną.

Tydzień egzaminów na uniwersytecie. Wiele samobójstw, część udanych, głównie Azjaci. Najdurniejszym samobójcą tygodnia był Otis.

Żona Otisa Lou-Bertha zostawiła go dla innego faceta. Otis łyknął dwie fiołki słabych leków nasennych, ale był bardzo przytomny. Wręcz nabuzowany.

– Wezwijcie Lou-Berthę, zanim będzie za późno!

Wrzeszczał do mnie rozkazy z urazówki.

– Moja matka... Mary Brochard 8490917... Poszukajcie Lou-Berthy w barze Adam i Ewa.

Lou-Bertha niedawno wyszła z Adama i Ewy, poszła do Shalimara. Przez długi czas było zajęte, potem ktoś odebrał i wysłuchałam całej piosenki Steviego Wondera *Don't You Worry 'Bout a Thing*.

– Powtórz mi to jeszcze raz, skarbie... Przedawkował *co*?

Powiedziałam.

– Szlag. Powiedz temu bezzębnemu, nic niewartemu czarnuchowi, żeby lepiej wziął dużo więcej czegoś dużo mocniejszego, jeśli ma zamiar mnie *stąd* wyciągnąć.

Poszłam mu powiedzieć... co właściwie? Ucieszyła się, że nic mu nie jest, może. Ale on rozmawiał przez telefon w szóstce. Włożył spodnie, na górze wciąż w szpitalnej koszuli. W kieszeni marynarki odkrył butelkę wódki. Odpoczywał sobie, istny kierownik.

– Johnnie? Tak. Mówi Otis. Jestem w szpitalu miejskim na pogotowiu. No wiesz, przy Broadwayu. Co się dzieje? Nic, nic. Ta suka Lou-Bertha szlaja się z Darrylem... – [Pauza.] – Nie, nie pierdolę.

Pojawiła się pielęgniarka dyżurna.

– On wciąż tutaj? Wywal go! Wiozą do nas czterech. Wypadek samochodowy, wszyscy kod trzeci, będą za dziesięć minut.

Próbuję jeszcze zarejestrować jak największą liczbę pacjentów przed przyjazdem karettek. Będą musieli poczekać, jakaś połowa wyjdzie, ale na razie wszyscy są niespokojni i źli.

A niech to... Przed tą tutaj było troje, ale lepiej już ją zapiszę. Marlena Migrena, stała bywalczyni. Jest taka piękna, młoda. Kończy rozmawiać z dwoma koszykarzami z Laney College, jednym z uszkodzonym prawym kolaniem, i zatacza się do mojego biurka, by zacząć występ.

Wyje jak Ornette Coleman we wczesnych czasach *Lonely Woman*. Najczęściej najpierw wali głową w ścianę obok mojego biurka, a później zamaszystym machnięciem wszystko z niego zrzuca. Potem zaczynają się krzyki. Pianie, niespokojne wrzaski przypominające meksykańskie korridy, teksańskie piosenki miłosne. „Aiee, Wi, Ji!”.

– „Ah hah, San Antone”!

Opadła na podłogę i widzę tylko jej elegancko wymanikiowaną dłoń podającą mi nad

blatem kartę ubezpieczeniową.

- Nie widzi pani, że umieram? Ja tracę wzrok, na miłość boską!
- Daj spokój, Marlene, jak niby przykleiłabyś sobie te sztuczne rzęsy?
- Głupia zdzira.
- Marlene, wstań i wypełnij. Jadą karetki, więc musisz poczekać. Wstawaj!

Podnosi się, chce zapalić papierosa.

- Nie pal, podpisz tu – mówię.

Podpisuje i Zeff przychodzi zabrać ją do sali.

- Proszę, proszę, nasza stara wściekła Marlene.
- Nie próbuj mnie zabawiać, dumny pielęgniarzu.

Przyjeżdżają karetki i to zdecydowanie ostre przypadki. Dwoje umiera. Przez godzinę wszystkie pielęgniarki, lekarze, lekarze dyżurni, chirurdzy, wszyscy tkwią na szóstce z dwojgiem młodych pacjentów, którzy przeżyli.

Marlene próbuje jedną rękę włożyć w rękaw welurowego płaszcza, drugą nakłada fuksjową szminkę.

- Jezu Chryste, nie mogę przecież tutaj siedzieć całą noc, co nie? Na razie, skarbie!
- Na razie, Marlene.

Temps perdu

Od wielu lat pracuję w szpitalach i jeśli czegoś się w tym czasie nauczyłam, to tego, że im bardziej chory pacjent, tym mniej hałasuje. Dlatego ignoruję wezwania przez interkom. Jestem sekretarką oddziałową, moje główne obowiązki to zamawianie lekarstw i kroplówek, wożenie pacjentów na salę operacyjną lub prześwietlenie. W końcu oczywiście odbieram te ich wezwania i zwykle mówię: „Pielęgniarka zaraz przyjdzie!”. Bo prędzej czy później przecież przyjdzie. Mój stosunek do pielęgniarek bardzo się zmienił. Kiedyś sądziłam, że są oficjalne i pozbawione serca. Ale to choroba jest chora. Już wiem, że obojętność pielęgniarek to broń przeciwko chorobie. Zwalcz ją, zdepcz. Zignoruj, jeśli wolisz. Spełnianie każdej zachcianki pacjenta tylko zachęca go do bycia chorym, taka jest prawda.

Na początku, kiedy przez interkom ktoś wołał: „Szybko! Pielęgniarka!”, pytałam: „Co się dzieje?”. Ale to zabierało zbyt wiele czasu; zresztą w dziewięciu przypadkach na dziesięć chodzi jedynie o to, że w telewizorze zniknął kolor.

Zwracam uwagę jedynie na tych, którzy nie mogą mówić. Zapala się światełko, naciskam guzik. Cisza. Najwyraźniej chcą coś powiedzieć. Zwykle jakiś problem, na przykład pełna torebka kolostomijna. To jedna z rzeczy, co do których nabrałam pewności. Ludzi fascynują ich worki kolostomijne. Nie tylko tych z demencją albo niedołącznych, którzy lubią się nimi bawić. Każdy, kto ma taki worek, jest niezmiennie zafascynowany oglądaniem całego procesu. A gdyby nasze ciała były przezroczyste jak okienko w pralce? Niesamowicie jest oglądać samego siebie. Biegacze biegaliby jeszcze szybciej, patrząc, jak przepływa krew. Kochankowie kochaliby się więcej. A niech to! Patrz, jak pędzi to stare nasienie! Wszyscy lepiej by się odżywali – kiwi i truskawki, barszcz z kwaśną śmietaną.

W każdym razie, kiedy zapaliło się światełko z drugiego łóżka w 4420, poszłam do sali. Pan Brugger, stary cukrzyk, który niedawno miał rozległy udar. Najpierw zobaczyłam pełny worek, jak przypuszczałam.

– Powiem pielęgniarce – odezwałam się i uśmiechnęłam, patrząc mu w oczy.

Mój Boże, ten szok, który mnie trafił, jakbym spadła na ramę rowerową, sonata Vinteuila tutaj, na Czwartej Wschodniej. Małe czarne oczy jak paciorki śmiejące się spod nakątnych siwobiałych zmarszczek. Oczy jak u Buddy... ciemne oczy, ciasne oczy, niemal mongoidalne oczy. Oczy Kentshereve'a, śmiejące się w moje... Pochłonęło mnie wspomnienie miłości, nie

sama miłość. Pan Brugger bez wątpienia to poczuł, ponieważ teraz dzwoni swoim ukochanym dzwonkiem przez całą noc.

Potrząsnął głową, śmiejąc się, że mogłam pomyśleć, że chodzi o worek kolostomijny. Rozejrzałam się. Na ekranie *Dziwna para* przeskakiwała gwałtownie w górę. Poprawiłam obraz i wyszłam, pospiesznie wracając do biurka, by uciszyć fale pamięci.

Mullan, Idaho, 1940, kopalnia Morning Glory. Miałam pięć lat, dużym palcem u nogi robiłam cienie z wczesnowiosennego słońca. Najpierw go usłyszałam. Dźwięk jabłek. Selera? Nie, to był Kentshereve, pod moim oknem, zjadał bulwy hiacyntów. Ziemia w kącikach jego ust, fioletowe wydatne wargi, wilgotne jak u pana Bruggera.

Poleciałam do niego (Kentshereve'a), nie patrząc za siebie, bez wahania. Następne, co pamiętam, to jak sama wgryzałam się w chrupkie, zimne, pękające bulwy. Uśmiechnął się do mnie szeroko, rodzynkowe oczy lśniły spomiędzy mięsistych powiek, zachęcając do smakowania. Nie użył tego słowa – zrobił to mój pierwszy mąż, pokazując mi subtelności porów i szalotek (w naszej ceglanej kuchni w Santa Fe, drewniane belki, meksykańskie kafelki). Później zwymiotowaliśmy (Kentshereve i ja).

Mechanicznie wykonywałam różne czynności, odbierałam telefony, dzwoniłam po tlen i laborantów, odpływając na ciepłych falach bazi, pachnącego groszku i pstrągowych stawów. Kopalniane wyciągi i świdry nocą, po pierwszym śniegu. Kwitnąca dzika marchew na tle gwiazdzistego nieba.

„Znał każdy centymetr mojego ciała”. Czy gdzieś to przeczytałam? Przecież nikt by czegoś takiego nie powiedział. Później tej samej wiosny, nadzy, liczyliśmy w lesie wszystkie pieprzyki, które miało to drugie, i zaznaczaliśmy tuszem miejsce, w którym danego dnia skończyliśmy. Kentshereve zauważył, że ta pieczętka przypomina kociego fiutka.

Kentshereve potrafił czytać. Nazywał się Kent Shreve, ale kiedy mi się przedstawił, uznałam, że to imię, i tamtej pierwszej nocy powtarzałam je, śpiewając sobie raz po raz, jak robiłam to od tamtej pory z każdym Jeremym i Christopherem. Kentshereve. Kentshereve. Potrafił nawet przeczytać obwieszczenia o poszukiwanych na poczcie. Mówił, że kiedy dorośniemy, to pewnie przeczyta takie obwieszczenie z moim wizerunkiem. Oczywiście będę używała jakiejś ksywki, ale on domyśli się, że to ja, bo będzie tam napisane „duże znamię na podbiciu stopy, drugie na prawym kolanie, pieprzyk między pośladkami”. Może przeczyta to jakiś mój dawny kochanek. Założę się, że nie pamiętasz tego wszystkiego. Kentshereve będzie

pamiętał. Mój trzeci syn urodził się z takim samym pieprzykiem między pośladkami. W dniu, kiedy się urodził, pocałowałam go tam, zadowolona, że pewnie kiedyś inna kobieta też go tam pocałuje albo doliczy to znamię do innych. Kentshereve'a dokumentowałyby się dłużej, bo miał też piegi i trudno było je odróżnić. Nie ufał mi, kiedy dotarłam do jego pleców, twierdził, że przesadzam.

Zirytowałam się, kiedy przywieźli dwoje pooperacyjnych – całe listy zaleceń – akurat kiedy pojawiły się te wszystkie wspomnienia. Miłosnego podmuchu z łóżka drugiego z sali 4420 nie dało się odróżnić od wszystkich innych. Kentshereve, mój palimpsest. Starszy intelektualista z ironicznym poczuciem humoru, z obsesją na punkcie jedzenia i seksu. Całe życie piknikował, od Zihuatanejo po Nowy Jork. Hamburgery na grobie plemienia Zuni z Harrisonem, tym oszustem.

Nic nie było tak pyszne i straszne. Kentshereve potrafił czytać, wiedział więc, że nasze ognisko może oznaczać tysiąc dolarową grzywnę albo więzienie. Nie dla nas, dla naszych rodziców, zachichotał, wrzucając w płomień sosnowe szyszki. Krem do sutków, lampy do naświetlania krocza, sprej na hemoroidy, kąpiel do nasiadówek trzy razy dziennie. Przelatywałam zamówienia, by szybciej wrócić do wachania sosny, smaku jego suszonej wołowiny na białym chlebie. Sos to była butelka balsamu do rąk Jergena – miód i migdały – i żaden słodko-kwaśny sos od tamtej pory go nie przebił. Kentshereve potrafił robić naleśniki w kształcie Teksasu, Idaho i Kalifornii. Od sobotniej lukrecji miał zęby czarne aż do środy, a jagodowobłękitne przez całe lato.

Próbowaliśmy odtworzyć akt seksualny, ale poddaliśmy się i skupiliśmy na sikaniu do celu. On oczywiście był lepszy, ale dziewczynie nie jest łatwo trafić. Wyraził dla mnie szacunek skinieniem głowy, błyskiem oczu pomiędzy wąskich powiek.

Zabrał mnie nad pierwszy staw z pstrągami. Sam staw. To znaczy pusty staw, w wylęgarni. Tylko kilka razy do roku osuszali te płytkie zbiorniki, a on wiedział kiedy. Widział wszystko, choć jego oczy zdawały się zamknięte jak drewniane okulary słoneczne Eskimosa. Patent polegał na tym, żeby dotrzeć tam w ciepły dzień, zanim oczyszczą opróżniony staw. Dno wyściełała kilkucentymetrowa warstwa galaretowatego śluzu pstrążej ikry. Popychałam Kentshereve'a pierwsza, aż ślizgał się do samego końca stawu, a tam odbijał z powrotem we mnie jak odrzutowa ropucha, i tak przechylaliśmy się od ściany do ściany niczym naoliwione pneumatyczne rurki, lśniąc od rybiej łuski.

Myliłmy włosy w soku pomidorowym, by pozbyć się zapachu, ale bez skutku. Wiele dni później, kiedy on był w szkole, a ja leżałam, robiąc cienie z palców u stóp, docierała do mnie woń zdechłej ryby i tęskniłam za nim, za chwilą, kiedy słyszałam, jak idzie pod górę, a pudełko na lunch obija się o jego nogę.

Chowaliśmy się w szopie za kuchnią J.R. i patrzyliśmy, jak robi to ze swoją chudą żoną w akcie tak niewyobrażalnie komicznym, że później nieraz zrujnował piękne chwile mojego życia napadem śmiechu. Siadali przy nakrytym ceratą stole, ponurzy, paląc i pijąc, tylko paląc i pijąc, w milczeniu, a potem zdzierał z głowy górniczy kask z lampą, wołał: „Na pieska!”, i kładł ją na kuchennym taborecie.

Większość górników to byli Finowie i kiedy wychodzili z pracy, brali prysznic i szli do sauny. Przed sauną na zewnątrz stała drewniana zagroda, zimą wybiegali stamtąd i skakali w śnieg. Duży mężczyźni, mali mężczyźni, grubi mężczyźni, chudzi mężczyźni, cali różowi mężczyźni tarzali się i tarzali w śniegu. Najpierw, podglądając przez dziurę w płocie, chichotaliśmy na widok sinych fiutek i jąder, ale potem po prostu śmialiśmy się tak jak oni z radości, ze śniegu i błękitnego błękitnego nieba.

W pracy wieczorem się uspokoiło. Wendy, pielęgniarka oddziałowa, i jej najlepsza przyjaciółka Sally bazgrały coś przy biurku obok. Naprawdę bazgrały, ćwiczyły pisanie „1982” i swoich nazwisk, jeśli wyszłyby za tego, z którym akurat się umawiały. Dorosłe kobiety, w tym wieku i w takich czasach. Żal mi ich było, tych uroczych młodych pielęgniarek, które jeszcze nie wiedziały, co to romans.

– A o czym *ty* sobie marzysz? – zapytała Wendy.

– O dawnej miłości – westchnęłam.

– Jak miło, że w tym wieku wciąż myślisz o miłości.

Nawet nie zareagowałam. Biedna głupia nie miała pojęcia o namiętności, która właśnie pojawiła się między mną a łóżkiem numer dwa w 4420.

Jego dzwonek znów się odezwał. Odebrałam.

– Pielęgniarka zaraz przyjdzie.

Powiedziałam Sandy, że chce wrócić do łóżka. Teraz znałam go już lepiej, tylko od patrzenia w te oczy Kentshereve’a. Sandy kazała mi wezwać sanitariusza, by jej pomógł. Waga ciężka.

Zawsze potrafiłam słuchać. To właśnie moja najlepsza cecha. Może i Kentshereve wpadał

na wszystkie pomysły, ale to ja ich słuchałam. Byliśmy klasyczną parą, jak Zelda i Scott, Paul *et* Virginie. Trzy razy trafiliśmy na łamy cotygodniowej gazety w Wallace, Idaho. Raz, kiedy zabłądziliśmy. Wcale nie zabłądziliśmy, po prostu zostaliśmy w lesie po godzinie policyjnej, ale i tak osuszyli kanały. Potem znaleźliśmy w lesie martwego włośczęgę. Najpierw usłyszeliśmy jego śmierć, daleko na łące, brzęczące muchy. Trzeci raz był wtedy, kiedy drabina spadła na Sextusa. Przynajmniej gazeta nas doceniła, bo rodzice wcale. Kentshereve musiał pilnować Sextusa (szóstego dziecka, miało tylko miesiąc). Małe przemoczone zawiniątko, które i tak wciąż spało, więc zdawało nam się, że żadna różnica, jeśli zabierzemy je do szopy. Postanowiliśmy pohuścić się na belkach, zostawiliśmy zawiniątko na ziemi i wleźliśmy po drabinie. Kentshereve nigdy nie obwinał mnie, że kopnięciem ją przewróciłam. Uważał, że co się stało, to się stało. A stało się to, że drabina upadła na dziecko, szczeble ledwo je minęły z czterech stron, a ono się nie obudziło. Cud, choć tego słowa jeszcze raczej nie znaliśmy. I tak zostaliśmy na wiele godzin na wąskiej belce wysoko nad ziemią, wisząc za kolana, bo baliśmy się usiąść. Twarze czerwone i nabrzmiące od krwi, śmieszne rozmowy do góry nogami. Nikt nie słyszał naszych wrzasków. Obie nasze rodziny pojechały do Spokane, a w pobliżu nie było innych domów. Robiło się coraz ciemniej i ciemniej. W końcu udało nam się jakoś usiąść i powoli zbliżyć do końca belki. Na przemian opieraliśmy się o ścianę. Bawiliśmy się w sowy i pluliśmy, celując w różne rzeczy. Zsikałam się w majtki. Sextus się obudził i zaczął zawodzić i zawodzić. Głośno, przekrzykując dziecko, wyliczaliśmy wszystko, co chcielibyśmy zjeść. Chleb z masłem i cukrem. Kentshereve jadł go całymi dniami. Wiem, że teraz jest cukrzykiem, podkrada balsam Jergena i doznaje wstrząsu. Zawsze wydmuchiwał nosem powietrze na chleb i jego kraciaste koszule lśniły w słońcu od cukru.

Zachciało mu się siku i wymyślił, że jeśli wyceluje tuż obok Sextusa, to go ogrzeje i rozweseli. I to właśnie robił, kiedy wszedł mój ojciec i wrzasnął. Przestraszyłam się tak, że spadłam z krokwi. Tak po raz pierwszy złamałam rękę. Potem przyszedł Red, ojciec Kentshereve'a, i podniósł niemowlę. Nikt nie ściągnął Kentshereve'a i nie zauważył cudu drabiny, która ominęła dziecko z czterech stron. Z samochodu, drżąc z bólu, widziałam, jak Red bije syna. Kentshereve nie płakał. Kiwnął mi głową przez podwórze i w jego oczach widziałam, że było warto.

Spędziłam z nim jedną noc, noc, kiedy mojej młodszej siostrze wycinano migdałki. Red wysłał mnie razem z kocami i drabiną na strych, gdzie na słomie spało pięcioro starszych dzieci.

Nie było tu okna, tylko szpara w okapie zakryta czarną ceratą. Kentshereve szpikulcem do lodu zrobił dziurę i leciało przez nią powietrze jak w samolotach, tyle że lodowato zimne. Jeśli przyłożyć tam ucho, słyszało się sople w sosnach, żyrandole, skrzywienie kopalnianego szybu, wózków górniczych. Pachniało zimnem i drzewnym dymem. Kiedy przyłożyłam oko do maleńkiej dziurki, widziałam gwiazdy jakby pierwszy raz, powiększone, na lśniącym i ogromnym niebie. Wystarczyło, że mrugnęłam okiem i wszystko zniknęło.

Nie spaliśmy, nasłuchując, czy jego rodzice to robią, ale nic nie zrobili. Zapytałam go, czy myślał, jak to jest. Podniósł dłoń i przyłożył do mojej tak, że wszystkie nasze palce się zetknęły, i kazał przejechać kciukiem i wskazującym po tych zetkniętych ze sobą. Nie dało się odróżnić, który jest który. To chyba coś podobnego, powiedział.

W trakcie przerwy nie poszłam do stołówki, tylko wyszłam na taras na czwartym piętrze. Był zimny styczniowy wieczór, ale nieśpłiki japońskie już kwitły, oświetlone ulicznymi latarniami. Kalifornijczycy bronią swoich pór roku, mówiąc, że są subtelne. Kto pragnie subtelnej wiosny? Dajcie mi odwilż z Idaho, jak kiedyś, gdy z Kentshereve'em zjeżdżaliśmy po bagnistych wzgórzach na rozplaszczonym kartonie. Dajcie mi bezczelny podmuch bzu, hiacynta, który przetrwał. Pałam papierosa na tarasie, a metalowe krzesło odbijało się zimnymi paskami na moich udach. Tęskniłam za miłością, za szeptami w pogodną zimną noc.

Kłóciliśmy się tylko w kinie, w soboty w Wallace. Potrafił czytać napisy, ale nie chciał mi czytać na głos. Byłam zazdrosna, tak jak później miałam być zazdrosna o muzykę czyjegoś męża, o leki innego. Tajemnica jeziora. Kiedy pojawiał się pierwszy napis, on szeptał: „Już! Cicho!”. Litery przewijały się po ekranie, a on mrużył oczy i kiwał głową. Czasami potrząsał nią albo chichotał, albo mówił: „Hmmm!”. Teraz już wiem, że najtrudniejsze słowo w napisach to „kinematografia”, ale wciąż jestem pewna, że coś mnie omija. Wtedy wiałam się oszalała i potrząsałam jego ręką. No dalej. Co mówią? Cicho! Odsuwał gwałtownie moją dłoń i opierał się w fotelu, zakrywając uszy, poruszając ustami i czytając. Chciałam już iść do szkoły, żeby druga klasa przyszła szybciej. (Mówił, że pierwsza to strata czasu). Wtedy moglibyśmy dzielić się wszystkim.

4420, łóżko numer dwa, dzwonek. Poszłam do sali. Goście drugiego pacjenta niechcący zasłonili mu telewizor, wychodząc. Odsunęłam parawan i skinął mi głową. Coś jeszcze? – zapytałam, potrząsnął głową. Na ekranie płynęły napisy serialu *Dallas*.

– Wiesz, w końcu nauczyłam się czytać, wredny szczurze – powiedziałam, a jego małe

oczka załśniły, kiedy się zaśmiał.

Chyba – bo był to dźwięk zardzewiałej świszczącej rury, od którego zadrżało zygzakowate łóżko, ale ja poznałabym ten śmiech wszędzie.

Carpe diem

Zazwyczaj nie mam nic przeciwko starzeniu się. Niektóre rzeczy mnie smuca, na przykład skejterzy. Wydają się tacy wolni, długie sunące nogi, włosy zwiewane do tyłu. Inne rzeczy wywołują we mnie panikę, na przykład drzwi kolejki BART. Długo się czeka, zanim się otworzą po tym, jak pociąg się zatrzyma. Nie bardzo długo, ale za długo. Nie ma czasu.

I pralnie samoobsługowe. Ale one stanowiły problem, jeszcze gdy byłam młoda. Po prostu za długo, nawet te ekspresowe. Całe życie zdąży przemknąć ci przed oczami, kiedy tam siedzisz i smęcisz. Oczywiście, gdybym miała samochód, pojechałabym do sklepu albo na pocztę, a potem wróciła i włożyła rzeczy do suszarki.

Pralnie bez żadnej obsługi są nawet gorsze. Wtedy mam wrażenie, że jestem w ogóle jedyną osobą. Ale te pralki i suszarki działają... a wszyscy są w sklepie.

Poznałam już tylu pracowników pralni, tych czekających Charonów, rozmieniających pieniądze na drobne albo tych, którzy nigdy nie mają drobnych. Teraz to gruba Ophelia, która wymawia „spoko oko” jak „fpoko oko”. Górna jedynka złamała się jej na kawałku suszonej wołowiny. Piersi ma tak wielkie, że musi obracać się bokiem, a potem po skosie, aby przejść przez drzwi, tak jak przenosi się kuchenny stół. Gdy idzie z mopem, wszyscy się odsuwają i odsuwają kosze. Ciągłe skacze po kanałach. Kiedy już zaczynamy oglądać *Nowożeńców*, ona przełącza na *Ryan's Hope*.

Kiedyś chciałam być uprzejma i powiedziałam, że też miałam uderzenia gorąca, więc z tym jej się teraz kojarzę... ze Zmianą. „Jak tam leci ze zmianą?”, mówi głośno zamiast dzień dobry. Co tylko wszystko pogarsza, to siedzenie, myślenie, starzenie. Moi synowie są już dorośli, więc zamiast pięciu prań robię jedno, ale ono trwa tak samo długo.

W zeszłym tygodniu się przeprowadziłam, chyba po raz dwusetny. Wzięłam całą pościel i zasłony i ręczniki, pełny wózek. W pralni było mnóstwo ludzi i żadnych wolnych pralek obok siebie. Włożyłam swoje rzeczy do trzech różnych i poszłam rozmienić pieniądze u Ophelii. Wróciłam, wrzuciłam monety i proszek, włączyłam. Tyle że włączyłam trzy niewłaściwe. Trzy, które właśnie skończyły prać ciuchy tego faceta.

Stałam plecami do pralek. Ophelia i ten mężczyzna wisieli nade mną. Jestem wysoka, noszę olbrzymkowe rajstopy, ale oni byli naprawdę ogromni. Ophelia trzymała w ręku butelkę płynu do prania wstępnego. Facet miał krótkie spodniki, potężne uda matowiły rude włosy.

Gęsta broda w ogóle nie przypominała włosów, tylko czerwoną poduszkę. Na głowie bejsbolówka z gorylem. Bynajmniej nie mała, ale włosy miał tak gęste, że podnosiły czapkę wysoko nad głowę, przez co gość zdawał się mieć ze dwa metry. Uderzał mięsistą pięścią w drugą czerwoną dłoń.

– Cholera jasna, niech to szlag!

Ophelia nie złorzeczyła; chroniła mnie, gotowa stanąć między mną a nim, albo nim a pralkami. Zawsze powtarza, że w pralni poradzi sobie ze wszystkim.

– Proszę pana, równie dobrze może pan usiąść i się odprężyć. Jak się raz uruchomi te maszyny, to już się ich nie zatrzyma. Niech pan poogląda telewizję, napije się pepsi.

Wrzuciłam ćwierćdolarówki do odpowiednich pralek i je też włączyłam. Potem przypomniałam sobie, że jestem spłukana, nie mam na płyn do prania, a te ćwiartki miały być na suszenie. Zaczęłam płakać.

– Dlaczego do kurwy ona ryczy? Czego zepsułaś mi sobotę, ty durna bekso? I Jezus zapłakał.

Zaproponowałam, że jeśli chciałby gdzieś wyjść, to mogę potem przełożyć jego rzeczy do suszarek.

– Nie dałbym ci dotknąć moich rzeczy. Trzymaj się od nich z daleka, kumasz?

Nie miał gdzie usiąść, musiał koło mnie. Patrzyliśmy na pralki. Wolałabym, żeby wyszedł na dwór, ale on tylko siedział obok. Jego wielka prawa noga wibrowała jak obracająca się pralka. Wpatrywało się w nas sześć małych czerwonych światełek.

– Zawsze tak partolisz? – zapytał.

– Przepraszam. Byłam zmęczona. Spieszyłam się. – Zaczęłam nerwowo chichotać.

– Wierz albo nie, ale ja też się spieszę. Holuję samochody. Sześć dni w tygodniu.

Dwanaście godzin dziennie. I to dzisiaj. Mój wolny dzień.

– Do czego się pan spieszył? – Chciałam być miła, ale on uznał, że to sarkazm.

– Ty głupia babo. Gdybyś była facetem, zmyłbym ci łeb. Wsadził ten twój pusty czerep do suszarki i przekręcił na gotowanie.

– Mówiłam już, że mi przykro.

– I dobrze, że ci przykro. Jesteś jednym wielkim przykro, kobieto. Wiedziałem, że z ciebie frajerka, zanim spieprzyłaś mi pranie. No nie wierzę. Znowu beczy. I Jezus zapłakał.

Ophelia stanęła nad nim.

– Niech pan przestanie ją męczyć, dobrze? Przypadkiem wiem, że kobieta ma ciężki okres.

Skąd wiedziała? Niesamowite. Ona wie wszystko, ta potężna czarna Sybilla, Sfinks. Ach, pewnie ma na myśli Zmianę.

– Złożę panu ubrania, jeśli pan chce – powiedziałam.

– Cicho, dziewczyno – odezwała się Ophelia. – Bo niby o co chodzi? Za sto lat kogo to w ogóle obejdzie?

– Za sto lat – wyszeptał. – Za sto lat.

Ja też o tym myślałam. Sto lat. Nasze pralki roztańczyły się i wszystkie małe czerwone lampki wirowania zaświeciły.

– Przynajmniej pana są czyste. Zużyłam na nie cały swój płyn.

– Kupię ci płyn na litość boską.

– Już za późno. Ale dziękuję.

– Ona nie spała mi dnia. Spała mi cały cholerny tydzień. Nie ma płynu.

Ophelia wróciła i schyliła się, by coś do mnie wyszeptać.

– Trochę mam plamienie. Lekarz mówi, że jeśli nie przejdzie, zrobią mi łyżeczkowanie.

Ty plamisz?

Potrząsnęłam głową.

– To zaczniesz. Babskie kłopoty nigdy się nie kończą. Całe życie z kłopotami. Wzdyma mnie. Ciebie wzdyma?

– Wzdyma jej głowę – wtrącił facet. – Dobra, idę do samochodu po piwo. Masz obiecać, że nie zbliżysz się do moich pralek. Twoje to trzydzieści cztery, trzydzieści dziewięć, czterdzieści trzy. Kumasz?

– Tak. Trzydzieści dwa, czterdzieści, czterdzieści dwa.

Nie uznał tego za zabawne.

Ubrania kręciły się po raz ostatni. Moje będą musiała powiesić na płocie, żeby wyschły. Kiedy mi zapłacą, wrócę z płynem.

– Jackie Onassis zmienia pościel codziennie – oznajmiła Ophelia. – Ale moim zdaniem to chore.

– Chore – przytaknęłam.

Odczekałam, aż facet przełoży pranie do kosza i pójdzie do suszarek, zanim wyjęłam

swoje. Niektórzy ludzie się śmiali, ale ich zignorowałam. Wypełniłam wózek moką pościelą i ręcznikami. Ledwo miałam siłę go pchać i nie wszystkie mokre rzeczy się mieściły. Przerzuciłam jaskraworóżowe zasłony przez ramię. Po drugiej stronie pralni facet zaczął coś mówić, ale odwrócił wzrok.

Bardzo długo szłam do domu. Jeszcze dłużej wszystko wieszałam, choć w końcu znalazłam sznurek. Nadciągała mgła.

Nalałam sobie kawy i usiadłam na tylnych schodkach. Byłam szczęśliwa. Spokojna, nie spieszyłam się. Następnym razem w kolejce nawet nie pomyślę, żeby wysiadać, dopóki pociąg się nie zatrzyma. A kiedy się zatrzyma, wyjdę w samą porę.

Toda luna, todo año

Toda luna, todo año

Todo día, todo viento

Camina, y pasa también.

También, toda sangre llega

Al lugar de su quietud.

(Księgi Chilam Balam)

Eloise Gore automatycznie zaczęła w myślach tłumaczyć wiersz. *Każdy księżyc, każdy rok. Nie. Wszystkie księżycy, wszystkie lata* dają większe szeleszczenie. *Camina? Idzie.* Szkoda, że po angielsku nie pasuje. Po hiszpańsku zegary chodzą, po angielsku biegną. *Biegnie dalej i przemija.*

Zamknęła gwałtownie książkę. W hotelach się nie czyta. Popijała margaritę i napawała się widokiem z tarasu restauracji. Cętkowane koralowe chmury nabrały barwy fluorescencyjnego grafitu, grzbiety fal lśniły srebrem na szarobiałym piasku poniżej. Na całej plaży od miasta Zihuatanejo widać było słaby blask i taniec drobnego zielonego światła. Robaczki świętojańskie, jaskrawolimonkowe. Dziewczyny z wiosek wkładały je we włosy, wychodząc o zmroku, przechadzając się po dwie lub po trzy. Niektóre jedynie wrzucały owady we włosy, inne układały je w szmaragdowe tiary.

To był jej pierwszy wieczór tutaj i siedziała sama w restauracji. Kelnerzy w białych marynarkach stali bliżej schodów do basenu i do baru, gdzie większość gości wciąż tańczyła i piła. *Mambo! Que rico el Mambo!* Kostki lodu i marakasy. Pomocnicy kelnerów zapalali migoczące świece. Księżyc nie świecił, tylko gwiazdy zdawały się nadawać wodzie metaliczny poblask.

Spaleni słońcem pstrokato ubrani goście zaczęli wchodzić do jadalni. Teksańczycy albo

Kalifornijczycy, pomyślała, swobodniejsi, radośniejsi niż ktokolwiek z Kolorado. Wołali do siebie przez stoły. „Dawaj, Willy!”. „Zajebicie odlatowo!”.

Co ja tu robię? Wyjechała po raz pierwszy od śmierci męża trzy lata wcześniej. Oboje byli nauczycielami matematyki, co lato jeździli do Meksyku i Ameryki Łacińskiej. Po jego śmierci nie chciała się nigdzie ruszać sama i co roku w czerwcu zgłaszała się do pracy w szkole letniej. W tym była zbyt zmęczona, żeby uczyć. W biurze podróży zapytali, kiedy musi wrócić. Zamarła przerażona. Nie musiała wracać, w ogóle nie musiała już uczyć. Nigdzie nie musiała być, przed nikim nie musiała się tłumaczyć.

Jadła swoje ceviche z bolesnym uczuciem bycia na widoku. Szary kostium z kory, odpowiedni do szkoły, w Mexico City... był niemodny, śmiesznie nieodpowiedni. W tanich pończochach robiło się gorąco. Pewnie kiedy wstanie, będzie miała na nich mokrą plamę.

Próbowała na siłę się odprężyć, smakować duszone w czosnku langustynki. Mariachi chodzili od stolika do stolika, ale ominęli ją, widząc chłodne spojrzenie. *Sabor a tí*. Twój smak. Wyobrażacie sobie amerykańską piosenkę o tym, jak ktoś smakuje? W Meksyku wszystko miało smak. Mocny czosnek, kolendra, limonka. Zapachy były jak żywe. Nie kwiaty, one w ogóle nie pachniały. Ale morze, przyjemny zapach gnijącej dżungli. Zjęły odór skórzanych foteli, czyszczonych naftą podłóg, świec.

Na plaży zrobiło się ciemno, robaczki świętojańskie latały w mglistych zielonych wirach, teraz już uwolnione. Nad zatoką paliły się czerwone flary wabiące ryby.

– *Pues, cómo estuvo?* – zapytał kelner.

– *Esquisito, gracias.*

Hotelowy butik był jeszcze otwarty. Znalazła w nim dwie proste, ręcznie tkane sukienki, białą i różaną. Miękkie i luźne, nie przypominały niczego, co dotąd nosiła. Wybrała też słomkowy koszyk i kilka grzebieni z jadeitowymi świetlikami, na nagrody dla swoich uczennic.

Drinka na dobranoc? – zaproponował kierownik sali, kiedy szła przez lobby. Czemu nie? – pomyślała i weszła do pustego już baru nad basenem. Zamówiła brandy Madero z kahlua, ulubiony koktajl Mela. Bolesnie za nim tęskniła, chciała poczuć jego dłoń na włosach. Zamknęła oczy, słuchając szumiących palm, kostek lodu w szejkerze, skrzypienia wioseł.

W pokoju wróciła do wiersza. *I tak życie dociera / do miejsca swego spoczynku*. Nie. Zresztą nie „życie”, tylko *sangre*, krew, która pulsuje i płynie. Światło było za słabe, owady wciskały się pod klosz. Kiedy wyłączyła lampę, w barze znowu rozległa się muzyka. Uporczywe

dudnienie basów. Bicie jej serca, biło. *Sangre*.

Tęskniła za swoim twardym łóżkiem, uspokajającym szumem samochodów na dalekiej autostradzie. Tak naprawdę tęsknię za poranną krzyżówką. Och, Mel, co ja mam ze sobą zrobić? Rzucić pracę? Podróżować? Zrobić doktorat? Popęłnić samobójstwo? Skąd się wzięła ta myśl? Przecież uczenie to całe moje życie. Jakie to żalosne. Pani Gore pomidor. Co roku jakiś nowy uczeń z radością sobie rymował. Eloise była dobrą nauczycielką, konkretną, beznamiętną, którą uczniowie po latach wspominali z sympatią.

Cuando caliente el sol, aquí en la playa. Podczas każdej przerwy w muzyce zza okiennic pokojów obok dobiegały różne dźwięki. Śmiech, seks.

„Pan Zwiedziłem Świat! Pan Wiemwszystko! Zwiedziłem świat!”.

„Kochanie, o tak!”. Mocny teksański akcent. Potem łoskot i cisza. Pewnie upadł, zemdłał. Kobieta zaśmiała się ochryple. „Dzięki Bogu!”.

Eloise żałowała, że nie wzięła ze sobą jakiegoś kryminału. Wstała i poszła do łazienki, przeganiając z drogi karaluchy i małe kraby. Wzięła prysznic z kokosowym mydłem, wytarła się wilgotnymi ręcznikami. Przetarła lustro, żeby się przejrzeć. Przeciętą i ponura, pomyślała. Nie przeciętą, ta twarz, duże szare oczy, zgrabny nos i uśmiech, ale ponura. Dobre ciało, lecz tak długo ignorowane, że również zdawało się ponure.

Zespół przestał grać o drugiej trzydzięści. Kroki i szepty, rozbite szkło. „Powiedz, że ci dobrze, skarbie, powiedz!”. Jęk. Chrapanie.

Eloise obudziła się jak zawsze o szóstej. Otworzyła okiennice, patrzyła, jak niebo zmienia kolor z mlecznego srebra na lawendową szarość. Gałęzie drzew palmowych szumiały na wietrze jak tasowane karty. Włożyła kostium kąpielowy i nową różaną sukienkę. Nikt jeszcze nie wstał, nawet w kuchni. Piały koguty, a sępniki latały nad śmieciami. Cztery świnie. W głębi ogrodu indiańscy pomocnicy kelnerów i ogrodnicy zwinięci w kłębek spali bez przykrycia na ceglach.

Szła zarośniętą ścieżką, odchodząc od plaży. Ciemna wilgotna cisza. Orchidee. Stado zielonych papug. Iguana przycupnęła na kamieniu, czekając, aż Eloise przejdzie. Gałęzie klejącym ciepłem uderzały ją w twarz.

Słońce zdążyło już wzejść, kiedy wspięła się na wzgórze, a potem zeszła na półkę ponad białą plażą. Z tego miejsca widziała spokojną zatokę Las Gatas. Pod wodą znajdował się kamienny mur, który zbudowali Teraskanie, by chronić zatokę przed rekinami. Ławica sardynek wirowała w przezroczystej wodzie i niczym tornado zniknęła w morzu. Domki ze strzechami

palapa ciągnęły się wzdłuż plaży. Z najdalszego unosił się dym, ale nikogo nie było widać.

NURKOWANIE Z BERNARDEM, głosił napis.

Rzuciła sukienkę i koszyk na piasek, pewnym kraulem popłynęła aż do kamiennego muru. A potem z powrotem, unosząc się i płynąc. Brodziła po wodzie i głośno się roześmiała, a w końcu położyła w morzu niedaleko brzegu, kołysząc na falach, i w milczeniu, szeroko otwartymi oczami patrząc w piękne błękitne niebo.

Minęła chatkę Bernarda i szła dalej plażą, w stronę dymu. Pomieszczenie bez ścian, z dachem krytym strzechą, podłogą zagrabioną piaskiem. Duży drewniany stół, ławki. Za nim długi rząd bambusowych altanek, każda z hamakiem i moskitierą. W prymitywnej kuchni jakieś dziecko zmywało w betonowym zlewie naczynia; starsza kobieta rozpałała ogień. Wokół biegały kurczaki, grzebiąc w piasku.

– Dzień dobry – przywitała się Eloise. – Czy tutaj zawsze jest tak cicho?

– Nurkowie wypłynęli. Chce śniadanie?

– Poproszę. – Eloise wyciągnęła rękę. – Nazywam się Eloise Gore.

Ale kobieta tylko skinęła głową.

– *Siéntese* (Usiądzie).

Eloise zjadła fasolę, rybę, tortillę, spoglądając przez wodę na pokryte mgłą wzgórza. Hotel wydawał się stąd zaniedbany i zmęczony, stał przekrzywiony na zboczu. Bugenwilla rozlewała się po jego ścianach niczym szal pijanej kobiety.

– Mogłabym tu zostać? – zapytała staruszkę.

– To nie hotel. Tu mieszkają rybacy.

Jednak kiedy wróciła z gorącą kawą, powiedziała:

– Jest jeden pokój. Czasami mieszkają w nim zagraniczni nurkowie.

Mówiła o otwartej chacie za polaną. Łóżko i stół, na nim świeca. Zapleśniały materac, czysta pościel, moskitiera.

– Nie ma skorpionów – powiedziała kobieta.

Cena za pokój i posiłki była absurdalnie niska. Śniadanie i o czwartej kolacja, kiedy wracają nurkowie.

Gdy Eloise szła do hotelu przez dżunglę, było gorąco, ale zorientowała się, że podskakuje jak dziecko, rozmawiając w myślach z Melem.

Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się szczęśliwa. Raz, wkrótce po

śmierci męża, oglądała w telewizji Braci Marx. *Noc w operze*. Musiała wyłączyć, nie miała siły śmiać się w samotności.

Hotelowy menedżer zareagował rozbawieniem na wieść, że przenosi się do Las Gatas.

– *Muy típico*.

Lokalny koloryt – synonim „prymitywnego” albo „brudnego”. Załatwił łódź, by po południu przewiozła Eloise i jej rzeczy przez zatokę.

Przeraziła się, kiedy podpłynęli do tamtej spokojnej plaży. Przed palapą cumowała duża drewniana łódź, „La Ida”. Z miasta przyplłynęły wielobarwne czółna i motorowe pangie, które wpływały i wypływały z ładunkiem. Homary, ryby, węgorze, ośmiornice, worki z małżami. Kilkunastu mężczyzn stało na brzegu albo zdejmowało z łodzi butle z tlenem i regulatory, śmiejąc się i krzycząc. Jakiś chłopak przywiązał ogromnego zielonego żółwia do liny kotwicznej.

Eloise położyła swoje rzeczy w pokoju. Chciała odpocząć, ale nie było tu za grosz prywatności. Z łóżka mogła zajrzeć do kuchni i dalej do nurków przy stole i na błękitnozielone morze.

– Pora jeść – zawołała ją kobieta.

Razem z dzieckiem nosiła naczynia do stołu.

– Może pomóc?

– *Siéntese*.

Eloise zawahała się przy stole. Jeden z mężczyzn wstał i uściskał jej dłoń. Przysadzisty, potężny, jak olmecki posążek. Miał głębokobrazową skórę, oczy z ciężkimi powiekami i zmysłowe usta.

– *Soy César. El maestro*.

Zrobił jej miejsce i przedstawił pozostałym nurkom, którzy skinęli jej głowami i jedli dalej. Trzech bardzo starych mężczyzn. Flaco, Ramón i Raúl. Synowie Césara, Luis i Cheyo. Madaleno, pomocnik na łodzi. Beto, „nowy nurek, najlepszy”. Żona Beta Carmen siedziała tyłem do stołu, karmiąc dziecko piersią.

Parujące miski małży. Mężczyźni rozmawiali o El Peine. Stary Flaco widział go pierwszy raz, choć nurkował całe życie. Grzebień? Dopiero później, ze słownikiem, sprawdziła, że rozmawiali o ogromnej rybie pile.

– *Gigante*. Wielka jak wieloryb. Większa!

– *Mentira!* Miałeś halucynacje. Za dużo tlenu.

– Tylko czekaj. Kiedy Włosi przyjadą z aparatami, to ich zabiorę, a nie ciebie.

– Nawet nie pamiętasz, gdzie to było.

Flaco się zaśmiał.

– *Pues...* nie do końca.

Homar, grillowany lucjan, ośmiornica. Ryż i fasola i tortille. Na przeciwległym stole dzieciak postawił talerz z miodem, żeby odciągnąć muchy. Długi głośny posiłek. Kiedy się skończył, wszyscy oprócz Césara i Eloise poszli spać na hamakach. W altance Beta i Carmen wisiała zasłona, pozostałe były otwarte.

– *Acércate a mí* – powiedział César do Eloise.

Przysunęła się bliżej. Kobieta przyniosła im papaję i kawę. Była siostrą Césara, Isabel; Flora to jej córka. Przyjechały tu dwa lata temu po śmierci żony Césara. Tak, Eloise również jest wdową. Od trzech lat.

– Czego szukasz w Las Gatas? – zapytał.

Nie wiedziała.

– Ciszy – odparła.

Zaśmiał się.

– Ale ty zawsze jesteś cicha, co nie? Możesz z nami nurkować, na dole nie ma hałasu.

Teraz idź, odpocznij.

Kiedy się obudziła, zapadał zmrok. W jadalni świeciła się latarnia. César i trzech starych mężczyzn grali w domino. Ci starzy mężczyźni są dla niego ojcem i matką, powiedział. Jego prawdziwi rodzice zmarli, gdy miał pięć lat, i ci tutaj wzięli go do siebie, pierwszego dnia zabrali pod wodę. Wtedy byli jedynymi trzema nurkami swobodnymi, nurkowali po ostrzygi i małże, lata przed tym, jak pojawiły się butle z tlenem i kusze.

Na drugim końcu palapy rozmawiali Beto i Carmen, jej małeńka stopa odpychała wspólny hamak. Cheyo i Juan ostrzyli strzałki do kuszy. Z dala od pozostałych Luis słuchał tranzystorowego radia. Rock and roll. Możesz mnie uczyć angielskiego! Poprosił Eloise, by usiadła obok. Słowa piosenek nie znaczyły tego, co sobie wyobrażał. *Can't get no satisfaction*.

Niemowlę Beta leżało nagie na stole, César podtrzymywał główkę wolną dłonią. Dziecko zrobiło siusiu, César zgarnął mocz ze stołu i wytarł rękę we włosy.

Mgła. Dwa białe żurawie. Falowanie żółtawo przywiązane przy łodzi. Wiatr migotał latarnią, błyskawica oświetliła bladozielone morze. Żurawie odleciały i zaczęło padać.

Młody długowłosy Amerykanin gwałtownie wpadł z deszczu do środka, trzęsąc się i dysząc. O Boże. O Boże. Nie przestawał się śmiać. Nikt się nie ruszył. Położył plecak i mokry szkicownik na stole, wciąż się śmiał.

– *Drogas?* – zapytał Flaco.

César wzruszył ramionami, wyszedł, wrócił z ręcznikami i bawełnianymi ubraniami. Chłopak wstał i potulnie czekał, podczas gdy César go rozebrał, wysuszył i ubrał. Madaleno przyniósł mu supę i tortille. Kiedy skończył jeść, César zaprowadził go na hamak i przykrył. Amerykanin zasnął, huśtając się.

Kompresor do butli z tlenem zaczął tłuc się i dzwonić na długo przed świtem. Piały koguty, papuga siedziała przy zlewie na zewnątrz i skrzeczała, sępy trzepały skrzydłami na krawędzi polany. César i Raúl napełniali zbiorniki; Madaleno grabił piasek na podłodze. Eloise pozmywała przy *pila* i rozczesła włosy w odbiciu srebrnej teraz wody. Jedyne lustro był rozbity kawałek przyczepiony gwoździem do palmy, przy którym golił się Luis, śpiewając i uśmiechając się. *Guantanamera!* Pomachał do Eloise.

– Dzień dobry, nauczycielko!

– Dzień dobry. *Dí* „nauczycielka”.

– Nauczycielka.

W swoim pokoju zaczęła wkładać różaną sukienkę na kostium.

– Nie, nie ubieraj się, płyniemy na małże.

César niósł ciężkie zbiorniki i ciężarki. Ona maski, płetwy i sznurkową torbę.

– Nigdy nie nurkowałam.

– Ale potrafisz pływać?

– Dobrze pływam.

– Jesteś silna – powiedział, spoglądając na jej ciało.

Zarumieniła się. Silna. Uczniowie nazywali ją wredną i zimną. Przyczepił jej ciężarki wokół pasa, zbiornik włożył na plecy. Zaczerwieniła się, kiedy musnął jej biust, zapinając klamrę. Wymienił podstawowe zasady, jak powoli się wynurzać, jak włączyć rezerwę w zbiorniku. Pokazał, jak splunięciem wyczyścić maskę, poprawił regulator. Butla na plecach była niewyobrażalnie ciężka.

– Poczekaj, nie dam rady tego dźwigać.

– Dasz – odparł. Włożył jej ustnik do ust i pociągnął pod wodę.

Ciężar zniknął. Nie tylko ciężar butli, ale i jej własny. Stała się niewidzialna. Machała stopami, pierwszy raz używając płetw, przedzierając się przez wodę. Z powodu ustnika nie mogła się głośno śmiać ani krzyżeć. Mel, to cudowne! Leciała dalej, z Césarem obok.

Słońce przebijało się przez mleczne szkło wody z bladym metalicznym połyskiem. A potem powoli, niczym za sprawą oświetlenia w teatrze, pojawił się podwodny świat. Ukwiały w kolorze fuksji, ławice niebieskich żaglowców, błękitne i czerwone neony, ogończa. César pokazał jej, jak spuszczać ciśnienie, kiedy schodzili głębiej, dalej w dół. Niedaleko teraskańskiego muru popłynął na słoneczne dno, gdzie zaczął szpikulcem raz po raz dziabnąć piasek. Kiedy pojawiła się bańka powietrza, wyjął małżę i włożył ją do torby. Eloise pokazała na szpikulcem i płynęła obok, uderzając w dno, podczas gdy César zbierał małże, aż worek się wypełnił. Popłynęli z powrotem na brzeg pośród bezliku ryb i roślin. Dla Eloise wszystko było zupełnie nowe, wszystkie stworzenia, każde uczucie. Ławica sardynek rozdzieliła się przed nią jak równe strumienie wody. Nagle zabrakło powietrza; zapomniała o zbiorniku rezerwowym, spanikowała, zaczęła się rzucać. César ją złapał, przytrzymał głowę, drugą ręką wyciągnął przewód z powietrzem.

Wynurzyli się. Zielona woda nie zdradzała tego, co było pod spodem. Ze słońca Eloise wywnioskowała, że nie nurkowali nawet godziny. Bez wagi tracisz siebie jako punkt odniesienia, tracisz swoje miejsce w czasie.

- Dziękuję – powiedziała.
- To ja dziękuję, zebraliśmy mnóstwo małży.
- Ile bierzesz za lekcję?
- Nie jestem nauczycielem nurkowania.
- Skinęła głową w stronę tablicy u Bernarda.
- Lekcja pięćset peso.
- Nie jesteś u Bernarda. Przyszłaś do nas.

I tyle, pomyślała później przy śniadaniu. Akceptowali ją, nie dlatego, że ją lubili, ani dlatego, że tu pasowała. Po prostu do nich przyszła, jak tamten młody chłopak, który zdążył już zniknąć. Może było tak, bo nurkowie wiele czasu spędzali pod wodą, w takiej ogromnej przestrzeni. Spodziewali się wszystkiego, równie nieważnego.

Żółte butle z tlenem obracały się i dzwoniły na dnie łodzi. „La Ida”. To nie imię, ale „wypływanie”, na morze.

Rybacy śmiali się, splatając i rozplatając gumy ze swoich kusz, przyczepiając noże do pokrytych bliznami opalonych nóg. Syk zbiorników, kiedy César po kolei je sprawdzał.

Opowiadali historie. Peine. Wieloryb zabójca. Włoski nurek i rekiny. Kiedy Mario utonął, gdy Césarowi zepsuł się wężyk z powietrzem. Już nawet Eloise słyszała je kolejny raz, jak litanie przed każdym zanurzeniem.

Manta bawiła się z wielką łodzią. Madaleno gwałtownie skręcił, uciekając jej z drogi. Wyskoczyła wysoko w niebo, świecąc białym brzuchem. Rybki pasożytnicze eksplodowały z jej powierzchni, rykoszetując o łódź. Dalej na morzu para ciemnozielonych żółwi parzyła się na falach. Przyciśnięte do siebie, kołysały się sennie dalej i dalej, czasami mrugając od słońca.

Madaleno zakotwiczył w północnej części zatoki, z dala od skał. Płetwy, maski, obciążniki, zbiorniki włóż. Usiedli w półkřęgu na burcie. Flaco i Ramón zeszli pierwsi. Po prostu przechylili się i zniknęli. Potem Raúl i Cheyo, Beto i Luis. César zobaczył, że Eloise się boi. Fale były wysokie, granatowe. Z uśmiechem zepchnął ją z łódki. Zimno. Mignięcie niebieskiego nieba, a potem zupełnie nowe przezroczyste niebo. Prawdziwa łódź i lina kotwiczna. Głębiej, zimniej. Schodź powoli, pokazał.

Zawieszenie czasu. Zmultiplikowanie czasu dzięki stopniowaniu światła i ciemności, zimna i ciepła. Kolejne warstwy w dół, każda z inną hierarchią współegzystujących roślin i ryb. Noce i dni, zimy i lata. Bliżej dna jest ciepło, słonecznie, jak na łące w Montanie wiele lat temu. Mureny obnażają kły. Flaco pokazał jej, czego szukać. Mignięcie niebieskiego czułka homara. Czekaj – uważaj na mureny. Nurkowie unosili się nad szczelinami i wpływali w nie jak tancerze we śnie. Eloise pomachała do tych, którzy byli najbliżej, kiedy dostrzegła homara. Od czasu do czasu przemykał obok wielki skarus albo lucjan i jeden z nurków do niego strzelał. Krwawa błyskawica. Blask srebra, gdy ryba wpadała do sieci.

Następne zanurzenie odbyło się na otwartym morzu. Eloise czekała z Madalennem na łodzi. On śpiewał, ona patrzyła na senne fregaty leżące obok śliskich ryb. Marzenia przerwała fontanna wody, wrzask nurka wynurzającego się ze zdobyczą.

W drodze powrotnej mężczyźni świętowali, z wyjątkiem Luisa. Pewnie, że połów był dobry, ale powinni mieć takie dwa razy dziennie, jeśli chcą zatrzymać „La Idę”. Mają dwie zaległe raty do spłacenia, wciąż są winni dwadzieścia tysięcy peso. Ich dawna łódź mieściła tylko czterech nurków, zbiorniki na zaledwie jedno zanurzenie. „La Ida” to dobry pomysł, mówił, gdyby ojciec dał spokój z tymi trzema starymi mężczyznami. Ci *viejos* łapią dwie ryby na każde

dziesięć naszych. Z trzema dobrymi nurkami spłacilibyśmy łódź w kilka miesięcy.

– Luis tak naprawdę chce kupić motorówkę – powiedział César – i wozic *gringas* na narty wodne. *Que se vaya a Acapulco*. Nigdy bym im nie powiedział, że nie potrafią nurkować. I ty nie waż się mi tego mówić.

Każdego ranka Eloise wypływała z Césarem na małże i na pierwsze zanurzenie. Wciąż nie zabierali jej na drugie, głębokie zejście, choć robiła się coraz silniejsza i pewniejsza i udawało jej się ustrzelić sporo ryb. Wieczorami siadywała ze starymi mężczyznami. Luis i César przeglądali rachunki, kłócili się. Czasami synowie jechali do miasta. Luis i Eloise konsultowali, jak powinni się ubierać na wyjazd. Uwierz, białe bawełniane spodnie są ładniejsze niż te zielone poliestrowe. Oczywiście, zostaw zęby rekina na szyi.

Któregoś wieczoru César wszystkich strzygł. Nawet ją. Żałowała, że nie ma lustra, ale włosy były fajne, lekkie, kręcone.

– Vardzo ładnie – powiedział Luis.

„Bardzo”, poprawiła go, ale już wiedziała, że odkrył uroki akcentu.

Zwykle siedzieli w milczeniu, kiedy słońce zachodziło, zapadał zmrok. Słuchała klik klik kostek domina, skrzypienia liny kotwicznej. Kilka razy próbowała czytać albo pracować nad wierszem, ale się poddała. Może już nigdy nie będę czytać. Co zrobi po powrocie do domu? Kto wie – może Denver będzie już wtedy całkowicie zatopione. Roześmiała się w głos na tę myśl.

– *Estás contenta* – powiedział César.

Następnego dnia zawołała do niego, przekrzykując generator:

– Zabierzesz mnie na głębokie nurkowanie, zanim wyjadę?

– Najpierw musisz zaliczyć kiepskie.

– Jak to się robi?

– Zobaczysz. Może już dzisiaj. Morze jest wzburzone. Padało całą noc.

Pierwszy raz zanurzyli się w skalistym miejscu, z mnóstwem jeżowców i muren. Woda była ciemna; silne zimne prądy utrudniały widzenie i pływanie. Belona ukłuła ją w ramię. Ramón i Raúl wynurzyli się razem z nią, zawiązując mocno ranę szmatami, by krew nie przyciągnęła rekinów. Ponownie pod wodą straciła ich z oczu, Césara nie widziała w ogóle. Mam nadzieję, że to się liczy jako kiepskie nurkowanie, zażartowała w myślach, ale była przerażona. Nie widziała nic i nikogo. Przebierała rękami, jakby zgubiła się w lesie. Skończyło się powietrze. Pociągnęła za rezerwową rurkę, ale nic się nie wydarzyło. Powoli się wynurzaj. Powoli. Ale spanikowała.

Palilo ją w płucach. Wynurzyła się trochę, histerycznie szarpiąc za przewód. Zero powietrza. César był tuż przed nią. Wyrwała mu ustnik i włożyła sobie do ust.

Oddychała, szlochając z ulgą. On czekał, potem spokojnie odebrał jej ustnik i sam odetchnął. Wyprowadził ją pod powierzchnię, oddychali na zmianę.

Wypłynęli. Powietrze, lekkość. Cała drżała. Madaleno pomógł jej wejść na łódź.

– Tak mi wstyd. Wybacz mi, proszę.

César trzymał jej głowę w dłoniach.

– Zamknąłem ci zbiornik rezerwowý. Zrobiłaś dokładnie to, co powinnaś.

W drodze powrotnej nurkowie żartowali z Eloise, ale wszyscy zgodzili się, by następnego dnia popłynęła z nimi do Los Morros.

– *Pues, es brava* – powiedział Raúl.

– *Sí* – uśmiechnął się César. – *Ella podría ir sola.*

Mogłaby zejść sama. Pewnie uważa ją za jedną z tych samodzielnych agresywnych Amerykanek. Jestem samodzielna, pomyślała, opierając głowę na burcie, a wysokie fale zmywały łzy. Zamknęła oczy i pomyślała o wierszu, wiedziała już, jak go zakończyć. *I tak cała krew dociera / do miejsca swego spoczynku.*

Następny dzień okazał się oszałamiająco pogodny. Los Morros były surową skałą na głębokim morzu, z której ledwo było widać ląd. Pokryta ptasimi odchodami drgała szaleńczo od miliona ptaków. „La Ida” zakotwiczyła daleko od niej, ale nawet nad grzmiącymi falami i ptasimi wrzaskami słysząc było upiorny trzepot i łopot skrzydeł. Smród moczu i łajna przyprawiał o mdłości, otępiający jak eter.

Głębokie zejście. Piętnaście metrów, dwadzieścia, trzydzieści, trzydzieści pięć. Jakby góry Kolorado znalazły się pod wodą. Urwiska i ustępy, żłoby i doliny. Ryby i rośliny, jakich Eloise nigdy nie widziała; tutaj ryby były ogromne i odważne. Wycelowała w strzępiela, spudłowała, wycelowała ponownie i tym razem trafiła. Był tak duży, że Juan pomógł jej załadować rybę na sieć, ale linka parzyła Eloise palce. Wszędzie dokoła szalone ładowanie i strzelanie. Skarusy, lucjany, seriole. *Sangre*. Trafiła jeszcze jednego strzępiela i itajarę, zadowolona, bo nie widziała Césara, radziła sobie sama. Potem się przestraszyła, ale dostrzegła go gdzieś daleko i nad ostrymi klifami szybko przepłynęła w jego stronę. Machał płetwami, czekając w ciemności, potem przyciągnął ją do siebie. Objęli się, stuknąwszy się zegarami. Potem zdała sobie sprawę, że jego penis jest w niej; objęła go nogami, kiedy kręcili się i falowali

w ciemnym morzu. Kiedy wyszedł, sperma dryfowała między nimi jak blady atrament kałamarnicy. Kiedy Eloise myślała o tym później, nie wspominała osoby ani aktu seksualnego, ale coś w rodzaju naturalnego zjawiska, lekkiego trzęsienia ziemi, porywu wiatru w letni dzień.

Podawał jej swój sznur z rybami, kiedy zobaczył ogromnego *pintillo*, ustrzelił go i nanizał na linę. Nad nimi płynął lucjan, daleko, Eloise wyrwała gwałtownie w jego stronę i spotkali się u ujścia ciemnej jaskini. Ryba zniknęła. César gestem kazał Eloise czekać, przytrzymał w zimnej ciemności. W intensywnym fiolecie unosiły się drobinki złotego pyłu. Błękitna papugoryba. Cisza. Potem nadpłynęły. Ławica barakud. W morzu nie było nic innego. Niekończące się, bezdźwięczne, całe setki. Słabe światło zmieniło ich szybką gładkość w płynne srebro. César strzelił, rozbijając je w kulki rtęci, które szybko spłynęły na powrót w gromadę i zniknęły.

„La Ida” stała nisko w wodzie, oblana pianą. Wyczerpani nurkowie rozłożyli się na pulsujących ciałach ryb. Beto złapał żółwicę i teraz mężczyźni grzebali w jej wnętrzu, szukając jaj, by zjeść je z limonką i solą. Eloise najpierw podziękowała, przekonana, że żółwie są w okresie ochronnym, ale z głodu w końcu również zjadła. Łódź raz po raz okrążała Los Morros. Nikt nic nie mówił; na początku Eloise nie zauważyła, że Flaco nie wypłynął, nie wyczuła strachu, dopóki nie minęła godzina od planowanego powrotu. Nawet kiedy zaszło słońce, nikt nie powiedział, że na pewno utonął, nie żyje. César kazał w końcu Madalenowi kierować się do brzegu.

Zjedli przy świetle jednej latarni. Nikt się nie odzywał. Kiedy skończyli, César, Raúl i Ramón wrócili na morze z latarniami i butelką *raicilla*.

– Ale przecież w ciemności go nie znajdą.

– Nie – powiedział Luis.

Wróciła do pokoju, żeby się spakować, rozwiesiła swój kraciasty kostium. Rano wyjeżdżała, wezwała już łódkę. Leżała bezsennie na wilgotnym łóżku, patrząc przez moskitierę w cynową księżycową noc. César przyszedł do jej łóżka, przytulił, pieścił silnymi dłońmi pokrytymi bliznami. Jego usta i ciało smakowały solą. Ciała mieli splecione, gorące, kołysali się. Rytm morza. Uśmiechnęli się w bladym świetle i zasnęli, połączeni jak żółwie.

Kiedy się obudziła, siedział na jej łóżku w kąpielówkach i koszuli.

– Eloisa, czy możesz mi dać dwadzieścia tysięcy na łódź?

Zawahala się. W peso brzmiało to jak duża kwota. To była duża kwota.

– Tak – odparła. – Weźmiesz czek?

Skinął głowę. Wypisała czek i włożyła mu do kieszeni. *Gracias*, powiedział, ucałował jej powieki i odszedł.

Słońce już wstało. César stał przy generatorze, czarna ropa spływała mu po ręce. Eloise przed pękniętym lustrem nałożyła szminkę. Świnie i kurczaki snuły się po podwórzu, płosząc sępniki. Madaleno grabił piach. Z kuchni wyszła Isabel.

– *Pues ya se va?*

Eloise skinęła głowę i chciała uścisnąć dłoń Isabel na pożegnanie, ale stara kobieta zarzuciła jej ręce na szyję. Kołysały się przytulone; dłonie Isabel w mydlinach były mokre i ciepłe na plecach Eloise.

Motorówka przyплыnęła, kiedy „La Ida” mijala teraskański mur i wypływała w morze. Mężczyźni zamachali przelotnie do Eloise. Sprawdzali zegary, przyczepiali ciężarki i noże. César sprawdzał butle z tlenem.

Dobra i zła

Zakonnice bardzo się starały nauczyć mnie grzeczności. W liceum robiła to panna Dawson. Santiago College, rok 1952. Sześć uczennic z naszej szkoły szło do amerykańskich college'ów; musiałyśmy zaliczyć kurs amerykańskiej historii i wiedzy o społeczeństwie u nowej nauczycielki Ethel Dawson. Tylko ona była Amerykanką, pozostali nauczyciele pochodzili z Chile albo z Europy.

Wszystkie zachowywałyśmy się wobec niej paskudnie. Ja byłam najgorsza. Jeśli zapowiadała sprawdzian, a nikt się nie przygotował, przez całą lekcję zajmowałam ją pytaniami o Zakup Gadsdena albo zaczynałam dyskusję o segregacji lub amerykańskim imperializmie, jeśli naprawdę było z nami kiepsko.

Przedrzeźniałyśmy ją, naśladując nosowy bostoński zaśpiew. Z powodu polio musiała nosić but ortopedyczny na platformie, miała też druciane okulary z grubymi szklami. Szparę między zębami, okropny głos. Wydawało się, że z premedytacją stara się wyglądać jeszcze gorzej; nosiła męskie niedopasowane ubrania, pogniecione, poplamione zupą spodnie, paskudne chustki na źle ostrzyżonych włosach. Kiedy wykladała, robiła się czerwona i śmierdziała potem. Nie chodziło o to, że obnosiła się z biedą... Madame Tournier na przykład codziennie nosiła tę samą starą czarną spódnicę i bluzkę, ale spódnica była obcięta po skosie, czarna bluzka, choć zzieleniała i wystrzępiona ze starości, była z dobrego jedwabiu. Wtedy styl i prestiż były dla nas najważniejsze.

Pokazywała nam filmy i slajdy o sytuacji chilijskich rolników i pracowników stoczni, wszystko to przez Stany Zjednoczone. Do klasy chodziły córka ambasadora i kilka córek admirałów. Mój ojciec był inżynierem górniczym, pracował z CIA. Szczerze wierzył w to, że Chile potrzebuje Stanów Zjednoczonych. Panna Dawson uważała, że dociera do podatnych na wpływy młodych umysłów, ale tak naprawdę mówiła do zepsutych amerykańskich bachorów. Każda z nas miała bogatego, przystojnego, potężnego amerykańskiego tatusia. Dziewczyny w tym wieku traktują ojców tak jak konie. To pasja. A ona sugerowała, że byli złoczyńcami.

Jako że zwykle gadałam najwięcej, to na mnie się skupiła, zatrzymywała po lekcjach, a któregoś dnia poszła nawet ze mną do ogrodu różanego, narzekając na elitarność naszej szkoły. Straciłam wtedy cierpliwość.

– W takim razie co pani tutaj robi? Dlaczego nie pójdzie pani uczyć biedaków, skoro tak

się pani o nich martwi? Po co w ogóle mieć coś wspólnego z nami, snobami?

Odparła, że pracuje tam, gdzie dostała pracę, ponieważ uczy historii Ameryki. Jeszcze nie zna hiszpańskiego, ale każdą wolną chwilę spędza z biednymi i jako wolontariuszka w grupach rewolucyjnych. Mówiła, że praca z nami to nie strata czasu... jeśli uda jej się zmienić sposób myślenia choć jednej uczennicy, będzie warto.

– Być może ty nią jesteś – dodała.

Usiadłyśmy na kamiennej ławce. Przerwa dobiegała końca. Zapach róż i jej stęchłego swetra.

– Powiedz, co robisz w weekendy? – zapytała.

Chciałam, żeby zabrzmiało to niepoważnie, ale chyba przesadziłam. Fryzjer, manikiurzystka, krawcowa. Lunch w Charles. Polo, rugby albo krykiet, *thés dansants*, kolacje, przyjęcia do świtu. W niedzielny poranek msza o siódmej w El Bosque, jeszcze w stroju z poprzedniego wieczoru. Śniadanie w country clubie, golf albo pływanie, czasem dzień na morzu w Algarrobo, zimą narty. Oczywiście kino, ale zwykle tańce przez całą noc.

– Takie życie cię zadowala?

– Tak.

– A jeśli poprosiłabym, żebyś na miesiąc oddała mi swoje soboty, zgodziłabyś się?

Zobaczyć tę część Santiago, której nie znasz?

– Dlaczego akurat ja?

– Ponieważ myślę, że tak naprawdę jesteś dobrym człowiekiem. I możesz się czegoś nauczyć. – Objęła moje dłonie. – Spróbuj.

Dobry człowiek. Ale zainteresowała mnie już wcześniej słowem „rewolucjoniści”.

Chciałam poznać rewolucjonistów, ponieważ byli niegrzeczni.

Moje soboty z panną Dawson zdenerwowały wszystkich bardziej, niż to było konieczne, co tylko sprawiło, że jeszcze bardziej chciałam to robić. Powiedziałam matce, że zamierzam pomagać biednym. Była zdegustowana, bała się chorób, toalet. Nawet ja wiedziałam, że biedacy w Chile nie mają desek klozetowych. Moi znajomi byli w szoku, że w ogóle idę gdzieś z panną Dawson. Mówili, że to wariatka, fanatyczka i lesbijka, oszalałam czy co?

Pierwszy spędzony z nią dzień okazał się koszmarny, ale byłam zbyt dumna, żeby zrezygnować.

W każdą sobotę rano jechałyśmy na miejskie wysypisko pick-upem pełnym wielkich

garów z jedzeniem. Fasola, owsianka, herbatniki, mleko. Ustawialiśmy duży stół na polu obok ciągnących się kilometrami szałasów zrobionych ze spłaszczonych puszek. Pogięty kran z wodą trzy ulice dalej obsługiwał całe to osiedle. Przed zapyziałymi przybudówkami paliły się ogniska, tam, na resztkach drzewa, kartonach i butach, gotowano posiłki.

Na początku to miejsce wydawało mi się wyludnione, całe kilometry hałdy. Hałdy śmierdzących, dymiących śmieci. Po jakimś czasie przez kurz i dym dawało się dostrzec, że po tych hałdach chodzą ludzie. Ludzie koloru łajna, w szmatach tego samego koloru co śmieci. Nikt nie wstawał, wszyscy przemykali na czworakach jak zmoknięte szczury, wrzucając rzeczy do toreb na plecach, przez które wyglądali jak zwierzęta z garbem, krążące, skaczące, spotykające się ze sobą, dotykające się nosami, odpełzające, znikające niczym iguany za krawędziami hałd. Ale kiedy rozstawiliśmy jedzenie, pojawiły się dziesiątki kobiet i dzieci, usmolonych i mokrych, śmierdzących zgnilizną i zepsutym jedzeniem. Cieszyli się ze śniadania, kucali, jedząc, wystawiali kościste łokcie niczym modlące się modliszki na górach śmieci. Kiedy już zjedli, dzieci stłoczyły się wokół mnie, wciąż się czołgając albo rozkładając w kurzu, głaskały moje buty, dotykały rękami pończoch.

– Widzisz, lubią cię – powiedziała panna Dawson. – Czy to nie miłe uczucie?

Wiedziałam, że podobają im się raczej moje buty i pończochy, czerwony żakiet od Chanel.

Kiedy odjeżdżaliśmy, panna Dawson i jej przyjaciele byli podekscytowani i radośnie gawędzili. Ja miałam mdłości i wielkiego doła.

– Co to za pomoc karmić ich raz w tygodniu? Przecież to nie zmieni ich życia. Potrzebują więcej niż herbatników raz na tydzień, na miłość boską.

– Racja. Ale dopóki nie przyjdzie rewolucja i ludzie nie zaczną się wszystkim dzielić, trzeba robić, co się da, żeby w ogóle pomóc. Muszą wiedzieć, że ktoś pamięta, jak oni tam żyją. Wyjaśniamy im, że wkrótce sytuacja się zmieni. Nadzieja. Najważniejsza jest nadzieja – mówiła panna Dawson.

Zjedliśmy lunch w jakiejś kamienicy na południu miasta, na szóstym piętrze. Jedno okno wychodziło na szyb wentylacyjny. Gorąco jak w piekarniku, bez bieżącej wody. Wodę do wszystkiego musieli nosić po tych całych schodach. Na stole cztery miski i cztery łyżki, na środku stos chleba. Wiele osób, rozmawiali w małych grupach. Znałam hiszpański, ale oni używali ciężkiego *caló*, niemal pozbawionego spółgłosek, przez co trudno było mi wszystko

zrozumieć. Ignorowali nas, patrzyli z rozbawioną obojętnością albo całkowitą pogardą. Nie słyszałam rewolucyjnych rozmów, tylko rozmowy o pracy, pieniądzach, świńskie żarty. Po kolei jedliśmy soczewicę, piliśmy *chicha*, kwaśne wino, używając tych samych misek i szklanek co osoba przed nami.

– To miłe, że nie przeszkadza ci brud – cieszyła się panna Dawson.

– Dorastałam w górniczych osadach. Bardzo brudnych.

Jednak domki fińskich i baskijskich górników były ładne, z kwiatami i świecami, Maryjami o ładnych buziach. To zaś było brzydkie, syfiaste miejsce, w którym na ścianach wypisano z błędami jakieś slogany, a komunistyczne ulotki poprzyklejano gumą do żucia. Widziałam zdjęcie z gazety poplamione krwią, byli na nim mój ojciec i minister górnictwa.

– Hej! – odezwałam się.

Panna Dawson wzięła mnie za rękę.

– Ćśś – powiedziała po angielsku. – Tutaj mówimy sobie po imieniu. Na miłość boską, nie mów, kim jesteś. Adele, nie czuj się nieswojo. Żeby dorosnąć, musisz zmierzyć się z rzeczywistością, z tym, kim jest twój ojciec.

– Ale nie z krwią na jego zdjęciu.

– Właśnie z nią. Możliwe, że tak się zdarzy, i musisz być tego świadoma. – Ścisnęła moje dłonie.

Po lunchu zabrała mnie do El Niño Perdido, sierocińca mieszczącego się w starym kamiennym, pokrytym bluszczem budynku u podnóża Andów. Prowadziły go francuskie zakonnice, urocze stare zakonnice w kornetach *fleur-de-lis* i niebieskoszarych habitach. Płynęły przez ciemne sale nad kamiennymi podłogami, frunęły korytarzami na ukwiecony dziedziniec, otwierały drewniane okiennice, nawołując ptasimi głosami. Ciągnąc za małe stopy, odsuwały szalone dzieci, które gryzły je w nogi. Myły dziesięć twarzy naraz, wszystkie niewidome. Karmiły sześciu mongoidalnych olbrzymów, wyciągając wysoko ręce z łyżkami pełnymi owsianki.

Wszystkie te sieroty miały jakiś problem. Niektóre postradały zmysły, nie miały nóg albo były nieme, inne poparzone na całym ciele. Bez nosów albo uszu. Niemowlęta z syfilisem i nastoletni mongoloidzi. To zbiorowisko cierpienia rozlewało się od sali do sali, na dziedziniec i do uroczonego zarośniętego ogrodu.

– Ogromnie dużo tu pracy – powiedziała panna Dawson. – Ja lubię karmić i przewijać

niemowlęta. Ty możesz poczytać niewidomym dzieciom... wszystkie wydają się wyjątkowo inteligentne i znudzone.

Niewiele mieli tu książek. La Fontaine po hiszpańsku. Usiedli w kółku, gapiąc się na mnie naprawdę niewidzącym wzrokiem. Zdenerwowana zaczęłam zabawę, klaskanie i tupanie, coś w rodzaju muzycznych krzesel. Spodobało się im, kilkorgu innym dzieciom również.

Nienawidziłam wysypiska w soboty, ale lubiłam jeździć do sierocińca. Kiedy tam byliśmy, lubiłam nawet pannę Dawson. Ona kąpała i kołysała małe dzieci, śpiewała im, a ja wymyślałam zabawy dla starszych. Niektóre się udawały, inne nie. Sztafety nie, ponieważ nikt nie chciał puścić pałeczki. Skoki przez skakankę były świetne, ponieważ dwóch chłopców z zespołem Downa machało skakanką całymi godzinami bez przerwy, a wszyscy inni, szczególnie niewidome dziewczynki, skakali na zmianę. Skakały nawet zakonnice, hop hop, unosiły się w powietrzu błękity. Rolnik sam w dolinie. Chodzi lisek koło drogi. Zabawa w chowanego się nie sprawdziła, bo nikt nie wracał do bazy. Sieroty lubiły, gdy przychodziłam, ja uwielbiałam tam chodzić, nie dlatego, że byłam dobrym człowiekiem, ale ponieważ lubiłam się bawić.

W sobotnie wieczory chodziliśmy do teatru rewolucyjnego albo na wieczorki poezji. Słuchałyśmy największych poetów Ameryki Łacińskiej naszego wieku. Utwory tych poetów potem miałam pokochać, uczyć się o nich i uczyć innych. Ale wtedy nie słuchałam. Przeżywałam męki skrępowania i zażenowania. Byłyśmy tam jedynymi Amerykankami, ciągle słyszałam, jak mówią o atakach na Stany Zjednoczone. Wiele osób zadawało pytania o amerykańską politykę, na które nie znałam odpowiedzi, odsyłałam ich do panny Dawson i tłumaczyłam jej odpowiedzi, zawstydzona i zakłopotana tym, co im mówiłam o segregacji, o kopalniach Anacondy. Ona nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo sobie z nas kpili, wyśmiewali jej komunistyczne banały na temat ich rzeczywistości. Śmiali się z mojej fryzury na Stalina i paznokci, moich drogich codziennych ubrań. W trakcie jednego ze spotkań w teatrze kazali mi wstać, a reżyser zawołał: „Dobra, *gringa*, a teraz powiedz, co robisz w moim kraju!”. Zamarłam i usiadłam, słuchając gwizdów i śmiechów. W końcu powiedziałam pannie Dawson, że w sobotnie wieczory już nie mogę wychodzić.

Kolacja i tańce u Marcela Errazuriza. Consommé z martini pite z małych filiżanek na tarasie, pachnące ogrody wokół. Sześciodaniowa kolacja, która rozpoczęła się o jedenastej. Wszyscy żartowali sobie z moich dni z panną Dawson, błagali, bym powiedziała, gdzie byłam. Nie mogłam o tym rozmawiać, ani z przyjaciółmi, ani z rodzicami. Pamiętam, że ktoś zażartował

ze mnie i moich *rotos*. „Zepsuci” oznaczało wtedy biedaków. Zawstydziałam się, wiedziałam, że w pokoju jest niemal tylu służących co gości.

Dołączyłam do panny Dawson w trakcie protestu robotników przed ambasadą Stanów Zjednoczonych. Zdążyłam przejść dwie ulice, kiedy z tłumu wyciągnął mnie znajomy ojca Frank Wise i zabrał do hotelu Crillon. Był wściekły. „Co ty, na Boga, wyprawiasz?”

Szybko zrozumiał to, czego panna Dawson nie rozumiała... że nie miałam najbledszego pojęcia o polityce, o co w tym wszystkim chodzi. Powiedział, że mojemu ojcu bardzo by zaszkodziło, gdyby prasa dowiedziała się, co wyrabiam. *To* rozumiałam.

W któreś sobotnie popołudnie zgodziłam się zbierać w centrum miasta pieniądze na sierociniec. Stałam na jednym rogu, panna Dawson na drugim. W ledwie kilka minut tuzin osób zdążył mnie obrazić i skłąć. Nie rozumiałam, trzymałam tylko tabliczkę z napisem „Wesprzyj El Niño Perdido” i grzechotałam kubkiem. Dwóch znajomych, Tito i Pepe, szło właśnie na kawę do Waldorfa. Zgarnęli mnie, żebym poszła z nimi na tę kawę.

– Tutaj się tego *nie* robi. Biedni ludzie żebrzą. Obrażasz biednych. A kobieta prosząca o cokolwiek to szokujący obrazek. Zniszczysz sobie reputację. I nikt nie uwierzy, że nie zatrzymasz tych pieniędzy dla siebie. Dziewczyna nie może tak sobie stać na ulicy bez obstawy. Możesz chodzić na bale charytatywne albo proszone obiady, ale fizyczny kontakt z innymi klasami jest po prostu wulgarny i protekcyjny wobec nich. I absolutnie nie możesz sobie pozwolić, by widziano cię publicznie z kimś o jej seksualnej orientacji. Moja droga, jesteś zbyt młoda, nie rozumiesz...

Piliśmy jamajską kawę i słuchałam, co mówią. Odparłam, że rozumiem ich argumenty, ale po prostu nie mogę zostawić panny Dawson samej na rogu. Odparli, że z nią porozmawiają. We trójkę poszliśmy Ahumadą do miejsca, w którym stała dumnie, podczas gdy przechodnie mruczeli pod nosem *gringa loca* albo *puta coja*, kaleka dziwka.

– W Santiago nie wypada, by młoda dziewczyna robiła takie rzeczy, więc zabieramy ją do domu – tylko tyle powiedział Tito do panny Dawson.

Spojrzała na niego z pogardą, a kilka dni później na szkolnym korytarzu oznajmiła, że nie powinnam pozwalać mężczyznom sobie rozkazywać. Odparłam, że i tak wszyscy mi rozkazują i że towarzyszyłam jej w soboty o miesiąc dłużej, niż pierwotnie obiecałam. I nie będę już tego robić.

– Błędem jest powrót do twojej egoistycznej egzystencji. Walka o lepszy świat to jedyny

powód do życia. Niczego się nie nauczyłaś?

– Wiele się nauczyłam. Widzę, że dużo rzeczy trzeba zmienić. Ale to ich walka, nie moja.

– Nie wierzę, że to mówisz. Nie rozumiesz, że taka postawa to właśnie problem naszego świata?

Z płaczem pokuśtykała do toalety, spóźniła się na zajęcia, a potem zwolniła nas z reszty lekcji. W szóstkę poszliśmy więc poleżeć na trawie w ogrodzie, z dala od okien, żeby nikt nie widział, że nie ma nas w klasie. Dziewczyny kpiły ze mnie, mówiły, że zламаłam serce pannie Dawson. Z pewnością się we mnie zakochała. Czy próbowała mnie pocałować? Wtedy naprawdę się zdenerwowałam i nie wiedziałam już, co myśleć. Mimo wszystko zaczynałam ją lubić, jej uparte i naiwne poświęcenie, jej nadzieję. Była jak małe dziecko, jedno z tych ślepych maluchów wzdychających z zachwytem, kiedy bawiły się w zraszaczu. Panna Dawson nigdy ze mną nie flirtowała, nie próbowała mnie ciągle dotykać, jak to robili chłopcy. Ale chciała, żebym robiła to, czego nie chciałam robić, i dlatego czułam się złym człowiekiem, bo niesprawiedliwość na świecie specjalnie mnie nie obchodziła. Dziewczyny się na mnie wkurzały, gdy nie chciałam o niej opowiadać. Nazywały mnie kochanką panny Dawson. Nie miałam z kim porozmawiać, zapytać, co jest dobre, co złe, więc po prostu czułam się źle.

Mojego ostatniego dnia na wysypisku było wietrznie. Piach wlatywał do owsianki lśnięcymi falami. Kiedy na wzgórzach podniosły się postacie, każdej towarzyszył kłęb kurzu, więc wyglądały jak srebrne duchy, derwisze. Nikt nie miał butów, nagie stopy cicho skradały się po wilgotnych kopcach. Nic nie mówili, nie krzyczeli do siebie, jak robi to większość pracujących ze sobą ludzi, i nigdy się do nas nie odezwali. Za parującymi górami łąjna leżało miasto, a nad nami wszystkimi białe Andy. Jedli. Panna Dawson również milczała, zbierając garnki i sztucce w westchnieniu wiatru.

Już wcześniej umówiliśmy się, że po południu pojedziemy na wiec pracowników rolnych pod miastem. Zjadliśmy *churrascos* na ulicy, po drodze zatrzymałyśmy się w jej mieszkaniu, żeby mogła się przebrać.

Było obskurne i duszne. Na widok palnika gazowego do gotowania stojącego na zbiorniku od toalety zrobiło mi się niedobrze, tak jak od smrodu starej wełny i potu i włosów. Przebierała się w mojej obecności, co mnie zaszokowało i przeraziło, jej nagie, zdeformowane, błękitnobiałe ciało. Włożyła sukienkę bez rękawów, nie miała pod spodem stanika.

– Panno Dawson, to by się nadawało na wieczór, do domu albo na plażę, ale w Chile nie

może pani chodzić naga.

– Żal mi ciebie. Całe życie będziesz sparaliżowana Tym, Co Wolno, tym, co ludzie powiedzą ci, że masz myśleć albo zrobić. Nie ubieram się, żeby zadowolić innych. Jest bardzo gorąco i w tej sukience czuję się komfortowo.

– Cóż, ale ja nie czuję się komfortowo. Ludzie będą mówili do nas brzydkie rzeczy. To nie Stany.

– Najlepsze, co może ci się przydarzyć, to jeśli od czasu do czasu poczujesz się niekomfortowo.

Kilkoma zatłoczonymi autobusami dotarliśmy do *fundo*, gdzie odbywał się wiec, ludzie czekali w gorącym słońcu i stali na autobusach. Wsiadliśmy i zeszliśmy piękną aleją wysadzaną eukaliptusami, po drodze zatrzymałyśmy się, by ochłodzić się w strumieniu przy drodze.

Na przemówienia się spóźniłyśmy. Był już tylko pusty podest i transparent z napisem „Ziemia dla ludzi”, wiszący krzywo za mikrofonem. Widziałam małą grupę mężczyzn w garniturach, zapewne organizatorów, ale większość obecnych stanowili robotnicy rolni. Ktoś grał na gitarze, tłumek zebrał się wokół pary bez entuzjazmu tańczącej *la cueca*, leniwie machającej chusteczkami, kiedy okrążali się nawzajem. Ludzie nalewali wino z wielkich beczek albo stali w kolejce po pieczoną na ruszcie wołowinę i fasolę. Panna Dawson kazała mi znaleźć miejsce przy jednym ze stołów, sama miała przynieść jedzenie.

Wcisnęłam się na ławkę przy końcu stołu pełnego rodzin. Nikt nie rozmawiał o polityce, najwyraźniej to byli po prostu ludzie ze wsi, którzy przyjechali na darmowy piknik. Wszyscy bardzo, bardzo pijani. Widziałam, jak panna Dawson konwersuje w kolejce. Ona również piła wino i gestykulowała, mówiąc bardzo głośno, by ludzie ją zrozumieli.

– Czy to nie wspaniałe? – zapytała mnie, przynosząc dwa talerze pełne jedzenia. – Przedstawmy się. Spróbuj więcej rozmawiać z ludźmi, w ten sposób się uczysz i pomagasz.

Dwóch siedzących obok chłopów ryczało ze śmiechu; uznali chyba, że jesteśmy z innej planety. Tak jak się obawiałam, dziwiły ich gołe ramiona i widoczne sutki panny Dawson, nie mogli dojść, kto to w ogóle jest. Zdałam sobie sprawę, że ona nie tylko nie mówi po hiszpańsku, ale jest niemal ślepa. Łypała zza tych swoich grubych okularów, uśmiechając się, ale nie widziała, że ci mężczyźni się z nas śmiali, nie lubili nas, czymkolwiek byśmy. Co tu w ogóle robimy? Próbowała wyjaśnić, że należy do partii komunistycznej, tyle że zamiast *partido* co

chwila wznosiła toasty za *fiesta*, co oznacza świętowanie, więc wciąż odpowiadali toastem *La fiesta!*

– Musimy iść – powiedziałam, ale tylko spojrzała na mnie z otwartymi ustami, pijana.

Mężczyzna obok bez przekonania próbował ze mną flirtować, chociaż i tak bardziej martwiłam się o wielkiego pijanego faceta przy pannie Dawson. Jedną ręką głaskał jej ramiona, a drugą jadł zeberko. Śmiała się, dopóki nie zaczął jej obmacywać i całować, wtedy zaczęła krzyczeć.

Wylądowała na ziemi, szlochając bez opamiętania. Najpierw wszyscy do niej podbiegli, ale szybko odeszli, mrużąc: „Kolejna pijana *gringa*”. Mężczyźni, obok których siedzieliśmy, zupełnie nas już ignorowali. Ona wstała i zaczęła biec w stronę drogi; ruszyłam za nią. Kiedy dotarła do strumienia, próbowała się obmyć, usta i piersi. Ubłocila się tylko i zmoczyła. Usiadła na brzegu, płacząc i smarkając. Dałam jej swoją chusteczkę.

– Panna Idealna! Wyprasowana Iniana chusteczka! – szydziła.

– Tak – rzuciłam tylko.

Byłam nią zmęczona, chciałam wrócić do domu. Wciąż szlochając, dokuśtykała ścieżką do głównej drogi i zaczęła zatrzymywać samochody. Wciągnęłam ją z powrotem między drzewa.

– Panno Dawson, nie może pani łapać tu stopa. Oni nie rozumieją... ściąganie pani na nas kłopoty, dwie kobiety łapiące okazję. Niech mnie pani posłucha!

Jakiś rolnik w starej furgonetce się zatrzymał, silnik terkotał na zakurzonej drodze. Zaproponowała mu pieniądze za podrzucenie nas na przedmieścia. Jechał do centrum, mógł nas zawieźć aż do jej domu za dwadzieścia peso. Wlazłyśmy na pakę.

Wiało, objęła mnie. Czułam jej mokrą sukienkę, klejące włosy pod pachą, kiedy do mnie przylgnęła.

– Nie możesz wracać do swojego beztroskiego życia! Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie – powtarzała, póki w końcu nie dojechałyśmy do jej mieszkania.

– Do widzenia. Dziękuję za wszystko – powiedziałam. Albo coś równie głupiego.

Zostawiłam ją na krawężniku, gapiącą się na moją taksówkę, póki nie skręciliśmy za róg.

Służące oparte o bramę rozmawiały z dzielnicowym *carabinero*, uznałam więc, że nikogo nie ma w domu. Ale był ojciec, przebierał się na golfa.

– Wcześniej wróciłaś. Gdzie byłaś? – zapytał.

– Na pikniku, z moją nauczycielką historii.

– A, tak. Jaka ona jest?

– W porządku. Jest komunistką.

Palnęłam to bez zastanowienia. To był koszmarne dzień. Byłam zmęczona panną Dawson. Ale to wystarczyło. Dwa słowa wypowiedziane do mojego ojca. Zwolnili ją jakoś w weekend i nigdy więcej jej nie zobaczyliśmy.

Nikt inny nie wiedział, co się wydarzyło. Pozostałe dziewczyny cieszyły się, że odeszła. Miałyśmy teraz okienko, choć wiedziałyśmy, że w college'u będziemy musiały nadrabiać historię Ameryki. Nie miałam z kim porozmawiać. Powiedzieć, że mi przykro.

Melina

Wieczorami w Albuquerque mój mąż Rex chodził na zajęcia na uniwersytecie albo do swojej pracowni rzeźbiarskiej. Zabierałam wtedy naszego syna Bena na długie przejażdżki w wózku. Na wzgórzu, przy ulicy liściastej od więzów, stał dom Clyde'a Tingleya. Zawsze mijaliśmy ten dom. Clyde Tingley był milionerem, rozdał swój majątek szpitalom dziecięcym w całym stanie. Przechodziliśmy tamtędy, ponieważ nie tylko w Boże Narodzenie, ale przez cały rok na ganku i na wszystkich drzewach wisiały u niego bożonarodzeniowe światełka. Włączał je o zmierzchu, kiedy wracaliśmy. Czasami siedział na ganku w wózku inwalidzkim, chudy stary mężczyzna wołający „Witam” i „Piękny wieczór”, kiedy go mijaliśmy. Któregoś wieczoru wrzasnął do mnie: „Stać! Stać! Ze stopami tego dziecka coś jest nie tak! Trzeba je zbadać”. Spojrzałam na stopy Bena, z którymi wszystko było w porządku.

– Nie, po prostu jest już za duży na ten wózek. Trzyma je tak śmiesznie wysoko, żeby ich nie ciągnąć po ziemi.

Ben był taki mądry. Jeszcze nie mówił, ale chyba rozumiał. Postawił stopy prosto na ziemi, jakby chciał pokazać staruszkowi, że nic im nie jest.

– Matki nigdy nie chcą przyznać, że coś się dzieje. Proszę go od razu zabrać do lekarza.

I wtedy podszedł do nas jakiś cały ubrany na czarno mężczyzna. Nawet wtedy rzadko widywało się ludzi chodzących pieszo, więc mnie zaskoczył. Kucnął na chodniku, po czym wziął stopy Bena w swoje dłonie. Z jego szyi zwisał pasek od saksofonu, za który złapał Ben.

– Nie, proszę pana. Ze stopami tego chłopca wszystko w porządku – powiedział.

– Cóż, bardzo się cieszę – zawołał Clyde Tingley.

– Ale i tak dziękuję – odparłam.

Tamten mężczyzna i ja zaczęliśmy rozmawiać, a potem odprowadził nas do domu. Mieliśmy rok 1956. Był pierwszym beatnikiem, jakiego w życiu poznałam. I nikogo podobnego nie widziałam nigdy w Albuquerque. Żyd z brooklyńskim akcentem. Długie włosy i broda, ciemne okulary. Ale nie wyglądał złowrogo. Ben od razu go polubił. Miał na imię Beau. Był poetą i muzykiem, grał na saksofonie. Dopiero później dowiedziałam się, że to właśnie pasek od saksofonu wisiał na jego szyi.

Od razu się zaprzyjaźniliśmy. Bawił się z małym, podczas gdy ja robiłam mrożoną herbatę. Kiedy położyłam Bena do łóżka, siedzieliśmy na zewnątrz na schodach i

rozmawialiśmy, dopóki nie wrócił Rex. Byli dla siebie uprzejmi, ale się nie dogadywali, od razu to zauważyłam. Rex robił magisterkę. Byliśmy wtedy naprawdę biedni, ale Rex sprawiał wrażenie kogoś starszego i silnego. Emanował pewnością siebie, może lekką arogancją. Beau zachowywał się, jakby niewiele go obchodziło, choć już wtedy wiedziałam, że to nieprawda. Kiedy poszedł, Rex powiedział, że nie lubi, kiedy ściągam do domu zbłąkanych jazzmanów.

Beau jechał stopem do domu, do Nowego Jorku... do Wielkiego Jabłka... po pół roku w San Francisco. Pomieszkiwał u przyjaciół, ale oni cały dzień pracowali, więc przez cztery dni pobytu codziennie przychodził do mnie i Bena.

Beau miał ogromną potrzebę mówienia. Cudownie było słuchać, jak ktoś mówi więcej niż te kilka słów Bena, więc cieszyłam się, że przychodzi. W dodatku opowiadał o miłości. Zakochał się. Ja już wiedziałam, że Rex mnie kocha, i byliśmy szczęśliwi, mieliśmy wieść szczęśliwe życie, ale nie był we mnie tak szaleńczo zakochany jak Beau w Melinie.

Beau w San Francisco sprzedawał kanapki. Miał mały wózek ze słodkimi bułkami i kawą, napojami i kanapkami. Jeździł nim w górę i w dół po piętrach ogromnego biurowca. Któregoś dnia wjechał do biura firmy ubezpieczeniowej i zobaczył ją, Melinę. Porządkowała akta, ale tak naprawdę nie porządkowała, wyglądała przez okno z rozmarzonym uśmiechem. Miała długie farbowane blond włosy, była ubrana w czarną sukienkę, bardzo drobna i szczupła. Ale chodziło o jej skórę, mówił. Jakby wcale nie była człowiekiem, tylko stworzeniem z białego jedwabiu, z mlecznego szkła.

Beau nie wiedział, co się z nim dzieje. Zostawił wózek i klientów, przeszedł przez małą bramkę do miejsca, w którym stała. Powiedział, że ją kocha. „Pragnę cię”, powiedział. „Wezmę klucz do toalety. Chodź. To potrwa tylko pięć minut”. Melina spojrzała na niego i odparła: „Zaraz przyjdę”.

Byłam wówczas stosunkowo młoda. A to była najbardziej romantyczna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Melina okazała się mężatką, miała roczną córeczkę, w wieku Bena. Jej mąż był trębaczem. Przez dwa miesiące znajomości Beau z Meliną przebywał w trasie. Nawiązali namiętny romans, a kiedy jej mąż wrócił do domu, powiedziała do Beau: „Czas ruszać w drogę”. Więc wyruszył.

Beau opowiadał, że po prostu musiał robić wszystko, co mu kazała, że rzuciła urok na niego, na swojego męża, na każdego innego mężczyznę, który ją poznał. Nie mógł być

zazdrosny, bo wydawało się zupełnie naturalne, że wszyscy mężczyźni ją kochają.

Na przykład... dziecko nawet nie było jej męża. Przez jakiś czas mieszkali w El Paso. Melina pracowała w markecie Piggly Wiggly przy pakowaniu mięsa i kurczaków w plastikowe pudełka. Za szybą, w śmiesznej papierowej czapce. Ale ten meksykański toreador, który kupował steki, i tak ją dostrzegł. Zapukał w ladę i zadzwonił dzwonkiem, uparcie tłumacząc rzeźnikowi, że musi porozmawiać z tą pakowaczką. Zmusił ją, żeby wyszła z pracy. Tak właśnie na Ciebie działała, mówił Beau. Od razu chciałeś mieć ją przy sobie.

Kilka miesięcy później Melina zorientowała się, że jest w ciąży. Była naprawdę szczęśliwa i powiedziała mężowi. Wpadł w furję. To niemożliwe, powiedział, miałem wazektomię. Co? Melina się oburzyła. I nic nie wspomniałeś przed ślubem? Wykopała go z domu, zmieniła zamki. Przysyłał jej kwiaty, pisał namiętne listy. Warował pod drzwiami, dopóki w końcu nie wybaczyła mu tego, co zrobił.

Szyła im ubrania. Wszystkie pomieszczenia w mieszkaniu przykryła tkaniną. Na podłogach leżały materace i poduszki, więc czołgałeś się niczym dziecko z namiotu do namiotu. Dzień i noc paliły się świece i nie wiadomo było, która jest godzina.

Beau opowiedział mi wszystko o Melinie. O jej dzieciństwie w domach zastępczych, jak uciekła w wieku trzynastu lat. Była hostessą w barze (nie jestem pewna, co to znaczy), a jej mąż uratował ją z bardzo paskudnej sytuacji. Jest twarda, mówił Beau, ma cięty język. Ale jej oczy, jej dotyk są jak u anielskiego dziecka. Była aniołem, który pojawił się w moim życiu i zrujnował je na zawsze... Dramatyzował, czasami nawet płakał i płakał, ale uwielbiałam tego słuchać, chciałam być taka jak ona. Twarda, tajemnicza, piękna.

Było mi smutno, kiedy Beau wyjechał. On również został aniołem, moim. Kiedy zniknął, zdałam sobie sprawę, jak rzadko Rex odzywał się do mnie albo do Bena. Czułam się taka samotna, że myślałam nawet, czy nie zmienić naszych pokojów w namioty.

Kilka lat później byłam już żoną innego mężczyzny, Davida, pianisty jazzowego. Był dobrym człowiekiem, ale również małomównym. Nie wiem, dlaczego wychodziłam za tych milczących facetów, skoro najbardziej na świecie lubię rozmawiać. Mieliliśmy jednak wielu przyjaciół. Pomieszkiwali u nas przyjezdni muzycy, mężczyźni grali, a my, kobiety, gotowałyśmy i gadałyśmy i leżałyśmy na trawie, bawiąc się z dziećmi.

Zmuszenie Davida, by opowiedział mi, jaki był w pierwszej klasie albo kim była jego pierwsza dziewczyna, okazało się bolesne niczym wrywanie zębów. Wiedziałam, że przedtem

przez pięć lat mieszkał z kobietą, piękną malarką, ale nie chciał o niej opowiadać. Hej, mówiłam, ja opowiedziałam ci historię mojego życia, powiedz coś o sobie, powiedz, kiedy pierwszy raz się zakochałeś... Zaśmiał się wtedy, ale powiedział. To proste, dodał.

To była kobieta, która mieszkała z jego najlepszym przyjacielem, basistą Erniem Jonesem. Na dole, w południowej dolinie, przy kanale irygacyjnym. Kiedyś pojechał odwiedzić Erniego, a gdy nie zastał go w domu, poszedł nad kanał.

Opalała się, naga i blada na tle zielonej trawy. Zamiast okularów przeciwsłonecznych na oczach miała papierowe koronkowe serwetki, które podkłada się zwykle pod lody.

– No i? – naciskałam.

– No to wszystko. Zakochałem się.

– Ale jaka ona była?

– Nie przypominała nikogo innego. Kiedyś Ernie i ja leżeliśmy nad kanałem, gadaliśmy, paliliśmy trawę. Byliśmy zdołowani, bo obaj nie mieliśmy roboty. Ona utrzymywała nas obu, pracowała jako kelnerka. Któregoś dnia obsługiwała bankiet w środku dnia i przyniosła stamtąd wszystkie kwiaty, pełny pokój. Ale zabrała je nad wodę i wrzuciła do górnej części kanału. Ernie i ja siedzieliśmy przygnębieni na brzegu, gapiliśmy się na brunatną wodę i nagle pojawił się ten miliard płynących kwiatów. Przyniosła też wino i jedzenie, nawet sztucce i obrusy, które rozłożyła na trawie.

– Kochałeś się z nią?

– Nie. Nigdy nawet nie rozmawialiśmy na osobności. Po prostu pamiętam ją w tej trawie.

– Hm – mruknęłam zadowolona z tej informacji i tego ckliwego wyrazu jego twarzy.

Uwielbiałam romanse w każdej postaci.

Przeprowadziliśmy się do Santa Fe, gdzie David grał na pianinie u Claude'a. W tamtym okresie wielu dobrych muzyków przejeżdżało przez to miasto i na wieczór lub dwa dołączało do tria Davida. Kiedyś przyjechał pewien naprawdę dobry trębacz, Paco Duran. David lubił z nim grać i zapytał, czy nie mam nic przeciwko, że Paco z żoną i dzieckiem zostaną u nas na tydzień. Pewnie, odparłam, będzie miło.

I było. Paco grał doskonale. Razem z Davidem grali całą noc, a potem cały dzień razem w domu. Żona Paca Melina była egzotyczna i zabawna. Rozmawiali i zachowywali się jak jazzmani z Los Angeles. Nazywali nasz dom chatą, mówili „czaisz?” i „na wypasie”. Ich córka i Ben doskonale się dogadywali, tyle że oboje byli w wieku, kiedy wszystkiego się łapali.

Próbowałyśmy usadzić ich w kojcu, ale żadne nie chciało. Melina wpadła na pomysł, byśmy dały im spokój, a same bezpiecznie usadowiły się w kojcu z kawą i popielniczkami. Siedziałyśmy tam więc, a dzieci wyjmowały książki z półek. Ona opowiadała mi o Las Vegas tak, jakby leżało na innej planecie. Słuchając jej, zdałam sobie sprawę, nie tylko patrząc na nią, ale czując wokół siebie jej niezmierną urodę, że to jest Melina Beau.

Nie wiedzieć czemu, nie potrafiłam o tym wspomnieć. Nie mogłam powiedzieć: „Hej, jesteś taka piękna i dziwna, że na pewno byłaś kochanką Beau”. Ale myślałam o nim i tęskniłam, z nadzieją, że jakoś sobie radzi.

Ugotowałyśmy kolację, mężczyźni poszli do pracy. Wykąpałyśmy dzieci i wyszłyśmy na tylny ganek, paliłyśmy, piłyśmy kawę, gadałyśmy o butach. Gadałyśmy o najważniejszych butach naszego życia. Pierwszych mokasynach, pierwszych szpilek. Srebrnych platformach. Kowbojkach. Idealnych balerinach. Ręcznie robionych sandałów. Meksykańskich *huarache*. Szpilek z kolcami. Kiedy gadałyśmy o butach, nasze nagie stopy wierciły się w wilgotnej zielonej trawie przy ganku. Miała paznokcie u stóp pomalowane na czarno.

Zapytała, spod jakiego jestem znaku. Zwykle to pytanie mnie denerwowało, ale pozwoliłam, by powiedziała mi wszystko o mojej skorpioniej duszy, i w każde słowo uwierzyłam. Powiedziałam, że trochę potrafię czytać z dłoni, i spojrzałam na jej. Zrobiło się zbyt ciemno, więc wróciłam do domu i przyniosłam lampę naftową, postawiłam ją na schodach między nami. Trzymałam dwie białe dłonie Meliny przy płomyku i księżycu, przypominając sobie, co Beau mówił o jej skórze. Jakbym trzymała chłodne szkło, srebro.

Książkę o czytaniu z ręki Cheiro znałam na pamięć. Czytałam z setek dłoni. Mówię wam o tym, byście wiedzieli, że powiedziałam to, co zobaczyłam w liniach i zagłębieniach jej dłoni. Ale przede wszystkim powiedziałam wszystko, co zdradził mi o niej Beau.

Wstydzę się powodu, dla którego to zrobiłam. Stałam się o nią zazdrosna. Była tak oszałamiająco piękna. Nie robiła właściwie nic wyjątkowego, po prostu *była* oszałamiająca. Chciałam zrobić na niej wrażenie.

Opowiedziałam historię jej życia. Mówiłam o okropnych rodzicach zastępczych, o tym, jak Paco ją chronił. Mówiłam na przykład: „Widzę mężczyznę. Przystojnego. Niebezpieczeństwo. Nie jesteś w niebezpieczeństwie. On jest. Kierowca wyścigowy, może toreador?”. Szlag, rzuciła, nikt nie wiedział o toreadorze.

Beau powiedział mi, że kiedyś położył jej dłoń na głowie i mówił: „Wszystko będzie

dobrze”, a ona płakała. Powiedziałam jej, że nigdy, przenigdy nie płakała, nawet kiedy była smutna albo zła. Ale jeśli ktoś jest naprawdę dobry i tylko położy jej dłoń na głowie i powie, żeby się nie martwiła, to może zmusi ją do uronienia łez...

Więcej wam nie opowiem. Za bardzo się wstydzę. Ale osiągnęłam dokładnie taki efekt, jaki zamierzałam. Siedziała tam, wpatrzona w swoje piękne dłonie, i szeptała: „Jesteś czarownicą. Znasz czary”.

Spędziliśmy wspaniały tydzień. Pojechaliśmy na indiańskie tańce, wspinaliśmy się w Bandelier Monument i byliśmy w pueblo Acoma. Siedzieliśmy w jaskini ludu Sandia. Moczyliśmy się w gorących źródłach niedaleko Taos i poszliśmy do kościoła Santo Nino. Na dwie noce mieliśmy opiekunkę, więc mogliśmy pójść z Meliną do klubu. Muzyka była świetna.

– Wspaniale się bawiłam w tym tygodniu – powiedziałam.

Uśmiechnęła się.

– Ja zawsze wspaniale się bawię – odparła tylko.

Kiedy wyjechali, dom zrobił się bardzo cichy. Obudziłam się jak zawsze, kiedy David wrócił do domu. Chyba chciałam mu wyznać wszystko o czytaniu z jej dłoni, ale cieszę się, że tego nie zrobiłam. Leżeliśmy w łóżku, w ciemności, kiedy odezwał się do mnie:

– To była ona.

– Jaka ona?

– Melina. To ona była kobietą w trawie.

Przyjaciele

Loretta poznała Annę i Sama w dniu, w którym uratowała Samowi życie.

Anna i Sam byli starzy. Ona miała osiemdziesiąt, on osiemdziesiąt dziewięć lat. Loretta widywała Annę od czasu do czasu, kiedy chodziła popływać w basenie jej sąsiadki Elaine. Któregoś dnia wpadła akurat w chwili, kiedy obie kobiety przekonywały starszego pana, żeby również popływał. W końcu wszedł do wody, płynął pieskiem z wielkim uśmiechem na twarzy, kiedy nagle dostał ataku. Kobiety stały wtedy na płytkim końcu basenu i nic nie zauważyły. Loretta w butach i ubraniu wskoczyła do wody, wyciągnęła Sama na schodki, a potem z basenu. Nie potrzebował sztucznego oddychania, ale był zdezorientowany i przestraszony. Zażył swoje leki na epilepsję, a kobiety pomogły mu się osuszyć i ubrać. Przez chwilę wszystkie czekały, by upewnić się, że nic mu nie jest i może przejść ten kawałek do siebie. Anna i Sam wciąż dziękowali Lorecie za to, że uratowała mu życie, i nalegali, by następnego dnia przyszła do nich na lunch.

Akurat w ciągu następnych kilku dni nie pracowała. Wzięła trzy dni bezpłatnego urlopu, bo miała do załatwienia wiele spraw. Lunch z nimi oznaczałby konieczność przyjechania z miasta aż do Berkeley, a wtedy Lorecie nie udałoby się zrobić wszystkiego w jeden dzień, tak jak planowała.

W podobnych sytuacjach często czuła się bezradna. Człowiek musiał sobie wtedy powiedzieć: Rany, choć tyle mogę zrobić, przecież są tacy mili. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz miała poczucie winy, a jeśli zrobisz, będziesz mięczakiem.

Zły humor minął, gdy tylko znalazła się w ich mieszkaniu. Okazało się słoneczne i otwarte jak stary dom w Meksyku, gdzie mieszkali przez większość życia. Anna była emerytowanym archeologiem, a Sam inżynierem. Codziennie pracowali razem w Teotihuacan i na innych wykopaliskach. W ich mieszkaniu pełno było pięknej ceramiki i zdjęć, mieli też wspaniałą bibliotekę. Uprawiali duży ogród warzywny, drzewka owocowe, krzewy. Lorette zaskoczyło, że tych dwoje kruchych, drobnych ludzi wykonywało samodzielnie tak ciężką pracę. Oboje chodzili o laskach, i to z wielkim trudem.

Na lunch podali zapiekane kanapki z serem, zupę chayote i sałatę z ogrodu. Anna i Sam wspólnie przygotowywali posiłek, wspólnie nakryli stół i podali lunch.

Od pięćdziesięciu lat wszystko robili razem. Niczym bliźniaki powtarzali nawzajem

swoje słowa albo kończyli zdanie, które zaczęło to drugie. Lunch minął przyjemnie; w stereo opowiadali o swoich przygodach w trakcie prac przy piramidzie w Meksyku i innych wykopaliskach, w których brali udział. Na Lorecie zrobiła wrażenie ta para starszuchów, ich wspólna miłość do muzyki i ogrodnictwa, ich cieszenie się sobą. Była też zaskoczona, jak mocno angażowali się w lokalną i krajową politykę, chodzili na marsze i demonstracje, pisali do kongresmenów i prasy, dzwonili. Codziennie czytali trzy lub cztery gazety, a wieczorami czytali sobie na głos powieści albo książki historyczne.

Kiedy Sam drżącymi rękami sprzątał ze stołu, Loretta zwróciła się do Anny, mówiąc, jak bardzo zazdrości jej tak bliskiego towarzysza na całe życie. Tak, odparła Anna, ale wkrótce jedno z nas odejdzie...

Loretta miała przypomnieć sobie to stwierdzenie dużo później i zastanawiać się, czy Anna zaczęła się z nią przyjaźnić, ponieważ szukała pewnego rodzaju polisy ubezpieczeniowej na czas, kiedy jedno z nich umrze. Ale nie, zdecydowała, to prostsze. Ci dwoje przez całe swoje życie byli samowystarczalni, lecz teraz Sam stawał się rozmarzony i często nieobecny. Raz po raz powtarzał te same historie i choć Anna zawsze miała do niego cierpliwość, Loretta sądziła, że starszuchkę cieszy również, gdy może porozmawiać z kimś innym.

Bez względu na powód coraz bardziej angażowała się w życie Sama i Anny. Nie prowadzili już samochodu. Anna często dzwoniła do Lorety do pracy, prosząc, żeby po wyjściu odebrała torf albo zawiozła Sama do okulisty. Czasami czuli się zbyt kiepsko, żeby pójść do sklepu, więc Loretta robiła im zakupy. Lubiła oboje, podziwiała ich. Wydawali się tak bardzo łaknąć towarzystwa, że zaczęła raz w tygodniu, a przynajmniej nie rzadziej niż raz na dwa tygodnie pojawiać się u nich na kolacji. Kilukrotnie zaprosiła ich do siebie, ale musieli wtedy wchodzić po schodach i docierali tak wyczerpani, że przestała to robić. Przynosiła więc rybę albo kurczaka albo makaron do nich. Przygotowywali sałatę, a na deser podawali owoce z ogrodu.

Po kolacji, nad filiżankami z miętą albo jamajską herbatą siedzieli przy stole i Sam opowiadał historie. O tym, jak Anna zachorowała na polio w trakcie wykopalisk głęboko w dżungli na Jukatanie, jak zawieźli ją do szpitala, jak pomocni byli ludzie. Wiele opowieści o domu, który zbudowali w Jalapie. O żonie burmistrza, jak złamała nogę, wychodząc przez okno, by uniknąć pewnego gościa. Opowieści Sama zawsze zaczynały się od słów: „To mi przypomina, jak kiedyś...”.

Loretta stopniowo poznawała szczegóły ich życia. Ich zaloty na górze Tam. Romans w

Nowym Jorku, kiedy byli komunistami. Życie w grzechu. Nigdy nie wzięli ślubu i wciąż czerpali satysfakcję z tej niekonwencjonalnej sytuacji. Mieli dwoje dzieci; mieszkali w odległych miastach. Historie o ranczu niedaleko Big Sur, gdy dzieci były małe. Kiedy opowieść się kończyła, Loretta mówiła: „Żałuję, ale muszę wyjść, jutro bardzo wcześnie zaczynam pracę”. I często potem wychodziła. Zwykle jednak Sam prosił: „Opowiem ci jeszcze tylko, co stało się z gramofonem na korbkę”. Kilka godzin później wyczerpana jechała do swojego domu w Oakland, powtarzając sobie, że już dłużej tak nie może. Albo może, ale musi ustalić jakieś ramy czasowe.

Nie chodziło o to, że kiedykolwiek robili się nudni czy nieinteresujący. Wręcz przeciwnie, mieli bogate, pełne wydarzeń życie, byli zaangażowani i spostrzegawczy. Bardzo interesowali się światem, własną przeszłością. Tak doskonale się bawili, dopowiadając nawzajem swoje uwagi, spierając się o daty i szczegóły, że Loretta nie miała serca im przerywać i wychodzić. I dobrze się czuła z tym, że ich odwiedza, bo bardzo się cieszyli na jej widok. Czasami jednak w ogóle nie chciała jechać, była zmęczona albo miała do zrobienia coś innego. W końcu powiedziała, że nie może siedzieć do późna, potem trudno się jej wstaje następnego ranka. Przyjedź na niedzielny brunch, zaproponowała Anna.

Kiedy było pogodnie, jedli na tarasie, w otoczeniu kwiatów i roślin. Setki ptaków przylatywały do karmników. Gdy się ochłodziło, jedli w środku przy żeliwnym piecyku. Sam dokładał do niego drewno, którego narąbał. Jedli gofry albo specjalny omlet Sama, czasami Loretta przynosiła bajgle i łososia. Mijały godziny, mijał dzień, Sam opowiadał swoje historie, Anna je poprawiała i komentowała. Czasami w słońcu na ganku albo przy ogniu trudno było nie zasnąć.

Ich dom w Meksyku zbudowano z betonowych bloczków, ale belki i blaty i szafki wykonano z drewna cedrowego. Najpierw zbudowano duży pokój – kuchnię i salon. Oczywiście zasadzili drzewa, jeszcze zanim rozpoczęli budowę. Bananowce i śliwy, jakarandy. W następnym roku dobudowali sypialnię, kilka lat później drugą sypialnię i studio dla Anny. Łóżka, ławy i stoły zrobili z cedru. Pracowali w terenie, w innym stanie Meksyku, a potem wracali do swojego małego domku. Był zawsze chłodny i pachniał jak wielka cedrowa szkatułka.

Anna zachorowała na zapalenie płuc i musiała iść do szpitala. Choć była chora, myślała tylko o Samie, o tym, jak sobie radzi bez niej. Loretta obiecała, że zajrzy do niego przed pracą, sprawdzi, czy zażył leki i zjadł śniadanie, a po pracy ugotuje mu kolację i zabierze go do szpitala, by mogli się zobaczyć.

Najokropniejsze było to, że Sam się nie odzywał. Siedział na łóżku i dygotał, kiedy Loretta pomagała mu się ubierać. Automatycznie połknął tabletki, wypił sok ananasowy i starannie otarł brodę po zjedzeniu śniadania. Wieczorem, kiedy przyjechała, stał na ganku i na nią czekał. Najpierw chciał pojechać do Anny, potem jeść kolację. Kiedy dotarli do szpitala, Anna leżała tam blada, długie białe warkocze jak u małej dziewczynki. Miała podłączoną kroplówkę, cewnik, tlen. Nie mówiła, ale uśmiechała się i trzymała Sama za rękę, a on opowiadał, jak zrobił pranie, podlał pomidory, mulczował fasolę, umył naczynia, przyrządził lemoniadę. Mówił do niej bez tchu, relacjonował każdą godzinę swojego dnia. Kiedy wyszli, Loretta musiała mocno go trzymać, bo potykał się i chwiał nieustannie. W samochodzie płakał, tak bardzo się martwił. Ale Anna wróciła do domu i dobrze się czuła, tyle że w ogrodzie było tak wiele do zrobienia. W następną niedzielę po brunchu Loretta pomogła odchwalić ogród i przyciąć krzewy jeżyn. Martwiła się, co będzie, jeśli Anna naprawdę poważnie zachoruje. Co ma wynikać z tej przyjaźni? Zależność starszyców od siebie, ich kruchość poruszały ją i smuciły. Myślała o tym, pracując, ale było jej dobrze, chłodna czarna ziemia, słońce grzejące w plecy. Sam opowiadający historii pielął grządkę obok.

W następną sobotę Loretta przyjechała spóźniona. Wstała wcześniej, miała dużo rzeczy do zrobienia. Tak naprawdę wolałaby zostać w domu, ale nie miała serca dzwonić i odwoływać wizyty.

Frontowe drzwi nie były jak zwykle otwarte, poszła więc naokoło. Weszła do ogrodu, by się rozejrzeć – pełen był pomidorów, kabaczków, groszku cukrowego. Ospałych pszczół. Anna i Sam siedzieli na tarasie. Loretta chciała ich zawołać, ale rozmawiali z przejęciem.

- Nigdy dotąd się nie spóźniła. Może nie przyjedzie.
- Ależ przyjedzie... te poranki tak wiele dla niej znaczą.
- Biedaczka. Jest taka samotna. Potrzebuje nas. Tak naprawdę jesteśmy jej jedyną rodziną.
- Na pewno lubi moje opowieści. Cholercia. Dzisiaj nic mi nie przychodzi do głowy.
- Coś się pojawi...
- Halo! – zawołała Loretta. – Jest tu kto?

Niesforna

W noc jedną pełną ciemności sklepy monopolowe i bary są zamknięte. Sięgnęła pod materac; butelka wódki była pusta. Wstała z łóżka, wyprostowała się. Dygotała tak potwornie, że musiała usiąść na podłodze. Hiperwentylacja. Jeśli się nie napije, wpadnie w delirium albo dostanie ataku.

Sztuka polega na tym, żeby uspokoić oddech i puls. Wytrzymać w spokoju tak długo, aż dostaniesz butelkę. Cukier. Herbata z cukrem, to dawali na odwyku. Ale za bardzo się trzęsła, żeby wstać. Leżała na podłodze, oddychając głęboko jak na jodze. Nie myśl, na Boga, nie myśl o tym, w jakim jesteś stanie, albo umrzesz, ze wstydu, na zawał. Oddech się uspokoił. Zaczęła czytać grzbiety książek na półce. Skup się, czytaj je na głos. Edward Abbey, Chinua Achebe, Sherwood Anderson, Jane Austen, Paul Auster, nie omijaj, zwolnij. Kiedy przeczytała cały regał, czuła się lepiej. Podniosła się. Trzymała się ściany, ale dygotała wciąż tak bardzo, że ledwo mogła poruszać stopami; w końcu dotarła do kuchni. Nie było waniliowego. Ekstrakt cytrynowy. Parzył ją w gardło, miała odruch wymiotny, zacisnęła usta, przełknęła. Zrobiła herbatę, gęstą od miodu, powoli popijała ją w ciemności. O szóstej, za dwie godziny, w monopolowym w centrum Oakland sprzedadzą jej wódkę. W Berkeley musiałyby czekać do siódmej. O Boże, czy ma jeszcze pieniądze? Poczłgała się z powrotem do pokoju, żeby zajrzeć do leżącej na biurku torebki. Nick musiał zabrać portfel i kluczyki do auta. Nie mogła poszukać tych rzeczy w pokoju synów bez budzenia ich.

W słoiku z drobnymi na biurku był dolar i trzydzieści centów. Przejrzała kilka torebek w szafie, kieszenie płaszcza, kuchenną szufladę, aż zebrała cztery dolary, których ten cholerny Indianiec zażąda o tej porze za ćwiartkę. Wszyscy chorzy pijacy mu płacili. Choć większość kupowała tanie wino, szybciej działało.

Piechotą to daleko. Czterdzieści pięć minut; będzie musiała biec z powrotem, żeby zdążyć, zanim dzieci się obudzą. Da radę? Ledwie mogła przejść z pokoju do pokoju. Módl się, żeby nie napotkać radiowozu. Szkoda, że nie mamy psa. Już wiem, zaśmiała się, zapytam sąsiadów, czy mogę pożyczyć od nich psa na spacer. No jasne. Żaden z sąsiadów już z nią nie rozmawia.

Uspokajała się, koncentrując na pęknięciach w chodniku, liczyła je: raz, dwa, trzy. Szła, przytrzymując się krzaków, pni drzew, jakby wspinała się po urwisku. Przechodzenie przez ulice

było przerażające, takie zdawały się szerokie, światła mrugały czerwone czerwone, żółte żółte. Kilka furgonetek Examinera, pusta taksówka. Policyjny radiowóz, jechał szybko, bez syreny. Nie widzieli jej. Zimny pot spływał po plecach, głośno szczekała zębami w ten wciąż ciemny poranek.

Kiedy doszła do sklepu na Shattuck, dyszała i było jej słabo. Jeszcze nie otworzyli. Siedmiu czarnych mężczyzn, wszyscy starzy, z wyjątkiem jednego chłopca, stało na zewnątrz na krawężniku. Indianin siedział w sklepie, jakby ich nie widział, i popijał kawę. Na chodniku dwóch facetów dzieliło się butelką syropu na kaszel. Niebieska śmierć, za to dostępna przez całą noc.

Jeden z tych starych, którego wołali Mistrzu, uśmiechnął się do niej.

– Co tam, mamuśka, chora jesteś? Włosy cię bolą?

Skinęła głową. Tak właśnie się czuła, bolały włosy, oczy, kości.

– Masz – powiedział Mistrzu. – Lepiej zjedz trochę. – Jadł krakersy, podał jej dwa. –

Musisz się zmusić do jedzenia.

– Ej, Mistrzu, daj trochę – odezwał się młody chłopak.

Puścili ją pierwszą do kasy. Poprosiła o wódkę i wysypała na ladę stos monet.

– Odliczone – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Policz jeszcze raz.

– No weź. Kurwa – powiedział chłopak, kiedy liczyła monety trzęsącymi się rękami.

Włożyła butelkę do torebki, z trudem doszła do drzwi. Na zewnątrz przytrzymała się słupa telegraficznego, bała się przejść przez ulicę.

Mistrzu popijał swoje wino.

– Taka z ciebie dama, że nie możesz pić na ulicy?

Potrząsnęła głową.

– Boję się, że upuszczę butelkę.

– Masz – powiedział. – Otwórz usta. Musisz się napić, bo nie dojdiesz do domu. – Włał jej wino do ust. Przebiegło przez nią, ciepłe.

– Dziękuję – odparła.

Szybko przeszła przez ulicę, niezdarnie pobiegła w stronę domu, dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt jeden, liczyła pęknięcia. Kiedy dotarła do drzwi, wciąż było całkiem ciemno.

Łapała oddech. Nie włączając światła, wlała do szklanki trochę soku żurawinowego i jedną trzecią butelki. Usiadła przy stole i powoli popijała drinka, czując, jak ulga z alkoholu sączy się w ciało. Płakała, jak dobrze, że nie umarła. Wlała następną porcję z butelki i dodała soku, między łykami kładła głowę na stole.

Kiedy dopiła tę rundę, poczuła się lepiej, poszła do pralni i włożyła rzeczy do pralki. Zabrała ze sobą butelkę i przeszła do łazienki. Wzięła prysznic, uczesała się, włożyła czyste ubranie. Jeszcze dziesięć minut. Sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, usiadła na sedesie i dokończyła wódkę. Po ostatnim drinku nie tylko poczuła się dobrze, ale nawet lekko pijana.

Przeniosła pranie z pralki do suszarki. Rozrabiała sok pomarańczowy z mrożonego koncentratu, kiedy do kuchni wszedł Joel, pocierając oczy.

– Nie mam skarpet i koszulki.

– Cześć, skarbie. Zjedz płatki. Jak weźmiesz prysznic i zjesz śniadanie, twoje rzeczy będą suche. – Nalała mu soku, drugą szklankę dla Nicholasasa, który w milczeniu stał w drzwiach.

– Jak, do diabła, udało ci się napić?

Przepchnął się obok niej i nasypał sobie płatków. Trzyście lat. Był wyższy od niej.

– Oddasz mi portfel i kluczyki? – zapytała.

– Portfel mogę oddać. Kluczyki oddam, jak będę wiedział, że nic ci nie jest.

– Nic mi nie jest. Jutro wrócę do pracy.

– Nie dasz rady przestać bez szpitala, Ma.

– Nic mi nie będzie. Proszę, nie martw się. Mam cały dzień, żeby wydobrzeć.

Poszła wyjąć ubrania z suszarki.

– Koszulki są suche – powiedziała do Joela. – Skarpetki potrzebują jeszcze dziesięciu minut.

– Nie mogę czekać. Włożę mokre.

Synowie wzięli podręczniki i plecaki, ucałowali matkę na do widzenia i wyszli. Stała w oknie i patrzyła, jak idą na przystanek. Czekwała, aż autobus zgarnie ich i ruszy Telegraph Avenue. Potem wyszła, do monopolowego na rogu. Już otworzyli.

Elektryczny samochód, El Paso

Pani Snowden czekała, aż babcia i ja wsiądziemy do jej elektrycznego samochodu. Wyglądał jak każdy inny samochód, tyle że był bardzo duży i mały, jak ten z kreskówki, który wjechał w ścianę. Samochód, któremu włosy stanęły dęba. Mamie wsiadła z przodu, a ja z tyłu.

W tej części samochodu było okropnie, aż bolało. Okna pokrywała warstwa żółtego kurzu. Ściany i siedzenia były obite zapleśniałym zakurzoną welurem. Brązowoszaro. Wtedy bardzo obgryzałam paznokcie i dotyk zapleśniałego zakurzonego weluru na poranionych czubkach palców, na podrapanych łokciach i kolanach... udręka. Bolały mnie zęby, bolały mnie włosy. Wzdrygnęłam się, jakbym przypadkiem dotknęła sfilcowanego zdechłego kota. Na kolanach sięgnęłam i złapałam się rzeźbionych złotych wazoników nad brudnymi oknami. Sznurki do trzymania były zgniłe i wytarte, zwisały pomiędzy oknami jak stare peruki. Trzymając się w ten sposób, byłam zawieszona wysoko w powietrzu, huśtałam się i patrzyłam z góry na tylne siedzenia innych samochodów, na których widziałam torby z zakupami, dzieci bawiące się zawartością popielniczek, pudełka chusteczek higienicznych.

Samochód szumiał tak cicho, jakbyśmy w ogóle się nie poruszali. Poruszaliśmy się? Pani Snowden nie chciała albo nie mogła jechać szybciej niż dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Jechaliśmy tak wolno, że patrzyłam na rzeczy w zupełnie nowy sposób. Przez czas – jakbym przez całą noc obserwowała kogoś śpiącego. Jakiś mężczyzna na chodniku postanowił wejść do kawiarni, zmienił zdanie, poszedł na róg ulicy, znowu zawrócił, wszedł do środka, rozłożył serwetkę na kolanach, wyglądał, jakby czekał, a my nie zdążyłyśmy nawet dojechać do następnej przecznicy.

Jeśli schyliłam głowę, robiąc z niej coś jakby siedzenie huśtawki między moimi wiszącymi ramionami, to kiedy podniosłam wzrok, widziałam z drobnej Mamie i pani Snowden jedynie ich słomkowe kapelusze, jakby były tylko dwoma słomkowymi kapeluszami przycupniętymi na desce rozdzielczej. Histerycznie chichotałam za każdym razem, gdy to robiłam. Mamie odwróciła się i uśmiechnęła, jakby nic nie zauważyła. Nie dojechałyśmy jeszcze nawet do centrum, nawet do Plazy.

Mamie i pani Snowden rozmawiały o koleżankach, które umarły albo są chore albo straciły męża. Wszystko kończyły cytatem z Biblii.

– Cóż, uważam, że było to z jej strony *bardzo* niemądre...

– Och, na Boga, tak. „A nie uważajcie go za nieprzyjaciela, lecz jak brata go napominajcie!^{4b}”.

– Do Tesaloniczan, trzy! – zawołała Mamie.

To była taka zabawa.

W końcu nie mogłam już dłużej trzymać się tych wazoników. Położyłam się na podłodze. Spleśniała guma. Kurz. Mamie odwróciła się i uśmiechnęła. Na Boga! Pani Snowden zjechała na pobocze. Myślały, że wypadłam. Dużo później, wiele godzin później musiałam iść do toalety. Wszystkie czyste toalety znajdowały się po drugiej stronie drogi, po lewej. Pani Snowden nie umiała skręcać w lewo. Dopiero po dziesięciu przecznicach skrętów w prawo i jednokierunkowych ulicach udało nam się trafić do toalety. Zdążyłam się już zesikać w majtki, ale nic im nie powiedziałam, piłam z zimnego zimnego kranu Texaco. Jeszcze dłużej trwał powrót na prawą stronę, bo musiałyśmy wracać aż do estakady na Wyoming Avenue.

Na lotnisku było sucho, samochody ze zgrzytem wjeżdżały i wyjeżdżały po żwirze. Pustynne rośliny bez korzeni łapały się w ogrodzenie. Asfalt, metal, mgła tańczących atomów kurzu, które odbijały się blaskiem od skrzydeł i okien samolotów. Ludzie w samochodach wokół nas jedli rozmemłane rzeczy. Arbuzy, granaty, poobijane banany. Piwo z butelek strzelało na podsufitki, piana spływała po bokach aut. Miałam ochotę possać pomarańczę. Jestem głodna, jęczałam.

Pani Snowden to przewidziała. Ręką w rękawiczce podała mi figowe herbatniki opakowane w zapachową chusteczkę. Ciastko powiększyło się w moich ustach jak japońskie kwiaty, jak pęknięta poduszka. Zadławiłam się i rozplakałam. Mamie się uśmiechnęła i podała mi zakurzoną chustkę z torebki, szepcząc do pani Snowden, która kręciła głową:

– Nie przejmuj się nią... tylko się popisuje.

– „Bo kogo miłuje Pan, tego karze”.

– Jan?

– Do Hebrajczyków, jedenaście.

Kilka samolotów wystartowało, jeden wylądował. Cóż, lepiej, żebyśmy wracały do domu. W nocy pani Snowden kiepsko widziała, światła i w ogóle, więc w powrotnej drodze zwolniła, jechała daleko od aut zaparkowanych przy krawężnikach. Wszyscy niedzielni kierowcy na nas trąbili. Wstałam na siedzeniu, odsunęłam się od weluru, rękami opierając o tylną szybę, i patrzyłam na naszyjnik świateł, które utknęły za nami na całej drodze aż do lotniska.

– Gliny! – zawołałam.

Czerwone światło, syrena. Pani Snowden włączyła kierunkowskaz i powoli zjechała, by ich przepuścić, ale policjant zatrzymał się obok nas. Opuściła szybę do połowy, by go wysłuchać.

– Proszę pani, światła są ustawione na sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. W dodatku jedzie pani środkiem drogi.

– Sześćdziesiąt pięć to zdecydowanie za szybko.

– Proszę przyspieszyć albo wlepię pani mandat.

– Przecież mogą mnie wyprzedzić.

– Kochana, oni się boją!

– No trudno!

Zasunęła elektryczną szybę tuż przed jego twarzą. Walnął w nią pięścią, cały czerwony. Z tyłu wrzeszczały klaksony, a ludzie stojący bezpośrednio za nami się śmiali. Wściekły policjant obszedł nasze auto i wsiadł do radiowozu, zapalił silnik i z rykiem odjechał, zawodząc syreną, zignorował czerwone światło, wjechał w tył jakiegoś oldsmobile'a, a potem walnął w przód pick-upa. Zagrzechotało szkło. Pani Snowden opuściła szybę. Ostrożnie przejechała obok rozbitej furgonetki.

– „Niech przeto ten, komu się zdaje, że stoi, baczy, aby nie upadł”.

– Do Koryntian! – dodała Mamie.

Seksapil

Bella Lynn – moja kuzynka i najpiękniejsza dziewczyna w zachodnim Teksasie. Jako mażoretka grała na bębnie w orkiestrze liceum El Paso High, została Miss Sun Bowl w 1946 i 1947 roku. Potem pojechała do Hollywood, żeby zostać gwiazdką. Nie udało się. Podróż zaczęła się kiepsko z powodu jej biustonosza. Nie miał wkładek, ale się go nadmuchiwało, jak balon. Dwa balony.

Wujek Tyler, ciotka Tiny i ja odprowadzaliśmy ją na lotnisko. Dwusilnikowy DC-6. Żadne z nas nigdy nie leciało samolotem. Twierdziła, że z nerwów jest wrakiem, ale bynajmniej tak nie wyglądała. Wyglądała za to ślicznie w różowym sweterku z angory. Miała bardzo duże piersi.

We troje patrzyliśmy na jej samolot i machaliśmy mu, dopóki nie skręcił w stronę Kalifornii i Hollywood, a potem zniknął. Najprawdopodobniej w tym właśnie czasie osiągnął pewną wysokość i z powodu ciśnienia w kabinie biustonosz Belli Lynn wybuchnął. Ekspłodował. Na szczęście w El Paso nikt o tym nie usłyszał. Nie powiedziała nawet mnie przez dwadzieścia lat. Ale wydaje mi się, że to nie z tego powodu nigdy nie została gwiazdką.

Jej zdjęcie zawsze ukazywało się w gazecie El Paso. Kiedyś nawet codziennie przez tydzień... kiedy spotykała się z Rickiem Eversem. Rickie Evers właśnie rozwiódł się wtedy ze słynną gwiazdą filmową. Jego ojciec był milionerem, właścicielem hoteli, mieszkał na ostatnim piętrze hotelu Del Norte w El Paso.

Rickie Evers przyjechał do miasta na turniej National Golf Open, a Bella Lynn była bardzo zdeterminowana, by się z nim umówić. Zarezerwowała stolik na kolację w Del Norte. Powiedziała, że powinnam jej towarzyszyć, a jedenaście lat to wcale nie za mało, by otrzymać kilka lekcji seksapilu.

Właściwie to nic nie wiedziałam o seksapilu. Seks zdawał mi się mieć coś wspólnego z szaleństwem. Koty zachowywały się jak szalone i wszystkie gwiazdy filmowe wydawały się szalone. Bette Davis i Barbara Stanwyck były stuprocentowo niemoralne. Bella Lynn i jej znajomi przesiadywali w Court Café pod zaczesanymi w tył grzywami i wydychali papierosowy dym przez nos niczym nadąsane smoki.

Wszyscy ekscytowali się National Golf Open. „Kopalnia złota! Odwiert na naszym własnym podwórku!”.

Najlepsza przyjaciółka Bella Lynn Wilma chciała iść z nami do hotelu Del Norte, ale Bella Lynn powiedziała szlaban. Podstawową zasadą seksapilu, wyjaśniła mi, było: zawsze pracuj indywidualnie. Nieważne, czy ta druga kobieta jest ładna, czy brzydka... to po prostu opóźnia i komplikuje każdą operację.

Ubrałam się w moim zdaniem najładniejszą sukienkę, jaką w życiu widziałam. Lawendową, nakrapianą, za kolana, z bufiastymi rękawkami i krynoliną. Ciotka Tiny zaplotła mi dobierane warkocze. Jeszcze nie używałam szminki, ale nałożyłam na usta trochę płynu na gojenie ran. Ciotka od razu kazała mi go zmyć. Za to poszczypała mnie w policzki. Bella Lynn włożyła niemoralną brązową krepową sukienkę z szerokimi ramionami, miała niemoralny ciemny makijaż i czarne szpilki. Do hotelu przyjechałyśmy za wcześnie. Usiadła na wysokim krześle w lobby, nie zdejmując okularów przeciwsłonecznych. Skrzyżowała nogi. Czarne jedwabne pończochy. Powiedziałam jej, że szwy są krzywo, ale odparła, że lekko krzywe szwy dodają seksapilu. Dała mi ćwierćdolarówkę, żebym kupiła sobie napój, ale wołałam chodzić w górę i w dół po schodach w pięknej szerokiej rzeźbionej klatce schodowej obitej czerwonym aksamitem, z giętą balustradą. Biegłam na szczyt i stawałam pod żyrandolem, po królewsku się uśmiechając. Potem powoli i z wdziękiem szłam na dół, dłonią lekko muskając mahoniową poręcz. I znowu wbiegałam na górę. Robiłam to raz po raz, aż w końcu uznałam, że musiała już nadejść pora posiłku. Bella Lynn powiedziała, że przełożyła rezerwację, bo Evers jeszcze się nie pojawił. Kupiłam czekoladę z migdałami i usiadłam kilka krzeseł dalej. Szeptając, żebym przestała kopać w krzesło. Paliła pall malle, chociaż nazywała je pell mellami.

Rozpoznałam słynnego Eversa i jego ojca milionera, gdy tylko weszli do środka. Skierowali się do jadalni z jakimiś innymi mężczyznami. Wszyscy w stetsonach i kowbojkach, z wyjątkiem Eversa, on miał na sobie prążkowany garnitur i był bez kapelusza. Ale domyśliłabym się, że to oni, patrząc tylko na to, jak niemoralnie wyglądała Bella Lynn, paląc przez cygarniczkę. Zdjęła okulary, kiedy weszłyśmy do środka. Powiedziała kierownikowi sali, że jej towarzysza coś nieodwołałnie zatrzymało. I że zjemy tylko we dwie.

Chciałam zamówić smażonego kurczaka, ale powiedziała, że to zbyt pospolite. Zamówiła nam steki. Sobie Manhattan, dla mnie koktajl Shirley Temple. Tyle że sama też wylądowała z Shirley Temple, bo miała ledwie osiemnaście lat. Powiedziała kelnerowi, że zgubiła gdzieś prawo jazdy. Co za pech.

Tamci mężczyźni zamówili butelkę bourbona i poza Rickiem Eversem wszyscy palili

cygara.

– Jak zamierzasz go poznać? – zapytałam.

– Już ci mówiłam. Seksapil. Jak tylko na mnie spojrzy, zaproszę go tutaj, żeby zapłacił za nasze małe drogie steki.

– Jak dotąd nawet nie spojrział w tę stronę.

– Ależ spojrział, tylko udaje, że nie... to jest *jego* seksapil. Ale popatrz tu znowu, a kiedy to zrobi, ja rzucę mu takie spojrzenie, jakby był najbardziej pospolitym, skundlonym psem, jakiego w życiu widziałam.

I wtedy Rickie Evers rzeczywiście na nią spojrział i ona właśnie takie spojrzenie mu rzuciła, jak oni mogli go tu w ogóle wpuścić? Dwie sekundy później stał obok pustego krzesła przy naszym stoliku.

– Czy mogę się przysiąc?

– Cóż, mojego towarzysza coś zatrzymało. Może na kilka minut.

– Co panie piją? – zapytał.

– Shirley Temple – odparłam, ale ona powiedziała, że Manhattan.

On kazał kelnerowi przynieść mi Shirley Temple. Dla niego i dla pani Manhattany.

Kelner nie wspomniał nic o jej dowodzie.

– Mam na imię Bella Lynn, a to Mała Lou, moja kuzynka. Przepraszam, nie dosłyszałam pana nazwiska – dodała, choć doskonale je znała.

Przedstawił się, a ona powiedziała:

– Pana tata i mój grają razem w golfa.

– Będzie pani jutro na turnieju? – zapytał.

– Nie jestem pewna. Tłumy są takie męczące. Ale Mała Lou bardzo by chciała pójść.

Wspólnie postanowili, że następnego dnia wybiorą się razem na turniej, żebym nie była rozczarowana. To akurat ostatnie, na co miałam ochotę, ale zanim nadeszło jutro, i tak zapomnieli, jak bardzo ponoć chciałam tam iść.

Wypili swoje Manhattany, a potem zjedliśmy koktajl z krewetek przed naszą wołowiną. Na deser pieczona Alaska, która była przepyszna.

Po kolacji postanowili pojechać do nocnych klubów w Juárez i nad likierem miętowym pojawił się problem, jak odstawić mnie do domu. Taksówką, zaproponowała Bella Lynn, ale on nalegał, by podwieźli mnie, zanim przekroczą granicę.

Bella Lynn poszła przypudrować nossek. Ja nie poszłam, nie wiedziałam, że zawsze powinno się iść, by ocenić sytuację.

Kiedy zniknęła, Rickie Evers upuścił swoją złotą zapalniczkę na podłogę, a gdy się po nią schylał, przejechał dłonią po mojej łydce i pogłaskał wewnętrzną stronę kolana.

Wzięłam kęs pieczonej Alaski i zastanawiałam się głośno, jak trudno musi być ją przygotować. On podniósł zapalniczkę i powiedział, że mam kawałek deseru na brodzie. Kiedy ocierał ją dużą lnianą serwetką, musnął ręką moje piersi. Zawstydziałam się, bo nie nosiłam jeszcze nawet zerowego biustonosza.

Bella Lynn wróciła z toalety, kołysząc biodrami w tych swoich krzywych szwach, i udawała, że nie widzi, jak wszyscy faceci się na nią gapią. Cała restauracja gapiła się na Bellę Lynn i Rickiego Eversa przez cały posiłek. Wydaje mi się, że meksykański pomocnik kelnera widział, co zrobił Evers, kiedy upuścił zapalniczkę.

Siedziałam między Eversem a Bellą Lynn w wielkim czarnym lincolnie. Okna otwierały się i zamykały za naciśnięciem guzika, nawet te tylne. Była też zapalniczka, a kiedy ją wciskał, musnął moją nogę, a potem znowu piersi, gdy sięgał, by zapalić Belli Lynn pell mella.

Podjechaliśmy pod dom.

– Może buziak na do widzenia, Mała Lou? – zapytał.

Bella Lynn się roześmiała.

– Ale jej jeszcze daleko do szesnastu lat.

Kiedy wysiadała, on ugryzł mnie w szyję.

Bella Lynn weszła ze mną, by wziąć szal i perfumy.

– Rozumiesz, co ci mówiłam o seksapilu, Lou? To pestka!

Poszłam posłuchać w radiu *Inner Sanctum* z wujem Tylerem i ciotką Tiny. Byli bardzo zadowoleni, że Bella Lynn umówiła się z eksmężem najpiękniejszej gwiazdy filmowej na świecie.

– Jak jej się to udało? – zastanawiał się wujek Tyler.

– Ależ Tylerze... przecież nasza Bella Lynn to najładniejsza dziewczyna na zachód od Missisipi!

– Nie. To przez seksapil – oznajmiłam.

Wbili we mnie wzrok.

– Dziecko, żebym już nigdy nie słyszała z twoich ust tego słowa! – powiedziała ciotka

Tiny umoralniająco. Wyglądała całkiem jak Mildred Pierce.

Nastoletni łobuz

W latach sześćdziesiątych Jesse przychodził do nas, żeby zobaczyć się z Benem. Byli wtedy chłopcami, długie włosy, stroboskopy, zioło i kwas. Jesse zdążył już rzucić szkołę i miał kuratora. Do Nowego Meksyku przyjechali Rolling Stonesi. The Doors. Ben i Jesse płakali, kiedy umarł Jimi Hendrix, kiedy umarła Janis Joplin. To był też rok kiepskiej pogody. Śniegu. Zamarzających rur. Tamtego roku wszyscy płakali.

Mieszkaliśmy na starej farmie nad rzeką. Marty i ja niedawno się rozwiedliśmy, ja uczyłam pierwszy rok, moja pierwsza praca. Trudno było samej zajmować się domem. Cieknący dach, zepsuta pompa, ale dom był duży, piękny.

Ben i Jesse puszczała głośno muzykę, palili fiołkowe kadzidło śmierdzące kocimi szczynami. Dwaj inni moi synowie, Keith i Nathan, nie znosili Jessego – ujaranego hipisa – ale Joel, najmłodszy, uwielbiał go, jego buciory, gitarę, śrutówkę. Trening strzelecki do puszek z piwem w ogródku. Ping.

Był marzec, na pewno zimny. Następnego ranka o świcie nad kanał miały przylecieć żurawie. Dowiedziałam się o tym od nowego pediatry. To dobry lekarz, singiel, ale wciąż tęsknię za starym doktorem Bassem. Kiedy Ben był malutki, zadzwoniłam do niego zapytać, ile pieluch powinnam prac naraz. Jedną, odpowiedział.

Żaden z chłopców nie chciał iść. Ubrałam się, drżąc z zimna. Rozpaliłam ogień, nalałam kawę do termosu. Zrobiłam ciasto na naleśniki, nakarmiłam psy i koty i kozę Rosie. Czy mieliśmy wtedy konia? Jeśli tak, zapomniałam go nakarmić. Jesse podszedł mnie od tyłu w ciemności, przy drucie kolczastym obok oszronionej drogi.

– Chcę zobaczyć żurawie.

Dałam mu latarkę, dałam też chyba termos. Świecił wszędzie, tylko nie na drogę, i wciąż go o to męczyłam. No dalej. Przestań.

– Przecież pani widzi. Idzie pani drogą. Zna ją pani.

Prawda. Drżące kręgi światła omiały ptasie gniazda w białych zimowych topolach, dynie na polu Gusa, prehistoryczne sylwetki bydła rasy brahman. Ich agatowe oczy otwierały się, odbijając punkcik blasku, i zamykały ponownie.

Przeszliśmy po kłodzie nad nieruchomym ciemnym rowem irygacyjnym do otwartego zbiornika, gdzie położyliśmy się na brzuchach, cisi jak partyzanci. Wiem, wszystko idealizuję.

To jednak prawda, że leżeliśmy tam długo w zimnie we mgle. To nie była mgła. Raczej para wodna ze zbiornika, albo po prostu para z naszych ust.

Po długim czasie żurawie w końcu przyleciały. Setki, kiedy niebo robiło się błękitnoszare. Wylądowały w zwolnionym tempie na kruchych nogach. Myły się, czyściły pióra na brzegu. Wszystko nagle zrobiło się czarno-biało-szare, skłębione jak film po napisach.

Gdy żurawie piły w górze zbiornika, srebrna woda pod nimi wystrzeliwała tuzinami cienkich wstążek. Potem bardzo szybko odleciały w białości, z dźwiękiem tasowanych kart.

Leżeliśmy tam, pijąc kawę, aż zrobiło się jasno i przyleciały kruki. Niezdarne skrzekliwe kruki przeczące wdziękowi żurawi. Ich czarność zygzakiem odbijała się w wodzie, gałęzie topoli odskakiwały jak trampoliny. Czuło się słońce.

W drodze powrotnej było jasno, ale on nie wyłączał latarki. Możesz wyłączyć? Zignorował mnie, więc mu ją zabrałam. Jego długimi krokami weszliśmy w ślady po traktorze.

– Kurwa – rzucił. – To było straszne.

– Rzeczywiście. Groźne jak zbrojne zastępy. To z Biblii.

– Serio, pani nauczycielko? – Już wtedy miał charakter.

Krok

Odwyk West Oakland kiedyś był magazynem. W środku jest ciemny i echo odbija się jak na podziemnym parkingu. Z jednego dużego pomieszczenia przechodzi się do pokoiów, kuchni i biura. Na środku tego pomieszczenia stoją stół do bilardu i grajdół telewizyjny. Nazywają go grajdołem, ponieważ ściany wokół mają tylko półtora metra wysokości, żeby opiekunowie mogli zajrzeć do środka.

Większość mieszkańców była w grajdole, w niebieskich piżamach, oglądali *Leave It to Beaver*. Bobo podał Carlotcie kubek z herbatą. Pozostali mężczyźni śmiali się z tego, jak biegała po bocznicie kolejowej, próbując wejść pod pociąg. Amtrak z Los Angeles się zatrzymał. Carlotta także się śmiała. Wszyscy tu łazili w piżamach. Nie żeby nie obchodziło ją to, co zrobiła. Po prostu nie pamiętała, to nie był ani trochę jej czyn.

Milton, jeden z opiekunów, podszedł do ścianki grajdołu.

– Kiedy walka?

– Za dwie godziny.

Benitez z Sugar Rayem Leonardem o tytuł w wadze półśredniej.

– Sugar Ray da radę, łatwizna.

Milton wyszczerzył się do Carlotty, a pozostali komentowali i żartowali. Znała większość z nich z poprzednich pobytów tutaj, z odwyków w Hayward, Richmond, San Francisco. Boba znała również z psychiatryka Highland.

Cała dwudziestka mieszkańców siedziała teraz w grajdole z poduszkami i kocami; skuleni razem jak przedszkolaki w trakcie leżakowania, jak na rysunkach ze schronów bombowych Henry'ego Moore'a. W telewizorze Orson Welles mówi: „Nie sprzedamy wina, nim przyjdzie jego czas”. Bobo się zaśmiał:

– Już czas, bracie, już czas!

– Przestań się trząść, kobieto, robisz zakłócenia.

Jakiś mężczyzna z dreadami usiadł obok Carlotty i położył dłoń na wewnętrznej stronie jej uda. Bobo złapał go za nadgarstek.

– Zabieraj albo złamię.

Przyszedł Stary Sam opatulony w koc. Nie grzali i było potwornie zimno.

– Usiądź na jej stopach. Przytrzymasz, żeby się nie trzęsły.

Falszywa dwunastka dobiegała końca. Clifton Webb umarł, Myrna Loy poszła na studia. Willie powiedział, że w Europie mu się podobało, bo tam biali ludzie są brzydzy. Carlotta nie rozumiała, co miał na myśli, a potem zdała sobie sprawę, że samotni pijacy ludzi widują jedynie w telewizji. O trzeciej rano chciała jeszcze zobaczyć reklamę Kuby Rozpruwacza Używanych Datsunów. Rąbał ceny. Rznął i ścinał.

Telewizja była jedyną radością na odwyku. Jakby grajdół stawał się ich własnym zadymionym ringiem, a ten bokerski w środku był kolorowy. Konferansjer mówił piskliwym głosem. Dzisiaj nagrodą jest milion dolarów! Wszyscy mężczyźni stawiali kasę na Sugar Raya, postawiliby. Bobo powiedział Carlocie, że niektórzy z nich nawet nie byli alkoholikami, udawali, że potrzebują odwyku, by obejrzeć walkę.

Carlotta była za Benitezem. Lubisz ładnych chłopców, mamuśka? Benitez był ładny, delikatny kościec, mały wąsik. Ważył sześćdziesiąt pięć kilogramów, pierwsze mistrzostwo zdobył jako siedemnastolatek. Sugar Ray Leonard był nieco cięższy, ale wydawał się nad nim górować, nawet gdy był nieruchomy. Spotkali się na środku ringu. Całkowita cisza. Tłum w telewizji, mieszkańcy w grajdole wstrzymywali oddech, kiedy bokserzy stanęli twarzą w twarz, krążąc, wijąc się, nie spuszczać z siebie wzroku.

W trzeciej rundzie szybki sierpowy Leonarda powalił Beniteza na ziemię. Wstał w sekundę, uśmiechając się jak dziecko. Zawstydzony. To nie miało mi się przydarzyć. W tej chwili mężczyźni w grajdole zaczęli pragnąć, by to on wygrał.

Nikt się nie poruszył, nawet na reklamach. Przez całą walkę Sam związał papierosy i je podawał. W trakcie szóstej rundy do ścianki grajdołu podszedł Milton, kiedy akurat Benitez przyjął cios na czoło, jedyne, czym się zaznaczył w tej walce. Milton widział płynącą krew odbitą w oczach widzów, w ich pocie.

– No proszę... wszyscy idziecie za przegranym – powiedział.

– Cicho! Ósma runda.

– No dalej, młody, nie upadaj.

Nie prosili Beniteza, żeby wygrał, tylko by przetrwał walkę. Zrobił to, przetrwał. W dziewiątej po ciosie się wycofał, potem lewy sierpowy rzucił go na liny, a prawy wytrącił ochraniacz z ust.

Runda dziesiąta, runda jedenasta, runda dwunasta, runda trzynasta, runda czternasta. Wytrzymał. W grajdole nikt się nie odzywał. Sam zasnął.

Zadzwonił dzwonek na ostatnią rundę. Wokół ringu było tak cicho, że słychać było, jak Sugar Ray Leonard szepcze: „Mój Boże. On wciąż stoi”.

Ale prawe kolano Beniteza dotknęło maty. Na moment, jak u katolika wychodzącego z ławki. Mała różnica, która oznaczała, że już po walce, przegrał. Carlotta wyszeptała:

– Boże, pomóż mi.

Przybłądy

Dotarłam do Albuquerque z Baton Rouge. Było koło drugiej nad ranem. Chłoszczący wiatr. To właśnie robi wiatr w Albuquerque. Siedziałam na dworcu autobusowym, dopóki nie pojawił się jakiś taksówkarz. Miał tyle więziennych tatuaży, że na pewno wiedział, gdzie można coś wziąć i przenocować. Zgarnął mnie, zabrał do jakiejś meliny, tutaj nazywają je *norias*, znajdowała się w południowej dolinie. Dobrze, że go spotkałam, wołali go Makaron. Nie mogłam wybrać gorszego miejsca na ucieczkę niż Albuquerque. Miasto kontrolują Chicanos. Mayates⁵ nie mają szans na towar, szczęście, jeśli przeżyją. Trochę białych, którzy odsiedzieli dość, by im ufać. Białe kobiety, zapomnijcie, nie przetrwają. Jedyne sposobem, podpowiedział mi Makaron, to złapać kontakt z jakąś szyczą, tak ja zrobiłam z Nacho. Wtedy nikt mnie nie skrzywdzi. Rany, ale żalostnie to zabrzmiało. Nacho był świętym, nawet jeśli trudno w to uwierzyć. Robił wiele dla Brązowych Beretów⁶, dla całej społeczności Chicano, dla młodych, starych. Nie wiem, gdzie jest teraz. Nie pojawił się na rozprawie, odpuścił kaucję. I to wielką. Strzelił pięć razy do funkcjonariusza z narkotykowego, Marqueza, w plecy. Przysięgli nie uważali go za świętego, może za Robin Hooda, bo skazali go tylko za zabójstwo. Szkoda, że nie wiem, gdzie jest. Mnie przymknęli mniej więcej w tym samym czasie, za ślady po igłach.

Wszystko to wydarzyło się wiele lat temu, wtedy nie mogłabym nawet o tym mówić. Można było dostać pięć albo dziesięć lat za niedopałek albo ślady.

W tamtym czasie zaczęły działać pierwsze programy odwykowe z metadonem. Wysłano mnie na jeden z pilotażowych. Pół roku w La Vida zamiast lat w *la pinta*, stanowym więzieniu w Santa Fe. Dwudziestu innych ćpunów dostało tę samą ugodę. Wszyscy przyjechaliśmy do La Vida starym żółtym szkolnym autobusem. Na spotkanie wyszła nam wataha dzikich psów, warczały i ujadaly, aż w końcu zniknęły w kłębach kurzu.

La Vida znajdowała się pięćdziesiąt kilometrów od Albuquerque. Na pustyni. Wokół nic, żadnych drzew, żadnych krzaków. Do trasy 66 piechotą za daleko. W trakcie drugiej wojny był to wojskowy obiekt radarowy. Od tamtej pory stała porzucona. Zupełnie. My mieliśmy ją odremontować.

Staliśmy na tym wietrze, w gorącym słońcu. Nad całym miejscem górowała ogromna tarcza radaru rzucająca jedyny cień. Rozpadające się baraki. Pogięte i zardzewiałe żaluzje grzechoczące na wietrze. Zdjęcia dziewczyn pozdierane ze ścian. Metrowe wydmy z piasku w

każdym pokoju. Wydmy z falami i wzorami jak na pocztówkach z Pustyni Pstrej.

Do naszego odwyku miało się przyczynić wiele rzeczy. Po pierwsze, zabranie nas z ulicy. Za każdym razem, kiedy opiekun o tym mówił, zaśmiewaliśmy się do upadłego. No bo tutaj w ogóle nie było żadnych dróg, nie mówiąc o ulicach, a uliczki na terenie schowały się w piasku. W stołówkach stały stoliki, a w barakach prycze, ale one także były zakopane. Toalety zatkałe zdechłymi zwierzętami i znowu piaskiem.

Słysząc było tylko wiatr i tamtą watahę psów, która krążyła wokół. Czasami ta cisza była miła, oprócz tarcz radaru, które obracały się z jęklwym wrednym zgrzytem dzień i noc, dzień i noc. Na początku się go baliśmy, ale po jakimś czasie stał się uspokajający, jak dźwięk łapacza snów. Mówili, że radaru używano do przechwytywania japońskich pilotów kamikadze, ale mówili wiele dziwnych rzeczy.

Oczywiście najważniejszą częścią naszego odwyku miała być uczciwa praca. Satysfakcja z dobrze wykonanej roboty. Uczenie się współdziałania. Praca zespołowa. Ta praca zespołowa zaczynała się codziennie o szóstej rano, gdy ustawialiśmy się w kolejce po metadon. Po śniadaniu pracowaliśmy do lunchu. Grupa od drugiej do piątej, potem kolejna od siódmej do dziesiątej.

Celem tych grup było nas złamać. Naszymi największymi problemami były złość, arogancja, nieposłuszeństwo. Kłamaliśmy, oszukiwaliśmy i kradliśmy. Mieliśmy codzienne „kocenie”, w trakcie którego grupa wykrzykiwała jednej osobie wszystkie jej winy i słabości.

Bili nas, aż w końcu zawołaliśmy „wujek”. Kim, do kurwy, był wujek? Widzicie, wciąż jestem zła i arogancka. Spóźniłam się na grupę dziesięć minut, więc ogolili mi brwi i obcięli rzęsy.

Grupy radziły sobie z gniewem. Przez cały dzień wrzucaliśmy do pudełka karteczki, na których pisaliśmy, na kogo jesteśmy źli, a potem w grupie sobie z tym radziliśmy. Zwykle po prostu krzyczeliśmy, jakimi frajerami i palantami są wszyscy pozostali. Ale cóż, rzeczywiście kłamaliśmy i oszukiwaliśmy. Przez połowę czasu żadne z nas nie było nawet złe, tylko podkręcaliśmy i wymyślaliśmy trochę złości, żeby grać w tę grupową zabawę, zostać w La Vida i nie iść do więzienia. Większość karteczek wymieniała Bobby'ego, kucharza, bo karmił te zdziczałe psy. Albo Grenasa, że niewystarczająco pieli, tylko pali i przerzuca grabiami pustyne rośliny.

Byliśmy wściekli na te psy. Na kolejki o szóstej rano, a potem o pierwszej i szóstej przed

stołówką. Chłozzący pustynny wiatr. Byliśmy zmęczeni i głodni. Ranki lodowate, popołudnia gorące. Bobby czekał, aż w końcu niespiesznym krokiem, niczym bankowy urzędnik, szedł, by otworzyć nam drzwi. A kiedy my czekaliśmy, kilka metrów dalej przy kuchennych drzwiach psy również czekały, aż rzuci im resztki. Parszywe, pstrokate brzydkie kundle, które ludzie porzucili na płaskowzgórzu. Psy lubiły Bobby'ego, ale nas nienawidziły, szczyrzyły kły i warczały, dzień po dniu, posiłek po posiłku.

Przeniesiono mnie z pralni do kuchni. Pomagałam kucharzowi, zmywałam naczynia i podłogi. Po jakimś czasie trochę mniej nie znosiłam Bobby'ego. I psów również. Nadał wszystkim imiona. Durne imiona. Książę, Plamka, Czarny, Kulas, Mały. I Liza, jego ulubiona. Stara żółta kundlica z płaską głową, wielkimi uszami nietoperza i oczami w kolorze bursztynu. Po kilku miesiącach jadła mu nawet z ręki. „Słoneczko! Liza, moje żółtookie słońce”, wabił ją. W końcu pozwoliła mu się podrapać za brzydkimi uszami i nad długim poszarpanym ogonem zwisającym między łapami. „Moje słodkie słodkie słoneczko”, mówił.

Za rządowe pieniądze wciąż przysyłano nam ludzi, żeby prowadzili różne warsztaty. Jedna z kobiet robiła warsztaty o rodzinach. Jakby ktokolwiek z nas w ogóle miał rodzinę. Jakiś facet z Synanon twierdził, że nasz problem to tupet. Jego ulubionym powiedzeniem było: „Kiedy myślisz, że wyglądasz dobrze, wyglądasz źle”. Codziennie kazał nam „zdmuchiwać nasz obraz”. Czyli zachowywać się jak durnie.

Dostaliśmy siłownię, stół do bilardu, hantle i worki treningowe. Dwa kolorowe telewizory. Boisko do koszykówki, kręgielnię i kort tenisowy. Oprawione reprodukcje Georgii O'Keeffe. Lilie wodne Moneta. Niedługo miała przyjechać ekipa z Hollywood, żeby nakręcić w okolicy film science fiction. Mogliśmy pracować na planie jako statyści i trochę zarobić. Film opowiadał o radarze i o tym, co ten radar zrobił Angie Dickinson. Zakochał się w niej i zabrał jej duszę, kiedy zginęła w wypadku samochodowym. Miał też zabrać wszystkie inne żywe dusze rezydentów La Vida, nasze. Widziałam ten film jakieś dwadzieścia razy, w środku nocy, w telewizji.

Ogólnie rzecz biorąc, pierwsze trzy miesiące minęły całkiem nieźle. Byliśmy czysti i zdrowi; ciężko pracowaliśmy. Miejsce wyglądało doskonale. Nawet się do siebie zbliżyliśmy i naprawdę czuliśmy gniew. Ale przez te pierwsze trzy miesiące byliśmy zupełnie odizolowani. Nikt nie przyjeżdżał, nikt nie wyjeżdżał. Bez telefonów, gazet, poczty, telewizji. Kiedy to się zmieniło, sprawy zaczęły się sypać. Ludzie wychodzili na przepustki, a po powrocie mieli złe

wyniki moczu albo w ogóle nie wracali. Pojawiali się nowi mieszkańcy, którzy nie czuli w związku z La Vida takiej dumy jak my.

Codziennie mieliśmy poranne spotkanie. Po części sesję narzekania, po części kapowania. Musieliśmy po kolei się odzywać, nawet jeśli tylko opowiadaliśmy dowcip albo śpiewaliśmy piosenkę. Jednak zwykle nikomu nic nie przychodziło do głowy, więc przynajmniej dwa razy w tygodniu stary Lyle Tanner śpiewał piosenkę o lelku, El Sapo wykladał, jak rozmnażać chihuahua, co było obrzydliwe. Sexy wciąż recytowała psalm dwudziesty trzeci. Tyle że pieściła każde słowo tak, że brzmiało sprośnie, i wszyscy się śmiali, co sprawiało jej przykrość.

Ksywa Sexy była żartem. Stara dziwka z Meksyku nie przyjechała tu z naszą pierwszą grupą, ale później, po pięciu dniach odosobnienia i głodówki. Bobby zrobił jej wtedy zupę i jajka na bekonie. Ale chciała tylko chleba. Usiadła i zjadła trzy bochenki tostowego, bez żucia, po prostu połykała go, tak była głodna. Zupą i jajkami z bekonem Bobby nakarmił Lizę.

Sexy wciąż jadła, aż w końcu zabrałam ją do naszego pokoju i tam padła. W pokoju obok Lydia i Sherry leżały razem w łóżku. Od lat były kochankami. Z ich spowolnionego śmiechu wiedziałam, że coś wzięły, pewnie sekobarbital albo metakwalon. Wróciłam do kuchni pomóc Bobby'emu w sprzątaniu. Gabe, opiekun, przyszedł po noże, żeby je zamknąć w sejfie. Robił to co wieczór.

– Jadę do miasta. Dowodzisz, Bobby.

W nocy nie było już nikogo z personelu.

Bobby i ja poszliśmy wypić kawę pod zapianem. Psy ujadły na coś na wzgórzu.

– Cieszę się z przyjazdu Sexy. Jest miła.

– Jest w porządku. Nie zostanie.

– Przypomina mi Lizę.

– Liza nie jest taka brzydka. *Oye*, Tina, nie ruszaj się. Zaraz będzie.

Księżyc. Żaden księżyc nie przypomina tego w pogodny wieczór w Nowym Meksyku. Wschodzi nad górami Sandia i łągodzi całe kilometry nagiej pustyni cichą bielą pierwszego śniegu. Księżycowy blask w żółtych oczach Lizy i w krzewie zapianu.

Świat po prostu toczy się dalej. Właściwie to nic nie ma znaczenia. Takiego prawdziwego. Ale czasami, tylko na chwilę, pojawia się ta łaska, przekonanie, że jednak coś ma znaczenie, ogromne.

On też to poczuł. Słyszałam, jak więźnie mu głos. W takiej chwili jak tamta ktoś może

odmówiłby modlitwę, ukląkł. Zaśpiewał hymn. Jaskiniowcy może by zatańczyli. A my się kochaliśmy. „El Sapo” nas przytąpał. Później, ale wciąż byliśmy nadzy.

Wydało się na porannym spotkaniu i musieliśmy zostać ukarani. Przez trzy tygodnie po posprzątaniu kuchni mieliśmy zdzierać farbę i piaskować wszystkie ściany wokół okien w stołówce. Do pierwszej w nocy, codziennie. Paskudnie, a w dodatku Bobby, chcąc ocalić dupę, wstał i oznajmił: „Nie chciałem puknąć Tiny. Chcę tylko zostać czysty, odrobić swoje i wrócić do domu, do mojej żony Debby i córeczki Debby-Ann”. Te dwa durne imiona mogłam wypisać na karteczkach.

Zabolało. Przecież mnie przytulał i rozmawiał ze mną. Zadał sobie dużo więcej trudu, kiedy się kochaliśmy, niż robi to większość facetów, i byłam z nim szczęśliwa, kiedy wzeszedł księżyc.

Musieliśmy bardzo ciężko pracować, więc nie było czasu na gadanie. I tak nigdy nie zdradziłabym mu, jak bardzo mnie bolało. Byliśmy zmęczeni, potwornie zmęczeni co wieczór i przez cały dzień.

Najważniejsze, o czym nie rozmawialiśmy, to psy. Nie pokazały się od trzech nocy.

W końcu to ja zapytałam:

– Jak myślisz, gdzie są psy?

Wzruszył ramionami.

– Puma. Dzieciaki z bronią.

Wróciliśmy do piaskowania. Zrobiło się zbyt późno, żeby w ogóle iść spać, więc zaparzyliśmy świeżą kawę i usiedliśmy pod drzewem.

Tęskniłam za Sexy. Zapomniałam wspomnieć, że pojechała do miasta do dentysty, ale udało się jej zdobyć działkę, złapali ją i zabrali do więzienia.

– Tęsknię za Sexy. Bobby, to, co powiedziałeś na porannym spotkaniu, było kłamstwem. Bardzo chciałeś mnie puknąć.

– Tak, skłamałem.

Poszliśmy do chłodni i znów się przytuliliśmy i znów się kochaliśmy, ale niezbyt długo, bo było strasznie zimno. Wróciliśmy na dwór.

Zaczęły przychodzić psy. Księżę, Plamka, Czarny, Mały.

Wlazły w jeżozwierze. Najwyraźniej wiele dni wcześniej, bo wszystkie miały zainfekowane rany. Pyski spuchnięte jak u potwornych nosorożców, sącząca się zielona ropa.

Powieki spuchnięte i opuszczone, zamknięte małymi strzałkami. To było straszne, że żaden nie widział. I nie wydawały dźwięku, bo gardła też miały spuchnięte.

Czarny dostał ataku. Wskoczył w powietrze z przerażającym charkotem. Rzucił się, skakał, sikał w locie. Wysoko, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt centymetrów w górę, a potem padł mokry, martwy, na ziemię. Liza pojawiła się ostatnia, bo nie mogła chodzić, czołgała się tylko, aż doczołgała do stóp Bobby'ego, skręcała się tam, łapą dotykając jego buta.

– Przynieś mi te cholerne noże.

– Gabe jeszcze nie wrócił.

Tylko opiekunowie mogli otworzyć sejf.

Liza szturchała stopę Bobby'ego, delikatnie, jakby prosiła, by ją pogłaskał, żeby rzucił piłkę.

Bobby poszedł do chłodni i przyniósł stek. Niebo było lawendowe. Świtało.

Pozwolił psom powąchać mięso. Zawołał je, zwabił, by poszły za nim przez drogę do warsztatu. Ja zostałam pod drzewem.

Kiedy tam dotarł, kiedy w końcu wprowadził je do środka, ubił wszystkie młotem. Nie widziałam, ale słyszałam, a z miejsca, w którym siedziałam, widziałam krew przyskającą i spływającą po ścianach. Myślałam, że powie coś w rodzaju „Liza, moje słodkie słoneczko”, ale nic nie powiedział. Kiedy wyszedł, był cały we krwi, nie spojrzał na mnie, tylko wrócił do baraków.

Przyjechała pielęgniarka z działkami metadonu i wszyscy ustawili się w kolejce do śniadania. Włączyłam blachę i zaczęłam robić ciasto. Wściekali się, bo grzebałam się ze śniadaniem.

Kiedy pojawiły się przyczepy filmowców, wciąż nie było nikogo z personelu. Od razu zaczęli pracować, sprawdzać lokalizacje, zatrudniać statystów. Ludzie biegali dokoła z megafonami i krótkofalówkami. Jakimś cudem nikt nie poszedł do warsztatu.

Jedną scenę zaczęli kręcić od razu... ujęcie kaskadera, który miał być Angie Dickinson jadącą z siłowni, podczas gdy helikopter latał nad tarczą radaru. Samochód miał wjechać w radar, a duch Angie ulecieć w tarczę. Tyle że auto wbiło się w zapian.

Bobby i ja przygotowaliśmy lunch, ale ze zmęczenia poruszaliśmy się w zwolnionym tempie, tak jak kazano chodzić statystom zombi. Nie rozmawialiśmy. Raz, przy robieniu sałatki z tuńczykiem, powiedziałam do siebie głośno:

- Ogórki konserwowe?
- Co mówiłaś?
- Ogórki konserwowe.
- Jezu. Ogórki konserwowe!

Zaśmialiśmy się, nie mogliśmy przestać się śmiać. Dotknął mojego policzka, delikatnie, jak ptasim skrzydłem.

Ekipa filmowa uważała, że teren radarowy jest super, czadowy. Angie Dickinson podobał się mój cień do powiek. Wyjaśniłam, że to tylko kreda, którą się pociera kije bilardowe. „Zabójczy jest ten błękit”, powiedziała.

Po lunchu stary gaffer, ktokolwiek to jest, przyszedł do mnie zapytać, gdzie jest najbliższy bar. Był jeden, przy drodze do Gallup, ale odpowiedziałam, że w Albuquerque. I że zrobię wszystko, jeśli podwiezie mnie do miasta.

- O to się nie martw. Wskakuj do furgonetki i jedziemy.

Łup, bang, bum.

- Dobry Boże, co to było? – zapytał.
- Przeszkoda dla bydła.
- Jezu, to naprawdę jest koniec świata.

W końcu wyjechaliśmy na autostradę. Było cudownie, dźwięk opon na asfalcie, wiatr. Ciężarówka, naklejki na zderzakach, dzieci kłócące się na tylnych siedzeniach. Trasa 66.

Dotarliśmy na wzniesienie, pod nami były szeroka dolina i Rio Grande, nad nami piękne góry Sandia.

– Proszę pana, potrzebuję pieniędzy na bilet do domu, do Baton Rouge. Ma pan może sześćdziesiąt dolarów?

- Nie ma sprawy. Potrzebujesz biletu, ja muszę się napić. Wszystko da się załatwić.

Zgryzota

– O czym one tak nieustannie rozmawiają? – zapytała pani Wacher swojego męża przy śniadaniu.

Pod słomianym dachem nadmorskiej jadalni na świeżym powietrzu siostry zapomniały o papai, o swoich *huevos rancheros* i rozmawiały, rozmawiały. Później, idąc brzegiem morza, pochylały głowy ku sobie. Rozmawiały, rozmawiały. Nie zauważały fal, które je łapały i moczyły. Śmiały się wtedy. Młodsza często płakała... Kiedy płakała, starsza czekała, pocieszała ją, podawała chusteczkę. Gdy łzy przestawały płynąć, znów zaczynały rozmawiać. Ta starsza nie wyglądała na twardą, ale nigdy nie płakała.

Pozostali hotelowi goście w restauracji i na leżakach zwykle siedzieli razem w milczeniu, od czasu do czasu komentując piękną pogodę, turkusowe niebo, napominając dzieci, żeby siedziały prosto. Para, która przyjechała na miesiąc miodowy, szeptała i droczyła się ze sobą, karmiła się nawzajem kawałkami melona, ale zazwyczaj milczała, wpatrywała się w swoje oczy, swoje dłonie. Starsze pary piły kawę i czytały albo rozwiązywały krzyżówki. Ich rozmowy były krótkie, monosylabowe. Ludzie szczęśliwi ze sobą mówili równie mało jak ci, od których biły żal albo nuda; różnili się tylko rytmem mówienia, leniwa tenisowa piłka odbijana w tę i z powrotem lub odganianie muchy.

Wieczorami przy świetle latarni Wacherowie, para z Niemiec, grali w brydża z Lewisami, również emerytami, z Kanady. Wszyscy traktowali grę poważnie, więc rozmowę ograniczali do minimum. Pstryk pstryk tasowanych kart. „Hmmm” pana Wachera. Dwa bez atu. Syk morskiej piany, kostki lodu w szklankach. Kobiety od czasu do czasu mówiły o planach zakupowych na następny dzień, o wycieczce na La Islę, o tajemniczych rozmawiających siostrach. Starsza taka elegancka i spokojna. Po pięćdziesiątce, ale wciąż atrakcyjna, próżna. Młodsza, po czterdziestce, ładna, ale zaniedbana, skromna. No i znowu, znowu płacze!

Pani Wacher postanowiła zagadnąć starszą siostrę podczas porannego pływania. Pani Lewis miała porozmawiać z młodszą, która nigdy nie pływała ani się nie opalała, tylko czekała na tę drugą, popijając herbatę, z nieotwartą książką w ręku.

Tamtego wieczoru, kiedy pan Wacher poszedł po notes do wyników i karty, a pan Lewis zamawiał w barze drinki i przekąski, kobiety wymieniały informacje.

– Rozmawiają tak dużo, bo nie widziały się od dwudziestu lat! Wyobrażasz sobie?

Siostry! Moja ma na imię Sally, mieszka w Mexico City, ma męża Meksykanina i troje dzieci. Rozmawialiśmy po hiszpańsku, ona wydaje się bardziej Meksykanką. Niedawno przeszła mastektomię i dlatego nie pływa. W przyszłym miesiącu zaczyna terapię przeciwnowotworową. Pewnie dlatego tak często płacze. Tyle się dowiedziałam, zanim przyszła jej siostra i poszły się przebrać.

– Nie! Nie dlatego płacze! Ich matka niedawno zmarła! Dwa tygodnie temu! Wyobrażasz sobie... że przyjechały na wakacje?

– Co jeszcze ci powiedziała? Jak ma na imię?

– Dolores. Jest pielęgniarką, z Kalifornii, ma czterech dorosłych synów. Mówiła, że ich matka niedawno zmarła i mają z siostrą wiele do przegadania.

Wszystko sobie poukładały. Sally, ta urocza, najwyraźniej zajmowała się chorą matką przez ostatnie lata. Kiedy staruszka w końcu umarła, Dolores poczuła się winna, bo siostra przejęła całą opiekę, a ona sama nigdy nie pojechała ich odwiedzić. A potem nowotwór. Dolores płaciła za wszystko, taksówki, kelnerów. Widziały, jak kupuje Sally ubrania w butikach w mieście. Na pewno o to chodzi. Poczucie winy. Żałuje, że nie spotkała się z matką przed jej śmiercią, a teraz chce być dobra dla siostry, zanim i ona umrze.

– Albo zanim sama umrze – dodała pani Lewis. – Kiedy twoi rodzice nie żyją, musisz spojrzeć śmierci w oczy.

– Och, wiem, co masz na myśli... nie ma już nikogo między tobą a śmiercią.

Obie kobiety zamilkły, zadowolone ze swoich nieszkodliwych ploteczek i głębokiej analizy. Myślały o swojej śmierci. O śmierci swoich mężów. Ale tylko przez chwilę. Choć one i ich mężowie byli po siedemdziesiątce, to zachowali zdrowie, byli aktywni. Żyli pełnią życia, cieszyli się każdym dniem. Kiedy mężowie wysunęli krzesła i zasiedli do gry, panie rozpoczęły ją z przyjemnością, zapominając o dwóch siostrach, które siedziały obok siebie na plaży pod gwiazdami.

Sally nie płakała z powodu śmierci matki ani swojego nowotworu. Płakała, ponieważ jej mąż Alfonso odszedł po dwudziestu latach małżeństwa do młodszej kobiety. To było takie okrutne, zaraz po mastektomii. Była zrozpaczona, ale nie, nigdy nie da mu rozwodu, choć tamta kobieta jest w ciąży i on chce się żenić.

– Mogą zaczekać, aż umrę. A umrę niedługo, pewnie w przyszłym roku... – Sally szlochała, ale ocean tłumił ten dźwięk.

– Nie umrzesz. Powiedzieli, że raka już nie ma. Radioterapia to normalne postępowanie, profilaktyka. Słyszałam, jak lekarz mówi, że wycięli cały nowotwór.

– Ale on wróci. Zawsze wraca.

– Daj spokój, Sally.

– Jesteś taka zimna. Czasami robisz się tak samo okrutna jak mama.

Dolores nie odpowiedziała. Tego bała się najbardziej – że będzie jak matka. Okrutna pijaczka.

– Słuchaj, Sally. Po prostu daj mu rozwód i zajmij się sobą.

– Ty nic nie rozumiesz! Jak mogłabyś zrozumieć, co czuję po dwudziestu latach wspólnego życia? Jesteś sama niemal tak samo długo! Ja, odkąd skończyłam siedemnaście lat, miałam tylko Alfonsa! Kocham go!

– Chyba potrafię to zrozumieć – odparła chłodno Dolores. – Chodź, idziemy, robi się ciemno.

W pokoju pod białą moskitierą Dolores paliło się światło, czytała jeszcze przed snem.

– Dolores?

Sally znowu płacze. Jezu. Co tym razem?

– Sally, wariuję, jeśli nie mogę poczytać po przebudzeniu i przed snem. To głupi nawyk, ale tak już jest. O co chodzi?

– Drzazga wbiła mi się w stopę.

Dolores wstała, wzięła igłę, płyn dezynfekujący i plaster, wyjęła drzazgę spod skóry siostry. Sally znowu się rozplakała i objęła Dolores.

– Bądźmy teraz już zawsze blisko. Tak dobrze mieć siostrę, która się mną opiekuje!

Dolores wygładziła plaster na stopie Sally, jak to robiła dziesiątki razy, kiedy były dziećmi.

– Już dobrze – powiedziała automatycznie.

– Już dobrze! – westchnęła Sally.

Chwilę później zasnęła. Dolores czytała jeszcze przez kilka godzin. W końcu wyłączyła światło, żałując, że nie ma się czego napić.

Jak miała porozmawiać z Sally o swoim alkoholizmie? Inaczej rozmawia się o śmierci, o stracie męża, o stracie piersi. Ludzie twierdzą, że to choroba, ale nikt nie zmusza jej do picia. Jestem śmiertelnie chora. Jestem przerażona, chciała powiedzieć Dolores, ale tego nie zrobiła.

Wacherowie i Lewisowie zawsze pojawiali się na śniadaniu jako pierwsi i siedzieli przy połączonych stołach. Mężowie czytali gazety, żony gawędziły z kelnerami i ze sobą nawzajem. Po śniadaniu cała czwórka wybierała się na ryby.

– Ciekawe, gdzie się podziewają siostry – zastanawiała się pani Lewis.

– Wrzeszczą na siebie! Kiedy mijałam ich pokój, strasznie się kłóciły. Herman nie ma litości, nie pozwolił mi podsłuchiwać. Sally mówiła „nie!”. Nie chciała ani grosza z krwawej forsy tej starej wiedźmy! Kiedy była zdesperowana, matka odmówiła jej pomocy i przeklęła to biedne łagodne biedactwo! *Putá! Desgraciada!* Dolores wrzeszczała na nią: „Nie rozumiesz, co to znaczy szaleństwo? To ty jesteś naprawdę stuknięta... bo nie chcesz przejrzeć na oczy! Mama była wariatką!”. I zaczęła na nią wrzeszczeć. „Zdejmij to! Zdejmij!”.

– Cicho, idą tu.

Sally była rozczochrana, jak zwykle wyglądała, jakby przed chwilą płakała; Dolores jak zawsze opanowana i elegancka. Zamówiła śniadanie dla obu, a kiedy je podano, słyszeli, jak mówi do siostry:

– Jedz. Poczujesz się lepiej. Wypij sok pomarańczowy. Jest słodki, pyszny.

– Zdejmij to!

Sally skuliła się, przyciskając *huipil* do ciała. Dolores wydarła jej strój i kazała tak stać, nagięj; blizny w miejscu usuniętej piersi były krwawoczerwone i błękitne.

Sally krzyczała:

– Jestem obrzydliwa! Nie jestem kobietą! Nie patrz!

Dolores złapała ją za ramiona i potrząsnęła.

– Chcesz, żebym była twoją siostrą? To pozwól mi popatrzeć. Tak, to obrzydliwe. Blizny wyglądają strasznie, okropnie. Ale teraz należą do ciebie. I *jesteś* kobietą, głupia! Bez swojego Alfonsa, bez piersi możesz być kobietą bardziej niż kiedykolwiek przedtem, sobą! Przede wszystkim dzisiaj idziesz pływać, wsadzając do kostiumu tę protezę za sto pięćdziesiąt dolarów, którą przywiozłam.

– Nie mogę.

– Właśnie że możesz. Idziemy na śniadanie, ubierz się.

– Dzień dobry paniom! – zawołała pani Lewis do sióstr. – Kolejny piękny dzień.

Jedziemy na ryby. A wy jakie macie plany?

– Idziemy popływać, a potem na zakupy i do fryzjera.

– Biedna Sally – powiedziała pani Lewis. – Wyraźnie nie ma ochoty na żadną z tych rzeczy. Jest chora i w żałobie. A siostra zmusza ją do odpoczywania. Jak moja siostra Iris. Rządzi się i rządzi! Ma pani starszą siostrę?

– Nie – zaśmiała się pani Wacher. – To ja byłam starszą siostrą. I proszę uwierzyć, młodsze również mają wady.

Dolores rozłożyła ręczniki na piasku.

– Zdejmij to. – Chodziło o szlafrok, który siostra włożyła na kostium kąpielowy. – Zdejmij – powtórzyła. – Jesteś śliczna. Twój biust wygląda jak prawdziwy. Masz talię osy. I świetne nogi. Ale przecież ty nigdy, przenigdy nie zdawałaś sobie sprawy ze swojej urody.

– Nie, to ty byłaś ładną siostrą. Ja byłam tą grzeczną.

– O mnie mówili to samo. Zdejmij kapelusz. Zostało nam tylko kilka dni. Wrócisz do miasta nieopalona.

– *Pero...*

– *Cállate.* Zamknij się, bo ci się nie opalą zmarszczki.

– Słońce jest cudowne – westchnęła po chwili Sally.

– I nie czujesz się lepiej?

– Czuję się taka naga. Jakby wszyscy widzieli moje blizny.

– Wiesz, czego się w życiu nauczyłam? Większość ludzi nic nie zauważa, a jeśli zauważają, mają to w nosie.

– Jesteś taka cyniczna.

– Odwróć się, posmaruję ci plecy olejkami.

Po jakimś czasie Sally opowiedziała Dolores o bibliotece w *barrio*, w której pracowała jako wolontariuszka. Budujące historie o dzieciach i dorosłych mieszkających w strasznej biedzie. Uwielbiała tam pracować, a oni uwielbiali ją.

– Widzisz, Sally, jest tyle rzeczy, które możesz i lubisz robić.

Dolores nie miała żadnych budujących historii do opowiedzenia o swojej pracy w klinice w Oakland. Dzieci na cracku, dzieci wykorzystywane, dzieci z uszkodzeniem mózgu, z zespołem Downa, z ranami postrzałowymi, z AIDS, niedożywione. Ale była dobra w tym, co robiła, lubiła tę pracę. Kiedyś – w końcu zwolnili ją za picie, w zeszłym miesiącu, zanim umarła matka.

– Ja także lubię swoją pracę – powiedziała tylko. – Chodź, popływamy.

– Nie mogę. To mi zaszkodzi.

– Rany się zagoiły, Sally. To tylko blizny. Okropne blizny.

– Nie mogę.

– Na miłość boską, włącz do wody.

Dolores zaprowadziła siostrę do morza, a potem wyrwała rękę. Patrzyła, jak Sally brnie i przewraca się. Opiła się wody, powaliła ją fala. Brodząc na płyciźnie, patrzyła, jak Sally wstaje i zanurza się w napływającą falę, płynie dalej. Dolores ruszyła za nią. O Boże, znowu płacze, ale nie, Sally głośno się śmiała.

– Jest ciepła! Taka ciepła! Jestem lekka jak dziecko!

Długo pływały w błękitnych falach. W końcu ruszyły w stronę brzegu. Bez tchu, śmiejąc się, wyszły z piany. Sally zarzuciła siostrze ręce na szyję i mocno się przytuliły, a piana wirowała wokół ich kostek.

– *Mariconas!* – zakpiło dwóch plażowiczów przechodzących obok.

Pani Lewis i pani Wacher mocno poruszone obserwowały scenę ze swoich leżaków.

– Ona nie jest wredna, tylko twarda... wiedziała, że jak siostra już wejdzie, to jej się spodoba. Wygląda na taką szczęśliwą. Biedactwo, potrzebowała tych wakacji.

– Tak, teraz już nie wydaje się to takie szokujące, prawda? Że pojechały na wakacje po śmierci matki.

– Wie pani... szkoda, że to nie jest tradycja. Postfuneralne wakacje, jak miesiąc miodowy albo *baby shower*.

Obie się zaśmiały.

– Herman! – zawołała pani Wacher do męża. – Czy jak my dwie umrzemy, to obiecujecie pojechać na wspólne wakacje?

Herman potrząsnął głową.

– Nie. Do brydża trzeba czworga.

Kiedy siostry wróciły wieczorem, wszyscy komplementowali uroczy wygląd Sally. Zaróżowiona od słońca, miała nową fryzurę układającą się miękkimi miedzianymi lokami wokół twarzy.

Wciąż potrząsała włosami, przeglądając się w lustrze. Jej zielone oczy lśniły jak szmaragdy. Umalowała je kosmetykami Dolores.

– Mogę pożyczyć twoją zieloną bluzkę? – zapytała.

– Co? Przecież kupiłam ci trzy piękne sukienki. I jeszcze chcesz moją bluzkę? A tak w

ogóle to masz własne kosmetyki i własne perfumy!

– Widzisz, jak bardzo mną gardzisz! Tak, dajesz mi prezenty, ale wciąż jesteś samolubna, samolubna jak ona!

– Samolubna! – Dolores zdjęła bluzkę. – Masz! I weź jeszcze kolczyki. Pasują do niej.

Słońce zachodziło, goście jedli flan. Kiedy podano kawę, Dolores ujęła dłoń siostry.

– Wiesz, zachowujemy się tak samo jak w dzieciństwie. To nawet całkiem miłe. Wciąż mówisz, że chcesz, byśmy były teraz prawdziwymi siostrami. Ale przecież zachowujemy się jak prawdziwe siostry! Kłócimy się!

Sally się uśmiechnęła.

– Masz rację. Chyba nigdy nie wiedziałam tak do końca, jak zachowuje się rodzina.

Nigdy nie jeździliśmy na rodzinne wakacje ani nawet na pikniki.

– To pewnie dlatego mam tyle dzieci, a ty weszłaś w tę wielką meksykańską rodzinę, tak bardzo pragnęliśmy mieć dom.

– I dlatego tak mi ciężko po odejściu Alfonsa.

– Nie mów o nim.

– To o czym mam mówić?

– Musimy porozmawiać o niej. O mamie. Nie żyje.

– Byłam gotowa ją zabić! Cieszę się, że umarła – powiedziała Sally. – Po śmierci taty zrobiło się okropnie. Poleciałam do Los Angeles i pojechałam autobusem do San Clemente. Nie chciała mnie nawet wpuścić do domu. Waliłam w drzwi i wołałam: „Potrzebuję matki! Chcę z tobą porozmawiać!”, ale mnie nie wpuściła. To było nie fair. Nie interesują mnie pieniądze, ale to też nie fair.

Matka nigdy nie wybaczyła Sally, że ta poślubiła Meksykanina, nie chciała widywać jej dzieci, a pieniądze zostawiła Dolores. Dolores nalegała teraz, by podzielić majątek, ale to nie łagodziło urazy.

Siedziały na piasku, Dolores kołysała siostrę. Słońce już zaszło.

– Ona odeszła, Sally. Była chora, przestraszona. Rzucała się jak ranna... hiena. Masz szczęście, że nie musiałaś jej oglądać. Ja tak. Zadzwoiłam do niej, by powiedzieć, że zabieramy tatę karetką do szpitala. Wiesz, co odparła? „Czy możesz po drodze kupić banany?”.

– To mój ostatni dzień! – zawołała Sally do pani Wachter. – Płyniemy na wyspę. Byli tam państwo?

– Och tak, byliśmy tam kilka dni temu z Lewisami. Jest absolutnie urocza. Będziecie snorkować?

– Z butlą – odparła Dolores. – *Vamos*, Sally, samochód czeka.

– Nie będę nurkować, i koniec – oznajmiła Sally w drodze do Ixtapy.

– Zobaczymy. Tylko poczekaj, aż poznasz Césara. Mieszkałam z nim jakiś czas dwadzieścia pięć, trzydzieści lat temu. Wtedy był tylko nurkiem, rybakiem.

Od tamtej pory stał się sławny i bogaty niczym meksykański Jacques Cousteau, występował w filmach, programach telewizyjnych. Dolores trudno było to sobie wyobrazić. Pamiętała jego starą drewnianą łódź, piasek zamiast podłogi w palapie, ich hamak.

– Już wtedy był mistrzem – powiedziała. – Nikt nie zna oceanu lepiej od niego. W swoich reklamach nazywa się Neptunem, oklepane... ale to prawda. Pewnie nie będzie mnie pamiętał, ale i tak chcę, żebyś go poznała.

Był już starym mężczyzną, z długą siwą brodą, opadającymi na ramiona siwymi włosami. Oczywiście, że pamięta Dolores. Jego słodki pocałunek na jej powiekach, uścisk. Pamiętała pokryte odciskami i bliznami dłonie na swojej skórze... Zaprosił je do stołu na werandzie. Dwóch facetów z agencji turystycznej piło tequilę, wachlując się słomkowymi kapeluszami, lekkie koszule mieli mokre i wymięte.

Ogromny taras wychodził na ocean, ale mangowce i awokadowce całkowicie zasłaniały wodę.

– Jak można zasłaniać taki widok na ocean? – zapytała Sally.

César wzruszył ramionami.

– *Pues*, już go widziałem.

Opowiedział wszystkim o nurkowaniu, na które pływali z Dolores wiele lat temu. O rekinach, ogromnej peine, o dniu, w którym utonął Flaco. O tym, jak nurkowie nazywali ją La Brava, odważna. Ale ledwo słuchała tych pochwał. Słyszała, jak mówi:

– Za młodu była piękną kobietą.

– No jak, przyjechałaś ze mną ponurkować? – zapytał, ujmując jej dłonie. Bardzo chciała, ale nie dałaby rady mu powiedzieć, jak się boi, że ustnik połamie jej sztuczną szczękę.

– Nie, za bardzo boli mnie kręgosłup. Przywiozłam siostrę, żeby z tobą ponurkowała.

– *Lista?* – zapytał Sally.

Piła tequilę, pławiła się w komplementach i flircie z tamtymi facetami. Faceci sobie

poszli. César, Sally i Dolores wypłynęli łódką na La Islę. Sally trzymała się burty popielata ze strachu. W pewnej chwili wychyliła się i zwymiotowała.

– Jesteś pewna, że powinna nurkować? – zapytał César Dolores.

– Jestem pewna.

Uśmiechnęli się do siebie. Minione lata zniknęły, wciąż potrafili się porozumieć. Kiedyś powiedziała z ironią, że César był ideałem. Nie potrafił czytać ani pisać, a większość ich romansu toczyła się pod wodą, gdzie nie padały słowa. Nigdy nie było potrzeby wyjaśniania czegokolwiek.

Po cichu wyjaśniał Sally podstawy nurkowania. Na początku, na płyciźnie, wciąż trzęsła się ze strachu. Dolores siedziała na skałach i patrzyła, patrzyła, jak César spluwa na maskę i ją czyści, wyjaśnia działanie regulatora. Włożył siostrze butlę na plecy. Dolores widziała, że Sally sztywnieje w obawie, że on zauważy jej pierś, ale potem zobaczyła, jak siostra się prostuje, rytmicznie kołysze przed nim, kiedy ją uspokajał, zapinał sprzęt i głaskał, spokojnie opuszczał do wody.

Potrzeba było czterech prób. Sally wynurzała się, krztusząc. Nie, nie, to niemożliwe, ma klaustrofobię, nie może oddychać! Ale on wciąż cicho do niej mówił, uspokajał, dotykał. Dolores poczuła chorą falę zazdrości, kiedy przytrzymał głowę siostry w swoich dłoniach, uśmiechając się przez maski w jej oczy. Pamiętała ten uśmiech przez szkło.

To był twój pomysł, przypominała sobie. Próbowwała się uspokoić, patrzeć na spokojne zielone fale, w których zniknęli siostra i César. Próbowwała skupić się na przyjemności Sally. Bo wiedziała, że to będzie przyjemność. Czuła jednak tylko żal i wyrzuty sumienia, niewyraźną stratę.

Zdawało jej się, że minęły godziny, zanim się wynurzyli. Sally śmiała się śmiechem młodej dziewczyny. Impulsywnie całowała i ścisnęła Césara, kiedy odpinał jej butlę, zdejmował płetwy.

W chatce dla nurków uściskała również Dolores.

– Wiedziałaś, jak będzie cudownie! Fruwałam! Ocean się nie kończył! Dolores, czułam się taka żywa i silna! Byłam Amazonką!

Dolores chciała zauważyć, że Amazonki miały tylko jedną pierś, ale ugryzła się w język. Uśmiechnęli się z Césarem, a Sally nie przestawała opowiadać, jak było pięknie. Wróci, niedługo, spędzi cały tydzień, nurkując! Te koralowce i ukwiały, kolory, niesamowite ławice ryb.

César zaprosił je na lunch. Była trzecia.

– Potrzebuję sjeisty – powiedziała Dolores.

Sally była zawiedziona.

– Wrócisz, Sally. Ja tylko pokazałam ci, że można.

– Dziękuję wam obojgu – odparła Sally. Jej radość i wdzięczność były czyste, niewinne.

César i Dolores ucałowali jej rozpromienione policzki.

Stali na postoju taksówek przy plaży. César mocno złapał dłoń Dolores.

– A więc, *mi vieja*, wrócisz kiedyś?

Potrząsnęła głową.

– Zostań ze mną dzisiaj.

– *No puedo*.

César ucałował ją w usta. Czowała na nich pożądanie i sól wspólnej przeszłości. Ostatniej nocy, którą spędzili razem, poobgryzał jej wszystkie paznokcie do opuszków.

– Myśl o mnie – powiedział.

Przez całą drogę powrotną do miasta, przez godzinę, Sally z ekscytacją opowiadała. Jak bardzo czuła, że żyje, jaka jest wolna.

– Wiedziałam, że ci się to spodoba. Ciało znika, bo nic nie ważysz, ale jednocześnie stajesz się go intensywnie świadoma.

– On jest cudowny. Cudowny. Wyobrażam sobie, jak to jest mieć z nim romans! Ale z ciebie szczęściara!

– To prawda, Sally, tylko sobie wyobraź. Kojarzysz tę szeroką plażę, na której jest Club Med? To kiedyś była czysta pusta plaża. W dżungli biło artezyjskie źródło. Biegały jelenie, niemal oswojone. Spędzaliśmy tam całe dnie, nie widując żywego ducha. I wyspa. To była po prostu wyspa, dzika dżungla. Żadnych sklepów nurkowych ani restauracji. Żadnej innej łodzi, tylko nasza. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Nie. Nie potrafiła.

– To niezwykle – powiedziała pani Wachter, kiedy siostry wysiadły z taksówki. – Jakby zamieniły się rolami. Teraz młodsza wygląda pięknie, cała promienieje, a ta druga jest wymęczona i zmizerniała. Spójrzcie na nią... ona, zawsze taka zapięta na ostatni guzik!

Noc była burzowa. Czarne chmury płynęły przez pełny księżyc i plaża robiła się to jasna, to ciemna, jak hotelowy pokój, do którego wpada światło migającego na zewnątrz neonu. Kiedy

blask księżycyca oświetlił twarz Sally, ta rozjaśniła się jak u dziecka.

– Ale czy mama nigdy, przenigdy o mnie nie mówiła?

Właściwie to nie. Chyba że wyśmiewała twoją słodycz, mówiła, że twoja uległość to dowód głupoty.

– Tak, mówiła, często – skłamała Dolores. – Jednym z jej ulubionych wspomnień było to, jak kochałaś książkę doktora Króliczka. Udawałaś, że ją czytasz, przewracałaś strony, śmiertelnie poważna. I pamiętałaś każde słowo oprócz tego, gdy doktor Króliczek mówi: „Oddalam wniosek!”, mówiłaś: „Opalam nosek!”.

– Pamiętam tę książkę! Wszystkie króliki miały prawdziwe futerko!

– Na początku. Ale się wytarło, bo je ciągle głaskałaś. Lubiła wspominać jeszcze tę twoją czerwoną przyczepę, gdy miałaś jakieś cztery lata. Wsadzałaś do niej Billy’ego Jamesona, wszystkie swoje lalki, suczkę Mabel i dwa koty, potem mówiłaś: „Wszyscy na pokład!”, ale koty i pies uciekały, Billy też, a lalki wypadały. Przez cały ranek pakowałaś ich tam i powtarzałaś: „Wszysey na pokład”.

– W ogóle tego nie pamiętam.

– A ja tak, robiłaś to na ścieżce obok hiacyntów taty i pnącej róży przy bramie. Pamiętasz ten zapach?

– Tak!

– Kiedyś pytała mnie, czy pamiętam, jak w Chile jeździłaś na rowerze do szkoły.

Każdego ranka podnosiłaś głowę, spoglądałaś na okno w holu i machałaś, i wtedy słomkowy kapelusz odlatywał ci z głowy.

Sally się zaśmiała.

– Prawda, pamiętam. Ale to ty stałaś w tym oknie, Dolores. To tobie machałam.

Prawda.

– Cóż, ona żegnała cię raczej z okna przy swoim łóżku.

– Dziwne, że tak dobrze to słyszeć. Nawet jeśli nigdy mnie nie pożegnała. Że w ogóle patrzyła, jak jadę do szkoły. Tak się cieszę, że mi o tym powiedziałaś.

– To dobrze – szepnęła Dolores do siebie.

Niebo było już czarne, a wielkie krople deszczu zimne. Siostry pobiegły w deszczu do pokoju.

Samolot Sally odlatywał następnego ranka; Dolores dzień później. Przy śniadaniu przed

wyjazdem Sally pomachała wszystkim na pożegnanie, podziękowała kelnerom, podziękowała pani Lewis i pani Wacher, że były tak miłe.

– Cieszymy się, że spędziłyście udane wakacje. Jak to dobrze mieć siostrę! – powiedziała pani Lewis.

– Naprawdę dobrze – powtórzyła Sally na lotnisku, całując Dolores na pożegnanie.

– Dopiero zaczynamy się poznawać – odparła Dolores. – Od teraz będziemy dla siebie, już na zawsze.

Bolało ją serce, gdy patrzyła na słodycz, na zaufanie w oczach siostry.

W drodze powrotnej do hotelu kazała taksówkarzowi zatrzymać się przy monopolowym. W pokoju napiła się, spała, a potem zamówiła następną butelkę. Rankiem, w drodze na lot do Kalifornii, kupiła półlitrową butelkę rumu, by uspokoić dygotanie i ból głowy. Gdy taksówka dojechała na lotnisko, nie czuła już, jak to mówią, bólu.

Łubin

– Ma, nie mogę uwierzyć, że to robisz. Nigdy się z nikim nie umawiasz, a teraz zamierzasz spędzić tydzień z obcym facetem. Przecież on może być seryjnym mordercą.

Syn Marii Nick podwoził ją na lotnisko w Oakland. Boże, dlaczego nie zamówiła taksówki? Gdy chodziło o życie matki, synowie, teraz dorośli, bywali gorsi niż rodzice, bardziej krytyczni i tradycyjni.

– Nie poznałam go, ale nie do końca jest obcy. Spodobała mu się moja poezja, poprosił, żebym przełożyła jego książkę na hiszpański. Od lat korespondujemy i rozmawiamy przez telefon. Mamy wiele wspólnego. On również samotnie wychował swoich czterech synów. Ja lubię ogród, on ma farmę. Miło, że mnie zaprosił... wydaje mi się, że nie za często spotyka się z ludźmi.

Maria zapytała o Dixona starą znajomą z Austin. Geniusz. Absolutny ekscentryk, powiedziała Ingeborg. Z nikim się nie widuje. Zamiast teczki nosi jutowy worek. Jego studenci albo go uwielbiają, albo nienawidzą. Ma pod pięćdziesiątkę, dosyć atrakcyjny. Musisz mi potem wszystko opowiedzieć...

– To najdziwniejsza książka, jaką w życiu czytałem – powiedział Nick. – Choć nie mogłem jej doczytać. Przyznaj się... ty potrafiłaś? Podobała ci się?

– Język jest wspaniały. Czysty i prosty. Dobrze się tłumaczył. To filozofia i językoznawstwo, po prostu bardzo abstrakcyjne.

– Trudno mi pojąć, że to robisz... masz romans... w Teksasie.

– A więc *to* cię dręczy. Myśl, że twoja matka może uprawiać seks, albo że w ogóle ktoś po pięćdziesiątce może to robić. Zresztą on wcale nie powiedział: „Mam ochotę na romans”. Powiedział: „Może przyjedziesz na tydzień na moją farmę? Łubin właśnie zaczął kwitnąć. Pokażę ci notatki do mojej nowej książki. Możemy pójść na ryby, na spacer po lesie”. Opuść, Nick. Pracuję w szpitalu w Oakland. Wiesz, co dla mnie znaczy spacer po lesie? Łubin? Równie dobrze mogłabym się wybierać do nieba.

Podjechali pod terminal United i Nick wyjął torbę z bagażnika. Uścisnął matkę, pocałował ją w policzek.

– Przepraszam, że się czepiam. Dobrej podróży, Ma. Ej, może uda ci się pójść na mecz Rangersów.

Śnieg nad Górami Skalistymi. Maria czytała, słuchała muzyki, próbowała się nie zastanawiać. Oczywiście z tyłu głowy wciąż miała myśl o ewentualnym romansie.

Nie rozbierała się od czasu, kiedy przestała pić, samo wyobrażenie było przerażające. Ale Dixon zwracał się do niej raczej oficjalnie, więc może czuł się podobnie. Małymi krokami. Poćwicz samo bycie z mężczyzną, na miłość boską, naciesz się tą wizytą. Lecisz do Teksasu.

Na parkingu pachniało Teksasem. Caliche i oleander. Wrzucił jej torbę na pakę starego dodge'a ze śladami psich pazurów na drzwiach.

– Znasz *Tennessee Border*? – zapytała Maria.

– Pewnie.

Zaśpiewali: „Odebrałem ją pick-upem, a ona złamała mi serce”.

Dixon był wysoki, szczupły, miał zmarszczki mimiczne. Linie wokół dużych szarych oczu. Zachowywał się całkiem swobodnie, zadawał jedno osobiste pytanie za drugim, mówił z nosowym akcentem jak jej wujek John. Skąd zna Teksas, tę starą piosenkę? Dlaczego się rozwiodła? Jacy są jej synowie? Dlaczego nie pije? Dlaczego była alkoholiczką? Dlaczego tłumaczy książki innym ludzi? Pytania ją zawstydzaly, kłopotaly, ale też uspokajały, jego uwaga była jak masaż.

Zatrzymał się przy targu rybnym. Poczekaj, zaraz wrócę. Potem autostrada i podmuchy gorącego powietrza. Potem na wstążkę tłuczniowej drogi, na której nie spotkali ani jednego samochodu. Tylko powolny czerwony traktor. Młyny. Bydło stojące po kolana w castillei. W niewielkim Brewster Dixon zaparkował na miejskim placu. Strzyżenie. Weszła za nim do jednoosobowego golibrody, siedziała, słuchając, jak on i stary fryzjer rozmawiają o upale, deszczach, rybach, starcie Jessego Jacksona w wyborach prezydenckich, kilku zgonach i jednym ślubie. Dixon tylko się do niej uśmiechnął, kiedy zapytała, czy to bezpiecznie zostawiać jej torbę w furgonetce. Wyjrzała przez okno na centrum Brewster. Było wczesne popołudnie i po ulicach nikt nie chodził. Dwóch starszych panów siedziało na schodach budynku sądu niczym statyści w filmie o Południu, żuli tytoń, spluwali.

Brak hałasu tak bardzo przywoływał wspomnienia dzieciństwa, innej epoki. Żadnych syren, ruchu ulicznego, radia. Giez obijający się o szybę, ciach nożyczek, rytm dwóch męskich głosów, elektryczny wiatrak z brudnymi wstążkami unoszący strony wymiętolonych starych czasopism. Fryzjer ją ignorował, nie z braku wychowania, lecz z szacunku.

Wychodząc, Dixon powiedział „jestem zobowiązany”. Kiedy szli przez plac do sklepu

spożywczego, opowiedziała mu o swojej teksańskiej babce – Mamie. Kiedyś wpadła do niej z wizytą jakaś starsza kobieta. Mamie podała herbatę w imbryku, cukierniczkę i śmietankę, małe kanapki, ciasteczka i ciasto pokrojone w kawałki. „Dziękuję, Mamie, nie musiałaś tak się kłopotać”, powiedziała znajoma. „Ależ musiałam – odparła wówczas Mamie. – Tak trzeba”.

Włożyli zakupy na pakę furgonetki i pojechali do sklepu dla zwierząt, w którym Dixon kupił mieszankę i karmę dla kur, dwie beły siana, tuzin małych kurczaków. Uśmiechnął się do niej, kiedy zauważył, że patrzy, jak rozmawia z dwoma rolnikami o lucernie.

– Co robiłabyś teraz w Oakland? – zapytał, kiedy wsiedli do auta.

Dzisiaj dzień na pediatrii. Dzieci na cracku, rany postrzałowe, dzieci z AIDS. Przepukliny i guzy, ale przede wszystkim rany tych najbardziej zdesperowanych i wściekłych biedaków.

Wkrótce wyjechali z miasta na wąską polną drogę. Kurczaki ćwierkały w pudełku na podłodze.

– To chciałem, żebyś zobaczyła – powiedział. – Trasę do mojego domu o tej porze roku.

Jechali pustą drogą po łagodnie wznoszących się pagórkach, pachnących i gęstych od kwiatów, różowych, niebieskich, fioletowych, czerwonych. Wybuchy żółci i lawendy. Gorące, aromatyczne powietrze owiewało samochód. Zebrały się wielkie burzowe chmury i światło zrobiło się żółte, nadając kilometrom kwiatów opalizującą jasność. Skowronki, wojaki i epoletniki krasnoskrzydłe przekrzykiwały dźwięk silnika. Maria wychyliła się przez okno, wilgotną głowę opierając na rękach. Był dopiero kwiecień, ale ciężki teksański upał ją zalewał, zapach kwiatów usypiał jak narkotyk.

Stary dom na farmie, dach kryty blachą, bujany fotel na ganku, jakiś tuzin kociaków w różnym wieku. Odstawili zakupy do kuchni, w której przed zlewem i piecem leżały piękne perskie dywaniki, ten drugi nadpalony przez iskry. Dwa skórzane fotele. Regały wzdłuż ścian, książki w dwóch rzędach. Ogromny dębowy stół zarzucony książkami. Stosy książek na podłodze. Stare okna z nierównymi szybami wychodzące na soczyście zielone pastwisko, na którym koźleta ssały mleko matek. Dixon włożył jedzenie do lodówki, przełożył kurczaki do większego pudełka stojącego na podłodze, z żarówką, choć było ciepło. Powiedział, że właśnie zdechł mu pies. I wtedy po raz pierwszy zdawał się skrępowany. Dodał, że musi podlać, więc poszła za nim, mijając kurniki i szopy, na zagony obsadzone kukurydzą, pomidorami, fasolą, kabaczkami i innymi warzywami. Siedziała na płocie, kiedy odkręcał zawory, by wpuścić wodę w bruzdy. Kasztanowa klacz i źrebię galopowały za nimi po polu łubinu.

Było już późne popołudnie, kiedy karmili zwierzęta przy stodole, gdzie w ciemnym kącie kapały worki pełne sera, a koty skakały po belkach pod sufitem, ignorując ptaki wlatujące i wylatujące przez górne okna. Stary biały muł Homer wytoczył się ciężko, słysząc brzęk wiadra. Połóż się ze mną, powiedział Dixon. Ale nas zadcpczą. Nie, po prostu się połóż. Krąg kóz zasłonił słońce, ich otoczone długimi rzęsami oczy patrzyły w dół na Marię. Trącenie aksamitnych warg Homera na policzkach. Klacz i źrebak prychnęły gorącym oddechem, obwąchiwały ją.

Pozostałe pomieszczenia w domu bardzo się różniły od zagraconej kuchni. W jednym drewniana podłoga, pusto, stał tu tylko fortepian Steinwaya. Gabinet Dixona, pusty, z wyjątkiem czterech dużych drewnianych stołów, każdy nakryty białym kartonem półtora na dwa i pół metra. Na każdym napisany akapit albo zdanie. Widziała, że tasował je, tak jak ludzie przesuwają pliki w komputerze. Nie patrz na nie teraz, powiedział.

Salon i sypialnię połączono w jedno obszerne pomieszczenie z wysokimi oknami po obu stronach. Duże intensywne obrazy na dwóch pozostałych ścianach. Maria ze zdziwieniem przyjęła, że namalował je Dixon. Był taki milczący. A obrazy odważne, pełne przepychu. Namalował też na swojej sztruksowej kanapie siedzące na niej postacie. Mosiężne łóżko nakryte starą patchworkową narzutą, przepiękne komody, biurka i stoły, amerykańskie antyki, dawniej należące do jego ojca. Podłogę w tym pomieszczeniu pomalowano na lśniącą biel i zakryto bezcennymi perskimi dywanami. Pamiętaj, żeby zdjąć buty, powiedział.

Jej pokój to była słoneczna weranda z tyłu domu, z trzech stron osłonięta plastikowymi ściankami, przez które różowe i zielone kwiaty, świeża zieleń drzew, mignięcie lecącego kardynała traciły ostrość. Jak w piwnicy Musée de l'Orangerie, gdzie siedzisz otoczony liliami wodnymi Moneta. W pomieszczeniu obok Dixon nalewał wody do wanny. Pewnie chcesz się na trochę położyć. Mam jeszcze robotę.

Czysta i zmęczona położyła się, otoczona miękkimi kolorami, które straciły kontury, kiedy się rozpadało i wiatr kręcił liśćmi na drzewach. Deszcz na blaszanym dachu. Kiedy zasypiała, przyszedł Dixon i położył się obok niej, leżał tam, dopóki się nie obudziła, wtedy kochali się, tak po prostu.

Rozpalił ogień w żeliwnym piecyku i siedziała przy nim, kiedy przygotowywał gumbo z krabami. Gotował na płycie piecyka, ale miał zmywarkę. Zjedli na ganku przy świetle latarni, aż deszcz zelżał i kiedy chmury się rozstały, wyłączyli światło, żeby popatrzeć na gwiazdy.

Każdego dnia o tej samej porze karmili zwierzęta, ale pozostała część dnia i nocy odwróciły się do góry nogami. Całe dni spędzali w łóżku, śniadanie jedli po zmierzchu, spacerowali po lesie w świetle księżyca. O trzeciej nad ranem oglądali *Mr. Lucky'ego* z Carym Grantem. Rozleniwieni gorącym kołysali się w łódce na stawie, łowiąc ryby, czytając Johna Donne'a, Williama Blake'a. Leżeli w wilgotnej trawie, obserwując kurczaki, rozmawiając o swoim dzieciństwie, o swoich dzieciach. Oglądali, jak Nolan Ryan załatwia Oakland Athletics, spali w śpiworach nad jeziorem kilka godzin drogi przez las. Kochali się w wannie na giętych nóżkach, w łódce, w lesie, ale głównie w lśniącej zieleni werandy w czasie deszczu.

Czym jest miłość? – pytała siebie Maria, obserwując wygładzone zmarszczki na jego twarzy, gdy spał. Co może nas powstrzymać od robienia tego, od kochania?

Oboje przyznali, że rzadko rozmawiają z innymi, śmiali się z siebie, jak wiele mają teraz do powiedzenia, jak sobie przerywają, tak, ale. Było trudno, kiedy mówił o swojej nowej książce albo nawiązywał do Heideggera czy Wittgensteina, Derridy, Chomsky'ego i innych, których nazwisk nawet nie znała.

– Przepraszam. Jestem poetką. Pracuję z konkretem. Gubię się w abstrakcie. Po prostu nie mam wiedzy, by o tym z tobą rozmawiać.

Dixon był wściekły.

– To jak, do diabła, przełożyłaś moją książkę? Wiem, że zrobiłaś to dobrze, z recenzji, jakie się pojawiły. Przeczytałaś w ogóle to cholerstwo?

– Dobrze to zrobiłam. Nie przeinaczyłam żadnego słowa. Ktoś mógłby idealnie przełożyć moje wiersze, ale wciąż uważać, że są osobiste i banalne. Ja nie... uchwyciłam... filozoficznych implikacji w tej książce.

– W takim razie ta wizyta to kpina. Moje książki to wszystko, kim jestem. Nie ma najmniejszego sensu, byśmy o czymkolwiek rozmawiali.

Maria poczuła się zraniona i zła i pozwoliła mu wyjść na dwór. Ale poszła za nim, usiadła obok na schodach ganku.

– To ma sens. A ja uczę się tego, kim jesteś.

Dixon przytulił ją wtedy i delikatnie pocałował.

W czasie studiów mieszkał w leśnej chacie kilka kilometrów dalej. W obecnym jego domu żył wtedy pewien stary człowiek, dla którego Dixon załatwiał sprawunki, przywoził z miasta jedzenie, zapasy. Staruszek umarł i zostawił dom oraz dziesięć akrów Dixonowi, a resztę

ziemi przekazał władzom stanowym na rezerwat ptaków. Następnego ranka poszli do tamtej starej chaty. Musiałem nawet przynosić tu wodę, mówił. To był najlepszy czas w jego życiu.

Drewniana chata znajdowała się w topolowym zagajniku. Nie prowadziła tam żadna ścieżka, nie było żadnych punktów orientacyjnych w jadłoszynie i dębach niedźwiedzich. Kiedy podeszli bliżej, Dixon krzyknął, jakby z bólu.

Ktoś – zapewne dzieciaki – wybił wszystkie okna w chacie, rozwalił wewnątrz siekierami, wymalował sprejem świństwa na nagich sosnowych ścianach. Trudno było sobie wyobrazić, że komuś chciało się specjalnie zapuszczać tak daleko w dzicz, żeby to zrobić. Wygląda jak w Oakland, powiedziała Maria. Dixon spojrział na nią, obrócił się i ruszył z powrotem przez las. Nie spuszczała go z oczu, ale nie mogła nadażyć. Było niepokojąco cicho. Co jakiś czas w cieniu drzewa pojawiał się ogromny byk rasy brahman. Po prostu tam stał, milczący, nieruchomy, zastygły.

W drodze powrotnej Dixon się nie odzywał. Zielone pasikoniki wbijały się w przednią szybę.

– Przykro mi z powodu tego, co stało się z twoim domem – powiedziała, a kiedy nie odpowiedział, dodała: – Ja także to robię, kiedy mnie boli. Wczołguję się pod dom jak chory kot.

Wciąż milczał. Gdy podjechali pod farmę, wyciągnął rękę i otworzył drzwi od jej strony. Silnik wciąż chodził.

– Jadę odebrać pocztę. Wrócę za jakiś czas. Może poczytasz teraz moją książkę.

Wiedziała, że mówiąc „książka”, ma na myśli setki kartek na stołach. Dlaczego prosił, żeby zrobiła to akurat teraz? Może dlatego, że nie potrafi mówić. Czasami też tak miała. Kiedy chciała powiedzieć komuś coś, co zdawało się zbyt trudne, pokazywała mu wiersz. Zwykle nie rozumieli, o co jej chodziło.

Weszła do domu z dziwnym uczuciem. Dobrze byłoby mieszkać w miejscu, w którym nie zamykało się drzwi. Weszła do salonu Dixona, by włączyć muzykę, ale zaraz się cofnęła, bo zmieniła zdanie i przeszła do gabinetu z kartkami. Usiadła na stołku, który przesuwała od stołu do stołu, czytała i ponownie czytała zdania wypisane na kartkach.

– Nie masz pojęcia, co znaczą, prawda?

Wszedł po cichu, stanął za nią, kiedy pochylała się nad stołem. Nie dotknęła żadnej z kart.

Zaczął przesuwać je wokół stołu, nerwowo, jak ktoś grający w tę grę, w której trzeba odpowiednio poukładać cyfry. Maria wyszła na ganek.

- Prosiłem, żebyś nie chodziła po tej podłodze w butach.
- Jakiej podłodze? O czym ty mówisz?
- Po białej podłodze.
- Nawet nie zbliżyłam się do tamtego pokoju. Oszalałeś.
- Nie kłam. To twoje ślady.
- A, przepraszam. Chciałam tam wejść. Ale zrobiłam może ze dwa kroki.
- Dokładnie dwa.
- Dzięki Bogu, że rano wracam do domu. Teraz idę się przejść.

Maria zeszła ścieżką w stronę stawu, wsiadła do zielonej łódki i odepchnęła się od brzegu. Zaśmiała się z siebie, kiedy ważki skojarzyły się jej z policyjnymi helikopterami w Oakland.

Dixon przeszedł tą samą ścieżką, wszedł do wody i wcisnął się do łódki. Pocałował ją, przycisnął do niepewnego dna łodzi, kiedy w nią wchodził. Zderzyli się z dzikością, aż łódka podskakiwała i kręciła się, póki w końcu nie zatrzymała się w trzcinach. Leżeli tam, kołysząc się w gorącym słońcu. Zastanawiała się, czy ta namiętność wzięła się ze zwykłego gniewu, czy z poczucia utraty. Przez większość nocy kochali się w milczeniu, na werandzie, przy dźwiękach deszczu. Zanim się rozpadało, słyszeli jeszcze wrzask kojota, pisk kur siedzących na gałęziach.

Bez słowa jechali na lotnisko, mijając kilometry łubinu i pierwiosnków. Po prostu mnie wysadź, powiedziała, szkoda czasu.

Maria wzięła taksówkę z lotniska do swojego mieszkania w wieżowcu w Oakland. Dzień dobry ochroniarzowi, sprawdź pocztę. Winda była pusta, tak jak korytarze w ciągu dnia. Odstawiła walizkę i włączyła klimatyzację. Zdjęła buty, jak wszyscy, którzy wchodzili na jej dywan. Poszła do sypialni i położyła się we własnym łóżku.

La Vie en Rose

Dwie dziewczyny leżą na brzuchach na ręcznikach z napisem GRAN HOTEL PUCÓN. Piasek jest czarny i drobny; woda w jeziorze zielona. Kolor głębszej, słodkiej zieleni mają sosny otaczające jezioro. Wulkan Villarica góruje bielą nad jeziorem i drzewami, hotelem, miasteczkiem Pucón. Piana dymu unosi się ze stożka wulkanu i znika w czystym błękitnie nieba. Błękitne plażowe chatki. Czapka z rudych włosów Gerdy, żółta piłka plażowa, czerwone szarfy *huasos* cwałujących między drzewami.

Raz na jakiś czas opalona noga Gerdy lub Claire leniwie macha w powietrzu, strząsając piasek, muchę. Czasami ich młode ciała drżą od naturalnego chichotu dorastających dziewcząt.

– No i ta mina na twarzy Conchi! Zdołała tylko wydusić *Ojala*. Co za tupet!

Śmiech Gerdy to krótkie germańskie szczeknięcie. Claire jest perlisty, wysoki.

– Nie chce przyznać, jaka była głupia.

Claire podnosi się, by posmarować twarz olejkiem. Jej błękitne oczy obserwują plażę.

Nada. Dwóch przystojniaków się nie pojawiło.

– Tam jest... nasza Anna Karenina.

Na czerwono-białym leżaku pod sosnami.

Melancholijna Rosjanka w panamie, z białą jedwabną parasolką.

Gerda jęczy.

– Och, ależ jest cudowna. Ten nos. Szara flanela latem. I wygląda tak nieszczęśliwie. Na pewno ma kochanka.

– Ostrzygę sobie włosy jak ona.

– Będziesz wyglądała jak obcięta pod garnek. Ona ma styl.

– Tutaj tylko ona go ma. Wszyscy ci wieśniacy Argentyńscy i Amerykanie.

Chilijczyków nie ma w ogóle, nawet wśród personelu. Całe miasteczko mówi po niemiecku.

– Kiedy się budzę, to zawsze mi się zdaje, że jestem małą dziewczynką w Niemczech albo Szwajcarii. Słyszę służące szepczące na korytarzu, śpiewające w kuchni.

– Nikt się nie uśmiecha oprócz tych Amerykanek, nawet dzieci są strasznie poważne ze swoimi wiaderkami.

– Jedynie Amerykanie ciągle się uśmiechają. Mówisz po hiszpańsku, ale twój dumny uśmiezek cię zdradza. Twój ojciec też ciągle się śmieje. Rynek miedziowy właśnie zapikował,

ha, ha.

– Twój ojciec też często się śmieje.

– Tylko z czegoś głupiego. Spójrz na niego. Od rana przepłynął do tego pomostu już chyba ze sto razy.

Gerda i Claire zawsze wychodzą z jednym z ojców. Do kina i na wyścigi konne z panem Thompsonem, na koncerty i na golfa z Herr von Dessauem. Za to ich chilijskie koleżanki spędzają czas wyłącznie z matkami i ciotkami, babkami i siostrami.

Matka Gerdy zginęła w Niemczech podczas wojny; jej macocha jest lekarzem, rzadko bywa w domu. Matka Claire pije, większość czasu spędza w łóżku albo w sanatoriach. Po szkole dziewczynki idą do domu na herbatę, poczytać lub się pouczyć. Ich przyjaźń zaczęła się od książek w pustych domach.

Herr von Dessaur się wyciera. Jest mokry, zdyszany. Ma chłodne szare oczy. Jako dziecko Claire miała wyrzuty sumienia, oglądając wojenne filmy. Podobali jej się naziści... ich płaszcze, samochody, chłodne szare oczy.

– *Ja*. Już dosyć. Idźcie popływać. Pokażcie, jak pływacie kraulem i nurkujecie.

– Jest miły, co nie? – powiedziała Claire, gdy szły w stronę wody.

– Jest miły, kiedy jej nie ma.

Dziewczynki pewnymi ruchami wypływają daleko na zimne jezioro, dopóki nie usłyszą *Gerdalein!* i nie zobaczą, jak jej ojciec macha. Płyną do pomostu, leżą na ciepłym drewnie. Biały wulkan iskrzy i dymi wysoko nad nimi. Śmiech z jakiejś łodzi daleko na jeziorze, tętent kopyt na bitej drodze przy brzegu. Żadnych innych dźwięków. Mlask, mlask wody uderzającej o tratwę.

W przestronnej jadalni z wysokim sufitem wiatr od jeziora wydyma białe zasłony. Wachlarze z liści palmowych stojące w urnach. Jeden kelner we fraku nalewa *consommé*, drugi rozbija jajko, wrzuca po jednym do każdej cynowej miseczki. We dwóch filetuja pstrąga, podpalają desery.

Przygarbiony siwy dżentelmen siada naprzeciwko pięknej Anny Kareniny.

– Myślisz, że to jej mąż?

– Mam nadzieję, że nie hrabia Wroński.

– Dziewczynki, skąd wam przyszło do głowy, że to Rosjanie? Słyszałem, jak rozmawiali po niemiecku.

– Naprawdę, papi? A co mówili?

– Ona powiedziała: „Nie powinnam jeść na śniadanie suszonych śliwek”.

Dziewczynki wynajmują łódkę, płyną na wyspę. Jezioro jest ogromne. Zmieniają się, ze śmiechem, najpierw wiosłując w kółko, ale w końcu łapią rytm. Plusk i zanurzenie wiosła. Cumują łódkę w zatoczce, skaczą ze skały do zielonej wody smakującej rybami i mchem. Pływają długo, potem leżą na słońcu z rozłożonymi rękami i nogami, chowając twarze w koniczynie. Rozpoczyna się długi powolny wstrząs, który przewala się i porusza ziemią pod młodymi ciałami. Przywierają do kęp lawendy, a podłoże drży pod nimi, usuwa się spod stóp. Mają wzrok na poziomie zielonego falowania ziemi. Czy robi się ciemno od dymu z wulkanu? Smród siarki jest intensywny, przerażający. Drżenie ustaje. Przez ułamek sekundy nie rozlega się żaden dźwięk, a potem ptaki wybuchają kakofonią histerycznego świergotu. Wokół całego jeziora muczą krowy i rżą konie. Psy szczekają, szczekają. Nad głowami ptaki furkoczą i gwizdzą na gałęziach drzew. Wysokie fale uderzają o skały. Dziewczynki milczą. Żadna nie wie, jak wyrazić to, co czuje, coś innego niż strach. Gerda zaczyna się śmiać, tym swoim szczekającym śmiechem.

– Płynęliśmy bardzo długo, papi. Spójrz na nasze dłonie, mamy pęcherze od wiosłowania! Czułeś ten wstrząs?

Grał w golfa, kiedy rozpoczęło się trzęsienie, był na polu. Koszmar golfisty... patrzeć, jak piłeczka oddala się od dołka w twoją stronę!

Tamci młodzi mężczyźni są w lobby, rozmawiają z recepcjonistą. Ależ przystojni. Silni i opaleni, białe zęby. Krzykliwie ubrani, dwadzieścia kilka lat. Ten ciemny, od Claire, ma dołek w brodzie. Kiedy spuszcza wzrok, rzęsy muskają wysokie opalone kości policzkowe. Zamilcz, serce! – śmieje się Claire. Herr von Dessaur uważa, że mężczyźni są zdecydowanie za starzy i wulgarni, najgorszego sortu. Pewnie farmerzy. Eskortuje dziewczyny, przechodząc obok, i nakazuje do kolacji czytać w pokoju.

W restauracji panuje atmosfera święta. Przestraszeni wstrząsem goście witają się z innymi, rozmawiają z kelnerami, ze sobą. Są też muzycy, bardzo starzy. Skrzypce grają tanga, walce. *Frenesi. La Mer.*

Młodzi mężczyźni stoją w drzwiach otoczeni palmami w donicach i kinkietami z burgundowego aksamitu.

– Papi, to nie są farmerzy. Spójrz!

Wyglądają wspaniale w pudrowobłękitnych mundurach chilijskich kadetów lotnictwa.

Jasnoniebieskich ze złotymi lamówkami. Wysokie kołnierze, epolety, złote guziki. Wojskowe buty z ostrogami, długie do podłogi wełniane peleryny, szable. Czapki i rękawiczki trzymają w zagłębieniu ramion.

– Żołnierze! Jeszcze gorzej! – śmieje się Herr von Dessaur. Odwraca twarz, ocierając łzy rozbawienia. – Peleryny w letni wieczór. Ostrogi i szpady w samolocie? Na miłość boską, tylko spójrzcie na tych biednych głupców!

Claire i Gerda patrzą z podziwem. Kadeci smutno odwzajemniają spojrzenia i lekko się uśmiechają. Siadają przy małym stoliku niedaleko orkiestry i piją brandy z dużych szklanek. Ten jasnowłosy ma rogową cygaretkę, którą ściska między zębami.

– Papi, przyznaj. Ma oczy tak samo błękitne jak jego peleryna.

– Tak. Błękit Chilijskich Sił Powietrznych. A Chilijskie Siły Powietrzne nie mają żadnego samolotu!

Jednak zrobiło im się za gorąco. Przenoszą się do stolika przy drzwiach na taras, wieszają peleryny na oparciach krzeseł.

Dziewczynki błagają, by pozwolono im zostać dłużej, posłuchać muzyki, popatrzeć na tango. Pot zwijają włosy w brwiach tancerzy, których oczy są nieruchome, zahipnotyzowane. Jak lunatycy tancerze kręcą się i dygają do dźwięku smyczków.

Mężczyźni, Roberto i Andrés, stukają obcasami. Przedstawiają się ojcu Gerdy, proszą o pozwolenie, by zatańczyć z młodymi paniami. Herr von Dessaur chce odmówić, ale kadeci są tak zabawni, że zgadza się na jeden taniec, a potem dziewczynki mają iść spać.

Orkiestra bardzo długo gra *La Vie en Rose*, a młodzi tańczą i tańczą dokoła lśniącego parkietu. Błękitne mundury, białe szyfonowe sukienki odbijające się w ciemnych lustrach. Ludzie się uśmiechają, patrząc na pięknych tancerzy. Zasłony wydymają się niczym żagle. Andrés poufale rozmawia z Claire. Roberto sugeruje, by dziewczęta wróciły na dół, kiedy Herr von Dessaur zaśnie. Taniec dobiega końca.

Mijają dni. Mężczyźni pracują w hacjendzie Roberta, przychodzą do hotelu tylko wieczorami. Gerda i Claire pływają, wspinają się na wulkan. Gorące słońce, chłodny śnieg. Grają w golfa i krokieta z Herr von Dessauem. Wiosłują na swoją wyspę. Jeżdżą konno z Herr von Dessauem. Ramiona ściągnięte, mówi. Głowa do góry, mówi do Claire. Długo trzyma jej brodę wysoko. Claire przełyka ślinę. Dziewczynki grają na tarasie w kanastę z kilkoma paniami. Jakaś Argentynka wróży z kart. W ustach ma papierosa; mruży oczy przez dym. Gerdzie przepowiada

nową drogę i dziwnego, tajemniczego mężczyznę. Claire również nową drogę i dwa serca. Pocałunek od bogów.

Co wieczór tańczą z Robertem i Andrésem do *La Vie en Rose* i w końcu pewnego wieczoru wracają na dół, kiedy Herr von Dessaur zasypia. W jadalni została tylko para spędzająca tu miesiąc miodowy i jacyś Amerykanie. Roberto i Andrés stoją, skłaniają się. Starsi panowie z orkiestry wyglądają na zaszokowanych, ale grają *Adiós Muchachos*, smutne, pulsujące tango. Rozmarzone pary tanecznym krokiem wychodzą na taras, w dół schodkami na mokrą plażę. Wojskowe buty miażdżą piasek jak świeży śnieg. Wszyscy wsiadają do łódki. Siedzą pod gwiazdzistym nocnym niebem, trzymając się za ręce, słuchając smyczków. Światła z hotelu i biały wulkan srebrem odbijają się na wodzie. Bryza. Jest chłodno. Nie, jest zimno. Łódź odpłynęła. Nie ma wiosła. Łódź porusza się szybko, płynie na wietrze, z wiatrem, prosto na ciemne jezioro. O nie! – woła Gerda. Dziewczęta są całowane, póki jest okazja. Włożył mi do ust cały język, mówi potem Gerda. Claire ma guza na czole. Pocałunek trafia w kącik jej ust, muska nos, a potem dziewczęta nurkują niczym kulki rtęci w czarną wodę jeziora.

Nie mają butów. Jest im zimno, mokro, drżą przed wejściem do hotelu, już zamkniętego żelazną bramą. Poczekajmy, mówi Claire. Aż do rana? Chyba oszalałaś! Gerda potrząsa metalową furtą, aż w końcu światła w hotelu się zapalają. *Gerdalein!* – woła ojciec z balkonu i nagle stoi już przed nimi, za bramą. Majordomus jest w szlafroku, ma klucze.

W pokoju dziewczęta otulają się kocami. Herr von Dessaur jest blady. Dotykał cię? Gerda potrząsa głową. Nie. Tańczyliśmy, a potem siedzieliśmy w łodzi, ale łódź odpłynęła, więc... Całował cię? Nie odpowiada. Pytam o coś. Całował cię? Gerda kiwa głową; ojciec uderza ją w twarz. Dziwka, mówi.

Pokojówka przychodzi przed świtem. Pakuje ich walizki. Wyjeżdżają, zanim ktokolwiek się obudzi, długo czekają na stacji kolejowej w Temuco. Herr von Dessaur siedzi naprzeciwko Claire i Gerdy. Dziewczęta czytają w milczeniu, trzymając książkę między sobą. *Sonata de Otoño*. Kobieta umiera w jego ramionach w zapomnianym skrzydle zamku. On musi zanieść jej ciało do łóżka przez niekończące się korytarze. Jej długie czarne włosy zahaczają o kamienie. Nie ma świecy.

– Przez resztę lata z nikim się nie spotkasz, zwłaszcza z Claire.

W końcu Herr von Dessaur idzie na papierosa i przez krótką cudowną chwilę przyjaciółki mogą się pośmiać. Radosny potok śmiechu. Kiedy wraca, znowu czytają w milczeniu.

Makadam

Świeży wygląda jak kawior, dźwięczy jak tłuczone szkło, jakby ktoś przeżuwał lód.

Żułam lód, kiedy kończyła się lemoniada, huśtając się z babką na ganku. Patrzyliśmy na więźniów utwardzających Upson Street. Brygadzysta wylewał makadam; skazańcy ubijali go w ciężkim równym rytmie. Dzwoniły łańcuchy; makadam wydawał dźwięk oklasków.

Wszystkie trzy często powtarzałyśmy to słowo. Moja matka – bo nienawidziła tego, gdzie mieszkaliśmy, w nędzy, a teraz przynajmniej miałyśmy utwardzoną makadamem drogę. Babka – bo chciała, żeby było czysto, żeby kurz przestał się unosić. Czerwony teksański kurz, który szarymi smugami płynął z pieców hutniczych, układał wydmami na wypolerowanej podłodze w holu, na jej mahoniowym stole.

Ja mówiłam do siebie głośno „makadam”, bo to słowo brzmiało jak dobre imię dla przyjaciela.

Droga Conchi

Droga Conchi,

Uniwersytet Nowego Meksyku jest zupełnie inny, niż go sobie wyobrażałyśmy. Gimnazjum w Chile było trudniejsze niż college tutaj. Mieszkam w akademiku, setki dziewczyn, wszystkie towarzyskie i pewne siebie. Wciąż czuję się dziwnie, nieswojo.

Samo miejsce jest cudowne. W kampusie znajduje się wiele starych ceglanych budynków. Pustynia jest piękna, mają też góry. Oczywiście nie takie jak Andy, ale wielkie na swój sposób. Poszarpane i skaliste. Głupia... przecież tak się nazywają, Góry Skaliste. Czyste, przejrzyste powietrze, zimne noce z milionami gwiazd.

Wszystkie moje ubrania są nie takie. Jedna z dziewczyn powiedziała mi, że tutaj nikt się tak nie „stroji”. Chyba muszę kupić białe skarpetki i wielkie falbaniaste spódnice, niebieskie dzinsy. Kobiety tutaj wyglądają naprawdę okropnie. Chociaż mężczyznom pasują zwyczajne ubrania i kowbojki.

Do jedzenia nigdy się nie przyzwyczaję. Na śniadanie płatki i kawa słaba jak herbata. A kiedy po południu ja jestem gotowa na herbatę, podają tu kolację. Kiedy jestem gotowa na kolację, gaszą światła w akademiku.

Dopiero w następnym semestrze będę się mogła zapisać na zajęcia Ramona Sendera. Ale widziałam go na korytarzu! Powiedziałam, że *Cronica del Alba* to moja ulubiona książka. Odparł: „Cóż, jest pani jeszcze bardzo młoda”. Okazał się taki, jak sobie wyobrażałam, tyle że naprawdę stary. Bardzo hiszpański i arogancki, dostoyny...

Droga Conchi,

dostałam pracę, wyobrażasz sobie? Dorywczą, ale zawsze. To korekta studenckiej gazety „The Lobo”, która ukazuje się raz w tygodniu. Przez trzy wieczory pracuję w budynku dziennikarstwa, zaraz obok akademika. Mam nawet klucz do akademika, bo zamykają go o dziesiątej, a ja pracuję do jedenastej. Drukarz to stary Teksasczyk, Jonesy, który obsługuje maszynę linotypową. Cudowną maszynę złożoną z tysiąca części i przekładni. Wrzący ołów, który robi litery. Jonesy układa słowa, a one szczękają i śpiewają i klekoczą, potem wychodzą linijkami gorącego ołowiu. W ten sposób każda linijka staje się ważna.

Uczy mnie różnych rzeczy, o pisaniu nagłówków, które artykuły są dobre i dlaczego. Często sobie ze mnie żartuje i robi dowcipy, żeby nie straciła czujności. Na przykład w środku

historii o meczu baseballowym wtrąca „Gdzieś nad rzeką Swanee”.

Czasami przychodzi Joe Sanchez i przynosi Jonesyemu rękopis i piwo. Pisze teksty o sporcie i felietony. Jest studentem, ale dużo starszym od chłopców w mojej grupie, ponieważ to weteran, przyjęli go na podstawie ustawy GI. Opowiada nam o Japonii, był tam lekarzem. Wygląda jak Indianin, ma lśniące czarne włosy, długie, w kaczy kuper.

Przepraszam, zaczęłam używać wyrażień, których nigdy nie słyszałaś. Większość chłopaków tutaj strzyże się na jeża, czyli właściwie na tyso. Niektórzy mają dłuższe włosy i zaczesują je w coś, co wygląda jak kaczy kuper.

Bardzo tęsknię za tobą i Queną. Nie mam tu jeszcze przyjaciółki. Wydaję się inna, bo przyjechałam z Chile. Ludzie chyba myślą, że zadzieram nosa, bo jestem skryta. Nie rozumiem ich humoru, krępuje mnie, dużo żartują i robią aluzje do seksu. Obcy ludzie opowiedzą ci historię swojego życia, ale nie są wylewni i uczuciowi jak Chilijczycy, więc wcale nie czuję się, jakbym ich znała.

Przez wszystkie te lata w Ameryce Południowej chciałam wrócić do mojego kraju, Stanów Zjednoczonych, bo tu mają demokrację, a nie tylko dwie klasy jak w Chile. Ale tutaj zdecydowanie są klasy. Dziewczyny, które na początku były dla mnie miłe, teraz mnie ignorują, bo nie przeszłam rekrutacji, mieszkam w akademiku, a nie w bractwie. A w dodatku niektóre bractwa siostrzane są „lepsze” od innych. Bogatsze.

Wspomniałam mojej współlokatorce Elli, że Joe, ten reporter, jest miły i zabawny, a ona odparła: „No tak, ale to Meksykanin”. Nie jest z Meksyku, tak tu nazywają wszystkich hiszpańskojęzycznych. Na uniwersytecie wcale nie ma wielu Meksykanów, gdy wziąć pod uwagę całą ich populację, i jest ledwie z dziesięciu czarnych.

Zajęcia z dziennikarstwa idą dobrze, świetni nauczyciele, nawet wyglądają jak reporterzy ze starych filmów. Zaczynam jednak mieć dziwne wrażenie. Wybrałam dziennikarstwo, bo chciałam być pisarką, ale całym sensem dziennikarstwa jest wycinać najlepsze kawałki...

Droga Conchi,

...kilka razy umówiłam się z Joem Sanchezem. Ma darmowe bilety na różne wydarzenia, żeby potem o nich pisać. Lubię go, bo nigdy nie mówi czegoś tylko dlatego, że tak wypada powiedzieć. Bardzo modne jest lubienie Dave’a Brubecka, takiego jazzowego muzyka, ale w swojej recenzji Joe nazwał go mięczakiem. Ludzie naprawdę się wkurzyli. Albo Billy Graham. Trudno mi wyjaśnić Tobie, katoliczko, kim jest ewangelista. Mówi, krzyczy o Bogu i grzechu,

namawia ludzi, żeby powierzyli swoje życie Jezusowi. Wszyscy znajomi uważają, że to wariat, wyłudza pieniądze i jest beznadziejnie tandetny. Joe napisał artykuł o zdolnościach i sile tego człowieka. Zrobił się z tego tekst o wierze.

Nie chodzimy potem na studenckie imprezy, ale do małych restauracji w południowej dolinie albo do meksykańskich barów albo kowbojskich. Jakbym była w innym kraju. Jeździmy w góry albo na pustynię, spacerujemy albo się wspinamy całe kilometry. On nie próbuje mnie macać (*atracar*), jak nieustannie robią to tutaj inni chłopcy. Kiedy się żegna, to tylko dotyka mojego policzka. Raz pocałował moje włosy.

Nie mówi o różnych rzeczach, o wydarzeniach ani książkach. Przypomina mi wujka Johna. Opowiada różne historie o swoich braciach albo o dziadku, albo o japońskich gejszach.

Lubię go, bo rozmawia ze wszystkimi. Naprawdę chce wiedzieć, co słyhać u ludzi.

Droga Conchi,

umówiłam się z naprawdę eleganckim mężczyzną, nazywa się Bob Dash. Poszliśmy na sztukę *Czekając na Godota* i do kina na włoski film, zapomniałam tytułu. On wygląda jak przystojny autor na okładce książki. Fajka, łaty na łokciach. Mieszka w ceglany domu pełnym indiańskiej ceramiki i dywaników i sztuki współczesnej. Pijemy gin z tonikiem i z limonką, słuchamy muzyki takiej jak *Sonata na dwa fortepiany i perkusję* Bartóka. Wiele mówi o książkach, o których nigdy nie słyzałam, i kilka mi pożyczył... Sartre'a, Keerkegarda (pis.?), Becketta i T.S. Eliota i inne. Podobał mi się wiersz pod tytułem *Próżni ludzie*.

Joe powiedział mi, że Dash jest takim próżnym człowiekiem. Nie wiem, dlaczego tak bardzo się zdenerwował, że umówiłam się z Bobem i poszłam z nim na kawę. Joe mówi, że nie jest zazdrosny, tylko nie może znieść myśli, że stanę się intelektualistką. Twierdzi, że w ramach antidotum powinnam słyhać Patsy Cline i Charliego Parkera. Czytać Walta Whitmana i Thomasa Wolfe'a *Spójrz ku domowi, aniele*.

Właściwie to bardziej podoba mi się *Obcy* Camusa niż *Spójrz ku domowi, aniele*. Ale lubię Joego, bo on lubi tę książkę. Nie wstydzi się być ckliwy. Kocha Amerykę i Nowy Meksyk, *barrio*, w którym mieszka, pustynię. Chodzimy na długie spacery po wzgórzach.

Kiedyś złapała nas wielka burza piaskowa. Oderwane od ziemi rośliny tłukły się w powietrzu, a zadymka żółtego kurzu wyla jak wściekła. On w tej burzy tańczył. Ledwo słyzałam, jak woła, że jest taka piękna, pustynia. Widzieliśmy kojota, słydzeliśmy jego wycie.

Przy mnie również jest ckliwy. Pamięta różne rzeczy i słyha, jak mówię i mówię. Kiedyś

plakałam bez powodu, po prostu tęskniłam za tobą i Queną i domem. Nie próbował mnie pocieszać, tylko przytulił i pozwolił się smucić. Kiedy rozmawiamy o miłych rzeczach, to mówimy po hiszpańsku. I kiedy się całujemy. Dużo się całujemy.

Droga Conchi,

napisałam opowiadanie, ma tytuł *Jabłka*. Jest o pewnym starym człowieku, który grabi jabłka. Bob Dash podkreślił mi na czerwono z tuzin przymiotników i powiedział, że to „przyzwoita historyjka”. Joe stwierdził, że jest afektowana i sztuczna. Że powinnam pisać tylko o tym, co czuję, a nie zmyślać coś o starym człowieku, którego nigdy nie znałam. Nie przejmuję się tym, co mówią. Czytam opowiadanie raz po raz.

Oczywiście, że się przejmuję.

Moja współlokatorka Ella mówi, że nie ma ochoty go czytać. Szkoda, że nie dogadujemy się lepiej. Matka co miesiąc przysyła jej z Oklahomy podpaski. Ella studiuje aktorstwo. Rany, jak ma kiedyś zagrać lady Makbet, skoro tak jej przeszkadza odrobina krwi?

Częściej spotykam się z Bobem Dashem. To jak odbywać z nim indywidualne seminarium. Dzisiaj poszliśmy na kawę i rozmawialiśmy o *Mdłościach*. Ale więcej myślę o Joem. Spotykam się z nim między zajęciami i kiedy pracuję. Z nim i Jonesym dużo się śmiejemy, jemy pizzę i pijemy piwo. Joe ma mały pokoik, coś w rodzaju biura, i tam się całujemy. Nie myślę dokładnie o nim, ale o całowaniu go. Myślałam o tym na zajęciach edytorstwa i chyba nawet jęknęłam albo coś powiedziałam na głos, bo profesor spojrzął na mnie i powiedział: „Tak, panno Gray?”.

Droga Conchi,

...czytam Jane Austen. Jej proza jest jak muzyka kameralna, ale prawdziwa i zabawna jednocześnie. Chciałabym przeczytać chyba z tysiąc książek, nie wiem, od której zacząć. W następnym semestrze zmieniam kierunek na literaturę angielską...

Droga Conchi,

w budynku Wydziału Dziennikarstwa pracuje pewna starsza para – są dozorcami. Któregoś wieczoru po pracy zabrali nas na dach na piwo. Na dachu rosną topole i można siedzieć pod drzewami i patrzeć na gwiazdy. Jeśli chcesz, możesz też patrzeć w drugą stronę, na samochody na trasie 66, a z trzeciej strony w okna akademika, w którym mieszkam. Dali nam dodatkowy klucz do schowka na szczotki, w którym znajduje się drabinka na dach. Nikt inny nie wie o tym miejscu. Chodzimy tam między zajęciami i po pracy. Joe przyniósł grill i materac i

świece. To jakby nasza własna wyspa albo domek na drzewie...

Droga Conchi,

jestem szczęśliwa. Kiedy rano się budzę, twarz boli mnie od uśmiechania się.

W dzieciństwie chyba czasami czułam spokój, w lesie albo na łące, a w Chile zawsze dobrze się bawiłam. Czułam radość, jeżdżąc na nartach. Ale nigdy nie czułam takiego szczęścia jak przy Joem. Nigdy nie czułam, że jestem sobą i że za to ktoś mnie kocha.

Na weekend wypisuję się i jadę do niego do domu, jego ojciec bierze za mnie odpowiedzialność. Bo Joe mieszka z ojcem, który jest bardzo starym emerytowanym nauczycielem. Uwielbia gotować, przyrządza okropne tłuste jedzenie. Całymi dniami pije piwo. Kiedy pije, śpiewa piosenki w stylu *Minnie Mermaid* albo *Rain on the Roof*, raz po raz, i gotuje. Opowiada też różne historie o ludziach w Armijo, tamtej okolicy. Z większością chodził do szkoły.

Droga Conchi,

w weekendy najczęściej jeździmy w góry Jemez i cały dzień się wspinamy, a w nocy biwakujemy. Są tam gorące źródła. Tak daleko, że chyba nikt tam nie był przed nami. Jelenie i sowy, owce z wielkimi rogami, modrosójki. Leżymy w wodzie, rozmawiamy albo czytamy na głos. Joe uwielbia czytać Keatsa.

Na zajęciach i w pracy wszystko dobrze, ale zawsze z utęsknieniem czekam, aż się skończą, żebym mogła być z Joem. Píše o sporcie również dla „Tribune”, więc trudno mu znaleźć czas. Chodzimy na zawody lekkoatletyczne i licealne mecze koszykówki, wyścigi samochodowe. Nie lubię futbolu, tęsknię za piłką nożną i rugby.

Droga Conchi,

nie wiem, dlaczego wszyscy tak się martwią mną i Joem. Opiekunka akademika zrobiła mi z tego powodu wykład. Bob Dash był okropny, przez godzinę mnie pouczał, aż w końcu wstałam i wyszłam. Mówił, że Joe jest wulgarny i pospolity, jest hedonistą bez żadnych wartości i intelektualnych celów. Między innymi. Większość osób martwi się, bo jestem taka młoda. Uważają, że zmarnuję swoje wykształcenie albo karierę. Przynajmniej tak twierdzą. Ja sądzę, że są zazdrośni, bo tak bardzo się kochamy. A bez względu na to, co mówią, zawsze wspominają o tym, że jest Meksykaninem. Nikomu nigdy nie przychodzi do głowy, że po przyjeździe z Chile bardziej naturalne jest dla mnie lubienie Latynosa, kogoś, kto czuje. Ja tu wcale nie pasuję. Szkoda, że Joe i ja nie możemy pojechać do domu, do Santiago...

Droga Conchi,

wyobraź sobie, że ktoś zawiadomił moich rodziców, że mam romans z mężczyzną o wiele dla mnie za starym.

Zadzwonili rozhisteryzowani i jadą tu teraz aż z Chile. Dotrą w sylwestra. Moja matka znów zaczęła pić. Ojciec twierdzi, że to przeze mnie.

Kiedy jestem z Joem, to wszystko nie ma znaczenia. Myślę, że został dziennikarzem, bo lubi rozmawiać z ludźmi. Gdziekolwiek pójdziemy, zawsze zaczynamy z kimś rozmawiać. I go lubić.

Wydaje mi się, że zanim go poznałam, nigdy tak naprawdę nie lubiłam świata. Moi rodzice nie lubią świata, ani mnie, boby mi zaufali.

Droga Conchi,

przyjechali w sylwestra, ale byli zmęczeni po podróży, więc rozmawialiśmy tylko chwilę. Nie docierało do nich, że mam najlepsze oceny, że kocham swoją pracę, że tamtego wieczoru wybrano mnie na królową balu dziennikarzy. Jestem dla nich kobietą upadłą, zwykłą zdzirą itd. „I to z meksykańcem”, powiedziała matka.

Bal był cudowny. Zjedliśmy kolację ze znajomymi z wydziału, przed tańcami, dużo się śmialiśmy. Odbyła się ceremonia, podczas której wręczono mi koronę z gazety i orchideę. Z jakiegoś powodu nigdy przedtem nie tańczyłam z Joem. Było cudownie. Tańczyć z nim.

Uzgodniliśmy, że spotkamy się z moimi rodzicami następnego dnia u nich w motelu. Ojciec powiedział, że może obejrzeć z Joem mecz na Rose Bowl, że to przełamie lody.

Jestem taka durna. Widząc, że zdążyli już wypić kilka martini, uznałam, że się szybciej zrelaksują. Joe był wspaniały. Swobodny, serdeczny, otwarty. Oni byli jak z kamienia.

Tata rozluźnił się trochę po rozpoczęciu meczu, i jemu, i Joemu podobała się gra. Mama i ja siedziałyśmy w milczeniu. Joe zwykle pije tylko piwo, więc martini mojego ojca naprawdę go wyluzowało. Po każdym przyłożeniu wrzeszczał „Tak, kurwa!” albo *A la verga!* Kilka razy szturchnął tatę w ramię. Mama krzywiła się i piła i nic nie mówiła.

Po meczu Joe zaprosił rodziców na kolację, ale ojciec powiedział, że lepiej pojedą po jakąś chińszczyznę.

Kiedy pojechali, mama mówiła o tym, że przyniosłam im wstyd, bo jestem niemoralna, i że to obrzydliwe.

Conchi, wiem, że obiecałyśmy sobie opowiadać nawzajem o seksie, o pierwszym razie,

kiedy będziemy się kochać. Ale trudno o tym pisać. Dobre jest to, że seks dzieje się między dwójgim ludzi; bardziej nagim i bliżej siebie już nie można być. Za każdym razem jest inaczej i zaskakująco. Czasami cały czas się śmiejemy. Czasami zaczynasz płakać.

Seks to najważniejsze, co mi się w życiu przydarzyło. Nie rozumiałam, kiedy matka mówiła, że jestem brudna.

Bóg jeden wie, o czym rozmawiali Joe i tata. Kiedy wrócili, obaj byli bladzi. Najwyraźniej ojciec mówił coś o „gwałcie ustawowym”, Joe odparł, że może ożenić się ze mną choćby jutro, a to najgorsze, co rodzice mogli usłyszeć.

Kiedy zjedliśmy, Joe powiedział:

– Cóż, wszyscy jesteśmy zmęczeni. Będę się zbierał. Jedziesz, Lu?

– Nie, ona zostaje tutaj – odezwał się ojciec.

Stałam jak słup soli.

– Jadę z Joem – odparłam w końcu. – Zobaczymy się rano.

Teraz piszę do Ciebie z akademika. Jest dziwnie cicho. Większość dziewczyn pojechała na święta do domu.

Kiedy Joe odwoził mnie do domu, streścił tylko, co powiedział mój ojciec, i nic więcej. Ja także milczałam. Kiedy całowaliśmy się na do widzenia, myślałam, że pęknie mi serce.

Droga Conchi,

rodzice zabierają mnie ze szkoły po zakończeniu semestru. Będą czekać na mnie w Nowym Jorku. Mam tam pojechać, a potem razem jedziemy do Europy aż do jesienno-ego semestru.

Wzięłam taksówkę do domu Joego. Mieliśmy pojechać na Sandia Peak i porozmawiać, wsiedliśmy do auta. Nie wiem, czego się spodziewałam, chyba że powie to, czego pragnęłam.

Miałam nadzieję usłyszeć, że będzie na mnie czekał, będzie tu, kiedy wrócę. Ale powiedział, że jeśli naprawdę go kocham, wyjdę za niego natychmiast. Zareagowałam na to. Musi skończyć studia; pracuje tylko dorywczo. Nie dodałam jednak, że nie chcę rzucać studiów. Chcę się uczyć o Szekspirze, o poetach romantycznych. Odparł, że możemy zamieszkać z jego ojcem, póki nie uzbieramy dość pieniędzy. Przekraczaliśmy most nad Rio Grande, kiedy wyznałam, że nie chcę jeszcze wychodzić za mąż.

– Jeszcze długo nie zrozumiesz, co właśnie odrzucasz.

Powiedziałam, że wiem, co między nami jest, i że to wciąż tu będzie, kiedy wrócę.

– Będzie, ale ciebie nie będzie. A teraz jedź, angażuj się w te swoje „związki”, wyjdź za jakiegoś dupka.

Otworzył drzwi samochodu i wypchnął mnie na most nad Rio Grande z jadącego samochodu. I odjechał. Piechotą wróciłam aż do akademika. Wciąż myślałam, że zaraz po mnie wróci, ale nigdy nie wrócił.

Głupia, bo płacze

Samotność to pojęcie anglosaskie. W Mexico City, jeśli jesteś jedyną osobą w autobusie i ktoś do niego wsiada, to nie tylko usiądzie obok, ale wręcz się o ciebie oprze.

Kiedy moi synowie jeszcze mieszkali w domu, to jeśli przychodzili do mojego pokoju, zwykle mieli konkretny powód. Widziałaś moje skarpetki? Co na kolację? Nawet teraz, gdy rozlega się dzwonek przy furtce, słyszę: Cześć, Ma! Chodźmy na mecz, albo: Możesz zostać dziś z dzieckiem? Ale w Meksyku córki mojej siostry wespną się trzy piętra i przejdą troje drzwi tylko dlatego, że tam jestem. Przytulą się albo zapytają: *Qué honda?*

Ich matka Sally mocno śpi. Wzięła tabletki przeciwbólowe i jedną nasenną. Nie słyszy, jak w łóżku obok przewracam kartki, kaszlę. Kiedy Tino, jej piętnastoletni syn, wraca do domu, daje mi buziaka, podchodzi do łóżka i kładzie się obok matki, biorąc ją za rękę. Całuje Sally na dobranoc i idzie do swojego pokoju.

Mercedes i Victoria mają własne mieszkanie po drugiej stronie miasta, ale co wieczór wpadają, choć ona się nie budzi. Victoria wygładza brwi Sally, poprawia poduszki i koce, mazakiem rysuje gwiazdę na jej łysej głowie. Sally jęczy przez sen, marszczy brwi. Nie ruszaj się, *Amor*, mówi Victoria. Koło czwartej rano Mercedes przychodzi powiedzieć matce dobranoc. Mercedes projektuje plany zdjęciowe. Kiedy pracuje, to dzień i noc. Ona również przytula się do Sally, śpiewa jej, całuje ją w głowę. Dostrzega gwiazdę i się śmieje. Victoria tu była! *Tía*, śpisz? *Sí. Oye!* Chodź na papierosa. Idziemy do kuchni. Mercedes jest bardzo zmęczona, brudna. Stoi wgapiona w lodówkę, wzdycha i ją zamyka. Palimy i dzielimy się jabłkiem, siedząc razem na jedynym krześle w kuchni. Jest szczęśliwa. Film, przy którym pracuje, jest wspaniały, reżyser najlepszy. Dobrze jej idzie.

– Traktują mnie z szacunkiem, jak mężczyznę! Cappelini chce, żebym pracowała przy jego następnym filmie!

Rano Sally i Tino i ja idziemy do La Vega na kawę. Tino nosi swoje cappuccino, chodząc od stolika do stolika, gadając ze znajomymi, flirtując z dziewczynami. Szofer Mauricio czeka na zewnątrz, żeby zabrać Tina do szkoły. Sally i ja rozmawiamy i rozmawiamy, odkąd przyjechałam z Kalifornii trzy dni wcześniej. Włożyła dzisiaj kręconą rudą perukę i zieloną sukienkę, której kolor podkreśla kolor jej nefrytowych oczu. Wszyscy gapią się na nią zafascynowani. Sally przychodzi do tej kawiarni od dwudziestu pięciu lat. Ludzie wiedzą, że umiera, ale nigdy nie

wyglądała tak pięknie i na taką szczęśliwą.

No a ja... gdyby powiedzieli, że został mi rok życia, po prostu wypłynęłabym na morze i ze sobą skończyła. Ale dla Sally to zdanie zdawało się darem. Może dlatego, że zakochała się w Xavierze tydzień przed tym, zanim się dowiedziała. Zaczęła żyć. Wszystkim się cieszy. Mówi to, co chce, robi to, co sprawia jej przyjemność. Śmieje się. Chodzi seksownie, ma seksowny głos. Wkurza się i rzuca przedmiotami, głośno klnie. Mała Sally, zawsze pokorna i pasywna, w dzieciństwie w moim cieniu, potem przez większość życia w cieniu swojego męża. Teraz jest silna, promienieje; ten zapał jest zaraźliwy. Ludzie zatrzymują się przy stoliku, by się przywitać, mężczyźni całują ją w rękę. Lekarz, architekt, wdowiec.

Mexico City to metropolia, ale ludziom wciąż nadaje się określenia, jak kiedyś w wiosce chodziło się do kowala. Student medycyny; sędzia, balerina Victoria; piękna Mercedes; były mąż Sally; pastor. Ja jestem siostrą z Ameryki. Wszyscy witają mnie uściskiem i całują w policzek.

Były mąż Sally, Ramon, otoczony ochroniarzami wpada na espresso. W całej kawiarni z szuraniem odsuwają się krzesła, mężczyźni wstają, by uścisnąć mu dłoń albo do *abrazo*. Jest teraz członkiem rządu z ramienia Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej. Całuje mnie i Sally, pyta Tina o szkołę. Tino ściska ojca na do widzenia i idzie na lekcje. Ramon patrzy na zegarek.

Poczekaj chwilę, mówi Sally. Bardzo chcą się z tobą spotkać; na pewno przyjdą.

Najpierw Victoria w wydekoltowanym trykocie, w drodze na lekcję tańca. Irokez, tatuaż na ramieniu. Na miłość boską, ubierz się! – woła jej ojciec.

– Papi, wszyscy tutaj są do mnie przyzwyczajeni, prawda, Julianie?

Kelner Julian potrząsa głową.

– Nie, *mi dōna*, każdego dnia sprawiasz nam nową niespodziankę.

Bez pytania przyniósł nam wszystkim to, co mieliśmy zamiar zamówić. Herbata dla Sally, drugie latte dla mnie, espresso, potem latte dla Ramona.

Pojawia się Mercedes, rozczochrane włosy, mocny makijaż, jedzie na zlecenie modelingowe, a potem na plan filmowy. Wszyscy w kawiarni znają Victorię i Mercedes od dzieciństwa, ale i tak się na nie gapią, takie są piękne i skandalizująco ubrane.

Ramon rozpoczyna swój zwyczajowy wykład. Mercedes pojawiła się w seksownych scenach w meksykańskiej MTV. Wstyd. Victoria ma iść do college'u i do dorywczej pracy. Córka go obejmuje.

– Papi, po co mam iść na studia, skoro chcę tylko tańczyć? I po co mam pracować, skoro

jesteśmy tacy bogaci?

Ramon kręci głową i w końcu daje jej pieniądze na lekcje, potem na buty, a potem na taksówkę, bo jest spóźniona. Victoria wychodzi, machając na do widzenia i posyłając pocałunki całej kawiarni.

– Jestem spóźniony! – jęczy Ramon i także wychodzi, przeciskając się przez las uścisków dłoni. Czarna limuzyna zabiera go pędem wzdłuż Insurgentes.

– *Pues*, w końcu możemy zjeść – mówi Mercedes.

Pojawia się Julian z sokiem, owocami i *chilaquile*.

– Mama, może spróbujesz, chociaż trochę?

Sally kręci głową. Później ma chemię, od jedzenia dostaje mdłości.

– Oka dzisiaj w nocy nie zmrużyłam! – odzywa się.

Wygląda na urażoną, kiedy Mercedes i ja się śmiejemy, ale też się śmieje, gdy mówimy jej, jak wiele wizyt różnych osób przespała.

– Jutro są urodziny Tii. Dzień Basila! – powiedziała Mercedes. – Mama, czy ty też byłaś na *Fête* w Grange?

– Tak, ale miałam tylko siedem lat, kiedy feta wypadła w dzień dwunastych urodzin Carlotty, w roku, w którym poznała Basila. Wszyscy tam byli... dorośli, dzieci. Angielski świątek w środku Chile. Anglikańskie kościoły, angielskie dwory i domki. Angielskie ogrody i psy. Country Club imienia Księcia Walii i drużyny krykieta. No i oczywiście szkoła Grange. Bardzo dobra szkoła dla chłopców, w stylu Eton.

– A wszystkie dziewczynki w twojej szkole kochały się w chłopcach z Grange...

– *Fête* trwała cały dzień. Mecze piłki nożnej i krykieta, biegi przełajowe, pchnięcie kulą i skoki. Najróżniejsze gry i zawody, stoiska i kramy z jedzeniem.

– Wróżki – dodałam. – Wróżka powiedziała mi, że będę mieć wielu kochanków i wiele kłopotów.

– Sama mogłam ci to powiedzieć. Po prostu było tam jak na angielskim jarmarku.

– Jak wyglądał Basil?

– Szlachetnie i na zmartwionego. Był wysoki i przystojny, choć miał spore uszy.

– I wysuniętą szczękę...

– Późnym popołudniem wręczano nagrody i chłopcy, w których kochałyśmy się ja i moje koleżanki, wygrywali różne zawody, tylko Basila nieustannie wzywano do odbioru wyróżnień z

fizyki, chemii i historii, greki i łaciny. I z innych nauk też. Najpierw wszyscy klaskali, a potem zaczęło nas to śmieszyć. On robił się coraz bardziej i bardziej czerwony za każdym razem, gdy wstawał po kolejną nagrodę, książkę. Jakiś tuzin książek. Na przykład Marka Aureliusza. Potem nadszedł czas na podwieczorek przed tańcami. Wszyscy się kręcili albo pili herbatę przy małych stolikach. Conchi wyzwała mnie, żebym poprosiła go do tańca, więc to zrobiłam. Stał tam z całą swoją rodziną. Wielkouchy ojciec, matka i trzy siostry, wszyscy z taką samą nieszczęsną szczęką. Pogratulowałam mu i poprosiłam do tańca. I on się zakochał, na moich oczach. Nigdy przedtem nie tańczył, więc pokazałam mu, jakie to proste, tylko krok podstawowy. Do *Siboney, Long Ago and Far Away*. Tańczyliśmy całą noc albo chodziliśmy po kwadracie. Codziennie przez tydzień przychodził na podwieczorek. Potem zaczęły się wakacje i wrócił do rodzinnego *fundo*. Pisał do mnie dzień w dzień, wysyłał dziesiątki, dziesiątki wierszy.

– Tía, jak całował? – zapytała Mercedes.

– Całował! Nigdy mnie nie pocałował, nie trzymał mnie nawet za rękę. W tamtych czasach w Chile to byłaby bardzo poważna sprawa. Pamiętam, że niemal zemdlałam, kiedy Pirulo Diaz złapał mnie za rękę na filmie *Beau Geste*.

– Wielka sprawa robiła się nawet wtedy, gdy chłopak zwrócił się do ciebie na ty – dodała Sally. – Ale to było dawno, dawno temu. Wtedy stosowałyśmy ałun zamiast dezodorantów. Podpasek jeszcze nie wynaleziono; używałyśmy szmatek, które prały służące.

– Zakochałaś się w Basilu, Tía?

– Nie, byłam zakochana w Pirulu Diazie. Ale przez lata Basil wciąż u nas bywał, na meczach rugby, na przyjęciach. Codziennie przychodził na herbatę. Tata grywał z nim w golfa, ciągle zapraszał na kolację.

– Był jedynym zalotnikiem, którego tata kiedykolwiek zaakceptował.

– Najgorsze na romans – westchnęła Mercedes. – Porządni faceci nigdy nie są seksowni.

– Mój Xavier jest porządny! I dobry dla mnie! I jest seksowny! – zaprotestowała Sally.

– Basil i tata byli porządni w protekcyjnym i krytycznym sposób. Ja traktowałam Basila okropnie, ale on wciąż wracał. Każdego roku na moje urodziny przysyłał róże albo dzwonił. Rok po roku. Przez ponad czterdzieści lat. Znajdował mnie przez Conchi albo przez waszą matkę... w różnych miejscach. W Chiapas, Nowym Jorku, Idaho. Kiedyś nawet na zamkniętym oddziale psychiatrycznym w Oakland.

– I co mówił, kiedy dzwonił przez te wszystkie lata?

– Właściwie to niewiele. To znaczy niewiele o sobie. Jest prezesem sieci sklepów spożywczych. Zwykle pytał, co u mnie. A zawsze działo się coś okropnego... spłonął nasz dom albo rozwód, albo wypadek samochodowy. Za każdym razem, kiedy dzwoni, mówi to samo. Jak różaniec. Tego dnia, dwunastego listopada, myśli o najcudowniejszej kobiecie, jaką kiedykolwiek spotkał. W tle gra *Long Ago and Far Away*.

– Rok po roku!

– I nigdy nie napisał do ciebie ani się nie spotkaliście?

– Nie – odparła Sally. – Kiedy w zeszłym tygodniu zadzwonił, pytając, gdzie jest Carlotta, powiedziałam, że będzie w Mexico City i może zjedliby razem lunch. Miałam wrażenie, że wcale nie ma ochoty się z nią jutro spotykać. Stwierdził, że nie powinien mówić swojej żonie. Zaproponowałam, by zabrał ją ze sobą, odparł, że to zły pomysł.

– Jest Xavier! Mamo, ale ty masz szczęście. Nie będziemy ci współczuć. *Pilla envidia!*

Xavier jest już przy niej i bierze ją za rękę. Ma żonę. Podobno nikt nie wie o ich romansie. Zajrzał tu ponoć przez przypadek. Jak inni mogą nie czuć tego napięcia między nimi? Julian się do mnie uśmiecha.

Xavier także się zmienił, tak bardzo jak moja siostra. Jest arystokratą, wybitnym chemikiem, kiedyś bardzo poważnym i zdystansowanym. Teraz on również się śmieje. Razem z Sally bawią się i płaczą i kłócą. Chodzą na lekcje *danzón* i do Meridy. Tańczą *danzón* na placu, pod gwiazdami, koty i dzieci bawią się w krzakach, na drzewach wiszą papierowe lampiony.

Wszystko, co mówią, najbanalniejsze rzeczy typu „dzień dobry, *mi vida*” albo „podaj sól”, ma w sobie tak palącą potrzebę, że Mercedes i ja zaczynamy chichotać. Ale jesteśmy poruszone, zadziwione tym dwojgiem w stanie łaski.

– Jutro jest Dzień Basila! – uśmiecha się Xavier.

– Victoria i ja uważamy, że powinna przebrać się za punka albo za bardzo starą kobietę – mówi Mercedes.

– Albo każę Sally mnie zastąpić – oznajmiam.

– Nie. Victorii albo Mercedes... A on pomyśli, że wciąż tkwisz w latach czterdziestych, taka, jaką cię pamięta.

Xavier i Sally pojechali na chemię, a Mercedes poszła do pracy. Spędziłam dzień w Coyoacán. W kościele ksiądz chrzczył chyba pół setki dzieci naraz. Klękłam z tyłu, niedaleko najkrwawszego Chrystusa, i przyglądałam się ceremonii. Rodzice i chrzestni stali w długich

rzędach naprzeciwko siebie w przejściu między ławkami. Matki trzymały ubrane na biało dzieci. Ksiądz szedł przejściem, za nim dwóch ministrantów machało kadzidłem. Modlił się po łacinie. Moczył palce w kielichu, który trzymał w lewej ręce, robił znak krzyża na każdym czole i chrzczył w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Rodzice byli poważni, modlili się bardzo serio. Szkoda, że ksiądz nie błogosławił też matek, nie robił jakiegoś znaku, nie dawał im ochrony.

W meksykańskich wioskach, kiedy moi synowie byli mali, Indianie czasami kreślili znak krzyża na ich brwiach. *Pobrecito!* – mawiali. Że też takie urocze stworzenie musi cierpieć takie życie!

Mark, czterolatek, w przedszkolu na Horatio Street w Nowym Jorku. Bawił się w dom z innymi dziećmi. Otworzył zabawkową lodówkę, nalał szklankę mleka na niby i podał ją koledze. Kolega rozbił szklankę na niby o podłogę. Wyraz bólu na twarzy Marka, ten sam, który później widziałam u wszystkich moich synów. Rana po wypadku, rozwodzie, porażce. Moje przemożne pragnienie, by ich chronić. Moja bezradność.

Wychodząc z kościoła, zapalam świecę pod figurą Błogosławionej Dziewicy. *Pobrecita.*

Sally leży w łóżku, zmęczona, ma mdłości. Kładę na jej czole ściereczki schłodzone w wodzie z lodem. Opowiadam o ludziach na placu w Coyoacán, o chrzcie. Ona opowiada mi o innych pacjentach na chemii, o Pedrze, swoim lekarzu. O tym, co mówił do niej Xavier, o jego czułości, i płacze gorzkimi, gorzkimi łzami.

Kiedy Sally i ja po raz pierwszy się zaprzyjaźniłyśmy, już jako dorosłe kobiety, przez kilka lat przepracowywałyśmy wzajemne żale i zazdrości. Potem, kiedy obie chodziłyśmy na terapię, bardzo długo wyładowywałyśmy gniew na naszym dziadku, na naszej matce. Naszej okrutnej matce. I znów, po latach, gniew na naszego ojca, świętego, którego okrucieństwo nie było tak oczywiste.

Teraz jednak rozmawiamy wyłącznie w czasie teraźniejszym. W cenote na Jukatanie, na górze Tulum, w klasztorze w Tepoztlán, w małym pokoju Sally, śmiejemy się radośnie z podobieństwa naszych odpowiedzi, z naszych wizji w stereo.

Rankiem w dzień moich pięćdziesiątych czwartych urodzin nie zostajemy w La Vega zbyt długo. Sally chce odpocząć przed chemią. Ja muszę ubrać się na lunch z Basilem. Kiedy wracamy do domu, Mercedes i Victoria oglądają telenowelę z Belen i Dolores, służącymi. Belen i Dolores większość dnia i nocy spędzają na oglądaniu oper mydlanych. Obie są z Sally od dwudziestu lat; zajmują nieduże mieszkanie na dachu. Niewiele mają teraz do roboty, od kiedy

Ramon i córki się wyprowadziły, ale Sally nigdy nie poprosiłyby, by odeszły.

Dzisiaj wielki dzień w *Los Golpes de la Vida*. Sally wkłada szlafrok i przychodzi popatrzeć. Wzięłam prysznic i się umalowałam, ale też jestem w szlafroku, nie chcę pognieść szarego Inu.

Adelina zaraz powie swojej córce Conchicie, że nie może ona wyjść za Antonia. Adelina musi wyznać, że Antonio jest jej synem, bratem Conchity! Urodził się w klasztorze dwadzieścia pięć lat wcześniej.

I oto są u Sanborna, ale zanim Adelina zdąży powiedzieć choć słowo, Conchita wyznaje matce, że ona i Antonio wzięli potajemnie ślub. I będą mieli dziecko! Zbliżenie na pełną przerażenia twarz matki. Ale Adelina uśmiecha się i całuje Conchitę. *Mozo*, mówi, przynieś nam szampana.

No dobrze, to raczej głupie. A jeszcze głupsze jest to, że sześć kobiet wyplakiwało sobie oczy i szlochało, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Mercedes popędziła otworzyć.

Zaszokowany Basil gapił się na Mercedes. Nie tylko dlatego, że płakała, ubrana w szorty i koszulkę bez stanika. Ludzi zawsze uderza piękno obu siostr. Kiedy z nimi trochę pobędziesz, to się przyzwyczajasz, jak do zajęczej wargi.

Mercedes ucałowała go w policzek.

– Słynny Basil, w prawdziwym angielskim tweedzie!

Czerwienił się. Gapił się na nas, wszystkie zapłakane, tak zdezorientowany, że dostałyśmy głupawki. Tak jak czasem dzieci. Poważnej, karalnej głupawki. Nie mogłyśmy przestać. Wstałam i chciałam go uścisnąć, ale on znowu zeszytniał, wyciągnął dłoń do chłodnego uścisku.

– Musisz nam wybaczyć... oglądamy ckliwą telenowelę. – Przedstawiłam go wszystkim.
– Sally oczywiście pamiętasz?

Znów wyglądał na zaszokowanego.

– Moja peruka! – Pobiegła po perukę.

Ja poszłam się ubrać. Mercedes mi towarzyszyła.

– No dalej, Tía, ubierz się jak prawdziwa zdzira... on jest taki sztywny!

– W okolicy pewnie trudno znaleźć jakąś restaurację – mówił Basil.

– Ależ nie. La Pampa, argentyńska, po drugiej stronie kwiatowego zegara w parku.

– Kwiatowego zegara?

– Pokażę ci – odparłam. – Chodźmy.

Zeszliśmy trzy piętra schodami, nerwowo rozmawiając. Jak dobrze go widzieć, jak dobrze wygląda.

Na dole w korytarzu zatrzymał się i rozejrzał.

– Ramon jest ministrem. Nie stać go na lepsze mieszkanie dla swojej rodziny?

– On ma teraz nową rodzinę. Mieszkają w La Pedregal, w pięknym domu. Ale mieszkanie Sally też jest wspaniałe, Basilu. Słoneczne i duże... pełne antyków i roślin i ptaków.

– A okolica?

– Calle Amores? Sally nie chciałaby mieszkać nigdzie indziej. Tutaj wszystkich zna. Nawet ja wszystkich znam.

Po drodze do jego auta witałam się ze znajomymi. Zapłacił kilku chłopcom, żeby pilnowali samochodu przed bandytami.

Zapięliśmy pasy.

– O co chodzi z włosami Sally? – zapytał.

– Straciła je po chemioterapii. Ma raka.

– To straszne! Rokowania są dobre?

– Nie, umiera.

– Tak mi przykro. Ale muszę przyznać, że żadna z was nie wydawała się tym specjalnie przejęta.

– Wszystkie się tym przejmujemy. Ale teraz jesteśmy szczęśliwe. Sally się zakochała.

Zbliżyliśmy się do siebie jak siostry. To też jakby zakochanie. Dzieci ją odwiedzają, słuchają jej.

Milczał, ściskając kierownicę.

Poprowadziłam go do parku na Insurgentes.

– Zaparkuj gdziekolwiek. Widzisz, tam jest kwiatowy zegar!

– Wcale nie wygląda jak zegar.

– Oczywiście, że wygląda. Spójrz na te cyfry. Do diabła, poprzednio naprawdę wyglądał jak zegar. Cyframi były nagietki, tylko trochę urosły. Ale wszyscy wiedzą, że to zegar.

Zaparkowaliśmy daleko od restauracji. Było gorąco. Mam problemy z plecami, dużo palę. Smog, wysokie obcasy. Z głodu zrobiło mi się słabo. W restauracji pachniało pięknie. Czosnek i rozmaryn, czerwone wino, jagnięcina.

– Sam nie wiem – powiedział. – Straszny tu zgiełk. Trudno będzie normalnie

porozmawiać. I pełno tu Argentyńczyków!

– Hm, no raczej, to argentyńska knajpa.

– Masz taki amerykański akcent. I wciąż mówisz „no raczej”.

– No raczej, w końcu jestem Amerykanką.

Chodziliśmy w tę i z powrotem po ulicy, zaglądając w okna kolejnych wspaniałych restauracji, ale żadna nie była odpowiednia, a jedna okazała się zbyt kosztowna. Postanowiłam, że od teraz będę używać słowa „kosztowny” zamiast „drogi”. Och, ależ kosztowne jest korzystanie z telefonu!

– Basil... kupmy sobie *torta* i usiądźmy w parku. Umieram z głodu, a chciałabym z tobą porozmawiać.

– Musimy jechać do centrum. Tamtejsze restauracje znam.

– Może poczekam tutaj, a ty pójdziesz po auto?

– Wolałbym cię nie zostawiać bez opieki w tej okolicy.

– To zarębista okolica.

– Proszę. Chodźmy razem poszukać samochodu.

Poszukać samochodu. Oczywiście nie pamiętał, gdzie go zaparkował. Ulica za ulicą. Chodziliśmy w kółko, wpadając na te same koty, te same sprzątaczkę opierające się o furki i flirtujące z listonoszem. Ostrzyciel noży grał na flecie, jechał rowerem, nie używając rąk.

Opadłam na miękkie siedzenie auta i zrzuciłam buty. Wyjęłam paczkę papierosów, ale poprosił, żebym nie paliła w środku. Od smogu Mexico City po naszych twarzach spływały łzy. Powiedziałam, że palenie może być rodzajem ochronnego filtra.

– Ach, Carlotto, wciąż igrasz z niebezpieczeństwem!

– Jedźmy, umieram z głodu.

Ale on właśnie wyjmował zdjęcia swoich dzieci ze schowka. Podał mi fotografie w srebrnych ramkach. Bystry, pewni siebie młodzi ludzie. Z wysuniętymi szczękami. Opowiadał o ich inteligencji, sukcesach, udanych karierach lekarzy. Tak, widywali syna, ale Marilyn i jej matka się nie dogadywały. Obie to silne charaktery.

– Dobrze sobie radzi ze służbą – mówił Basil o swojej żonie. – Nie pozwala im przekraczać granic. Tamte kobiety to służące twojej siostry?

– Tak. Teraz są bardziej jak rodzina.

Źle skręciliśmy, w jednokierunkową. Basil wycofał, samochody i ciężarówki trąbiły.

Potem na *periférico*, szybko, dopóki nie natknęliśmy się na wypadek i nie stanęliśmy. Basil wyłączył silnik i klimatyzację. Wsiadłam, żeby zapalić.

– Ktoś cię przejedzie!

Za nami auta nie poruszały się przez całe kilometry.

Dotarliśmy do Sheratona o wpół do piątej. Restauracja zamknięta. Co robić? Przecież już zaparkował. Poszliśmy obok, do Denny's.

– Zawsze kończy się w Denny's – powiedziałam. – Poproszę kanapkę klubową i mrożoną herbatę. A ty co weźmiesz?

– Nie wiem. Jedzenie mnie nie interesuje.

Miałam totalną depresję. Chciałam tylko zjeść kanapkę i wracać do domu. Ale prowadziłam uprzejmą rozmowę. Tak, należą do angielskiego country clubu. On gra w golfa i krykieta, występował w teatrze amatorskim. Grał jedną ze starszych pań w *Arszeniku i starych koronkach*. Doskonała zabawa.

– A przy okazji. Kupiłem ten dom w Chile, z basenem, przy trzecim dołku pola golfowego w Santiago. Wynajmujemy go, ale na emeryturze chcemy tam zamieszkać. Wiesz, o którym mówię?

– Oczywiście. Piękny dom, z glicyniami i bzem. Zajrzyj pod krzewy bzu, a znajdziesz sto golfowych piłek. Zawsze wrzucałam pierwsze uderzenie do tego ogródka.

– Jakie masz plany na emeryturę? Na przyszłość?

– Przyszłość?

– Masz oszczędności? Fundusz emerytalny?

Pokręciłam głową.

– Bardzo się o ciebie martwiłem. Szczególnie wtedy, kiedy byłeś w szpitalu. Trochę się najeździłaś... trzy rozwody, czworo dzieci, zmiany pracy. A twoi synowie, co robią? Jesteś z nich dumna?

Zirytowałam się, choć dostałam już jedzenie. Basil zamówił nietostowaną kanapkę z serem i herbatę.

– Nie znoszę tego gadania... być dumnym z dzieci, przypisywać sobie zasługi za to, co one osiągnęły. Lubię swoich synów. Są kochający, uczciwi.

Śmieją się. I *dużo* jedzą.

Znowu zapytał, co robią. Kucharz, operator telewizyjny, grafik, kelner. Wszyscy lubią to,

co robią.

– Wygląda na to, że żaden z nich nie zaopiekuje się tobą, gdy będziesz tego potrzebować. Och, Carlotto, gdybyś tylko została w Chile. Miałabyś spokojne życie. Wciąż byłabyś królową country clubu.

– Spokojne? Zginęłabym w trakcie rewolucji. – Królowa country clubu? Zmiana tematu, szybko. – Jeździecie z Hildą nad morze? – zapytałam.

– Jak ktokolwiek mógłby tam jeździć, gdy widziało się wybrzeże Chile? Nie, pełno tam Amerykanów. Meksykański Pacyfik jest nudny.

– Basil, jak ocean może być nudny?

– A co ciebie nudzi?

– Właściwie to nic. Nigdy się nie nudziłam.

– No ale ty bardzo starałaś się nie nudzić.

Basil odsunął na bok ledwie nadgryzioną kanapkę i nachylił się ku mnie z troską.

– Droga Carlotto... jak ci się uda wrócić do dawnego życia?

– Nie chcę do niego wracać. Po prostu żyję i próbuję nikogo nie skrzywdzić.

– Powiedz, co udało ci się w życiu osiągnąć?

Nic nie przychodziło mi do głowy.

– Od trzech lat nie piję – odpowiedziałam w końcu.

– To raczej nie osiągnięcie. To jak powiedzieć „Nie zamordowałam własnej matki”.

– No tak, to też. – Uśmiechnęłam się.

Zjadłam wszystkie trójkątne kanapki i pietruszkę.

– Mogę poprosić o flan i cappuccino?

To była jedyna restauracja w Republice Meksyku, w której nie mieli flanu. Galaretkę, *sí*.

– A ty, Basil? Co z twoim marzeniem, by zostać poetą?

Potrząsnął głową.

– Oczywiście wciąż czytam poezję. Powiedz, według jakiej poetyckiej maksymy żyjesz?

Cóż za interesujące pytanie. Podobało mi się, ale do głowy przychodziły tylko perwersyjne nieakceptowalne wersy. Ach, Morze. Weź mnie! Każda kobieta kocha faszystów. Uwielbiam ten wyraz cierpienia! Bo wiem, że jest prawdziwy.

– „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy”⁷. – Nawet nie lubiłam Dylana Thomasa.

– Wciąż jesteś moją buntowniczą Carlottą! Ja lubię tę z Yeatsa: „Zwycięzać pośród

milczenia / I cieszyć się z tego w sekrecie”⁸.

Jezu. Zgasiłam papierosa, dopiłam rozpuszczalną kawę.

– A może „wiele mil od snu mnie dzieli”? Powinnam wracać do Sally.

Ruch i smog były koszmarnie. Posuwaliśmy się w ślimaczym tempie. On wyliczał kolejnych zmarłych, których oboje znaleźliśmy, finansowe i małżeńskie porażki wszystkich moich byłych chłopaków.

Zatrzymał się przy krawężniku. Powiedziałam do widzenia. Niestety, pochyliłam się, by go uścisnąć. Cofnął się do drzwi. *Ciao*, powiedziałam. Zwycięzać!

Dom był cichy. Sally spała po chemii. Nerwowo się wierciła. Zrobiłam mocną kawę, usiadłam przy nasturcjach, wachając tuberozę, słuchając, jak sąsiad na dole kiepsko gra na wiolonczeli.

Wślizgnęłam się do łóżka obok siostry. Spałyśmy aż do zmroku. Victoria i Mercedes wpadły, bym opowiedziała im wszystko o lunchu z Basilem.

Mogłam im opowiedzieć o lunchu. Mogłam z tego zrobić bardzo zabawną historię. Jak nagietki urosły, a Basil nie widział, że to kwiatowy zegar. Mogłam go odegrać w roli starszej pani z *Arszeniku i starych koronek*. Ale leżałam tylko z głową na poduszce obok Sally.

– Już do mnie nie zadzwoni.

Rozpłakałam się. Sally i jej córki mnie pocieszały. Nie uważały, że jestem głupia, bo płacę.

Żałoba

Uwielbiam domy, wszystkie te rzeczy, które do mnie mówią, i między innymi dlatego nie mam nic przeciwko pracy sprzątaczką. To jak czytanie książek.

Pracowałam dla Arlene z Central Reality. Głównie sprzątałam puste domy, ale nawet puste domy mają swoje historie, wskazówki. Miłosny list wepchnięty za komodę, puste butelki po whisky za suszarką, listy zakupów... „Kup proszek, paczkę zielonych linguini i sześciopak piwa. Przepraszam za wczoraj”.

Ostatnio sprzątam domy, w których ktoś niedawno zmarł. Sprzątam i pomagam uporządkować rzeczy do oddania albo przekazania biednym. Arlene zawsze pyta, czy znalazłam jakieś ubrania lub książki dla Domu Żydowskich Rodziców, tam jest Sadie, jej matka. To dołujące zajęcie. Albo wszyscy krewni chcą wszystko i kłócą się o każdy drobiazg, parę starych podartych szelek czy kubek do kawy. Albo nikt nie chce niczego z całego domu, wtedy wszystko pakuję. W obu przypadkach smutne jest, jak niewiele czasu to zabiera. Tylko pomyśl. Jeśli umrzesz... mogę pozbyć się wszystkich twoich rzeczy w maksymalnie dwie godziny.

W zeszłym tygodniu sprzątałam dom bardzo starego czarnego listonosza. Arlene go znała, podobno długo nie wstawał z łóżka z powodu cukrzycy, zmarł na zawał serca. Był wrednym, upartym staruchem, mówiła, starszym zboru. Wdowcem, żona zmarła dziesięć lat temu. Jego córka jest koleżanką Arlene, aktywistką polityczną, zasiada w zarządzie wydziału edukacji w Los Angeles. „Wiele zrobiła dla edukacji i mieszkań dla czarnych; to twarda babka”, powiedziała Arlene, więc pewnie to prawda, bo zwykle ludzie mówią tak o samej Arlene. Syn za to jest klientem Arlene i to już inna historia. Prokurator okręgowy w Seattle, ma nieruchomości w całym Oakland. „Nie powiedziałabym, że jest królem slumsów, ale...”.

Syn i córka pojawili się w domu dopiero późnym rankiem, ale ja wiedziałam już o nich sporo od Arlene, no i ze wskazówek. Kiedy weszłam do domu, panowała w nim cisza, ta odbijająca się echem cisza miejsca, w którym nikogo nie ma, w którym ktoś właśnie zmarł. Dom znajdował się w kiepskiej okolicy w zachodnim Oakland. Przypominał niewielką farmę, czystą i ładną, z huśtawką na ganku, utrzymanym ogródkiem, w którym rosły stare róże i azalie. Większość domów w pobliżu miała zabite deskami okna i ściany usmarowane graffiti. Z zapadających się schodków na gankach obserwowały mnie stare pijaczyny, młodzi dilerzy cracku stali na rogu albo siedzieli w autach.

W środku dom również nie pasował do dzielnicy, koronkowe firanki, wypolerowane dębowe meble. Staruszek spędzał czas na dużej werandzie z tyłu, w szpitalnym łóżku lub na wózku inwalidzkim. Na parapetach tłoczyły się paprocie i fiołki afrykańskie, a za oknami stało cztery czy pięć karmników dla ptaków. Wielki nowy telewizor, magnetowid, odtwarzacz płyt – pewnie prezenty od dzieci. Na półce nad kominkiem ślubne zdjęcie, on w smokingu, z zaczesanymi do tyłu włosami, z cieniutkim wąsikiem. Żona młoda i śliczna, oboje poważni. Jej fotografia, już starej i siwej, ale z uśmiechem, z uśmiechniętymi oczami. Poważne zdjęcia z rozdania dyplomów dzieci, oboje przystojni, pewni siebie, arogancy. Ślubne zdjęcie syna. Piękna jasnowłosa żona w białej satynie. Zdjęcie tej pary z córeczką, mniej więcej roczną. Zdjęcie córki z kongresmenem Ronem Dellumsem. Na stoliku stała kartka, zaczynała się od: „Przepraszam, nie uda mi się dotrzeć do Oakland na święta...”, mogła być od któregoś z dzieci. Biblia otwarta na psalmie 104. „Na ziemię patrzy, a ona drży; dotyka gór, a one dymią”.

Zanim przyjechali, zdążyłam sprzątnąć sypialnię i łazienkę na górze. Wiele tego nie było, co znalazłam w szafach i komodzie, ułożyłam w stosach na jednym z łóżek. Sprzątałam schody, wyłączyłam odkurzacz, kiedy weszli. On miły, uściśnął mi dłoń; ona tylko skinęła głową i poszła na górę. Pewnie przyjechali prosto z pogrzebu. On w trzyczęściowym czarnym garniturze w złote prążki; ona w szarym kaszmirowym kostiumie, szarej zamszowej kurtce. Oboje wysocy, bardzo piękni. Ona czarne włosy związała w kok z tyłu głowy. W ogóle się nie uśmiechała; on wciąż się uśmiechał.

Stałam z tyłu, kiedy chodzili po pokojach. On zabrał rzeźbione owalne lustro. Nie chcieli nic więcej. Zapytałam, czy mogliby coś przekazać dla Domu Żydowskich Rodziców. Spojrzała na mnie czarnymi oczami.

– Wyglądamy pani na Żydów?

On szybko wyjaśnił, że później przyjdą tu ludzie z kościoła baptystów Róży Szaronu i zabiorą wszystkie pozostałe rzeczy. A ludzie z wypożyczalni sprzętu odbiorą łóżko i wózek. Chciał od razu mi zapłacić, wyjął cztery dwudziestki z grubego pliku banknotów spiętych srebrnym klipsem. Dodał, że jak skończę, mam zamknąć dom i zostawić klucz Arlene.

Sprzątałam kuchnię, kiedy byli na werandzie. Syn zabrał zdjęcie ślubne rodziców i swoje. Ona chciała zdjęcie matki. On również, ale powiedział: „Nie, weź je”. On zabrał Biblię, ona swoje zdjęcie z Ronem Dellumsem. Pomogliśmy zanieść telewizor, magnetowid i odtwarzacz do bagażnika jego mercedesa.

– Boże, aż przykro teraz patrzeć na tę dzielnicę – powiedział.

Ona nie zareagowała. Pewnie na nią nie patrzyła. W domu usiadła na werandzie i zaczęła się rozglądać.

– Nie potrafię sobie wyobrazić taty obserwującego ptaki czy zajmującego się roślinami – powiedziała.

– Dziwne, prawda? Ale mam wrażenie, że nigdy go naprawdę nie znaleźliśmy.

– To on zmuszał nas do pracy.

– Pamiętam, jak cię zlał, kiedy dostałaś trójcę z matmy.

– Nie – sprostowała. – To była czwórka. Czwórka z plusem. Nic, co robiłam, nie było dla niego dość dobre.

– Wiem. A jednak... żałuję, że częściej go nie widywałem. To koszmar, jak dawno byłem tu ostatnio... Tak, dzwoniłem często, ale...

Przerwała mu, mówiąc, by się nie obwiniał, a potem rozmawiali, że to było niemożliwe, gdyby ojciec miał zamieszkać z którymś z nich, jak trudno było im wyrwać się z pracy. Próbowali się pocieszyć, ale wyraźnie mieli wyrzuty sumienia.

Ja i moja niewyparzona gęba. Szkoda, że nie potrafię po prostu trzymać języka za zębami. No i powiedziałam:

– Tak tu przyjemnie na werandzie. Państwa ojciec na pewno był tu szczęśliwy.

– Prawda? – odezwał się syn, z uśmiechem, ale córka tylko się gapiała.

– To nie pani sprawa, czy był szczęśliwy, czy nie.

– Przepraszam – powiedziałam. Przepraszam, że nie palnę cię w tę wredną starą gębę.

– Napiłbym się – rzucił syn. – W domu pewnie nic nie ma.

Pokazałam mu szafkę, w której stały brandy, trochę likieru miętowego i sherry.

Zaproponowałam, żeby przenieśli się do kuchni, gdzie mogłabym im pokazać zawartość szafek, zanim spakują ją do pudeł. Usiedli przy stole. On nalał obojgu duże porcje brandy. Pili i palili mentolowe papierosy, gdy ja przeglądałam szafki. Żadne nic nie chciało, więc zrobiłam to bardzo szybko.

– W spiżarni jest kilka rzeczy... – Wiedziałam, bo wpadły mi w oko. Stare żelazko – z rzeźbioną drewnianą rączką, z czarnego żeliwa.

– Ja je chcę! – zawołali oboje.

– Wasza matka naprawdę nim prasowała? – zapytałam syna.

– Nie, używała go do robienia tostowanych kanapek z serem i szynką. I do przyciskania peklowanej wołowiny.

– Zawsze się zastanawiałam, jak ludzie to robią... – Znów zaczynałam gadać, ale się zamknęłam, bo ona wciąż patrzyła na mnie w ten sposób.

Stary wałek, gładki od zużycia, jedwabisty.

– Ja go chcę! – zawołali oboje.

Ona w końcu się zaśmiała. Przez drinka i upał w kuchni oklapła jej fryzura, kosmyki zwijały się wokół lśniącej teraz twarzy. Szminek już zjadła; wyglądała jak tamta dziewczyna na zdjęciu z rozdania dyplomów. On zdjął marynarkę, kamizelkę i krawat, podwinął rękawy koszuli. Przyłapała mnie, jak przyglądam się jego ładnej budowie, i rzuciła mi mordercze spojrzenie.

Wtedy przyjechali z Western Medical Supply, żeby zabrać łóżko i wózek. Zaprowadziłam ich na werandę, otworzyłam tylne drzwi. Kiedy wróciłam, brat dołał obojgu brandy. Nachylał się ku siostrze.

– Pogódź się z nami – mówił. – Przyjedź na weekend, poznasz lepiej Debbie. No i nigdy nie widziałas Latanii. Jest śliczna, podobna do ciebie. Proszę.

Milczała. Ale widziałam, że śmierć ją zmieniała. Śmierć uzdrawia, każe nam wybaczyć, przypomina, że nie chcemy umrzeć w samotności.

Skinęła głową.

– Przyjadę – powiedziała.

– Och, to wspaniale! – Nakrył jej dłoń swoją, ale wzdrygnęła się, palce się poruszyły, wczepiając się w stół jak sztywny pazur.

Ho, ho, ale z ciebie zimna suka, oznajmiłam. Nie na głos. Na głos powiedziałam:

– A to pewnie oboje będziecie chcieli zabrać, założę się.

Cięzka stara żeliwna gofrownica, jaką stawia się na piecu. Moja babka Mamie miała podobną. Takich gofrów nic nie pobije. Naprawdę chrupkich, brązowych z zewnątrz i miękkich w środku. Postawiłam gofrownicę między nimi.

Uśmiechała się

– To jest moje!

Zaśmiał się.

– Zapłacisz fortunę za nadbagaż.

– Nic nie szkodzi. Pamiętasz, jak mama robiła nam gofry, kiedy chorowaliśmy? Z

prawdziwym syropem klonowym?

- W walentynki nadawała im kształt serc.
- Tyle że nigdy nie wyglądały jak serca.
- Nie, ale mówiliśmy: „Mamo, wyglądają dokładnie jak serca!”.
- Z truskawkami i bitą śmietaną.

Wymowałam kolejne rzeczy, patelnie i pudła ze słoikami, które nie były interesujące. Ostatnie pudło, z górnej półki, postawiłam na stole.

Fartuchy. Staromodne, wiązane na karku. Ręcznie szyte, wyszywane w ptaki i kwiaty. Ściereczki, również wyszywane. Wszystkie zrobione z worków po mące albo z kraciastej bawełny ze starych ubrań. Miękkie i wyblakłe, pachnące wanilią i goździkami.

- To z sukienki, którą miałam na sobie pierwszego dnia czwartej klasy!

Siostra rozwijała każdy fartuch i ścierkę i rozkładała je na stole. Och, och, mówiła ciągle. Łzy spływały jej po policzkach. Zebrała wszystkie fartuchy i ściereczki i przycisnęła je do piersi.

- Mamo! – płakała. – Kochana, kochana mamo!

Brat też się rozplakał, podszedł do niej. Przytulił, a ona pozwoliła, by ją trzymał i kołysał. Wymknęłam się z kuchni, a potem tylnymi drzwiami.

Wciąż siedziałam na schodkach, kiedy podjechała ciężarówka i wysiadło z niej trzech facetów z kościoła baptystów. Zaprowadziłam ich naokoło do frontowych drzwi i na górę, powiedziałam, że wszystko ma jechać. Jednemu pomogłam z rzeczami na górze, a potem z tym, co było do załadowania w garażu, narzędzia i grabie, kosiarka i taczka.

- No, to wszystko – powiedział jeden z nich.

Ciężarówka się wycofała, a oni pomachali mi na do widzenia. Wróciłam do środka. Było cicho. Brat i siostra odjechali. Zamiotłam i wyszłam, zamykając drzwi pustego domu.

Panteón de Dolores

Nie Spokojna Dolina ani Niebiański Odpoczynek. Panteon Bólu to nazwa cmentarza w Chapultepec Park. W Meksyku nie da się od tego uciec. Śmierć. Krew. Ból.

Wszędzie cierpienie. Zawody zapaśnicze, azteckie świątynie, wyrywane paznokcie w starych klasztorach, krwawe ciernie na głowie Chrystusa we wszystkich kościołach. Boże, teraz nawet herbatniki i cukierki mają kształt czaszek, bo niedługo Dzień Zmarłych.

Tego dnia w Kalifornii zmarła mama. Moja siostra Sally była tutaj, w Mexico City, gdzie mieszka. Razem z dziećmi zrobiła *ofrenda* za naszą matkę.

Ofrenda to coś fajnego. Ofiara dla zmarłych. Powinna być tak ładna, jak to możliwe. Piętrowa, piękna od margerytek i fuksjowych celozji grzebieniastych, kwiatków, które wyglądają jak mózg, i od maleńkich fioletowych *sempiternas*. Tutaj śmierć ma być przede wszystkim świętem estetycznym. Zmysłowi krwawiący Chrystusowie, elegancja, nieziemsko piękna śmierteczność walk byków, skomplikowane rzeźbienia grobowców, kamienie nagrobne.

Na *ofrenda* składa się wszystko, czego mógłby pragnąć zmarły. Tytoń, zdjęcia rodziny, mango, losy na loterię, tequila, pocztówki z Rzymu. Szpady i świece i kawa. Czaszki z wypisanymi na nich imionami przyjaciół. Cukierkowe kościotrupy do zjedzenia.

Na *ofrenda* dla matki dzieci mojej siostry położyły tuzin figurek Ku Klux Klanu. Matka nienawidziła tego, że są dziećmi Meksykanina. Były też batoniki Hershey, jack daniels, kryminały i wiele, wiele papierowych dolarów. Pigułki nasenne i broń i noże, bo wciąż się zabijała. Ale bez sznura... mówiła, że się w nim płacze.

Jestem teraz w Meksyku. W tym roku zrobiliśmy śliczną *ofrenda* dla mojej siostry Sally, która umiera na raka.

Była cała masa kwiatów, pomarańczowych, różowych, fioletowych. Wiele białych wotywnych świec. Figurki świętych i aniołów. Maleńkie gitary i przyciski do papieru z Paryża. Z Cancún i Portugalii. Z Chile. Ze wszystkich miejsc, w których była. Całe tuziny czaszek z imionami i zdjęciami jej dzieci, wszystkich nas, którzy ją kochaliśmy... Zdjęcie taty w Idaho, trzymał ją jako niemowlę na rękach. Wiersze od jej uczniów.

Mamo, ciebie nie było w *ofrenda*. Nie pominęliśmy cię celowo. Tak naprawdę w ciągu ostatnich miesięcy mówiliśmy o tobie czule rzeczy.

Przez lata, kiedy spotykałyśmy się z Sally, obsesyjnie narzekałyśmy, jak bardzo byłaś

szalona i okrutna. Ale przez tych kilka miesięcy... cóż, pewnie to naturalne, że kiedy ktoś umiera, podsumowuje wszystko, co miało znaczenie, co było piękne. Przypominałyśmy sobie twoje żarty i to, jak patrzyłaś, wszystko widząc. To nam dałaś. Patrzenie.

Ale nie słuchanie. Miałyśmy zwykle może z pięć minut, by ci o czymś opowiedzieć, a potem mówiłaś: „Dosyć”.

Nie rozumiem, dlaczego nasza matka tak bardzo nienawidziła Meksykanów. To znaczy dużo bardziej niż wszyscy jej teksańscy krewni. Brudasy, kłamcy, złodzieje. Nienawidziła zapachów, wszystkich zapachów i meksykańskich zapachów, bardziej niż smrodu spalin. Cebuli i goździków. Kolendry, moczu, cynamonu, palonej gumy, rumu i tuberozy. Zapachu mężczyzn w Meksyku. Cały kraj pachnie seksem i mydłem. To cię przerażało, mamó, ciebie i starego D.H. Lawrence'a. Tutaj łatwo pomieszać seks ze śmiercią, bo jedno i drugie wciąż tu pulsuje. Spacer przez dwie ulice pachnie zmysłowością, śmierdzi niebezpieczeństwem.

Chociaż teraz z powodu zanieczyszczenia powietrza w ogóle nie powinno się wychodzić na dwór.

Mój mąż, synowie i ja przez wiele lat mieszkaliśmy w Meksyku. Byliśmy wtedy bardzo szczęśliwi. Ale zawsze mieszkaliśmy w wioskach, nad morzem albo w górach. Tam panowała serdeczna swoboda, pasywna słodycz. Wtedy, bo to było wiele lat temu.

Mexico City dzisiaj... depresyjne, samobójcze, skorumpowane. Morowe bagno. No ale jest też wdzięk. Mgnienia takiego piękna, dobroci i koloru, że traci się oddech.

Dwa tygodnie temu pojechałam na tydzień do domu, na Święto Dziękczynienia, do Stanów, gdzie rządzą uczciwość i honor i Bóg jeden wie co jeszcze, myślałam. Pogubiłam się. Prezydent Bush i Clarence Thomas i ruch antyaborcyjny i AIDS i Duke i crack i bezdomni. I wszędzie, w MTV, kreskówkach, reklamach, gazetach tylko wojna i seksizm i przemoc. W Meksyku najwyżej worek cementu spadnie ci z rusztowania na głowę, ale bez uzi to nic osobistego.

Chodzi mi o to, że jestem tu na czas nieokreślony. Ale co potem, dokąd pójdę?

Mamo, widziałaś brzydotę i zło wszędzie, w każdym, wokoło. Byłaś szalona czy miałaś prorocze wizje? Tak czy owak, nie chcę stać się taka jak ty. Boję się, tracę poczucie tego, co jest... cenne, prawdziwe.

Teraz czuję się jak ty, paskudnie, krytykancko. Co za śmietnik. Nienawidziłaś miejsc z taką samą pasją jak ludzi... Wszystkie górnicze osady, w których mieszkaliśmy, Stany, El Paso,

twój dom, Chile, Peru.

Mullan, Idaho, w sercu gór Coeur d'Alene. Nienawidziłaś tego górniczego miasteczka najbardziej, bo to naprawdę było małe miasteczko. „Podręcznikowe małe miasteczko”. Szkoła z jedną klasą, bar, poczta, więzienie. Burdel, kościół. Niewielka półka biblioteczna w sklepie ogólnospożywczym. Zane Grey i Agatha Christie. Ratusz, w nim spotkania o zaciemnieniach i nalotach.

Wkurzałaś się na dumnych prostackich Finów przez całą drogę do domu. Zatrzymaliśmy się, żeby kupić „Saturday Evening Post” i dużą czekoladę Hershey, potem wspinaliśmy się pod górę do kopalni, a tata trzymał nas za ręce. Było ciemno, bo właśnie zaczęła się wojna i okna w mieście zaciemniano, ale gwiazdy i śnieg świeciły tak jasno, że dobrze widzieliśmy drogę... W domu tato czytał ci, dopóki nie zasnąłaś. Jeśli historia była naprawdę dobra, to płakałaś, nie dlatego, że okazywała się smutna, tylko ładna, a wszystko inne na świecie było paskudne.

Mój przyjaciel Kentshereve i ja kopaliśmy pod krzewami bzu, kiedy ty chodziłaś na brydża w poniedziałki. Trzy pozostałe kobiety ubrane w podomki, czasem nawet zostawały w skarpetkach i kapciach. W Idaho było tak zimno. Często miały wałki na włosach i turbany, przygotowywały się do... czego? Taki wciąż jest amerykański zwyczaj. Wszędzie widuje się kobiety w różowych wałkach. To jakaś demonstracja ideowa albo moda. Może kiedyś pojawi się coś lepszego.

Ty zawsze ubierałaś się starannie. Pas do pończoch. Pończochy ze szwem. Brzoskwiniowa satynowa halka, którą celowo odrobinę odsłaniałaś, żeby te wieśniaczki widziały, że ją włożyłaś. Szyfonowa sukienka z poduszkami, brosza z diamencikami. I twój płaszcz. Miałam pięć lat, ale już wtedy wiedziałam, że to zniszczony stary płaszcz. Kasztanowy, z brudnymi i wystrzępionymi kieszeniami, obdartymi rękawami. Prezent ślubny od twojego brata Tylera, sprzed dekady. Miał kołnierz z lisa. Ach, to biedne zmatowiałe futro, kiedyś srebrne, teraz pożółkłe jak obsikane tyłki niedźwiedzi polarnych w zoo. Kentshereve powiedział mi, że wszyscy w Mullan śmiali się z twoich ubrań. „Cóż, ona śmieje się z nich bardziej, i tyle”.

Chwiejnym krokiem szłaś pod górę w tanich szpilkach, z kołnierzem otaczającym starannie ułożonego ondulowanego boba. Ręka w rękawiczce łapała za poręcz chwiejnej drewnianej ścieżki biegnącej obok kopalni i młyna. W salonie rozpałałaś piecyk na węgiel, zzuwałaś buty.

Siedziałaś w ciemności, paliłaś papierosy, szlochałaś z samotności i nudy. Moja mama, pani Bovary. Czytałaś dramaty. Chciałaś być aktorką. Noel Coward. *Gasnący płomień*. Wszystko, w czym występowali Luntowie, zapamiętywałaś dialogi i recytowałaś je na głos, zmywając naczynia. „Och! Myślałam, że to twoje kroki za mną, Conradzie... Nie. Och! Myślałam, że to *twoje* kroki za mną, Conradzie...”.

Kiedy tato wracał do domu, brudny, w ciężkich górniczych butach, w kasku z latarką, brał prysznic, a ty robiłaś drinki na małym stoliku, gdzie stały kubek z lodem i syfon. (Z tym syfonem zawsze było mnóstwo kłopotów. Tata musiał pamiętać o kupowaniu naboju podczas rzadkich wyjazdów do Spokane. A większość gości odmawiała tej wody. „Nie, nie chcę tej hałaśliwej wody. Poproszę prawdziwą”). Ale takiego właśnie używali bohaterowie dramatów i *Pogoni za cieniem*.

W *Mildred Pierce* Joan Crawford miała córkę Sherry i kiedy czarny charakter spieniał drinka wodą z syfonu, zapytał Joan Crawford, czego chce się napić.

„Wezmę Sherry do domu”, odparła.

– Cóż za wspaniały tekst! – powiedziałaś do mnie, kiedy wychodziłyśmy z kina. – Chyba zmienię ci imię na Sherry, bym mogła go używać.

– A może Zimne Piwo? – zapytałam. Moje pierwsze przemądrzałstwo. Pierwszy raz, kiedy cię rozśmieszyłam.

Drugi raz był wtedy, kiedy dostawca Earl przywiózł ze sklepu skrzynkę z zakupami. Pomagałam ci ją rozpakować. Nasz dom tak naprawdę był szopą z papy, jak mówiłaś, a podłoga w kuchni wpływała do pokoju falami zgniętego linoleum i wypaczonych desek. Wyjęłam trzy puszki zupy pomidorowej i zamierzałam włożyć do szafki, ale je upuściłam. Potoczyły się po podłodze i uderzyły o ścianę. Podniosłam wzrok, myślałam, że zaczniesz wrzeszczeć albo mnie uderzysz, ale ty się śmiałaś. Wyjęłaś inne puszki z szafki i puściłaś je po podłodze.

– Hej, ścigajmy się! – powiedziałaś. – Moja kukurydza kontra twój groszek!

Kucałyśmy, śmiejąc się, puszczając puszki po podłodze i zderzając je z innymi, kiedy tata wrócił do domu.

– Przestańcie natychmiast! Odstawcie te puszki na miejsce!

A puszek było dużo. (Zbierałaś je z powodu wojny, ale on mówił, że nie powinnaś). Długo trwało, zanim włożyłyśmy wszystko do szafek, wciąż chichocząc po cichu i śpiewając *Chwalcie Pana i podajcie amunicję*, a ty podawałaś mi puszki z podłogi. Nigdy lepiej się z tobą

nie bawiłam. Udało nam się posprzątać, kiedy tata stanął w drzwiach i powiedział:

– Idź do swojego pokoju.

Poszłam. Ale to się odnosiło również do ciebie! Później już szybko się zorientowałam, że wysyłał cię do pokoju, dlatego że piłaś.

Potem już niemal zawsze większość czasu spędzałaś w swoim pokoju. Deerlodge w Montanie; Marion w Kentucky; Patagonia w Arizonie; Santiago w Chile; Lima w Peru.

Jesteśmy z Sally w jej sypialni w Meksyku, jesteśmy tu niemal nieustannie od pięciu miesięcy. Czasami wychodzimy, do szpitala na prześwietlenie i badania, by odessano jej płyn z płuc. Dwa razy wyszliśmy do Café Paris na kawę, a raz do jej przyjaciółki Elizabeth na śniadanie. Ale Sally bardzo się męczy. Nawet chemię bierze teraz w tym pokoju.

Rozmawiamy i czytamy, czytam jej na głos, ludzie wpadają w odwiedziny. Po południu słońce oświetla rośliny. Przez jakieś pół godziny. Sally twierdzi, że w lutym jest tu dużo słońca. Żadne z okien nie wychodzi na niebo, więc światło nie jest bezpośrednie, tylko odbija się od ściany obok. Wieczorami, kiedy robi się ciemno, zaciągam zasłony.

Sally i jej dzieci mieszkają tu od dwudziestu pięciu lat. Sally w ogóle nie przypomina naszej matki, jest wręcz irytującym jej przeciwieństwem, bo wszędzie i w każdym widzi piękno i dobro. Uwielbia swój pokój, wszystkie pamiątki na półkach. Siadamy w salonie, a ona mówi: „To mój ulubiony kącik, ten z paprotką i lustrem”. Albo innym razem: „To mój ulubiony kącik, ten z maską i koszykiem z pomarańczami”.

Mnie teraz wszystkie kąty doprowadzają do szaleństwa.

Sally uwielbia Meksyk z pasją konwertyty. Jej mąż, jej dzieci, jej dom, wszystko w niej jest meksykańskie. Poza nią samą. Ona jest bardzo amerykańska, w starym stylu amerykańska, w całości. W pewnym sensie ja jestem bardziej Meksykanką, mam ciemną naturę. Wiem, co to śmierć, przemoc. Najczęściej nie zauważam nawet tej chwili, w której do pokoju wpada światło słoneczne.

Kiedy nasz ojciec wyruszał na wojnę, Sally była niemowlęciem. Pojechaliśmy pociągiem z Idaho do Teksasu na ten okres duracji. *Duro* = ciężki.

Mama była taka, jaka była, między innymi dlatego, że miała bardzo proste i wygodne dzieciństwo. Jej rodzice pochodzili z najlepszych teksańskich rodzin. Mój dziadek był majętnym dentystą; mieli piękny dom ze służbą, nianię dla mamy, która ją rozpieszczała, tak jak robili to trzej starsi bracia. Potem bim bam, przejechał ją kurier z Western Union i spędziła w szpitalu

niemal rok. W trakcie tego roku wszystko się pogorszyło. Wielki kryzys, dziadek hazardzista i alkoholik. Wyszła ze szpitala i zastała świat zmieniony. Ruderę przy hucie zamiast domu, bez służby, bez własnego pokoju, bez samochodu. Jej mama, Mamie, została pielęgniarką dziadka, już nie grała w madżonga i brydża. Wszystko było ponure. I pewnie straszne, jeśli dziadek robił mamie to, co robił Sally i mnie. Nigdy o tym nie mówiła, ale na pewno to robił, skoro tak go nienawidziła, nie pozwalała, by ktokolwiek ją dotykał, nie podawała nawet ręki...

Pociąg zbliżył się do El Paso i weszło słońce. To było niesamowite, przestrzeń, otwarte przestrzenie, kiedy przyjeżdżało się z gęstych sosnowych lasów. Jakby ktoś odsłonił świat, zdjął z niego przykrywkę. Całe kilometry jasności i błękitnego, błękitnego nieba. Biegałam od okien po jednej stronie do okien po drugiej w wagonie restauracyjnym, który w końcu otworzyli, podekscytowana tym całkowicie nowym obliczem ziemi.

– To tylko pustynia – powiedziała. – Pustynna. Pusta. Jałowa. A niedługo przyjedziemy do tej diabelskiej dziury, którą kiedyś nazywałam domem.

Sally chciała, żebym pomogła uporządkować jej dom na Calle Amores. Posegregować zdjęcia, ubrania i dokumenty, naprawić zasłonkę prysznicową, szyby w oknach. Poza frontowymi drzwiami w żadnych nie było klamek; trzeba było używać śrubokrętu, żeby otworzyć szafy, i podpierać drzwi łazienkowe koszem. Wezwałam kilku robotników, by założyli klamki. No i przyszli, fajnie, szkoda, że akurat w niedzielne popołudnie, kiedy jedliśmy rodzinny obiad, i zostali chyba do dziesiątej wieczorem. Założyli klamki, ale nie dokręcili śrub, więc każda klamka, której dotknęliśmy, zostawała nam w rękach, a drzwi do szaf nie dawało się otworzyć w ogóle. Wiele śrubek odpadło i zniknęło. Następnego dnia wezwałam innych fachowców i przyszli kilka dni później rano, akurat kiedy Sally zasnęła po bardzo kiepskiej nocy. We trzech robili tyle hałasu, że kazałam im dać spokój, moja siostra jest chora, poważnie, a wy jesteście za głośni. Wróćcie kiedy indziej. Poszłam do jej pokoju, ale po chwili usłyszałam sapanie i dyszenie i zduszone łoskoty. Faceci zdejmowali wszystkie drzwi z zawiasów, żeby zanieść je na strych i tam przymocować klamki bez hałasowania.

Jestem taka wściekła, dlatego że Sally umiera? I wściekam się na cały kraj? Teraz zepsuła się toaleta. Muszą zdjąć całą podłogę.

Tęsknię za księżycem. Tęsknię za samotnością.

W Meksyku zawsze ktoś jest obok. Kiedy idziesz do swojego pokoju poczytać, ktoś zauważy, że jesteś sam, i przyjdzie, by dotrzymać ci towarzystwa. Sally nigdy nie jest sama.

Nocą zostają przy niej, dopóki się nie upewnię, że zasnęła.

Nie ma poradnika umierania. Nikt nie powie ci, co robić, jak będzie.

Kiedy byliśmy małe, opiekę nad Sally przejęła nasza babcia Mamie. Nocami mama jadła i piła i czytała kryminały w swoim pokoju. Dziadek jadł i pił i słuchał radia w swoim pokoju. Właściwie to nocą mamy najczęściej nie było, wychodziła z Alice Pomeroy i Parkerównami, grały w brydża albo jechały do Juárez. W dzień jechała do szpitala Beaumont, by odgrywać dobrą wróżkę, czytać niewidomym żołnierzom i grać w brydża z tymi okaleczonymi.

Fascynowało ją wszystko, co groteskowe, tak jak dziadka, a kiedy wracała ze szpitala, dzwoniła do Alice i opowiadała jej o żołnierskich ranach, wojennych historiach, o tym, jak żony odchodziły, gdy dowiedziały się, że żołnierz stracił rękę albo nogę.

Czasami z Alice wybierały się na tańce do jednostki, szukając męża dla Alice. Alice nigdy nie znalazła męża, do śmierci pracowała jako rozpruwaczka w Popular Dry Goods.

W Popular w dziale lamp pracował też Byron Merkel. Był kierownikiem tego działu. Nawet po tylu latach wciąż szaleńczo kochał się w mamie. W liceum oboje należeli do kółka dramatycznego i występowali we wszystkich jego sztukach. Mama była bardzo niska, ale w scenach miłosnych i tak musieli siadać, bo on miał ledwie metr sześćdziesiąt wzrostu. Gdyby urósł, pewnie zostałby słynnym aktorem.

Zabierał ją do teatru. *Kotysanka. Szklana menażeria*. Czasami przychodził wieczorami i siedzieli na huśtawce na ganku. Czytali sztuki, w których występowali w młodości. Ja zawsze siedziałam wtedy pod gankiem w małym gniazdku zrobionym ze starego koca i puszki na ciastka, w której trzymałam krakersy. *Bądźmy poważni na serio. Barretowie z ulicy Wimpole*.

On był abstynentem. Myślałam, że to oznacza, że pije tylko herbatę, bo tylko ją pił, a ona piła anhattany. To właśnie robili, kiedy usłyszałam, jak on mówi, że po tych wszystkich latach wciąż jest w niej szaleńczo zakochany. Mówił, że wie, że nie dorasta do pięt Tedowi (tacie), bardzo dziwne wyrażenie. Często powtarzał też: „Jeszcze daleka droga”, i tego także nie rozumiałam. Raz, kiedy mama narzekała na Meksykanów, powiedział: „Daj im palec, to wezmą całą rękę”. Problem z tym wszystkim, co mówił, był taki, że miał głęboki, przejmujący głos tenora, więc każde słowo wydawało się ciężkie od znaczenia, odbijało się echem w mojej głowie. Abstynent, abstynent...

Pewnego wieczoru, kiedy już poszedł do domu, mama przyszła do sypialni, w której razem spałyśmy. Wciąż piła i płakała i bazgrała, dosłownie bazgrała w swoim pamiętniku.

– Wszystko okej? – zapytałam w końcu, a ona uderzyła mnie w twarz.

– Mówiłam ci, że masz przestać mówić „okej”!

Potem przeprosiła, że się na mnie zdenerwowała.

– Po prostu nienawidzę mieszkać na Upson Street. Twój tata pisze do mnie tylko o swoim statku i żeby nie nazywała go łodzią. A jedynym romanssem w moim życiu jest skarlony sprzedawca lamp!

Teraz to nawet brzmi zabawnie, ale wtedy takie nie było, kiedy tak szlochała i szlochała, jakby miało jej pęknąć serce. Pogłaskałam ją, a ona się zdrygnęła. Nie znosiła, kiedy ją dotykano. Więc tylko patrzyłam na nią w świetle latarni wpadającym przez siatkowe okno. Patrzyłam, jak płacze. Była zupełnie sama, tak jak jest moja siostra Sally, kiedy tak płacze.

Na razie

Uwielbiam, kiedy Max mówi cześć.

Dzwoniłam do niego, gdy byliśmy jeszcze świeżymi kochankami, cudzołożnikami. Rozlegał się sygnał, odbierała sekretarka, prosiłam go do telefonu. O, cześć, mówił. Max? Stałam w budce telefonicznej półprzytomna, odchodząc od zmysłów.

Od wielu lat jesteśmy rozwiedzeni. On jest teraz inwalidą, pod tlenem, na wózku. Kiedy mieszkałam w Oakland, dzwonił do mnie pięć lub sześć razy dziennie. Cierpi na bezsenność: raz zadzwonił o trzeciej w nocy zapytać, czy jest już rano. Czasami irytowałam się i od razu rozłączałam albo w ogóle nie odbierałam telefonu.

Zwykle rozmawialiśmy o naszych dzieciach, naszym wnuku albo o kocie Maxa. Piłowałam paznokcie, szyłam, oglądałam Oakland Athletics, a on mówił. Jest zabawny, dobrze się z nim gada.

Od niemal roku mieszkam w Mexico City. Moja siostra Sally jest bardzo chora. Zajmuję się jej domem i dziećmi, przynoszę posiłki, robię zastrzyki, kąpię. Czytam jej wspaniałe książki. Godzinami rozmawiamy, płaczemy i śmiejemy się, wkurzamy na wiadomości, martwimy, że jej syn nie wraca do domu.

To jednak zagadkowe, jak bardzo się zbliżyliśmy. Od tak dawna spędzamy razem całe dnie. Widzimy i słyszymy tak samo, wiemy, co ta druga zaraz powie...

Rzadko opuszczam mieszkanie. Żadne z okien nie wychodzi na niebo, tylko na szyby wentylacyjne albo na domy obok. Z łóżka Sally widać niebo, ale ja widzę je wyłącznie wtedy, kiedy rozsuwam i zasuwam zasłony. Z nią i jej dziećmi rozmawiam po hiszpańsku, ze wszystkimi zresztą.

Właściwie to Sally i ja już tak dużo nie rozmawiamy. Kiedy mówi, boli ją w płucu. Czytam albo śpiewam, albo po prostu leżymy razem w ciemności, oddychając w jednym rytmie.

Czuję się, jakbym zniknęła. W zeszłym tygodniu na targu Sorona byłam taka wysoka, otoczona przez ciemnych Indian, z których wielu mówiło w nahuatl. Nie tylko byłam niewidzialna. Naprawdę przez długą chwilę miałam wrażenie, że w ogóle mnie tam nie ma.

Oczywiście, że mam tu jakąś siebie, nową rodzinę, nowe koty, nowe żarty. Ale próbuję pamiętać, kim byłam po angielsku.

Dlatego właśnie tak się cieszę, że Max się odzywa. Często dzwoni z Kalifornii. Cześć,

mówi. Opowiada o koncercie Percy'ego Heatha. O demonstracji przeciwko karze śmierci w San Quentin. Nasz syn Keith przygotował mu w wielkanocną niedzielę jajka po benedyktyńsku. Żona Nathana Linda powiedziała Maxowi, żeby tak często do niej nie dzwonił. Nasz wnuk Nikko mówi, że niechęć zasypiał w trakcie rozmowy.

Max opowiada mi o korkach i prognozach pogody, opisuje ubrania pokazywane w programie Elsy Klensch. Pyta o Sally.

W Albuquerque, kiedy byliśmy młodzi, zanim go poznałam, słuchałam, jak gra na saksofonie, patrzyłam, jak ściga się porszakami w Fort Sumter. Wszyscy wiedzieli, kim jest. Był przystojny, bogaty, egzotyczny. Kiedyś widziałam, jak na lotnisku żegna się ze swoim ojcem. Pocałował go na do widzenia ze łzami w oczach. Chcę takiego faceta, który całuje swojego ojca na do widzenia, pomyślałam.

Kiedy umierasz, to naturalne, że patrzysz wstecz na swoje życie, oceniasz rzeczy, masz wyrzuty sumienia. Ja również to robię, razem z moją siostrą, od kilku miesięcy. Dużo czasu nam obu zajęło, zanim zapomnieliśmy o złości i obwinianiu. Nawet nasza lista żalów i samooskarżania robi się krótsza. To właśnie listy nam teraz zostały. Przyjaciół. Miejsc. Ona chciałaby tańczyć *danzón* ze swoim kochankiem. Chce oglądać *parroquia* w Veracruz, palmy, latarnie w świetle księżyca, psy i koty między wypolerowanymi butami tancerzy. Wspominamy jednoklasowe szkoły w Arizonie, niebo, pod którym w Andach jeździłyśmy na nartach.

Już przestała się martwić o dzieci, co się z nimi stanie po jej śmierci. Ja pewnie znowu będę się martwić o swoje, kiedy stąd wyjadę, ale teraz tylko powoli dryfujemy przez wzory i rytmy każdego kolejnego dnia. Niektóre są wypełnione bólem i wymiotami, inne spokojne, gdzieś daleko gra marimba, w nocy słychać gwizd sprzedawcy *camote*...

Nie żałuję już swojego alkoholizmu. Zanim wyjechałam z Kalifornii, mój najmłodszy syn Joel przyszedł na śniadanie. Ten sam syn, którego okradałam, który powiedział, że nie jestem jego matką. Zrobiłam serowe bliny; piliśmy kawę i czytaliśmy gazetę, rzucając coś do siebie pod nosem o Rickeyu Hendersonie, George'u Bushu. Potem pojechał do pracy. Pocałował mnie i powiedział: „Na razie, Ma”. „Na razie”, odparłam.

Na całym świecie matki jedzą śniadania ze swoimi synami, odprowadzają ich do drzwi. Czy znają tę wdzięczność, którą czułam, stojąc tam, machając? Ułaskawienie.

Miałam dziewiętnaście lat, kiedy porzucił mnie pierwszy mąż. Wtedy wyszłam za Jude'a, rozsądnego mężczyznę z marnym poczuciem humoru.

Był dobrym człowiekiem. Chciał mi pomóc w wychowaniu dwóch malutkich synów.

Max był naszym świadkiem. Po ślubie w ogródku Jude poszedł do pracy, grał na pianinie w barze Al Monte. Moja najlepsza przyjaciółka Shirley, także świadkowa, zniknęła niemal bez słowa. Była bardzo zła, że wyszłam za Jude'a, uważała, że robię to z desperacji.

Max został. Kiedy dzieci poszły spać, siedzieliśmy nad weselnym tortem i piliśmy szampana. On mówił o Hiszpanii, ja o Chile. Opowiadał mi o latach na Harvardzie z Jude'em i Creeleyem. O tym, jak grał na saksofonie, kiedy zaczął się bebop. Charlie Parker i Bud Powell, Dizzy Gillespie. W tych czasach bebopu Max był heroinistą. Nie wiedziałam właściwie wówczas, co to znaczy. Heroina dobrze mi się wtedy kojarzyła... z Jane Eyre, Becky Sharp, Tess.

Jude grywał nocami. Budził się późnym popołudniem, ćwiczył albo razem z Maxem godzinami grali w duecie, a potem jedliśmy kolację. Wychodził do pracy. Max pomagał mi zmywać naczynia i kłaść dzieci do łóżek.

Nie mogłam przeszkadzać Jude'owi w pracy. Kiedy pojawiał się jakiś włóczęga, kiedy dzieci chorowały, kiedy złapałam gumę, to do Maxa dzwoniłam. Cześć, mówił.

No i tak po roku mieliśmy już romans. Był intensywny i namiętny, wielki chaos. Jude nie chciał o tym gadać. Odeszłam od niego, żeby mieszkać tylko z dziećmi. Jude przyjechał i kazał mi wsiadać do auta. Jechaliśmy do Nowego Jorku, gdzie Jude miał grać jazz i mieliśmy ocalić nasze małżeństwo.

Nigdy nie rozmawialiśmy o Maksie. W Nowym Jorku oboje ciężko pracowaliśmy. Jude ćwiczył i jamował, grał na weselach w Bronksie, na pokazach striptizu w Jersey, dopóki nie przyjęli go do związku. Ja szłam dziecięce ubranka, które sprzedawano nawet u Bloomingdale'a. Byliśmy szczęśliwi. Nowy Jork był wówczas wspaniały. Allen Ginsberg i Ed Dorn czytali w Y. Wystawa Marka Rothko w MoMA w czasie wielkiej burzy śnieżnej. Intensywne od śniegu światło wpadało przez okna w dachu; obrazy pulsowały. Słuchaliśmy Billa Evansa i Scotta LaFaro. John Coltrane na saksofonie sopranowym. Pierwszy wieczór Ornette'a w Five Spot.

W ciągu dnia, kiedy Jude spał, ja i chłopcy jeździliśmy po mieście, codziennie wysiadając na innych przystankach. Pływaliśmy promami w tę i z powrotem. Pewnego razu, kiedy Jude grał u Grossingera, rozbiliśmy obóz w Central Parku. Taki uroczy był wówczas Nowy Jork, albo ja taka głupia... Mieszkaliśmy na Greenwich Street niedaleko Washington Market, przy Fulton

Street.

Jude zrobił chłopcom czerwone pudełko na zabawki, wieszał huśtawki na rurach na naszym strychu. Był wobec nich cierpliwy i surowy. Nocami, kiedy wracał do domu, kochaliśmy się. Cała złość i smutek i czułość między nami jak prąd między ciałami. Nigdy nie wypowiadaliśmy jej głośno.

W nocy, kiedy Jude był w pracy, czytałam Benowi i Keithowi, śpiewałam im do snu, a potem szłam. Dzwoniłam do radia i prosiłam Symphony Sida, żeby puścił Charliego Parkera i Kinga Pleasure'a, aż w końcu powiedział, żebym nie dzwoniła tak często. Lata były bardzo gorące i spaliśmy na dachu. Zimy były mroźne, a w weekendy i po siedemnastej wyłączali ogrzewanie. Chłopcy wkładali do łóżka nauszniki i rękawiczki. Kiedy im śpiewałam, para leciała mi z ust.

Teraz w Meksyku śpiewam Sally piosenki Kinga Pleasure'a. *Little Red Top. Parker's Mood. Sometimes I'm happy.*

To okropne, kiedy nie możesz zrobić nic innego.

Kiedy w Nowym Jorku w nocy dzwonił telefon, to był Max.

Cześć, mówił.

Ścigał się na Hawajach. Ścigał się w Wisconsin. Oglądał telewizję i myślał o mnie. W Nowym Meksyku kwitły irysy. W sierpniu w *arroyos* gwałtowne powodzie. Topole jesienią robiły się żółte.

Często przyjeżdżał do Nowego Jorku, by słuchać muzyki, ale nigdy go nie widywałam. Dzwonił i opowiadał mi wszystko o Nowym Jorku, a ja opowiadałam mu wszystko o Nowym Jorku. Wyjdź za mnie, mówił, daj mi powód do życia. Rozmawiaj ze mną, mówiłam, nie rozłączaj się.

Pewnej nocy było bardzo zimno, Ben i Keith spali ze mną, ubrani w kombinezony. Okiennice łopotały na wietrze, okiennice tak stare jak Herman Melville. Była niedziela, więc auta nie jeździły. Na dole żaglomistrz jechał ulicą wozem zaprzężonym w konia. Stuk stuk. Zadymka z sykiem uderzała o okna i zadzwonił Max. Cześć, powiedział. Jestem na rogu, w budce telefonicznej.

Przyniósł róże, butelkę brandy i cztery bilety do Acapulco. Obudziłam chłopców i pojechaliśmy.

To nieprawda, co powiedziałam – że nie żałuję, choć wtedy nie żałowałam ani trochę. To

była po prostu jedna z wielu rzeczy, które w życiu zrobiłam źle, że tak wyjechałam.

W hotelu Plaza było ciepło. Nawet gorąco. Ben i Keith weszli do parującej kąpieli z zachwyconymi minami, jakby przechodzili teksański chrzest. Zasnęli w czystej białej pościeli. W pokoju obok ja i Max kochaliśmy się i rozmawialiśmy do rana.

Nad Illinois piliśmy szampana. Całowaliśmy się, gdy chłopcy spali naprzeciwko nas, a chmury wydymały się za oknem. Gdy wylądowaliśmy, niebo nad Acapulco pokryte było pasmami koralu i różu.

We czwórkę pływaliśmy i jedliśmy homara i znowu pływaliśmy. Rano słońce przebijało się przez drewniane okiennice, tworząc pasiasty wzór na Maksie i Benie i Keicie. Siedziałam w łóżku, patrząc na nich, szczęśliwa.

Max zanosił każdego z chłopców do łóżka i układał ich do snu. Całował słodko, tak jak całował swojego ojca. Max sypiał twardo jak oni. Myślałam, że na pewno jest zmęczony tym, co robimy, odejściem od żony, przyjęciem nowej rodziny.

Nauczył chłopców pływać i nurkować. Opowiadał im różne rzeczy. Mnie opowiadał różne rzeczy. Po prostu opowiadał o życiu, ludziach, których znał. Przerywaliśmy sobie, odpowiadając mu. Leżeliśmy na drobnym piasku Caleta Beach, rozgrzani słońcem. Keith i Ben zakopali mnie w piasku. Max palcem muskał kontur moich ust. Eksplozje kolorów od słońca pod moimi zamkniętymi zapiaszczonymi powiekami. Pożądanie.

Wieczorami chodziliśmy do parku przy nabrzeżu, gdzie wynajmowali trójkołowe rowery. Max i ja trzymaliśmy się za ręce, a chłopcy szaleńczo ścigali się po parku, przemykając obok różowej bugenwilli, czerwonych pacioreczników. Za nimi w porcie załadowywano statki.

Któregoś popołudnia moja matka i ojciec, gawędząc, weszli po trapie na norweski statek S.S. „Stavangerfjord”. Siostra napisała mi, że podróżują z Tacomy do Valparaíso. Rodzice wtedy ze mną nie rozmawiali z powodu małżeństwa z Jude'em. Nie mogłam po prostu się z nimi spotkać i oznajmić: Cześć, mamó! Cześć, tato! Czy to nie zbieg okoliczności? To jest Max.

Ale dobrze się czułam, wiedząc, że rodzice są niedaleko. A teraz stali przy burcie statku, który wypływał w morze. Ojciec spalony słońcem, w przyklepniętym białym kapeluszu. Matka paliła papierosa. Ben i Keith jeździli coraz szybciej i szybciej betonowym torem, wołając do nas, do siebie... Patrzcie!

Dzisiaj w Guadalajarze miała miejsce potężna eksplozja gazu, zginęły setki ludzi, ich domy zostały zniszczone. Max zadzwonił zapytać, czy nic mi nie jest. Powiedziałam, że wszyscy

w Meksyku uważają teraz za dobry dowcip wypytywanie znajomych: „Hej... czujesz gaz?”.

W hotelu w Acapulco znaleźliśmy przyjaciół. Don i Maria mieli sześcioletnią córkę Lourdes. Wieczorami dzieci rysowały na ich tarasie, dopóki nie zasnęły.

Siedzieliśmy do bardzo późna, aż wschodził wysoki i blady księżyc. Don i Max grali w szachy przy świetle lampy naftowej. Pieszczoty ciem. Maria i ja leżałyśmy naprzeciwko siebie na jednym dużym hamaku, cicho rozmawiając o głupotach takich jak ciuchy, o dzieciach, miłości. Byli z Donem małżeństwem zaledwie od sześciu miesięcy. Zanim go poznała, była bardzo samotna. Opowiedziałam jej, że rano wypowiadam imię Maxa, jeszcze zanim otworzę oczy. Ona mówiła, że wcześniej jej życie przypominało okropne nagranie puszczone każdego dnia wciąż od nowa, a teraz w ciągu sekundy płyta się odwróciła i rozległa się muzyka. Max podsłuchał te słowa i się do mnie uśmiechnął. Widzisz, *amor*, jesteśmy teraz po tej drugiej stronie.

Mieliśmy też innych znajomych. Nurka Raúl i jego żonę Soledad. W któryś weekend w szóstkę dusiliśmy małże na tarasie naszego hotelu. Wszystkie dzieci posłaliśmy na drzemkę. Ale one jedno po drugim pojawiały się z powrotem, pragnąc zobaczyć, co się dzieje. Do łóżka! Potem któreś chciało wody, inne po prostu nie mogło zasnąć. Do łóżka. Keith przyszedł, twierdząc, że widział żyrafę! Teraz wracaj do łóżka, niedługo cię obudzimy. Przyszedł Ben, tym razem tygrysy i słonie. No na miłość boską. Ale były, na ulicy pod nami. Parada cyrkowa. Wtedy obudziliśmy wszystkie dzieci. Jeden z cyrkowców myślał, że Max jest gwiazdą filmową, i dał nam darmowe bilety. Tamtego wieczoru poszliśmy wszyscy do cyrku. Prawdziwa magia, ale dzieci zasnęły przed końcem numeru na trapezie.

Dzisiaj w Kalifornii było trzęsienie ziemi. Max zadzwonił, by powiedzieć, że to nie jego wina i że nie może znaleźć swojego kota.

Tamtej nocy, kiedy się kochaliśmy, świecił na nas widmowy księżyc. Potem leżeliśmy obok siebie pod drewnianym obracającym się wiatrakiem, gorący, lepcy. Dłoń Maxa na moich mokrych włosach. Dziękuję, wyszeptałam, chyba do Boga...

Rankiem, gdy się budziłam, obejmował mnie, jego usta przy mojej szyi, ręka na udzie.

Pewnego dnia wstałam przed wschodem słońca, ale go nie było. W pokoju panowała cisza. Pewnie poszedł popływać, pomyślałam. Weszłam do łazienki. Max siedział na sedesie, podgrzewając coś na poczemialej łyżce. Na umywalce leżała strzykawka.

– Cześć – powiedział.

– Max, co to jest?

– Heroina – odparł.

To wygląda na koniec opowieści, albo początek, ale tak naprawdę był to tylko urywek lat, które miały nadejść. Czasu intensywnej radości w technikolorze i czasu przerażającego, ohydneho.

Urodziło nam się dwóch synów, Nathan i Joel. Podróżowaliśmy po całym Meksyku i Stanach samolotem Beechcraft Bonanza. Mieszkaliśmy w Oaxaca, w końcu osiedliśmy w wiosce na wybrzeżu Meksyku. Byliśmy szczęśliwi, wszyscy, przez długi czas, a potem zrobiło się trudno i samotnie, bo Max dużo bardziej kochał heroinę.

Odwyk nie... mówi Max przez telefon. Nawyk, tego wszyscy potrzebujemy. A może powiedz „nie”? Powinno się mówić: Nie, dziękuję. Żartuje, już od długich lat nie bierze.

Przez wiele miesięcy Sally i ja z trudem próbowałyśmy przeanalizować nasze życia, małżeństwa, dzieci. Ona nigdy nie piła i nie paliła tak jak ja.

Jej były mąż jest politykiem. Przyjeżdża niemal codziennie samochodem z dwoma ochroniarzami i z dwoma samochodami eskorty. Sally jest z nim równie blisko jak ja z Maxem. Czym w ogóle jest małżeństwo? Nigdy tego nie pojęłam. A teraz to śmierci nie rozumiem.

Nie tylko śmierci Sally. Mojego kraju, po Rodneyu Kingu i zamieszkach. Na całym świecie gniew i rozpacz.

Sally i ja piszemy sobie rebusy, żeby nie mówiła, bo bolą ją wtedy płuca. Rebus to zagadka z rysunkami zamiast słów. Przemoc to na przykład „prze” i słup elektryczny. Do bani – wielka mydlana bańka. Cicho śmiejemy się w jej pokoju, rysujemy. Właściwie to miłość nie jest już dla mnie tajemnicą. Max dzwoni i mówi „cześć”. „Moja siostra niedługo umrze”, mówię. „Jak się masz?” – pyta on.

Romans

Trudno było obsługiwać dwa stanowiska naraz. Musiałam zmieniać opatrunki, mierzyć temperaturę i ciśnienie, a jednocześnie próbowałam witać nowych pacjentów i odbierać telefony. Męczące, bo żeby zrobić EKG, pomóc przy zszywaniu rany albo pobieraniu wymazu, musiałam prosić rejestrację, żeby odbierała telefony. Poczekalnia była pełna, ludzie czuli się ignorowani, a ja słyszałam tylko dzwoniące i dzwoniące telefony.

Większość pacjentów doktora B. była bardzo stara. Często kobiety, od których pobierano cytologię, były otyłe, dostęp utrudniony, więc trwało to jeszcze dłużej.

Istniał chyba jakiś przepis mówiący, że muszę być obecna, gdy lekarz przyjmuje kobiety. Kiedyś myślałam, że to jakiś staromodny wymysł. Ale wcale nie. Zadziwiające, ile z tych starych kobiet się w nim durzyło.

Podawałam mu wziernik, a później długi patyczek. Zdejmował próbkę nabłonka z szyjki macicy i rozmywał ją na szkiełku, które trzymałam i które później spryskiwałam ochronnym sprejem. Zakrywałam szkiełko drugim, wkładałam do pudełka i opisywałam dla laboratorium.

Moim najważniejszym zadaniem było pomóc pacjentce umieścić nogi wysoko w strzemionach i przesunąć pośladki na koniec fotela, na równi ze wzrokiem lekarza. Potem rozkładałam chustę na ich kolanach i miałam sprawić, by się zrelaksowały. Gawędzić i żartować, dopóki on nie przyszedł. To łatwe, rozmawiać, znałam pacjentki i wszystkie były nawet miłe.

Trudności zaczynały się, kiedy przychodził on. Był potwornie nieśmiałym mężczyzną z bardzo drżącymi dłońmi, co objawiało się w pewnych momentach. Zawsze, kiedy podpisywał czeki albo pobierał wymaz.

Przysiadł na stołku, ze wzrokiem na wysokości ich waginy, z lampką na czole. Podawałam mu wziernik (ogrzany), a po kilku minutach, w trakcie których pacjentka dyszała i pociła się, długi patyczek z watą. Ujmował go, wymachując nim jak batutą, i zniknął pod prześcieradłem. W końcu wyłaniała się jego dłoń z patyczkiem, jak chwiejny metronom wycelowany w moje oczekujące szkiełko. W tamtym czasie jeszcze piłam, więc moja ręka trzymająca szkiełko również drżała, próbując napotkać jego. Nerwowe drganie w górę i w dół. W tę i z powrotem. W końcu plask. Ta procedura trwała tak długo, że często nie odbierał ważnych telefonów, no i oczywiście ludzie w poczekalni bardzo się niecierpliwili. Kiedyś pan Larraby zapukał nawet do drzwi i doktor B. był tak zaskoczony, że upuścił patyczek. Musieliśmy

zaczynać od nowa. Wtedy zgodził się zatrudnić recepcjonistkę na pół etatu.

Jeśli kiedyś będę szukać nowej pracy, zażądam ogromnej pensji. Jeśli ktoś pracuje za tak niewiele jak Ruth i ja wtedy, to bardzo podejrzane.

Ruth nigdy nie miała pracy i jej nie potrzebowała, co było równie podejrzane. Robiła to dla przyjemności.

Fascynowało mnie to tak bardzo, że po rozmowie kwalifikacyjnej zaprosiłam ją na lunch. Kanapkę z tuńczykiem w Pill Hill Café. Od razu polubiłam Ruth. Nigdy nie znałam kogoś takiego jak ona.

Miała pięćdziesiąt lat, od trzydziestu była żoną ukochanego z dzieciństwa, księgowego. Mieli dwoje dzieci i trzy koty. Na podaniu o pracę w rubryce hobby wpisała „koty”. Dlatego doktor B. zawsze ją pytał, jak się miewają. Ja wpisałam „książki”, więc mówił do mnie: „Nad wybrzeżem Icze-Gumi” albo „Kruk zakrakał: Kres i krach”.

Za każdym razem, gdy pojawiała się nowa pacjentka, pisał kilka zdań na odwrocie karty. Coś, co mógłby wykorzystać do nawiązania rozmowy, kiedy wchodził do gabinetu. „Uważa, że Teksas to kraj Boży”. „Ma dwa miniaturowe pudle”. „Wydaje pięćset dolarów dziennie na heroinę”. Kiedy więc się pojawiał, mówił coś w rodzaju: „Dzień dobry! Co słysząc w Bożym kraju?” albo „Jeśli sądzi pani, że dostanie ode mnie leki, jest pani w dużym błędzie”.

Przy lunchu Ruth powiedziała mi, że zaczęła się czuć stara i znudzona, więc dołączyła do grupy wsparcia. Nazwały się Milutkie Psołtne, w skrócie MP, czyli po prostu Meno Pauza. Ruth zawsze twierdziła, że to tak naprawdę dwa słowa. Celem grupy było dodanie iskry życiu. Koncentrowały się na samych członkiniach. Ostatnia dołączyła Hannah. Grupa przekonała ją, by zapisała się do Strażników Wagi, wybrała do spa Rancho del Sol, wzięła lekcje bossa novy, a potem zrobiła sobie liposukcję i lifting twarzy. Wyglądała wspaniale, ale była już w dwóch nowych grupach. Jednej dla kobiet po liftingu, ale wciąż w depresji, i w drugiej dla „kobiet, które kochają za bardzo”. Ruth westchnęła: „Hannah zawsze należała do tych kobiet, które wdają się w romanse ze sztauerami”.

Sztauer! Ruth używała zaskakujących słów jak „alebo” lub „rejwach”. Mówiła na przykład, że tęskni za „tym czasem w miesiącu”. Bo to był zawsze ciepły i przytulny czas.

Grupa MP zachęciła Ruth, by nauczyła się układać kwiaty, dołączyła do kółka teatralnego, klubu grających w Trivial Pursuit i poszukała pracy. Miała też wdać się w romans, ale o tym jeszcze nie myślała. Jej życie zyskało już iskrę. Podobała jej się florystyka, teraz uczyła

się robić bukiety z chwastów i traw. Dostała niewielką niewokalną rolę w *Oklahomie!*

Lubiłam, kiedy Ruth pracowała ze mną w gabinecie. Żartowałyśmy z pacjentami i rozmawiałyśmy o nich, jakby byli naszymi krewnymi. Ona uważała nawet, że papierologia jest fajna, i podśpiewywała sobie „Abcdefg hijk lmnop rstu wZ!”, dopóki nie przerwałam, mówiąc: „Przestań, ja to poukładam”.

Było mi teraz łatwiej pomagać przy pacjentach. Ale tak naprawdę Ruth niewiele robiła. Czytała fiszki do Trivial Pursuit i często dzwoniła do koleżanek, szczególnie do Hannah, która miała właśnie romans z instruktorem tańca.

W porze lunchu chodziłam z Ruth zbierać bukiety z chwastów, w koszmarnym gorącu, i pocąc się na poboczu drogi, zrywałam kwitnącą marchew i słoniową stopę. Kamyki wpadały do butów. Ruth wydawała się zwyczajną, ładną Żydówką w średnim wieku, ale były w niej dzikość i wolność. Ten okrzyk radości, kiedy wypatrzyła różowy wieczornik w zaułku za szpitalem.

Ze swoim mężem dorastała. Ich rodziny były sobie bardzo bliskie, bo w niewielkim miasteczku w Iowa nie mieszkało wielu Żydów. Ruth nie pamiętała, kiedy zaczęto oczekiwać, że ona i Ephraim się pobiorą. Naprawdę zakochali się w sobie w liceum. Ona potem studiowała gospodarstwo domowe i czekała, aż on zdobędzie dyplom z biznesu i księgowości. Oczywiście zachowali dziewictwo do ślubu. Wprowadzili się do rodzinnego domu Ephraima i zajmowali jego schorowaną matką. Przyjechała z nimi potem do Oakland i wciąż razem mieszkali, miała teraz osiemdziesiąt sześć lat.

Nigdy nie słyszałam, żeby Ruth narzekała, ani na chorą teściową, ani na dzieci czy Ephraima. Ja nieustannie narzekałam na moje dzieci, byłego męża albo synową, a szczególnie na doktora B. Kazał mi otwierać wszystkie paczki na wypadek, gdyby ktoś przysłał mu bombę. Kiedy do gabinetu wlatywała osa albo pszczoła, wychodził i nie wracał, dopóki jej nie zabiłam. A to tylko drobiazgi. Był wredny. Szczególnie wredny dla Ruth; mówił: „I tyle dostaję za to, że zatrudniłem niepełnosprawną?”. Nazywał ją Dysleksją, bo przestawiała cyfry w numerach telefonicznych. Często to robiła. Co kilka dni kazał mi ją zwolnić. Mówiłam, że nie możemy tego zrobić, bo nie ma powodu. Naprawdę mi pomagała, a pacjenci ją lubili. Rozweselała to miejsce.

– Nie znoszę wesołości – mówił. – Mam ochotę trzasnąć Ruth w twarz i zetrzeć ten uśmiezek.

Ona wciąż była dla niego miła. Uważała, że jest jak Heathcliff albo pan Rochester z *Jane Eyre*, tylko mały. „Tak, naprawdę mały”, dodawałam. Ale Ruth nigdy nie słuchała negatywnych

komentarzy. Uważała, że ktoś kiedyś musiał złamać serce doktorowi B. Przynosiła mu kugel, rugelach i hamantasze, zawsze znajdowała powód, by wejść do jego gabinetu. Nie zdawałam sobie sprawy, że wybrała go na obiekt swojego romansu, dopóki nie przyszedł kiedyś do mojego biura. Zamknął drzwi i powiedział:

– Musisz ją zwolnić! Ona ze mną flirtuje! To niestosowne.

– Cóż, choć wydaje się to dziwne, ona uważa pana za szalenie atrakcyjnego. Wciąż jej potrzebuję. Trudno jest znaleźć kogoś, z kim dobrze się pracuje. Cierpliwości, sir.

„Sir” podziałało jak zawsze.

– No dobrze – westchnął.

Była dla mnie dobra, dodała iskry mojemu życiu. Zamiast spędzać przerwę lunchową na rozmyślaniu i popalaniu w zaułku, mogłam się ubrudzić i dobrze bawić, zbierając z Ruth kwiaty. Zaczęłam nawet gotować, wykorzystując część z setek przepisów, które całymi dniami kserowałam. Pieczone perłowe cebulki z odrobiną brązowego cukru. Przynosiła ciuchy z lumpeksu Schmatta, a ja je kupowałam. Kilka razy, kiedy Ephraim był zmęczony, poszliśmy razem do opery.

Cudownie było chodzić z Ruth do opery, ponieważ w przerwie nie stała znudzona jak wszyscy pozostali. Oprowadzała mnie po foyer, żeby podziwiać stroje i biżuterię. Szlochałam z nią na *Traviacie*. Naszą ulubioną była aria starej kobiety w *Damie pikowej*.

Ktoregoś dnia Ruth poprosiła doktora B., żeby poszedł z nią do opery.

– Nie! Co za niestosowna prośba! – powiedział.

– Co za dupek – oznajmiłam, kiedy wyszedł.

Ona tylko odparła, że lekarze są zbyt zajęci na romanse, więc chyba będzie musiała zdecydować się na Juliusa.

Julius był emerytowanym dentystą, również występującym w *Oklahomie!* Wdowiec, otyły. Ruth twierdziła, że gruby znaczy dobry, ciepły i pocieszający.

Zapytałam, czy robi to, ponieważ Ephraim już nie jest zainteresowany seksem.

– *Au contraire!* – powiedziała. – To pierwsze, o czym myśli każdego ranka, i ostatnie, o czym myśli wieczorem. A jeśli jest w domu w ciągu dnia, to też mnie wtedy ściga. Naprawdę...

Zobaczyłam Juliusa na pogrzebie matki Ephraima w Chapel of the Valley. Staruszka umarła spokojnie, we śnie.

Ruth i jej rodzina stali na schodach domu pogrzebowego. Dwoje uroczych dzieci,

przystojnych, pełnych wdzięku, pocieszało rodziców. Ruth i Ephraima. Ephraim był śniady, przystojny. Szczupły, tajemniczy, smutny. To on wyglądał jak Heathcliff. Jego smutne rozmarzone oczy uśmiechnęły się do mnie.

– Dziękuję, że jesteś dobra dla mojej żony.

– Przyszedł! – wyszeptała Ruth, pokazując zaczerwienionego Juliusa.

Złote łańcuchy, opięta jednorzędowa marynarka. Najwyraźniej żuł gumy Clorets, bo miał zielone zęby.

– Oszałałaś! – wyszeptałam w odpowiedzi.

Ruth wybrała tę kaplicę, bo tutejszych grabarzy najbardziej lubiliśmy. Pacjenci doktora B. często umierali, więc niemal codziennie przyjeżdżał ktoś z zakładu pogrzebowego z prośbą o powtórne podpisanie aktu zgonu. Przepisy wymagały czarnego atramentu, ale doktor B. uparcie podpisywał niebieskim, więc pili kawę i czekali, dopóki nie wrócił i nie podpisał się na czarno.

Stałam z tyłu kaplicy, zastanawiając się, gdzie usiąść. Przyszło wiele kobiet z organizacji Hadassah, zrobiło się tłoczno. Jeden z pracowników zakładu pogrzebowego podszedł do mnie i powiedział: „Ślicznie wyglądasz w szarym, Lily”. Ten drugi, z kwiatem w butonierce, przeszedł między ławkami i cichym smutnym głosem powiedział: „Miło, że przyszałaś, kochana. Znajdę ci jakieś dobre miejsce”. Ruszyłam za nimi przejściem, zadowolona, jakby ktoś rozpoznał mnie w restauracji.

To była piękna uroczystość. Rabin czytał fragment z Biblii o tym, że dobra żona jest cenniejsza niż perły. Zdaje mi się, że nikt nie pomyślałby tak o zmarłej. Ale moim zdaniem to czytanie było o Ruth, tak myśleli też Ephraim i Julius, bo obaj się na nią gapili.

W poniedziałek próbowałam z nią porozmawiać.

– Jesteś kobietą, która ma wszystko. Zdrową, ładną, zabawną. Masz dom na wzgórzu. Sprzątaczkę. Zgniatarkę do śmieci. Cudowne dzieci. I Ephraima! A on jest przystojny, mądry, bogaty. I widać, jak cię uwielbia!

Dodałam też, że grupa wsparcia próbuje nią pokierować w złym kierunku. Nie powinna ranić Ephraima. Tylko dziękować losowi. MP były po prostu zazdrosne. Pewnie miały mężów alkoholików, którzy oglądali mecze, byli impotentami albo zdradzali. Ich dzieci nosiły ze sobą pagery, miały kolczyki, tatuaże, brały prochy albo chorowały na bulimię.

– Myślę, że wstydzisz się być szczęśliwa i zrobisz to, by móc opowiedzieć o romansie koleżankom. Rozumiem. Gdy miałam jedenaście lat, ciotka podarowała mi pamiętnik. Pisałam w

nim tylko „poszłam do szkoły, odrobiłam lekcje”. Zaczęłam więc robić złe rzeczy, żeby mieć o czym pisać.

– Ale to nie będzie romans na poważnie – odparła. – Tylko żeby trochę podkręcić życie.

– A gdybym ja miała romans z Ephraimem? To by podkręciło moje życie. Zrobiłabyś się zazdrosna i na nowo do szaleństwa w nim zakochała.

Uśmiechnęła się. Niewinnie, jak dziecko.

– Ephraim nigdy by tego nie zrobił. Kocha mnie.

Uznałam, że darowała sobie romansowanie, dopóki w któryś piątek nie przyniosła do pracy gazety.

– Wychodzę dzisiaj wieczorem z Juliusem. Ale Ephraimowi powiem, że wychodzę z tobą. Widziałaś któryś z tych filmów, żeby mi o nich opowiedzieć?

Opowiedziałam jej wszystko o *Ran*, szczególnie o scenie, w której kobieta wyciąga sztylet i błazen szlocha. Błękitne sztandary między drzewami, czerwone sztandary między drzewami, białe sztandary między drzewami. Zaczynałam się wkręcać, ale mi przerwała: „Stop!”, i zapytała, gdzie poszłyśmy po kinie. Zabrałam nas, ich, do Café Roma w Berkeley.

Wychodziła z Juliusem w każdy piątek. Ich romans mi się przydał. Zwykle wracałam po pracy do domu, czytałam powieści i piłam czystą wódkę, aż zasnęłam, i tak dzień po dniu. W trakcie tego Romansu zaczęłam naprawdę chodzić na koncerty smyczkowe, do kina, słuchałam Ishiguro i Leslie Scalapino, a Ruth i Julius chodzili do Hungry Tiger albo Rusty Scupper.

Spotykali się prawie przez dwa miesiące, zanim zrobili Sami Wiecie Co. Miało się to wydarzyć w Big Sur, w trakcie trzydniowego wyjazdu. Co powiedzieć Ephraimowi?

– Ależ to proste – odparłam. – Pojedziemy do ośrodka zen. Bez telefonów! Nic do opowiadania, bo będziemy tylko milczeć i medytować. Siedzieć w gorących źródłach pod gwiazdami. W pozycji lotosu na klifach wychodzących na ocean. Niekończące się fale. Niekończące.

W ciągu tych trzech dni irytowało mnie, że nie mogę swobodnie wychodzić i muszę pilnować telefonów. Ale udało się. Ephraim zabierał dzieci na obiady, karmił koty, podlewał rośliny i tęsknił za nią. Bardzo bardzo tęsknił.

W poniedziałek po wycieczce w biurze czekały trzy ogromne bukiety róż. Na pierwszym bileciku widniało: „Mojej ukochanej żonie z miłością”. Drugi przysłał „Twój tajemniczy wielbiciel”, a na trzecim napisano: „Ona promienieje pięknem”. Ruth wyznała, że ten trzeci sama

sobie przysłała. Uwielbiała róże. Obu mężczyznom podpowiadała, że uwielbia róże, ale nie marzyła, że naprawdę przysła jej kwiaty.

– Pozbądź się tych pogrzebowych dekoracji – powiedział doktor B., wychodząc do szpitala.

Wcześniej znowu kazał mi zwolnić Ruth, a ja znowu odmówiłam. Dlaczego on jej tak nie lubił?

– Mówiłem ci. Jest za wesoła.

– Zwykle też tak myślę o wesołych ludziach. Ale ona jest szczerą.

– Jezu. To dopiero przygnębiające.

– Proszę, niech pan da jej szansę. Zresztą mam wrażenie, że niedługo zrobi się nieszczęśliwa.

– Mam nadzieję.

Ephraim zajrzał do gabinetu, żeby zabrać Ruth na kawę. Przez cały ranek nic nie robiła, gadała tylko przez telefon z Hannah. Wiedziałam, że on przyszedł głównie po to, żeby sprawdzić, czy podobają się jej róże. Bardzo zdenerwowały go pozostałe bukiety. Ruth wyjaśniła, że jeden przysłała pacjentka Anna Fedaz, ale potem tylko zachichotała w sprawie tajemniczego wielbiciela. Biedaczek, patrzyłam, jak obrywa w twarz zazdrością. Prosto w serce. Lewy sierpowy w brzuch.

Zapytał, jak mi się podobało w ośrodku. Nie znoszę kłamać, naprawdę tego nienawidzę. Nie z powodów moralnych. Ale trzeba uważać, co się mówi. Pamiętać, co się już powiedziało.

– Było bardzo ładnie. Ruth jest szczęśliwa i chyba świetnie pasowała do tamtej atmosfery. Mnie trudno się medytuje. Nieustannie się martwię albo analizuję każdy błąd, który w życiu popełniłam. Ale to było bardzo, eee, uspokajające. Wyciszające. Musicie już iść. Miłego lunchu!

Później Ruth zdradziła mi tę wielką sensację. Big Sur naprawdę okazało się największą przygodą jej życia. Wiedziała, że nie będzie mogła powiedzieć koleżankom z MP, że robiła Sami Wiece Co. S. oralny po raz pierwszy! No tak, miała już s. oralny z Ephraimem, ale nikt nigdy nie robił tego *jej*. No i M-A-R...

– W środku na pewno jest „H”.

– Marihuana?

– Cicho! Głównie to kaszlałam i się denerwowałam. Ale s. oralny był bardzo fajny. Tylko kiedy ciągle mnie pytał „Jesteś gotowa?”, to miałam wrażenie, że gdzieś jedziemy, i traciłam

nastrój.

Za dwa tygodnie zamierzali wybrać się do Mendocino. W wersji oficjalnej jechałyśmy na warsztaty pisania i targi książki w Petalumie. Gościem miał być Robert Haas.

Któregoś wieczoru w środku tygodnia Ruth zadzwoniła z pytaniem, czy może wpaść. Czekałam więc na nią jak durna, nie rozumiałam, że to przykrywka, bo pojechała spotkać się z Julusem. Dlatego kiedy zadzwonił Ephraim, w moim głosie naprawdę brzmiała irytacja, bo ona wciąż nie przyjechała; za drugim razem byłam jeszcze bardziej zła.

– Każę jej zadzwonić, jak tylko dojedzie.

Po jakimś czasie on znowu zadzwonił, wściekły, bo Ruth zdążyła wrócić do domu i powiedziała, że nie przekazałam jej wiadomości.

Następnego dnia oznajmiłam, że nie będę już dłużej jej kryć. Odparła, że nic nie szkodzi, bo od poniedziałku zaczynają próby do sztuki.

– Ty i ja chodzimy na lekcje florystyki w piątki, w Laney. I tyle.

– I to będzie koniec. I tak masz szczęście, że nie wypytywał o szczegóły.

– Nie zrobiłby tego, bo mi ufa. Ale teraz mam czyste sumienie. Julius i ja nie robimy już Sama Wiesz Czego.

– W takim razie *co* robicie? Po co te wszystkie tajemnice? Żeby *nie* robić Sama Wiesz Czego?

– Uznaliśmy, że żadne z nas nie jest typem swingersa. Ja dużo bardziej lubię Sama Wiesz Co z Ephraimem, a Julius nie jest specjalnie zainteresowany. Lubię to skradanie się. On lubi kupować mi prezenty i gotować dla mnie. Ja najbardziej lubię pukać do drzwi pokoju w motelu w Richmond albo gdzie indziej, a on wtedy otwiera i ja pospiesznie wchodzę do środka. Serce wali mi jak młotem.

– W takim razie *co* robicie?

– Gramy w Trivial Pursuit, oglądamy filmy. Czasami śpiewamy. W duecie, na przykład *Bali Hai* albo *Oh, What a Beautiful Morning*. Chodzimy o północy na spacer w deszczu!

– Teraz dopiero będziesz sobie chodzić w deszczu! – zawołał doktor B. Nie zauważyłyśmy, że wszedł.

Był bardzo poważny. Czekał, aż Ruth spakuje wszystkie swoje egzemplarze *Bon Appétit*, fiszki z Trivial Pursuit i robótki. Kazał mi wypisać jej czek na dwutygodniową pensję plus to, co byliśmy winni.

Po wyjściu doktora B. Ruth zadzwoniła do Juliusa i kazała mu natychmiast przyjść do Denny's.

– Moja kariera legła w gruzach! – szlochała.

Uściskała mnie na do widzenia i wyszła. Przeniosłam się za jej biurko, skąd widziałam poczekalnię.

W drzwiach pojawił się Ephraim. Podszedł powoli i uściśnął mi dłoń.

– Lily – powiedział swoim aksamitnym głębokim głosem.

Wyjaśnił, że miał się spotkać z Ruth w Pill Hill Café na lunch, ale ona się nie pojawiła. Odparłam, że doktor B. zwolnił ją bez powodu. Pewnie zupełnie zapomniała o lunchu albo pojechała do domu. A może na zakupy.

Ephraim nie ruszył się z miejsca.

– Może znaleźć dużo lepszą pracę – powiedziałam. – Kieruję tym biurem i oczywiście dam jej dobre referencje. Naprawdę będę za nią tęsknić.

Nie ruszał się, tylko na mnie patrzył.

– A ona będzie tęsknić za tobą. – Pochylił się do okienka przy moim biurku. – Tak będzie najlepiej, kochana. Musisz wiedzieć, że rozumiem. Uwierz, wiem, co czujesz.

– Słucham?

– Jest wiele rzeczy, które macie ze sobą wspólnego, a których ja nie podzielam.

Literatura, buddyzm, opera. Ruth kocha się bardzo łatwo.

– O czym ty mówisz?

Wtedy wziął mnie za rękę i spojrzał mi głęboko w oczy, a jego ciepłe brązowe oczy wypełniły się łzami.

– Tęsknię za moją żoną. Proszę, Lily. Pozwól jej odejść.

Po moich policzkach zaczęły płynąć łzy. Było mi naprawdę smutno. Nasze dłonie stały się ciepłym mokrym stosikiem na ladzie.

– Nie martw się – odparłam. – Ruth kocha tylko ciebie, Ephraimie.

Uśmiechnij się do mnie

Możecie mi wierzyć, grób ma nad nami większą władzę niż oczy ukochanej. Otwarty grób ma moc wszystkich magnesów. Tobie to mówię, tobie, która gdy się uśmiechasz, przywodzisz na myśl początek świata.

Vicente Huidobro, *Altazor*⁹

Jesse zupełnie mnie zaskoczył. A jestem dumny z tego, że zwykle trafnie oceniam ludzi. Zanim dołączyłem do firmy Grilliga, byłem obrońcą z urzędu przez tak długi czas, że nauczyłem się oceniać klienta albo przysięgłego niemal od pierwszego spojrzenia.

W dodatku nie zdążyłem się przygotować, ponieważ sekretarka nie zapowiedziała go przez interkom, a spotkania wcześniej nie umówił. Elena po prostu wprowadziła go do mojego gabinetu.

– Panie Cohen, przyszedł Jesse.

Elena przedstawiła go jak kogoś ważnego, wymieniając tylko imię. Był taki przystojny, wszedł do środka z taką pewnością siebie, że wziąłem go za jakąś nieznaną mi gwiazdę rocka używającą imienia jako pseudonimu.

Był ubrany w czarne dżinsy, czarną jedwabną koszulę i kowbojki. Miał długie włosy, pobrużdżoną, wyrazistą twarz. Na pierwszy rzut oka koło trzydziestki, ale kiedy uściśnął mi dłoń, w jego uśmiechu pojawiła się trudna do opisanego słodycz, w orzechowych oczach niewinna i przypominająca dziecko otwartość. Szorstki, niski głos zdezorientował mnie jeszcze bardziej. Mówił tak, jakby cierpliwie wyjaśniał coś młodej, niedoświadczonej osobie. Mnie.

Powiedział, że odziedziczył dziesięć tysięcy dolarów i chce je wykorzystać, by mnie zatrudnić. Kobieta, z którą mieszka, ma kłopoty, mówił, i za dwa miesiące czeka ją proces. Dziesięć zarzutów.

Nie chciałem mu mówić, ile mogę zrobić za te pieniądze.

– Nie ma wyznaczonego obrońcy z urzędu? – zapytałem.

– Miała, ale duppek zrezygnował. Twierdził, że jest winna i zła, zboczona.

– Skąd pan wie, że też tak nie pomyślę?

– Nie pomyśli pan. Ona twierdzi, że jest pan najlepszym prawnikiem od praw

obywatelskich w mieście. Ale ona nie wie, że ja tu jestem. Ma pomyśleć, że robi pan to charytatywnie. Dla dobra sprawy. To mój jedyny warunek.

Próbowałem mu przerwać, powiedzieć: „Zapomnij, synu”. Powiedzieć twardo, że odmawiam. Nie stać go było na mnie. Nie chciałem ruszać tej sprawy. I nie mogłem uwierzyć, że ten biedny dzieciak chciał wydać wszystkie swoje pieniądze. Zdażyłem już znienawidzić tę kobietę. Cholera, z pewnością była winna i zła!

Według niego problemem był raport policyjny, który przeczytają sędzia i przysięgli. Skażą ją z góry, ponieważ wpisano tam pełno przeinaczeń i kłamstw. Uznał, że mogę ją wybronić, wykazując, że aresztowanie było niesłuszne, raport ją oczernia, gliniarz, którego uderzyła, był brutalny, policjant aresztujący jest psycholem, a dowody sfabrykowano. Miał pewność, że potrafię udowodnić, że takich niesłusznych aresztowań da się znaleźć więcej, a historia agresywnego zachowania funkcjonariuszy okaże się dłuższa.

Miał jeszcze więcej wskazówek co do tego, jak powinienem podejść do sprawy. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego nie wybuchnąłem, nie kazałem mu spadać. Argumentował z pasją i logicznie. Powinien był zostać prawnikiem.

Nie tylko go polubiłem. Zacząłem rozumieć, że wydanie całego spadku było dlań koniecznym rytuałem przejścia. Bohaterskim, szlachetnym gestem.

Jesse zdawał się pochodzić z innej epoki, innej planety. W pewnym momencie powiedział nawet, że ta kobieta nazywała go Mężczyzną, Który Spadł na Ziemię. To nieco złagodziło moją opinię o niej.

Poprosiłem Elenę, żeby odwołała następne spotkanie i nie łączyła rozmów. On opowiadał przez całe rano, jasno i zrozumiale, o ich związku, o jej aresztowaniu.

Jestem adwokatem. Jestem cynikiem. Jestem materialistą, chciwym człowiekiem. Powiedziałem, że wezmę tę sprawę za darmo.

– Nie. Dziękuję – odparł. – Proszę tylko powiedzieć *jej*, że prowadzi pan ją za darmo. Ale to moja wina, że znalazła się w tarapatach, i chcę za to zapłacić. Ile to będzie? Pięć tysięcy? Więcej?

– Dwa tysiące – odparłem.

– Wiem, że to nie wystarczy. Może trzy?

– Umowa stoi – powiedziałem.

Zdjął jedną kowbojkę i odliczył trzydzieści ciepłych setek, rozłożył je na moim biurku jak

karty. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Dziękuję, że się pan zgodził, panie Cohen.

– Nie ma sprawy. Mów mi Jon.

Usiadł z powrotem i opowiedział mi wszystko ze szczegółami.

W zeszłym roku Jesse i jego kumpel Joe rzucili naukę i uciekli z Nowego Meksyku. Jesse grał na gitarze, chciał to robić w San Francisco. W osiemnaste urodziny miał odziedziczyć pieniądze po pewnej starszej pani z Nebraski (kolejna łzawa historia). Zamierzał wyjechać do Londynu, gdzie zaproponowano mu dołączenie do kapeli. Angielski zespół grał wcześniej w Albuquerque, spodobały się im piosenki i gra Jessego. Kiedy dotarli do Bay Area, nie mieli z Joem gdzie mieszkać, więc Jesse odnalazł Bena, najlepszego przyjaciela z gimnazjum. Matka Bena nie wiedziała, że chłopcy uciekli z domów. Zgodziła się, żeby przez jakiś czas pomieszkali w garażu. Później, kiedy się wydało, zadzwoniła do ich rodziców, uspokoiła ich i przekazała, że nic im nie jest.

Wszystko się poukładało. Jesse i Joe pracowali w ogródkach, wynosili śmieci, wykonywali różne dorywcze prace. Jesse grywał z innymi muzykami, pisał piosenki. Dobrze dogadywali się z Benem i jego matką Carlottą. Ona doceniała, że Jesse spędza czas z jej najmłodszym synem Saulem, którego zabierał na mecze baseballu, na ryby, na wspinaczkę w Tilden. Carlotta uczyła w szkole, ciężko pracowała i przydawała się jej pomoc z praniem, zakupami i zmywaniem naczyń. W każdym razie, opowiadał Jesse, to był dla wszystkich dobry układ.

– Poznałem Maggie jakieś trzy lata wcześniej. Wezwali ją do naszego gimnazjum w Albuquerque. W czasie lunchu ktoś dodał Benowi kwas do mleka. On się zestrząchał, nie wiedział, co się dzieje. Przyjechała go odebrać. Pozwolili mnie i Joemu jechać z nimi na wypadek, gdyby Ben zrobił się agresywny. Myślałem, że zabierze go do szpitala, ale zamiast tego pojechaliśmy nad rzekę. Siedzieliśmy we czwórce w sitowiu i obserwowaliśmy epoletniki, uspokajając Bena, tak że w końcu miał po prostu fajną wycieczkę, Maggie i ja dobrze się dogadywaliśmy, gadaliśmy o ptakach i rzece. Zwykle nie mówię zbyt dużo, ale przy niej zawsze miałem wiele do powiedzenia.

W tej chwili włączyłem dyktafon.

– I tak spędziliśmy w ich domu w Berkeley miesiąc, a potem kolejny. Wieczorami siadywaliśmy wszyscy przy kominku, rozmawiając, żartując. Joe miał już wtedy dziewczynę,

Ben również, więc wychodzili. Ben był w ostatniej klasie, sprzedawał swoją biżuterię i zdjęcia gwiazd rocka na Telegraph, więc rzadko go widywałem. W weekendy jeździłem do portu albo na plażę z Saulem i Maggie.

– Przepraszam, ale mówiłeś, że miała na imię Carlotta. Kim jest Maggie?

– Ja nazywam ją Maggie. Wieczorami sprawdzała testy, ja grałem na gitarze. Czasami rozmawialiśmy całymi nocami, opowiadaliśmy sobie o naszym życiu, śmiejąc się, płacząc. Oboje jesteśmy alkoholikami, to z jednej strony problem, ale z drugiej pomaga, bo opowiadamy sobie o tym, o czym nigdy przedtem nie mówiliśmy nikomu innemu. Mieliśmy równie okropne, straszne dzieciństwo, choć z innych powodów. Kiedy zaczęliśmy być ze sobą, jej synowie ześwirowali, znajomi mówili, że to chore, kazirodce. Jesteśmy kazirodcami, ale w dziwnym sensie. Jakbyśmy byli bliźniętami. Tą samą osobą. Ona pisze opowiadania. Robi w nich to samo, co ja robię w muzyce. W każdym razie codziennie poznawaliśmy się głębiej, więc kiedy w końcu wyładowaliśmy w łóżku, mieliśmy wrażenie, że już wcześniej byliśmy wewnątrz siebie. Pozostaliśmy kochankami przez dwa miesiące, zanim nadeszła pora mojego wyjazdu. Dwudziestego ósmego grudnia, w dniu osiemnastych urodzin, miałem odebrać pieniądze w Albuquerque i pojechać do Londynu. Zachęcała mnie do wyjazdu, mówiła, że potrzebuję nowych doświadczeń i musimy się rozstać. Nie chciałem jechać do Londynu. Może i jestem młody, ale wiem, że to, co jest między nami, to o cały kosmos więcej, niż zwykle się dzieje między ludźmi. Znamy swoje dusze, wszystko, co złe i co dobre. Kochamy się i jesteśmy dla siebie dobrzy.

Opowiedział, jak jechał na lotnisko z nią i Joem. Nóż, który kumpel miał przy pasku, i zamki błyskawiczne w jego kurtce uruchomiły alarmy na bramkach. Całą trójkę dokładnie przeszukiwano, więc Jesse spóźnił się na lot. Wpadł w szal, że jego gitara i nagrania zostały w samolocie, aż zakuto go w kajdanki, a kiedy weszła Maggie, policjanci go bili.

– Wszystkich nas aresztowano. Napisali o tym w raporcie – ciągnął. – Nagłówek w gazecie brzmiał: „Nauczycielka z luterańskiej szkoły i Hell’s Angels w burdzie na lotnisku”.

– Należysz do Hell’s Angels?

– Oczywiście, że nie. Ale w raporcie napisano inaczej. Joe wygląda jak członek gangu, pewnie chciałby nim być. Kupił chyba z dziesięć egzemplarzy tamtej gazety. No a potem Maggie i Joego zamknięto w areszcie w Redwood City. Ja spędziłem noc w ośrodku dla młodocianych, a potem wysłali mnie do Nowego Meksyku. W dzień urodzin zadzwoniła Maggie, mówiąc, że wszystko jest w porządku. Nie wspomniała o żadnym procesie ani o tym, że wyrzucono ją z

domu i z pracy, a były mąż zabiera dzieci do Meksyku. Ale Joe mi powiedział, choć prosiła, by tego nie robił. Dlatego tutaj wróciłem.

– Co ona o tym sądzi?

– Była wściekła. Powiedziała, że muszę wyjechać i ruszać do Londynu. Że mam się uczyć i rozwijać. I uwierzyła w te wszystkie bzdury – że jest złą kobietą, bo miałem siedemnaście lat, kiedy zaczęliśmy być ze sobą. To ja ją uwiodłem. Chyba nikt oprócz niej tego nie rozumie. Nie jestem typowym nastolatkiem.

– Zgadza się – powiedziałem.

– W każdym razie teraz jesteśmy parą. Ona zgodziła się nie podejmować żadnych decyzji do czasu zakończenia procesu. Nie szukać pracy ani domu. Ja mam nadzieję, że ona po wszystkim ze mną wyjedzie.

Podał mi raport policyjny.

– Najlepiej, żebyś go przeczytał, a potem porozmawiamy. Wpadnij na kolację. Może być piątek? Jak już przeczytasz. Może uda ci się dowiedzieć czegoś o tym gliniarzu. Obu gliniarzach. Przyjedź wcześniej – mówił. – Od razu, jak skończysz pracę. Mieszkamy niedaleko.

Nic już nie pasowało. Nie mogłem powiedzieć, że to niewłaściwe. Że mam inne plany. Że mojej żonie się to nie spodoba.

– Jasne, będę o szóstej.

Adres, który mi podał, znajdował się w jednej z najgorszych dzielnic miasta.

To było piękne Boże Narodzenie. Śliczne prezenty, wspaniała kolacja. Keith zaprosił Karen, jedną z moich uczennic. Może to dziecinne, ale sprawiło mi przyjemność, że widział, jak bardzo ona mnie szanuje. Dziewczyna Bena, Megan, upiekła paszteciki z mięsem. Oboje pomogli mi z kolacją, było fajnie. Przyszedł nasz znajomy Larry. Ogień w kominku, miły dzień w starym stylu.

Nathan i Keith tak bardzo cieszyli się z wyjazdu Jessego, że byli dla niego naprawdę mili, dali mu nawet prezenty. Jesse zrobił prezenty dla wszystkich. Było serdecznie i świątecznie, dopóki później w kuchni Jesse nie zapytał mnie szeptem: „Hej, Maggie, co zrobisz, kiedy wyjadę?”, i myślałam, że pęknie mi serce. Podarował mi pierścionek z gwiazdą i księżycem. Przypadkiem daliśmy sobie podobne srebrne piersiówki. Uważaliśmy, że to superpomysł. Nathan powiedział: „Ma, to obrzydliwe”, ale wtedy go nie słuchałam.

Samolot Jessego odlatywał o szóstej. Joe chciał się zabrać. Wiozłam nas w deszczu na

lotnisko. W radiu leciały *The Joker* i *Jumpin' Jack Flash*. Joe popijał piwo z puszki, Jesse i ja whisky z butelki. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wspieram przestępczość młodocianych; obaj już pili, kiedy się poznaliśmy. Kupowali alkohol, nigdy nie sprawdzano im dokumentów. A prawda jest taka, że wypierałam własny alkoholizm do takiego stopnia, że tym bardziej nie martwiłam się o nich.

Kiedy weszliśmy na lotnisko, Jesse zatrzymał się i powiedział:

– Jezu. Przecież wy dwoje nigdy nie znajdziecie tego auta.

Zaśmialiśmy się, nie wiedząc, że to się sprawdzi.

Nie byliśmy pijani, ale podchmieleni i podekscytowani. Ja próbowałam nie okazywać, jak bardzo nie chcę, żeby wyjeżdżał.

Teraz już wiem, że musieliśmy przykuwać wtedy uwagę. Wszyscy jesteśmy bardzo wysocy. Joe, śniady Indianin Laguna, z długimi czarnymi warkoczami, w motocyklowej skórzanej kurtce i z nożem przy pasku. Ciężkie buty, suwaki i łańcuchy. Jesse ubrany na czarno, z workiem podróżnym i gitarą. Jesse. Był jak z innego świata. Nie miałam siły na niego patrzeć, na jego szczękę, zęby, złote oczy, długie włosy opadające na ramiona. Rozpłakałabym się, gdybym spojrzała. Z okazji świąt miałam na sobie czarny aksamitny garnitur i biżuterię Navajo. O cokolwiek chodziło, nasza trójka plus wszystkie te alarmy, które metale Joego uruchomiły na bramkach bezpieczeństwa... Uznali nas za niebezpiecznych, zabrali do osobnych pokojów i przeszukali. Zaglądali mi w bieliznę, do torebki, dotykali włosów, skóry między palcami u nóg. Wszędzie. Kiedy stamtąd wyszłam, nie mogłam znaleźć Jessego, pobiegłam więc do gejtu. Lot Jessego zamknięto. On sam wrzeszczał na pracownika lotniska, że w samolocie zostały jego gitara i nagrania. Musiałam pójść do łazienki. Kiedy stamtąd wyszłam, przy stanowisku nikogo nie było. Samolot odleciał. Zapytałam kogoś z obsługi, czy wysoki młody mężczyzna ubrany na czarno zdążył wsiąść. Facet skinął głową w kierunku jakichś drzwi bez napisu. Weszłam do środka.

W pokoju było pełno strażników i policjantów. W powietrzu unosił się ostry zapach potu. Dwóch strażników przytrzymywało zakutego w kajdanki Joego. Dwóch policjantów trzymało Jessego, a trzeci bił go w głowę długą latarką. Po twarzy Jessego spływała strużka krwi i wsiąkała w koszulę. Krzyczał z bólu. Niezauważona przeszłam przez pokój. Wszyscy patrzyli na policjanta bijącego Jessego, jakby oglądali walkę w telewizji. Złapałam latarkę i uderzyłam nią policjanta w głowę. Upadł z łąnieniem.

– O Jezu, on nie żyje – powiedział któryś.

Jessego i mnie skuto i zabrano przez lotnisko do niewielkiego komisariatu znajdującego się w piwnicy. Siedzieliśmy obok siebie, z dłońmi unieruchomionymi za oparciami krzeseł. Zasychająca krew skleiła powieki Jessego. Nic nie widział, a rana na głowie wciąż krwawiła. Błagałam, by ją oczyścili albo zakleili. Żeby przemyli mu oczy. Umyją was w więzieniu w Redwood, powiedział strażnik.

– Kurwa, Randy, ten koleś jest nieletni! Niech ktoś go zawiezie za most!

– Nieletni? To suka ma problem. Ja go nie biorę. Zaraz kończę zmianę.

Podszedł do mnie.

– Wiesz, co się stało z oficerem, którego uderzyłaś? Zabrali go na OIOM. Może umrzeć.

– Proszę, przemyjcie mu oczy.

– Mam w dupie jego oczy.

– Jesse, nachyl się trochę.

Zlizałam krew z jego oczu. Długo to trwało; krew była gęsta i zaschnięta, przyczepiła się do rzęs. Wciąż musiałam spluwać. Z tą rdzą dokoła jego oczy lśniły miodowym bursztynem.

– Hej, Maggie, uśmiechnij się do mnie.

Pocałowaliśmy się. Strażnik odciągnął mi głowę i uderzył w twarz.

– Zboczona suka! – powiedział.

Potem wszyscy zaczęli wrzeszczeć i do pokoju wepchnęli Joego. Aresztowali go za użycie wulgarnego języka w obecności kobiet i dzieci. Wkurzył się, kiedy nie chcieli mu powiedzieć, co się z nami stało.

– Ten ma dość lat na Redwood.

Miał skute z tyłu ręce, nie mógł nas uściskać, więc oboje nas pocałował. Odkąd pamiętam, nigdy nie całował żadnego z nas w usta. Później powiedział, że zrobił to, bo mieliśmy tak zakrwawione wargi, że zrobiło mu się smutno. Policjant znów powiedział, że jestem zboczona i uwodzę nieletnich chłopców.

Wtedy to było tylko obrzydliwe. Jeszcze nie rozumiałam, jak wszyscy będą na mnie patrzeć. Nie miałam pojęcia, że piętrzą się kolejne zarzuty. Jeden z policjantów przeczytał mi je zza blatu po drugiej stronie pokoju.

– Publiczne spożywanie alkoholu, utrudnianie aresztowania, napaść na funkcjonariusza policji, napaść z użyciem broni, próba zabójstwa, opór przy aresztowaniu. Nieobyczajne

zachowanie, obcowanie płciowe z nieletnim (lizanie jego oczu), podżeganie do wykroczenia młodocianych, posiadanie marihuany.

– Ej, to nieprawda! – powiedział Joe.

– Nic nie mów – wyszeptał Jesse. – To na naszą korzyść. Musieli ją podzucić. Przecież wszystkich nas przeszukano, prawda?

– No pewnie – odparł Joe. – Zresztą gdybyśmy ją mieli, to już dawno byśmy wypalili.

Zabrali Jessego. Mnie i Joego wsadzili na tył radiowozu. Całe kilometry jechaliśmy do więzienia Redwood. Myślałam tylko o tym, że nie ma Jessego. Zakładałam, że wyślą go do Albuquerque, a potem wyjedzie do Londynu.

Dwie parszywe policjantki zrobiły mi przeszukanie odbytnicze i waginalne, wsadziły pod zimny prysznic. Umyły mi włosy ługiem, który wlaźił do oczu. Zostawiły bez ręcznika i grzebienia. Do ubrania dały tylko bardzo krótką koszulę i tenisówki. Miałam podbite oko i spuchniętą wargę po tym, jak uderzyli mnie po odebraniu latarki. Policjant, który prowadził mnie na dół, wciąż wykręcał kajdanki, więc na obu nadgarstkach miałam krwawe rozcięcia, jak po durnym samobójstwie.

Nie pozwolili mi wziąć papierosów. Dwie dziwki i menelka, które zamknęli ze mną, dały mi się zaciągnąć resztkami swoich mokrych fajek. Nikt nie spał ani się nie odzywał. Przez całą noc trzęsłam się z zimna i z braku alkoholu.

Rano pojechaliśmy autobusem do sądu. Przez szybę i słuchawkę rozmawiałam z grubym nalanym prawnikiem, który przeczytał mi raport. Było tam pełno kłamstw i przeinaczeń.

„Troje podejrzanych osobników zauważono w holu lotniska. Kobieta z dwoma członkami Hell's Angels, w tym jeden Indianin. Wszyscy uzbrojeni i potencjalnie niebezpieczni”.

Powtarzałam mu wciąż, że informacje w raporcie to kłamstwa. Prawnik mnie ignorował, tylko co chwila pytał, czy rżnęłam się z tym dzieciakiem.

– Tak! – powiedziałam w końcu. – Ale to chyba jedyne, o co nie jestem oskarżona.

– Byłaby pani, gdybym to zapisał. Gwałt ustawowy.

Byłam tak zmęczona, że dostałam głupawki, co wkurzyło go jeszcze bardziej. Gwałt ustawowy. Wyobraziłam sobie gwałcenie ustawy. Wizje ustawionej na postumencie Piety gwałconej przez jakiegoś Włocha.

– Jest pani chora – powiedział. – Oskarżono panią o publiczne dokonywanie czynności seksualnych na nieletnim.

Wyjaśniłam, że próbowałam tylko zlizać krew z powiek Jessego, żeby mógł coś zobaczyć.

– Naprawdę je pani lizała? – szydził.

Wyobrażam sobie, jakim piekłem musi być więzienie. Zaczęłam rozumieć, dlaczego więźniowie uczą się być gorszymi ludźmi. Pragnęłam go zabić. Zapytałam, co się teraz wydarzy. Powiedział, że postawią mnie w stan oskarżenia i wyznaczą datę rozprawy. Pójdę na nią, powiem, że jestem niewinna, i będę mieć nadzieję, że wyznaczą sędziego, który okaże się względnie pobłażliwy. W tym mieście skład ławy przysięgłych to też problem. Skrajni prawnicy, religijni, nietolerujący narkotyków i przestępstw seksualnych. Dla nich Hell's Angel to Szatan, a marihuana... szkoda gadać.

– Nie miałam marihuany – powiedziałam. – Gliniarz ją podłożył.

– No jasne. Chciał się odwdzińczyć, że zrobiła mu pani laskę?

– Zamierza mnie pan bronić czy oskarżać?

– Wyznaczono mnie na obrońcę z urzędu. Do zobaczenia w sądzie.

Joe także był w sądzie, przykuty do rzędu innych mężczyzn w pomarańczowych kombinezonach. Nie patrzył na mnie. Byłam czarno-niebieska, włosy zwijały mi się wokół twarzy, a koszula ledwo zakrywała majtki. Potem Joe przyznał, że wyglądałam obleśnie, więc udawał, że mnie nie zna. Obojgu nam wyznaczono daty rozpraw na styczeń. Kiedy jego sprawę przedstawiono w sądzie, sędzia tylko się zaśmiał i oddalił zarzuty.

Zadzwoiłam do domu. Wystarczająco trudne było już wyjaśnienie Benowi, gdzie jestem. Za bardzo się wstydziłam, żeby prosić kogokolwiek o wpłacenie kaucji, odczekałam więc kolejny dzień, żeby wypuścili mnie za poręczeniem. Głupio to załatwiłam, prosząc, by zadzwonili do dyrektorki szkoły, w której uczyłam. Ona mnie lubiła, szanowała. Wciąż nie miałam pojęcia, jak ludzie mnie osądzą. Teraz fascynuje mnie, jaka byłam ślepa, ale przecież teraz jestem trzeźwa.

Policjanci powiedzieli, że Joe prosił, bym załatwiła kaucję i za niego, więc po wyjściu poszłam do poręczyciela. Kwota nie mogła być wysoka, bo wypisałam mu czek.

Ustaliliśmy, jak dojechać na lotnisko. Ale to jakby widzieć Mount Everest. Tylko wydawało się blisko. Szliśmy całe kilometry w deszczu, w przenikliwym zimnie. Zabrało nam to większość dnia. Dużo się śmialiśmy, nawet po tym, jak próbowaliśmy przejść skrótem przez schronisko dla psów. Wspinaliśmy się na płot, pod którym szczekały i warczały na nas doberman. Jak Abbott i

Costello. Kiedy doszliśmy do autostrady, nikt nie chciał nas podwieźć. No dobra, jakiś facet w ciężarówce w końcu się zatrzymał, ale byliśmy już prawie na miejscu, więc machnęliśmy ręką.

To było najgorsze w całej sytuacji. Mówię poważnie. Znalezienie tego cholernego samochodu. Przeszliśmy wszystkie ogromne poziomy, w górę i w górę, potem z powrotem na dół i dokoła, z powrotem na górę i dokoła, aż w końcu oboje się rozplakaliśmy. Z frustracji, bo tacy byliśmy zmęczeni i głodni i zmarznięci. Spostrzegł nas jakiś starszy czarny mężczyzna i nie przestraszył się, choć byliśmy przemoknięci do cna i beczeliśmy jak nienormalni. Nie przeszkadzało mu nawet, że wnieśliśmy błoto i wodę do jego nieskazitelnie czystego hudsona. Jeździł w górę i w dół i w kółko, raz po raz powtarzając, że dobry Bóg na pewno nam pomoże. A kiedy znaleźliśmy samochód, wszyscy zawołaliśmy: „Bogu dzięki!”. Gdy wysiadaliśmy, powiedział: „Niech was Bóg błogosławi”. „Niech pana Bóg błogosławi i dziękujemy”, odparliśmy jednym głosem, jakbyśmy odpowiadali w kościele.

– Ten facet jest pieprzonym aniołem.

– Naprawdę.

– No właśnie to powiedziałem. Prawdziwym aniołem.

W schowku było jeszcze ponad pół butelki whisky. Siedzieliśmy w aucie z włączonym ogrzewaniem, aż zaparowały okna, jedliśmy płatki Cheerios i grzanki z torebki z jedzeniem dla ptaków i dopijaliśmy butelkę.

– Przyznaję – powiedział Joe. – Nigdy nic mi bardziej nie smakowało.

Przez całą drogę do domu w deszczu milczeliśmy. On prowadził. Ja ciągle wycierałam zaparowane szyby. Poprosiłam, żeby nie mówił moim dzieciom i Jessemu o zarzutach i o tym gliniarzu. Chodziło o zakłócanie spokoju, dobra? Jasne, odparł. Potem już nie rozmawialiśmy. Nie czułam wyrzutów sumienia ani wstydu, nie martwiłam się kłopotami, w jakich się znalazłam, ani tym, co mam zrobić. Myślałam o tym, że nie ma Jessego.

Zanim poszedłem do Jessego, próbowałem zadzwonić do Cheryl, ale odłożyła słuchawkę, spróbowałem znowu, włączyła się sekretarka. Zamierzałem jechać autem, lecz z parkowaniem w tamtej okolicy zawsze był problem. Nie miałem specjalnej ochoty na spacer. To chyba wiele mówi, że zostawiłem swoje porsche w biurowym garażu i przeszedłem siedem czy osiem przecznic do ich mieszkania.

Zamiast drzwi na dole była posprejowana graffiti dykta za metalowymi kratami. Wpuścili mnie do zakurzonego marmurowego holu, oświetlonego oknem w kształcie gwiazdy cztery piętra

wyżej. Wciąż był to piękny budynek z kafelkami i marmurem, krętymi schodami, wyblakłymi lustrami w ramach art déco. Ktoś spał oparty o urnę; postacie o odwróconych twarzach miały mnie na schodach, wszystkie jakby znajome z sądu albo więzienia.

Kiedy doszedłem do ich mieszkania, byłem zasapany, czułem mdłości od smrodu moczu, taniego wina, starego oleju i kurzu. Drzwi otworzyła Carlotta.

– Proszę wejść. – Uśmiechnęła się.

Wszedłem do ich wielobarwnego świata, który pachniał kukurydzianym chlebem i czerwonym chili, limonką i kolendrą i jej perfumami. Mieszkanie miało wysokie sufity i duże okna. Na wypolerowanych drewnianych podłogach leżały orientalne chodniki. Ogromne paprocie, bananowce, strelacje. Jedynym meblem w pokoju było łóżko nakryte czerwoną satynową pościelą. Na zewnątrz w późnym słońcu lśniły złota kopuła abisyńskiego kościoła baptystów, zagajnik wysokich starych drzew palmowych i zakręt kolejki BART. Niczym aleja w Tangerze. Pozwoliła mi chłonąć przez chwilę widok, a potem uściśnęła mi dłoń.

– Dziękuję, że nam pan pomaga, panie Cohen. Kiedyś w końcu będę mogła panu zapłacić.

– Proszę się o to nie martwić. Z chęcią pomogę – odparłem. – Szczególnie teraz, gdy przeczytałem raport. To oczywiste przeinaczenie.

Carlotta była wysoka i opalona, ubrana w miękką białą dżersejową sukienkę. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat i miała coś, co moja matka nazywała prezencją. Była większą niespodzianką niż to mieszkanie, niż Jesse, no może nie Jesse. Rozumiałem, dlaczego połączenie tych dwojga może komuś przeszkadzać. Nieustannie się na nią gapiłem. Była uroczą kobietą. Nie tylko piękną, choć to również. Pełną wdzięku. Jeśli doszłoby do procesu, wspaniale wyglądałaby w sądzie.

Okazało się, że to była tylko pierwsza z wielu moich wizyt. Wracałem w każdy piątek, idąc, nie, biegnąc z biura do tego mieszkania. Jakbym wypił czarodziejski napój Alicji z Krainy Czarów albo znalazł się w filmie Woody'ego Allena. Nie w tym, gdzie aktor schodzi z ekranu. Ja się na niego wspinałem.

Tamtego pierwszego wieczoru poprowadziła mnie do drugiego pokoju, w którym zobaczyłem piękny dywan z Buchary, siodła i stół nakryty dla trojga, ze świecami i kwiatami. Z głośników leciała *Angie*. W wysokich oknach wisiały bambusowe rolety, a lekki wiatr robił cienie, które wyglądały jak flagi na ścianach.

Jesse przywitał się z kuchni i wyszedł, by podać mi rękę. Był w dżinsach i białej koszulce. Oboje lśnili od koloru, cały dzień spędzili nad wodą.

– Jak ci się podoba mieszkanie? Pomalowałem je. Chodź obejrzeć kuchnię. Żółta jak kupa niemowlęcia, prawda?

– To mieszkanie jest fantastyczne!

– I polubiłeś ją. Wiedziałem, że tak będzie. – Podał mi gin z tonikiem.

– Skąd wie...

– Zapytałem twoją sekretarkę. Dzisiaj ja gotuję. Pewnie chcesz zadać Maggie kilka pytań, a ja tu dokończę.

Zaprowadziła mnie na „taras”, miejsce za oknami, nad drabinką pożarową, gdzie zmieściłyby się może dwie skrzynki na mleko. Rzeczywiście miałem wiele pytań. W raporcie napisano, że zeznała, że jest nauczycielką. Opowiedziała mi, jak straciła pracę w luterańskim liceum, jak wyrzucono ją z domu. Była szczerą. Mówiła, że sąsiedzi od dawna narzekali, bo w domu mieszkało tak wiele osób i grała głośna muzyka. To tylko przelało czarę. Cieszyła się, że były mąż zabrał troje najmłodszych dzieci do Meksyku.

– Jestem totalnie zakręcona, zupełnie nie mogę się teraz ogarnąć – powiedziała.

Trudno było uwierzyć, gdy słyszało się ten piękny spokojny głos.

W skrócie zrelacjonowała, co wydarzyło się na lotnisku, biorąc na siebie większą winę, niż przypisał jej Jesse.

– Jeśli chodzi o zarzuty, jestem winna wszystkiego z wyjątkiem posiadania marihuany, podrzucili ją. Ale sposób, w jaki to opisują, jest chory. Joe rzeczywiście pocałował nas oboje, po przyjacielsku. Nie uprawiam grupowego seksu z chłopcami. A chore i złe było to, jak ten gliniarz bił Jessego, jak inni stali i na to patrzyli. Każdy normalny człowiek zrobiłby to samo co ja. Chociaż, dzięki Bogu, ten gliniarz nie umarł.

Zapytałem, co zamierza zrobić po procesie. Wyglądała na spanikowaną, wyszeptała to samo, co Jesse powiedział mi w biurze – że postanowili o tym nie myśleć, póki proces się nie skończy.

– Ale ja wszystko ogarnę. Wtedy się pozbieram.

Dodała, że mówi po hiszpańsku, zastanawiała się nad złożeniem podania o pracę w szpitalu albo w sądzie jako tłumaczka. Przez niemal rok pracowała przy procesie w Nowym Meksyku, miała dobre referencje. Znałem tę sprawę, sędziego i prawnika, z którymi pracowała.

Słynna sprawa... narkoman pięć razy strzelił funkcjonariuszowi z narkotykowego w plecy i cudem został skazany tylko za zabójstwo. Przez chwilę rozmawialiśmy o tamtej doskonałej obronie, powiedziałem jej, do kogo się zgłosić w sprawie tłumaczeń sądowych.

Pojawił się Jesse, przyniósł guacamole i czipsy, kolejnego drinka dla mnie, piwa dla nich. Ona ześlizgnęła się na podłogę, on usiadł. Oparła się o jego kolana. Przytrzymał jej gardło delikatną dłonią o długich palcach, w drugiej trzymał piwo.

Nigdy tego nie zapomnę, sposobu, w jaki trzymał ją za gardło. Nie flirtowali, nie kokietowali, nie emanowali erotyzmem ani nie zachowywali się demonstracyjnie, ale ich bliskość była przesywająca. Trzymał ją za gardło. To nie był gest posiadania; byli ze sobą stopieni.

– Oczywiście Maggie może znaleźć jakąkolwiek pracę. Może też znaleźć dom i dzieci mogą wrócić. Chodzi o to, że lepiej im bez niej. Na pewno tęsknią, ona tęskni za nimi. Jest dobrą matką. Wychowała je właściwie, ukształtowała charakter i wartości, poczucie tego, kim są. Stały się pewne siebie i szczerze. Często się śmieją. Teraz są ze swoim tatą, który jest bardzo bogaty. Może wysłać ich do Andover i na Harvard, który sam kończył. Poza szkołą mogą żeglować, wędkować i nurkować. Jeśli do niej wrócą, ja będę musiał odejść. A jeśli ja odejdę, ona będzie pić. Nie będzie potrafiła przestać i zrobi się okropnie.

– Co zrobisz, jeśli odejdę?

– Ja? Umrę.

Zachodzące słońce widziałem w jej pięknych błękitnych oczach. Napłynęły do nich łzy, utknęły na rzęsach i nie spadły, odbijały zielone palmy, tak że wyglądała, jakby założyła turkusowe gogle.

– Nie płacz, Maggie – powiedział. Odchylił jej głowę i spił te łzy.

– Skąd wiesz, że płakała? – zapytałem.

– On zawsze wie – odparła za niego. – W nocy, w ciemności, kiedy jestem odwrócona plecami, uśmiecham się, a on pyta: „Co cię tak rozbawiło?”

– Ona jest taka sama. Śpi jak kamień. Chrapie. Ja się uśmiecham, a ona natychmiast otwiera oczy i odpowiada uśmiechem.

Potem zjedliśmy kolację. Fantastyczną. Rozmawialiśmy o wszystkim oprócz procesu. Nie pamiętam, jak zacząłem opowiadać historie o mojej babce Rosjance, dziesiątki historii. Od lat się tak nie śmiałem. Nauczyłem ich słowa *shand*, wstyd. Co za *shand*!

Carlotta posprzątała ze stołu. Świece wypaliły się do połowy. Wróciła z kawą i flanem.

Kiedy kończyliśmy, zapytała:

– Jon, czy mogę ci mówić „panie radco”?

– Jezu, nie – wtrącił Jesse. – To brzmi jak doradca. Zaraz zapyta, skąd się bierze mój gniew. Mówmy do niego „mecenasie”. Mecenasie, czy zastanawiał się pan nad sytuacją tej damy?

– W istocie, szanowny panie. Tylko wezmę aktówkę i pokażę wam, na czym stoimy.

Zgodziłem się na koniak. Oni pili teraz whisky z wodą. Byłem podekscytowany.

Zamierzałem pozostać konkretny, ale zrobiłem się zbyt zadowolony. Przeczytałem cały dokument, porównując go z trzystronicową listą nieprawdziwych, przeinaczonych, obelżywych i zniesławiających stwierdzeń z raportu. „Sprośne”, „lubieżne zachowanie”, „pożądliwy sposób”, „szkodliwe”, „groźne”, „uzbrojona i niebezpieczna”. Całe strony stwierdzeń, przez które sędzia i przysięgli uprzedziliby się wobec mojej klientki, a które i mnie dały nieprawdziwe jej wyobrazenie nawet po tym, jak porozmawiałem już z Jessem.

Miałem też kopię raportu od ochrony lotniska, w którym stwierdzono, że Carlottę, jej ubranie i torbę dokładnie przeszukano i nie znaleziono żadnych narkotyków ani broni.

– Ale najlepsze jest to, że miałeś rację, Jesse. Obaj funkcjonariusze mają na koncie poważne wykroczenia. Zawieszenia za nadużycie siły, bicie podejrzanych. Dwa oddzielne śledztwa w sprawie zabicia nieuzbrojonych podejrzanych. Wiele, wiele skarg na brutalność, nadużycie siły, niesłuszne aresztowanie i fabrykowanie dowodów. Znalazłem to ledwie po kilku dniach szukania! Wiemy, że obaj ci gliniarze byli na długo zawieszani, degradowani, przenoszeni z centrum do południowej części miasta. Będziemy się domagać śledztwa Wydziału Wewnętrznego w sprawie tych funkcjonariuszy, postraszymy pozwaniem Policji San Francisco.

– Więc nie straszmy ich, tylko to zrobmy – powiedział Jesse.

Z czasem dowiedziałem się, że alkohol jemu dodawał odwagi, ale ją czynił bardziej kruchą. Potrząsnęła głową.

– Nie dam rady przez to przejść.

– Kiepski pomysł, Jesse – odparłem. – Ale to dobry sposób na rozpoczęcie sprawy.

Datę rozprawy wyznaczono dopiero na koniec czerwca. Choć moi współpracownicy zbierali coraz to nowe dowody przeciwko policjantom, niewiele było do omawiania. Jeśli sprawa nie zostanie oddalona, będzie trzeba odroczyć proces i, no cóż, modlić się. Ale i tak w każdy piątek chodziłem do mieszkania na Telegraph. Moja żona Cheryl była wściekła i zazdrosna.

Oprócz meczów piłki ręcznej po raz pierwszy wychodziłem gdzieś bez niej. Nie rozumiała, dlaczego nie mogę jej zabrać. A ja nie potrafiłem wyjaśnić, nawet samemu sobie. Raz oskarżyła mnie nawet, że mam romans.

To było coś w rodzaju romansu. Nieprzewidywalnego i ekscytującego. W piątki cały dzień czekałem, aż będę mógł tam pójść. Byłem zakochany w nich wszystkich. Czasami Jesse, Joe, syn Carlotty Ben i ja graliśmy w pokera albo bilard. Jesse nauczył mnie, jak być dobrym pokerzystą i bilardzistą. Czułem się po dziecięcemu *cool*, chodząc z nimi do sal bilardowych w śródmieściu i nie bojąc się. Sama obecność Joego sprawiała, że wszędzie czuliśmy się bezpieczni.

– On jest jak pitbull, tylko tańszy w utrzymaniu – mówił Jesse.

– Przydaje się do innych rzeczy – dodawał Ben. – Potrafi otwierać zębami butelki. I nie znam nikogo śmieszniejszego.

To była prawda. Rzadko się odzywał, ale natychmiast łapał dowcipy.

Czasami chodziliśmy z Benem po centrum Oakland, kiedy fotografował. Carlotta kazała nam robić ramki z dłoni, spoglądać na rzeczy jakby przez obiektyw. Powiedziałem Benowi, że to zmieniło mój sposób widzenia.

Joe lubił za to wkładać się na fotografie. Kiedy były już wywołane, okazywało się, że siedzi na schodkach z jakimiś menelami albo wygląda na zagubionego w jakichś drzwiach, kłóci się z chińskim rzeźnikiem o kaczkę.

W któryś piątek Ben przyniósł minoltę i chciał mi ją sprzedać za pięćdziesiąt dolarów. Pewnie. Ucieszyłem się. Później zobaczyłem, że dał te pieniądze Joemu, i zacząłem się zastanawiać.

– Pobaw się nią, zanim włożysz film. Po prostu chodź i patrz przez aparat. W połowie przypadków w ogóle nie mam w środku filmu.

Pierwsze zdjęcia zrobiłem w sklepie kilka przecznic od mojego biura. Sprzedają tam pojedyncze buty po dolarze za sztukę. Po jednej stronie znajdują się stosy starych lewych butów, po prawej stronie – prawych. Starzy mężczyźni. Biedni młodzi mężczyźni. Stary sprzedawca butów na bujanym fotelu wrzucający pieniądze do pudełka po owsiance.

Od dawna nic mnie tak nie uszczęśliwiło jak pierwsza rolka filmu, nawet wygrany proces. Kiedy pokazałem odbitki, wszyscy przybili mi piątkę. Carlotta mnie uścisnęła.

Ben i ja kilka razy wychodziliśmy razem wczesnym rankiem do Chinatown, do dzielnicy

przemysłowej. Tak można było kogoś dobrze poznać. Koncentrowałem się na małych dzieciach w szkolnych mundurkach, on fotografował ręce jakiegoś starego mężczyzny. Powiedziałem, że czuję się niezręcznie, robiąc zdjęcia ludziom, wydaje mi się to natrętne, niegrzeczne.

– Mama i Jesse mi z tym pomogli. Zawsze do kogoś zagadują, a ludzie odpowiadają. Jeśli nie mogę zrobić zdjęcia tak, by ta osoba mnie nie zauważyła, po prostu z nią rozmawiam, wychodzę i pytam: „Czy mogę zrobić panu zdjęcie?”. Najczęściej mówią: „Pewnie, że nie, dupku”. Ale czasami pozwalają.

Kilka razy rozmawialiśmy o Carlocie i Jessem. Jako że tak dobrze się dogadywali, zdziwił mnie gniew Bena.

– No pewnie, że jestem wściekły. Może to trochę dziecinne. Są ze sobą tak blisko, że czuję się odrzucony i zazdrosny, jakbym stracił jednocześnie matkę i najlepszego kumpla. Ale jakaś część mnie uważa, że to dobrze. Przedtem nigdy nie widziałem, by któreś z nich było szczęśliwe. Tyle że oni karmią destrukcyjną stronę tego drugiego, tę, która nienawidzi siebie. On nie grał, ona nie pisała, odkąd przeprowadzili się na Telegraph. Wydają jego pieniądze jak wodę, większość przepijając.

– Nigdy nie odniosłem wrażenia, że są pijani – powiedziałem.

– Bo nigdy nie widziałeś ich trzeźwych. A naprawdę zaczynają pić dopiero po naszym wyjściu. Zataczają się wtedy po mieście, gonią straż pożarną, robią Bóg wie co jeszcze. Kiedyś weszli do magazynu poczty i prawie ich ktoś zastrzelił. Przynajmniej są miłymi pijakami. I dla siebie są niesamowicie uroczy. Ona nigdy nie była dla nas wredna, nigdy nas nie uderzyła. Kocha nas. Dlatego nie rozumiem, dlaczego nie próbuje odzyskać moich braci.

Innym razem na Telegraph Ben pokazał mi słowa, które napisał do skomponowanej przez Jessego piosenki. Dobre. Dojrzałe, ironiczne, czułe. Przypominały mi Dylana, Toma Waitsa i Johnny’ego Casha jednocześnie. Ben dał mi również egzemplarz „Atlantic Monthly”, w którym opublikowano opowiadanie Carlotty. Czytałem je już kilka miesięcy wcześniej, uważałem za doskonałe.

– Piszecie takie świetne kawałki?

Oboje wzruszyli ramionami.

To, co mówił Ben, miało sens, ale nie widziałem w nich ani odrobiny nienawiści do samych siebie ani znaku destrukcyjnego zachowania. A bycie z nimi zdawało się wydobywać ze mnie dobrą stronę, łzawą stronę.

Carlotta i ja byliśmy sami na tarasie. Zapytałem ją, dlaczego się tak dobrze czuję, będąc z nimi.

– Czy to dlatego, że wszyscy jesteście tacy młodzi?

Zaśmiała się.

– Żadne z nas nie jest młode. Ben nigdy nie był młody. Ja nigdy nie byłem młoda. Ty pewnie też byłeś starym małym dzieckiem, a lubisz nas, bo możesz być wolny i szalony. Cudownie być wolnym, prawda? Lubisz tu przychodzić, bo wtedy reszta twojego życia znika. Nigdy nie wspominasz o żonie, więc pewnie macie kłopoty. Twoją pracą to też kłopoty. Jesse pozwala każdemu być sobą i myśleć o sobie. Nie ma nic złego w byciu samolubnym. Być z Jessem to pewien rodzaj medytacji. Jak ćwiczenie zazen albo przebywanie w kapsule deprywacji sensorycznej. Przeszłość i przyszłość znikają. Problemy i decyzje znikają. Czas znika, a teraźniejszość nabiera wyjątkowego koloru i istnieje tylko w tej chwili, w tej sekundzie, jak ten kadr, który robimy z dłoni.

Widziałem, że jest pijana, ale wiedziałem, co chce powiedzieć, wiedziałem, że ma rację.

Przez jakiś czas Jesse i Maggie co noc spali na innym dachu w centrum miasta. Nie rozumiałem, dlaczego to robią, zabrali mnie więc ze sobą. Najpierw znaleźliśmy starą metalową drabinkę pożarową, Jesse wysoko podskoczył i ją ściągnął. Kiedy weszliśmy na schody, wsunął drabinkę za nami. Potem ruszyliśmy w górę, wysoko. Niesamowicie i magicznie było patrzeć na rozlewisko, na zatokę. Za mostem Golden Gate wciąż widać było bladoróżowy zachód słońca. Centrum Oakland było ciche i wyludnione.

– W weekendy jest tutaj jak w *Ostatnim brzegu* – powiedział Jesse.

Zadziwiła mnie ta cisza, wrażenie, że istniejemy tylko my, miasto pod nami, niebo wokół nas. Nie byłem pewien, gdzie jesteśmy, dopóki Jesse nie zawołał mnie na drugą stronę.

– Spójrz.

Spojrzałem i już wiedziałem. Moje biuro, na piętnastym piętrze Leyman Building, kilka pięter nad nami. Ledwie kilka okien dalej biuro Brilliga. Włączona mała lampka z szylkretowym kloszem. Brillig siedział przy swoim wielkim biurku bez marynarki i krawata, trzymał stopy na pufie. Czytał. Pewnie Montaigne'a, bo książka miała skórzaną oprawę, i się uśmiechał.

– Tak się nie robi – powiedziała Carlotta. – Chodźmy.

– Zwykle uwielbiasz patrzeć na ludzi przez okna.

– Tak, ale jeśli wiesz, kim są, to nie wyobrażasz sobie, tylko szpiegujesz.

Schodząc po drabince pożarowej, pomyślałem, że lubię ich z powodu takich właśnie kłótni. Nigdy nie były małostkowe.

Pewnego razu przyjechałem, kiedy Joe i Jesse nie wrócili jeszcze z ryb. Ben już był. Maggie wyglądała, jakby płakała. Podała mi list od swojego piętnastoletniego syna Nathana. Uroczy, opowiadał w nim, co robią, i pisał, że chcą wrócić do domu.

– Co myślisz? – zapytałem Bena, kiedy poszła obmyć twarz.

– Chciałbym, żeby przestali myśleć, że albo Jesse, albo dzieci. Gdyby poszła do pracy i znalazła dom, przestała pić, gdyby on wpadał raz na jakiś czas, zrozumieliby, że się da. Dałoby się. Problem w tym, że oboje się boją, że jeśli to drugie wytrzeźwieje, odejdzie.

– Czy ona przestanie pić, jeśli on odejdzie?

– Na Boga, nie. Nie chcę nawet o tym myśleć.

Tamtego wieczoru Ben i Joe poszli na mecz baseballu. Joe zawsze mówił o tej drużynie „pieprzone Asy”.

– W telewizji leci **Nocny kowboj**. Chcesz przyjść obejrzeć? – zapytał Jesse.

Odparłem: „Pewnie, uwielbiam ten film”. Myślałem, że chcą iść do jakiegoś baru, nie zważając na jego wiek. Ale nie, poszliśmy na dworzec autobusowy, gdzie usiedliśmy na sąsiadujących miejscach, każde z małym telewizorem, do którego wrzucaliśmy ćwierćdolarówki. W trakcie reklam Carlotta poszła po więcej monet i popcorn. Potem poszliśmy do chińskiej restauracji. Ale już zamykali.

– Tak, zawsze się zjawiamy, kiedy zamykają. Wtedy zamawiają pizzę na wynos.

Jak się w ogóle o tym dowiedzieli, nie mam pojęcia. Przedstawili mnie kelnerowi i jemu daliśmy pieniądze. Potem siedzieliśmy wokół wielkiego stołu z kelnerami i kucharzami i pomywaczami, jedząc pizzę i pijąc colę. Zgasili światła, jedliśmy przy świecach. Wszyscy mówili po chińsku i kiwali głowami, podając sobie różne rodzaje pizzy. Miałem wrażenie, że jestem w prawdziwej chińskiej restauracji.

Następnego wieczoru Cheryl i ja umówiliśmy się ze znajomymi na kolację przy Jack London Square. Był ciepły wieczór, opuściliśmy dach w porsche. Mieliśmy dobry dzień, kochaliśmy się, leniliśmy w łóżku. Zbliżając się do restauracji, śmialiśmy się, byliśmy w dobrych humorach. Zatrzymał nas jeden z pociągów towarowych, które zawsze przejeżdżały przez plac. Ten ciągnął się w nieskończoność. Usłyszałem krzyki:

– Radco! Jon! Hej, mecenasie! – Jesse i Carlotta machali do mnie z wagonu, posyłając

pocałunki.

– No nie mów – odezwała się Cheryl. – To pewnie Piotruś Pan i jego mamusia. Prywatni Bonnie i Clyde mojego męża.

– Zamknij się.

Nigdy przedtem tak się do niej nie zwróciłem. Patrzyła przed siebie, jakby nie usłyszała. Poszliśmy do tamtej eleganckiej restauracji z naszymi eleganckimi, elokwentnymi liberalnymi znajomymi. Jedzenie było doskonałe, wina wyśmienite. Rozmawialiśmy o kinie i polityce i prawie. Cheryl była urocza, ja błyskotliwy. Między nami wydarzyło się coś potwornego.

Teraz Cheryl i ja jesteśmy po rozwodzie. Nasze małżeństwo zaczęło się rozpadać chyba z powodu tych piątkowych wieczorów, nie dlatego, że nawiązała romans. Była wściekła, ponieważ nigdy jej nie zabrałem na te spotkania. Nie jestem pewien, dlaczego tego nie chciałem, czy bałem się, że ich nie polubi albo że oni nie polubią jej. Coś innego... jakaś część mnie, którą wstydziłem się przed nią ujawnić.

Jesse i Carlotta zdążyli już zapomnieć o pociągu, kiedy spotkaliśmy się następnym razem.

– Maggie jest beznadziejna. Moglibyśmy się nauczyć, jak to robić. Moglibyśmy podróżować po całych Stanach. Ale za każdym razem, kiedy ruszamy w trasę, ona wpada w histerię. Jak dotąd udało nam się dotrzeć tylko do Richmond i Fremont.

– Nie, raz do Stockton. Daleko. To jest straszne, Jon. Chociaż także cudowne i czujesz się naprawdę wolny, jakbyś miał własny prywatny pociąg. Problem w tym, że Jesse niczego się nie boi. A jeśli wylądujemy w Dakocie Północnej w śnieżycę i nas tam zamkną? Tak byśmy skończyli. Zamarznięci.

– Maggie, nie możesz się tyle martwić. Popatrz, co sobie robisz! Wpadasz w nerwy z powodu jakiejś śnieżycy w Dakocie Południowej.

– Północnej.

– Jon, powiedz jej, żeby się tyle nie martwiła.

– Wszystko się ułoży, Carlotta – powiedziałem. Ale ja też się bałem.

Sprawdziliśmy, co robi strażnik w porcie. O wpół do ósmej zawsze był po drugiej stronie nabrzeża. Przerzuciliśmy sprzęt i przeszliśmy przez płot nad wodę w miejscu, gdzie nie było podłączenia do alarmu. Dopiero za którymś razem znaleźliśmy naszą łódź idealną, nazywała się „La Cigale”. Piękna duża łódź żaglowa z tekowym pokładem. Stała nisko w wodzie. Rozłożyliśmy śpiwór, włączyliśmy cicho radio, jedliśmy kanapki i piliśmy piwo. Potem

sącyliśmy whisky. Było chłodno i pachniało oceanem. Kilka razy mgła się uniosła i widzieliśmy gwiazdy. Najlepsze wydarzyło się, kiedy do ujścia wpłynęły ogromne japońskie statki pełne samochodów. Niczym poruszające się wieżowce, wszystkie rozświetlone. Statki widma przemykające obok bez żadnego dźwięku. Fale przez nie wywoływane były tak wielkie, że toczyły się cicho, nie chlapały. Na pokładach stał jeden, czasem dwóch ludzi. Sami mężczyźni, palący papierosy, spoglądający na miasto z obojętnym wyrazem twarzy.

Meksykańskie tankowce były zupełnie inne. Słyszeliśmy muzykę, czuliśmy dymiące silniki, jeszcze zanim dostrzegliśmy pordzewiałe statki. Z burt zwisała cała załoga, machając do dziewczyn w ogródkach restauracji. Żeglarze śmiali się, palili albo jedli. Nie mogłam się powstrzymać i raz zawołałam do nich *Bienvenidos!* i strażnik mnie zobaczył. Przyszedł i poświecił na nas latarką.

– Widziałem was już tutaj parę razy. Uznałem, że nie robicie nic złego i nie kradniecie, ale możecie mnie wpędzić w niezłe tarapaty.

Jesse gestem zaprosił go, żeby wszedł. Powiedział nawet: „Witamy na pokładzie”. Daliśmy mu kanapkę i piwo i powiedzieliśmy, że jeśli nas złapią, to udowodnimy, że on nie mógł nas widzieć. Miał na imię Solly. Przychodził co wieczór na kolację o ósmej, a potem ruszał na obchód. Budził nas wcześniej rano, przed świtem, kiedy ptaki zaczynały furkotać nad wodą.

Słodkie wiosenne noce. Kochaliśmy się, piliśmy, rozmawialiśmy. O czym tak ciągle rozmawialiśmy? Czasami rozmawialiśmy przez całą noc. Raz rozmawialiśmy o złych rzeczach z naszego dzieciństwa. Nawet odgrywaliśmy je ze sobą nawzajem. To było seksowne, straszne. Nigdy więcej tego nie zrobiliśmy. Rozmawialiśmy głównie o ludziach, o tych, których spotykaliśmy, chodząc po mieście. Solly. Uwielbiałam, jak on i Jesse opowiadają o pracy na farmie. Solly pochodził z Grundy Center w Iowa, był w marynarce wojennej, stacjonował na Treasure Island.

Jesse nigdy nie czytał książek, ale słowa innych go uszczęśliwiały. Pewna czarna kobieta, która powiedziała nam, że jest stara jak sól i pieprz. Solly, który wziął i zostawił swoją żonę, kiedy zaczęła się stawać stara i zniedołężniała.

Jesse sprawiał, że każdy czuł się ważny. Nie był dobry. „Dobry” to takie słowo jak „uczynny”; implikuje jakiś wysiłek. Jak ta naklejka na zderzak o dobrych uczynkach. A powinno oznaczać, że ktoś zawsze taki jest, a nie że postanawia wykonać jakiś gest. Jesse każdemu okazywał współczującą ciekawość. Przez całe życie miałam wrażenie, że tak naprawdę w ogóle

nie istnieją. A on mnie dostrzegł. Mnie. Widział, kim jestem. Mimo wszystkich tych niebezpiecznych rzeczy, które robiliśmy, tylko z nim byłam bezpieczna.

Najgłupszą z niebezpiecznych rzeczy, które zrobiliśmy, było popłynięcie na wyspę na jeziorze Merritt. Włożyliśmy wszystkie nasze rzeczy – ubrania na zmianę, jedzenie, whisky, papierosy – do plastikowej torby i popłynęliśmy. Ale było dalej, niż na to wyglądało. Woda okazała się naprawdę zimna, strasznie cuchnąca i my też zaczęliśmy cuchnąć, nawet kiedy zmieniliśmy ubrania.

Park w ciągu dnia jest piękny, faliste wzgórza, stare dęby, ogród różany. W nocy pulsował strachem i złością. Przez wodę dochodziły do nas okropne dźwięki odbite echem. Wściekłe pieprzenie się i bójki, rozbijane butelki. Rzyganie i wrzaski. Policzkowane kobiety. Policja i stękania, ciosy. Teraz znajomy już dźwięk policyjnej syreny. Plask plask odbijały się fale o naszą małą drewnianą wyspę, ale drżeliśmy i piliśmy, aż uspokoiło się na tyle, żebyśmy nabrali odwagi i popłynęli do brzegu. Woda musiała być naprawdę zanieczyszczona, bo chorowaliśmy przez wiele dni.

Któregoś popołudnia pojawił się Ben. Byłam sama. Joe i Jesse poszli na bilard. Ben złapał mnie za włosy i zaciągnął do łazienki.

– Spójrz na siebie, pijaczko! Kim ty jesteś? Co z moimi braćmi? Tata i jego dziewczyna biorą kokainę. Może z tobą moi bracia zginęliby w wypadku samochodowym albo spaliłabyś dom, ale przynajmniej nie myśleliby, że picie jest eleganckie. Oni cię potrzebują. Ja cię potrzebuję. Nie chcę cię nienawidzić – szlochał.

Mogłam tylko zrobić to samo, co robiłam już milion razy przedtem. Powtarzać raz po raz „Przepraszam”.

Jednak kiedy powiedziałam Jessemu, że musimy przestać, zgodził się. Może palenie też, skoro już się za to bierzemy. Powiedzieliśmy chłopakom, że jedziemy na wycieczkę niedaleko Big Sur. Pojechaliśmy autem, wąską jak szpilka jedyneką nad wodą. Świecił księżyc i piana na oceanie była jaskrawobiała. Jesse prowadził bez świateł, co było straszne, i od tego zaczęła się nasza kłótnia. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, do lasu, zaczęło padać. Padało i padało i kłóciliśmy się dalej, o jakąś zupę z makaronem. Było zimno, ale i tak oboje strasznie dygotaliśmy. Przetrwaliśmy tylko jedną noc. Wróciliśmy do domu i upiliśmy się, bo nie wszystko naraz, zanim spróbowaliśmy ponownie.

Tym razem było lepiej. Pojechaliśmy do Point Reyes. Było pogodnie i ciepło. Godzinami

w milczeniu patrzyliśmy na ocean. Chodziliśmy po lesie, biegaliśmy po plaży, opowiadaliśmy sobie, jak pysznie smakują granaty. Byliśmy tam jakieś trzy dni, kiedy obudziły nas dziwne odgłosy chrupkania. Przez zamglony las przedzierały się w naszą stronę te stworzenia, coś jakby kosmici z jajowatymi głowami, wydając gardłowe dźwięki, dziwnie się śmiejąc. Szły nienaturalnie sztywno kołysząc się krokiem.

– Dzień dobry. Przepraszamy, że przeszkadzamy – powiedział mężczyzna.

Okazało się, że to grupa poważnie upośledzonych nastolatków. Ich wydłużone głowy to tak naprawdę były zwinięte śpiwory przymocowane do plecaków.

– Jezu, muszę zapalić – powiedział Jesse.

Dobrze było wrócić do domu na Telegraph. Wciąż nie piliśmy.

– Niesamowite, jak dużo czasu zabierało picie, co nie, Maggie?

Chodziliśmy do kina. Trzy razy obejrzeliliśmy *Badlands*. Żadne z nas nie mogło spać. Kochaliśmy się dzień i noc, jakbyśmy byli na siebie wściekli, zrzucając jedwabną pościel na podłogę, spoceni i wycieńczeni.

Któregoś wieczoru Jesse wszedł do łazienki, kiedy czytałam list od Nathana. Pisał, że muszą wrócić do domu. Walczyliśmy z Jessem całą noc. Naprawdę walczyliśmy, biliśmy się i kopaliśmy i drapaliśmy, aż w końcu szlochaliśmy przytuleni. Potem zaczęliśmy pić, naprawdę się upijać, jak nigdy przedtem. Byłam tak zatruta alkoholem, że kolejny drink nie powstrzymywał drżączki. Byłam przerażona, spanikowana. Sądziłam, że nie jestem w stanie przestać, ani nawet zająć się sobą, a już tym bardziej swoimi dziećmi.

Oszałeliśmy i wpędzaliśmy się nawzajem w coraz większe szaleństwo. Uznaliśmy, że żadne z nas nie nadaje się do życia. Jemu nigdy nie wyszło w muzyce, już się wypalił. Ja zawiodłam jako matka. Byliśmy beznadziejnymi alkoholikami. Żadne z nas nie pasowało do tego świata. Więc po prostu umrzemy. Dziwnie jest to pisać. Brzmi egoistycznie i melodramatycznie. Kiedy to powiedzieliśmy, okazało się strasznie smutną prawdą.

Rano wsiedliśmy do auta i ruszyliśmy w stronę San Clemente. Miałam przyjechać do domu rodziców w środę. W czwartek pójść na plażę i wypłynąć w morze. Będzie wyglądać na wypadek i rodzice zajmą się moim ciałem. Jesse miał wrócić samochodem do domu i w piątek się powiesić, żeby Jon go znalazł.

Musieliśmy odpuścić z picciem, żeby odbyć tę podróż. Zadzwoniliśmy do Jona, Joego i Bena, dając znać, że wyjeżdżamy i zobaczymy się w następny piątek. Wyruszyliśmy bez

pośpiechu. To była piękna podróż. Pływaliśmy w oceanie. Byliśmy w Carlem i Heart's Castle. W Newport Beach.

Newport Beach było cudowne. Kobieta w motelu zapukała do drzwi i powiedziała do mnie:

– Zapomniałam dać ręczniki pani mężowi.

Oglądaliśmy *Big Valley*, kiedy Jesse zapytał:

– Co myślisz? Powinniśmy się pobrać czy popełnić samobójstwo?

Byliśmy niedaleko domu moich rodziców, kiedy wdaliśmy się w bezsensowną kłótnię. On chciał zobaczyć dom Richarda Nixona, zanim mnie odwiezie. Ja nie chciałam, żeby jednym z ostatnich wydarzeń mojego życia było zwiedzanie domu Nixona.

– No to spierdalaj, wysiadaj od razu.

Powiedziałam sobie, że jeśli powie, że mnie kocha, to nie wysiądę, ale on powiedział tylko: „Uśmiechnij się do mnie, Maggie”. Wysiadłam, zabierając walizkę z tylnego siedzenia. Nie potrafiłam się uśmiechnąć. Jesse odjechał.

Moja matka była czarownicą; domyśliła się wszystkiego od razu. Nie powiedziałam im wcześniej o Jessem. Powiedziałam, że zwolniono mnie ze szkoły, dzieci są w Meksyku, ja szukam pracy. Ale minęła ledwie godzina, kiedy zapytała:

– A ty co, zamierzasz popełnić samobójstwo?

Powiedziałam, że przygnębia mnie szukanie pracy, że tęsknię za synami. Pomyślałam, że wizyta u rodziców to dobry pomysł. Ale miałam tylko wrażenie, że coś odwlekam. Lepiej, żebym rano wróciła. Zachowali się dość wyrozumiale. Wszyscy sporo wypiliśmy tamtego wieczoru.

Następnego ranka ojciec odwiózł mnie na lotnisko Johna Wayne'a i kupił bilet do Oakland. Wciąż powtarzał, że powinnam być recepcjonistką w jakimś gabinecie lekarskim, gdzie miałabym dodatki socjalne.

Mniej więcej w czasie, kiedy miałam się topić, siedziałam w autobusie do MacArthur, jadąc w stronę Telegraph. Z Czterdziestej Ulicy biegłam do domu, przerażona, że Jesse już nie żyje.

Nie było go w domu. Za to wszędzie stały fioletowe tulipany. W wazonach i puszkach i miskach. W całym mieszkaniu, w łazience, w kuchni. Na stole leżał liścik: „Nie możesz mnie zostawić, Maggie”.

Zaszedł mnie od tyłu, odwrócił, opierając o kuchenkę. Przytrzymał, podciągnął mi

spódnicę i ściągnął majtki, wszedł we mnie i skończył. Cały poranek spędziliśmy na podłodze w kuchni. Otis Redding i Jimi Hendrix. *When a Man Loves a Woman*. Jesse zrobił nam swoją ulubioną kanapkę. Kurczak na chlebie tostowym z majonezem. Bez soli. To ohydna kanapka. Nogi drżały mi po seksie, twarz bolała od uśmiechania się.

Wzięliśmy prysznic, ubraliśmy się, spędziliśmy noc na dachu, naszym. Nie rozmawialiśmy. Powiedział tylko:

– Teraz jest dużo gorzej.

Skinęłam głową w jego pierś.

Następnego wieczoru przyjechał Jon, potem Joe i Ben. Ben ucieszył się, że nie piliśmy. Nie postanowiliśmy tego, po prostu nie piliśmy. Oczywiście wszyscy pytali o tulipany.

– To miejsce potrzebowało trochę cholernego koloru – powiedział Jesse.

Zdecydowaliśmy się pójść do Flint's Barbeque, a potem do portu w Berkeley.

– Szkoda, że nie możemy wziąć ich na naszą łódź – powiedziałam.

– Ja mam łódź – powiedział Jon. – Wypłynęmy moją.

Jego łódź była mniejsza niż „La Cigale”, ale i tak fajna. Wypłynęliśmy na silniku, o zachodzie słońca okrążyliśmy zatokę. Było pięknie, miasta, most, morska piana. Wróciliśmy do portu i zjedliśmy kolację na pokładzie. Minął nas Solly, przeraził się na nasz widok.

Przedstawiliśmy go Jonowi, powiedzieliśmy, że to on zabrał nas na wodę.

Solly szeroko się uśmiechnął.

– Rany, wam dwojgu musiało się podobać! Rejs łódką!

Joe i Ben się śmiali. Podobało im się, pływanie po zatoce, zapach i wolność. Rozmawiali o kupnie łodzi i zamieszkaniu na niej. Wszystko planowali.

– Hej, co z wami? – zapytał nas Joe.

Miał rację. Wszyscy troje milczeliśmy, tylko siedzieliśmy.

– Mam doła – odparł Jon. – Ta łódź jest moja od roku, a dopiero po raz trzeci nią wypłynąłem. Nigdy nawet nie rozwinąłem żagli. Wszystko mi się popieprzyło. Moje życie to bagno.

– Jest mi... – Jesse potrząsnął głową, nie dokończył.

Wiedziała, że jest mu smutno z tego samego powodu co mnie. To była prawdziwa łódź.

Jesse powiedział, że nie chce iść do sądu. Obiecałem Carolcie, że przyjdę po nią naprawdę wcześniej. Racjonowano wtedy jeszcze benzynę, więc nigdy nie było wiadomo, jak

długa okaże się kolejka. Carlotta czekała na mnie na rogu koło Searsa. Był z nią Jesse, blady i skacowany.

– Hej, nie martw się. Wszystko będzie dobrze – powiedziałem.

Skinął głową.

Zakryła włosy chustką. Miała jasne spojrzenie i zdawała się spokojna. Sukienka w kolorze pudrowego różu, baleriny z lakierowanej skóry, mała torebka.

– Jackie O. idzie do sądu! Sukienka jest idealna – powiedziałem.

Pocałowali się na do widzenia.

– Ta sukienka jest koszmarna – powiedział. – Kiedy wrócisz, to ją spalę. – Stali tak, patrząc na siebie.

– No chodź, wsiadaj. Nie pójdziesz do więzienia, Carlotto. Obiecuję.

Długo czekaliśmy na benzynę. Rozmawialiśmy o wszystkim oprócz procesu.

Rozmawialiśmy o Bostonie. O księgarni Groliera. Restauracji Lochober. O Truro i wydmach. Cheryl i ja poznaliśmy się w Provincetown. Powiedziałem Carlotcie, że Cheryl ma romans. Że nie wiem, co czuję. Jeśli chodzi o ten romans, o nasze małżeństwo. Nakryła moją dłoń swoją, na drążku zmiany biegów.

– Tak mi przykro, Jon – powiedziała. – Najgorsze jest to, że nie wiesz, co czujesz. Kiedy będziesz wiedział, wszystko ci się rozjaśni. Chyba.

– Wielkie dzięki. – Uśmiechnąłem się.

W sali sądowej byli obaj policjanci. Carlotta usiadła naprzeciwko nich w części dla widzów. Rozmawiałem z prokuratorem i sędzią i poszliśmy do jego gabinetu. Obaj spojrzeli na nią groźnie, zanim weszliśmy.

Poszło jak po maśle. Przedstawiłem strona po stronie dokumentację na temat policji, raporty z kontroli bezpieczeństwa, potwierdzenie, że nie znaleźli marihuany. Sędzia wiedział, jak wygląda raport policyjny, jeszcze zanim zdążyłem się w niego zagłębić.

– No tak, tak, co pan proponuje?

– Proponuję, że pozwiemy Policję San Francisco, jeśli zarzuty nie zostaną oddalone.

Zastanawiał się, ale niezbyt długo.

– Sądzę, że oddalenie zarzutów będzie właściwe.

Prokurator przewidywał, że tak się stanie, ale widziałem, że nie ma ochoty mówić o tym policjantom.

Wróciliśmy do sali, gdzie sędzia powiedział, że z powodu zarzutów ciężących na Policji San Francisco uznał za właściwe oddalenie zarzutów przeciwko Carlocie Moran. Gdyby tamtego dnia policjanci mieli ze sobą latarki, zatłukliby Carlottę na śmierć w sali sądowej. Ona nie mogła powstrzymać anielskiego uśmiechu.

Poczułem się zawiedziony. Poszło tak szybko. I spodziewałem się, że będzie szczęśliwsza, że bardziej jej ulży. Gdyby jakiś inny prawnik prowadził tę sprawę, siedziałaby już w więzieniu. Powiedziałem jej to, czekając na komplementy.

– Hej, może trochę radości, hm? Wdzięczności?

– Jon, przepraszam. Oczywiście, że się cieszę. Oczywiście, że jesteśmy wdzięczni. I wiem, ile sobie liczysz. Jesteśmy ci winni tysiące dolarów. A oprócz tego mogliśmy cię poznać i nas polubić. Pokochaliśmy cię. – Uścisnęła mnie wtedy serdecznie i szeroko się uśmiechnęła.

Zawstydzilem się, kazałem zapomnieć o pieniądzach, bo to było coś więcej niż sprawa. Wsiedliśmy do samochodu.

– Jon, muszę się napić. I oboje musimy zjeść śniadanie.

Zatrzymałem się i kupiłem jej małąkę whisky. Wzięła kilka głębokich łyków, zanim dotarliśmy do Denny's.

– Co za poranek. Równie dobrze moglibyśmy być w Cleveland. Rozejrzyj się. – Denny's w Redwood City to jak być w sercu Ameryki.

Zrozumiałem, jak bardzo stara się mi okazać, że jest szczęśliwa. Poprosiła, bym opowiedział jej, co się wydarzyło, co mówiłem, co mówił sędzia. W drodze do domu zapytała o inne sprawy, które lubiłem najbardziej. Nie rozumiałem, co się dzieje, dopóki nie wjechaliśmy na Bay Bridge i zobaczyłem jej łzy. Kiedy zjechaliśmy z mostu, zatrzymałem się na poboczu, podałem jej chusteczkę. Otarła twarz, patrząc w lusterko, spojrzała z ledwie widocznym uśmiechem.

– No to chyba po zabawie – powiedziałem.

Podniosłem dach w samą porę. Kiedy jechaliśmy w stronę Oakland, zaczęło mocno padać.

– Co teraz zrobisz?

– A co mi radzisz, radco?

– Nie bądź sarkastyczna, Carlotto. To nie w twoim stylu.

– Jestem bardzo poważna. Co ty byś zrobił?

Potrząsnąłem głową. Pomyślałem o jej twarzy, kiedy czytała list od Nathana.
Przypomniałem sobie, jak Jesse trzymał ją za gardło.

– Wiesz? Co masz zrobić?

– Tak – szepnęła. – Wiem.

Czekał na rogu pod Searsem. Przemoknięty do suchej nitki.

– Stój! Tam jest!

Wysiadła. On podszedł, zapytał, jak poszło.

– Bułka z masłem. Było super.

Wyciągnął i podał mi rękę.

– Dziękuję ci, Jon.

Skręciłem za róg, zaparkowałem przy krawężniku, patrzyłem, jak odchodzą w ulewie, z premedytacją wchodząc w kałuże, delikatnie wpadając na siebie nawzajem.

Mama

– Mama wiedziała wszystko – mówiła moja siostra Sally. – Była wiedźmą. Nawet teraz, choć nie żyje, czasami się boję, że mnie widzi.

– Ja też. Najbardziej martwię się wtedy, kiedy zdarzy mi się coś bardzo słabego. Żałosne jest jednak to, że kiedy zrobię coś dobrego, to znowu mam nadzieję, że naprawdę widzi. „Hej, mamo, tylko zobacz”. A jeśli zmarli tak naprawdę wciąż tu są, patrzą na nas i śmieją się do rozpuku? Boże, Sally, ona by coś takiego powiedziała. Może jestem taka jak ona?

Nasza matka zastanawiała się, jak wyglądałyby krzesła, gdybyśmy mieli kolana zginające się w odwrotną stronę. A gdyby Jezusa stracono na krześle elektrycznym? Zamiast krzyżyków na łańcuszku wszyscy lataliby z krzesłami na szyi.

– Mówiła mi: „Cokolwiek robisz, nie rozmnażaj się” – ciągnęła Sally. – A gdyby przyszło mi do głowy postąpić głupio i kiedykolwiek wyjść za męża, powinnam się upewnić, że facet jest bogaty i mnie uwielbia. „Nigdy, przenigdy nie wychodź za męża z miłości. Jeśli kochasz faceta, będziesz chciała z nim być, zadowalać go, robić dla niego różne rzeczy. Będziesz pytać go «gdzie byłeś?» albo «o czym myślisz?» albo «kochasz mnie?». A wtedy on cię zleje. Albo wyjdzie po fajki i nigdy nie wróci.

– Nienawidziła słowa „miłość”. Wymawiała je tak, jak inni wymawiają słowo „dziwka”.

– Nienawidziła dzieci. Raz odbierałam ją z lotniska, kiedy cała moja czwórka była mała. Wrzeszczała: „Odwołaj je!”, jakby były sforą dobermanów.

– Nie wiem, czy mnie wydziedziczyła, bo wyszłam za Meksykanina, czy dlatego, że był katolikiem.

– Winiła Kościół katolicki za to, że ludzie mają tak dużo dzieci. Podobno to papież rozpuścił plotkę, że miłość uszczęśliwia.

– Miłość unieszczęśliwia – mówiła nasza mama. – Moczysz poduszkę, wypłakując oczy przed snem, budki telefoniczne zaparowują od łez, od twoich szlochów skowyczą psy, palisz dwa papierosy naraz.

– Czy tata cię unieszczęśliwił? – zapytałam ją.

– Kto? On? On nikogo nie potrafiłby unieszczęśliwić.

Ale wykorzystałam rady mamy, by uratować małżeństwo mojego syna. Jego żona Coco zadzwoniła do mnie z płaczem. Ken chciał się wyprowadzić na kilka miesięcy. Potrzebował

przeźreni. Coco go uwielbiała; była zdesperowana. Zaczęłam udzielać rad głosem mojej mamy. Dosłownie, z tym samym teksańskim akcentem, z ironią.

– Daj temu głupcowi posmakować własnego lekarstwa. – Dodałam, żeby nigdy go nie prosiła, by wrócił. – Nie dzwoń do niego. Wysyłaj sobie kwiaty z tajemniczymi liścikami. Naucz jego afrykańską szarą papugę wołać „Halo, Joe!”. – Radziłam, żeby spotykała się z mężczyznami, przystojnymi, eleganckimi mężczyznami. Jeśli to konieczne, niech im płaci, żeby tylko u niej przesiadywali. – Weź ich do Chez Panisse na lunch. Gdy Ken pojawi się po swoje ubrania albo odwiedzić papugę, obok ciebie powinien być za każdym razem inny facet.

Coco wciąż do mnie dzwoniła. Tak, robi, co jej kazałam, ale on wciąż nie wrócił. Choć fakt, nie wydawała się specjalnie nieszczęśliwa.

W końcu któregoś dnia zadzwonił Ken.

– Hej, mam, słuchaj... Coco się puszcza. Poszedłem do naszego mieszkania po swoje płyty, czaisz? A tam ten kolo. Fioletowy kostium rowerowy z lycry, pewnie spocony, leży na moim łóżku, ogląda Oprah na moim telewizorze i karmi mojego ptaka.

Cóż mam rzec? Od tamtej pory Ken i Coco żyją długo i szczęśliwie. Niedawno byłam u nich z wizytą i zadzwonił telefon. Coco odebrała i chwilę rozmawiała, od czasu do czasu się śmiejąc. Kiedy odłożyła słuchawkę, Ken zapytał: „Kto dzwonił?”. Ona uśmiechnęła się i odparła: „Nikt ważny, taki jeden facet z siłowni”.

– Mama obrzydziła mi mój ulubiony film – opowiadałam Sally. – *Pieśń o Bernadette*. Chodziłam wtedy do szkoły Świętego Józefa i zamierzałam być zakonnicą, a najchętniej świętą. Miałaś wtedy najwyżej ze trzy lata. Widziałam tamten film trzy razy. W końcu zgodziła się pójść ze mną. Przez cały seans się śmiała. Powiedziała, że ta piękna pani to nie Dziewica Maryja. „To Dorothy Lamour, na miłość boską”. Przez całe tygodnie nabijała się z niepokalanego poczęcia. „Przynieś mi filiżankę kawy, dobrze? Nie mogę wstać. Jestem niepokalanym poczęciem”. Albo dzwoniła do swojej koleżanki Alice Pomeroy i mówiła: „Cześć, to ja, spocone poczęcie”. Albo: „Cześć, mówi dwusekundowe poczęcie”.

– Była błyskotliwa. Musisz to przyznać. Dawała na przykład żebrakowi pięć centów i mówiła: „Przepraszam, młody człowieku, ale jakie masz marzenia i ambicje?”. Albo do naburmuszonego taksówkarza: „Jaki pan dzisiaj zamyślony i zamknięty w sobie”.

– Nie, nawet jej dowcipy były straszne. Przez tyle lat samobójcze liściki, zawsze pisane do mnie, zwykle okazywały się żartami. Kiedy podcięła sobie żyły, podpisała list „Krwawa

Mary”. Kiedy przedawkowała, napisała, że próbowała pętle, ale nie mogła jej załapać. Jej ostatni list do mnie nie był zabawny. Pisała, że wie, że nigdy jej nie wybaczę. I nie mogła mi wybaczyć katastrofy, jaką zrobiłam ze swojego życia.

– Do mnie nie napisała ostatniego listu.

– Nie wierzę. Sally, naprawdę jesteś zazdrosna, że to ja dostawałam wszystkie te samobójcze liściki?

– Cóż, tak. Jestem.

Po śmierci naszego ojca Sally przyleciała z Mexico City do Kalifornii. Pojechała do domu mamy i zapukała do drzwi. Mama widziała ją przez okno, ale nie chciała jej wpuścić do środka. Wyrzekła się Sally wiele lat wcześniej.

– Tęsknię za tatą! – zawołała do niej wtedy Sally przez szybę. – Umieram na raka.

Potrzebuję cię, mamo!

Matka zasunęła rolety i zignorowała to walenie walenie w drzwi.

Sally szlochała, raz po raz odtwarzając tę i inne, smutniejsze sceny. W końcu była już bardzo chora i gotowa na śmierć. Przestała się martwić o swoje dzieci. Zrobiła się spokojna, urocza i słodka. Wciąż jednak od czasu do czasu wpadała w gniew, który nie pozwalał jej odejść, zabierał spokój.

Dlatego co wieczór zaczęłam opowiadać Sally różne historie, jakbym opowiadała bajki.

Opowiadałam zabawne historie o naszej matce. Jak kiedyś bez powodzenia próbowała otworzyć chipsy, ale w końcu się poddała. „Życie jest cholernie ciężkie”, powiedziała i rzuciła torebkę przez ramię.

Opowiadałam o tym, jak mama przez trzydzieści lat nie rozmawiała ze swoim bratem Fortunatem. W końcu on zaprosił ją na lunch do Top of the Mark, żeby zakopać topór wojenny. „Chyba śni, ten zakuty łeb!”, powiedziała wtedy mama. Ale go załatwiła. Zmusił ją, żeby zamówiła piezzonego bażanta pod szkłem, a kiedy go przyniesiono, zapytała kelnera: „Hej, chłopcze, macie tu keczup?”.

Ale przede wszystkim opowiadałam Sally historie o tym, jaka kiedyś była nasza matka. Zanim zaczęła pić, zanim zaczęła nas krzywdzić. Dawno, dawno temu.

– Mama stoi przy burcie statku do Juneau. Niedługo spotka się z Edem, swoim mężem. Na drodze do nowego życia. Jest rok 1930. Zostawiła za sobą wielki kryzys, dziadka. Cały koszmar biedy i ból Teksasu zniknął. Statek mknie po falach, niedaleko brzegu, w pogodny

dzień. Mama patrzy na granatową wodę i zielone sosny na brzegu tego dzikiego czystego nowego kraju. Widzi góry lodowe i mewy. Najważniejsze, żeby pamiętać, jaka była niska, miała ledwie sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Tylko *wydawała się* nam wielka. I taka młoda, dziewiętnaście lat. Bardzo piękna, śniada i szczupła. Na pokładzie statku kołysze się na wietrze. Jest krucha. Drży z zimna i ekscytacji. Pali. Futrzany kołnierz podniesiony wokół twarzy w kształcie serca, atramentowoczarne włosy.

Wujek Guyler i wujek John kupili mamie ten płaszcz w prezencie ślubnym. Nosiła go jeszcze sześć lat później, więc zdążyłam go dobrze poznać. Chowalam twarz w wytartym pachnącym nikotyną futrze. Nie kiedy miała go na sobie. Nie znosiła, gdy jej dotykano. Jeśli ktoś za bardzo się zbliżył, podnosiła rękę, jakby chroniąc się przed ciosem.

Na pokładzie statku czuje się ładna i dorosła. W trakcie rejsu nawiązała przyjaźnie. Była błyskotliwa, urocza. Flirtował z nią kapitan. Dolewał jej ginu, przez co dostawała zawrotów głowy i głośno się śmiała, kiedy on wyszeptał: „Łamiesz mi serce, śniada ślicznotko!”.

Kiedy statek zacumował w Juneau, jej błękitne oczy wypełniły się łzami. Nie, ja też nigdy nie widziałam, by płakała. Była jak Scarlett w *Przeminęło z wiatrem*. Przysięgła to sobie. Nikt już nigdy mnie nie zrani.

Wiedziała, że Ed to dobry człowiek, porządny i uczciwy. Pierwszy raz, kiedy pozwoliła mu się odprowadzić do domu na Upson Avenue, czuła zażenowanie. Nędza; wujek John i dziadek byli pijani. Bała się, że Ed już jej nie zaprosi na randkę. Ale on przytulił ją i powiedział: „Będę cię chronił”.

Alaska okazała się tak cudowna, jak sobie wymarzyła mama. Latali w dzikie miejsca samolotem z płozami i lądowali na zamrzniętych jeziorach, jeździli w ciszy na nartach, oglądali łosie i niedźwiedzie polarne i wilki. Latem w lasach rozbijali obóz, łowili łososie, widzieli niedźwiedzie grizzly i kozice! Nawiązywali przyjaźnie; ona należała do grupy teatralnej i grała medium w *Seansie*. Chodziła na imprezy zespołu i składkowe kolacje, a potem Ed powiedział, że mama nie może już dłużej występować, ponieważ za wiele pije i zachowuje się poniżej swojej pozycji. Potem ja się urodziłam. Tata musiał na kilka miesięcy wyjechać do Nome i mama została sama z noworodkiem. Kiedy wrócił, zastał ją pijaną, zataczała się, trzymając mnie na rękach. „Oderwał mi ciebie od piersi”, mówiła. Przejął zupełnie opiekę nade mną, karmił z butelki. Pewna Eskimoska przychodziła mnie pilnować, gdy pracował. Mówił mamie, że jest słaba i zła jak wszyscy Moynihanowie. Chronił ją od tamtej pory przed nią samą, nie pozwalał

prowadzić auta i mieć pieniędzy. Mogła tylko chodzić do biblioteki, czytać dramaty i kryminały i Zane'a Greya.

Kiedy wybuchła wojna, urodziłaś się ty i wyjechałyśmy do Teksasu. Tata był porucznikiem na statku z amunicją niedaleko wybrzeży Japonii. Mama wpadła we wściekłość, że musi wrócić do domu. Przez większość czasu wychodziła, piła coraz więcej i więcej. Mamie przestała pracować w gabinecie dziadka, żeby się tobą zająć. Przeniosła twoją kołyskę do swojego pokoju; bawiła się z tobą i śpiewała ci i kołysała do snu. Nie pozwalała się nikomu do ciebie zbliżać, nawet mnie.

Dla mnie to było okropne, z mamą i dziadkiem. Albo sama, przez większość czasu. W szkole miałam kłopoty, uciekłam z jednej, z dwóch innych mnie wyrzucono. Kiedyś przez pół roku się nie odzywałam. Mama nazywała mnie diabelskim nasieniem. Cały jej gniew skupiał się na mnie. Dopiero kiedy dorosłam, zrozumiałam, że ona i dziadek prawdopodobnie nawet nie pamiętali, co się działo. Bóg zsyła pijakom zaćmienia, bo gdyby wiedzieli, co robią, na pewno umarliby ze wstydu.

Po powrocie taty z wojny mieszkaliśmy w Arizonie i byliśmy razem szczęśliwi. Sadzili róże i dali ci szczeniaka, Sama, i mama była trzeźwa. Ale już nie wiedziała, jak być z tobą i mną. Myśleliśmy, że nas nienawidzi, ale ona tylko się nas bała. Uważała, że to my ją porzuciłyśmy, że jej nienawidzimy. Chroniła się, wyśmiewając nas i przedrzeźniając, raniąc tak, żebyśmy nie mogły zranić jej pierwsze.

Wydawało się, że dla mamy przeprowadzka do Chile to będzie spełnienie marzeń. Uwielbiała elegancję i piękne przedmioty, zawsze chciała znać „odpowiednich” ludzi. Tata dostał prestiżową posadę. Byliśmy teraz bogaci, mieliśmy piękny dom i wielu służących, odbywały się kolacje i przyjęcia z odpowiednimi ludźmi. Mama na początku brała w nich udział, ale po prostu za bardzo się bała. Miała złą fryzurę, nieodpowiednie ubrania. Kupowała drogie imitacje antyków i marne obrazy. Bała się też służących. Miała kilkoro przyjaciół, którym ufała, jak na ironię grała w pokera z jezuickimi księżmi, ale przez większość czasu siedziała w swoim pokoju. A tata ją tam trzymał. „Na początku był moim opiekunem, a później mnie więził”, mówiła. Myślał, że jej pomaga, jednak rok po roku wydzielał jej drinki i ukrywał ją, nigdy nie otrzymała żadnej pomocy. Nie zbliżyłyśmy się do niej, nikt się nie zbliżał. Miewała ataki szału, okrutne, irracjonalne. Uważałyśmy, że nic, co robimy, nie jest dla niej dość dobre. A ona nie znośła widzieć, że z nami wszystko w porządku, że się rozwijamy i coś osiągamy. Byłyśmy młode i

ładne i miałyśmy przyszłość. Rozumiesz? Jak bardzo było jej trudno, Sally?

– Tak. Tak było. Biedna, żalosna mama. Wiesz, teraz jestem jak ona. Wściekam się na wszystkich, bo pracują, żyją. Czasami cię nienawidzę, bo nie umierasz. Czyż to nie okropne?

– Nie, ponieważ mi to mówisz. A ja powiem ci, że się cieszę, że to nie ja umieram. Za to mama nie miała nikogo, komu mogłaby to wyznać. Tamtego dnia na statku wpływającym do portu myślała, że będzie inaczej. Mama wierzyła, że Ed zawsze będzie przy niej. Myślała, że dopłynęła do domu.

– Opowiedz mi o niej jeszcze raz. Na statku. Kiedy w jej oczach pojawiły się łzy.

– Dobrze. Rzuciła niedopałek do wody. Słysząc, jak syczy, kiedy fale uspokajają się bliżej brzegu. Silniki statku wyłączają się gwałtownie. A potem w ciszy, przy dźwięku boi i mew i żalosnego przeciągłego wycia syreny płyną w stronę wybrzeża i miękko uderzają o opony w porcie. Mama wygładza kołnierz i fryzurę. Uśmiecha się, patrzy w tłum, szuka swojego męża. Nigdy przedtem nie czuła takiego szczęścia.

Sally cicho płacze.

– *Pobrecita. Pobrecita* – mówi. – Gdybym tylko mogła z nią porozmawiać.

Powiedziałabym jej, jak bardzo ją kochałam.

Ja... Ja nie mam litości.

Carmen

Przed każdą apteką w mieście stał tuzin starych samochodów z dziećmiakami kłócącymi się na tylnym siedzeniu. Spotykałam ich matki w Payless i Walgreens i Lee's, ale się nie witałyśmy. Nawet z tymi znajomymi... udawałyśmy, że się nie znamy. Czekaliśmy w kolejce, gdy pozostałe kupowały wodzian terpinu, syrop na kaszel z kodeiną i podpisywały odbiór w wielkiej dziwnej księdze. Czasami wpisywałyśmy prawdziwe nazwiska, czasami zmyślałyśmy. Wiedziałam, że tak jak ja nie wiedzą już, co gorsze. Czasami widywałam te same kobiety w czterech czy pięciu aptekach dziennie. Inne żony lub matki uzależnionych. Farmaceuci dzielili tę winę, nigdy nie dawali po sobie poznać, że nas znają. Tylko raz pewien młody sprzedawca przy Czwartej Ulicy zawołał mnie z powrotem do lady. Byłam przerażona. Myślałam, że to zgłosi. Był naprawdę nieśmiały i czerwienił się, przepraszając, że wtrąca się w nie swoje sprawy. Powiedział, że wie o mojej ciąży i martwi się, dlaczego kupuję taką dużą ilość syropu na kaszel. Ma wysoką zawartość alkoholu, dodał, i łatwo się uzależnić, nie zdając sobie z tego sprawy. Odparłam, że nie jest dla mnie. Podziękowałam, ale rozplakałam się, odwracając i wybiegając ze sklepu. Płakałam, bo chciałam, żeby Makaron był czysty, kiedy urodzi się dziecko. „Dlaczego płaczesz, mamó? Mama płacze!” – Willie i Vincent podskakiwali na tylnym siedzeniu. „Siadajcie!”. Sięgnęłam za siebie i palnęłam Williego w głowę. „Siadaj. Płacę, bo jestem zmęczona, a wy nie chcecie się uspokoić”.

Niedawno w mieście urządzono wielką łapankę, a jeszcze większą w Culiacán, więc w Albuquerque nie dało się kupić heroiny. Makaron najpierw obiecał, że zmniejszy dawki syropu i będzie czysty, zostanie czysty, kiedy za dwa miesiące urodzi się dziecko. Wiedziałam, że nie da rady. Nigdy przedtem nie był tak naćpany, a w dodatku nadwyrężył kręgosłup w trakcie pracy na budowie. Przynajmniej dostawał zasiłek.

Mówił, klęcząc; do telefonu musiał się doczołgać. Wiem, wiem, chodziłam na spotkania. Ja też jestem chora, jestem aktywatorem, współuzależnioną. Mogę tylko powiedzieć, że czuję do niego miłość, współczucie, czułość. Był taki chudy, taki chory. Zrobiłabym wszystko, żeby go nie krzywdzić. Ukłękłam i go objęłam. Odłożył słuchawkę.

– Kurwa, Mona, złapali Beta – powiedział. Całował mnie i przytulał, zawołał dzieci i je uścisnął. – Hej, chłopaki, pomóżcie staruszkowi dojść do łazienki.

Kiedy chłopcy wyszli, ja weszłam i zamknęłam drzwi. Trząśł się tak bardzo, że musiałam

wlać mu syrop do ust. Od zapachu zrobiło mi się niedobrze. Jego pot, jego kał, cała przyczepa śmierdziała zgniłymi pomarańczami z syropu.

Zrobiłam chłopcom kolację, potem obejrzeni w telewizji *Kryptonim U.N.C.L.E.* Wszystkie dzieciaki w szkole nosiły lewisy i T-shirty, z wyjątkiem Williego. W trzeciej klasie ubierałam go w czarne spodnie i białą koszulę. Włosy miał zaczesane jak ten blondyn z telewizji. Chłopcy spali na piętrowych łózkach w maleńkim pokoju, Makaron i ja spaliśmy w drugiej sypialni. Przy naszym łóżku ustawiłam już łóżeczko, w każdym wolnym kącie poupychałam pieluchy i dziecięce ubranka. Mieliśmy dwa akry ziemi w Corrales, niedaleko kanału, w topolowym zagajniku. Na początku planowaliśmy budowę ceglanego domu, sadzenie roślin, ale zaraz po tym, jak kupiliśmy ziemię, Makaron znów zaczął brać. Przez większość czasu pracował na budowie, ale w sprawie domu nic się nie działo, a teraz zbliżała się zima.

Zrobiłam sobie kakao i wyszłam usiąść na schodku przyczepy.

– Makaron, chodź i zobacz!

Nie odpowiedział. Usłyszałam dźwięk kolejnej odkręcanej butelki z syropem. Zachód słońca był krzykliwy i wspaniały. Ogromne góry Sandia miały kolor głębokiego różu, skały pod nimi – czerwieni. Żółte amerykańskie topole lśniły na brzegu rzeki. Brzoskwiniowy księżyc zaczął już wschodzić. Co się ze mną dzieje? Znowu płakałam. Nie znoszę oglądać pięknych rzeczy w samotności. Ale już przyszedł, całował mnie w kark i obejmował.

– Wiesz, że nazywają się Sandia, bo mają kształt arbuźów¹⁰?

– Nie – powiedziałam. – To z powodu koloru.

Pokłóciliśmy się o to na pierwszej randce i powtarzaliśmy potem ze sto razy. Roześmiał się i mnie pocałował, słodko. Teraz było dobrze. To właśnie jest najgorsze w prochach, pomyślałam. Działają. Siedzieliśmy, patrząc, jak lelczyki krążą nad polem.

– Makaron, nie mam już terpinu. Schowam resztę butelek i dam ci, kiedy będziesz chory. Dobrze?

– Dobrze. – Nie słuchał mnie. – Beto pojechał po towar do Juárez, od La Nachy. Mel też tam jest. Sprawdzi towar. Nie może go przywieźć. Nie może przekraczać granicy. Ty musisz pojechać. Jesteś idealną osobą. Biała, ciężarna, miłutka. Wyglądasz jak miła kobieta.

Jestem miłą kobietą, pomyślałam.

– Polecisz do El Paso, weźmiesz taksówkę przez granicę, a potem przylecisz z powrotem. Łatwizna.

Pamiętam, jak kiedyś czekałam w samochodzie przed budynkiem, w którym mieszkała La Nacha, bałam się tamtej dzielnicy.

– Jestem najgorszą możliwą osobą. Nie mogę zostawić dzieci. Nie mogę pójść do więzienia.

– Nie pójdziesz do więzienia. O to chodzi. Connie popilnuje dzieci. Wie, że masz rodzinę w El Paso. Coś się może tam wydarzyć. Dzieci z chęcią pojedą do Connie.

– A jeśli gliny mnie zatrzymają i zapytają, co tam robię?

– Wciąż mamy dowód Laury. Wygląda jak ty, może nie jest taka ładna, ale obie jesteście *gueras* z niebieskimi oczami. Będziesz miała obdartą kartkę papieru z nazwiskiem „Lupe Vega” i adres niedaleko Nacy. Powiedz, że szukasz służącej, bo się nie pokazała, a jest ci winna pieniądze albo coś takiego. Udawaj głupią, niech ci pomogą jej szukać.

W końcu zgodziłam się pojechać. Mel będzie na miejscu, a ja miałam pilnować, jak próbuje.

– Jeśli będzie okej, to będziesz wiedziała. – Tak, wiedziałam, jak wygląda dobry haj. – Cokolwiek się stanie, nie zostawiaj Mela samego w pokoju. Ale ty wyjdź sama, bez Mela. Powiedz taksówkarzowi, żeby wrócił po ciebie za godzinę. Nie pozwól, by wzywali dla ciebie taryfę.

Zebrałam się, zadzwoniłam do Connie i powiedziałam, że mój wujek Gabe z El Paso umarł i czy mogłaby wziąć dzieci na noc, może na drugi dzień. Makaron dał mi grubą kopertę z pieniędzmi, zaklejoną. Spakowałam torbę dla chłopców. Ucieszyli się, że jadą. Sześcioro dzieci Connie traktowali jak kuzynów. Kiedy podeszliśmy pod drzwi, Connie zagoniła ich do środka, wyszła na ganek i mnie uściskała. Czarne włosy miała podpięte wysoko na wałkach jak perukę z teatru kabuki. Ubrana w obcięte džinsy i T-shirt, wyglądała na jakieś czternaście lat.

– Nie musisz mnie okłamywać, Mona – powiedziała.

– Robiłaś to kiedyś?

– Tak, wiele razy. Ale nie po urodzeniu dzieci. Założę się, że drugi raz tego nie zrobisz. Trzymaj się. Pomodlę się za ciebie.

W El Paso wciąż było gorąco. Wyszłam z samolotu na miękkie, zapadający się asfalt, czując zapach kurzu i szafwii, które zapamiętałam z dzieciństwa. Poprosiłam taksówkarza, żeby zawiózł mnie na most, ale najpierw przejechał wokół stawu z aligatorami.

– Aligatory? Te biedne staruszki wymarły lata temu. Mimo to chce pani jechać na plac?

– Pewnie.

Oparłam się i patrzyłam na mijane dzielnice. Zmieniły się, ale jako dzieciak jeździłam po całym tym mieście na wrotkach tak wiele razy, że znałam chyba każdy stary dom i drzewo.

Dziecko kopało i rozciągało się.

– Podoba ci się moje dawne miasto?

– Słucham? – zapytał kierowca.

– Przepraszam, mówiłam do dziecka.

Zaśmiał się.

– Odpowiedziało?

Przejechałam most. Wciąż cieszyły mnie zapachy ognisk, kurzu caliche, chili i powiew siarki z huty. Razem z moją przyjaciółką Hope uwielbiałyśmy udzielać przemądrzałych odpowiedzi, kiedy straż graniczna pytała o obywatelstwo. Transylwańskie. Mozambickie.

– Stany Zjednoczone – odparłam. Wydawało się, że nikt mnie nie zauważa. Na wszelki wypadek nie wsiadłam do taksówki od razu przy granicy, ale przeszłam jeszcze kilka ulic. Zjadłam trochę *dulce de membrillo*. Nie lubiłam jej nawet jako dziecko, lubiłam za to fakt, że sprzedawano je w małych pudełkach z drzewa balsa, a wieczko wykorzystywało się jako łyżeczkę. Pooglądałam jeszcze srebrną biżuterię, popielniczki z muszli i Don Kiszoty, aż w końcu wsiadłam do taksówki i podałam taksówkarzowi kartkę papieru z nazwiskiem Lupe i błędnym adresem. – *Cuanto?*

– Dwadzieścia dolarów.

– Dziesięć.

– *Bueno*.

Potem nie mogłam już udawać, że się nie boję. Jechał szybko i długo. Rozpoznałam opuszczoną ulicę i budynek ze stiukami. Zatrzymał się kilka numerów dalej. Łamanym hiszpańskim poprosiłam, żeby wrócił za godzinę. Za dwadzieścia dolarów.

– Okej. *Una hora*.

Trudno było mi wejść po schodach na czwarte piętro. Miałam wielki brzuch i spuchnięte, obolałe nogi. Na każdym piętrze łapałam oddech, szlochając. Drżały mi kolana i dłonie. Zapukałam do drzwi z numerem 43. Otworzył Mel i wtoczyłam się do środka.

– Cześć, skarbie, co się dzieje?

– Wody, proszę.

Usiadłam na brudnej skajowej kanapie. Przyniósł mi colę light, otarł koszulą, uśmiechnął się. Był brudny, przystojny, poruszał się jak gepard. Teraz już stał się legendą, uciekał z więzienia, nie wracał za kaucją. Uzbrojony i niebezpieczny. Przyniósł mi krzesło, żebym oparła stopy, pomasował kostki.

– Gdzie jest La Nacha?

Nigdy nie mówiono o niej po prostu „Nacha”. Zawsze z rodzajnikiem, cokolwiek to znaczyło. Weszła ubrana w czarny męski garnitur i białą koszulę. Usiadła na krześle za biurkiem. Nie potrafiłam zdecydować, czy jest transwestytą, czy kobietą próbującą wyglądać jak mężczyzna. Była śniada, niemal czarna, twarz Majów, czerwono-czarna szminka i lakier do paznokci, ciemne okulary. Włosy krótkie, przylizane. Nie patrząc na mnie, wyciągnęła pulchną dłoń do Mela. Podałam mu pieniądze. Patrzyłam, jak ona je przelicza.

Wtedy zaczęłam się bać, naprawdę bać. Przedtem myślałam, że jadę po prochy dla Makarona. Chciałam tylko, żeby nie był chory. Myślałam, że w kopercie jest może plik dziesiątek, dwudziestek. W ręku La Nacy znajdowały się tysiące dolarów. Nie przysłał mnie tu tylko po towar dla siebie. Robiłam dużą niebezpieczną transakcję. Jeśli mnie przyłapią, będę handlarzem, nie ćpunem. Kto zajmie się chłopcami? Znienawidziłam go.

Mel zobaczył, że się trzęsę. Miałam chyba nawet odruch wymiotny. Poszukał czegoś w kieszeniach, wyciągnął niebieską tabletkę. Potrząsnęłam głową. Dziecko.

– No na miłość boską. To tylko valium. Zrobisz dziecku większą krzywdę, jeśli tego nie zażyjesz. Bierz. Weź się do kupy! Słyszysz?

Skinęłam głową. Jego kpina mnie obudziła. Uspokoiliam się, jeszcze zanim tabletkę zaczęła działać.

– Makaron powiedział ci, że spróbuję tego gówna. Jeśli jest dobre, to ci powiem, weźmiesz balon i wyjdiesz. Wiesz, gdzie go umieścić?

Wiedziałam, ale nigdy bym tego nie zrobiła. A jeśli pęknie i dostanie się do dziecka?

Był jak diabeł, czytał mi w myślach.

– Jeśli ty go tam nie wsadzisz, ja to zrobię. Nie pęknie. Twoje dziecko jest zapakowane w prochoodporny worek, bezpieczne przed wszystkimi zagrożeniami świata zewnętrznego. Ale kiedy się urodzi, skarbie, cóż, to już inna historia.

Mel patrzył, jak La Nacha waży paczuszkę, i skinął głową, gdy mu ją podawała. Ani razu na mnie nie spojrzała. Patrzyłam, jak Mel bierze. Wata i woda na łyżkę, odrobina brązowej

heroiny, podgrzewa. Zawiązuje rurkę, uderza w żyłę na rękę, krew cofa się, rurka odpada, twarz Mela natychmiast się ściąga. Już był w tunelu. Duchy zabierały go do innego świata. Chciało mi się siku, chciało mi się rzygać.

– Gdzie łazienka?

La Nacha wskazała drzwi. Idąc za zapachem, znalazłam łazienkę w przedpokoju. Po powrocie przypomniałam sobie, że miałam nie zostawiać Mela samego. Uśmiechał się. Podał mi kondom zwinięty w kulkę.

– Masz, skarbie, i dobrej podróży. A teraz włóż go sobie, gdzie trzeba, jak grzeczna dziewczynka.

Odwrociłam się i udawałam, że wsuwam go do środka, ale wsadziłam go tylko do za ciasnych majtek. Na zewnątrz, w ciemnym korytarzu, przełożyłam go do stanika.

Szłam powoli, jak pijaczka. Było ciemno i brudno.

Na drugim piętrze usłyszałam, jak na dole otwierają się drzwi, hałasy z ulicy. Po schodach wbiegło dwóch chłopaków.

– *Fíjate no más!* – Jeden z nich przycisnął mnie do ściany, drugi złapał za torebkę. W środku było tylko kilka banknotów i kosmetyki. Wszystko inne miałam w wewnętrznej kieszeni marynarki. Uderzył mnie.

– Zerznijmy ją – powiedział ten drugi.

– Jak? Musiałbyś mieć metrowego fiuta.

– Odwróć ją, *bato*.

Kiedy uderzył mnie znowu, otworzyły się drzwi i po schodach zbiegł jakiś staruszek z nożem. Chłopcy odwrócili się i wybiegli na zewnątrz.

– W porządku? – zapytał po angielsku.

Skinęłam głową. Poprosiłam, żeby poszedł ze mną.

– Mam nadzieję, że taksówka już jest.

– Niech pani poczeka tutaj. Jeśli jest, każę mu trzy razy nacisnąć klakson.

Matka nauczyła cię przecież, jak być damą, pomyślałam, zastanawiając się nad etykietą. Czy powinnam mu zaproponować pieniądze? Nie zrobiłam tego. Uśmiechnąłem się uroczo bezzębными ustami, otwierając mi drzwi taksówki.

– *Adiós*.

W małym dwusilnikowym samolocie do Albuquerque było mi niedobrze. Śmierdziałam

potem i tamtą kanapą i obsikaną ścianą. Poprosiłam o dodatkową kanapkę i orzechy i mleko.

– Teraz je pani za dwoje! – szczerzył się Teksańczyk naprzeciwko.

Z lotniska do domu pojechałam samochodem. Chłopców zamierzałam odebrać później, kiedy wezmę prysznic. Wjeżdżając na polną drogę w stronę naszej przyczepy, widziałam już na zewnątrz Makarona w jego marynarskiej kurtce, jak chodził i palił.

Wyglądał na zdesperowanego, nawet się ze mną nie przywitał. Weszłam za nim do środka.

Usiadł na brzegu łóżka. Na stole miał już naszykowany i gotowy sprzęt. – Daj mi to. – Podałam mu balonik. Otworzył szafkę nad łóżkiem i położył go na małej wadze. Odwrócił się i wymierzył mi siarczysty policzek. Nigdy przedtem mnie nie uderzył. Siedziałam ogłupiała.

– Zostawiłaś z tym Mela samego. Może nie? Może nie?

– Jest tego dosyć, żeby wsadzić mnie na długo – odparłam.

– Mówiłem ci, żebyś go nie zostawiała. Co mam teraz zrobić?

– Wezwij gliny – powiedziałam, a on znów mnie uderzył.

Tym razem nawet nie poczułam. Złapał mnie skurcz. Braxton-Hicks, pomyślałam. Kim w ogóle był Braxton-Hicks? Siedziałam tam, pociałam się, śmierdziałam Juárez i patrzyłam, jak Makaron wsypuje zawartość gumki do pudełka po filmie fotograficznym. Odrobinę wytrząsnął na wacik na łyżce. Z chorą pewnością wiedziałam, że jeśli kiedykolwiek będzie musiał wybrać między mną i chłopcami a narkotykami, wybierze narkotyki.

Po nogach na dywan chlusnęła mi gorąca woda.

– Makaron! Wody mi odeszły! Muszę jechać do szpitala.

Ale on już zdążył odlecieć. Łyżka z brzękiem upadła na stół, gumowa rurka odpadła od ręki. Oparł się o poduszkę. – Przynajmniej dobry – szepnął. Znów złapał mnie skurcz. Mocny. Zerwałam z siebie brudną sukienkę, umyłam się gąbką, włożyłam białą *huipil*. Kolejny skurcz. Zadzwoiłam pod 911. Makaron odleciał. Powinam zostawić mu kartkę? Może zadzwoni do szpitala, gdy otrzeźwieje. Nie. W ogóle nie będzie o mnie myślał.

Pierwsze, co zrobi, to wstrzyknie sobie reszkę tego, co zostało na łyżce, spróbuje jeszcze raz. Poczułam w ustach metaliczny smak. Uderzyłam go w twarz, ale się nie poruszył.

Otworzyłam pudełeczko z heroiną, przytrzymując je chusteczką higieniczną. Wysypałam sporą ilość na łyżkę. Dodałam odrobinę wody, potem zamknęłam jego piękną dłoń wokół pudełka. Kolejny koszmarny skurcz. Krew i śluz spływały mi po nogach. Włożyłam sweter,

wzięłam kartę ubezpieczeniową i wyszłam na zewnątrz czekać na karetkę.

Zabrali mnie prosto na porodówkę.

– Dziecko się rodzi! – powiedziałam.

Pielęgniarka wzięła moją kartę, zapytała: numer telefonu, imię męża, ile żywych urodzeń, planowana data porodu. Zbadła mnie.

– Ma pani rozwarcie, główkę już widać.

Bóle nadchodziły jeden po drugim. Pobiegła po lekarza. Kiedy jej nie było, urodziło się dziecko, mała dziewczynka. Carmen. Schyliłam się i ją podniosłam. Położyłam, ciepłą i parującą, na swoim brzuchu. Byłyśmy same w cichym pokoju. Potem przyszli i przewieźli nas szybko pod wielkie światła. Ktoś przeciął pępowinę i usłyszałam płacz dziecka. Poczułam jeszcze większy ból, kiedy rodziłam łożysko, a potem założyli mi maskę na twarz.

– Co wy robicie? Już się urodziła!

– Lekarz zaraz będzie. Trzeba pani naciąć krocze.

Przywiązali mi ręce.

– Gdzie jest moje dziecko? Gdzie ona jest?

Pielęgniarka wyszła z sali. Byłam przywiązana do boków łóżka. Pojawił się lekarz.

– Proszę mnie rozwiązać. – Zrobił to tak delikatnie, że się przestraszyłam. – O co chodzi?

– Urodziła się za wcześnie – powiedział. – Ważyła niecałe dwa kilo. Nie przeżyła. Bardzo mi przykro. – Poklepał mnie niezręcznie po ramieniu, jakby klepał poduszkę. Patrzył w moją kartę. – Czy to pani numer domowy? Mam zadzwonić do męża?

– Nie – odparłam. – Nikogo nie ma w domu.

Milczenie

Od początku byłam milcząca, mieszkałam w górskich osadach górniczych i za często się przeprowadzałam, by nawiązywać przyjaźnie. Znajdowałam sobie jakieś drzewo albo pomieszczenie w starym opuszczonym młynie, żeby siedzieć w ciszy.

Moja matka zazwyczaj czytała albo spała, więc rozmawiałam głównie z ojcem. Jak tylko pojawiał się w drzwiach albo gdy zabierał mnie w góry albo w głęboką ciemność kopalni, mówiłam bez przerwy.

Potem pojechałam za morze, a my byliśmy w El Paso w Teksasie, gdzie posłano mnie do szkoły Vilas. W trzeciej klasie dobrze czytałam, ale nie umiałam nawet dodawać. Ciężki metalowy gorset na skrzywionych plecach. Byłam wysoka, jednak wciąż jak dziecko. Podrzutek w mieście, jakby wychowały mnie w lasach kozice. Wciąż sikałam w majtki, aż w końcu odmówiłam chodzenia do szkoły i nie chciałam rozmawiać nawet z dyrektorką.

Dawna nauczycielka mamy z liceum pomogła mi dostać stypendium w ekskluzywnej szkole dla dziewcząt Radford, znajdującej się po drugiej stronie El Paso, autobusem z przesiadką. Wciąż miałam wszystkie powyższe problemy, teraz w dodatku byłam ubrana jak obszarpaniec. Mieszkałam w slumsach, a najgorszą miałam fryzurę.

O tej szkole nie mówię wiele. Nie waham się opowiadać okropności, jeśli uda mi się sprawić, że są zabawne. Tam nigdy nie było zabawnie. Kiedyś podczas przerwy napiłam się wody z węża ogrodowego i nauczycielka wyrwała mi go, mówiąc, że jestem pospolita.

Tylko biblioteka. Codziennie spędzałyśmy w niej godzinę, mogłyśmy wziąć jakąkolwiek książkę, każdą, usiąść i poczytać albo przeglądać katalog biblioteczny. Kiedy zostawało piętnaście minut do wyjścia, bibliotekarka dawała znać, żebyśmy zdążyły coś wypożyczyć. Bibliotekarka była taka, nie śmiejęcie się, łagodnie małomówna. Nie tylko milcząca, ale i miła. Mówiła: „Tutaj stoją biografie”, a potem wyjaśniała, co to jest biografia.

– Tutaj stoją słowniki. Jeśli kiedyś chciałabyś się czegoś dowiedzieć, powiedz mi i znajdziemy w nich odpowiedź.

Cudownie było to usłyszeć, uwierzyłam jej.

Potem z biurka pani Brick ukradziono jej portmonetkę. Pani Brick powiedziała, że na pewno ją ją zabrałam. Wysłano mnie do gabinetu Lucindy de Leftwitch Templin. Lucinda de powiedziała, że ma świadomość, że w przeciwieństwie do większości uczennic nie pochodzę z

uprzywilejowanej rodziny i czasami może to być dla mnie trudne. „Rozumiem”, mówiła, ale tak naprawdę pytała: „Gdzie jest ta portmonetka?”.

Wysłałam. Nie zabrałam nawet z szafki lunchu ani pieniędzy na autobus. Przeszłam całe miasto, całą tę długą drogę, cały ten długi dzień. Matka czekała na mnie na ganku z kablem w ręku. Zdążyli zadzwonić i powiedzieć, że ukradłam portmonetkę i uciekłam. Nawet nie zapytała, czy rzeczywiście to zrobiłam. „Mała złodziejka, tak mnie upokorzyć”, chlast, „bachor, niewdzięcznica”, chlast. Lucinda de zadzwoniła następnego dnia i powiedziała matce, że to woźny ukradł portmonetkę, ale matka mnie nie przeprosiła. Odkładając słuchawkę, rzuciła tylko: „Suka”.

Tak wylądowałam w szkole Świętego Józefa, którą uwielbiałam. Tam dzieciaki też mnie nie znosiły, ze wszystkich powyższych powodów, ale nie tylko. Nie znosiły mnie na przykład dlatego, że siostra Cecylia wzywała mnie do odpowiedzi i dostawałam gwiazdki i obrazki ze świętymi i byłam pupilką! pupilką! aż w końcu przestałam podnosić rękę.

Wujek John wyjechał do Nacogdoches, więc zostałam sama z matką i dziadkiem. Wujek John zawsze jadał ze mną albo pił, kiedy ja jadłam. Rozmawiał ze mną, gdy pomagałam mu naprawiać meble, zabierał do kina i pozwalał trzymać swoje śliskie szklane oko. Po jego wyjeździe było strasznie. Dziadek i Mamie (moja babcia) całe dni spędzali w gabinecie dentystycznym dziadka, a kiedy wracali do domu, Mamie ukrywała moją młodszą siostrę w kuchni albo w swoim pokoju. Matki nie było, pracowała jako wolontariuszka w szpitalu wojskowym albo grała w brydża. Dziadek wychodził do The Elks, albo Bóg wie gdzie. Dom bez Johna był straszny i pusty i musiałam chować się przed dziadkiem i mamą, kiedy któreś było pijane. Dom był zły i szkoła była zła.

Postanowiłam nie mówić. Po prostu odpuściłam. Trwało to długo, aż w końcu siostra Cecylia próbowała pomodlić się ze mną w szatni. Chciała pomóc i dotknęła mnie z litości w czasie modlitwy. Przestraszyłam się i ją odepchnęłam, a ona upadła i wydalono mnie.

Wtedy poznałam Hope.

Rok szkolny dobiegał końca, więc miałam zostać w domu, a jesienią wrócić do Vilas. Wciąż nie mówiłam, nawet kiedy matka wylała mi na głowę cały dzbanek mrożonej herbaty ani kiedy szczypała mnie, wykręcając skórę tak, że ślady wyglądały jak gwiazdy, Wielki Wóz, Mały Wóz, Lutnia na całych moich rękach.

Grałam w kamyki na betonie nad schodkami, marząc, by syryjska dziewczynka z domu

obok zaprosiła mnie do siebie. Grała na betonowym ganku. Była mała i chuda, ale wydawała się stara. Nie dorosła czy dojrzała, ale jakby stara kobieta-dziecko. Długie lśniące czarne włosy z grzywką spadały jej na oczy. Żeby coś zobaczyć, musiała odrzucać głowę w tył. Wyglądała jak mały pawian. Ale w miły sposób. Miała drobną buzię i wielkie czarne oczy. Cała szóstka dzieci Haddadów wyglądała na zagłodzoną, ale dorośli byli wielcy, sto czy sto pięćdziesiąt kilo.

Wiedziałam, że i ona mnie zauważyła, bo kiedy ja rzucałam wiśnie w koszyku, ona również. Albo spadające gwiazdki, tyle że ona nigdy nie upuściła kamyka, nawet przy dwunastu. Przez wiele tygodni nasze kulki i kamyki wydawały dźwięczne stuk stuk bęc stuk stuk bęc, aż w końcu to ona podeszła do płotu. Pewnie słyszała, jak matka na mnie wrzeszczy, bo zapytała:

– Mówisz już?

Pokręciłam głową.

– I dobrze. Rozmowa ze mną i tak się nie liczy.

Przelazłam przez płot. Tamtego wieczoru byłam taka szczęśliwa, że mam przyjaciółkę, że idąc do łóżka, zawołałam „Dobranoc!”.

Tamtego dnia godzinami grałyśmy w kamyki, a potem nauczyła mnie gry w pikuty. Niebezpiecznych zabaw z nożem. Potrójne obroty w trawę, a najstraszniejsze było trzymanie ręki na płask na ziemi i celowanie między palce. Szybciej szybciej szybciej krew. Chyba w ogóle nie rozmawiałyśmy. Rzadko to robiłyśmy, przez całe lato. Pamiętam tylko jej pierwsze i ostatnie słowa.

Już nigdy nie miałam takiej przyjaciółki jak Hope, mojej jedynej prawdziwej przyjaciółki. Stopniowo stawałam się członkiem rodziny Haddadów. Myślę, że gdyby nie to, wyrosłabym nie tylko na neurotyczkę i niepewną siebie alkoholniczkę, ale też na wariatkę. Psycholkę.

Sześcioro dzieci i ojciec mówili po angielsku. Matka, babcia i pięć czy sześć innych starszych kobiet tylko po arabsku. Patrząc wstecz, sądzę, że doświadczyłam u nich swoistego rytuału przejścia. Dzieciaki patrzyły, jak uczyłam się biegać, naprawdę biegać, przeskakiwać przez płot, a nie wdrapywać się na niego. Stałam się ekspertem noży, kółek i kulek. Uczyłam się brzydkich słów i gestów po angielsku, hiszpańsku i arabsku. Dla ich babci zmywałam naczynia, podlewałam, grałam piasek na podwórzu, trzepałam dywany wiklinową trzepaczką, pomagałam starym kobietom wałkować ciasto na chleb na stołach pingpongowych w piwnicy. Leniwe popołudnia prania zakrwawionych menstruacyjnych wkładek w wannie za domem razem z Hope i Shahalą, jej starszą siostrą. To nie było obrzydliwe, ale magiczne, jak czarodziejski

rytuał. Rankiem stawałam z pozostałymi dziewczynkami w kolejce do mycia uszu i zaplatania warkocza, do *kibbe* na świeżym gorącym chlebie. Kobiety wrzeszczały do mnie: *Hjaddadinah!* Całowały mnie i klepały, jakby tam było moje miejsce. Pan Haddad pozwalał mnie i Hope siadać na kanapach i jeździć po mieście na pace jego ciężarówki z napisem „Piękne Meble Haddada”.

Nauczyłam się kraść. Granaty i figi z ogródka starej ślepej Gucy, perfumy Błękitny Walc i pomadkę Tangee z drogerii Kress, lukrecję i napoje ze sklepu Sunshine. Wtedy sklepy dostarczały towar do domu i któregoś dnia chłopak z Sunshine przyniósł zakupy do obu naszych domów, akurat kiedy Hope i ja wracałyśmy, jedząc bananowe lody na patyku. Obie nasze matki były na dworze.

– Ukradłyście te lody! – powiedział dostawca.

Matka uderzyła mnie plask plask.

– Właż do domu, ty przestępczy kłamliwy oszukujący bachorze!

A pani Haddad powiedziała:

– Ty parszywy kłamco! *Hjaddadinah! Tlajhama!* Nie będziesz źle mówił o moich dzieciach! Nie będę już kupować w twoim sklepie!

I nigdy już tam nie kupowała, jeździła na zakupy autobusem aż do Mesa, doskonale wiedząc, że Hope ukradła tamtego loda. To miało sens. Ja nie tylko pragnęłam, by matka wierzyła mi, kiedy byłam niewinna, czego nigdy nie robiła, ale też żeby wspierała mnie, jeśli byłam winna.

Kiedy miałyśmy już wrotki, Hope i ja zaliczyłyśmy całe El Paso, jeździłyśmy po mieście. Chodziłyśmy do kina, wpuszczając się nawzajem przez wyjście pożarowe. *The Spanish Main, Till the End of Time*. Chopin krwawiący na klawisze fortepianu. Obejrzałyśmy *Mildred Pierce* sześć razy, a *The Beast with Five Fingers* dziesięć.

Najlepiej bawiłyśmy się dzięki losom. Zawsze, kiedy się dało, plątałyśmy się przy jej bracie Sammym, siedemnastolatku. On i jego kumple byli przystojni i twardzi i szaleni. Mówiłam wam już o Sammym i losach. Sprzedawałyśmy losy na kufarki na kosmetyki z pozytywką. Przynosiłyśmy mu pieniądze, a on odpalał nam dołę. Tak kupiłyśmy wrotki.

Sprzedawałyśmy losy wszędzie. W hotelach i na stacji kolejowej, w United Service Organizations, w Juárez. Ale nawet zwykłe dzielnice były czarodziejskie. Szło się ulicą, mijało domy i podwórka, czasami wieczorem widziało się mieszkańców jedzących albo siedzących razem, uroczy obrazek, jak żyją ludzie. Hope i ja byłyśmy w setkach domów. Siedmiolatki, obie

zabawne, każda z innego powodu, ludzie nas lubili i byli dla nas mili. „Wejdźcie, napijcie się lemoniady”. Widziałyśmy cztery koty syjamskie korzystające z prawdziwej toalety i spuszcające wodę. Widziałyśmy papugi i ponaddwustukilogramowego człowieka, który nie wychodził z domu od dwudziestu lat. Ale najbardziej lubiłyśmy wszystkie ładne rzeczy: obrazy, porcelanowe pasterki, lustra, zegary z kukułką i stojące, dywany i chodniki w wielu kolorach. Lubiliśmy siadać w meksykańskich kuchniach pełnych żółtych nasturcji, pić prawdziwy sok pomarańczowy i jeść *pan dulce*. Hope była bystra, nauczyła się hiszpańskiego, słuchając go w okolicy, więc mogła rozmawiać z tamtymi starymi kobietami.

Cieszyłyśmy się, kiedy Sammy nas chwalił i przytulał. Robił nam kanapki z mortadellą i pozwalał siadać na trawie niedaleko siebie i swoich kumpli. Opowiadałyśmy im o ludziach, których spotykałyśmy. Bogatych, biednych, Chińczykach, czarnych, dopóki konduktor nie kazał nam wyjść z poczekalni dla kolorowych na dworcu. Spotkałyśmy tylko jedną złą osobę, faceta z psami. Nie zrobił ani nie powiedział nic złego, ale przeraził nas na śmierć swoją bladą twarzą z krzywym uśmiechem.

Kiedy Sammy kupił tamten stary samochód, Hope od razu zrozumiała. Że nikt nie dostanie żadnego kuferka z pozytywką.

Z wściekłością przeskoczyła przez płot na moje podwórko, wyjąc, z rozwianymi włosami jak indiański wojownik w jakimś filmie. Otworzyła nóż i zrobiła wielkie nacięcia na naszych wskazujących palcach, stykając je ciekącą krwią.

– Nigdy więcej nie odezwę się do Sammy’ego – powiedziała. – Powtórz!

– Nigdy więcej nie odezwę się do Sammy’ego – powiedziałam.

Często przesadzam i mieszam fikcję z rzeczywistością, ale tak naprawdę nigdy nie kłamię. Nie kłamałam, składając tamtą przysięgę. Wiedziałam, że nas wykorzystał, okłamał i oszukał wszystkich tych ludzi. Nie zamierzałam już nigdy z nim rozmawiać.

Kilka tygodni później wspinałam się w górę Upson, niedaleko szpitala. Gorąco. (Widzicie, próbuję usprawiedliwić to, co się stało. Zawsze było gorąco). Sammy podjechał starym niebieskim kabrioletem, na który zapracowałyśmy ja i Hope. Prawdą jest też, że mieszkałam w górskich miasteczkach i poza kilkoma taksówkami niewiele razy w życiu jeździłam samochodem.

– Chodź się przejechać.

Niektóre słowa doprowadzają mnie do szału. Ostatnio w każdym artykule w gazecie

pojawia się jakiś test wzorcowy albo punkt zwrotny albo przełom. Przynajmniej jedno z nich odnosi się do tamtej chwili w moim życiu.

Byłam małą dziewczynką; nie wierzę, że to było seksualne zauroczenie. Ale zachwycali mnie jego fizyczna uroda, jego magnetyzm. Bez względu na wytłumaczenie... No cóż, dobrze, nie ma wytłumaczenia dla tego, co zrobiłam. Rozmawiałam z nim. Wsiadłam do samochodu.

Cudownie było jechać kabrioletem. Wiatr chłodził nas, kiedy pędziliśmy wokół Plaza, mijaliśmy teatr Wigwam, Del Norte, Popular Dry Goods Company, a potem jechaliśmy w górę Mesa, w stronę Upson. Chciałam poprosić, żeby wysadził mnie kilka przecznic przed domem, i wtedy zobaczyłam Hope na drzewie figowym na pustej działce w miejscu, gdzie zbiegają się Upson i Randolph.

Hope wrzasnęła. Usiadła na drzewie, wymachując w moją stronę pięścią, przeklinając po syryjsku. Może wszystko, co mi się przydarzyło od tamtej pory, to wynik tamtej klątwy. To ma sens.

Wysiadłam z samochodu, cała chora, rozdygotana, weszłam po schodach naszego domu jak staruszka i upadłam na huśtawkę na ganku.

Wiedziałam, że to koniec mojej przyjaźni, i wiedziałam, że źle zrobiłam.

Dni nie miały końca. Hope mijala mnie, jakbym była niewidzialna, bawiła się po drugiej stronie płotu, jakby nasze podwórko nie istniało. Ona i jej siostry mówiły już tylko po syryjsku. Jeśli były na zewnątrz, to rozmawiały głośno. Rozumiałam wiele brzydkich rzeczy, które słyszałam. Hope godzinami grała samotnie w kamyki na ganku, zawodząc arabskie pieśni, piękne; jej ostry błagalny głos budził we mnie tęskny szloch.

Oprócz Sammy'ego żadne z Haddadów się do mnie nie odzywało. Ich matka s pluwała na mnie i wymachiwała pięścią. Sammy wołał do mnie z samochodu, kiedy byliśmy daleko od domu. Mówił, że mu przykro. Próbował być miły, mówił, że ona wciąż jest moją przyjaciółką, i prosił, żebym mu wybaczyła. Odwracałam się, by na niego nie patrzeć.

Nigdy w życiu nie byłam taka samotna. Przełomowo samotna. Dni nie miały końca, dźwięk jej piłki nieprzerwanie, godzina po godzinie na betonie, świst noża w trawie, błysk ostrza.

W okolicy nie było innych dzieci. Przez wiele tygodni bawiłyśmy się same. Ona doskonaliła swoje sztuczki z nożem na ich trawie. Ja kolorowałam i czytałam, leżąc na huśtawce na ganku.

Wyjechała na dobre tuż przed początkiem roku szkolnego. Sammy i ojciec zanieśli jej

łóżko i stolik i krzesło do wielkiego meblowozu. Hope wspięła się na tył, usiadła na łóżku, by móc wyglądać. Nie spojrzała na mnie. Wydawała się maleńka w wielkim samochodzie. Patrzyłam, póki nie zniknęła. Sammy zawołał mnie zza płotu, powiedział, że wyjechała do Odessy w Teksasie zamieszkać z jakimiś krewnymi. Mówię Odessa w Teksasie, bo kiedyś ktoś powiedział: „To jest Olga; pochodzi z Odessy”. A ja pomyślałam: no i? Okazało się, że to na Ukrainie. Myślałam, że jedyna Odessa jest tam, gdzie pojechała Hope.

Zaczęła się szkoła i nie było tak źle. Nie obchodziło mnie, że ciągle jestem sama i że mnie wyśmiewają. Gorset robił się za ciasny i plecy bolały. I dobrze, myślałam, zasłużyłam sobie.

Wrócił wujek John. Pięć minut po wejściu powiedział do mojej matki:

– Ona ma za mały gorset!

Bardzo się ucieszyłam na jego widok. Zrobił mi miseczkę płatków z mlekiem, dodał z sześć łyżek cukru i przynajmniej trzy łyżki wanilii. Usiadł naprzeciwko przy kuchennym stole i pił bourbona, kiedy jadłam. Opowiedziałam mu o mojej przyjaciółce Hope, o wszystkim. Powiedziałam mu nawet o problemach w szkole. Zdążyłam już niemal o nich zapomnieć. Chrząkał albo mówił: „Jasny gwint!”, kiedy opowiadałam, i wszystko rozumiał, szczególnie o Hope.

Nigdy nie mówił nic w stylu „Nie martw się, wszystko się ułoży”. A gdy Mamie kiedyś powiedziała: „Mogło być gorzej”, zawołał: „Gorzej? Mogło być sto razy lepiej!”. Też był alkoholikiem, ale od picia robił się miły, nie taki jak oni. Albo zniknął, jechał do Meksyku lub Nacogdoches lub Carlsbadu, teraz wiem, że czasami również do więzienia.

Był przystojny, śniady jak dziadek, miał tylko jedno niebieskie oko, drugie przestrzelił mu dziadek. Szklane oko było zielone. Wiem, że dziadek naprawdę do niego strzelił, ale znam z dziesięć wersji tego, jak to się stało. Kiedy wujek John był w domu, spał w szopie, niedaleko miejsca, gdzie urządziłam sobie pokój na werandzie.

Wujek John nosił kowbojski kapelusz i kowbojki i czasami przypominał dzielnego filmowego kowboja, a czasami żalosnego płaczącego palanta. „Znów chorzy”, wzdychała Mamie. „Pijani, Mamie”, mówiłam.

Kiedy dziadek był pijany, próbowałam się chować, bo wtedy mnie łąpał i kołysał. Kiedyś robił to na dużym fotelu, trzymał mnie mocno, fotel odbijał się od ziemi centymetry od rozpalonego pieca, a jego coś szturchało, mnie szturchało z tyłu. Śpiewał *Stary blaszany garnek z dziurą w dnie*. Głośno. Dyszał i chrząkał. Kawałek dalej siedziała Mamie i czytała Biblię,

wrzasnęłam:

– Mamie! Pomóż mi!

Pojawił się wujek John, pijany i brudny. Wyrwał mnie dziadkowi, podniósł go za koszulę. Powiedział, że następnym razem go zabije gołymi rękami. Potem zatrzaskał Mamie Biblię.

– Przeczytaj jeszcze raz, mamo. Źle zrozumiałaś ten fragment o nadstawianiu drugiego policzka. To się nie odnosi do krzywdzenia dziecka.

Plakała, powiedziała, że łamie jej serce.

Kiedy kończyłam płatki, zapytał, czy dziadek mnie dręczył. Powiedziałam, że nie. Powiedziałam, że teraz robi to Sally, widziałam raz.

– Małej Sally? I co zrobiłaś?

– Nic.

Nic nie zrobiłam. Patrzyłam na to z mieszanymi uczuciami: strach, seks, zazdrość, złość. John obszedł stół, wysunął krzesło i mocno mną potrząsnął. Był wściekły.

– To jest chore! Słyszysz mnie? Gdzie była Mamie?

– W ogródku. Sally spała, ale się obudziła.

– Kiedy mnie nie ma, tylko ty masz tutaj odrobinę rozumu. Musisz ją chronić. Słyszysz?

Kiwnęłam głową zawstydzona. Ale bardziej wstydziłam się tego, co czułam, kiedy to się działo. On się domyślił. Zawsze rozumiał rzeczy, których ty nie zdążyłaś sobie nawet poukładać w głowie, a co dopiero powiedzieć.

– Uważasz, że Sally ma lepiej. Jesteś zazdrosna, bo Mamie poświęca jej dużo uwagi.

Więc nawet jeśli to, co robił, było złe, to przynajmniej twoje złe, zgadza się? Skarbie, oczywiście, że jesteś o nią zazdrosna. Jest lepiej traktowana. Ale pamiętasz, jak zezłościłaś się na Mamie? Jak błagałaś, żeby ci pomogła? Odpowiedz!

– Pamiętam.

– No więc zachowałaś się tak jak Mamie. Gorzej! Milczenie potrafi być grzeszne, bardzo grzeszne. Jeszcze coś zrobiłaś, oprócz zdradzenia swojej siostry i przyjaciółki?

– Kradłam. Cukierki i...

– Mówię o krzywdzeniu ludzi.

– Nie.

Powiedział, że zostanie na jakiś czas, żeby mnie wyprostować, i uruchomi przed zimą swój punkt z naprawą antyków.

Pracowałam dla niego w weekendy i po szkole, w szopie i na podwórku. Szlifowałam, szlifowałam albo nacierałam drewno szmatką zamoczoną w oleju lnianym i terpentynie. Jego kumple Tino i Sam przychodzili czasem, żeby pomóc z wyplataniem, tapicerowaniem i wykańczaniem. Jeśli matka albo dziadek wracali do domu, tamci wychodzili tylnym wyjściem, bo Tino był Meksykaninem, a Sam był kolorowy. Za to Mamie ich lubiła i jeśli była w domu, zawsze przynosiła brownie albo ciastka owsiane.

Kiedyś Tino przyprowadził Meksykankę, miała na imię Mecha, prawie dziewczynkę, bardzo ładną, z pierścionkami i kolczykami, pomalowanymi powiekami i długimi paznokciami, w lśniącej zielonej sukience. Nie znała angielskiego, ale na migi zapytała, czy może mi pomóc malować stołek. Skinęłam głową, pewnie. Wujek John kazał mi się pospieszyć, malować szybko, zanim skończy się farba, i chyba Tino powiedział Mesze to samo po hiszpańsku. Machałyśmy wściekle pędzlami po szczebelkach i nóżkach, tak szybko, jak mogłyśmy, a wszyscy trzej faceci trzymali się pod boki i zaśmiewali. Zorientowałyśmy się i też zaczęłyśmy się śmiać. Mamie wyszła sprawdzić, co to za zamieszanie. Zawołała wujka Johna. Była naprawdę zła z powodu tej kobiety, mówiła, że to grzech, jej obecność. John kiwał głową i się po niej drapał. Kiedy Mamie wróciła do domu, on podszedł i po chwili powiedział:

– Dobra, kończymy na dzisiaj.

Kiedy czyściliśmy pędzle, wyjaśnił mi, że ta kobieta to dziwka i Mamie domyśliła się tego po jej ubraniach i makijażu. W końcu wyjaśnił mi też wiele rzeczy, które mnie męczyły. Zaczęłam rozumieć więcej na temat rodziców i dziadka i filmów i psów. Zapomniał mi powiedzieć, że dziwki biorą pieniądze, więc w kwestii dziwek wciąż nie wiedziałam, co myśleć.

– Mecha była miła. Nienawidzę Mamie – powiedziałam.

– Nie wymawiaj tego słowa! Zresztą wcale jej nie nienawidzisz. Jesteś zła, bo cię nie lubi. Widzi, jak szlajasz się po ulicach z tymi Syryjczykami i wujkiem Johnem. Uważa, że jesteś stracona, urodzona Moynihanówna. Chcesz, żeby cię kochała, i tyle. Za każdym razem, kiedy pomyślisz, że kogoś nienawidzisz, to się za niego pomódl. Spróbuj, zobaczysz. A kiedy będziesz się za nią modlić, możesz też od czasu do czasu jej pomóc. Daj jej jakiś powód, żeby polubiła takiego upartego bachora jak ty.

W weekendy czasami zabierał mnie na wyścigi psów do Juárez albo na hazard w różnych miejscach w mieście. Uwielbiałam wyścigi i dobrze obstawiałam. A na karty lubiłam chodzić tylko wtedy, kiedy wujek grał z kolejarzami w wagonach mieszkalnych na bocznicach.

Wspinałam się po drabince na dach i patrzyłam, jak pociągi przyjeżdżają i odjeżdżają, zmieniają się, łączą. Z jakiegoś powodu jednak większość rozgrywek odbywała się na zapleczach chińskich pralni. Siadałam od frontu i przez wiele godzin czytałam, a on gdzieś z tyłu grał w pokera. Gorąco i smród chemikaliów połączonych ze spaloną wełną i potem wywoływały mdłości. Kilka razy wujek wychodził tylnym wyjściem i o mnie zapominał i dopiero kiedy pracownik pralni przychodził zamykać, znajdował mnie śpiącą na krześle. Musiałam wracać do domu, daleko, w ciemności, całkiem sama. Mamie zabierała Sally na próby chóru i do kościoła i na szycie bandaży dla żołnierzy.

Raz w miesiącu chodziliśmy do golibrody. Za każdym razem do innego. Wujek prosił o golenie i strzyżenie. Ja siedziałam w fotelu, czytając „Argosy”, podczas gdy fryzjer strzygł Johna, zanim przyszedł czas na golenie. Fotel wujka odchylano w tył, a kiedy fryzjer kończył golenie, wujek pytał: „Ma pan może krople do oczu?”, a on zawsze miał. Stawał nad wujkiem i wpuszczał mu krople. Wtedy zielone szklane oko zaczynało kręcić się wokół, a golibroda zaczynał wrzeszczeć jak opętany. Potem wszyscy się śmiali.

Gdybym tylko rozumiała wujka w połowie tak dobrze, jak on zawsze rozumiał mnie, mogłabym się dowiedzieć, jak cierpiał, dlaczego tak bardzo chciał rozśmieszać innych. A rozśmieszał wszystkich. Jadaliśmy w knajpach w całym Juárez i El Paso, które wyglądały jak normalne mieszkania. Wiele stolików w jednym pomieszczeniu zwykłego domu, z dobrym jedzeniem. Wszyscy go znali i kelnerki zawsze się śmiały, kiedy pytał, czy kawa jest podgrzewana.

– Ależ nie!

– To jakim cudem jest taka gorąca?

Zwykle potrafiłam rozpoznać, jak bardzo jest pijany, i kiedy to było bardzo, znajdowałam jakąś wymówkę i szłam do domu albo jechałam kolejką. Jednak któregoś dnia spałam w kabinie furgonetki i obudziłam się, dopiero kiedy wujek wsiadł i ruszył. Jechaliśmy po Rim Road coraz szybciej, szybciej. Między kolanami miał butelkę, kierownicę trzymał łokciami i liczył pieniądze, które trzymał w wachlarzu nad kierownicą.

– Zwolnij!

– Liczę forszę, złotko!

– Zwolnij! Trzymaj kierownicę!

Furgonetka huknęła, podskoczyła na wyboju i znów huknęła. Pieniądze rozsypały się po

całej kabinie. Wyrzałam przez tylną szybę. Na ulicy stał mały chłopiec ze zranioną ręką. Obok niego leżał zakrwawiony owczarek collie i próbował wstać.

– Stój. Zatrzymaj się. Musimy wrócić. Wujku Johnie!

– Nie mogę.

– Zwolnij. Musisz zawrócić! – szlochałam histerycznie.

Pod domem otworzył moje drzwi.

– Idź do środka.

Nie wiem, czy przestałam z nim rozmawiać. Nigdy nie wrócił do domu. Ani tamtej nocy, ani przez wiele dni, tygodni, miesięcy. Modliłam się za niego.

Wojna dobiegła końca i wrócił mój ojciec. Przenieśliśmy się do Ameryki Południowej.

Wujek John wylądował w jakiejś melinie w Los Angeles i stał się beznadziejnym pijakiem. Potem poznał Dorę, która grała na trąbce w orkiestrze Armii Zbawienia. Zmusiła go, żeby poszedł do przytułku, zjadł trochę zupy, rozmawiała z nim. Potem powiedziała, że ją rozśmieszył. Zakochali się i wzięli ślub i on już nigdy więcej nie pił. Kiedy byłam starsza, pojechałam ich odwiedzić w Los Angeles. Ona pracowała jako niciarka u Lockheeda, a on prowadził w garażu zakład naprawy antyków. To byli chyba najmiłsi ludzie, jakich kiedykolwiek znałam, w sensie najmiłsza para. Pojechaliliśmy na cmentarz Forest Lawn i na ranczo La Brea i do restauracji Grotto. Przez większość czasu pomagałam wujkowi Johnowi w warsztacie, szlifując meble, polerując terpentyną i szmatką z olejem lnianym. Rozmawialiśmy o życiu, opowiadaliśmy żarty. Żadne z nas nie wspominało o El Paso. Wtedy rozumiałam już, dlaczego się nie zatrzymał, bo byłam już alkoholiczką.

Mijito

Chcę do domu. Kiedy *mijito* Jesus zasypia, myślę o domu, mojej *mamacita* i moich braciach i siostrach. Próbuję przypomnieć sobie wszystkie drzewa i wszystkich ludzi z wioski. Próbuję przypomnieć sobie siebie, bo wtedy byłam inna, przed *tantas cosas que han pasado*. Nie miałam pojęcia. Nie znałam telewizji ani *drogas* ani strachu. Boję się od momentu, kiedy zostawiłam tamtą podróż i furgonetkę i tamtych mężczyzn i ucieczkę i nawet kiedy dotarłam do Manola, zaczęłam bać się bardziej, bo on nie był już taki sam. Wiedziałam, że mnie kocha, i gdy mnie przytulał, było jak nad rzeką, ale on się zmienił, miał strach w swoich łagodnych oczach. Całe Stany Zjednoczone były straszne po przyjeździe do Oakland. Samochody przed nami, za nami, samochody jadące w drugą stronę samochody samochody na sprzedaż i sklepy i sklepy i znowu samochody. Nawet w naszym małym pokoiku w Oakland, gdzie na niego czekałam, słyszałam jedynie hałas, nie tylko telewizji, ale samochodów i autobusów i syren i helikopterów, bijących się i strzelających mężczyzn i wrzeszczących ludzi. *Mayates* mnie przerażają, a stoją w grupach na całej ulicy, więc bałam się wychodzić na dwór. Manolo był taki dziwny, bałam się, że nie chce się ze mną ożenić, ale powiedział: „Nie wariuj, kocham cię, *mi vida*”. Ucieszyłam się, ale on dodał: „Zresztą musisz być na legalu, żeby dostać socjal i kartki na żywność”. Pobraliśmy się od razu i tego samego dnia zabrał mnie do socjalu. Byłam smutna. Chciałam pójść do parku albo napić się wina, mieć małe przyjęcie *luna de miel*.

Mieszkaliśmy w motelu Flamingo na MacArthur. Czułam się samotna. Przez większość czasu go nie było. Złościł się, że się boję, ale zapomniał, jak bardzo tutaj jest inaczej. W domu nie mieliśmy łazienek ani światła. Nawet telewizja mnie przerażała; wydawała się taka prawdziwa. Żałowałam, że nie mamy małego domku albo pokoju, który mogłabym ładnie urządzić i w którym bym mu gotowała. Przychodził z gotowym smażonym kurczakiem albo tacos albo hamburgerami. Codziennie jedliśmy śniadanie w małej kafejce i to było miłe, jak w Meksyku.

Któregoś dnia ktoś załomotał do drzwi. Nie chciałam otworzyć. Mężczyzna powiedział, że jest Ramónem, wujem Manola. I że Manolo jest w więzieniu. Zabierze mnie, żebym z nim porozmawiała. Kazał mi spakować wszystkie rzeczy i wsiąść do samochodu. Wciąż go pytałam: „Dlaczego? Co się stało? Co on zrobił?”.

– *No me jodes! Cállate* – mówił. – *Mira*, ja nie wiem. On ci powie. Ja wiem tylko, że

zamieszkaś z nami, dopóki on nie stanie przed sądem.

Weszliśmy do dużego budynku, a potem windą pojechaliśmy na najwyższe piętro. Nigdy przedtem nie jechałam windą. On rozmawiał z jakimiś policjantami, a potem jeden zabrał mnie przez drzwi i kazał usiąść na krześle przed szybą. Pokazał na telefon. Przyszedł Manolo i usiadł po drugiej stronie. Był wychudzony i nieogolony i miał oczy pełne strachu. Dygotał i był blady. Ubrali go w jakąś pomarańczową piżamę. Siedzieliśmy tam i patrzyliśmy na siebie. Podniósł słuchawkę i pokazał, żebym podniosła swoją. To była moja pierwsza rozmowa telefoniczna. Nie brzmiał jak on, ale widziałam, że mówi. Bardzo się bałam. Nie pamiętam wszystkiego, oprócz tego, że mnie kocha i że mu przykro. Mówił, że da Ramónowi znać, kiedy będzie szedł do sądu. Miał nadzieję, że potem wróci do mnie, do domu. Ale jeśli nie, to żebym czekała na niego, na mojego męża. Ramón i Lupe to *buena gente*, zajmą się mną, dopóki on nie wyjdzie. Muszą mnie zabrać do socjalu, żeby zmienić mój adres. „Nie zapomnij. Przepraszam”, powiedział po angielsku. Musiałam pomyśleć, jak to jest po hiszpańsku. *Lo siento*. Czuję to.

Gdybym tylko wiedziała. Powinnam była mu powiedzieć, że go kocham i będę zawsze na niego czekać, że kocham go z całego serca. Powinnam była mu powiedzieć o naszym dziecku. Ale tak się martwiłam i bardzo bałam rozmawiać przez telefon, więc tylko na niego patrzyłam, dopóki dwóch policjantów go nie zabrało.

W samochodzie zapytałam Ramóna, co się stało, dokąd go zabrali. Wciąż pytałam, aż w końcu zatrzymał samochód i powiedział, że skąd ma wiedzieć i że mam się zamknąć. Mój czek i kartki na żywność pójdą na moje wyżywienie i muszę zająć się ich dziećmi. Jak tylko się da, powinnam znaleźć mieszkanie i się wyprowadzić. Powiedziałam, że jestem w trzecim miesiącu ciąży, a on odparł: „Kurza dupa”. To pierwsze słowa po angielsku, jakie wypowiedziałam na głos. „Kurza dupa”.

Doktor Fritz zaraz przyjdzie, więc mogę upchnąć w salach chociaż część tych pacjentów. Powinien być już dwie godziny temu, ale jak zawsze wziął dodatkową operację. Wie, że przyjmuje tu w środy. Poczekalnia jest pełna, niemowlęta ryczą, dzieci się biją. To będzie cud, jeśli Karmie i mnie uda się stąd wyjść o siódmej. Ona jest kierownikiem biura, co za robota. Wilgotno tu i gorąco, śmierdzi brudnymi pieluchami i potem, mokrymi ciuchami. Oczywiście pada deszcz, a większość tych matek odbyła długą podróż autobusem, żeby tu dotrzeć.

Kiedy wychodzę do poczekalni, lekko mrużę oczy, a kiedy wywołuję pacjenta, uśmiecham się do matki albo babki albo opiekunki, ale patrzę wtedy w trzecie oko na ich czole.

Nauczyłam się tego na ostrym dyżurze. Tylko tak można tu pracować, szczególnie z tymi dziećmi na cracku i z AIDS i z rakiem. Albo z tymi, które nigdy nie dorosną. Jeśli spojrzysz rodzicowi w oczy, potwierdzisz, podzielisz cały ten strach i zmęczenie i ból. Z drugiej strony, kiedy już ich poznasz, czasem tylko to możesz zrobić – spojrzeć im w oczy z nadzieją albo smutkiem, których nie potrafisz wyrazić.

Dwoje pierwszych to pooperacyjni. Szykuję rękawiczki i nożyczki do usuwania szwów, gazę i plaster, każę matkom rozebrać dzieci. To nie potrwa długo. Z poczekalni wywołuję Jesusa Romero.

Podchodzi do mnie nastoletnia matka z dzieckiem owiniętym w rebozo, jak w Meksyku. Dziewczyna wygląda na przerażoną, zastraszoną.

– *No inglés* – mówi.

Po hiszpańsku proszę, żeby zdjęła dziecku wszystko oprócz pieluszki, i pytam, co się dzieje.

– *Pobre mijito* – mówi. – On płacze i płacze, cały czas, nigdy nie przestaje.

Ważę go, pytam, ile ważył po urodzeniu. Niecałe trzy dwieście. Ma trzy miesiące, powinien już być większy.

– Byłaś z nim na zastrzyku?

Tak, kilka dni temu poszła do La Clinica. Powiedzieli, że mały ma przepuklinę. Nie wiedziała, że dzieci potrzebują zastrzyków. Zrobili mu jeden i kazali wrócić w przyszłym miesiącu, ale tutaj przyjść od razu.

Ma na imię Amelia. Siedemnaście lat, przyjechała z Michoacán, żeby wyjść za swojego chłopca, ale teraz on siedzi w więzieniu Soledad. Ona mieszka z wujem i ciotką. Nie ma pieniędzy, żeby wrócić do domu. Nie chcą jej tutaj i nie lubią dziecka, bo ono cały czas płacze.

– Karmisz go piersią?

– Tak, ale moje mleko chyba jest niedobre. On się budzi i płacze i płacze.

Trzyma go jak worek ziemniaków. Wyraz jej twarzy mówi: „Co mam zrobić z tym workiem?”. Zaczynam rozumieć, że nie ma kto jej w czymkolwiek doradzić.

– Wiesz, że musisz zmieniać piersi? Za każdym razem zaczynasz od innej i pozwalasz mu jeść przez długi czas, potem na chwilę przystawiasz do drugiej. Ale pamiętaj, żeby zmieniać. W ten sposób on dostanie więcej mleka i twoje piersi zrobią więcej mleka. Może zasypia, bo jest zmęczony, a nie najedzony. A płacze pewnie z powodu przepukliny. Nasz lekarz jest bardzo

dobry. Pomoże twojemu dziecku.

Chyba się uspokoiła. Trudno powiedzieć, bo ma też coś, co lekarze nazywają spłaszaniem afektu.

– Muszę iść do innych pacjentów. Wrócę, jak przyjdzie lekarz.

Kiwa obojętnie głową. Ma ten pozbawiony nadziei wyraz twarzy, który widuje się u zgnębionych kobiet. Boże, wybacz, bo sama jestem kobietą, ale kiedy widzę kobiety z takim spojrzeniem, mam ochotę je spoliczkować.

Doktor Fritz już przyszedł, jest w pierwszej sali. Nieważne, jak długo każe tym matkom czekać, nieważne, jak bardzo wkurzamy się z Karmą – kiedy on jest z dzieckiem, wszystkie mu wybaczymy. To uzdrowiciel. Najlepszy chirurg, robi więcej zabiegów niż inni razem wzięci. Oczywiście tamci uważają, że ma obsesję i jest patologicznie samolubny. Nie mogą jednak zaprzeczyć, że jest również doskonałym chirurgiem. W dodatku sławnym, to on ryzykował życie, żeby uratować tamtego chłopca po wielkim trzęsieniu.

Pierwszych dwoje pacjentów odsyłamy szybko. Mówię mu, że w sali numer trzy jest dziecko przed operacją, matka nie zna angielskiego i zaraz przyjdę. Sprzątam sale i wpuszczam kolejnych pacjentów. Kiedy wchodzę do trójki, trzyma dziecko na rękach i pokazuje Amelii, jak wepchnąć przepuklinę. Niemowlę się do niego uśmiecha.

– Niech Pat wpisze go w grafik operacji. Dokładnie wyjaśnij przygotowanie do operacji i że mały ma być na czczo. Każ jej zadzwonić, jeśli nie będzie mogła wepchnąć przepukliny, kiedy wyskoczy. – Podaje jej dziecko z powrotem. – *Muy bonito* – mówi. – Zapytaj, skąd Jesus ma siniaki na rękach. Te, które powinnaś była zauważyć. – Pokazuje ślady po wewnętrznej stronie ramion małego.

– Przepraszam – mówię.

Kiedy zadaję pytanie, Amelia wygląda na przestraszoną i zaskoczoną.

– *No sé*.

– Ona nie wie.

– A ty jak myślisz?

– Wydaje mi się, że ona też jest...

– Nie wierzę, że zamierzasz powiedzieć to, co mi się zdaje. Muszę zadzwonić. Będę w jedyńce za dziesięć minut. Potrzebuję rozszerzadeł, ósemkę i dziesiątkę.

Miał rację. Zamierzałam powiedzieć, że Amelia sama wygląda na ofiarę i tak, wiem, co

często robią ofiary.

Wyjaśniam jej, jak istotna jest operacja i jak się do niej przygotować na dzień wcześniej. I że ma dzwonić, jeśli dziecko będzie chore albo dostanie poważnej wysypki od pieluchy. Żadnego karmienia na trzy godziny przed zabiegiem. Każę Pat ustalić z matką datę i jeszcze raz powtarzam instrukcje.

Potem o niej zapominam i mija przynajmniej miesiąc, kiedy nagle z jakiegoś powodu uświadamiam sobie, że Amelia nigdy nie przyniosła dziecka na zdjęcie szwów. Pytam Pat, kiedy odbyła się operacja.

– Jesus Romero? Ta kobieta to debilka. Nie przyszła na pierwszy termin. Nie odezwała się. Dzwonię, a ona mówi, że nie miał jej kto przywieźć. No dobra. Więc mówię, że zrobimy zabieg jednego dnia, żeby przyjechała bardzo wcześnie na badanie i pobranie krwi, ale że musi przyjechać. I alleluja, przyjeżdża. Ale wiesz co?

– Nakarmiła dziecko pół godziny przed operacją.

– Właśnie. Fritz teraz wyjeżdża, więc następny termin mam za miesiąc.

Bardzo źle mi się u nich mieszało. Nie mogłam się już doczekać, kiedy Manolo i ja będziemy razem. Oddawałam im czek i kartki na żywność. Zostawiali mi bardzo mało pieniędzy na moje wydatki. Zajmowałam się Tiną i Williem, ale oni nie znali hiszpańskiego i zupełnie mnie ignorowali. Lupe mnie nie znosiła, a Ramón był miły, chyba że się upił, bo wtedy zawsze mnie łapał albo naciskał na mnie z tyłu. Bardziej bałam się Lupe niż jego, więc kiedy nie pracowałam w domu, siedziałam w moim kącie w kuchni.

– Co ty tam robisz całymi godzinami? – zapytała mnie Lupe.

– Myślę. O Manolu. I moim pueblo.

– Zaczynij lepiej myśleć, jak się stąd wyprowadzić.

W dzień sądowy Ramón pracował, więc zawiozła mnie Lupe. Czasami potrafi być miła. W sądzie usiadłyśmy z przodu. Ledwo go rozpoznałam, kiedy wszedł, miał skute ręce i nogi. Jakie to okrutne robić coś takiego Manolowi, który jest dobrym człowiekiem. Stanął przed sędzią i potem sędzia coś powiedział i dwóch policjantów go zabrało. Obejrzał się i spojrzał na mnie, ale nie znałam u niego takiego wyrazu złości. Mój Manolo. W drodze do domu Lupe powiedziała, że to nie wygląda dobrze. Też nie zrozumiała zarzutów, ale nie chodziło tylko o posiadanie narkotyków, bo wtedy wysłaliby go do Santa Rita. Osiem lat w więzieniu Soledad to bardzo źle.

– Osiem lat? *Cómo que* osiem lat!

– Uspokój się. Bo wysadzę cię tu, na ulicy. Mówię poważnie.

Lupe kazała mi iść do kliniki, bo byłam w ciąży. Nie wiedziałam, że chodziło jej o to, bym zrobiła *aborto*.

– Nie – powiedziałam lekarce – nie, ja chcę mojego dziecka, *mijito*. Jego taty nie ma, mam tylko to dziecko.

Najpierw była miła, ale potem się zezłościła i powiedziała, że sama jestem dzieckiem i nie mogę pracować, więc jak się nim zajmę? I że jestem samolubna, *porfiada*.

– To grzech – odparłam. – Nie zrobię tego. Pragnę mojego dziecka.

Rzuciła notesem na stół.

– *Válgame diós*. Przynajmniej przychodź na kontrolę, zanim dziecko się urodzi.

Dała mi kartkę z datą i godziną wizyty, ale ja nigdy tam nie wróciłam. Miesiące mijały powoli. Wciąż czekałam na wieści od Manola. Willie i Tina ciągle oglądali tele i nie sprawiali kłopotu. Urodziłam dziecko w domu Lupe. Pomogła mi, ale kiedy Ramón wrócił do domu, to ją uderzył, mnie też. Powiedział, że dosyć problemów ze mną. A teraz jeszcze dzieciak.

Próbuję schodzić im z drogi. Mamy nasz kącik w kuchni. Mały Jesus jest śliczny i wygląda jak Manolo. Kupuję mu ładne rzeczy w Czerwonym Krzyżu i w Payless. Wciąż nie wiem, dlaczego Manolo poszedł do więzienia i kiedy się do nas odezwie. Kiedy zapytałam Ramóna, odparł:

– Pożegnaj się z Manolem. Lepiej poszukaj jakiejś pracy.

Pilnuję dzieci Lupe, kiedy ona pracuje, i sprzątam ich dom. Robię pranie w pralni na dole. Ale jestem taka zmęczona. Jesus płacze i płacze, *no importa*, co robię. Lupe powiedziała, że muszę zabrać go do lekarza. Autobusy mnie przerażają. *Mayates* zaczepiają nas i straszą. Chyba chcą mi go odebrać.

W klinice znowu się na mnie zezłościłi, powiedzieli, że powinnam się zgłosić do opieki prenatalnej, że mały potrzebuje zastrzyków i jest za drobny. Waży trzy kilo, powiedziałam, wujek go ważył. Cóż, ma tylko osiem miesięcy. Dali mu zastrzyk i kazali wrócić. Lekarz powiedział, że Jesus ma przepuklinę, która może być niebezpieczna. Że muszę iść do chirurga. Jakaś kobieta stamtąd dała mi mapę i napisała, jakim autobusem i pociągiem mam dojechać do gabinetu chirurga, powiedziała nawet, gdzie czekać na autobus i kolejkę w drodze powrotnej. Zadzwoniła i umówiła wizytę.

Zabrała mnie Lupe, czekała na zewnątrz w samochodzie razem z dziećmi. Powtórzyłam jej, co mi powiedzieli, i się rozplakałam. Zatrzymała auto i potrzęsła mną.

– Jesteś teraz kobietą! Staw temu czoło. Damy ci trochę czasu, zanim Jesus nie wydobrzeje, a potem musisz radzić sobie sama. Mieszkanie jest za małe. Ramón i ja jesteśmy cholernie zmęczeni, a twoje dziecko płacze dzień i noc, co gorsza, ty też. Mamy tego dosyć.

– Próbuję pomagać – odparłam.

– Jasne, wielkie dzięki.

Tego dnia, kiedy wiozłam go do chirurga, wszyscy wstaliśmy wcześniej. Lupe musiała zawieźć dzieci do przedszkola. Jest darmowe, a one wolą być tam niż zostawać ze mną w domu, więc się ucieszyły. Ale Lupe była wściekła, bo musiała jechać tak daleko do przedszkola, a Ramón musiał jechać metrem. Autobus był straszny, pociąg też, a potem znowu autobus. Za bardzo się denerwowałam, żeby jeść, więc byłam głodna i miałam mdłości ze strachu. Ale potem zobaczyłam duży napis, tak jak mówili, i wiedziałam, że dobrze trafiłam. Musieliśmy bardzo długo czekać. Wyjechałam z domu o szóstej rano, a lekarz przyjął Jesusa dopiero o trzeciej. Byłam taka głodna. Wszystko mi wyjaśnili naprawdę dokładnie, a pielęgniarka powiedziała, jak karmić inaczej, żeby zrobić więcej mleka. Lekarz był miły dla Jesusa i powiedział, że jest *bonito*, ale myślał, że robię mu krzywdę, pokazywał pielęgniarce niebieskie plamy na rękach. Nie widziałam ich wcześniej. To prawda. Krzywdzę swoje dziecko, *mijito*. To ja zrobiłam je wczoraj wieczorem, kiedy tak płakał i płakał. Trzymałam go ze sobą pod kocem. Przycisnęłam go mocno. „Ćśśś, ćśśś, przestań płakać, przestań przestań”. Nigdy przedtem tak go nie łąpałam. Nie płakał ani mniej, ani więcej.

Minęły dwa tygodnie. Zaznaczałam dni na kalendarzu. Powiedziałam Lupe, że muszę jechać jednego dnia na przygotowanie do operacji, a następnego na zabieg.

– Nie ma mowy, kochana – powiedziała Lupe.

Samochód był w warsztacie. Nie miała jak zawieźć Williego i Tiny do przedszkola. Więc nie pojechałam.

Ramón został w domu. Pił piwo i oglądał mecz w telewizji. Dzieci spały, a ja karmiłam Jesusa w kuchni.

– Chodź i obejrzyj mecz, *prima* – powiedział, więc poszłam.

Jesus wciąż jadł, ale przykryłam go kocem. Ramón wstał po kolejne piwo. Dotąd nie wydawał się pijany, ale kiedy wstał, przewrócił się i wylądował na podłodze przy kanapie.

Ściągnął koc i podciągnął mi koszulkę.

– Daj mi trochę tego *chichi* – powiedział i zaczął ssać moją drugą pierś.

Odepchnęłam go i uderzył się o stół, ale Jesus też spadł i podrapał sobie ramię o kant. Po małej rączce płynęła krew. Zmywałam ją papierowym ręcznikiem, kiedy zadzwonił telefon.

To była Pat, ta kobieta z chirurgii, bardzo zła, bo nie zadzwoniłam i nie przyjechałam.

– Przepraszam – odezwałam się po angielsku.

Powiedziała, że jutro ktoś odwołał zabieg. Mogę przyjść na badania tego samego dnia, jeśli pojawię się bardzo wcześnie. O siódmej rano. Była na mnie zła. Powiedziała, że Jesus może naprawdę zachorować i umrzeć, że jeśli będę opuszczać zabiegi, to państwo może mi go odebrać.

– Rozumiesz?

Potwierdziłam, ale nie wierzyłam, że mogą odebrać mi moje dziecko.

– Przyjedziesz jutro? – zapytała.

– Tak – odparłam.

Powiedziałam Ramónowi, że następnego dnia muszę zawieźć Jesusa na zabieg i czy może popilnować Tiny i Williego.

– Posłałem twój cycek i od razu chcesz coś w zamian? Dobra, mogę zostać. I tak nie mam roboty. Tylko nie waż się nic mówić Lupe. Będziesz musiała zabierać stąd dupę w trzy minuty. Dla mnie nie ma problemu, ale dopóki twoja dupa tu jest, to ja z niej skorzystam.

Zabrał mnie potem do łazienki, Jesus płakał na podłodze w salonie, a dzieci dobijały się do drzwi. Przechylił mnie nad umywalką i walił i walił we mnie, ale był tak pijany, że to nie trwało długo. Nieprzytomny zwał się na podłogę. Wyszedł. Powiedziałam dzieciom, że ojciec jest chory. Trzęsłam się tak bardzo, że musiałam usiąść, kołysałam *mijito* Jesusa i oglądałam z dziećmi kreskówki. Nie wiedziałam, co robić. Odmawiałam *Ave Maria*, ale wszędzie wokół było tak głośno, że nie wiem, czy taka modlitwa może zostać usłyszana.

Wyszedł, kiedy Lupe wróciła do domu. Patrzył na mnie, jakby wiedział, że zrobił coś złego, ale nie pamiętał co. Powiedział, że wychodzi. Ona odparła, że doskonale.

Otworzyła lodówkę.

– Dupek wypił całe piwo. Amelia, możesz iść do sklepu? Jezu, przecież ty nawet nie potrafisz kupić piwa. Co z ciebie za pożytek? Szukałaś chociaż mieszkania albo pracy?

Odparłam, że jak mam gdziekolwiek iść, skoro pilnuję dzieci? I że jutro Jesus ma zabieg.

– No to zacznij, jak tylko się da. Ogłoszenia o pracy i domach wiszą na tablicach w

sklepach i w aptece.

- Nie umiem czytać.
- Mają ogłoszenia po hiszpańsku.
- Po hiszpańsku *tampoco* nie umiem czytać.
- Kurza dupa.

Powtórzyłam. „Kurza dupa”. Przynajmniej się roześmiała. Ależ tęsknię za moim pueblo, gdzie śmiech jest delikatny jak bryza.

– Dobra, Amelia. Jutro poszukam za ciebie, podzwonię. A teraz popilnuj dzieci. Muszę się napić. Będę w Jalisco.

Musiała wpaść na Ramóna, bo wrócili razem bardzo późno. Dla mnie i dzieci zostały tylko fasola i kool-aid. Nie było chleba ani mąki na tortille. Jesus szybko zasnął w naszym kącie w kuchni, ale jak tylko ja się położyłam, zaczął płakać. Nakarmiłam go. Widziałam, że teraz dostaje więcej mleka, ale pospał chwilę i znów się rozplakał. Próbowałam dać mu smoczek, wypluwał. Zrobiłam to znowu, przytuliłam go tak mocno i szeptałam „Ćśśś, ćśśś”, ale przestałam, bo zrozumiałam, że robię mu krzywdę, nie chciałam też, żeby lekarz zobaczył niebieskie ślady. Wystarczy, że rączkę miał całą podrapaną i posiniaczoną, *pobrecito*. Znowu pomodliłam się do naszej matki Maryi, żeby mi pomogła i proszę, powiedziała, co robić.

Kiedy następnego ranka wychodziłam, było ciemno. Znalazłam kogoś, kto pomógł mi wsiąść do odpowiedniego autobusu i kolejki i drugiego autobusu. W szpitalu pokazali mi, dokąd iść. Pobrali krew z ręki Jesusa. Lekarz go zbadał, ale nie mówił po hiszpańsku. Nie wiem, co zapisał. Wiem, że napisał o ręce, bo zmierzył ją kciukiem, a potem zaczął notować. Spojrzał na mnie pytająco. „Dzieci popchnąć”, powiedziała po angielsku, a on skinął głową. Wyjaśnili, że operacja będzie o jedenastej, więc nakarmiłam małego o ósmej. Ale mijały kolejne godziny i zrobiła się pierwsza. Jesus wrzeszczał. Byliśmy w sali z łóżkiem i krzesłem. Siedziałam na krześle, ale łóżko wyglądało tak dobrze, że usiadłam na nim i przytuliłam dziecko. Z piersi ciekło mleko. Jakby słyszały, że Jesus płacze. Nie mogłam tego znieść i pomyślałam, że kilka sekund karmienia nie zaszkodzi.

Doktor Fritz na mnie nawrzeszczał. Odjęłam Jesusa od piersi, ale lekarz pokręcił głową i skinął, żebym karmiła dalej. Potem przyszła jakaś latynoska pielęgniarka, żeby powiedzieć, że nie mogą przeprowadzić operacji. Że mają długą listę oczekujących, a ja dwa razy zrobiłam ich w konia.

– Zadzwoń do Pat, umów inny termin. A teraz jedź do domu. Zadzwoń do niej jutro. To dziecko trzeba zoperować, rozumiesz?

W domu przez całe życie nikt się na mnie nie złościł.

Kiedy wstałam, musiałam zemdleć. Obudziłam się i ta sama pielęgniarka siedziała koło mnie.

– Zamówiłam ci duży lunch. Na pewno jesteś głodna. Jadłś coś dzisiaj?

– Nie – odparłam.

Poprawiła poduszki za moimi plecami i postawiła stolik nad nogami. Trzymała Jesusa, kiedy jadłam. Jadłam jak zwierzę. Wszystko, zupę, krakersy, sałatkę, sok, mleko, mięso, ziemniaki, marchewkę, chleb, sałatkę, ciasto; było dobre.

– Kiedy karmisz piersią, musisz porządnie jeść każdego dnia – powiedziała. – Poradzisz sobie, dojedziesz do domu?

Skinęłam głową. Tak. Było mi dobrze; jedzenie było takie dobre.

– No to chodź. Musisz się zebrać. Tutaj masz kilka pieluch. Skończyłam zmianę godzinę temu i muszę wyjść.

Pat ma trudną pracę. Nasza przychodnia sześciu chirurgów mieści się w szpitalu dziecięcym w Oakland. Każdego dnia każdy chirurg ma wypełniony grafik. Każdego dnia część zabiegów jest odwołanych, inne pojawiają się zamiast, plus kilka nagłych wypadków. Każdego dnia na ostrym dyżurze jest jeden z naszych lekarzy. Najróżniejsze urazy, odrąbane palce, uwięźnięte orzeszki, rany postrzałowe, wyrostki, oparzenia, więc codziennie zdarza się sześć czy osiem niespodziewanych operacji.

Niemal wszyscy pacjenci są z Medi-Cal, a wielu to nielegalni imigranci i nie mają nawet tego, więc żaden z naszych lekarzy nie pracuje tu dla pieniędzy. Dla personelu to również wyczerpujące zajęcie. Często mam dziesięciogodzinne zmiany. Chirurdzy są różni i z różnych powodów bywają jak wrzód na tyłku. Ale choć narzekamy, to ich szanujemy, jesteśmy z nich dumne i mamy poczucie, że pomagamy. To satysfakcjonująca praca, inna od zwyczajnego biura. Z pewnością zmieniła sposób, w jaki patrzę na różne sprawy.

Zawsze byłam cyniczna. Kiedy zaczęłam tu pracować, uważałam, że to marnowanie pieniędzy podatników przeprowadzać dziesięć, dwanaście operacji na dzieciach narkomanów z dziwnymi anomaliami tylko po to, żeby przeżyły i były upośledzone po roku spędzonym w szpitalu, a potem żeby przenoszono je z jednej rodziny zastępczej do drugiej. Tak wiele bez

matek, nie mówiąc o ojcach. Większość rodziców zastępczych jest naprawdę super, ale niektórzy są straszni. Tak wiele dzieci niepełnosprawnych fizycznie lub umysłowo, pacjentów, którzy nigdy nie będą mieli więcej niż kilka lat. Wielu pacjentów z zespołem Downa. Myślałam sobie, że nie mogłabym zatrzymać takiego dziecka.

Teraz otwieram drzwi do poczekalni i siedzi tam Toby, który jest zdeformowany i się trzęsie, Toby, który nie potrafi mówić. Toby, który sika i robi kupę do woreczków, je przez dziurę w żołądku. Toby podchodzi mnie uściskać, ze śmiechem, z otwartymi ramionami. Te dzieci zdają się wynikiem jakiegoś błędu popełnionego przez Boga, kiedy odpowiadał na modlitwy. Modlitwy wszystkich tych matek, które nie chcą, by ich dzieci dorastały, które się modlą, by ich dziecko zawsze je kochało. Te modlitwy, na które Bóg odpowiada, schodzą na ziemię w postaci takiego Toby'ego.

Taki Toby z pewnością potrafi rozwalić małżeństwo albo rodzinę, ale kiedy tak się nie dzieje, efekt jest wręcz odwrotny. Wydobywa wtedy najgłębiej skrywane dobre i złe uczucia oraz siłę i godność, których w innej sytuacji mężczyzna i kobieta nigdy nie dostrzegliby w sobie ani w partnerze. Wydaje mi się, że każda radość jest smakowana bardziej, oddanie nabiera głębszego wymiaru. I raczej nie koloryzuję. Przyglądałam im się uważnie, ponieważ dostrzegłam te cechy i mnie zaskoczyły. Widziałam też kilka par, które się rozwiodły. Zdawało się to nieuniknione. Jest rodzic męczennik albo rodzic ociągający się, obwiniający, odrzucający winę albo winny, pijący albo płaczący. Widziałam, jak rozgoryczone rodzeństwo wywołuje większy zamęt i złość i winę. Ale dużo częściej widziałam, jak małżeństwo i rodzina się do siebie zbliżają, robią się lepsi. Wszyscy uczą się sobie radzić, pomagać, być szczerym i mówić, że jest do bani. Wszyscy muszą się śmiać, czuć wdzięczność, że choć tylu rzeczy to dziecko nie robi, potrafi ucałować dłoń cheszącą jego włosy.

Nie lubię Diane Arbus. Kiedy byłam mała, w Teksasie, widywałam pokazy dziwadła i nawet wtedy nienawidziłam, jak ludzie pokazują je palcem i się z nich śmieją. Ale czułam też fascynację. Podobał mi się mężczyzna bez rąk, który pisał na maszynie palcami u stóp. Jednak to nie brak rąk tak mi się podobał. Chodziło o to, że on naprawdę pisał, cały dzień. Pisał na poważnie i lubił to, co pisał.

Przyznaję, że to fascynujące, kiedy tamte dwie kobiety przynoszą Jaya na badania przedoperacyjne do doktor Rook. Wszystko jest dziwne. Są karlicami. Wyglądają jak siostry, może i nimi są, bardzo niziutkie, pulchne, z rumianymi policzkami i kręconymi włosami,

zadartymi nosami i szerokimi uśmiechami. Na pewno są kochankami, dotykają się i całują i pieszczą bez skrępowania. Zaadoptowały Jaya, dziecko karzełka z wieloma poważnymi schorzeniami. Ich pracownica społeczna, która jest, no cóż, ogromna, przyszła z nimi, tachając chłopca i jego małą butlę z tlenem oraz torbę z pieluchami. Każda z matek nosi ze sobą stołek, taki jak do dojenia krów, i siadają na tych stołkach w gabinetach lekarskich, mówiąc o Jayu i o tym, że już lepiej się czuje, potrafi skoncentrować uwagę, rozpoznaje je. Doktor Rook będzie mu robiła gastrostomię, żeby mogły go karmić przez rurkę umieszczoną w otworze w brzuchu.

Jest czujnym, ale spokojnym dzieckiem, nie wyjątkowo małym, ale z wielką zdeformowaną głową. Kobiety uwielbiają o nim mówić, chętnie opowiadają, jak go wspólnie noszą, kąpią i się nim zajmują. Kiedy zaczniesz raczkować, będzie potrzebować kasku, bo ich meble mają wysokość ledwie jakichś trzydziestu centymetrów. Dały mu na imię Jay, bo to bliskie słowa *joy*, radość, a on przyniósł im tyle radości.

Wychodzę po taśmę papierową. Na inne jest uczulony. Oglądam się i widzę dwie matki stojące na palcach i patrzące na Jaya, który leży na brzuchu na stole do badania. Uśmiecha się do nich, a one do niego. Pracownica społeczna i doktor Rook uśmiechają się do siebie.

– To najśłodsze, co w życiu widziałam – mówię do Karmy.

– Biedactwa. Teraz są szczęśliwe. Ale on pożyje jeszcze kilka lat, najwyżej – odpowiada.

– I tak warto. Nawet jeśli mają tylko dzisiaj i nic więcej. To warte późniejszego bólu. Ich łyzy będą miały słodki smak, Karmo.

Zaskoczyłam samą siebie tymi słowami, ale mówiłam szczerze. Uczyłam się, jak trudna jest miłość.

Mąż doktor Rook nazywa jej pacjentów rzeczonymi dziećmi, co wzbudza w niej wściekłość. On twierdzi, że w Missisipi ludzie nazywali tak podobne noworodki. On również pracuje u nas jako chirurg. Jakimś cudem udaje mu się otrzymywać niemal wszystkie operacje z prawdziwego ubezpieczenia jak Blue Cross. Doktor Rook robi większość upośledzonych albo zupełnie niesfunkcjonujących dzieci, ale nie tylko dlatego, że jest dobrym chirurgiem. Słucha rodzin, troszczy się o nie, więc dostaje wiele z polecenia.

Dzisiaj mamy jedno za drugim. Dzieci w większości starsze i ciężkie. Bezwładnie ciężkie. Muszę je podnosić, potem trzymać, podczas gdy lekarka usuwa stary dysk mocujący i wkłada nowy. Większość nie potrafi nawet płakać. Widzisz, że naprawdę je boli, ale łyzy tylko spadają na boki prosto do uszu i z wnętrza dobywa się to koszmarnie nieziemskie skrzypienie jakby

zardzewiałej bramy.

Ostatni pacjent jest naprawdę fajny. Ładna, nowo narodzona dziewczynka z czerwoną buzią, z sześcioma paluszkami u każdej dłoni. Ludzie zawsze żartują, kiedy rodzą się dzieci, że muszą sprawdzić, czy jest po pięć palców u każdej dłoni i stopy. A sześć to bardziej powszechne, niż myślałam. Zwykle lekarze planują te zabiegi w procedurze jednodniowej. To dziecko ma ledwie kilka dni. Doktor Rook prosi mnie o lidokainę, igłę i katgut. Znieczula okolicę wokół palca, a potem zawiązuje ciasny węzeł u podstawy każdego dodatkowego małego palca. Daje rodzicom płynny tylenol, na wypadek gdyby niemowlę dawało potem znać, że odczuwa ból, i każe nie dotykać palców, które niedługo – jak pępek – zrobią się czarne i odpadną. Mówiła, że jej ojciec był lekarzem w małym mieście w Alabamie i widziała, jak robił to samo.

Raz doktor Kelly przyjmował małego chłopca, który miał sześć palców u każdej dłoni. Rodzice bardzo chcieli operacji, ale dziecko nie. Miał sześć czy siedem lat, uroczy maluch.

– Nie! Ja je chcę! Są moje! Chcę je zatrzymać!

Myślałam, że stary lekarz będzie przekonywał chłopca, ale zamiast tego powiedział rodzicom, że jego zdaniem dziecko pragnie zachować tę szczególną cechę.

– No bo dlaczego nie? – zapytał.

Rodzice nie mogli uwierzyć, że to słyszą. Doktor Kelly dodał, że jeśli chłopiec zmieni zdanie, wtedy przeprowadzą zabieg. Oczywiście im pacjent jest młodszy, tym lepiej.

– Podoba mi się, że obstaje przy własnym zdaniu. Podaj mi ją, synu – dodał i uściśnął dłoń chłopca.

Wyszli: wściekli rodzice przeklinający lekarza i szeroko uśmiechnięte dziecko.

Czy zawsze będzie tak czuły? A jeśli zechce grać na pianinie? Czy będzie za późno, jeśli, kiedy zmieni zdanie? Dlaczego nie sześć palców? I tak są dziwne, tak samo jak palce u nóg, włosy, uszy. Ja na przykład żałuję, że nie mamy ogonów.

Marzę na jawie o posiadaniu ogona albo liści zamiast włosów, sprzątam i uzupełniam zapasy w gabinetach przed nocą, kiedy słyszę walenie do drzwi. Doktor Rook już wyszła, zostałam tylko ja. Otwieram i wpuszczam Amelię z Jesusem. Ona płacze i cała drży. Przepuklina wyszła i nie potrafi jej wepchnąć.

Biorę płaszcz, włączam alarmy, zamykam drzwi na klucz i idę z nią kawałek dalej, na pogotowie. Wchodzę upewnić się, że ją przyjmą. Na dyżurze jest doktor McGee. Dobrze.

– Doktor McGee to uroczy stary lekarz. Zaopiekuje się twoim Jesusem. Pewnie zoperują

go dzisiaj wieczorem. Nie zapomnij zadzwonić i przyjść z dzieckiem do nas do gabinetu. Za jakiś tydzień. Zadwoń. *Oye*, i na miłość boską, nie karm go.

Kolejka i autobus były zatłoczone, ale się nie bałam. Jesus zasnął. Chyba Dziewica Maryja mnie wysłuchała. Kazała mi odebrać następny czek z socjału i jechać do domu, do Meksyku. *Curandera* zaopiekuje się tam dzieckiem, a moja *mamacita* będzie wiedziała, jak go uspokoić. Będę go karmić bananami i papajami. Mango nie, bo mango czasami wywołują u dzieci ból brzucha. Ciekawe, kiedy niemowlętom wyrzynają się zęby.

Kiedy wróciłam do domu, Lupe oglądała telenowelę. Jej dzieci spały w swoim pokoju.

– Zrobili mu operację?

– Nie. Coś się wydarzyło.

– No jasne, domyślam się. Co głupiego zrobiłaś? Hm?

Położyłam Jesusa w kącie, nie budząc go. Lupe przyszła do kuchni.

– Znalazłam dla ciebie mieszkanie. Możesz tam zostać, dopóki nie znajdziesz czegoś swojego. Następny czek możesz przynieść tutaj, a potem podać do socjału nowy adres. Słuchasz mnie?

– Tak. Chcę swoje pieniądze. Wracam do domu.

– Oszalałaś. Przede wszystkim z tego miesiąca już nie ma pieniędzy. To, co ci zostało, to reszta. *Esta loca?* Nie przejechałaś nawet połowy drogi do Michoacán. Słuchaj, dziewczyno, jesteś tutaj. Znajdź pracę w restauracji, gdzieś, gdzie pozwolą ci siedzieć na zapleczu. Poznaj jakichś facetów, wyjdź, zabaw się. Jesteś młoda, ładna, będziesz, jak coś ze sobą zrobisz. Równie dobrze mogłabyś być samotna. Szybko się uczysz angielskiego. Nie możesz się tak po prostu poddać.

– Chcę jechać do domu.

– Kurza dupa – powiedziała i wróciła do tele.

Wciąż siedziałam w kuchni, kiedy przez tylne drzwi wszedł Ramón. Pewnie nie widział Lupe na kanapie. Zaczął łąpać mnie za piersi i całować po szyi.

– Słodkości, chcę czegoś słodkiego!

– *Ya estuvo* – powiedziała Lupe. I do Ramóna: – Idź wsadzić łeb pod wodę, ty śmierdząca gruba świnię. – I wyrzuciła go z pokoju. A do mnie powiedziała: – Zmywaj się stąd. Zabieraj swoje rzeczy. Masz tu reklamówkę.

Wsadziłam wszystko do swojej *bolsa* i do reklamówki, wzięłam Jesusa.

– No idź, zabierz go i wsiadaj do auta. Wezmę rzeczy.

Budynek przypominał zabity deskami dawny sklep, ale był jakiś szyld i krzyż nad drzwiami. Ciemno, Lupe zapukała mocno do drzwi. Wszedł jakiś biały mężczyzna. Pokręcił głową i powiedział coś po angielsku, ale Lupe mówiła głośniej, wepchnęła mnie i Jesusa przez drzwi i odjechała.

Mężczyzna włączył latarkę. Próbował coś do mnie mówić, ale kręciłam głową. Angielski nie. Pewnie mówił, że nie mają dość łóżek. W pomieszczeniu pełno było prycz, leżały na nich kobiety, kilkoro dzieci. Śmierdziało, winem i wymiocinami i moczem. Brzydko, brudno. Przyniósł mi jakieś koce i pokazał na kąt, takiej samej wielkości jak mój kąt w kuchni.

– Dziękuję – powiedziałam.

Było strasznie. Jak tylko się położyłam, Jesus się obudził. Nie chciał przestać płakać. Spróbowałam zrobić rodzaj namiotu, żeby nie było słychać, ale niektóre kobiety przeklinały i mówiły: „Zamknij się, zamknij”. Były tam w większości stare białe pijaczki, ale też młode czarne, które mnie szturchały i popychały. Jedna drobna biła mnie maleńkimi rękami jak kłujące szerszenie.

– Nierób! – krzyczałam. – Nierób! Nierób!

Przyszedł tamten mężczyzna z latarką i zaprowadził mnie przez pokój do kuchni i nowego kąta.

– *Mis bolsas!* – powiedziałam.

Zrozumiał, wrócił i przyniósł moje torby.

– Przepraszam – dodałam po angielsku.

Jesus zjadł i zasnął, ale ja oparłam się o ścianę i czekałam na rano. Uczę się angielskiego, pomyślałam. Powtórzyłam wszystkie znane mi angielskie słowa. Sąd, Kentucky Fried, hamburger, do widzenia, meksykaniec, czarnuch, dupek, dziwka, pampers, ile, kurza dupa, dzieci, szpital, nierób, zamknij się, cześć, przepraszam, *Szpital miejski*, *Wszystkie moje dzieci*, przepuklina pachwinowa, badania, pooperacyjny, *Geraldo*, kartki na jedzenie, forsa, samochód, crack, policja, *Miami Vice*, José Canseco, bezdomny, bardzo ładna, niemamowy, przepraszam, proszę, proszę, przestań, zamknij się, zamknij się, przepraszam. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami.

Tuż przed świtem tamten mężczyzna i jakaś stara kobieta przyszli gotować wodę na owsiankę. Pozwoliła mi sobie pomóc, pokazywała na cukier i serwetki, żeby rozstawić je na

stołach.

Na śniadanie zjedliśmy owsiankę z mlekiem. Kobiety wyglądały na bardzo biedne, szalone, niektóre były pijane. Bezdomne i brudne. Wszystkie czekałyśmy w kolejce, żeby wziąć prysznic, ale kiedy przysłała pora moja i Jesusa, została już tylko zimna woda i jeden mały ręcznik. A potem Jesus i ja też zostaliśmy bezdomnymi. W ciągu dnia to miejsce stawało się przedszkolem. Mogliśmy wrócić wieczorem na zupę i nocleg. Tamten mężczyzna był miły. Pozwolił mi zostawić moją *bolsa*, więc zabrałam tylko kilka pieluch. Spędziłam dzień, chodząc po galerii handlowej. Poszłam do parku, ale się przestraszyłam, bo zaczepiali mnie mężczyźni. Chodziłam i chodziłam, a dziecko było bardzo ciężkie. Drugiego dnia ta mała, która mnie wcześniej biła, pokazała mi, albo jakimś sposobem zrozumiałam, że można całymi dniami jeździć autobusami i się przesiadać. Więc tak zrobiłam, bo Jesus był za ciężki i mogłam tam usiąść i się rozglądać albo spać, kiedy Jesus spał, bo w nocy nie zasypiałam. Któregoś dnia zobaczyłam La Clinica. Postanowiłam, że następnego dnia tam pójde i znajdę kogoś, kto mi pomoże. Poczułam się lepiej.

Jednak następnego dnia Jesus zaczął płakać jakoś inaczej, jakby czekał. Spojrzałam na jego przepuklinę, była bardzo wystająca i twarda. Od razu wsiadłam w autobus, ale i tak jechałam długo, jeden autobus, potem kolejka i znowu autobus. Myślałam, że gabinet jest zamknięty, ale była tam pielęgniarka i zabrała nas do szpitala. Długo czekaliśmy, aż w końcu w końcu zabrali Jesusa na zabieg. Powiedzieli, że zatrzymają go na noc, rozłożyli mi łóżko obok małego pudełka, w którym leżał. Dali kupon na jedzenie w stołówce. Dostałam kanapkę i colę i lody, ciastka i owoce na później, ale zasnęłam, bo tak dobrze było nie leżeć na podłodze. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam pielęgniarkę. Jesus był umyty i zawinięty w niebieski koc.

– Jest głodny! – Uśmiechnęła się. – Nie budziliśmy cię, kiedy przywieźli go z zabiegu. Wszystko poszło dobrze.

– Dziękuję. – Dzięki Bogu! Jest zdrowy! Karmiłam go i płakałam i się modliłam.

– Nie ma powodu do płaczu – powiedziała.

Przyniosła mi tacę z kawą i sokiem i płatkami.

Przyszedł doktor Fritz. Nie ten lekarz, który robił operację, tylko ten pierwszy. Spojrzał na Jesusa, skinął głową, uśmiechnął się do mnie i przejrzał kartę. Podniósł koszulkę małego. Na rączce wciąż miał zadrapanie i siniak. Pielęgniarka o nie zapytała. Powiedziałam że tam, gdzie mieszkałam, były dzieci, ale już tam nie jestem.

– Mam ci powiedzieć, że jeśli lekarz zobaczy kolejne siniaki, to zadzwoni do opieki społecznej. Oni mogą odebrać ci dziecko, albo tylko cię poproszą, żebyś z kimś porozmawiała.

Skinęłam głowę. Chciałam jej powiedzieć, że muszę z kimś porozmawiać.

To były bardzo pracowite dni. Doktor Adeiko i doktor McGee poszli na urlopy, więc pozostali lekarze mieli naprawdę dużo roboty. Kilku cygańskich pacjentów, co zawsze oznaczało całe rodziny, kuzynów, wujów, przychodzą wszyscy. Zawsze mnie to rozśmiesza (ale się nie śmieję, ponieważ on nie lubi żartów i nieprofesjonalnego zachowania), bo doktor Fritz, kiedy wchodzi do sali, zwykle bardzo uprzejmie wita pacjenta: „Dzień dobry”. A jeśli ktoś mu towarzyszy, doktor, skinąwszy głowę, mówi: „Dzień dobry. Dzień dobry”. Przy cygańskich rodzinach trudno mi się nie śmiać, kiedy z trudem wciska się do gabinetu i mówi: „Dzień dobry. Dzień dobry. Dzień dobry” itd. On i doktor Wilson dostają wiele dzieci ze spodnictwem, to kiedy niemowlęta płci męskiej mają dziurki z boku penisów, czasami kilka, przez co kiedy sikają, to jakby zraszaczem. Jedno z cygańskich dzieci, Rocky Stereo, miało taką przypadłość, ale doktor Fritz je wyleczył. Cała rodzina, z tuzin dorosłych i kilkoro dzieci, przyszła na zdjęcie szwów i wszyscy ściskali mu dłoń. „Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję”. Gorsze niż jego „dzień dobry”! Było miło i zabawnie i zaczęłam coś mówić, ale tylko spojrzał na mnie znacząco. Nie rozmawiał o pacjentach. Żaden lekarz tego nie robi. Z wyjątkiem doktor Rook, ale ona też rzadko.

Nie znam pierwotnej diagnozy Reiny. Ma teraz czternaście lat. Przychodzi z matką, dwiema siostrami i bratem. Wożą ją w wielkim, trochę inwalidzkim, a trochę dziecięcym wózku, który zrobił jej ojciec. Siostry mają dwanaście i piętnaście lat, brat osiem, wszyscy są piękni, pełni życia i zabawni. Kiedy wchodzę do gabinetu, Reina już siedzi, podparta na leżance. Jest naga. Oprócz otworu gastrostomijnego ma ciało bez skazy, jedwabiście gładkie. Urosły jej piersi. Nie widać przypominających kopyta wyrostków, które ma zamiast zębów, piękne usta są rozchylone i jaskrawoczerwone. Szmaragdowozielone oczy z długimi czarnymi rzęsami. Siostry ostrzygły ją na rozczochranego punka, włożyły rubinowy kolczyk do nosa, namalowały tatuaż z motylem na udzie. Elena maluje jej paznokcie u stóp, podczas gdy Tony układa jej ręce za głowę. Jest najsilniejszy, to on pomaga mi trzymać górną część jej ciała, a siostry trzymają nogi. Teraz jednak Reina leży jak *Olympia* Maneta, nieziemsko czysta i piękna. Doktor Rook zatrzymuje się w miejscu tak jak ja przed chwilą, żeby na nią spojrzeć.

– Jezu, ale ona piękna – mówi. – Kiedy zaczęła menstruować? – pyta.

Nie zauważyłam sznureczka od tamponu wśród atramentowoczarnych jedwabistych włosów. Matka mówi, że to pierwszy okres. I bez ironii dodaje:

– Teraz jest kobietą.

Teraz jest w niebezpieczeństwie, myślę.

– No dobrze, przytrzymajcie ją – mówi doktor Rook.

Matka łapie w pasie, siostry za nogi, Tony i ja za ręce. Reina gwałtownie się wyrывa, ale doktor Rook w końcu wyjmuję dysk i wkłada nowy.

To była ostatnia pacjentka dzisiaj. Sprzątam gabinet, rozkładam świeży papierowy ręcznik na kozetce, kiedy wraca doktor Rook. Mówi:

– Jestem taka wdzięczna za mojego Nicholasa.

Uśmiecham się i odpowiadam:

– A ja za mojego Nicholasa.

Ona mówi o swoim sześciomiesięcznym dziecku, ja o moim sześcioletnim wnuku.

– Dobranoc – mówimy, a potem ona idzie do szpitala.

Ja jadę do domu i robię sobie kanapkę, włączam mecz Oakland Athletics. Dave Stewart miota przeciwko Nolanowi Ryanowi. Dochodzi do dziesięciu inningów, kiedy dzwoni telefon. To doktor Fritz. Jest na ostrym dyżurze, chce, żebym przyjechała.

– O co chodzi?

– Amelia, pamiętasz ją? Tu są ludzie, którzy znają hiszpański, ale wolę, żebyś ty z nią porozmawiała.

Amelia siedzi w gabinecie lekarskim na ostrym dyżurze. Dostała coś na uspokojenie, patrzy jeszcze bardziej tępo niż zazwyczaj. A dziecko? Lekarz prowadzi mnie za parawan.

Jesus nie żyje. Ma skręcony kark. Siniaki na rękach. Policja już jedzie, ale doktor Fritz chce, żebym najpierw spokojnie porozmawiała z Amelią, dowiedziała się, co się stało.

– Amelio? Pamiętasz mnie?

– *Sí. Cómo no?* Jak się pani ma? Mogę go zobaczyć, *mijito* Jesusa?

– Za chwilę. Najpierw opowiedz mi, co się wydarzyło.

Chwilę potrwało, zanim zrozumiałam, że w dzień Amelia jeździła autobusami po mieście, a noce spędzała w przytułku dla bezdomnych. Kiedy dotarła tam dzisiaj wieczorem, dwie młode kobiety zabrały jej wszystkie pieniądze, które miała schowane pod ubraniem. Uderzyły ją i skopały i odeszły. Człowiek, który prowadził to miejsce, nie znał hiszpańskiego i nie wiedział, co

do niego mówiła. Wciąż powtarzał, że ma być cicho, przykładął palec do ust, żeby milczała, uciszyła dziecko. Potem te same kobiety wróciły. Były pijane, było ciemno i pozostali próbowali spać, ale Jesus wciąż płakał. Amelia nie miała już w ogóle pieniędzy i nie wiedziała, co robić. Nie potrafiła myśleć. Przyszły tamte dwie kobiety. Jedna uderzyła ją w twarz, a druga zabrała Jesusa, ale Amelia go jej wyrwała. Przyszedł tamten mężczyzna i kobiety poszły do łóżek. Jesus wciąż płakał.

– Nie wiedziałam, co robić. Potrząsałam nim, żeby był cicho, żebym mogła pomyśleć, co robić.

Wzięłam jej drobne dłonie w swoje.

– Czy płakał, kiedy nim potrząsałaś?

– Tak.

– A potem co się stało?

– Potem przestał płakać.

– Amelio. Czy wiesz, że Jesus nie żyje?

– Tak, wiem. *Lo sé*. – A potem dodała po angielsku: – Kurza dupa. Przepraszam.

502 to była podpowiedź do 1 poziomu w dzisiejszym porannym „Timesie”. Łatwizna. To policyjny kod na jazdę pod wpływem, wpisałam więc JPW. Źle. Widocznie wszyscy ci dojeżdżający z Connecticut wiedzieli, że trzeba wpisać po prostu rzymskie cyfry. Kilka razy spanikowałam, jak zawsze, kiedy wracają wspomnienia z czasów picia. Ale odkąd przeprowadziłam się do Boulder, nauczyłam się wyrównywać oddech i medytować, co zawsze mnie uspokaja.

Cieszę się, że przestałam pić, zanim przeniosłam się do Boulder. Nigdy nie mieszkałam w miejscu, w którym na każdym rogu nie ma monopolowego. Tutaj nawet w Safeway nie sprzedają alkoholu, no i oczywiście nigdy w niedziele. Mają tylko kilka monopolowych, w większości na przedmieściach, więc jeśli jesteś biednym pijakiem i masz drzączkę i pada śnieg, to Boże, dopomóż. Sklepy z alkoholem to gigantyczne koszmary wielkości hipermarketów. Szukając alejki z jimem beamem, można zejść na delirium.

Najlepsze jest Albuquerque, tam monopolowe mają okienka *drive-thru*, więc nie musisz nawet wyskakiwać z pizamy. Ale tam również nie sprzedają w niedziele. Więc jeśli nie zdążyłam zaopatrzyć się wcześniej, zawsze pojawiał się problem, do kogo wpaść, żeby nie zaproponował mi szprycera.

Choć przeprowadzając się tu, już od lat byłam trzeźwa, na początku miałam kłopoty. Zawsze, kiedy spoglądałam we wsteczne lusterko, mówiłam: „Rany, nie”, ale to były tylko bagażniki na narty, które wszyscy mocowali na swoich samochodach. Nigdy tak naprawdę nie widziałam nawet policyjnego samochodu w pościgu ani żadnego aresztowania. Widziałam za to w centrum handlowym jedzących mrożony jogurt policjantów w krótkich spodenkach i ekipę SWAT w pick-upie. Sześciu facetów w moro, z wielkimi karabinami na naboje usypiające goniących małego niedźwiedzia po Mapleton.

To chyba jest najzdrowsze miasto w kraju. Na studenckich imprezach i meczach futbolowych nikt nie pije. Nikt nie pali, nie je czerwonego mięsa ani pączków z lukrem. Nocą możesz spacerować samotnie i nie zamykać drzwi na klucz. Nie ma tu gangów i rasistów. Zbyt wielu ras też właściwie nie ma.

Durne 502. Wszystkie te wspomnienia falami napływają mi do głowy, mimo że oddycham. Pierwszy dzień pracy w U... problemy w Safewayu, incydent w San Anselmo, scena

z A...

Teraz wszystko jest dobrze. Uwielbiam moją pracę i ludzi, z którymi pracuję. Mam dobrych przyjaciół. Mieszkam w pięknym mieszkaniu u stóp Mount Sanitas. Dzisiaj na gałęzi drzewa w ogródku usiadła piranga żółtorzytna. Mój kot Cosmo spał w słońcu, więc jej nie gonił. Dzisiaj jestem głęboko wdzięczna za moje życie.

Dlatego wybac mi, Boże, wyznanie, że raz na jakiś czas ogarnia mnie diaboliczne pragnienie, żeby, no cóż, wszystko to speprzyć. Nie wierzę, że w ogóle przychodzi mi to do głowy po tylu latach nieszczęścia. Kiedy funkcjonariusz Wong zawoził mnie do aresztu albo na odwyk.

Wonga wszyscy nazywaliśmy Tym Uprzejmym. Pozostałych nazywaliśmy świniami, a to słowo nie pasowało do funkcjonariusza Wonga, który był naprawdę bardzo miły. Metodyczny i formalny. W trakcie interwencji nigdy nie stosował siły, w przeciwieństwie do innych. Nigdy nie rzucał cię na samochód ani nie wciskał kajdanek w nadgarstki. Stałaś tam godzinami, podczas gdy on starannie wypisywał mandat i odczytywał ci twoje prawa. Skuwając ręce, mówił: „Pani pozwoli” i „Uwaga na głowę”, kiedy wsiadałaś do samochodu.

Był pracowity i uczciwy, jak rzadko który funkcjonariusz policji Oakland. Mieliśmy szczęście, że patrolował naszą okolicę. Naprawdę mi przykro z powodu tamtego incydentu. Jednym z kroków w programie AA jest zadośćuczynienie tym, których się skrzywdziło. Ja przeprosiłam większość tych, których mogłam. Funkcjonariuszowi Wongowi wciąż jestem winna przeprosiny. Z pewnością go skrzywdziłam.

Mieszkałam wtedy w Oakland, w dużym turkusowym mieszkaniu na rogu Alcatraz i Telegraph. Dokładnie nad monopolowym Alcatel Liquors, niedaleko baru White Horse i naprzeciwko marketu 7-Eleven. Dobra miejscówka.

Sklep 7-Eleven był miejscem spotkań starych pijaków. Choć w przeciwieństwie do nich codziennie chodziłam do pracy, wpadali na mnie w monopolowych w weekendy. Kolejki w Black and White, które otwierało się o szóstej rano. Nocne targi z pakistańskim sadystą, który pracował w 7-Eleven.

Wszyscy byli dla mnie mili.

– Jak leci, panno Lu?

Czasami prosili o pieniądze, które zawsze im dawałam, a kilka razy, kiedy straciłam pracę, to ja prosiłam ich. Członkowie ekipy się zmieniali, ktoś szedł do więzienia, szpitala,

umierał. Stale byli wśród nich Ace, Mo, Mały Ripple i Mistrz. Tych czterech starych Murzynów spędzało poranki w 7-Evelen, a popołudnia drzemiąc albo pijąc w wyblakłym morskim chevroletcie corvair zaparkowanym na podwórku Ace'a. Jego żona Clara nie pozwalała im pić ani palić w domu. Zima czy lato, bez względu na pogodę cała czwórka tkwiła w tym aucie. Spali jak małe dzieci w czasie wycieczki, z głowami na złożonych dłoniach, albo siedzieli, patrząc prosto przed siebie, jakby byli na niedzielnych lodach, komentując każdego, kto jechał albo przechodził obok, i podając sobie butelkę porto.

Kiedy szłam ulicą z przystanku autobusowego, wołałam:

– Jak leci?

– W porządeczku! – odpowiadał Mo. – Mam wineczko!

A Ace dodawał:

– Chluśniem, bo uśniem!

Pytali też o mojego szefa, tego głupca doktora B.

– Rzuć tę robotę w cholerę! Idź na socjal, gdzie twoje miejsce! Chodź, siostró, siadaj z nami, spędzisz miło czas, nie potrzeba ci pracy!

Kiedys Mo powiedział, że marnie wyglądam i chyba potrzebuję odwyku.

– Odwyk? – oburzył się Mistrz. – Żaden odwyk. Klina! Tego ci trzeba!

Mistrz był niski i gruby, nosił świecący przetarciami niebieski garnitur, czystą białą koszulę i kapelusz z szerokim rondem. Miał złoty zegarek na łańcuszku i nieodłączne cygara. Pozostali trzej nosili kraciaste koszule, robocze kombinezony i czapki baseballowe Athletics.

W któryś piątek nie poszłam do pracy. Chyba poprzedniego wieczoru piłam. Nie wiem, dokąd wybrałam się rano, ale pamiętam, że wracałam i miałam ze sobą butelkę whisky.

Zaparkowałam auto za ciężarówką, naprzeciwko mojego domu. Poszłam na górę i zasnęłam.

Obudziło mnie głośnie pukanie do drzwi.

– Proszę otworzyć, pani Moran. Tu funkcjonariusz Wong.

Schowałam butelkę za książkami na regale i otworzyłam.

– Witam pana. Jak mogę pomóc?

– Jest pani właścicielką mazdy 626?

– Wie pan, że tak.

– Gdzie jest ten pojazd?

– Cóż, tu na pewno go nie ma.

– Gdzie pani zaparkowała?

– Naprzeciwko kościoła.

Nie pamiętałam.

– Proszę się zastanowić.

– Nie pamiętam.

– Proszę wyjrzeć przez okno. Co pani widzi?

– Nic. 7-Eleven. Budki telefoniczne. Butle z gazem.

– Miejsca parkingowe?

– Taaak. Niesamowite. Aż dwa! Och. Zaparkowałam wóz tam, za ciężarówką.

– Zostawiła pani auto na luzie i nie zaciągnęła ręcznego. Kiedy ciężarówka odjechała,

pani auto zsunęło się za nią po Alcatraz w godzinach największego ruchu i zjechało na przeciwległy pas, ledwo omijając inne samochody, a potem wjechało na chodnik, niemal raniąc człowieka, jego żonę i dziecko w wózku.

– Cóż. No i?

– Zabiorę panią i pokażę co i. Proszę ze mną.

– Zaraz przyjdę. Muszę obmyć twarz.

– Poczekam tutaj.

– Ależ panie władzo. Proszę o trochę prywatności. Proszę poczekać przed drzwiami.

Łyknęłam duży haust whisky. Umyłam zęby i się uczesałam.

W milczeniu szliśmy ulicą. Dwie długie przecznice. Cholera.

– Jeśli się dobrze zastanowić, to naprawdę cud, że moja mazda w nic nie walnęła i nikogo nie przejechała. Czyż nie, funkcjonariuszu Wong? Cud!

– Cóż, właściwie to w coś walnęła. To cud, że w tamtej chwili żadnego z panów nie było w tamtym aucie. Wysiedli, żeby popatrzeć, jak pani mazda jedzie ulicą.

Moje auto przytuliło się do prawego błotnika corvaira. Czterech facetów stało obok, kręcąc głowami. Mistrzu popalał cygaro.

– Dzięki Bogu, że nie było cię w środku, siostró – odezwał się Mo. – Pierwsze, co zrobiłem, to otwarłem drzwi i powiedziałem: „Gdzież ona?”.

W błotniku i drzwiach chevroleta zrobiło się duże wgniecenie. Mój samochód miał połamany zderzak i jedno światło, zepsuty kierunkowskaz.

Ace wciąż kręcił głową.

– Oby była pani ubezpieczona, panno Lucille. Mam tu klasyka, który jest poważnie uszkodzony.

– Nie martw się, Ace, mam ubezpieczenie. Daj znać, jak dostaniesz wycenę szkody. Mistrzu po cichu rozmawiał z pozostałymi. Próbowali się nie uśmiechać, bez powodzenia. Ace powiedział:

– Siedzimy tu sobie spokojnie i patrzcie, co się dzieje. Chwała Panu! Funkcjonariusz Wong spisywał numery rejestracyjne wozu mojego i Ace'a.

– Czy ten samochód ma silnik? – zapytał Ace'a.

– Ten samochód to okaz muzealny. Model vintage. Nie potrzebuje silnika.

– Cóż, w takim razie chyba spróbuję wycofać, w nikogo nie wjeżdżając – powiedziałam.

– Nie tak szybko, pani Moran – powiedział funkcjonariusz Wong. – Muszę wypisać mandat.

– Mandat? Niech się pan wstydzi, funkcjonariuszu!

– Nie będzie pan wypisywał tej pani żadnego mandatu. Spała, kiedy to się stało! Starcy tłoczyli się wokół policjanta, budząc jego nerwowość.

– Cóż – zająknął się – ale jest winna nieostrożnej... nieostrożnej...

– Jak mogła nieostrożnie jechać. Przecież nie prowadziła! Zastanawiał się. Oni mruczeli coś z niezadowoleniem.

– Wstyd. To wstyd. Niewinni podatnicy. Biedactwo, całkiem sama i w ogóle.

– Z pewnością czuję alkohol – powiedział funkcjonariusz Wong.

– To ja! – powiedzieli wszyscy czterej naraz, wydychając powietrze.

– Nie, proszę pana – powiedział Mistrzu. – Nie da się prowadzić pod wpływem, jak się nie prowadzi!

– Prawda!

– No pewnie.

Funkcjonariusz Wong patrzył na nas z bardzo zniechęconą miną. Policyjna krótkofalówka zaczęła trzeszczeć. Włożył notes do kieszeni, odwrócił się i pospiesznie odszedł do radiowozu, odjechał z włączonymi światłami i na sygnale.

Czek z ubezpieczenia przyszedł niedługo później, na mój adres, ale na nazwisko Horatio Turnera. Cała czwórka siedziała w samochodzie, kiedy podałam czek Ace'owi. Tysiąc pięćset dolarów.

Tamtego popołudnia jeden jedyny raz siedziałam w tamtym starym samochodzie. Musiałam wślizgnąć się za Mistrzem, bo drugie drzwi się nie otwierały. Mały Ripple, który był mały, siedział po mojej drugiej stronie. Wszyscy pili porto, ale mnie przynieśli mocne piwo. Wznosili toast za moje zdrowie.

– Za naszą lady Lucille!

I tak mówiono potem o mnie w okolicy.

Najsmutniejsze, że to się wydarzyło wczesną wiosną. Funkcjonariusz Wong musiał patrolować dzielnicę jeszcze przez wiosnę i lato. Codziennie mijał tych koleś w chevrolecie corvair, uśmiechali się do niego i machali.

Oczywiście potem jeszcze nie raz spotkałam się z funkcjonariuszem Wongiem, bynajmniej nie w miłych okolicznościach.

Tutaj jest sobota

Z miasta do powiatowego więzienia jedzie się szczytami wzgórz nad zatoką. Wsadzana drzewami aleja była tamtego ostatniego poranka zamglona jak stare chińskie malowidło. Tylko dźwięk opon i wycieraczek. Kajdany na nogach dzwoniły niczym orientalne instrumenty, a więźniowie w pomarańczowych kombinezonach kołysali się jednostajnie, tybetańscy mnisi. Śmiejesz się. Cóż, ja też się śmiałem. Wiedziałem, że jestem jedynym białym facetem w autobusie, a tym koleśiom daleko do dalajlamy. Ale było pięknie. Może śmiałem się, bo czułem się głupio, z takim zachwytem podziwiając widoki. Karate Kid usłyszał mój śmiech. Stary Chaz z pewnością ma teraz Korsakowa. Większość facetów idących w tych czasach do więzienia to ledwie dzieciaki za crack. Nie dręczą mnie, uważają za nieszkodliwego starego hipisa.

Widok na więzienie po raz pierwszy jest niesamowity. Długa wspinaczka, a potem zjeżdżasz w dolinę między wzgórzami. Kiedyś była tu letnia posiadłość pewnego milionera, nazywał się Spreckles. Pola dokoła powiatowego przypominają ziemię wokół francuskiego zamku. Tamtego dnia kwitły dziesiątki drzewek nieśpliku japońskiego. Ukwiecony pigwowiec. Potem pola żonkili, dalej irysów.

Przed więzieniem jest łąka, a na niej stado bizonów. Coś z sześćdziesiąt sztuk. Było już sześć nowych cieląt. Z jakiegoś powodu wszystkie chore bizona z całych Stanów przysłała się tutaj. Weterynarze je badają i leczą. Wiadomo, którzy koleśie z autobusu mają pierwszą odsiadkę, bo wszyscy świrują. „Eeej! Co, do kurwy! Karmiarz nas tu bizonami? Patrz na te bysiory!”.

Więzienie i więzienie dla kobiet, warsztat i szklarnie. Zero ludzi, żadnych innych budynków, więc masz wrażenie, że nagle znalazłeś się na dawnej prerii oświetlonej promieniami słońca we mgle. Więzienny autobus zawsze płoszy bizona, choć przyjeżdża regularnie raz w tygodniu. Ruszają galopem, na oślep pędzą w stronę zielonych wzgórz. Jak turysta na safari miałem nadzieję, że uda mi się zobaczyć pola.

Wyszadzili nas z autobusu w piwnicy, w przejściowej celi, gdzie czekaliśmy na rejestrację. Długie czekanie i kolejne przeszukanie dupy.

– Chaz, teraz lepiej się nie śmieć – powiedział Karate Kid.

Mówił, że CD tutaj był i go naruszyli. Więzienny język jest jak hiszpański. Kubek sam się tłucze. Nie narusza się warunkowego. Policja narusza twoją nietykalność.

Gang z Sunnyvale zastrzelił Chinka. Nie słyszałem o tym. Wiedziałem za to, że CD kocha swojego brata Chinka, ważnego dilera z Mission.

– Ostro – rzuciłem.

– No raczej. Jak przyjechały gliny, wszyscy zdążyli się zmyć, tylko CD siedział tam i trzymał głowę Chinka. Mieli na niego tylko naruszenie warunku. Sześć miechów. Odsiedzi może trzy. Potem dorwie tych skurwieli.

Udało mi się i dostałem trzeci poziom (ale bez widoku), celę tylko z dwoma burkliwymi dzieciakami i z Karate, którego znam z ulicy. Na całym piętrze zaledwie trzech innych białych, więc cieszyłem się, że Karate jest ze mną. Cele zbudowano dla dwóch więźniów. Zwykle siedziało w nich po sześciu; w ciągu tygodnia dołożą nam jeszcze dwóch. Kid spędzał czas na podnoszeniu ciężarów, ćwiczeniu kopnięć i uników, czy jak to się zwie.

Kiedy tam trafiliśmy, dowodził Mac. Zawsze serwuje mi gadkę o AA. Ale wie, że lubię pisać, przyniósł mi notes i długopis. Powiedział, że skoro siedzę za kradzież z włamaniem, to trochę zostanę.

– Może tym razem zrobisz czwarty krok, Chaz.

Czyli obrachunek moralny.

– Lepiej przynieś mi jeszcze z dziesięć notesów – rzuciłem.

Wszystko, co można powiedzieć o więzieniu, to banał. Upokorzenie. Czekanie, brutalność, smród, jedzenie, nieskończoność. Nie da się opisać nieustannego rozdzierającego uszy hałasu.

Przez dwa dni miałem koszmarną drżączkę. Którejś nocy dostałem chyba ataku, albo pięćdziesięciu facetów złało mnie, kiedy spałem. Rozcięta warga, wyszczerbionych kilka zębów, czarne i niebieskie na całym ciele. Próbowałem się wcisnąć na izbę chorych, ale żaden strażnik mi nie uwierzył.

– Nie musisz znowu przez to przechodzić – powiedział Mac.

Przynajmniej pozwolili mi zostać na pryczy. CD był na innym piętrze, ale w trakcie ćwiczeń widziałem go na spacerniaku, palił z jakimiś koleśkami, słuchał, kiedy się śmiali. Przez większość czasu chodził dokoła sam.

Dziwne, jak po niektórych ludziach widać władzę. Najgorsze syny były mu posłuszne, cofali się, kiedy przechodził. Nie jest tak potężny jak brat, ale ma w sobie taką samą siłę i spokój. Chłopaki mieli chińską matkę i czarnego ojca. CD nosi na plecach długi warkoczyk. Cały jest

dziwnego koloru, jak stare zdjęcie w sepii, czarna herbata z mlekiem.

Czasami przypomina mi masajskiego wojownika, innym razem Buddę albo jakiegoś boga Majów. Stoi tam nieruchomo, nawet nie mrugnie, przez pół godziny. Ma tę spokojną obojętność boga właśnie. Pewnie gadam jak świr albo ciota. Ale on ma taki wpływ na wszystkich.

Poznałem CD w powiatowym, kiedy ledwo co skończył osiemnaście lat. To był nasz pierwszy raz w pace. Namówiłem go na książki. Po raz pierwszy zakochał się w słowach po *Szalupie* Stephena Crane'a. Facet z biblioteki przyjeżdżał co tydzień, oddawaliśmy mu książki i braliśmy nowe. Latynosi mają skomplikowany system znaków, którym się tu posługują. Ja i CD zaczęliśmy rozmawiać książką. *Zbrodnia i kara*, *Obcy*, Elmore Leonard. Siedzieliśmy razem jeszcze raz i wtedy to on namawiał mnie na innych autorów.

Czasem wpadałem na niego na ulicy. Zawsze dawał mi kasę, co było dziwne, ale w końcu zebrałem, więc co miałem odmawiać. Siadaliśmy na ławce na przystanku i gadaliśmy. Teraz CD przeczytał już więcej ode mnie. Ma dwadzieścia dwa lata. Ja trzydzieści dwa, ale ludzie zawsze myślą, że więcej. Czuję się na jakieś szesnaście. Od tamtej pory jestem pijany, więc wiele mnie ominęło. Przegapiłem Watergate, dzięki Bogu. Wciąż gadam jak hipis, mówię „klawo” i „co za zjazd”.

Willie Clampton obudził mnie waleniem w kraty, kiedy piętro wróciło ze spacerniaka.

– Joł, Chaz, co tam? CD mówi witaj w domu.

– Jak leci, Willie?

– Spoko. Jeszcze kilka odcinków *Soul Train* i znikam. A wy zapiszcie się na lekcje pisania. Mają teraz porządny kurs. Muzyka, garncarstwo, teatr, malowanie. Pozwalają im nawet przychodzić z babskiego pierdla. Słuchaj, Kid, Dixie też chodzi. Serio.

– No coś ty. Co Dixie robi w powiatowym?

Karate Kid kiedyś stręczył Dixie. Teraz prowadziła własny babski interes, dziewczyny i koka dla ważnych prawników, wysokich urzędasów. Za cokolwiek ją wsadzili, niedługo wyjdzie. Miała koło czterdziestki, ale wciąż dobrze wyglądała. Na ulicy wzięłbyś ją za elegancką panią. Nigdy się nie przyznała, że mnie zna, ale zawsze dawała mi pięć albo dziesięć dolców i szeroki uśmiech. „Masz, młody człowieku, zjedz sobie za to pożywne śniadanie”.

– Co piszesz?

– Opowiadania, rap, wiersze. Słuchaj tego:

Radiowozy jadą od drzwi do drzwi

Nie obchodzi ich

bo to czarne na czarnym

i

Dwie mety

za jedną fajkę

niezły wynik

Karate i ja się zaśmiewaliśmy.

– Śmiecie się, skurwiele, śmiecie. Słuchajcie tego.

Szlag, jeśli nie recytował właśnie sonetu Szekspira. Willie. Jego głęboki głos ponad szaleństwem więziennego gwaru.

– Mam cię porównać do letniego dnia? Piękniejsza jesteś, stalsza niżli...

– Nauczycielka jest biała, stara. Stara jak moja babka, ale spoko. Kozaki od Ferragamo.

Pierwszego dnia pachniała Chanel. Nie mogła uwierzyć, że poznałem. Teraz używa innych. Znam je wszystkie. Opium, Ysatis, Joy. Nie rozpoznałem tylko Fleurs de Rocaille.

Pięknie to wymówił. Karate i ja zaśmiewaliśmy się do bólu z niego i jego Fleurs de Rocaille.

Właściwie to w więzieniu często słyszy się śmiech.

To nie jest normalne więzienie. Byłem w normalnych, Santa Rita, Vacaville. Cud, że jeszcze żyję. Powiatowe numer 3 pokazywali w telewizji, takie jest postępowe. Informatyka, mechanika, drukarstwo. Słynna szkoła rolnicza. Dostarczamy warzywa do Chez Panisse, Stars i innych restauracji. Tutaj zdałem egzaminy.

Naczelnik więzienia Bingham jest totalnie inny. Przede wszystkim były skazaniec. Zamordował swojego ojca. Długo siedział. Kiedy wyszedł, poszedł na prawo, a potem zmienił na więziennictwo. Wie, co to odsiadka.

Dzisiaj by go puścili, dali samoobronę z powodu molestowania. Do diabła, nawet ja

mógłbym uniknąć zabójstwa, gdybym powiedział przysięgłym o mojej ma. A historii o ojcu – mógłbym zostać pieprzonym Zodiakiem.

Chcą wybudować nowe więzienie, obok tego. Bingham mówi, że to więzienie jest jak ulica. Ta sama struktura władzy, zachowania, brutalność, prochy. Nowe ma wszystko zmienić. Nie będziesz chciał tam wracać, mówi. Bo po prawdzie – niektórzy z was lubią tu wracać, odpoczywać.

Zapisałem się na zajęcia tylko po to, żeby się spotkać z CD. Pani Bevins powiedziała, że CD jej o mnie wspominał.

– O tym starym pijusie? O mnie na pewno słyszała pani niejedno. Jestem Karate Kid. Dodam twemu życiu smaku. Witaminę w dziewczynę. Kapeczkę w laseczkę.

Był taki facet, Jerome Washington, pisał o takim Wujotomowaniu. Słodzisz białasom. Mówisz coś w stylu „Byłem taki nadziany, że kasę trzymałem w butach”. Racja, uwielbiamy to. Nauczycielka się śmiała.

– Niech go pani zignoruje – powiedziała Dixie. – Jest niereformowalny.

– Ej tam, mamuśka. Reformuj mnie, ile chcesz.

Pani Bevins kazała mnie i Kidowi wypełnić jakiś kwestionariusz, podczas gdy reszta na głos czytała swoje prace. Myślałem, że to pytania o wykształcenie i kartotekę, ale tam było na przykład „Opisz swój wymarzony pokój”, „Jesteś pniakiem. Opisz siebie jako pniaka”.

Bazraliśmy, ja jednym uchem słuchołem, jak Marcus czyta opowiadanie. Marcus to ostry facet, Indianin, poważny skazaniec. Ale napisał dobre opowiadanie, o dziecku, które patrzy, jak jego tatę leją jakieś karki. Miało tytuł *Jak zostałem Czirokezem*.

– Bardzo dobre opowiadanie – powiedziała.

– Popieprzone. Było popieprzone, kiedy pierwszy raz je gdzieś przeczytałem. Nigdy nie znałem swojego ojca. Ale domyśliłem się, że pani chce od nas takich bzdur. Pewnie sika pani po nogach z radości, że udaje się pani pomóc nam, nieszczęsnym ofiarom społeczeństwa, odnaleźć swoje prawdziwe uczucia.

– Mam w dupie wasze uczucia. Jestem tutaj, żeby uczyć pisania. Zresztą można kłamać, a i tak mówić prawdę. To opowiadanie jest dobre i brzmi prawdziwie, nieważne, skąd się wzięło.

Mówiła, stojąc plecami do drzwi.

– Nienawidzę ofiar – powiedziała. – A na pewno nie chcę być twoją. – Otworzyła drzwi i kazała strażnikom zabrać Marcusa na piętro.

– Jeśli te zajęcia pójdą tak, jak powinny, to zawierzymy sobie nawzajem swoje życie – powiedziała.

Wyjaśniła mnie i Kidowi, że zadaniem było napisać o bólu.

– Przeczytaj swoje opowiadanie, CD.

Kiedy skończył czytać, pani Bevins i ja uśmiechnęliśmy się do siebie, CD też się uśmiechnął. Po raz pierwszy w życiu widziałem, jak naprawdę się uśmiecha, miał małe białe zęby.

Opowiadanie było o dziewczynie i chłopaku, którzy zaglądają przez okno do sklepu ze starociami w North Beach. Rozmawiają o różnych rzeczach, starym ślubnym zdjęciu, parze małych butów, wyszywanej poduszce.

To, jak opisywał tę dziewczynę, jej cienkie nadgarstki, niebieską żyłkę na czole, jej urodę i niewinność, łamało serce. Kim płakała. To młoda dziwka z Tenderloin, wredna mała suka.

– No, fajne, ale nie o bólu – powiedział Willie.

– Ja czułam ból – powiedziała Kim.

– Ja też – powiedziała Dixie. – Zabiłabym, żeby tylko ktoś tak na mnie patrzył.

Wszyscy się kłócili, że to o szczęściu, nie bólu.

– To o miłości – powiedział Daron.

– Miłość, weź. Koleś nawet jej nie dotyka.

Pani Bevins powiedziała, żebyśmy zwrócili uwagę na pamiątki po zmarłych ludziach.

– W szybie odbija się zachód słońca. Wszystkie obrazy mówią o kruchości życia i miłości. Te cienkie nadgarstki. Ból kryje się w świadomości, że szczęście jest nietrwałe.

– No – powiedział Willie – tyle że zaszczepia je od nowa.

– Co ty gadasz, czarnuchu?

– To z Szekspira, debilu. Sztuka to robi. Zamraża jego szczęście. CD może je odzyskać za każdym razem, kiedy czyta to opowiadanie.

– No ale go nie wyrucha.

– Doskonale zrozumiałeś, Willie. Przysięgam, że wasza grupa łapie to lepiej niż jakakolwiek inna, którą kiedykolwiek uczyłam – oznajmiła pani Bevins.

Innym razem powiedziała, że istnieje niewielka różnica między umysłem przestępcy a umysłem poety.

– To kwestia ulepszania rzeczywistości, tworzenia własnej prawdy. Macie oko do

szczegółów. Dwie minuty w jakimś pomieszczeniu i wszystko wiecie. Wyczuwacie kłamstwo.

Zajęcia trwały cztery godziny. Rozmawialiśmy, pisząc, między odczytywaniem naszych prac, słuchaliśmy tego, co czytała. Gadaliśmy do siebie, do niej, do siebie nawzajem. Shabazz mówił, że przypomina mu to szkółkę niedzielną, kiedy był mały, kolorowanie obrazków Jezusa i ciche rozmowy tak jak tutaj. Shabazz to fanatyk religijny, siedzi za bicie żony i dzieci. Jego wiersze były skrzyżowaniem rapu z *Pieśnią Salomona*.

Zajęcia pisania zmieniły moją przyjaźń z Karate Kidem. Co wieczór w celi pisaliśmy i czytaliśmy sobie nawzajem nasze opowiadania, na zmianę czytaliśmy na głos. *Bluesy Sonny'ego Baldwina*, *Spać się chce Czechowa*.

Przestałem się przejmować po pierwszym dniu, kiedy przeczytałem na głos *Mój pniak*. Tylko mój pniak został samotnie w wypalonym lesie. Był czarny i martwy, a kiedy zawiał wiatr, kawałki węgla odkruszały się i odpadały.

– Co my tu mamy? – zapytała.

– Depresja kliniczna – powiedział Daron.

– Wzięliśmy sobie wypalonego hipisa – powiedział Willie.

Dixie się zaśmiała.

– Bardzo smutny obraz ciała.

– Dobrze napisał – powiedział CD. – Naprawdę czuję, jakie wszystko jest smętne i beznadziejne.

– To prawda – powiedziała pani Bevins. – Zawsze radzi się „mówić prawdę”, kiedy piszesz. Zresztą kłamać jest trudno. To zadanie wydaje się niemądre... pniak. Ale odczuwa się je głęboko. Widzę alkoholika, chorego i zmęczonego. Ten pniak to jakbym opisała siebie, zanim przestałam pić.

– Jak długo była pani trzeźwa, zanim poczuła się inaczej? – zapytałem.

Odparła, że to działa odwrotnie. Najpierw trzeba zacząć myśleć, że nie jest się beznadziejnym, wtedy można przestać.

– Ojacie – powiedział Daron. – Jakbym chciał słuchać tego gówna, zapisałbym się do AA.

– Wybaczcie – odparła. – Ale zróbcie coś dla mnie. Nie odpowiadajcie głośno. Zadajcie sobie wszyscy pytanie, czy ostatnim razem, kiedy was aresztowano, nieważne za co, byliście na prochach albo alkoholu?

Cisza. Przyłapani. Wszyscy się zaśmialiśmy. Dwight zapytał:

– Zna pani tę grupę MPPK, Matki Przeciwno Pijanym Kierowcom? Założyliśmy sobie własną, Pijacy Przeciwno Matkom, PPM.

Willie wyszedł kilka tygodni po tym, jak mnie przywieźli. Szkoda nam było go żegnać. Dwie z kobiet wdały się w bójkę, zostały więc tylko Dixie, Kim i Casey, plus sześciu facetów. Siedmiu, kiedy miejsce Williego zajął Vee de la Rangee. Cherlawy, pryszczaty i brzydki transwestyta z blond trwałą i czarnymi odrostami. W nosie nosił plastikowe zamknięcie do foliowych opakowań, na przykład chleba, takich samych ze dwadzieścia w każdym uchu. Daron i Dwight chyba mieli ochotę go załatwić. Twierdził, że napisał już trochę wierszy.

– Przeczytaj nam coś.

To była brutalna pijacka fantazja o heroinowym świecie. Kiedy skończył, nikt się nie odezwał. W końcu CD powiedział:

– Ale mocne gówno. Przeczytaj coś jeszcze. – Jakby dawał wszystkim pozwolenie na zaakceptowanie tego kolesia.

Vee czytał dalej i na następnych zajęciach czuł się jak w domu. Widać było, jak wiele znaczy dla niego być wysłuchanym. Szlag, ja czułem się podobnie. Kiedyś dałem nawet radę napisać o tym, jak zdechł mój pies. Nie obeszloby mnie, gdyby się śmiali, ale nikt się nie śmiał.

Kim nie pisała zbyt dużo. Wiele wierszy pełnych żalu po dziecku, które jej odebrano. Dixie pisała ironiczne teksty z motywem „dobra kpina nie jest zła”. Casey była świetna. Pisała o uzależnieniu od hery. Naprawdę mnie wzięło. Większość kolesi stąd sprzedawała crack, ale albo zbyt często nie brali, albo byli zbyt młodzi, by wiedzieć, co mogą z ciebie zrobić kolejne lata wracania do tego piekła. Pani Bevins wiedziała. Wiele o tym nie mówiła, ale wystarczyło, by pokazać, jakie to fajne, że przestała. Pisaliśmy czasem naprawdę dobre kawałki.

– To świetne! – powiedziała kiedyś pani Bevins do Kida. – Co tydzień piszesz lepiej.

– Powaga? Psze pani, jestem już tak dobry jak CD?

– Pisanie to nie zawody. Można tylko ciągle doskonalić swoje prace.

– Ale CD to pani pupilek.

– Nie mam ulubieńców. Mam czterech synów. I do każdego czuję coś innego. Z wami jest tak samo.

– Ale niech nam pani nie mówi, żebyśmy szli do szkoły i zdobyli stypendium. Zawsze pani na niego siada, żeby zmienił swoje życie.

– Wszystkim nam to mówi – odezwał się. – Oprócz Dixie. Ale robi to z wycuciem. Kto wie, może i wytrzeźwieję. Zresztą CD jest najlepszy. Wszyscy to wiemy. Pierwszego dnia, jak tu przyjechałem, zobaczyłem go na dworze. Wiecie, co pomyślałem? Że wygląda jak jakiś bóg.

– Może nie bóg – powiedziała Dixie. – Ale ma w sobie coś z gwiazdy. Prawda, pani Bevins?

– Zejdźcie ze mnie – mruknął CD.

Pani Bevins się uśmiechnęła.

– No tak, rozumiem. Chyba każdy nauczyciel czasami to dostrzega. Nie chodzi tylko o inteligencję czy talent. To szlachetność ducha. Cecha, dzięki której mógłby osiągnąć wielkość we wszystkim, co chciałby robić.

Milczeliśmy. Chyba wszyscy przyznaliśmy jej rację. Ale było nam jej żal. Wiedzieliśmy, co on chciałby zrobić, co robi.

Wróciliśmy potem do pracy, wybieraliśmy teksty do naszej gazetki. Pani Bevins miała ją złożyć, a więzienna drukarnia wydrukować.

Śmiały się z Dixie. Obie uwielbiały plotkować. Teraz obgadywały strażników.

– Ten na pewno nie ściąga skarpetek – powiedziała Dixie.

– Racja. I nitkuje przedtem zęby.

– Potrzebujemy więcej prozy. Zróbcie to zadanie na przyszły tydzień, zobaczmy, co wam wyjdzie.

Podawała nam kilka niewykorzystanych tytułów z notatnika Raymonda Chandlera. Każdy musiał wybrać jeden. Ja wziąłem *Wszyscy lubiliśmy Ala*. Casey spodobało się *Za późno na uśmiech*. CD wziął *Tutaj jest sobota*.

– A w ogóle to powinniśmy zatytułować tak naszą gazetę – powiedział.

– Nie możemy – odparła Kim. – Obiecaliśmy Williemu, że wykorzystamy jego tytuł, „Przez Kocie Oko”.

– No dobrze, proszę was o dwie lub trzy strony prowadzące do trupa. Nie pokazujcie nam trupa naprawdę. Nie piszcie, że będzie jakiś trup. Zakończcie opowiadanie tak, żebyśmy wiedzieli, że będzie trup. Jasne?

– Jasne.

– Pora na was, panowie – powiedział strażnik, otwierając drzwi.

– Chodź tutaj, Vee. – Owiała go perfumami, a potem odesłała z powrotem na górę.

Piętro homoseksualne było raczej żalosne. Połowę stanowili starzy niedołęzni pijacy, a resztę geje.

Napisałem świetne opowiadanie. Ukazało się w tamtej gazecie i wciąż czytam je na nowo. Było o Alu, moim najlepszym kumplu. Już nie żyje. Ale nauczycielka powiedziała, że nie wykonałem zadania właściwie, bo opowiedziałem o tym, jak razem z gospodynią znaleźliśmy ciało Ala.

Kim i Casey spisały te same straszne historie. Kim o ojcu, który ją bił, Casey o jakimś kliencie sadyście. Wiadomo było, że na końcu koleśi zamordują. Dixie napisała doskonały tekst o samotnej kobiecie. Miała gwałtowny atak astmy, ale nikt jej nie słyszał. Strach i atramentowa ciemność. Potem trzęsienie ziemi. I koniec.

Nie wiecie, jak to jest być w więzieniu w trakcie trzęsienia ziemi.

CD napisał o swoim bracie. Większość opowiadań CD była o nim, o ich dzieciństwie. O latach, które stracili, przebywając w innych rodzinach zastępczych. Jak przypadkiem odnaleźli się w Reno. Tamto opowiadanie działo się w Sunnyvale. Czytał je cicho. Żadne z nas nie drgnęło. Opowiadał o popołudniu i wieczorze przed śmiercią Chinka. Szczegóły o spotkaniu dwóch gangów. Skończyło się strzelaniną z uzi i uciekającym CD.

Dostałem gęziej skórki. Pani Bevins zbladła. Nikt jej widać nie powiedział, że brat CD nie żyje. W opowiadaniu nie pojawiło się zresztą ani jedno słowo o jego bracie. Takie było dobre. Tak pełne napięcia i przejrzyste, że mogło mieć tylko jedno zakończenie. W sali zapadła cisza, aż w końcu Shabazz powiedział „Amen”. Strażnik otworzył drzwi:

– Pora na was, panowie.

Pozostali strażnicy czekali na kobiety, a my ustawialiśmy się w rzędzie.

CD miał wyjść z więzienia dwa dni po ostatnich zajęciach. Gazeta miała się ukazać ostatniego dnia przed jego wyjściem i planowaliśmy wielką imprezę. Wystawę prac plastycznych i koncerty więźniów. Casey, CD i Shabazz mieli czytać. Wszyscy mieli dostać egzemplarze „Przez Kocie Oko”.

Ekscytowaliśmy się gazetą, ale żadne z nas nie wiedziało, jakie to będzie uczucie. Zobaczyć swoje teksty w druku.

– Gdzie jest CD? – zapytała.

Nie wiedzieliśmy. Każdemu z nas dała dwadzieścia egzemplarzy. Czytaliśmy nasze

teksty na głos, bijąc sobie nawzajem brawo. Potem siedzieliśmy i czytaliśmy sobie po cichu, raz po raz.

Z powodu imprezy zajęcia były skrócone. Przyszli strażnicy z kantyny i otworzyli drzwi między naszą salą a tą od zajęć artystycznych. Pomogliśmy nakryć stoły. Stosy gazetki wyglądały pięknie. Zielone na fioletowym papierowym obrusie. Więźniowie z rolnictwa przynieśli wielkie bukiety kwiatów. Prace plastyczne wisiały na ścianach, rzeźby stały na kubikach. Rozstawiał się pierwszy zespół.

Zagrali, potem było nasze czytanie, a potem drugi koncert. Czytanie poszło dobrze, muzyka była super. Ci z kuchni przynieśli jedzenie i napoje i wszyscy stanęli w kolejce. Pilnowały nas dziesiątki strażników, ale oni też się chyba dobrze bawili. Był nawet Bingham. Byli wszyscy oprócz CD.

Nauczycielka rozmawiała z Binghamem. On jest naprawdę ekstra. Widziałem, jak kiwa głową i przywołuje strażnika. Domyśliłem się, że pozwolił jej iść na górę, na piętro.

Wróciła niedługo, mimo wszystkich schodów i sześciu zamkniętych stalowych bramek. Usiadła, wyglądała kiepsko. Przyniosłem jej puszkę pepsi.

– Rozmawiała z nim pani?

Potrząsnęła głową.

– Leżał pod kocem i się nie odzywał. Włożyłam gazety przez kraty. Tam jest okropnie, Chaz. Wybita szyba, deszcz wpada przez okno. Smród. Te cele są takie małe i ciemne.

– Hej, teraz tam jest jak w rajku. Nikogo nie ma. Niech sobie pani wyobrazi tę celę z sześcioma kołesiami.

– Pięć minut, panowie!

Dixie i Kim i Casey uściskały ją na do widzenia. Żaden z nas, facetów, się nie pożegnał. Nie potrafiłem nawet na nią spojrzeć. Słyszałem, jak mówi: „Trzymaj się, Chaz”.

Właśnie zdałem sobie sprawę, że znów odrabiam tamto ostatnie zadanie. I znowu robię je źle, wspominając o ciele, mówiąc wam, że zabili CD tego dnia, kiedy wyszedł z powiatowego.

B.F. i ja

Od razu go polubiłam, wystarczyła rozmowa przez telefon. Schrypnięty, swobodny głos, uśmiechnięty i seksowny, wiecie, co mam na myśli. Jak to się dzieje, że rozgryzamy ludzi po głosie? Kobieta z infolinii firmy telekomunikacyjnej jest natrętna i protekcjonalna i nie jest nawet prawdziwym człowiekiem. A facet z kablówki, który twierdzi, że nasz interes jest dla nich ważny i chcą nas zadowolić – w jego głosie słyszysz szyderstwo.

Pracowałam kiedyś w centrali telefonicznej w szpitalu, całymi dniami rozmawiałam z różnymi lekarzami, których nigdy nie widziałam na oczy. Wszystkie miałyśmy swoich ulubieńców i takich, których nie znosiłyśmy. Żadna z nas nie poznała nigdy doktora Wrighta, ale miał głos tak aksamitny i wyluzowany, że się w nim kochałyśmy. Kiedy miałyśmy się z nim skontaktować, każda z nas kładła dolara na centrali, biegła odebrać telefon i jeśli to był on, wygrywałyśmy pieniądze i mówiłyśmy: „O, dzień dobry, doktorze Wright. Intensywna prosi o kontakt, sir”. Nigdy nie widziałam doktora Wrighta w prawdziwym życiu, ale kiedy dostałam pracę na ostrym dyżurze, poznałam wszystkich innych lekarzy, z którymi wcześniej rozmawiałam przez telefon. I od razu się przekonałam, że są dokładnie tacy, jak ich sobie wyobrażałyśmy. Najlepszymi lekarzami byli ci, którzy odpowiadali szybko, mówili krótko i uprzejmie, a najgorszymi ci, którzy na nas wrzeszczeli, na przykład: „Czy na tej centrali zatrudniają upośledzonych?”. To oni kazali badać swoich pacjentów na ostrym dyżurze, a tych z państwowym ubezpieczeniem wysyłali do miejskiego szpitala. Niesamowite, że ci o seksownych głosach byli równie seksowni w prawdziwym życiu. Ale nie, nie wiem, jak ludzie potrafią nadać swoim głosom taki ton, jakby dopiero się obudzili albo chcieli iść do łóżka. Posłuchajcie głosu Toma Hanksa. Darujcie. No to Harvey Keitel. Jeśli nie uważacie, że Harvey jest seksowny, to zamknijcie oczy.

Ja na przykład mam bardzo miły głos. Jestem silną kobietą, nawet wredną, ale wszyscy sądzą, że jestem bardzo łagodna – z powodu głosu właśnie. Brzmi młodo, choć mam siedemdziesiąt lat. Chłopcy ze sklepu meblowego ze mną flirtują. „Hej, założę się, że miło się będzie pani leżało na tym dywanie”. I tym podobne.

Szukałam kogoś do położenia kafelków w łazience. Ci, którzy umieszczają ogłoszenia w gazecie, że wykonują drobne prace, malowanie itd., wcale im się nie chce pracować. Albo mają dużo zleceń, albo odzywa się sekretarka, w tle leci Metallica i nikt do ciebie nie oddzwania. Po

sześciu próbach tylko B.F. powiedział, że przyjdzie. Odebrał telefon: „Taa, tutaj B.F.”, powiedziałam więc: „Cześć, tu L.B.”. A on się zaśmiał, naprawdę powoli. Powiedziałam, że mam robotę i szukam kogoś takiego jak on. Może przyjąć kiedykolwiek. Zgadywałam, że to jakiś mądrała, dwudziestokilkulatek, przystojny, z tatuażami i ostrzyżony na jeża, jeździ pick-upem i ma psa.

Nie pokazał się tego dnia, którego obiecał, ale zadzwonił następnego, mówiąc, że coś mu wypadło i czy może być po południu. Jasne. Tego samego dnia zobaczyłam pick-upa, usłyszałam, jak ktoś wali do drzwi, ale trochę mi zajęło, zanim do nich doszłam. Mam artretyzm i ciągnę za sobą butlę z tlenem.

– Chwila moment! – wrzasnęłam.

B.F. trzymał się ściany i poręczy, sapiąc i dysząc, choć wszedł tylko po trzech stopniach. Był ogromnym mężczyzną, wysokim, bardzo grubym i bardzo starym. Nawet kiedy jeszcze stał na zewnątrz, łapiąc oddech, czułam jego zapach. Tytoń i brudna wełna, kwaśny pot alkoholika. Miał przekrwione jasnoniebieskie oczy, które się uśmiechały. Od razu go polubiłam.

Powiedział, że chętnie skorzystałby z mojego tlenu. Odparłam, że powinien sobie sprawić taką butlę, a on na to, że nie chce wylecieć w powietrze, odpalając papierosa. W końcu wszedł i ruszył do łazienki. Nie żebym musiała mu pokazywać drogę. Mieszkam w przyczepie i nie ma tu zbyt wielu miejsc, w których mogłaby się znajdować łazienka. Ale on odmaszerował, tupiąc, aż wszystko się trzęsło. Przez chwilę patrzyłam, jak robi pomiary, a potem poszłam usiąść do kuchni. Wciąż go czułam. Jego sztynek był dla mnie jak magdalenka, od razu przypomniał mi dziadka i wujka Johna.

Smród bywa miły. Delikatny odór skunksa w lesie. Końskie łajno na wyścigach. W tygrysach w zoo najlepszy jest ich zwierzęcy fetor. Na walkach byków zawsze lubiłam siadać wysoko, żeby wszystko widzieć, jak w operze, ale jeśli usiądziesz obok *barrera*, to poczujesz byka.

B.F. był dla mnie egzotyczny, bo okazał się taki brudny. Mieszkam w Boulder, gdzie nie ma brudu. Nie ma brudnych ludzi. Nawet biegacze wyglądają, jakby dopiero co wyszli spod prysznic. Zastanawiałam się, gdzie pił, bo nie widziałam też w Boulder żadnego brudnego baru. Wyglądał na takiego, co to lubi gadać, kiedy pije.

W łazience nawijał do siebie, jęczał i sapał, klękając na podłodze, żeby zmierzyć szafkę na bieliznę. Kiedy z wysiłkiem się podniósł z NIECH TO SZLAG, przysięgam, że cały dom się

zatrząśł. Wyszedł i powiedział, że potrzebuję czterech metrów kwadratowych. Uwierzyłby pan? Kupiłam cztery i pół! Cóż, ma pani dobre oko. Dwoje dobrych oczu. Uśmiechnął się zbrązowiałą sztuczną szczęką.

– Nie będzie mogła pani chodzić po podłodze przez trzy doby – powiedział.
– To szaleństwo. W życiu o czymś takim nie słyszałam.
– Cóż, takie są fakty. Kafelki muszą się przykleić.
– Przez całe życie nie słyszałam, żeby ktoś mówił: „Poszliśmy do motelu, żeby kafelki się przykleiły”. Ani: „Czy mogę u ciebie pomieszkać, dopóki nie przykleją mi się kafelki?”. W życiu nie słyszałam czegoś takiego.

– Bo większość tych, którzy kładą kafelki, ma dwie łazienki.
– A co robią ci, którzy mają jedną?
– Kładą wykładzinę.
Wykładzina tam była, gdy kupiłam przyczepę. Pomarańczowa, kudłata, brudna.
– Nie znoszę tej wykładziny.
– Nie dziwię się. Mówię tylko, że po kafelkach nie wolno chodzić przez trzy doby.
– Nie dam rady. Biorę leki nasercowe. Chodzę do łazienki dwadzieścia razy dziennie.
– No to niech pani chodzi. Ale jeśli kafelki się przekrzywią, niech pani nie mówi, że to moja wina, bo ja położyłem porządnie.

Uzgodniliśmy cenę za robociznę i obiecał, że przyjdzie w piątek rano. Był wyraźnie obolały po tym schylaniu. Głośno łapiąc powietrze, wyszedł ciężko z domu, zatrzymując się na oddech przy kuchennym blacie, a potem przy piecyku w salonie. Szłam za nim do drzwi, robiąc te same przystanki. Pod schodkami zapalił papierosa i uśmiechnął się do mnie. Miło było poznać. Jego pies cierpliwie czekał w pick-upie.

Nie przyszedł w piątek. Nie zadzwonił, więc ja zadzwoniłam do niego w niedzielę. Nie odebrał. Znalazłam stronę z gazety z innymi numerami. Żaden nie odpowiadał. Wyobraziłam sobie westernową knajpę pełną kafelkarzy, z butelkami albo kartami w dłoniach, śpiących z głowami na stolikach.

Zadzwonił wczoraj. Przywitałam się, a on powiedział:

- Jak się pani miewa, L.B.?
- Byczo, B.F. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś pana zobaczę.
- To może wpadnę jutro?

- Mnie pasuje.
- Koło dziesiątej?
- Jasne – odparłam. – Kiedy panu wygodnie.

Zaczekaj chwilę

Westchnienia, rytm naszych serc, skurcze porodowe, orgazmy, wszystko wpływa w czas, tak jak ustawione obok siebie zegary wahadłowe wkrótce zaczynają bić unisono. Robaczki świętojańskie na drzewie zapalają się i gasną jednocześnie. Słońce wschodzi i zachodzi. Księżyc zmniejsza się i znika, a poranna gazeta zwykle uderza o ganek o szóstej trzydzieści pięć.

Czas się zatrzymuje, kiedy ktoś umiera. Oczywiście zatrzymuje się dla zmarłych, ale dla żałobników zaczyna wariować. Śmierć przychodzi za wcześnie. Zapomina o przyływach, o dłuższych i krótszych dniach, o księżycu. Rozwala cały kalendarz. Nie siedzisz przy biurku, nie jesteś w metrze ani nie robisz dzieciom kolacji. Czytasz „People” w poczekalni na chirurgii albo przez całą noc drżysz z zimna na balkonie, paląc papierosy. Gapisz się w przestrzeń, siedząc w swojej dziecięcej sypialni z globusem na biurku. Persja, Kongo Belgijskie. Problem w tym, że kiedy wracasz do normalnego życia, wszystkie przyzwyczajenia, stałe punkty dnia zdają się bezsensownymi kłamstwami. Wszystko jest podejrzane, jak sztuczka mająca pozbawić nas czujności, ukołysać z powrotem w łagodną nieustępliwość czasu.

Kiedy ktoś zapada na śmiertelną chorobę, uspokajająca bańka czasu pęka. Za szybko, nie ma czasu, kocham cię, muszę dokończyć to, powiedzcie mu tamto. Zaczekaj chwilę! Chcę coś wyjaśnić. A w ogóle gdzie jest Toby? Albo też czas zaczyna płynąć sadystycznie wolno. Śmierć wisi w powietrzu, a ty czekasz, aż przyjdzie noc, potem czekasz, aż przyjdzie poranek. Codziennie po trochu się zegnasz. Och, miejmy już to za sobą, na miłość boską. Wciąż patrzysz na tablicę odlotów i przylotów. Noce nie mają końca, bo budzi cię najłżejszy kaszel i szloch, a potem leżysz z otwartymi oczami i słuchasz, jak cicho oddycha, jak dziecko. Popołudniami przy łóżku znasz godzinę dzięki wędrującemu słońcu, teraz jest na Matce Boskiej z Guadalupe, teraz na akcie węglem, na lustrze, na rzeźbionej szkatułce na biżuterię, lśni na butelce perfum. Sprzedawca *camote* gwizdże na dole, na ulicy, potem pomagasz siostrze przejść do *sala*, żeby obejrzeć wiadomości z Mexico City, a potem te ze Stanów, z Peterem Jenningsem. Koty leżą na jej kolanach. Ma tlen, ale kocie futro utrudnia oddychanie. „Nie! Nie zabieraj ich. Zaczekaj chwilę”.

Co wieczór po wiadomościach Sally płakała. Szlochała. Pewnie nie trwało to długo, ale w zakrzywieniu czasoprzestrzeni jej choroby ciągnęło się bez końca, bolesny ochrypty płacz. Nie pamiętam nawet, czy na początku moja siostrzenica Mercedes i ja płakałyśmy z nią. Raczej nie.

Żadna z nas nie należy do płaczków. Ale przytulałyśmy ją, całowałyśmy, śpiewałyśmy jej. Próbowaliśmy żartować: „Może lepiej przełączymy na Toma Brokawa”. Robiliśmy jej *agua* i herbatę i kakao. Nie pamiętam, kiedy przestała płakać, niedługo przed śmiercią, ale kiedy przestała, to było koszmarnie, ta cisza, która trwała tak długo.

Czasami, kiedy płakała, mówiła na przykład: „Przepraszam, to chyba przez chemię. Jakiś odruch. Nie zwracajcie uwagi”. Ale innym razem błagała, żebyśmy płakały z nią.

„Nie mogę, *mi Argentina* – mówiła Mercedes. – Ale moje serce płacze. Kiedy wiemy, że to się wydarzy, automatycznie stajemy się twardsi”.

Miło, że tak powiedziała. To szlochanie doprowadzało mnie do szaleństwa.

Raz, kiedy Sally tak płakała, powiedziała: „Już nigdy nie zobaczę osiołków!”, co wydało nam się strasznie zabawne. Ona wpadła w furję, porozbijała talerze i kubek, nasze okulary i popielniczkę, rzucając nimi o ścianę. Kopnięciem przewróciła stolik, wrzeszcząc na nas. Zimne wyrachowane suki. Ani grama współczucia czy żalu. „Jedna *pinche* łza. Nawet nie wyglądacie na smutne. Wyglądacie jak więzienne strażniczki”. Już zaczynała się uśmiechać. „Wypij to. Masz chusteczkę. Wymiotuj do basenu”.

W nocy szykowałam ją do łóżka, dawałam tabletki, zastrzyk. Całowałam i opatulałam do snu.

„Dobranoc. Kocham cię, moja siostrze, *mi cisterna*”. Spałam w małym pokoiku, schowku, obok niej, słyszałam przez ściankę z dykty, czytała, nuciła, pisała. Czasami płakała i wtedy było najgorzej, bo próbowała zdusić poduszką te ciche smutne szlochy.

Na początku wstawałam i próbowałam ją pocieszyć, ale to powodowało, że płakała intensywniej i bardziej się niepokoiła. Leki nasenne działały odwrotnie i ją budziły, wywołując nerwowość i mdłości. Więc tylko wołałam: „Sally. Kochana *Sal y pimienta*, Salsa, nie smuć się”. Tego typu rzeczy.

– Pamiętasz, jak w Chile Rosa wkładała nam do łóżek gorące cegły?

– Zapomniałam!

– Chcesz, żebym przyniosła ci cegłę?

– Nie, *mi vida*, już zasypiam.

Przeszła mastektomię i naświetlania, a potem przez pięć lat czuła się dobrze. Naprawdę dobrze. Pełna energii i piękna, szaleńczo szczęśliwa z pewnym dobrym człowiekiem, Andrésem. Zaprzyjaźniłyśmy się, pierwszy raz od czasu naszego trudnego dzieciństwa. Jakbyśmy się

zakochiwały, odkrywały siebie, to, ile nas łączy. Pojechałyśmy na Jukatan i do Nowego Jorku. Ja jechałam do Meksyku albo ona przyjeżdżała do Oakland. Po śmierci naszej matki spędziłyśmy tydzień w Zihuatanejo, gdzie gadałyśmy całe noce i całe dni. Wyegzorczyzmowałyśmy naszych rodziców i nasze własne zazdrości i chyba obie dorosłyśmy.

Byłam w Oakland, kiedy zadzwoniła. Rak jest już w płucach. Wszędzie. Nie ma czasu. *Apúrate*. Przyjedź natychmiast!

Potrzebowałam trzech dni, żeby rzucić pracę, spakować się i wyprowadzić. W samolocie do Mexico City myślałam o tym, jak śmierć drze czas na strzępy. Moje zwyczajne życie zniknęło. Terapia, kolejne przepłynięte baseny w YMCA. A lunch w piątek? Impreza Glorii, jutro dentysta, pralnia, odebrać książki u Moe, sprzątanie, skończyła się kocia karma, opieka nad wnukami w sobotę, w pracy zamówić gazę i krążki do gastrostomii, napisać do Augusta, porozmawiać z Josee, upiec babeczki, C.J. ma przyjść. Najdziwniejsze, że rok później sprzedawcy w spożywczym i księgarni albo spotkani na ulicy znajomi nie zauważyli, że w ogóle mnie nie było.

Z lotniska w Meksyku zadzwoniłam do Pedra, jej onkologa, żeby zapytać, czego się spodziewać. Sally mówiła, że to kwestia tygodni albo miesiąca.

– *Ni modo* – powiedział. – Będziemy kontynuować chemię. Może uda się pół roku, rok, może więcej.

– Gdybyś po prostu powiedziała: „Proszę, przyjedź teraz”, tobym przyjechała – powiedziałam do niej tamtego pierwszego wieczoru.

– Nieprawda, nie przyjechałabyś! – Zaśmiała się. – Jesteś realistką. Wiesz, że mam służących, pielęgniarki, lekarzy i znajomych. Uznałabyś, że jeszcze cię nie potrzebuję. Ale potrzebuję, byś pomogła mi wszystko uporządkować. Chcę, żebyś gotowała, by Alicia i Sergio mogli jeść tutaj. Chcę, żebyś mi czytała i się mną zajmowała. Teraz jestem samotna i przestraszona. Teraz cię potrzebuję.

Wszyscy mamy w głowach albumy ze wspomnieniami. Odbitki. Ujęcia osób, które w różnych czasach kochaliśmy. Na tym jest Sally w ciemnozielonych ciuchach do biegania, siedzi po turecku na łóżku. Świetlista skóra, zielone oczy pomalowane łzami, kiedy do mnie mówiła. Żadnych podstępów czy uzalania się nad sobą. Przytuliłam ją, wdzięczna, że mi zaufała.

W Teksasie, kiedy ja miałam osiem, a ona trzy lata, nienawidziłam jej, zazdrościłam z głośnym syczeniem w sercu. Babcia pozwalała mi biegać swobodnie, na łasce innych dorosłych,

ale małej Sally pilnowała, czesała jej włosy, piekła ciastka tylko dla niej, kołysała do snu i śpiewała *Way Down in Missoura*. Ale mam w głowie jej obrazy już z tamtego czasu, uśmiechała się, dawała mi ciastko z bezspornym urokiem, którego nigdy nie straciła.

Pierwsze miesiące w Mexico City minęły błyskawicznie, jak w starych filmach, w których kalendarz pokazuje upływające pędem dni. W przyspieszonym tempie Charliego Chaplina stolarze tłukli się w kuchni, hydraulicy walili w łazience. Przyszli fachowcy, żeby naprawić wszystkie klamki i zepsute okna, wycyklinować podłogi. Mirna, Belen i ja przedarliśmy się przez schowek, *topanco*, szafy, regały z książkami i szuflady. Wyrzucaliśmy buty i kapelusze, psie obroże, marynarki z wysokim kołnierzem. Mercedes, Alicia i ja wyjęliśmy wszystkie ubrania i biżuterię Sally i oznaczyliśmy, co dać którym przyjaciołom.

Leniwe cudowne popołudnia na podłodze u Sally, porządkowanie zdjęć, czytanie listów, wierszy, plotkowanie, opowiadanie historii. Telefon i dzwonek do drzwi dźwięczały cały dzień. Selekcjonowałam rozmowy i gości, to ja je kończyłam, gdy była zmęczona, albo nie, jeśli była szczęśliwa, jak zawsze przy Gustavie.

Kiedy diagnozują u człowieka śmiertelną chorobę, od razu zalewają go telefony i listy i wizyty. Ale mijają miesiące i czas robi się trudniejszy, przychodzi coraz mniej gości. Wtedy choroba się rozwija, a czas jest powolny i głośny. Słyszysz zegary i kościelne dzwony i wymioty i każdy chrapliwy oddech.

Były mąż Sally, Miguel, i Andrés przychodzili codziennie, ale o różnych porach. Tylko raz ich wizyty się zbiegły. Zdziwiłam się, jakim respektem ludzie wciąż darzą Miguela. Ożenił się powtórnie dawno temu, ale jego duma nie zgasła. Andrés był w pokoju Sally ledwie kilka minut. Przyniosłam mu kawę i *pan dulce*. Kiedy stawiałam je na stole, przyszła Mirna, mówiąc:

– Señor nadchodzi!

– Szybko, do twojego pokoju! – powiedziała Sally.

Andrés pobiegł do mojego pokoju ze swoją kawą i *pan dulce*. Ledwie zdążyłam go tam zamknąć, gdy pojawił się Miguel.

– Kawy! Potrzebuję kawy! – powiedział.

Poszłam więc do swojego pokoju, wzięłam od Andrésa kawę i *pan dulce* i zaniiosłam je Miguelowi. Andrés zniknął.

Traciłam siły i miałam problemy z chodzeniem. Myśleliśmy, że to *estress* (w hiszpańskim nie ma słowa na stres), ale w końcu zemdlałam na ulicy i zabrano mnie do szpitala. Miałam

krytyczną anemię z powodu krwawiącej przepukliny przełykowej. Spędziłam na oddziale kilka dni na transfuzjach krwi.

Po powrocie czułam się dużo lepiej, ale moja choroba przestraszyła Sally. Śmierć przypomniała nam, że wciąż czuwa. Czas znowu przyspieszył. Myślałam, że zasnęła, i szłam do łóżka.

– Nie odchodź!

– Idę tylko do łazienki, zaraz wrócę.

W nocy, jeśli się dusiła albo kaszłała, budziłam się i szłam sprawdzić.

Była już pod tlenem i rzadko wstawiała z łóżka. Myłam ją w pokoju, robiłam zastrzyki przeciwbólowe i na mdłości. Piła trochę bulionu, czasami jadła krakersy. Kruszony lód. Wkładałam lód w ręcznik i waliłam nim i waliłam waliłam o betonową ścianę. Mercedes leżała obok, a ja kładłam się na podłodze i czytałam. Przystawałam, kiedy myślałam, że zasnęły, ale obie mówiły: „Nie przestawaj!”.

Bueno. „Stanowczo twierdzą, że pani Becky – osoba na pewno niepozbawiona wad – została przedstawiona opinii publicznej w świetle dyskretnym i absolutnie nieszkodliwym”.

Pedro usuwał jej płyn z płuca, ale i tak coraz trudniej i trudniej się jej oddychało. Postanowiłam, że powinniśmy naprawdę wysprzątać jej pokój. Mercedes została z Sally w salonie, a Mirna i Belen i ja zamiatałyśmy i ścierałyśmy kurze, myłyśmy ściany i okna i podłogi. Przesunęłam łóżko, by stało pod oknem; teraz widziała niebo. Belen rozłożyła czyste wyprasowane prześcieradła i miękkie koce i przyniosłyśmy ją z powrotem. Oparła się na poduszce, wiosenne słońce oświetlało jej twarz.

– *El sol* – powiedziała Sally. – Czuję je.

Usiadłam pod drugą ścianą i patrzyłam, jak wygląda przez okno. Samolot. Ptaki. Ślad na niebie. Zachód słońca!

Dużo później pocałowałam ją na dobranoc i poszłam do swojego małego pokoju. Nawilżacz na butli z tlenem bulgotał niczym fontanna. Czekałam, aż usłyszę oddech Sally, bo wtedy wiedziałam, że śpi. Jej materac zaskrzypiał. Sapnęła, a potem jęknęła, ciężko oddychając. Nasłuchiwałam i czekałam, a potem usłyszałam dzyń dzyń kółek od firanki nad jej łóżkiem.

– Sally? Salamandro, co ty robisz?

– Patrzę na niebo!

Tuż obok wyjrzałam przez własne małe okno.

– Oye, siostró...

– Tak – powiedziałam.

– Słyszę cię. Płaczesz za mną!

Upłynęło siedem lat od twojej śmierci. Oczywiście muszę teraz przyznać, że ten czas minął w mgnieniu oka. Postarzałam się. Nagle, *de repente*. Chodzę z trudem. Leci mi ślina. Zostawiam drzwi niezamknięte na klucz na wypadek, gdybym umarła we śnie, ale bardziej prawdopodobne jest, że będę tak żyć bez końca, dopóki mnie gdzieś nie umieszczą. Mam dziurawą pamięć. Zaparkowałam auto za rogiem, bo ktoś zajął moje ulubione miejsce. Potem zobaczyłam to miejsce puste i zastanawiałam się, gdzie jest moje auto. Niby nic dziwnego, że gadam do swojego kota, ale mi głupio, bo on jest zupełnie głuchy.

Nigdy jednak nie ma dosyć czasu. „Prawdziwego czasu”, jak mawiali więźniowie, których uczyłam, wyjaśniając, że zdaje im się, że mają cały czas tego świata. Ale ten czas nie należał do nich.

Uczę teraz w ładnym, *fresa*, górskim miasteczku. W tych samych Górach Skalistych, w których tata pracował w kopalniach, ale bardzo daleko od Butte czy Coeur d'Alene. Jednak jestem szczęściarą. Mam tu dobrych przyjaciół. Mieszkam u podnóża gór, pod moim oknem spacerują jelenie, eleganckie i skromne. Widziałam skunksy parzące się w świetle księżyca, ich ostre krzyki przypominały dźwięk orientalnych instrumentów.

Tęsknię za moimi synami i ich rodzinami. Widuję ich może raz w roku i zawsze się tym cieszę, ale nie jestem już częścią ich życia. Ani częścią życia twoich dzieci. Choć Mercedes i Enrique przyjechali tutaj, żeby się pobrać!

Tyłu innych odeszło. Kiedyś myślałam, że to zabawne, gdy ktoś mówił „straciłam męża”. Ale tak właśnie jest. Kogoś brakuje. Paula, ciotki Chaty, Buddy'ego. Rozumiem, dlaczego ludzie wierzą w duchy i proszą medium o wzywanie zmarłych. Miesiącami myślę tylko o żywych, ale potem Buddy pojawia się z jakimś żartem albo ty jak żywa, przywołana przez tango czy *agua de sandia*. Gdybyś tylko mogła do mnie mówić. Jesteś tak samo nieprzydatna jak mój głuchy kot.

Ostatnio pojawiłaś się kilka dni po burzy śnieżnej. Ziemię wciąż przykrywały lód i śnieg, ale zdarzył się jeden ciepły dzień. Wiewiórki i sroki świergotały, wróble i zięby śpiewały w nagich gałęziach. Otworzyłam wszystkie drzwi, rozsunęłam zasłony. Piłam herbatę przy kuchennym stole, czując słońce na plecach. Z gniazda na ganku wyleciały osy i latały ospale po domu, bzykając w pijackich kręgach wokół kuchni. W tej chwili bateria w czujniku dymu się

rozładowała, więc zaczął cykać jak konik polny. Słońce oświetliło imbryk i słój na mąkę, srebrną wazę z rosołem.

Leniwa iluminacja, jak meksykańskie popołudnie w twoim pokoju. Widziałam słońce na twojej twarzy.

Gniazdowanie

Nigdy nie widziałam, żeby rankiem kruki odlatywały z drzewa, ale co wieczór, mniej więcej pół godziny przed zmierzchem, zaczynają zlatywać się tam z całego miasta. Może istnieją regularni kruczy zaganiacze, którzy śmigają po niebie nad całymi kwartałami, wzywając innych do powrotu do domu, a może każdy z nich krąży, zbierając maruderów, zanim opadnie na drzewo. Tyle razy patrzyłam, że powinnam już wiedzieć. Ale widzę tylko kruki, całe tuziny kruków zlatujące się ze wszystkich kierunków z daleka i pięć czy sześć krążących jak nad lotniskiem, zwołujących, zwołujących, a potem w ułamku sekundy zapada nagle cisza i nie widać już żadnych kruków. Drzewo wygląda jak najzwyczajniejszy klon. Nie domyśliłbyś się, że siedzi na nim tak wiele ptaków.

Kiedy pierwszy raz je zobaczyłam, siedziałam akurat na ganku. Wróciłam z miasta z przenośną butlą z tlenem, usiadłam na huśtawce, żeby popatrzeć na wieczorne światło. Zwykle siadam z tyłu, gdzie sięgają rurki. Czasami o tej porze oglądam wiadomości albo robię kolację. Z łatwością mogłabym zatem przegapić, że o zachodzie słońca akurat ten klon jest pełen kruków.

Czy potem wszystkie odlatują razem, żeby spać na innym drzewie, gdzieś wyżej, na Mount Sanitas? Może, bo ja wstaję wcześniej i siedzę przy oknie wychodzącym na wzgórze, a nigdy nie widziałam, żeby odlatywały z tego drzewa. Widziałam za to jelenie wędrujące w górę na Mount Sanitas i Dakota Ridge i wschodzące słońce różem odbijające się od skał. Jeśli leży śnieg i jest bardzo zimno, w górach pojawia się luna, a kryształki lodu nadają porankowi kolor szklanego różu, jaskrawego koralu.

Oczywiście teraz jest zima. Drzewo jest nagie i nie ma kruków. Po prostu myślę o krukach. Trudno mi się chodzi, więc te kilka przecznic pod górę to byłoby dla mnie za dużo. Pewnie mogłabym pojechać autem, jak Buster Keaton, którego szofer woził na drugą stronę ulicy. Ale chyba byłoby wtedy za ciemno, żeby zobaczyć ptaki na drzewie.

Nie wiem, dlaczego w ogóle o tym wspominałam. Teraz to sroki migają na śniegu, niebieskie, zielone. Wrzeszczą podobnie arogancko. Mogłabym oczywiście poszukać w książce albo zadzwonić do kogoś i zapytać o zwyczaj gniazdowe kruków. Ale męczy mnie to, że zauważam je tylko przypadkiem. Co jeszcze przegapiłam? Jak wiele razy w życiu byłam, że tak powiem, z tyłu domu, a nie z przodu? Co mi powiedziano, a ja nie usłyszałam? Jaka była miłość, której nie poczułam?

To bezsensowne pytania. Żyłam tak długo tylko dlatego, żeby zapomnieć o przeszłości. Zamknąć drzwi przed żalem i wyrzutami i smutkiem. Jeśli wpuszczę je do środka, pofolguję sobie i uchylę te drzwi, to prask, otworzą się na oścież, wpuszczając fale bólu rozdzierające mi serce oślepiające wstydem tłukące filiżanki i butelki zrzucające słoiki rozbijające okna potykające się krwawo na rozsypanym cukrze i potłuczonym szkle przerażające łapiące za gardło, aż w końcu z ostatnim wzdrygnięciem i szlochem zamknę te ciężkie drzwi. Po raz kolejny zbieram kawałki.

Może to wcale nie jest aż tak niebezpieczne, wpuścić przeszłość do środka ze wstępem „A gdyby?”. A gdybym porozmawiała z Paulem, zanim odszedł? A gdybym poprosiła o pomoc? A gdybym wyszła za H? Kiedy tak tutaj siedzę, wyglądam przez okno w stronę drzewa, na którym nie ma teraz liści ani kruków, odpowiedzi na każde „a gdyby?” brzmią dziwnie uspokajająco. One nie mogłyby się wydarzyć, te wszystkie „a gdyby”. Całe dobro i zło, które wydarzyło się w moim życiu, było przewidywalne i nieuniknione, szczególnie te wybory i działania, przez które teraz jestem zupełnie sama.

A co, jeśli cofnęłabym się dalej, do czasu, zanim przenieśliśmy się do Ameryki Południowej? A gdyby doktor Mock powiedział, że przez rok nie mogę opuścić Arizony, bo potrzebuję długiej terapii, dostosowania gorsetu i być może operacji kręgosłupa? Dołączyłabym do rodziny rok później. A gdybym mieszkała z Wilsonami w Patagonii, co tydzień chodziła do ortopedy w Tucson, czytała *Emmę* albo *Jane Eyre* w dusznym autobusie?

Wilsonowie mieli pięcioro dzieci, wszystkie dość duże, by pracować w sklepie spożywczym albo restauracji, które prowadziła rodzina. Ja pracowałam przed szkołą i po w restauracji, z Dot, i z nią dzieliłam pokój na strychu. Dot miała siedemnaście lat, była najstarszym dzieckiem. A właściwie kobietą. Wyglądała jak aktorka filmowa, kiedy nakładała gruby makijaż i odbijała szminkę na serwetce, wydmuchiwała nosem papierosowy dym. Spałyśmy razem na materacu z siana przykrytym starymi kocami. Nauczyłam się jej nie przeszkadzać, leżeć cicho, ekscytować się jej zapachami. Układała kręcone rude włosy na olejek Wildroot, na noc smarowała twarz noxzemą i zawsze smarowała perfumami Tweed nadgarstki oraz miejsca za uszami. Pachniała papierosami i potem i maminym dezodorantem i czymś, co później okazało się seksem. Obie śmierdziałyśmy starym tłuszczem, bo w knajpie Wilsonów smażyłyśmy hamburgery i frytki aż do zamknięcia o dziesiątej. Szłyśmy do domu główną ulicą i torami kolejowymi, szybko mijając saloon Frontier, i potem dalej, do domu jej rodziców. Dom

Wilsonów był najładniejszy w mieście. Duży, dwupiętrowy i biały, ze sztachetowym płotem i ogrodem i trawnikiem. Większość domów w Patagonii była mała i brzydka. Tymczasowe domy w miasteczkach górniczych malowano na ten dziwny dworcowo-górniczy karmelowy brąz. Większość ludzi pracowała na górze w kopalniach Trench and Flux, w których mój ojciec był inspektorem. Teraz skupował rudę w Chile, Peru i Boliwii. Nie chciał jechać, nie chciał zostawiać kopalni, bo pracował tam na dole. Matka przekonała go, żeby jechał, wszyscy przekonywali. To była wielka szansa i mieliśmy się stać bardzo bogaci.

Ojciec zapłacił Wilsonom za mój wikt i opierunek, ale oni uznali, że dla kształtowania mojego charakteru będzie lepiej, jeśli zacznę pracować tak jak pozostałe dzieci. Wszyscy harowaliśmy, szczególnie Dot i ja, bo zostawałyśmy do późna i wstawałyśmy o piątej rano. Otwierałyśmy dla trzech autobusów zwożących górników z Nogales do Trench. Autobusy przyjeżdżały co piętnaście minut; górnicy mieli czas ledwie na jedną albo dwie kawy i pączka. Dziękowali nam i machali, wychodząc, *Hasta luego!* Kończyłyśmy zmywanie, robiłyśmy sobie kanapki na lunch. Przychodziła pani Wilson, żeby przejąć pracę, a my szłyśmy do szkoły. Wciąż chodziłam do gimnazjum na wzgórzu. Dot do liceum.

Kiedy późnym wieczorem wracałyśmy do domu, ona wymykała się na spotkanie ze swoim chłopakiem Sextusem. Mieszkał na ranczu w Sonoicie, rzucił szkołę, żeby pomagać tacie. Nie wiem, o której wracała. Ja zasypiałam od razu, gdy przyłożyłam głowę do poduszki. Jak tylko ległam na sianku! Uwielbiałam spać na sianie jak w *Heidi*. Pachniało i było wygodne. Zawsze wydawało mi się, że dopiero co zamknęłam oczy, a tu już Dot potrząsała mną na pobudkę. Była zwykle umyta albo po prysznicu i ubrana, a kiedy ja się zbierałam, ona czesała się na pazia i robiła twarz. „Na co się gapisz? Pościel łóżko, jak nie masz nic do roboty”. Naprawdę mnie nie lubiła, ale ja też jej nie lubiłam, więc było mi wszystko jedno. Po drodze do restauracji wciąż powtarzała, że mam siedzieć cicho, jeśli chodzi o Sextusa, bo tato by ją zabił. Całe miasto wiedziało już wtedy o niej i o Sextusie, albo ja komuś mówiłam, tylko nie jej rodzicom, ale komuś, tylko dlatego, że była taka wredna. Była po prostu wredna dla zasady. Postanowiła, że znienawidzi tego dzieciaka, którego wsadzili jej do pokoju. A tak naprawdę to na co dzień się dogadywałyśmy, śmiałyśmy się i żartowałyśmy jak dobry zespół, krojąc cebulę, nalewając napoje, obracając burgery. Obie byłyśmy szybkie i skuteczne, obie lubiłyśmy ludzi, głównie miłych meksykańskich górników, którzy rankiem żartowali i droczyli się z nami. Po południu przychodziły dzieciaki ze szkoły i miastowi na napoje i lody, włączali szafę grającą i grali w

pinball. Podawałyśmy burgery, chili dogi, grillowany ser. Sałatkę z tuńczyka i jajek, sałatkę ziemniaczaną i coleslaw zrobione przez panią Wilson. Najpopularniejszym daniem było jednak chili, które każdego popołudnia przynosiła matka Williego Torresa. Z czerwoną papryką zimną, z zieloną i wieprzowiną latem. Stosy tortilli, które podgrzewałyśmy na grillu.

Ja i Dot pracowałyśmy tak ciężko i tak szybko między innymi dlatego, że panowała między nami milcząca umowa: kiedy pozmywałyśmy i wyczyściłyśmy grill, ona wychodziła na zaplecze z Sextusem, a ja zajmowałam się tymi nielicznymi zamówieniami na ciasto i kawę między dziewiątą i dziesiątą. A najczęściej odrabiałam zadania z Williem Torresem.

Willie do dziewiątej pracował w biurze probierczym. Wcześniej chodziliśmy do tej samej klasy i w szkole się zaprzyjaźniliśmy. W sobotnie poranki przyjeżdżałam z tatą pick-upem po zakupy i pocztę dla tych czterech czy pięciu rodzin mieszkających na górze przy kopalni Trench. Tata robił i pakował wszystkie sprawunki, a potem zatrzymywał się w biurze probierczym pana Wise'a. Pili kawę i rozmawiali o rudzie, kopalniach, żyłach? Przepraszam, nie słuchałam uważnie. Na pewno chodziło o minerały. W biurze Willie stawał się jakby inną osobą. W szkole nieśmiały, jako ośmiolatek przyjechał z Meksyku, więc choć był mądrzejszy od pani Boosinger, miał czasami problemy z czytaniem i pisanem. Na pierwszej walentynce dla mnie napisał: „Rozwalasz moje serce”. Ale nikt się z niego nie wyśmiewał tak jak ze mnie i mojego metalowego gorsetu, wrzeszcząc „Tyczka!”, kiedy wchodziłam, bo byłam taka wysoka. On także był wysoki, miał indiańską twarz, wystające kości policzkowe i ciemne oczy. Nosił czyste, ale zniszczone i za małe ubrania, proste czarne włosy miał długie i postrzępione, strzyżone przez matkę. Kiedy czytałam *Wichrowe Wzgórza*, to Heathcliff wyglądał jak Willie, dziki i odważny.

W biurze probierczym zdawał się wszystkowiedzący. Zamierzał, gdy dorośnie, zostać geologiem. Pokazał mi, jak rozpoznawać złoto i piryt i srebro. Tamtego pierwszego dnia mój ojciec zapytał, o czym rozmawiamy. Pokazałam mu, czego się nauczyłam.

– To jest miedź. Kwarc. Ołów. Cynk.

– Cudownie! – powiedział, naprawdę zadowolony.

Kiedy wracaliśmy do domu, wygłaszał geologiczną pogadankę o ziemi, przez całą drogę w górę do kopalni.

W kolejne soboty Willie pokazywał mi inne skały.

– To jest mika. Ta skała to łupek, a to wapień.

Objasniał mi mapy górnicze. Przeglądaliśmy pudła pełne skamielin. Willie i pan Wise

chodzili ich szukać.

– Hej, a ten! Spójrz na ten liść!

Nie zdawałam sobie sprawy, że kocham Williego, bo nasza bliskość była taka milcząca, nie pasowała do tej miłości, o jakiej inne dziewczyny wciąż opowiadały, do romansów i flirtów i eeeej Jeeny kocha Marvinina.

W restauracji spuszczaaliśmy żaluzje, siadaliśmy przy barze i odrabialiśmy przez tę ostatnią godzinę zadania, jedliśmy lody z gorącą polewą. On potrafił kopnąć szafę tak, żeby wciąż leciały *Slow Boat to China*, *Cry* i *Texarkana Baby*. Był dobry w arytmetyce i algebrze, a ja byłam dobra w słowach, więc sobie pomagaliśmy. Opieraliśmy się o siebie, dotykając nogami wokół hokerów. On nawet dotknął łokciem tej części mojego gorsetu, która wystawała, i wcale mnie to nie obeszło. Zwykle kiedy ktokolwiek choćby zauważał mój gorset pod ubraniem, mdliło mnie ze wstydu.

Ale najbardziej łączyło nas to, że byliśmy śpiący. Nigdy nie mówiliśmy: „Rany, spać mi się chce. A tobie?”. Po prostu byliśmy razem zmęczeni, oparci o siebie razem ziewaliśmy w restauracji. Ziewaliśmy i uśmiechaliśmy się do siebie w klasie.

Jego ojciec zginął w trakcie zawału w kopalni Fluxa. Mój ojciec próbował spowodować jej zamknięcie, odkąd tylko przyjechaliśmy do Arizony. Przez lata to właśnie robił, sprawdzał w kopalniach, czy złoża się wyczerpują albo są niestabilne. Nazywali go „Zamknij Je Brownem”. Czekałam w pick-upie, kiedy poszedł powiedzieć matce Williego. To było, jeszcze zanim poznałam Williego. Mój ojciec płakał przez całą drogę do domu z miasta, aż się przestraszyłam. To Willie powiedział mi później, że tata walczył o rentę dla górników i ich rodzin, o tym, jak bardzo to pomogło jego matce. Miała jeszcze pięcioro dzieci, prała i gotowała po ludziach.

Willie wstawał tak samo wcześniej jak ja, rąbał drewno, robił braciom i siostrom śniadanie. Najgorsza była wiedza o społeczeństwie, nie dało się nie zasnąć, nie dało się zainteresować. Zaczynała się o trzeciej. Godzina bez końca. Zimą od pieca na drewno zaparowywały szyby i nasze policzki robiły się krwiscie czerwone. Pani Boosinger czerwieniła się pod dwiema fioletowymi plamami rózu. Latem okna były otwarte, muchy bzyczały dokoła, pszczoły brzęczały dokoła i zegar tykał tak nieprzytomnie, tak gorąco, a ona mówiła, mówiła o pierwszej poprawce i plask! Walała linijką o stół.

– Pobudka! Wstawać! Wy dwoje, wy, meduzy, nie macie żadnego kręgosłupa! Siadać prosto! Otwierać oczy! Meduzy!

Raz myślała, że śpię, ale ja tylko odpoczywałam oczy.

– Lulu, kto jest sekretarzem stanu?

– Acheson, psze pani.

To ją zdziwiło.

– Willie, kto jest sekretarzem rolnictwa?

– Topeka i Santa Fe?

Chyba oboje byliśmy pijani z niewyspania. Za każdym razem, kiedy plaskała nas w głowy podręcznikiem do WOS-u, śmialiśmy się głośniej. Wysyłała jego na korytarz, a mnie do szatni, potem po zajęciach znajdowała nas zwiniętych i śpiących.

Kilka razy Sextus wlaź do pokoju Dot. Słyszałam, jak szeptem pyta:

– Dzieciak śpi?

– Jak zabity.

I to była prawda. Bez względu na to, jak bardzo próbowałam nie spać i popatrzeć, co robią, zasypiałam.

W tym tygodniu przydarzyło mi się coś dziwnego. Widziałam małe kruki przelatujące szybko tuż koło mojego lewego oka. Odwracałam się i znikwały. A kiedy zamykałam oczy, światła przemykały jak motocykle pędzące po autostradzie. Myślałam, że mam halucynacje albo nowotwór oka, ale lekarz powiedział, że to plamki, wiele osób je ma. „Jak to możliwe, żeby w ciemności świeciły światła?”, zapytałam, równie zdziwiona jak kiedyś z powodu lodówki. Podobno moje oko mówi mózgowi, że jest światło, więc mózg w to wierzy. Proszę, nie śmiejcie się. To tylko zaostrzyło sytuację z krukami. I znów przypominało mi tamto drzewo upadające w lesie, raz po raz. Może moje oczy powiedziały mózgowi o krukach na klonie.

Gdy obudziłam się którejś niedzieli rano, Sextus spał po drugiej stronie Dot. Może zainteresowałabym się bardziej, gdyby byli atrakcyjną parą. On ostrzyżony na jeża, miał pryszcze, białe brwi i wielkie jabłko Adama. Był za to mistrzem jazdy między beczkami i z lassem, a jego tucznik trzy lata z rzędu wygrywał w konkursie. Dot była nieatrakcyjna, po prostu swojsko nieatrakcyjna. Ta cała tapeta, którą nakładała na twarz, nie robiła nawet tandetnego wrażenia, tylko podkreślała małe brązowe oczy i wydatne usta, które przez wystający kiel wciąż były otwarte w półgrymasie. Delikatnie nią potrząsnęłam i pokazałam na Sextusa. „I Jezus zapłakał”, powiedziała i go obudziła. Wszedł przez okno po topoli i zniknął w ułamku sekundy. Dot przyszpiliła mnie do siana i kazała przysięgać, że będę milczeć.

– Hej, Dot, przecież milczę, co nie?

– Piñiesz słówko, to nakabluję na ciebie i tego meksykańca.

Przestraszyłam się, mówiła jak moja matka.

Miło było nie martwić się moją matką. Byłam teraz miłszą osobą. Nie markotną i nieuprzejmą. Grzeczną i pomocną. W domu nic nie rozlewałam, nie tłukłam i nie upuszczałam. Nie chciałam wyjeżdżać. Państwo Wilsonowie wciąż powtarzali, że jestem uroczą dziewczynką i dobrze pracuję i uważają mnie za członka rodziny. W niedziele jedliśmy rodzinne obiady. Dot i ja pracowałyśmy do południa, kiedy oni szli do kościoła, a potem zamykałyśmy, wracałyśmy do domu i pomagałyśmy robić obiad. Pan Wilson odmawiał modlitwę. Chłopcy szturchali się i śmiali, gadali o koszykówce, a wszyscy gadaliśmy o... cóż, nie pamiętam o czym. Może wcale tak dużo nie gadaliśmy, ale było miło. Mówiliśmy: „Proszę, podaj masło”. „Sosu?”. Najbardziej lubiłam to, że mam własną serwetkę i pierścień do serwetki, które szły na kredens razem z pozostałymi.

W soboty łapałam okazję do Nogales, a potem autobus do Tucson. Lekarze na wiele godzin wsadzali mnie w średniowieczny bolesny wyciąg, dopóki nie mogłam już wytrzymać. Mierzyl mi, sprawdzali uszkodzenie nerwów, wbijając w ciało szpilki, walili w moje nogi i stopy młotkami. Poprawiali gorset i platformę na bucie. Zdawało się, że podejmują jakąś decyzję. Różni lekarze, mrużąc oczy, oglądali moje prześwietlenia. Ten słynny, na którego czekali, powiedział, że mam kręgi zbyt blisko rdzenia kręgowego. Operacja może spowodować paraliż, szok dla wszystkich organów, które ułożyły się pod skrzywienie kręgosłupa. Będzie drogo, nie tylko operacja, ale w trakcie rehabilitacji przez pięć miesięcy miałabym leżeć nieruchomo na brzuchu. Cieszyłam się, że nie skłaniali się ku operacji. Byłam pewna, że jeśli wyprostują mi kręgosłup, urosnę do dwóch metrów. Ale nie chciałam, żeby zaprzestali badań, nie chciałam jechać do Chile. Pozwolili mi zabrać jedno ze zdjęć rentgenowskich, na których było widać srebrne serduszko od Williego. Mój kręgosłup w kształcie es, moje serce w złym miejscu i jego serce w samym środku. Willie powiesił to zdjęcie w małym oknie na zapleczu biura probierczego.

W niektóre sobotnie wieczory organizowano tańce aż w Elgin albo Sonoicie. W stodołach. Zjeżdżali się wszyscy z dalekiej, dalekiej okolicy, starzy, młodzi, dzieci, psy. Goście z rancz turystycznych. Wszystkie kobiety przynosiły coś do jedzenia. Smażonego kurczaka i sałatkę ziemniaczaną, ciasta i zapiekanki i poncz. Mężczyźni zbierali się w gromadki i stali

wokół swoich pick-upów, pili. Niektóre kobiety również, moja matka zawsze piła. Dzieciaki z liceów się upijały i wymiotowały, macały się po kątach. Starsze panie tańczyły ze sobą i dziećmi. Wszyscy tańczyli. Głównie na dwa, ale też wolne kawałki i jitterbuga. Czasami amerykańskiego kadryla i meksykańskie tańce takie jak *La Varsoviana*. Po angielsku to brzmi tak: „Postaw swoją stópkę, postaw swoją stópkę, właśnie tu”, i skaczesz skaczesz i wirujesz. Grali wszystko, od *Night and Day* do *Detour*, *There's a Muddy Road Ahead*, od *Jalisco no te Rajes* aż do *Do the Hucklebuck*. Za każdym razem inne kapele, ale składanka ta sama. Skąd się brali ci wspaniali obdarci muzycy? Grali na rogu *pachuco* i na guiro, gitarzyści country w wielkich kapeluszach, perkusiści z bebopu, pianiści, którzy wyglądali jak Fred Astaire. Potem coś, co przypominało grę tych małych zespołów, usłyszałam w Five Spot pod koniec lat pięćdziesiątych. *Ramblin' Ornette'a* Colemana. Wszyscy ekscytowali się, jaki był nowoczesny i świeży. Dla mnie brzmiał jak tex-mex z porządnej potańcówki w Sonoicie.

Staromodne gospodynie domowe żywcem wyjęte z pionierskich czasów stroiły się na te tańce. Trwała i róż, wysokie obcasy. Mężczyźni byli zmęczonymi, ciężko pracującymi ranczerami albo górnikami, wychowanymi w czasie wielkiego kryzysu. Poważni bogobojni robotnicy. Uwielbiałam twarze górników. Mężczyzn, których widziałam, kiedy schodzili z szychty brudni i zmęczeni, a teraz mieli rumieńce i beztrósco ryczeli: „Ah hah, San Antone!” albo „Aí, aí, aí”, bo wszyscy nie tylko tańczyli, również śpiewali i ryczeli. W przerwach pan i pani Wilson zwalniali i wysapywali: „Widziałaś Dot?”.

Mama Williego przyjeżdżała na tańce z grupą przyjaciółek. Tańczyła wszystkie kawałki, zawsze w ładnej sukience, z upiętymi włosami, z podrygującym krzyżykiem. Była piękna i młoda. I była damą. Nie lubiła tańczyć blisko wolnych ani chodzić do pick-upów. Nie, ja tego nie zauważyłam. Ale wszystkie kobiety z Patagonii tak, więc wspominały o tym na jej korzyść. Mówiły też, że nie pozostanie wdową zbyt długo. Kiedy zapytałam Williego, dlaczego on nigdy nie przyjeżdża, powiedział, że nie umie tańczyć, a zresztą musi pilnować rodzeństwa. Ale inne dzieci tam są, czemu i oni nie mogą? Nie, powiedział. Matka musi się zabawić, czasami się od nich oderwać.

– No a ty?

– Ja się tym nie przejmuję. Nie jestem bezinteresowny. Chcę, żeby mama znalazła nowego męża, tak samo jak ona – powiedział.

Jeśli w mieście byli poszukiwacze diamentów, potańcówki nabierały rumieńców. Nie

wiem, czy jeszcze istnieją poszukiwacze diamentów, ale w tamtych górniczych czasach to był wyjątkowy rodzaj mężczyzn. Zawsze wjeżdżali z rykiem do obozu, pędząc sto pięćdziesiąt na godzinę w chmurze kurzu. Nie jeździli pick-upami czy zwykłymi samochodami, ale eleganckimi dwumiejscowymi autami ze lśniącym lakierem przebijającym spod kurzu. Ci mężczyźni nie nosili dżinsów i khaki jak ranczerzy czy górnicy. To znaczy może nosili, zjeżdżając na kopalnię, ale podróżując i na tańce wkładali ciemne garnitury i jedwabne koszule i krawaty. Mieli długie włosy, zaczesane z falą, długie bokobrody, czasami wąsy. Choć widziałam ich tylko w zachodnich kopalniach, tablice rejestracyjne zwykle mieli z Tennessee albo Alabamy albo Wirginii Zachodniej. Nigdy nie zostawali długo, najwyżej tydzień. Zarabiali więcej niż neurochirurdzy, mówił mój ojciec. To oni otwierali dobre złoża albo je znajdowali, chyba. Wiem, że byli ważni i mieli niebezpieczną pracę. Wyglądali niebezpiecznie i – teraz to wiem – seksownie. Chłodni i arogancy, roztaczali wokół aury matadorów, rabusiów banków, rezerwowych miotaczy. Wszystkie kobiety, stare i młode, chciały zatańczyć z poszukiwaczem diamentów. Ja chciałam. Oni zawsze chcieli tańczyć z matką Williego. Jeśli czyjaś żona albo siostra wypła za dużo, zwykle lądowała na dworze z jednym z nich i wywiązywała się krwawa bójka, do której wszyscy mężczyźni wybiegali ze stodoły. Bójka zawsze się kończyła, gdy ktoś strzelał w powietrze, poszukiwacze diamentów odjeżdżali w ciemną noc, urażeni mężowie wracali na tańce ze spuchniętą szczęką albo podbitym okiem. Kapela grała coś w stylu *You Two-Timed Me One Time Too Often*.

Któregoś niedzielnego popołudnia pan Wise zawiózł mnie i Williego do kopalni, żebym obejrzała nasz dawny dom. Zateśniłam wtedy za rodziną, czułam zapach róż sadzonych przez tatę, chodziłam pod starymi dębami. Ostre występy skalne dokoła, widok na doliny i na Mount Baldy. Jastrzębie i sójki i słyszeć było tik-tak, dźwięk perkusji i cymbałów z żaren w młynie. Tęskniłam za rodziną i próbowałam nie płakać, ale i tak się rozpłakałam. Pan Wise mnie uściśnął i powiedział, żebym się nie martwiła, pewnie dołączę do nich, jak szkoła się skończy. Spojrzałam na Williego. Obrócił gwałtownie głowę, żeby spojrzeć na łanię z małymi, które na nas patrzyły, ledwie kilka metrów dalej. „One nie chcą, żebyś jechała”, powiedział.

Ale pewnie pojechałabym do Ameryki Południowej. Wtedy jednak zdarzyło się straszne trzęsienie ziemi w Chile, klęska żywiołowa, i moja rodzina zginęła. Dalej mieszkalam w Patagonii, w Arizonie, z Wilsonami. Po szkole średniej dostałam stypendium na Uniwersytecie Arizony, gdzie studiowałam dziennikarstwo. Willie również dostał stypendium, zrobił podwójny

dyplom z geologii i sztuki. Pobraliśmy się po skończeniu studiów. Willie dostał pracę w Trench, a ja pracowałam dla „Nogales Star”, dopóki nie urodził się nasz pierwszy syn Silver.

Mieszkaliśmy w pięknym ceglany domu pani Boosinger (wtedy już nie żyła), w górach, w jabłoniowym sadzie niedaleko Harshaw.

Wiem, że to brzmi ckliwie, ale żyliśmy potem z Williem długo i szczęśliwie.

A gdyby to się zdarzyło, to trzęsienie ziemi? Wiem, a gdyby. To właśnie jest problem z „agdybami”. Wcześniej czy później dochodzisz do ściany. Nie mogłabym zostać w Patagonii. Skończyłabym w Amarillo w Teksasie. Płaska ziemia i silosy i niebo i biegacze stepowi, żadnej góry w zasięgu wzroku. U wujka Davida i ciotki Harriet i mojej prababki Grey. Uznaliby mnie za kłopot. Ciężar do noszenia. Wiele razy urządzałam to, co nazywali „histeriami”, a co terapeuta nazywał wołaniem o pomoc. Niedługo po zwolnieniu z ośrodka dla młodocianych związałam się z jakimś poszukiwaczem diamentów, który właśnie przejeżdżał przez miasto w drodze do Montany. I wiecie co? Moje życie skończyłoby się dokładnie tak, jak się skończyło, pod wapiennymi skałami Dakota Ridge, z krukami.

O Lucii Berlin

Twórczość

Lucia Berlin (1936–2004, wym. Lu-si-a) opublikowała za życia siedemdziesiąt sześć opowiadań. Większość, choć nie wszystkie, zebrano w trzech tomach wydanych przez Black Sparrow Press: *Homesick* (1991), *So Long* (1993) i *Where I Live Now* (1999). Znalazły się w nich utwory z wcześniejszych zbiorów, z 1980, 1984 i 1987 roku, oraz nowe.

Pierwsze publikacje pojawiły się, gdy miała dwadzieścia cztery lata, w czasopiśmie Saula Bellowa „The Noble Savage” oraz w „The New Strand”. Później opowiadania publikowały „Atlantic Monthly”, „New American Writing” i niezliczone mniejsze czasopisma. Za *Homesick* otrzymała American Book Award.

Berlin pisała świetnie, ale sporadycznie przez całe lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte i przez większość osiemdziesiątych. Pod koniec osiemdziesiątych jej czterej synowie byli już dorośli, a pisarka przezwyciężyła wieloletni alkoholizm (opowieści o koszmarach choroby, delirium, pijackich ciągach i czasami radościach stanowią szczególną część jej twórczości). Potem tworzyła już aż do przedwczesnej śmierci.

Życie

Urodziła się jako Lucia Brown na Alasce w 1936 roku. Jej ojciec pracował w przemyśle górniczym i wczesne dzieciństwo Berlin spędziła w osadach górniczych oraz miastach w Idaho, Kentucky i Montanie.

W 1941 roku ojciec Berlin pojechał na wojnę, a matka przeniosła się z Lucią i jej młodszą siostrą do El Paso, gdzie ich dziadek był prominentnym, ale zapijaczonym dentystą.

Niedługo po wojnie ojciec zabrał rodzinę do chilijskiego Santiago i dla Berlin rozpoczęło się dwadzieścia pięć lat dość ekstrawaganckiego życia. W Santiago chodziła na bale i przyjęcia, pierwszego papierosa zapalił jej książę Aly Khan, skończyła szkołę, była gospodynią na towarzyskich spotkaniach swojego ojca. Matka zazwyczaj wychodziła z nich wcześniej, z butelką.

Jako dziesięciolatka Lucia miała już skoliozę, bolesne skrzywienie kręgosłupa, które dręczyło ją całe życie, często zmuszając do noszenia metalowego gorsetu.

W 1955 roku zapisała się na Uniwersytet Nowego Meksyku. Mówiła już płynnie po hiszpańsku, studiowała z powieściopisarzem Ramonem Senderem. Wkrótce wyszła za mąż i urodziła dwóch synów. Kiedy rodził się drugi, mąż rzeźbiarz zdążył już odejść. Berlin zrobiła dyplom i, wciąż w Albuquerque, poznała poetę Edwarda Dorna, postać niezwykle w jej życiu ważną. Poznała również nauczyciela Dorna z Black Mountain College, pisarza Roberta Creeleya, oraz dwóch jego kolegów z Harvardu, Race'a Newtona i Buddy'ego Berlina, jazzmanów. I zaczęła pisać.

Pianista Newton ożenił się z Lucią w 1958 roku. (Jej pierwsze opowiadania ukazały się pod nazwiskiem Lucia Newton). Rok później przeprowadzili się z jej dziećmi do loftu w Nowym Jorku. Race regularnie pracował, para zaprzyjaźniła się ze swoimi sąsiadami Denise Levertov i Mitchellem Goodmanem oraz z innymi poetami i artystami, między innymi Johnem Altoonem, Diane di Primą i Amirim Baraką (LeRoi Jonesem).

W 1960 roku Berlin i jej synowie zostawili Newtona i Nowy Jork, by pojechać z ich przyjacielem Buddym Berlinem do Meksyku; tam Buddy został trzecim mężem Lucii. Był charyzmatyczny i bogaty, ale okazał się narkomanem. W latach 1961–1968 parze urodziło się dwóch synów.

W roku 1968 Berlinowie się rozwiedli i Lucia robiła magisterium na Uniwersytecie Nowego Meksyku. Zatrudniono ją jako nauczycielkę na zastępstwo. Nie wyszła już nigdy za mąż.

Lata 1971–1994 spędziła w Kalifornii, w Berkeley i Oakland. Pracowała jako nauczycielka w liceum, telefonistka, rejestratorka w szpitalu, sprzątaczką, asystentką w gabinecie lekarskim, pisała, wychowywała czterech synów, piła, a w końcu wygrała z alkoholizmem. Większość 1991 i 1992 roku spędziła w Mexico City, gdzie jej siostra umierała na raka. Ich matka zmarła w 1986 roku, prawdopodobnie śmiercią samobójczą.

W 1994 roku Edward Dorn sprowadził Berlin na Uniwersytet Kolorado i następne sześć lat spędziła w Boulder jako gościnnie pisarka, a w końcu profesorka. Stała się wyjątkowo popularną i kochaną nauczycielką, już w drugim roku pracy zdobyła uniwersytecką nagrodę za doskonałe nauczanie.

W trakcie lat w Boulder Berlin kwitła w niewielkim kręgu towarzyskim, w którym znajdowali się Dorn i jego żona Jennie, Anselm Hollo i dawny znajomy Bobbie Louise Hawkins. Poeta Kenward Elmslie, podobnie jak prozaik Stephen Emerson, szybko się z nią zaprzyjaźnili.

Berlin podupadała na zdrowiu (skolioza spowodowała przekłucie płuca i w połowie lat dziewięćdziesiątych Lucia nie ruszała się już nigdzie bez butli z tlenem), dlatego w 2000 roku przeszła na emeryturę, a rok później przeniosła się do Los Angeles, zachęcona przez synów, z których część tam mieszkała. Wygrała batalię z nowotworem, ale zmarła w 2004 roku w Marina del Rey.

Podziękowania

Przez kilka lat, które poświęciłem tej książce, otrzymywałem wsparcie, entuzjazm i pomoc z wielu stron, a mimo nieodłącznego smutku praca ta przynosiła często prawdziwą radość. Lucia doskonale znała podobne uczucia.

Bardzo dziękuję wydawcom poprzednich zbiorów, w tym kilku, których już nie ma. W loży honorowej zasiadają Michael Myers i Holbrook Teter (Zephyrus Image), Eileen i Bob Callahanowie (Turtle Island), Michael Wolfe (Tombouctou), Alastair Johnston (Poltroon) i John Martin oraz David Godine (Black Sparrow). Wszyscy, którzy mogli, chętnie współpracowali.

Do wydania tego zbioru przyczynili się pisarze Barry Gifford i Michael Wolfe. Oni, wspólnie z Jenny Dorn, Jeffem Berlinem, Gayle Davies, Katherine Fausset, Emily Bell i Lydią Davis, z poświęceniem i profesjonalizmem pracowali nad tą książką. W FSG do Emily dołączył wyjątkowy i wszechstronny zespół, wnosząc swoją siłę i zaangażowanie. Myślę, że wszyscy wiecie, jak wdzięczna byłaby Lucia. Wiedźcie, że ja również jestem.

¹ Chicana – urodzeni w Stanach Zjednoczonych obywatele pochodzenia meksykańskiego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² *Ad maiorem Dei gloriam* (łac.) – „Na większą chwałę Bożą”, dewiza Towarzystwa Jezusowego.

³ *La piña* (hiszp.) – ananas.

⁴ Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z *Biblii Tysiąclecia*, wyd. III poprawione, Poznań–Warszawa 1980.

⁵ Mayates – Afroamerykanie.

⁶ Brązowe Berety – organizacja wspierająca ruch Chicano, działająca pod koniec lat 60. XX wieku w Stanach Zjednoczonych.

⁷ Dylan Thomas, *Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy*, [w:] *Wiersze wybrane*, przekład Stanisław Barańczak, Kraków 1974.

⁸ William Butler Yeats, *Obowiązki*, [w:] *Wiersze wybrane*, wybór tekstów Wanda Rulewicz, Tomasz Wyżyński; oprac. Wanda Rulewicz; [przeł. Stanisław Barańczak et al.], Wrocław 1997.

⁹ *Umoczn wargi w kamieniu. Przekłady z poetów latynoamerykańskich*, tłum. Krystyna Rodowska, Wrocław 2011.

¹⁰ *Sandía* (hiszp.) – arbuz.